



**ALEKSANDER
MAKOWSKI**

**BEZ
PRZEBACZENIA**

**ALEKSANDER
MAKOWSKI**

**BEZ
PRZEBACZENIA**

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2015

Spis treści

1958

2 maja
3 maja
6 maja
7 maja
8 maja
9 maja
10 maja
11 maja
15 maja
16 maja
25 maja
1 lipca

1962

5 maja
7 maja
1 czerwca
25 lipca
27 lipca
28 lipca
29 lipca
30 lipca
3 sierpnia
5 sierpnia
1 września
2 września
24 września
26 września
10 października
13 października
26 października
31 października
15 grudnia

1963

26 stycznia

27 stycznia

22 lutego

24 lutego

25 lutego

1 marca

20 kwietnia

21 kwietnia

28 kwietnia

1958

2 maja

Tego wieczoru w barze hotelu Algonquin na Manhattanie siedział mężczyzna około czterdziestki i małymi łykami popijał kawę. Z kieszeni marynarki wyjął papierosy, włożył jednego do ust i zaczął rozglądać się za zapałkami. Usłużny barman podsunął mu pudełko z firmowym nadrukiem. Postronny obserwator zauważyłby, że ręka przypalająca papierosa wyraźnie się trzęsie, a rozbiegane oczy lustrują pochłoniętych rozmową ludzi w barze.

Harry Adams, Amerykanin, do 1952 roku służył w Niemczech. Był sierżantem kwatermistrzostwa, a ponieważ miał smykałkę do interesów – zwłaszcza lewych – dorobił się niezłego majątku, handlując w wyniszczonym wojną i pokonanym kraju wszystkim, czym dysponowała armia Stanów Zjednoczonych. Największe dochody dawały transakcje z gangami przemytniczymi złożonymi z Niemców, Rosjan, Polaków, Ukraińców i Bóg wie kogo jeszcze, które jego towary sprzedawały wojskom rosyjskim stacjonującym w Niemczech Wschodnich, a także wynędzniałej i zubożałej ludności sąsiednich krajów. Te same gangi przerzucały ze Wschodu na Zachód nielicznych uciekinierów zza żelaznej kurtyny, których stać było na opłacenie takiej usługi. Czasami koszty pokrywały zainteresowane służby wywiadowcze.

Jako człowiek zapobiegliwy i dbały o własne dobro Harry współpracował z amerykańskim wywiadem wojskowym, informując go o ciekawszych przybyszach ze Wschodu, dzięki czemu nad jego coraz potężniejszym imperium biznesowym rozpościerał się parasol ochronny. Zarabiane spore pieniądze Harry lokował w diamentach. Jeździł regularnie do Antwerpii, od zasiedziały tam Żydów, którym udało się przeżyć, kupował kamienie szlachetne i od razu ukrywał je w skrytce bankowej w Szwajcarii. Z czasem pokochał diamenty i nigdy nie miał ich dosyć. Nieraz karciał się w myślach za własną chciwość, ale wiedział, że chwilowo jest silniejsza od niego.

Szefem największej i najgroźniejszej grupy przemytniczej był

Dominik. Jego organizacja działała w Polsce i graniczących z nią krajach jeszcze przed wojną. Później szmuglowali żywność do gett, a ludzi zza muru na aryjską stronę. Nawet całe rodziny. Nie zdarzyło się, aby Żydzi przemycani przez organizację Dominika trafili w ręce niemieckie, w każdym razie nie z jego winy. Jeżeli rodzina była większa, Dominik nie brał pieniędzy za małe dzieci. Z zasady nie przemycił broni. Ale złamał tę regułę dwa razy. Dostarczył broń organizacjom bojowym w Warszawie i Białymstoku, zanim Żydzi powstali tam przeciwko Niemcom.

Organizacja Dominika cieszyła się dobrą opinią. Szef był zawodowcem – nie naciągał, nie oszukiwał i nie kombinował z Niemcami. Nie był szmalcownikiem. Wręcz przeciwnie – jeżeli trafiał na szantażystów, to kazał swoim ludziom zabijać ich z marszu, bez pardonu i bez sądu, bo psuli opinię takim uczciwym przemytnikom jak on. Czasami potrafił do transportu żywności dorzucić kilka pudełek lekarstw – gratis, aby pokazać, że szanuje partnera. Dla Żydów Dominik był dziwnym gojem, niepasującym do tych czasów pogardy. Miał zasady, które rozciągał także na plemię mojżeszowe. Dlatego gotowi byli nawet zapłacić więcej za usługi, byle to on je realizował.

Z takim doświadczeniem organizacja Dominika weszła w przemyt w powojennej Europie jak rozgrzany nóż w masło. Znowu szmuglowała żywność, ludzi, broń, ale też dzieła sztuki, maszyny, samochody, nawet wagony kolejowe. Puste lub pełne.

Bywało, że Dominik chciał przemycić kogoś ze Wschodu za plecami wywiadu wojskowego armii amerykańskiej. Prosił wtedy Harry'ego o pomoc i płacił pięć tysięcy dolarów od każdej takiej operacji. Harry nie mógł zdobyć się na odmowę, aczkolwiek miał świadomość, że być może źle postępuje. Ale za pięć tysięcy dolarów antwerpcy Żydzi oferowali najpiękniejsze kamienie szlachetne... naprawdę z górnej półki.

Jednak to co dobre szybko się kończy i na początku 1952 roku Harry dowiedział się, że za sześć miesięcy armia planuje przenieść go do Stanów Zjednoczonych i przypuszczalnie zdemobilizować. Gotów był nawet dać dużą łapówkę za przedłużenie pobytu, ale okazało się, że nikt nie jest w stanie tego załatwić.

– Harry, co będziesz robił w Ameryce, jak pójdiesz do cywila? – zapytał kiedyś Dominik, człowiek twardy, który sprawiał wrażenie bezlitosnego zabijaki pozbawionego poczucia humoru. Niekiedy napawał Harry’ego strachem, ale rozliczał się terminowo i co do grosza. Zawsze.

– Nie mam pojęcia, ale chyba z głodu nie umrę – zaśmiał się Harry. – A ty, Dominik? Wrócisz do ojczyzny? Skąd ty właściwie pochodzisz, jeżeli mogę zapytać?

Tamten spojrzał na niego ponuro, bo na ogół nikt nie zadawał mu takich pytań. A jeśli nawet, to nie miał co liczyć na odpowiedź. Ale tym razem Dominik zdecydował się jej udzielić, gdyż miał plany wobec tego Amerykanina.

– Ja jestem dziecko wojny, Harry. Część mojej rodziny zabili Niemcy, część Rosjanie i Ukraińcy, wuja przez pomyłkę Polacy. Jestem więc Niemcem, Ukraińcem, Polakiem i Rosjaninem. Człowiekiem znikąd, obywatelem świata. A zamierzam zajmować się przemytem, bo to dobry biznes... sam wiesz najlepiej... i są z tego wielkie pieniądze. Zawsze były i będą. Tobie radzę to samo. Możemy udoskonalać sztukę przemytniczą. A ty jesteś w niej naprawdę dobry i ktoś taki przydałby mi się w Ameryce.

– Ale co mógłbym dla ciebie robić w cywilu? Nakryją nas – zasepił się Harry.

– To nie bądź cywilem. Zatrudnij się w wywiadzie wojskowym albo w CIA, a będziemy mieli do dyspozycji wszystkie te ich szpiegowskie wynalazki. Tak jak tutaj.

Harry uważnie przyjrzał się Dominikowi.

– Ale ty nie jesteś szpiegiem? – zapytał z niepokojem w głosie.

– To nie jest mądre pytanie, Harry. Gdybym był szpiegiem, tobym ci o tym nie powiedział albo zabił za nadmiar ciekawości. Ale nie martw się, nie jestem. Może chciałbym być patriotycznym oficerem jakiegoś wywiadu, ale wojna wybiła mi z głowy patriotyzm. Żeby przetrwać, trzeba mieć forszę. Jestem facetem od robienia interesów i pieniędzy. Dokładnie tak jak ty. Opowiem ci anegdotę, prawdziwą. Miałem kiedyś kochankę Żydówkę. Ktoś zakapował i zgarnęli ją Niemcy. Było to w niedużej mieścinie,

znałem miejscowego szefa SS, bo miałem z nim układ handlowy. Prawie jak z tobą, bez obrazy. Poszedłem do niego i wykupiłem ją za trzy tysiące dolarów. Wtedy zrozumiałem, na czym tak naprawdę polega potęga pieniądza. Trzydzieści papierków po sto dolców za życie pięknej kobiety.

– Jasne. I co się z nią stało?

– Żyje. Bezpieczna.

– To dobrze. Przemyślę twoją propozycję.

– Jeżeli ją przyjmiesz, to dostaniesz dwadzieścia pięć tysięcy dolarów na wydatki, drugie tyle, jeśli się zatrudnisz w którejś z amerykańskich służb specjalnych, a później będziemy zarabiać na przemyśle wszystkiego, na czym da się zarobić.

Harry przyjął propozycję Dominika, gdyż chciwość pokonała strach. Ale nie tylko dlatego. Doszedł do wniosku, że przy tym człowieku będzie mógł się spokojnie bogacić, dopóki będzie robił to, co do niego należy. Uznał też, że Dominik go nie oszuka, bo nie leżało to w jego charakterze.

Zabije mnie, jeśli go zdradzę – pomyślał. Ale mnie nie wykiwa, bo ma zasady. Dziwne zasady, ale ma.

W CIA pracował już od niemal siedmiu lat i zarobił na interesach z Dominikiem prawie pół miliona dolarów. Ponieważ umiał się zatroszczyć o własną korzyść, poinformował przełożonych, że ze starych żołnierskich czasów zna fachowców, którzy potrafią przemycać ludzi ze Wschodu na Zachód. W ten sposób udało się wydostać zza żelaznej kurtyny parę osób, na których Agencji szczególnie zależało. Kosztowało to górę pieniędzy, ale w ocenie CIA opłacało się. Harry'emu też się to opłacało – jego tajne konto rosło.

W Agencji awansował. W dowód uznania jego talentu wywiadowczego przeniesiono go do kontrwywiadu CIA, gdzie dostał znaczącą podwyżkę. Było to niewątpliwe wyróżnienie, gdyż do tej komórki przyjmowano najbardziej zaufanych i najlepszych ludzi.

Każdy szanujący się wywiad miał komórkę kontrwywiadu, który strzegł przed penetracją przez wrogie wywiady, a jednocześnie sam

prowadził infiltrację innych służb specjalnych. Dlatego ludzie pracujący w kontrwywiadzie mieli dostęp do najtajniejszych informacji o swoich i obcych. Z czasem Dominik dowiedział się o CIA i różnych innych tajnych służbach świata nie mniej niż jego wspólnik. Wiedział też dużo o pozostałych amerykańskich służbach specjalnych. Jego organizacja szykowała się właśnie do pierwszej próbnej operacji przemytu narkotyków z Nowego Jorku do Europy. Towar pochodził z Ameryki Południowej, a Nowy Jork stanowił zarówno rynek docelowy, jak i punkt przerzutowy na Stary Kontynent. Pół na pół. Tak więc wszelka wiedza o funkcjonowaniu amerykańskich służb specjalnych zabezpieczających granice państwa była nieodzowna. Harry zgłębił temat – ale skupił się przede wszystkim na tym, jak obejść te zabezpieczenia. Sekrety graniczne Stanów Zjednoczonych miał zgromadzone na kilku mikrokropkach, każda o średnicy dwóch milimetrów. Leżały zdeponowane w bezpiecznym miejscu kilka przecznic od hotelu Algonquin.

Tego wieczoru Harry oczekiwał na wysłannika, któremu zamierzał przekazać mikrokropki. Przy pierwszym kontakcie z nieznanym przestrzegał z żelazną konsekwencją zasady, by nie mieć przy sobie żadnych materiałów wywiadowczych. Nigdy nie wiadomo, jaki ogon taki wysłannik mógł za sobą przywlec, a kontrwywiady uwielbiały przyłapywać szpiegów na gorącym uczynku. FBI nie stanowiło wyjątku. Dlatego też Harry poinformował wcześniej swoich przełożonych, że w niedalekiej przyszłości ma się spotkać z fachowcem od przemytu ludzi zza żelaznej kurtyny. Na szczęście przełożeni traktowali takie spotkania rutynowo. Nie wiedzieli oczywiście nic o mikrokropkach, a tym bardziej o tym, ile Harry zamierza za nie zainkasować od Dominika. Musiały to być niemałe pieniądze, bo informacje, które opracował Harry, umożliwiały średnio sprawnej siatce przemytniczej w miarę swobodne przenikanie granicy Stanów Zjednoczonych. W obie strony i z każdego kierunku. A organizacja Dominika była ponadprzeciętnie sprawna.

Harry czekał więc na kontakt, wyznaczony między dwudziestą a dwudziestą trzydzieści. Ponieważ nie znał wysłannika, więc to tamten miał dać mu znak. Mógł to zrobić dopiero po przejściu

długiej trasy sprawdzeniowej i uzyskaniu pewności, że nie jest śledzony. Takie były zasady i Dominik wymagał ich rygorystycznego przestrzegania.

Pewnie facet pół nocy wpatrywał się w moje zdjęcie... Harry uśmiechnął się pod nosem i zamówił burbona z lodem. Ale działają profesjonalnie – przyznał w duchu. Dla nich to obcy teren, więc nim podejną, sami zdecydują, czy wszystko gra. Wiedział jedynie, że znakiem rozpoznawczym wysłannika ma być złożony podwójnie wzdłuż banknot pięciodolarowy.

No właśnie, czy wszystko gra? – pomyślał.

Mikrokropek nie miał przy sobie, więc w razie jakiegś wpadki nie mogłyby go zdekonspirować ani skompromitować. Były umieszczone w takim miejscu, że człowiek Dominika – gdyby zaszła potrzeba – sam mógł je odebrać, odpowiednio poinstruowany. Pieniądze za mikrokropki czekały na obiór w Europie przy okazji kolejnej misji przemytu ludzi ze Wschodu. Podręcznikowo. Ale tego wieczoru Harry się niepokoił. Z Dominikiem znał się od końca wojny, odkąd zaczęli robić lewe interesy w Niemczech. Te trzynaście lat prowadzenia podwójnego życia wyostrzyło instynkt samozachowawczy byłego żołnierza. Zaczął dyskretnie, ale systematycznie lustrować tłum w barze.

To samo zdawał się robić młody mężczyzna rozmawiający z równie młodą kobietą w hotelowym westybulu nieopodal wejścia do baru. Siedzieli w wygodnych fotelach klubowych, trzymali się za ręce i wyglądali na zakochanych w podróży poślubnej. Mężczyzna był ciemnowłosy i bardzo przystojny. Wysoki, silnie zbudowany, wyglądał na zawodowego sportowca lub żołnierza sił specjalnych. Uroda kobiety była typu śródziemnomorskiego – mieszanka klasycznego piękna i najszlachetniejszej subtelności. Czarne długie włosy okalały twarz o regularnych rysach i ogromnych czarnych oczach. Nieznajoma ściągała więc na siebie ukryte, zawistne spojrzenia innych kobiet i pełen podziwu wzrok mężczyzn.

– Widzisz go, kochanie? – zapytała po angielsku.

– Tak, pije burbona przy barze. Idź powoli do samochodu, a ja podejdem do niego i gdy dostanę sygnał, że jest okej, nawiązę kontakt.

Dowiem się, gdzie jest towar, i pojedziemy po niego.

– Dobra, idę. Uważaj na siebie. – Mówiąc to, musnęła wargami usta mężczyzny i skierowała się w stronę wyjścia.

Odprowadził ją wzrokiem. Wiedział, że nie może podejść do Harry'ego, dopóki nie zostanie umówionego sygnału, że jest bezpiecznie. Wiedział też, że człowiek, który miał mu dać taki sygnał, jest zawodowcem i zabezpieczał wiele podobnych akcji. Znał go i ufał mu. Zbliżała się dwudziesta trzydzieści. W westybulu pojawił się boy hotelowy z napisem „Pan Smith do telefonu”; to samo wykrzykiwał wniebogłosy. Młody człowiek przełknął ślinę, powoli odłożył kolorowe pismo, które przeglądał od niechcenia, wstał i niespiesznie ruszył do wyjścia. Nieopodal stał samochód, w którym czekała jego partnerka. Wsiadł, nachylił się do niej z uśmiechem, pocałował w policzek i powiedział:

– Ruszaj bardzo powoli, kochanie. Jest sygnał o niebezpieczeństwie. Spadamy.

– Dobra.

Samochód ruszył. Ledwie dotarł do najbliższej przecznicy, gdy z potworną mocą uderzyła w niego olbrzymia śmieciarka, która z pędem wyjechała z jednej z bocznych ulic. Uderzenie było tak potężne, że pojazd młodej pary został zepchnięty na chodnik. Z rozerwanego baku ciekła benzyna, wystarczyła iskra będąca wynikiem tarcia metalu o beton i wrak w okamgnieniu stanął w płomieniach. Młody mężczyzna i kobieta leżeli wtuleni w siebie, nieprzytomni w zgnicionym i buchającym ogniu aucie.

Na miejsce wypadku natychmiast podjechały trzy samochody, z których wyskoczyło kilkunastu mężczyzn w garniturach. Daremnie próbowali się zbliżyć do gorejącego jak pochodnia wozu. O wyciągnięciu nieprzytomnych pasażerów nie było mowy. Eksplodowały resztki paliwa w uszkodzonym baku. Kierowca śmieciarki jak skamieniały patrzył na swoje dzieło zniszczenia, nie dostrzegając, że jego pojazd też już staje w ogniu.

Z hotelu Algonquin zaczęli wybiegać ludzie zaalarmowani hukiem zderzających się wozów i krzykiem gapiów, że zgrozą obserwujących straszny wypadek. Wśród nich był Harry. Przebieg

wydarzeń chłonał też postawny, dobrze zbudowany mężczyzna między czterdziestym a czterdziestym piątym rokiem życia, który z budynku po przekątnej względem hotelu od kilku już godzin obserwował przez lornetkę otoczenie i który kilka minut wcześniej zadzwonił do recepcji z prośbą o wywołanie pana Smitha. Teraz stał jak skamieniały, obserwując na ulicy poniżej śmierć swoich przyjaciół. W rękach paru mężczyzn, którzy wyskoczyli z samochodów i próbowali gasić pożar staranowanego pojazdu oraz ratować jego nieprzytomnych pasażerów, pojawiły się radiostacje. Inni kierowali akcją policji i straży pożarnej, szybko przybyłych na miejsce. Kilku z nich zapakowało szokowanego kierowcę śmieciarki do jednego z aut, które natychmiast odjechało. Harry także dostrzegł radiostacje w rękach mężczyzn w garniturach i wiedział doskonale, co to oznaczało. Hotel musiał być pod obserwacją FBI. Ale dlaczego?

Właściwie nikt nie wiedział, że para, którą ubezpieczał postawny mężczyzna, była w Nowym Jorku. Człowiek, z którym mieli spotkać się w hotelu Algonquin, wiedział jedynie, że skontaktuje się z nim łącznik Dominika. Nie miał jednak pojęcia, jak wygląda ani że jest w towarzystwie kobiety. Pozostawał jeszcze jeden z szefów nowojorskiej włoskiej mafii, z którym zabity mężczyzna miał się następnego dnia spotkać w Little Italy w pewnych skomplikowanych interesach...

Mężczyzna obserwujący hotel schował lornetkę do kieszeni i opuścił budynek tylnym wyjściem. Wyszedł na równoległą ulicę i powoli się oddalił. To, co zobaczył, potwierdziło jego przypuszczenie, że miejsce spotkania w Algonquin było obstawione przez tajniaków, a sygnał o niebezpieczeństwie, który przekazał – w pełni uzasadniony. Zakładał też, że został prawidłowo odebrany i zrozumiany, gdyż reakcja jego teraz już martwych przyjaciół była natychmiastowa.

Ale dlaczego ich zabili, kretyni? – analizował sytuację. Przecież mieli oboje na widelcu. Mogli ich zatrzymać w każdym momencie.

W ciągu godziny wstąpił na pocztę i połączył się telefonicznie z umówionym numerem w hotelu w Hamburgu.

– Zabili ją. Zabili ich oboje – zameldował krótko po niemiecku. –

Kontakt nie było, więc nie ma wsypy.

Minęło dobre pół minuty, zanim słowa Gerarda, bo tak nazywał się mężczyzna dzwoniący z Nowego Jorku, dotarły do rozmówcy.

Dominik odchrząknął i zaczął zadawać krótkie pytania.

– Kto?

– Tajniacy – poinformował Gerard.

– Którzy?

– Nie wiem.

– Uprzedziłeś naszych?

– Tak.

– Jak zabili?

– Rozjechali ich śmieciarką.

– Uciekali?!

– Nie.

Dominik ponownie zamilkł, ale kiedy po kilkunastu sekundach znów się odezwał, jego głos był już stanowczy i twardy. Jak zawsze.

– Jedź do ich domu lub wyślij kogoś. Dopilnuj, żeby chłopcy zostali spakowani, i przywieź ich do mnie do miejscowości dwadzieścia.

– Tak jest – odparł szybko Gerard. – Szefie?

– Tak?

– Przykro mi, ale nic się nie dało zrobić.

– Dzięki. Rób, jak mówię.

Gerard pojechał na lotnisko i sprawdził najbliższe połączenia z Londynem. Następnie zaczął wydzwaniać do swoich ludzi w Londynie i w Niemczech. W głowie miał już ułożony plan działania. Wydawał przez telefon krótkie, jasne polecenia, tak aby ich odbiorcy nie mieli najmniejszej wątpliwości, co mają zrobić.

*

Harry nie wrócił do hotelu Algonquin. Oddalił się szybkim krokiem z miejsca wypadku. Udał się do zakonspirowanej stacji CIA na Manhattanie. Analizował oglądane niedawno wydarzenia. Czuł, że mogą mieć związek z jego osobą. Czyżby to byli moi łącznicy? –

myślał szybko. Niemożliwe. Ci tajniacy byli z FBI albo z policji. Dlaczego ich zabili? Przecież nie zabija się szpiegów, tylko się ich zatrzymuje i poddaje długim przesłuchaniom.

Wszedł do biura. Musiał wyczuć, czy coś się wokół niego dzieje i czy ktoś odkrył jego rzeczywiste interesy z Dominikiem. Czy jest w niebezpieczeństwie. Od kilku miesięcy był oddelegowany do stacji CIA w Nowym Jorku. Wystarał się o tę delegację, aby w pełni poświęcić się zleceniu Dominika, i czuł się tam świetnie. Do tego wieczoru.

Szef stacji, mimo późnej pory, siedział z nogami na biurku w swoim gabinecie i popijał whisky z lodem. Zauważył Harry'ego przez otwarte drzwi i przywołał go gestem.

– Hej, Harry. Co tu robisz w piątek wieczorem? Nie pojechałeś do Waszyngtonu do domu?

– Nie. Mam ustawkę z panienką – skłamał zupełnie świadomie Harry, bo nie miał najmniejszego zamiaru tłumaczyć, z kim zamierzał się spotkać. A ponieważ dotąd się nie ożenił, to takie tłumaczenie było najbardziej wiarygodne.

– Będziesz ją bzykał cały weekend? – zapytał szef z mieszaniną ciekawości i zazdrości w głosie.

– A jak myślisz? Chyba że nie zasłuży – odparł Harry, wywołując obleśny rechot rozmówcy. – Mam trochę czasu, więc wpadłem zobaczyć, co się dzieje.

Przełożony wstał i poszedł zamknąć drzwi. Nalał Harry'emu szczerze whisky do szklaneczki, stanął obok niego tak, że prawie dotykał ustami jego ucha, i zaczął mówić.

– Wspominałem ci kiedyś, że zanim trafiłem do Firmy, byłem parę dobrych lat w policji. Mam tam do tej pory świetne układy. Przed chwilą dostałem cynk od kumpli, że godzinę temu FBI zajębało młodą parkę, którą miało tu śledzić na zlecenie wywiadu ze Starego Kontynentu. Będzie afera na cztery fajerki.

– Tak po prostu, zabili? Przecież chłopcy tej cioty Hoovera nie robią takich rzeczy!

– Rozjechali śmieciarką – zachichotał szef.

– Ale dlaczego?

– Bo to debile, zawsze tak mówiłem. Jak twoje sprawy?
– Okej. Wypijmy za zdrowie kolegów z FBI. Chyba im się teraz przyda.

– *Bottoms up*, jak mówią Angole, bo to oni zlecili inwigilację tej pary.

– Ciekawe. A kogo Brytole tak tu śledzili? – Harry stuknął się z szefem szklaneczką.

– Jakichś Polaków z Londynu. – Przełożony zajrzał do notesu, by się upewnić. – Przepraszam, wróć, jak mówią w wojsku. On Polak, ona Żydówka z Polski.

Uśmiech na sekundę zamarł na ustach Harry'ego. Ale natychmiast powrócił. Tylko spokojnie – mówił do siebie – jesteś czysty! Nie było kontaktu. Nikt nie wie, że spotkanie z przemytnikami miało się odbyć właśnie dziś. Nie miał już wątpliwości, kim byli zabici. Wysłannikami Dominika, którym miał przekazać mikrokropki. Dobry Boże, czuwaj dalej nad swoim nędznym sługą – modlił się w duchu. Pomyślał o Dominiku i przeszedł go dreszcz. Poznał przemytnika na tyle, aby wiedzieć, że okrutna wojna nauczyła go dosłownie stosować starożytną zasadę „oko za oko, ząb za ząb”. Bez przebaczenia. Nie podaruje śmierci tych dwojga, nigdy nie darował. Ktoś w FBI popełnił straszny błąd i zapłaci równie straszną cenę.

– Szkoda ludzi. Kim byli i co robili? – zapytał Harry.

– Nie wiem. Jeszcze nie wiem – poprawił się szef. – Ale ona ponoć piękna.

– Okej. Lecę na swoją randkę. Cześć.

Jeżeli zabita kobieta była tą osobą, o której myślał, to wiedział, że Dominik zaraz wywoła go na błyskawiczne spotkanie gdzieś w Europie. Pomogę mu wyjaśnić tę sprawę, a wtedy mnie ozłoci. O ile nie pomyśli, że maczałem w tym paluchy – zaniepokoił się nagle. Ale szybko odrzucił tę myśl. Już sporo wiem – skonstatował – a z czasem ustalę resztę. W końcu pracuję w kontrwywiadzie CIA! Podam Dominikowi winnych na srebrnej tacy. Uśmiechnął się do siebie. Czyżbym trafił na słaby punkt Dominika? Sielanka.

W biurze FBI w Nowym Jorku panowała znacznie mniej sielankowa atmosfera. Szef biura Greg Carson siedział przy swoim biurku i czytał wstępny raport z incydentu. Od momentu zdarzenia przy hotelu Algonquin starał się ustalić podstawowe fakty. Rutynowa obserwacja młodej pary i próba zidentyfikowania osób, z którymi ewentualnie mogłaby się kontaktować, poszła nie tak, jak powinna, i zamieniła się w koszmar operacyjny. Młody pracownik FBI siedzący za kierownicą śmieciarki ubzdurał sobie, że tamci dwoje uciekają przed ekipą obserwacji, i postanowił do tego nie dopuścić, taranując ich pojazd. W nagłym przypiływie adrenaliny najprawdopodobniej wcisnął gaz do dechy, a nie mając wprawy w kierowaniu dużymi ciężarówkami, stracił panowanie nad śmieciarką, która wyrwała się spod kontroli i zmiażdżyła inwigilowany pojazd. Nieszczęśliwy wypadek. Carson przesłuchał szefa ekipy obserwacji i kilku jej członków. Wszystkie zeznania się pokrywały i wiedział, że jego ludzie nie kręcą. Kierowca ciężarówki był w szoku i nie nadawał się do rozmowy, ale siedzący obok niego pracownik FBI, zanim wyskoczył ze śmieciarki, która już zaczynała się palić, dokładnie opisał, co się stało. Znalazło to odzwierciedlenie w raporcie. Pech.

Carson jednak był doświadczonym pracownikiem FBI i wiedział, że najprostsze i najbanalniejsze wytłumaczenia pozornie skomplikowanych spraw bywają najtrudniejsze do zaakceptowania. Podwójny pech – pomyślał, bo inwigilacja została zlecona przez wywiad brytyjski MI6 i przeczuwał, że za chwilę do niego zapuka... Zanim skończył myśl, drzwi gabinetu otworzyły się z hukiem, jakby miały wylecieć z zawiasów, a na progu stanął wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna w nienagannie skrojonym smokingu. Płowe włosy o kasztanowym odcieniu układały się we fryzurę jak z żurnala, a idealnie przystryżone płowe wąsy nadawały regularnym rysom przybysza mocny, męski wyraz. Z całej sylwetki biła arystokratyczna pewność siebie i Carson nie miał wątpliwości, że to specjalny przedstawiciel MI6, który poprzedniego dnia miał przybyć z Londynu, aby tego wieczoru zapoznać się z wynikami obserwacji.

– Nazywam się Gibbons, James Gibbons, i jestem oficerem wywiadu Jej Królewskiej Mości – przedstawił się bez pośpiechu Anglik, nie wyciągając ręki na powitanie, i spokojnym głosem bez

śladu emocji dodał: – Byliście łaskawi zabić moich figurantów.

Dopiero teraz Carson zauważył, że w otwartych z takim impetem drzwiach tłoczy się gromadka pracowników jego biura, których mocne wejście Gibbonsa zupełnie zaskoczyło. Podobnie jak i jego samego. Więc nawet nie zapukał... – pomyślał szef biura FBI w Nowym Jorku.

Przedstawiając się, również nie wyciągnął ręki, bo nie był pewny, czy zostanie uściśnięta. A nade wszystko nie chciał wyjść na głupka w oczach swoich ludzi i postawić się w niezręcznej sytuacji.

– Proszę usiąść – powiedział, zamykając drzwi gabinetu i odsyłając podwładnych do swoich zajęć.

Kątem oka zauważył, że w korytarzu siedzi przygaszony i wyglądający jak zbity pies szef nowojorskiej rezydentury MI6, z którym jego ludzie uzgadniali szczegóły obserwacji młodej pary. Gibbons musi być ważny – przeszło mu przez myśl – skoro nie uznał za stosowne zaprosić go do udziału w rozmowie, a facet wygląda, jakby śmieciarka jego też zahaczyła. To nie będzie prosta sprawa.

W odróżnieniu od swojego gościa Carson był niewysoki, zaniedbany i za dużo ważył. Miał wielką głowę, która zaczynała łysieć, i nieregularne rysy. Ale nieciekawa powłoka cielesna kryła przedni umysł, instynkt zaś mu podpowiadał, że Gibbons – mimo arystokratycznej aury – jest w porządku. Postanowił więc zachowywać się z opanowaną godnością.

– Witam w Nowym Jorku, sir – zaczął. – To bardzo mocne słowa i ośmielam się zauważyć, że skoro nie dał mi pan okazji do przedstawienia faktów, ranią moje poczucie sprawiedliwości.

Gibbons nie zaliczał się do grona nadętych arystokratycznych dupków, jakich zdarza się produkować najwyższym sferom brytyjskiego społeczeństwa. Był pułkownikiem elitarnego regimentu komandosów Jej Królewskiej Mości, weteranem MI6 i SOE – Special Operations Executive. W czasie niedawnej wojny brał udział w najważniejszych akcjach dywersyjnych komandosów brytyjskich na tyłach wroga na większości frontów tego konfliktu. Bił się z Niemcami, Włochami, Francuzami z Vichy, czetnikami i Japończykami. Za męstwo na polu walki otrzymał Victoria Cross –

najwyższe odznaczenie bojowe Imperium. Bywał w tak różnych sytuacjach, tyle razy ocierał się o śmierć i sam ją zadawał, że doskonale wiedział, co składa się na prawdziwego człowieka i jakiego dna może sięgnąć ludzka natura. Po pierwszej wypowiedzi Carsona zorientował się więc natychmiast, że wygląd szefa nowojorskiego biura FBI o niczym nie świadczy i że istnieje szansa na dogadanie się z tym człowiekiem. Postanowił zagrać w otwarte karty.

– Panie Carson – zaczął przyjaźnie, ale nie protekcyjnie – stwierdziłem fakt, nie ferowałem wyroku. Jeżeli poczuł się pan dotknięty, to spieszę zapewnić, że nie było to moją intencją. Ale w tej sprawie muszę znać całą prawdę, jakakolwiek by była. To niezwykle ważne, bo konsekwencje tego nieszczęsnego zdarzenia są potencjalnie trudne do oszacowania.

– Sir – odezwał się Carson, który błyskawicznie opracował taktykę tej rozmowy – bo zakładam, że nie popełniając błędu, mogę tak pana tytułować, wygląda mi pan na żołnierza i człowieka honoru. Ponadto wydaje mi się pan człowiekiem nietuzinkowym, a więc i ta sprawa musi być nietuzinkowa, skoro oddelegowano pana do oceny jej rezultatów. Instynkt mi podpowiada, że ma ona drugie albo i trzecie dno. Ja zamierzam być z panem szczery aż do bólu, sir, i liczę na to samo. Ma się rozumieć, że pańskiej decyzji pozostawiam, ile zechce mi pan powiedzieć i do jakich granic tę szczerość wobec mnie posunąć.

Następnie podał swojemu gościowi do przeczytania wstępny raport ze zdarzenia i zaczął mu referować dodatkowe szczegóły. Zapewnił go też, że jeżeli uzna za stosowne, to będzie mógł przesłuchać wszystkich jego ludzi zaangażowanych w wypadek przy hotelu Algonquin. Na koniec zaproponował Anglikowi filiżankę herbaty.

– Dwie herbaty – zakomenderował przez telefon – ale migiem!

– Dziękuję, panie Carson – powiedział Gibbons po przeczytaniu raportu i wysłuchaniu uwag szefa biura FBI. Inteligencja rozmówcy mile go zaskoczyła, ale i potwierdziła wcześniejsze wrażenie. – Był pan szczery i doceniam to. Nasz problem będzie polegał na tym, że potencjalnie banalna prostota przyczyn tego wypadku... bo zgadzam się, że to raczej nieszczęśliwy wypadek... może być odwrotnie pro-

porcjonalna do wiarygodności tej wersji.

– Cieszę się, sir, że pan jej nie neguje. Ja też się obawiam, że wielu będzie chciało podać ją w wątpliwość.

– Nie zdaje pan sobie sprawy jak wielu. Ma pan rację, jestem żołnierzem i dowodziłem ludźmi w operacjach bojowych na tyłach wroga. Znam sytuacje, w których młodzi, niedoświadczeni żołnierze, tacy jak wasz kierowca śmieciarki, za wcześnie pociągnęli za spust, za wcześnie odpalili ładunek wybuchowy albo ruszyli pojazdem czy łodzią z miejsca akcji, zanim wszyscy zdążyli się zapakować, i prosta operacji zamieniała się w piekło. Tak jak w tym przypadku, gdzie nie było chyba żadnego motywu ani powodu, aby ci młodzi ludzie zginęli. Wspomniał pan, że może być w tej sprawie drugie czy nawet trzecie dno. Nie rozwinę tego wątku tu i teraz, ale jest pan na tyle inteligentnym człowiekiem, że zrozumie pan, iż nie mogę tego zrobić bez pewnych, nazwijmy to, konsultacji. Mówiąc jedynie tyle i aż tyle, staram się wobec pana zachować zasady fair play, bo zasługuje pan na to.

– Doceniam to, sir – odpowiedział Carson, który z niepokojem zauważył, że niewątpliwy urok osobisty rozmówcy zaczyna na niego oddziaływać i brać górę nad wrodzoną i nabytą przez lata nienagannej służby czujnością. Kobiety muszą biegać za nim tabunami – pomyślał z odrobiną zazdrości.

– Zróbmy tak. Proponuję wspólną kolację jutro około dziewiętnastej – zasugerował Anglik, który zaplanował już, jaką rolę Carson będzie odgrywał w działaniach wywiadu brytyjskiego w tej sprawie.

– Zarezerwuję jakąś knajpę – wyrwało się Carsonowi.

– Ja się tym zajmę, panie Carson – odpowiedział Gibbons tonem nieznoszącym sprzeciwu. Ponieważ zaczynał lubić tego Amerykanina i nie chciał go urazić, powstrzymał się od dodania, że wobec wagi tego, co będą mieli sobie do powiedzenia, knajpa nie jest najlepszym miejscem na rozmowę. – Przyjadę po pana tu do biura o osiemnastej. Do widzenia, panie Carson.

Wstał, podszedł do szefa biura FBI i mocno uściśnął jego rękę.

– Do jutra, panie Carson.

– Do jutra, sir.

Gdy tylko drzwi biura zamknęły się za Anglikiem, Carson ryknął na cały głos:

– Gdzie są te dwie pierdolone filiżanki herbaty?! Czy mam, kurwa, błagać o nie na kolanach? A może mam napisać podanie do samego J. Edgara Hoovera? Czy któryś z was, popaprańcy, łaskawie udzieli mi odpowiedzi, zanim wyjmę gnata i zacznę strzelać?

– Wyszła, szefie... – tłumaczył się agent, który odebrał telefoniczne polecenie Carsona.

– Dokąd wyszła, Rick? Na pierdolony spacer po Central Parku? Nie uczyła cię mama, że herbata nie ma jebanych nóżek i nie chodzi? A może wypełzła jak stonoga? – Carson odreagowywał stres tego długiego dnia. – Widział ktoś pieprzoną pełzającą herbatę?

W tej samej chwili drzwi otworzyły się z hukiem i do biura wbiegł zdyszany agent z paczką herbaty w ręku.

– Jest! – krzyknął triumfalnie, wodząc pełnym satysfakcji wzrokiem po zebranych w holu biura kolegach.

Jak na komendę wszyscy ryknęli śmiechem. Także szef.

– No dobra, trutnie – powiedział przez łyżę. – Dzisiaj wam się upiekło. Ale ogłaszam wszem wobec, że od tej chwili nienapojenie w biurze Anglika herbatą to pieprzone przestępstwo federalne karane dożywociem w tym budynku. A teraz do roboty!

3 maja

Następnego dnia o osiemnastej przed biurem FBI w Nowym Jorku zatrzymał się czarny bentley. Carson usiadł na tylnym siedzeniu obok Gibbonsa. Od kierowcy oddzielała ich gruba, ciemna szyba. Samochód skierował się w stronę Long Island.

– Witam, panie Carson – z uśmiechem odezwał się Anglik.

– Dobry wieczór, sir – odrzekł Carson. Po chwili dorzucił: – Dzwonił do mnie J. Edgar Hoover, a on nie dzwoni często. Kazał mi ściśle z panem współdziałać i spełniać wszelkie pana zachcianki, jak to ujął. Jestem pod wrażeniem. Szybko to załatwiliście. To jakaś gruba sprawa?!

– Ma taki potencjał. To dobrze, że Hoover zadzwonił.

– Jedziemy na Long Island? Tam nie ma wielu restauracji – zauważył Carson.

– Nie jedziemy do restauracji. Jedziemy do pewnej posiadłości, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Bentley mknął przez Long Island, mijając domy najbogatszych ludzi Ameryki, jakby żywcem przeniesione z kart *Wielkiego Gatsby'ego*. Zatrzymał się przed olbrzymią, kutą w żelazie i ozdobioną złoceniami bramą, którą natychmiast zaczęło otwierać czterech ubranych na czarno ochroniarzy. Dwaj z nich byli uzbrojeni w pistolety maszynowe. Bentley ruszył zwirowaną aleją wysadzaną drzewami. Carson patrzył przez szybę i starał się zgadnąć, jaką powierzchnię może mieć posiadłość.

– Piętnaście hektarów – wyjaśnił Gibbons, jakby odgadując jego myśli, które pewnie nawiedzały wszystkich gości tej przeświecanej posesji. – To letnia rezydencja naszej ambasady.

Zajechali przed główny budynek. Była to niemal wierna kopia Howard Castle z North Yorkshire, monumentalnego pałacu z początków XVIII wieku, z ogromnym dziedzińcem od frontu i francuskim ogrodem na tyłach.

Weszli przez otwarte drzwi, przy których czekał majordomus we fraku, o sylwetce wojskowego, wyprostowany jak struna.

– Witam, sir, jak zawsze miło pana widzieć – odezwał się – i pana także. Zapraszam do biblioteki na aperitif przed kolacją.

– Ciebie też miło widzieć, Henderson – odwzajemnił się Gibbons.

Przeszli przez olbrzymi, niezwykle wysoki hol urządzony w typowo angielskim stylu. Dzieła sztuki mieszały się ze wspaniałymi okazami zbroi oraz broni białej i palnej.

W bibliotece paliło się już w kominku. Usiedli na skórzanych fotelach, a majordomus wyszedł, uprzedziwszy, że kolacja zostanie podana za pół godziny.

– Pozwoli pan, panie Carson, że będę czynił honory domu. Szklaneczkę whisky przed kolacją na wzmocnienie apetytu? – zaproponował Gibbons.

– Chętnie.

– Zapraszam pana do barku.

Carson, który uwielbiał whisky i uważał się za znawcę i konesera tego trunku, w mig znalazł się przy dużym ruchomym barku zastawionym baterią butelek. Ale nazwy na etykietkach niewiele mu mówiły – Talisker, Oban, Dalwhinnie, Cragganmore, Lagavulin...

– Co pan poleca, sir? – zapytał dyplomatycznie. – Polegam na pana doświadczeniu i znajomości szkockiej whisky.

– Może kropelkę pięćdziesięcioletniej lagavulin – zasugerował Gibbons. – Straight, bez lodu. Szkoda rozcieńczać tak szlachetny alkohol.

– Świetny wybór, milordzie – pochwalił Carson i obaj wybuchnęli śmiechem.

Lody zaczynają pękać – pomyślał – a jeszcze nic nie wypiliśmy.

Gibbons rozlał alkohol i wrócili do foteli.

– Zacznę od samego początku, bo to wszystko teraz, niestety, pana też dotyczy – zagaił.

– Zamieniam się w słuch.

– Ta piękna kobieta, która zginęła, to Inez, Żydówka z Polski. Mężczyzna to Jan Ratz, Polak ze Wschodu.

– Ale to nie brzmi jak polskie nazwisko – zauważył Carson, który

wywodził się z Chicago i miał wielu kumpli polskiego pochodzenia.

– Wiem, ale Polska była od zawsze mieszaniną narodów i takie nazwisko nikogo tam nie dziwi. Poza tym jak sprawdzić po tej wojennej zawierusze, czy jest prawdziwe? Ratz znalazł się w Wielkiej Brytanii na początku czterdziestego czwartego roku.

– Jak się przedostał z kontynentu? Przecież wszędzie panowali Niemcy, bo to było chyba jeszcze przed inwazją?

– W tym być może tkwi klucz do wszystkiego – odparł Gibbons – ale niezbędna jest mała dygresja. Czy pan wie, kim jest lord Grey?

– Nie mam bladego pojęcia.

– Otóż lord Grey to bardzo wysokiej rangi dygnitarz na dworze Jej Królewskiej Mości. Przyjaciół zmarłego króla i mentor obecnie panującej Elżbiety II. Rodzina Greyów od wielu pokoleń pełniła różne funkcje przy kolejnych władcach. Potężni, wpływowi i bardzo bogaci. Obecny lord Grey, William Huntington Grey, bohater spod Omdurmanu podczas kampanii sudańskiej tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego ósmego roku, uczestnik wojny burskiej i pierwszej wojny światowej, miał trzech synów. Wszyscy godnie służyli w naszych siłach zbrojnych w czasie minionej wojny. Jeden poległ w Afryce Północnej pod El Alamein. Drugi walczył w Birmie na tyłach Japończyków razem ze mną. Podczas jednej z akcji został ranny i wpadł w ręce wrogów. Zajęło się nim japońskie kempeitai. To ich odpowiednik gestapo, ale znacznie bardziej okrutny. Zamęczyli go. Po wojnie dopadliśmy wszystkich członków jednostki, która go torturowała, osądziliśmy i powiesiliśmy – bo pluton egzekucyjny byłby za dobry dla tych łotrów. Trzeci syn, najmłodszy, był pilotem. W czterdziestym trzecim roku został zestrzelony gdzieś nad Polską podczas zrzutów broni dla polskiej partyzantki. Wyskoczył ze spadochronem, ale był ciężko ranny, poparzony, prawie konający. Niewiele brakowało, a dostałby się do niemieckiej niewoli. Wyobraża pan sobie, co to by znaczyło dla lorda Greya? Kolejny syn w rękach oprawców, tym razem z SS? Ale chłopaka uratowała grupa partyzantów, a właściwie przemytników. Byli świetnie zorganizowani. Wśród nich był właśnie Jan Ratz. Na polecenie szefa grupy zajął się najmłodszym Greyem. Jakimiś domowymi sposobami wyleczyli poparzenia i zapobiegli infekcji.

Chłopak przeżył i wrócił do zdrowia. Po sześciu miesiącach Ratz skontaktował się w Polsce z jednym z cichociemnych, szkolonych przez nas polskich komandosów, i poinformował go, że najmłodszy syn lorda Greya żyje i jest pod opieką jego grupy. Cichociemny miał kontakt radiowy z centralą w Wielkiej Brytanii i nadał tę wiadomość. Lord Grey pochował już w duchu najmłodsze dziecko, bo byliśmy przekonani, że w strąconym samolocie wszyscy zginęli. Może więc pan sobie wyobrazić reakcję ojca: stary szalał ze szczęścia!

– Lord musiał to uważać za cudowne zmartwychwstanie... – przyznał żywo Carson, którego opowiadanie Gibbonsa coraz bardziej wciągało.

– Winston Churchill – kontynuował oficer MI6 – walczył razem z lordem Greyem pod Omdurmanem i w okopach pod Ploegsteert. Kapali się ponoć na zmianę w wannie Churchilla, którą ten zatańczył na front. Nie więc dziwnego, że premier natychmiast wydał SOE rozkaz, aby wydostać najmłodszego Greya z Polski. Mieliśmy tam wprowadzić swoich na ziemi, ale okupowana Polska to nie to samo co okupowana Francja. To nie jeden skok przez kanał La Manche. To był przecież środek niemieckiej Europy! Jednak osobisty rozkaz premiera to nie przelewki. Posłaliśmy wytyczne do cichociemnych, by przygotowali plan akcji. Błyskawicznie przysłała odpowiedź, że zajęła się tym już grupa Rata i nasi zostali odsunięci od dalszych działań...

– Zajęli się wydostaniem Greya z Polski? – Carson upewniał się, że dobrze rozumie. – Ambitni! I co dalej? – niecierpliwiał się.

– No właśnie. Zaległa cisza – rzekł tajemniczo Gibbons. – Lord Grey przeżywał katusze. Churchill się wściekł i żądał od SOE i cichociemnych działania i rezultatów, ale odbijali się od grupy, która uratowała młodego Greya. Usłyszeli tylko, że wszystko idzie zgodnie z planem, a Ratz zniknął im z oczu. Nie mogli przecież użyć siły wobec tych ludzi, bo to nie mieściło się w ramach naszego postępowania, a poza tym nie było wiadomo, kto z takiej rozgrywki wyszedłby zwycięsko...

– Per saldo chyba tylko Niemcy – zauważył Carson.

– Z ust pan mi to wyjął! – odpowiedział Anglik, po raz kolejny

mile zaskoczony inteligencją swojego interlokutora. – W lutym czterdziestego czwartego roku Ratz i młody Grey zapukali do naszego konsulatu w Lizbonie. Kilkanaście dni później byli już w Londynie, bo premier kazał po nich posłać specjalny samolot. Wtedy Portugalczycy wiedzieli, w jakim kierunku zmierza wojna, i nie czynili trudności. Wręcz odwrotnie. A Ratz stał się bohaterem.

– No, wyobrażam sobie... – rzucił Carson, zaskoczony niespodziewanym zwrotem w opowieści.

– Młody Grey był do niego przywiązany jak pies i traktował jak starszego brata, choć Ratz był młodszy. Stary Grey traktował Polaka jak syna. Przedstawił go Churchillowi i członkom rodziny królewskiej, bo to był czas wojny i bohaterów darzyło się najwyższym szacunkiem. Ale proszę sobie wyobrazić, że Ratz chciał wracać do okupowanej Polski, bić się! Churchill kazał go więc przyprowadzić do siebie i rozmawiali przez pół godziny. Polak wyszedł z tego spotkania jako inny człowiek. Premier polecił załatwić mu obywatelstwo brytyjskie i nadać wysokie odznaczenie. Następnie kazał przydzielić do mojej jednostki komandosów. Uważał, że jeżeli Ratz potrafił przeprowadzić młodego Greya przez całą Europę okupowaną przez Hunów, jak nazywał Niemców, to musi wiedzieć i umieć coś, co może nam się przydać. W tym czasie pełną parą szły już przygotowania do lądowania w Normandii. Churchill wysoko cenił umiejętności działania na tyłach Hunów. Tak poznałem Jana Rata. To był urodzony konspirator i żołnierz, a może raczej zabijaka. Rocznik dwudziesty piąty. Gdy wybuchła wojna, miał czternaście lat. Pierwszego człowieka zabił, mając piętnaście. Kiedy trafił do moich komandosów, zabijał już od czterech lat: bronią palną, nożem, siekierą, gołymi rękami. Ktoś go bardzo metodycznie przeszkolił. Nerwy ze stali, żadnej litości. Służył więc ze mną na tyłach sił niemieckich przed inwazją z czerwca czterdziestego czwartego i po wylądowaniu we Francji. W Polsce podczas okupacji nauczył się niemieckiego. Na tyłach Wehrmachtu działaliśmy w niemieckich mundurach. Ratz upodobał sobie mundur SS-Hauptsturmführera, kapitana. Zdjął go z Niemca, którego udusił gołymi rękami, aby nie poplamieć munduru krwią! Był szpicą naszej grupy. Bez wahania wchodził wszędzie i podejmował się każdego

zadania. Gdy braliśmy jeńców, Ratz potrafił wyciągnąć z nich każdą informację. Moi komandosi to był kwiat armii brytyjskiej, najlepsi z najlepszych i najtwardsi z najtwardszych, ale niejeden z nich wymiotował, gdy patrzył, jak Ratz przesłuchuje Niemców lub kolaborantów. Zawsze wiedziałem, że wojna i okupacja w Polsce była bardzo brutalna, ale to, co potrafił Ratz, i to, o czym opowiadał, przechodziło moje najśmielsze wyobrażenia. Nie chciałem nawet myśleć, co robili i co potrafili ci, którzy wyszkolili Ratza. Działania przed inwazją i po niej na tyłach wroga zaliczyliśmy wzorowo. W komandosach Ratz jakby znalazł nowe powołanie. Po wojnie służyliśmy dalej, walcząc na Malajach i w Grecji z partyzantką komunistyczną. Ratzowi było wszystko jedno, czy zabijał Niemców, Greków, Azjatów, komunistów czy buddystów. Na Malajach wyrwał moją grupę z zasadzki, w którą wpadliśmy, bo na czas przesłuchał jeńca, a ci malajscy komuniści to byli niezwykle twardzi przeciwnicy. Ratz wydusił z drania lokalizację zasadzki, żeby odsiecz wiedziała, gdzie trafić. Przełożeni, i ja także, wystąpiliśmy o Victoria Cross dla niego, lord Grey dopilnował, aby go dostał. W czterdziestym ósmym roku Ratz i ja przestaliśmy wojować. Odpoczywaliśmy po trudach wojennych. Ratz miał z czego żyć, a lord Grey i jego syn wprowadzili go do najlepszego towarzystwa i postarali się, aby został przez nie zaakceptowany. Nie mógł się co prawda poszczycić pochodzeniem, ale nobilitowała go nadludzka odwaga i czyny wojenne, a wtedy to się liczyło najbardziej. Nieźle balowaliśmy w tamtych latach. Po wojnie każdy z nas chciał żyć podwójnie, aby nadrobić czas stracony na froncie. Ratz poznał dziewczynę, Polkę ze starej emigracji. Sierotę. Nie wiem, czy naprawdę tak planował, ale ożenił się z nią, gdy zaszła w ciążę. Urodził im się syn. Wykapany Jan. Ja wtedy przeszedłem na dobre do MI6. Rozkręcała się zimna wojna, a nowym głównym przeciwnikiem stał się Związek Radziecki i reżimy komunistyczne Europy Wschodniej. Priorytetem naszym i świeżo założonej CIA stała się agenturalna infiltracja struktur przeciwnika. Każdy kanał przerzutowy za żelazną kurtynę był na wagę złota. I nagle Ratz dotknęło nieszczęście: w wypadku samochodowym zginęła jego żona. Został sam z rocznym dzieckiem. Bardzo przeżył tę śmierć.

Ale dwa tygodnie później zgłosił się do mnie, bo doskonale wiedział, że pracuję w wywiadzie. Zaproponował, że odświeży stare kontakty w Polsce i zbuduje kanały przerzutowe. Chciał być znowu w akcji, aby zapomnieć o śmierci żony. Miałem dylemat. Ratz, mimo młodego wieku, był już kimś w brytyjskim establishmencie, oficerem i obywatelem Imperium. Nie mogłem go po prostu, ot tak, wysłać za żelazną kurtynę do Polski, a tylko w ten sposób mogłem uruchomić dawne mechanizmy. Odmówiłem. Zażartował w typowo angielskim stylu, że poskarży się lordowi Greyowi. Ale wiedziałem, że tak naprawdę to wcale nie żartuje. Poszliśmy więc do niego we dwóch. Lord Grey przyjął nas w swoim biurze w pałacu Buckingham.

– Niesamowite – wykrztusił z siebie Carson, który słuchał słów sir Jamesa jak zaklęty. – Z okupowanej Polski do pałacu Buckingham.

Dalszą rozmowę przerwało delikatne pukanie do drzwi. Wszedł majordomus.

– Podano kolację, sir – oznajmił, zwracając się do Gibbonsa tonem uprzejmym, ale nie uniżonym.

– Chodźmy się posilić, panie Carson. Henderson jest władcą absolutnym w tym zameczku. Nie mogę sobie pozwolić, aby mu podpaść, bo więcej mnie tu nie zaprosi i nie wpuści. Czyż nie tak, drogi Hendersonie? – przekomarzał się Gibbons.

Przeszli do jadalni i zasiedli do stołu.

– Sir, jest pan bohaterem wojennym i ma tu wyjątkowe prawa, bo należy do ginącej rasy – odparł Henderson i Carsonowi wydało się, że zaraz zasalutuje. – Pozwolą panowie, że przedstawię menu. Czarny kawior z Iranu na grzankach z odrobiną masła śmietankowego i szampan, chyba że wolą panowie, w stylu carskiej Rosji, zimną wódkę. Następnie kraby z Maine w koktajlu ze śmietany i jogurtu z krewetkami. Jako danie główne do wyboru sola w sosie śmietankowo-cytrynowym lub polędwica a la Wellington. Wina według panów wyboru. Piwniczka jest porządnie zaopatrzona. Najstarsze roczniki jeszcze z końca ubiegłego wieku. Na deser sery, owoce i porto. Też zacnego rocznika, bardzo polecam.

– Akceptuje pan? – zapytał uprzejmie Gibbons.

– Tak jest! – odparł krótko i zdecydowanie Amerykanin, bo poczuł nagły przypływ apetytu.

Po przystawkach i zaspokojeniu pierwszego głodu sir James kontynuował opowiadanie.

– Gdy lord Grey usłyszał, że Ratz ma realizować zadania wywiadowcze w komunistycznej Polsce, to w pierwszej chwili zaniemówił. Myślałem, że nas wyrzuci z gabinetu. Ale przekonaliśmy go, a raczej Ratz go przekonał. Rozmawiali jak oficer z oficerem i Grey nie mógł mu zakazać służby na rzecz Jej Królewskiej Mości. Mając błogosławieństwo lorda Greya, co prawda nieco wymuszone, mogłem działać. Nasz wywiad miał jeszcze sprzed wojny dobre doświadczenia w wywiadowczej pracy operacyjnej z Polakami. Byli znakomici na Wschodzie i na Zachodzie. Mieli świetny wywiad wojskowy, Oddział Drugi Sztabu Generalnego. W końcu to oni pierwsi złamali niemieckie szyfry wojskowe, co służyło nam przez całą wojnę. Nasza centrala deszyfrażu w Bletchley Park udoskonalała jedynie ich osiągnięcia. Polacy zrobili to, co wy z szyfrem japońskim przed Pearl Harbor.

– Nie wiedziałem – odparł Carson.

– Niewiele osób wie. Po wojnie Polska stała się, niestety, naszym wrogiem, więc nikomu nie zależało, aby Polaków dowartościowywać. Jeden rząd był w Warszawie, a drugi, emigracyjny, w Londynie. Uznawaliśmy ten w Warszawie, bo Polska była jednym z pierwszych sygnatariuszy Karty Narodów Zjednoczonych, i w końcu zaakceptowaliśmy fakt, że znajdzie się w strefie wpływów Stalina. Ale staraliśmy się ją infiltrować, wykorzystując możliwości rządu londyńskiego. Nie skończyło się to dobrze, bo wywiad w Warszawie przeniknął operacje prowadzone przez nas i Amerykanów. Nie doceniliśmy ich, o czym powiem później. Ale kontakty Ratz'a były unikatowe. Jego stara grupa z czasów wojny działała teraz jak przedsiębiorstwo. Wydawało się, że polegają nie na patriotyzmie czy ideologii, ale na pieniądzu, przepukstwie i strachu. A jeżeli ludzie z jego organizacji potrafili to, czego próbkę dał Ratz na tyłach wroga w Normandii i na Malajach, to bez trudu mogli napędzić stracha. Każdemu. Ale koniec końców

nie byli organizacją bojową walczącą o wyzwolenie Polski spod jarzma komunizmu, tylko koncernem przemysłowym, jak ustaliłem w swoim czasie. Pierwsza podróż Ratzka do Polski trwała miesiąc. Posługiwał się paszportem niemieckim i polskim. Oba podrobione po mistrzowsku. Na dowód, że był w Polsce, przywiózł zdjęcie na tle znanego hotelu w Warszawie z aktualną miejscową gazetą. Opisał układy w polskich służbach specjalnych ze szczegółami, o których nie mieliśmy pojęcia. Trzon kierownictwa stanowili Żydzi przysłani przez Stalina. Byli jakby jego zakładnikami w morzu Polaków. Niektóre dane potwierdzali Amerykanie. Ale najważniejszym osiągnięciem Ratzka był funkcjonujący kanał przerzutowy. Sięgał aż na Ukrainę. Nie było drugiego takiego! Mogliśmy wysyłać agentów i ściągać ich z powrotem, przemycać materiały wywiadowcze, zdobywać informacje. Na pewno miał pan w swej karierze agenta w obiekcie, więc rozumie pan, o czym mówię.

– Tak, sir, rozumiem doskonale. Penetrujemy mafię włoską – odrzekł Carson.

– Ratzk postawił, rzecz jasna, parę warunków: ścisła tajemnica, tylko on znał mechanizmy przerzutowe, żadnej współpracy z emigracją polską na Zachodzie. Uważał, że jest spenetrowana przez wywiad komunistyczny, i miał dużo racji. Warunki były logiczne. W końcu to on nadstawiał głowę. Ale my, Brytyjczycy, mamy wywiad o długich tradycjach i niejedno widzieliśmy. Moi przełożeni postanowili przeprowadzić kombinację sprawdzeniową i zweryfikować wiarygodność organizacji Ratzka. Nie to, że mu nie ufaliśmy. Ufaliśmy, wtedy. Ale to były nasze utarte procedury, które się sprawdzały przez dekady szpiegostwa. Kanał Ratzka był na tyle ważny, że szefowie zagrali *va banque*. Nasz wywiad miał w Moskwie od dziesięciu lat cennego agenta na obrzeżach Kremla. Nie zajmował on wysokiego stanowiska, ale służył w aprowizacji. Dowoził dygnitarzom żarcie i inne zaopatrzenie do domów, na ogół pod ich nieobecność. Kumał się z żonami i służbą. A że przystojny był chłop, to baby leciały do niego jak pszczołki do miodku. Wiedział wszystko o tych rodzinach: kto z kim, gdzie, kiedy, spodziewane awanse, wyjazdy, popadnięcie w niełaskę u Stalina. Nieraz udawało mu się sfotografować tajne dokumenty, nieopatrznie

zostawione na wierzchu w gabinetach bonzów. Jakieś dwa lata temu nawiązał romans z żoną jednego z szefów ich wywiadu wojskowego. Okazała się skarbnicą wiedzy. Mocno trzymała za mordę męża, który pragnąc jej zaimponować, meldował, co robi w pracy, a ona powtarzała to kochankowi, żeby z kolei na nim zrobić wrażenie. Piękny układ, nieraz ćwiczony przez MI6 na całym świecie.

– O tak! – żywo zareagował Carson. – Znam takie schematy z naszych działań w Ameryce Łacińskiej. Jak pan wie, do niedawna FBI miało monopol na operacje na tamtym terenie.

– Wiem. Nasz wywiad korzystał parę razy z owoców waszej pracy na południe od Rio Grande. Ale ad rem. Wszystko byłoby dobrze, gdyby kochanka naszego agenta nie stała się nagle irracjonalnie zazdrosna o młodziutką, niezwykle urodziwą służącą swojej przyjaciółki, której dom nasz człowiek też zaopatrywał. Nie wiem, do czego doszło z tą służącą, ale nasz agent został nagle odtrącony przez kochankę z GRU, która zrobiła mu karczemną awanturę. Na nic zdały się jego zaprzeczenia i wyznania wierności. Ale żeby go dobić, to obie panie – żona dygnitarza GRU i jej przyjaciółka, której rola w całej sprawie była, na mój nos, bardzo podejrzana – doniosły mężom, że widziały kierowcę myszkującego w ich gabinetach. Panowie znali i lubili naszego chłopaka, bo dostarczał im a to wyszukane alkohole, a to czasem jakąś dziewczynę na męski wieczór, więc na początku lekceważyli sprawę. Ale harpie nie odpuszczały i zrobiło się groźnie, bo w pewnym momencie obaj dygnitarze musieliby zareagować, i to raczej na niekorzyść naszego agenta.

– Od miłości do nienawiści jeden krok – zauważył Carson. – Obstawiam, że to zawistna przyjaciółeczka uknuła tę intrygę.

– Zgadł pan. Agent potwierdził później, że bezskutecznie próbowała dobierać mu się do rozporka. Zaistniała konieczność natychmiastowej ewakuacji człowieka. Z tygodnia na tydzień. Zapytałem Ratzę, czy podejmie się zadania. Był rok pięćdziesiąty pierwszy. Odpowiedział, że tak, jeżeli nasz człowiek dotrze do Kijowa, bo dalej jego organizacja nie sięgała. Chłopak się stawił i Ratz wyprowadził go do Triestu, skąd ich przejęliśmy. Uwiarygodnił swój kanał, bo siebie nie musiał. Gdyby jego organizacja była

przykrywką dla polskiego wywiadu, to nie odważyliby się ewakuować brytyjskiego agenta z Kremla. Tak przynajmniej rozmawialiśmy. A oni po prostu kazali sobie słono zapłacić. Jednak aresztowanie naszego człowieka w Moskwie kosztowałyby bez porównania więcej.

– To Ratz spisał się na medal. Działał dalej?

– Tak. Ale zaraz po tej operacji przemycił z Polski na Zachód i przywiózł do Londynu piękną Inez. Jej rodzina wywodziła się z hiszpańskich Żydów z Sewilli. Byli *conversos*, czyli przeszli na katolicyzm. Ale inkwizycja wszystkich ich zawsze posądzała o potajemne praktyki judaistyczne, więc w Hiszpanii tamtych czasów i tak nie mieli życia. W siedemnastym wieku uciekli do Polski, która wtedy słynęła z tolerancji religijnej i dokąd od kilkuset lat uciekali Żydzi prześladowani w Europie... w Anglii też, notabene. Ratz bez trudu załatwił dla niej w Londynie niezbędne formalności związane z obywatelstwem brytyjskim i paszportem, w czym miałem oczywiście swój skromny udział. Zamieszkali razem i Inez wkrótce urodziła synka. Chyba była już w ciąży, gdy przyjechała do Londynu. Szelma z tego Racza, myśleliśmy. Działał dalej, ale już nie tak aktywnie. Bardzo troszczył się o Inez i o dwójkę, już, chłopców.

– Więc co się stało? Skąd ta inwigilacja? – dopytywał się zaintrygowany Carson.

– No właśnie. – Gibbons posłużył się swoim ulubionym zwrotem i ciągnął opowieść: – W sierpniu pięćdziesiątego piątego roku premierem polskiego rządu w Londynie był Hugon Hanke, znany działacz polityczny. W tymże miesiącu wyjechał z oficjalną wizytą do Rzymu, o ile się nie mylę. Ni stąd, ni zowąd znalazł się w Wiedniu. Nie wiadomo jak i dlaczego. Wtedy ze stolicy Austrii wycofywały się wojska sowieckie. Ktoś przeprowadził Hankego do willi w ewakuowanym sektorze sowieckim, gdzie czekał na niego oficer polskiego wywiadu, oczywiście tego reżimowego, i szef protokołu dyplomatycznego warszawskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Natychmiast odlecieli specjalnym samolotem do Warszawy. Czy wyobraża pan sobie, Carson, co się działo w Londynie, gdy premier polskiego rządu na uchodźstwie wylądował w Warszawie i powiedział na konferencji prasowej, że przejrzał na

oczy, więc wrócił do ojczyzny?

– Myślę, że zaczęło się polowanie na czarownice... – ostrożnie zasugerował Carson, pomny tego, co niedawno działo się na jego własnym podwórku za sprawą senatora McCarthy'ego.

– Oględnie mówiąc. To była nasza porażka i niebywały skandal. W okamgnieniu całe polskie środowisko emigracyjne stało się podejrzanym, bo premier Hanke musiał przecież współpracować jakiś czas z reżimowymi Polakami, gdyż taki powrót wymaga niebagatelnych przygotowań.

– A Ratz? Co on miał z tym wspólnego?

– Zdawałoby się, że nic. On zawsze trzymał się z dala od struktur emigracyjnych, bo, jak twierdził, im nie ufał.

Sprawa Hankego wydawała się ten brak zaufania potwierdzać.

– Znał Hankego? – zapytał Carson.

– Mogli się spotykać na przyjęciach wyższych sfer, bo przecież Ratz należał do towarzystwa, ale nigdy nie odnotowałem, aby byli w jakiegokolwiek komitywie.

– Dostaliście jakiś cynk z Warszawy? – profesjonalnie wtrącił nagle Carson.

– No właśnie. Godna pochwały przenikliwość. Brawo! – Gibbons z uznaniem spojrział na Carsona. – Z Moskwy. Jakiś partyjny idiota z Warszawy po pierwszym pół litra zwierzył się właściwej, z naszego punktu widzenia, osobie, że w ucieczce premiera Hankego pomagał ktoś z MI6. Pomyśleliśmy oczywiście, że to pokłosie sprawy Philby'ego, ale mimo to sprawdziliśmy mnóstwo rzeczy. W czasie podróży Hankego z Londynu do Rzymu, a następnie do Wiednia i Warszawy, Ratz wypełniał kolejną misję gdzieś w Niemczech. Ale zgadzały się wszystkie pieczątki w niemieckim paszporcie, z którym się poruszał, i w ogóle był poza podejrzeniami, bo przecież z emigracją polską nigdy nie chciał mieć nic wspólnego i był w zasadzie już jednym z nas. W uznaniu zasług wojennych i wywiadowczych lord Grey rozpoczął starania o nadanie mu tytułu szlacheckiego i mógł liczyć na przychyłność dworu. Gdyby nie ten wypadek w Nowym Jorku, to za pół roku do prostego chłopaka z Polski wszyscy zwracaliby się „sir”.

Carson nic nie powiedział, ale ze smutkiem pokiwał głową. Zawsze go fascynowała i przerażała kruchość ludzkiego istnienia.

– I tak Ratz żyłby jak książę z bajki z piękną Inez i synami – kontynuował Gibbons – którymi opiekował się w godny naśladowania sposób. Miałem niekiedy wrażenie, że postawił tę kobietę na piedestale. Nigdy nie podniósł na nią głosu, nie obściskiwał publicznie, jakby była z miśnieńskiej porcelany. Dzieło sztuki do podziwiania, a nie dotykania...

– I co?

– Pod koniec pięćdziesiątego piątego roku urządziłem dla moich komandosów przyjęcie w okrągłą rocznicę zakończenia wojny. Zna pan takie spotkania: dużo jedzenia, jeszcze więcej alkoholu i wspomnień. Ratz nie mógł wziąć udziału, bo ściągał kolejnego ważnego dla nas uciekiniera zza żelaznej kurtyny. Ludzie pytali o niego, bo go lubili i podziwiali. I wtedy jeden z moich malajczyków, sierżant Phelps, teraz instruktor SAS, wspomniał, że ostatnio widział Rata w sierpniu w Rzymie, gdy był tam na dłuższej robocie. Mignął mu w taksówce na Piazza del Popolo, więc nie mógł z nim pogadać. Wiesz, Carson, że w mózgach takich starych szpiegów jak ty i ja są czerwone żarówki, które zapalają się pod wpływem niewinnego bodźca. I wtedy w moim mózgu zapaliła się właśnie taka żarówka.

Carson ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Następnego dnia – kontynuował sir James – poprosiłem sierżanta Phelpsa o rozmowę. Ratz mignął mu w Rzymie dokładnie w czasie, kiedy zniknął stamtąd premier Hanke. A przecież był wtedy w Niemczech, a w każdym razie miał tam być. Hotel Excelsior, w którym zatrzymał się Hanke, znajduje się nieopodal Piazza del Popolo. Wiedziałem, że dla Rata przerzucenie Hankego z Rzymu do Wiednia i dopilnowanie, aby się nie rozmyślił w kwestii powrotu do Warszawy, to była pestka. Ale oznaczałoby to, że Ratz i jego organizacja działali na zlecenie polskiego wywiadu. Konsekwencje dla MI6 byłyby straszne. Ratz wiedział o bardzo wielu naszych operacjach, a jeszcze więcej o brytyjskim establishmencie. Po aferach wywiadowczych Macleana, Burgessa i Philby’ego byłaby to prawdziwa katastrofa. Podziękowałem sierżantowi, nie wyjaśniając, o co chodzi. Natychmiast zameldowałem się u lorda

Greya. Przyjął moje rewelacje nadzwyczaj spokojnie, choć, prawdę mówiąc, spodziewałem się burzy. Wyjaśnił mi, że zawsze wiedział, iż prędzej czy później życiowe sukcesy Ratza ściągną na niego jakieś fałszywe i bezpodstawne oskarżenia. Ale żeby oskarżać go o współpracę z komunistami? Nie miał do mnie pretensji, bo wiedział, że wykonuję jedynie swoją pracę, i znał moje przyjacielskie nastawienie do Ratza. Wyjaśnił, że toczące się od paru lat dochodzenie w sprawie ewentualnych związków Kima Philby'ego z wywiadem radzieckim zabrnęło w ślepią uliczkę, a zarzuty pod jego adresem wydają się nie trzymać kupy. Nie jest to zatem najlepszy czas na rzucanie niepopartych dowodami oskarżeń o współpracę z kolejnym wywiadem zza żelaznej kurtyny. Ale ponieważ lord Grey był dżentelmenem bez skazy, zaproponował konfrontację sierżanta Phelps'a z Ratzem w naszej obecności. Zaaranżował wszystko w swoim gabinecie w pałacu Buckingham, żartując, że przecież nikt nie śmiałby skłamać w tak szacownym miejscu. Absolutnie nie miał żadnych wątpliwości co do Ratza!

Zbyt wiele mu zawdzięczał – pomyślał Carson.

– Phelpsowi powiedziałem, że idzie na spotkanie z lordem Greyem, który oceni, czy ma szansę wejść w skład ochrony Jej Królewskiej Mości. Sierżant zjawił się w pałacu ostatni. Bardzo ucieszył się na widok Ratza, którego lord zaprosił po prostu na herbatę. Nawiązałem do tego, że się dawno nie widzieli... poza owym epizodem w Rzymie. Ratz bez emocji sprostował, że to niemożliwe, bo w dniach, o których wspomina sierżant, on był akurat w Niemczech. W Rzymie, owszem, przebywał, ale tydzień czy dwa później. Aby uniknąć nieporozumień, wyjął swój brytyjski paszport, w którym widniały stosowne pieczętki włoskiej kontroli granicznej. Wszystko to odbywało się w miłej, przyjacielskiej atmosferze. Phelps był jednak niezwykle bystry i chyba zorientował się, że sprawa ma jakieś drugie dno. Pojęcia nie mam, czy wiedział, że się nie myli. Ale wiedział na pewno, że gdyby nie Ratz, nie siedziałby teraz w pałacu Buckingham i nie raczył się herbatą. Kiedy razem wpadliśmy w zasadzkę na Malajach, był ranny w udo i nie miał najmniejszej szansy na przeżycie. Mógł rozerwać się granatem, bo brakło mu nawet siły, by pociągnąć za spust pistoletu, albo wpaść w

ręce partyzantów, a wtedy umierałby przez trzy dni na torturach. Wolał nie myśleć, co by go czekało, gdyby Ratz nie przybył z odsieczą. Skoro więc Ratz mówił, że mignął mu w Rzymie tydzień później, to tak właśnie było. Zresztą w komandosach nie ma gorszej rzeczy niż donieść na kolegę. Teoretycznie nikt nie skłamał. Tak jak zakładał lord Grey. Bo jakże to... w pałacu Buckingham?! Dla lorda Greya sprawa była załatwiona. Uznał też, że sierżant Phelps będzie znakomitym nabytkiem dla ochrony pary królewskiej. Ratz nigdy nie wrócił do tematu i nasze wzajemne relacje nie uległy najmniejszej zmianie. Ale sprawa nie dawała mi spokoju. Jeżeli to był polski wywiad i pomyśleli nawet o pieczętce z Rzymu dla Ratza, to byli do bólu profesjonalni. Ale w takim wypadku nie mogłem pozwolić, aby chłopcy z polskiej wsi rolowali brytyjski wywiad. Nie zamknąłem więc sprawy i poinformowałem o tym lorda Greya. Był rozbawiony moim podejrzliwym uporem, ale życzył powodzenia. Ratz zrealizował jeszcze dwie czy trzy operacje na Wschodzie, w tym jedną dla Amerykanów. Byli zachwyceni. Coraz więcej czasu poświęcał jednak dzieciom i Inez. A ja czekałem na jakiś przełom w sprawie i sam zaczynałem wątpić w swoje podejrzania. Niedawno lord Grey poinformował mnie, że stara się o nobilitację Ratza i albo moje dochodzenie da rezultaty, albo złożę sprawę do archiwum. Chciał mieć jasną sytuację, bo takie były procedury przy staraniach o nadanie tytułu szlacheckiego. I wtedy wyszła sprawa wyjazdu Inez i Ratza do Stanów Zjednoczonych. Ratz nigdy tu nie był i ten kierunek go nie interesował. Śmiał się, że chce obkupić Inez na Piątej Alei. Synów zostawili z opiekunką, uciekinierką z Polski. Uzgodniłem więc z lordem Greyem, że obejmiemy naszą parę w Ameryce ścisłą obserwacją. Jeżeli nie wykaże ona niczego niepokojącego, to zamknę dochodzenie i uznam, że Ratz jest czysty jak łąza, a wszystkie moje podejrzania były bezpodstawne. Lord Grey zgodził się oczywiście, bo był pewny, że negatywny wynik obserwacji u was będzie stanowił znakomite uzasadnienie dla odłożenia sprawy ad acta.

– Samo życie złożyło sprawę ad acta, a tych młodych do grobu. Smutna historia. Biedne sieroty. Co będzie z chłopcami? – zapytał Carson.

– Lord Grey ich uwielbia, więc wyprowadzi na ludzi, ale czy

sprawa jest skończona, to się okaże – odpowiedział Gibbons. – Wiem, że Ratz i Inez przebywali tu cały tydzień, a obserwacja nic nie wykazała, więc teoretycznie byli czysti. Ale jeżeli Ratz miał związki z polskim wywiadem, to oni nie zostawią tak tej sprawy. Nie mogą. Nie zabijamy się przecież nawzajem. Takie są zasady i wszyscy dbają, aby ich nie łamać. Muszą więc wyjaśnić, co się stało. Może wyjdzie im na koniec, że oni też muszą kogoś zabić. Dlatego ma pan do odegrania potencjalnie ogromną rolę, bo odpowiedzi będą szukać tutaj, a w następnej kolejności w Londynie.

– Nie mówiłem panu tego wcześniej, ale ten żółtodziób, który prowadził śmieciarkę, to syn mojego przyjaciela, też agenta FBI. Dlatego nie mam wątpliwości, że to nieszczęśliwy wypadek. Ojciec z nim już rozmawiał i mam wstępną relację. Kretyńska brawura i głupota.

– Może uda mi się przekonać o tym lorda Greya, ale kto przekona polski wywiad? Zresztą nawet jeżeli Polacy w tym nie siedzą, to jest grupa ludzi, dla których Ratz był ważny. Z wielu powodów. Być może ta kobieta również. A mam podstawy sądzić, że są to ludzie przebiegli, sprawni i bezwzględni. Ratz mówił, że w razie czego oni nas znajdą i będziemy wiedzieli, że to oni...

– Zabrzmiało to jak werset z Apokalipsy o jeźdźcu na białym koniu, któremu na imię Śmierć – odezwał się Carson.

– Oby nie – odrzekł w zamyśleniu Gibbons, ale szybko otrząsnął się z zadumy. – Proszę zintensyfikować śledztwo, gdyż lord Grey nie będzie cierpliwie czekał. Za parę dni będę musiał się z nim zmierzyć w Londynie.

Skończyli posiłek i wrócili do biblioteki na koniak i cygara.

*

Kilka godzin wcześniej tego samego dnia Gerard wylądował w Londynie i natychmiast udał się do portu w Dover.

Czekała tam już na niego Polka, opiekunka, z chłopcami Inez i Rata. Gerard znał tę kobietę z czasów wojny, bo kiedyś nie pozwolił jej zabić, a kilka lat temu pomógł Ratzowi wyekspediować ją z Europy Wschodniej do Wielkiej Brytanii. Była mu wierna i

posłuszna. W ciągu paru godzin cała czwórka zaokrętowała się na niemiecki węglowiec płynący do Hamburga – rodzinnego miasta Gerarda.

Gerard Kutze był Niemcem z dziada pradziada. Pochodził z ubogiej rodziny i wychował się w dżungli portowej dzielnicy St. Pauli. Od dziecka wiedział, że aby przeżyć, trzeba działać w stadzie i mieć jego wsparcie. Swoje stado znalazł w bojówce NSDAP, do której dołączył w wieku szesnastu lat. A że był wyrośnięty i port nauczył go skutecznie walczyć, szybko wyróżnił się w starciach ulicznych z bojówkami komunistów. Hamburg był miastem prawdziwie frontowym. W 1931 roku w walkach ulicznych w Niemczech zginęło ponad trzysta osób, z czego wiele właśnie w Hamburgu. W 1933 roku Gerard trafił do SS po tym, jak jego skuteczność na hamburskich ulicach zwróciła uwagę SS-Gruppenführera Seppa Dietricha. Twórca i szef gwardii przybocznej Adolfa Hitlera zawsze poszukiwał do swojej jednostki najlepszych ludzi, ponieważ wiedział, że wcześniej czy później czeka go rozprawa z SA Ernsta Röhma. W czerwcu 1934 roku Gerard wziął czynny udział w likwidacji SA i stał się zaufanym człowiekiem Dietricha.

Dietrich szybko awansował Kutzego, bo go lubił i cenił. W 1937 roku Gerard znalazł Niemkę swoich marzeń, wkrótce się ożenił i doczekał synów bliźniaków. Był szczęśliwy i syty. Wybuch wojny zmącił sielankę. Gerard jednak dobrze spisał się podczas kampanii w Polsce i awansował na SS-Obersturmbannführera – nie lada wyczyn jak na kogoś w jego wieku. Sepp Dietrich miał wobec Kutzego swoje plany. W okupowanej Polsce powierzył mu pieczę nad kolejowym węzłem jaworzańskim, kluczowym dla komunikacji ze Wschodem. „Ręczysz za jego bezpieczeństwo głową – oznajmił groźnie, a następnie konfidencjonalnie szepnął: – Od jego sprawnego i niezakłóconego funkcjonowania zależy marsz Rzeszy na Wschód, to priorytet Führera. Jeśli się spiszesz, to cię ozłoci”.

Słowa te – zwłaszcza wzmianka o ozłoceniu – zapadły Gerardowi w serce, więc stworzył małe imperium i władał nim niepodzielnie. Już na początku okupacji odkrył, że można zabić dowolnego Untermenscha – w każdej chwili, bez powodu, tłumaczenia i

wyroku. Ale ponieważ wychowały go port i stado, to doskonale wiedział, że wilki zagonione do rogu nie mają nic do stracenia i gryzą szczególnie zajadle; terror rodzi terror. Jego zadaniem była skuteczna ochrona węzła kolejowego, a ponieważ nie dało się zabić wszystkich Polaków w promieniu dwudziestu kilometrów – choćby dlatego, że byli niezbędni jako siła robocza – to należało kombinować. Doświadczenie podpowiadało mu, że tubylcami w jego małym imperium ktoś musi nieformalnie rządzić.

Tak dowiedział się o istnieniu organizacji przemytniczej Dominika. Już przed wojną miała opinię mocnej i zakorzenionej w całym regionie. Polski ruch oporu był tam jeszcze w powijakach i w porównaniu z grupą Dominika w ogóle się nie liczył.

Gerard postarał się, aby Dominik dostał od niego zaproszenie na rozmowę. Zaproszenie zostało przyjęte, bo instynkt podpowiadał przemytnikowi, że władający tym terenem Niemiec czegoś od niego potrzebuje. Czegoś, co tylko on może mu dać.

Spotkali się pewnej nocy w gabinecie Kutzego. Do siedziby SS przywiozła Dominika karetka więzienna, która przedtem zostawiła w centrum miasteczka pod opieką jego ludzi zastępcę Gerarda. Esesman odnotował z miłym zaskoczeniem, że jego gość znakomicie mówi po niemiecku. Ślżak – pomyślał. Propozycja Gerarda była prosta: SS i wszystkie podległe mu siły nie będą bezmyślnie mordować Polaków i siać terroru, pozwolą organizacji przemytniczej w miarę swobodnie działać i będą rekwirować tylko to co niezbędne. W zamian Dominik i jego ludzie dopilnują, aby nikt nie sabotował węzła kolejowego, którego strzegł Gerard.

– Dwóch moich siedzi w obozie pracy koło Jaworzna, potrzebni mi są – rzekł Dominik, żeby przetestować rozmówcę.

– Ma pan jaja, skoro stawia mi warunki w moim własnym gabinecie – odparł Gerard, lustrując z ciekawością swojego gościa.

– Pan wybaczy, panie pułkowniku, ale pan się myli. Ja pana nie testuję, ci ludzie są mi potrzebni do... – Dominik na sekundę zawiesił głos – pilnowania pańskiego węzła.

Gerard wybuchnął śmiechem. Nie spodziewał się takiego przejawu poczucia humoru. W jego gabinecie Polakom rzadko

zbierało się na żarty. Zyskał pewność, że ten człowiek dopilnuje jego węzła. Uścisnęli sobie ręce, ustalili zasady łączności i wypili po koniaku. Więźniarka odjechała z Dominikiem i wróciła z lekko wstawionym zastępcą Gerarda, którego gościnni przemytnicy uraczyli najprawdziwszą szkocką whisky i odprawili z butelką w drogę.

Porozumienie funkcjonowało – jak na warunki okupacyjne – w miarę sprawnie. Gerard zakazał niepotrzebnego zabijania Polaków, uzasadniając to koniecznością zachowania przy życiu potrzebnych robotników, a węzeł kolejowy działał bez zarzutu. Z czasem Dominik złożył Niemcowi propozycję współpracy. Gerard mógł bowiem bez ograniczeń korzystać z transportu kolejowego. W 1942 roku był już bardzo bogaty. Bez trudu wymigał się od kampanii w Rosji – w końcu tak skutecznie strzegł węzła, przez który teraz dniem i nocą szły transporty na Wschód, że żadnemu z jego przełożonych nie przyszło do głowy zdjąć go z tego newralgicznego stanowiska.

I wtedy zdarzyło się coś, co przypuszczalnie zaważyło na całym jego życiu.

W letni dzień tegoż 1942 roku, gdy Gerard stał w oknie swojego gabinetu na pierwszym piętrze i wyglądał na dziedziniec, jego uwagę przykuła ciężarówka niezdarnie manewrująca na dole. Najwidoczniej słabo wyszkolony kierowca nie umiał ustawić pojazdu tyłem do drzwi aresztu, przez które wprowadzano więźniów. Co gorsza, ciężarówka zaczęła się niebezpiecznie zbliżać do jego wypucowanego służbowego mercedesa. Zaraz ten kretyn pierdolnie swoją limuzynę – uświadomił sobie SS-Obersturmbannführer i rzucił się do wyjścia, w biegu chwytając czapkę. W kilka sekund znalazł się na podwórzu.

– *Halt!* – wrzasnął i podbiegł do ciężarówki.

Z szoferki wyjrzała zdziwiona i przestraszona twarz młodziutkiego kierowcy.

– *Raus!* Wysiadać! – ryknął Gerard, starając się nie stracić panowania nad sobą.

Młody żołnierz wyskoczył z kabiny i stanął na baczność przed

przełożonym. Pułkownik rzucił mu złe spojrzenie i obszedł ciężarówkę. Jej zderzak zatrzymał się o włos od przednich drzwi lśniącego mercedesa. Gerard wrócił do wyprężonego kierowcy.

– SS-Hauptscharführer Hilfers, do mnie – rozkazał, ale już znacznie spokojniejszym głosem.

Sierzant, który też z rosnącym niepokojem obserwował manewry ciężarówki, zjawił się natychmiast, stanął na baczność i zameldował się z wprawą, wysoko podnosząc rękę w przepisowym pozdrowieniu.

Gerard zaczął mówić już zupełnie opanowanym głosem. Niemal ojcowskim.

– Mój drogi Hilfers, powiedz mi, dlaczego chcesz pozbawić mnie limuzyny, dopuszczając tę namiastkę kierowcy – tu wskazał głową na trzęsącego się ze strachu żołnierza – do ciężarówki? Czy ja nie zasługuję na pojazd służbowy? Na zwykłego mercedesa bez przesadnego wyposażenia? Czy jestem dla was złym przełożonym? Męczę was nocnymi alarmami i marszobiegami w deszcz i mróz? No, powiedz szczerze, Hilfers. Za co tak mnie nie lubicie, że chcecie zniszczyć moje go mercedesa?

– Melduję posłusznie, panie Obersturmbannführer, że jest pan najlepszym przełożonym, jakiego my, nędznicy, moglibyśmy mieć, i zasługuje pan na znacznie lepszy samochód służbowy aniżeli ten marny mercedes – recytował jednym tchem podniesionym głosem SS-Hauptscharführer Hilfers. – Melduję też, że nie męczy pan nas alarmami i marszobiegami i jest dla nas jak ojciec, i dlatego pana szanujemy i kochamy. Pokazać, jak kochamy i szanujemy naszego pułkownika! *Sieg...*

Zgromadzeni na placu esesmani, do których zwrócił się sierżant, zgodnie odpowiedzieli trzykrotnie chórem: *Heil!*

Udobruchało to Gerarda, który nigdy nie pastwił się nad żołnierzami.

– Dajcie spocznij, Hilfers – polecił.

– Na mój rozkaz spocznij! – Sierzant wydał komendę stojącym na baczność żołnierzom zgromadzonym na dziedzińcu.

– A ty masz się nauczyć prowadzić tę cholerną ciężarówkę.

Zmykaj – rzekł Gerard do kierowcy, który natychmiast zniknął. W duchu dziękował Bogu, że udało mu się zatrzymać pojazd dwa centymetry od mercedesa pułkownika.

– Co tam macie pod plandeką? – zainteresował się SS-Obersturmbannführer.

– Melduję, że złapaliśmy gajowego i jego rodzinę, którzy ukrywali dwie Żydówki – odpowiedział sierżant, uśmiechając się pod nosem, i dodał znacznie ciszej: – Zakapował ich sąsiad. Kobiетки palce lizać...

– Wyprowadzić z pojazdu i ustawić w szeregu do inspekcji – zakomenderował Gerard, zaciekawiony.

Sierżant wydał rozkazy. Zatrzymanych ściągnięto z budy i ustawiono na dziedzińcu. Stali więc gajowy i jego żona, już dobrze po pięćdziesiątce, ich kilkunastoletnia wnuczka i dwie Żydówki, z których jedna musiała mieć około siedemnastu lat, druga jakieś dwa lata mniej. Wszystkie kobiety ubrane były w zwiewne, lekkie sukienki w kwiaty. Gajowy miał na sobie mundur i buty z cholewami. Nawet schludnie wyglądają – zauważył w myśli SS-Hauptscharführer Hilfers.

Ale wszyscy obecni na dziedzińcu patrzyli tylko na dwie Żydówki, zwłaszcza na starszą. Była przepiękna. Smukła, wysoka, o twarzy szlachetnej niczym u Nefretete, której popiersie Gerard widział kiedyś w jakimś albumie. Długie czarne włosy i wielkie ciemne oczy składały się na idealne piękno. Druga z Żydówek, młodsza i krótko ostrzyżona, była równie piękna, ale urodą dziką i buntowniczą, bez dostojności i szlachetności starszej. Były do siebie bardzo podobne.

Gerard spojrział na swoich podwładnych. Wszyscy bez wyjątku wpatrzeni byli w obie Żydówki. Podobnie zresztą jak jego żona Dagmara, która pojawiła się na dziedzińcu i również nie mogła oderwać wzroku od starszej dziewczyny. Co jest, do cholery? – pomyślał Gerard. Muszę ich rozgonić.

– Hilfers, każ się rozejść. Dostyc tego gapienia, wszyscy do swoich zajęć – wydał rozkaz, a gdy żołnierze zniknęli, podszedł do gajowego i stanął przed nim w rozkroku.

– Wiesz, że ukrywanie Żydów karane jest śmiercią całej rodziny? – zapytał retorycznie, gdyż wszyscy w Polsce już o tym wiedzieli.

– Tak, panie Obersturmbannführer, wiem – odparł cicho gajowy poprawną niemiecką.

– Znasz niemiecki, toś nie głupi. Po co więc je ukrywałeś? – zainteresował się nieco zdziwiony Gerard. – Dałbym ci nagrodę, gdybyś je odstawił.

– Tak wyszło, panie pułkowniku – odparł gajowy, ale bez nadmiernego strachu w głosie.

– Po co ci to było?! – skomentował Gerard i przeszedł do Żydówek. Stał przed nimi i spojrzał w oczy starszej. Widział w nich strach, ale nie desperację. – Imię! – zakomenderował.

– Mam na imię Inez – odparła melodyjnym głosem bardzo dobrym niemieckim.

Zaciekawilo to esesmana.

– Gdzie się nauczyłaś niemieckiego? – zapytał.

– W getcie – odparła.

– Uciekłaś?

– Nie. Zlikwidowano.

Gerard nie dopytywał się o szczegóły, gdyż wiedział, że jego podwładni i tak będą musieli przesłuchać Żydówki i sporządzić raport z zatrzymania.

– A druga jak ma na imię? – zapytał, nadal zwracając się do starszej.

– Dolores.

– Siostry? – zgađnął esesman.

– Tak – odpowiedziała po chwili.

– Hilfers, przygotować do zamknięcia w celach – rozkazał Gerard i nagle zorientował się, że tuż za nim stoi jego żona Dagmara.

Żona SS-Obersturmbannführera była bardzo religijną i dobrą osobą; wszyscy podwładni męża ją szanowali, gdyż potrafiła zadbać o ich interesy i wstawiała się za nimi u pułkownika. Była też urodziwa i miała wesołe usposobienie. Duże piersi oraz równie duża, ale nie tłusta pupa nadawały jej powab, jaki uwielbiają żołnierze. Ale

wojsko Gerarda miało za dużo respektu dla tej kobiety, aby zgrzeszyć choćby myślą.

– Słuchaj no, Gerard. Ta Inez jest piękna jak Madonna ze świętych obrazów – rzekła cicho do męża, aby nikt postronny nie słyszał. – Jeśli dobry Bóg daje komuś taką urodę, to nie po to, by człowiek podnosił rękę na dzieło Stwórcy, niszczył je i bezcześcił. A ja znam tych twoich nygusów. Już szepcą, że w nocy zabawią się z dziewczynami. Chciałam cię ostrzec i poprosić, żebyś im zabronił, bo Opatrzność nas pokarze za takie świętokradztwo.

Gerard nie był zbyt rygorystyczny w takich sprawach. Wolał, aby jego chłopcy zabawili się z więźniarkami niż na mieście, bo to zawsze bezpieczniej i pewniej. A nie miał wątpliwości, że jego ludzie już ostrzą sobie zęby, i to nie tylko na obie Żydówki, ale i na wnuczkę gajowego, chociaż jeszcze nie była w pełni kobietą. Dlatego prośba żony wprawiła go w zakłopotanie, gdyż nie chciał wyjść przed podwładnymi na pantoflarza. Wprawdzie nie słyszeli oni słów Dagmary, znali jednak jej dobre serce i mogli się domyślać, o co prosiła męża.

Zaczął kombinować, jak by tu znaleźć jakiś kompromis, gdy podszedł do niego SS-Sturmbannführer Konrad Priebe, jego prawa ręka. W imperium Gerarda odpowiadał za wywiad i kontrwywiad.

– Nasz granatowy łącznik szepnął mi, że gajowy to człowiek Dominika – rzekł na ucho przełożonemu.

Gerard, unosząc brwi, spojrzął znacząco na Priebe. Ów polski granatowy policjant, o którym właśnie była mowa, łącznik pomiędzy Gerardem a Dominikiem, o każdej porze dnia i nocy miał dostęp do esesmanów.

– Dlaczego granatowy sypie nam człowieka z siatki Dominika? – zaciekał się Gerard.

– Też mnie to zastanowiło, ale nie zdążyłem go zapytać – odpowiedział major SS.

– Z jakiegoś powodu uznał, że powinniśmy się natychmiast dowiedzieć, że gajowy jest od Dominika – analizował Gerard. – Jeżeli gajowy to jego człowiek, to Dominik wiedział, że ukrywa te dwie Żydówki. Jeżeli wiedział, to najwidoczniej na to pozwalał.

Pozwalał, bo musiało mu na tym zależeć i było to dla niego ważne. Jeżeli dobrze rozumię, panie majorze, to jakie wnioski się panu nasuwają? Z jakiego powodu nasz przyjaciel Dominik pozwalał na ukrywanie dwóch Żydówek?

– Melduję, panie SS-Obersturmbannführer, że moim zdaniem ten powód ma na imię Inez – z przekonaniem odpowiedział Konrad Priebe. – Starsza Żydówka może być jego, nazwijmy to elegancko, damą do towarzystwa...

– Ja też myślę, że nasz Dominik może ją po prostu pierdolić... – zaczął Gerard z właściwą sobie bezpośredniością, ale dalsze rozważania przerwał mu jakiś tumult wokół więźniów prowadzonych do aresztu.

Mocno popchnięta kolbą karabinu przez jednego z esesmanów starsza Żydówka prawie upadła, ale błyskawicznie podtrzymała ją młodsza siostra. Potem z całej siły odepchnęła żołnierza, który się zatoczył, co wywołało wesołość jego kolegów. Natychmiast jednak odzyskał równowagę i podniósł do góry karabin, by uderzyć dziewczynę. Ta zaś, nie bacząc na nic, zacisnęła pięści i przyjęła postawę obronną. Pewnie padłaby za chwilę na beton dziedzińca, zalewając się krwią, gdyby między nią a żołnierzem nie wyrosła nagle żona komendanta. Podniesiona broń zastygła w powietrzu. Sierżant Hilfers, widząc, co się dzieje, przystąpił do interwencji, ale uprzedził go przełożony.

– *Halt!* – Po raz drugi tego dnia SS-Obersturmbannführer ryknął ile tchu w płucach i zaczął strzelać komendami: – Opuścić broń! Bacność! Dagmara, do domu! Hilfers, do mnie biegiem, natychmiast!

Gerard wiedział doskonale, że interwencja żony wprowadziła niepotrzebne zamieszanie, w końcu bicie Żydów było na porządku dziennym. Ale tym razem dziękował Bogu, że Dagmara się wtrąciła. Jeżeli to są Żydówki Dominika, to lepiej, aby nic im się nie stało – pomyślał. Dlatego nie uznał za stosowne zrugać stojącego przed nim na bacność sierżanta Hilfersa. Wręcz odwrotnie.

– Spocznijcie, sierżancie – rzekł wyrozumiale i zagaił: – Harda ta młodsza Żydówka.

– Fakt, ma jaja, że się tak wyrażę – przyznał sierżant SS, który cenił odwagę. Nawet u Żydów. Spodziewał się wściekłej reakcji dowódcy i jego spokój go zaskoczył. Na pewno coś knuje – pomyślał. I nie pomylił się.

– Przyszedł mi do głowy pewien plan – wyjaśniał Gerard podwładnemu. – Dopóki go nie zrealizuję, odpowiadasz za tych więźniów osobiście. Każ ich zamknąć do jednej dużej celi. Postawisz podwójne strażę. Nikomu z więźniów nie może spaść nawet włos z głowy. Co ja mówię włos! Nawet pył z tego włoska. Czy wyrażam się jasno, Hilfers? Rozumiemy się?

– Tak jest, panie Obersturmbannführer – odpowiedział przepisowo sierżant SS.

– Dotyczy to zwłaszcza tej starszej Żydówki, Inez – ciągnął Gerard. – Powiesz ludziom, że jeżeli któryś jej dotknie, to upierdole mu tasakiem łapę po łokieć i postawię go przed plutonem egzekucyjnym. Odciętą łapę też każę rozstrzelać. Wszystko jasne, sierżancie?

– Jak słońce! – zameldował Hilfers. – Rozkazy pana pułkownika zawsze są jasne i zrozumiałe. Czy mogę się odmeldować w celu wykonania rozkazu?

– Tak jest. Wykonujcie! – odrzekł Gerard i uśmiechnął się do siebie, zadowolony ze swych zdolności dedukcyjnych. – Teraz, Konradzie, musimy tylko spokojnie czekać i zobaczymy, czy mieliśmy rację w kwestii Dominika i Żydówki.

– Obstawiam, że mieliśmy – odparł major SS.

Gdy sierżant Hilfers wykonał polecenie i umieścił rodzinę gajowego i dwie Żydówki w jednej celi pod wzmocnioną strażą, w areście zjawiła się Dagmara. Zawołała sierżanta i kazała otworzyć celę. Weszła do niej i postawiła na środku duży koszyk pełen jedzenia.

– *Bitte*. To dla was. – Nie mogła oderwać wzroku od twarzy Inez. – Pan Bóg nie pozwoli cię skrzywdzić, a ja mu pomogę.

Powiedziawszy to, wyszła.

– Niech Bóg was broni krzywdzić te kobiety – rzekła do sierżanta Hilfersa.

– *Jawohl.* – Żołnierz stuknął obcasami. – Pułkownik już wydał stosowne rozkazy. Nawet mysz nie wejdzie do celi.

*

Dominik zjawił się w siedzibie SS już następnej nocy, przywieziony jak zwykle więźniarką. Gerard czekał na niego w gabinecie, paląc cygaro i popijając koniak. Na stoliku przed biurkiem komendanta stała lampka koniaku dla gościa.

– Witam króla przemytników – rzekł jowialnie Gerard. Podał Dominikowi rękę i wskazał kieliszek. – Czemu zawdzięczam tę niespodziewaną wizytę?

Przemytnik napił się koniaku i usiadł przy stoliku. Z kieszeni skórzanej kurtki wyjął plik dolarów i położył przed sobą.

– Pięć tysięcy dolarów za rodzinę gajowego i dwie Żydówki – oznajmił bez zbędnych wstępów.

SS-Obersturmbannführer już miał na ustach sprośny żart, ale spojrzawszy na swojego gościa, w ostatniej chwili się powstrzymał. Patrzył na Dominika i widział przed sobą rozdrażnionego wilka, a za nim stado, które go wesprze. Nie zamierzał zapędzić go do narożnika dla jednej Żydówki. Nawet najpiękniejszej. Ten Polak zabezpieczał jego węzeł kolejowy, czyli spokojny byt jego i rodziny. Gerard zarobił też na współpracy z nim mnóstwo pieniędzy, a perspektywy wyglądały jeszcze lepiej.

– Przepuszczałem, że się zjawisz, gdy się dowiedziałem, że gajowy może być twoim człowiekiem – rzekł Gerard i odliczył trzy tysiące dolarów, a resztę położył przed Dominikiem. – Wystarczą trzy tysiące, tyle będę potrzebował, żeby opłacić milczenie moich ludzi.

Najbardziej zaufani podwładni Gerarda dorabiali się razem z nim na przemytniczym procederze i wiedzieliby natychmiast, że wyjście grupki więźniów na wolność zostało opłacone. Im więc też należała się dola. Dominik był niemal pewny, że bez trudu wykupi Inez i resztę, ale odliczenie tylko trzech tysięcy dolarów przez Niemca mocno go zaskoczyło. Wziął ze stolika pozostałe banknoty i schował do kieszeni.

– Nie znałem cię od tej strony, komendancie – rzekł i po raz pierwszy spojrzął na SS-Obersturmbannführera inaczej. Jak na człowieka. A może Gerardowi się zdawało?

– Może jestem nieco chciwy, ale nie jestem głupi i swój honor też mam – odparł esesman. – Jesteśmy współnikami w pewnym przedsięwzięciu, które przynosi zysk. Interes idzie dobrze, a może być jeszcze lepiej. Nie zamierzam w żaden sposób tego zmieniać. Przychodzisz do mnie z propozycją, a ja ją przyjmuję, gdyż jestem w stanie ją wykonać. Tak postępują współnicy. Sprawa załatwiona i nie ma o czym mówić. A tak z czystej ciekawości... skąd wzięłeś te Żydówki?

– Rodzice dali na przechowanie z getta – odrzekł przemytnik. – Z ich ojcem robiłem interesy przed wojną.

– Dobrze płaci za przechowanie? – zainteresował się Gerard.

– Już nie płaci, bo nie żyje. Matka też – odpowiedział Dominik.

SS-Obersturmbannführer nie pytał, jak zginęli. Domyślał się bowiem, że usłyszy, iż jego koledzy z SS rozprawili się z gettem lub jego częścią i rodzicami pięknych Żydówek. No cóż, wojna – pomyślał.

Dopili koniak, pożegnali się i przemytnik ruszył w stronę drzwi gabinetu. Zatrzymał się przy nich, odwrócił i zwyczajnie, po ludzku powiedział:

– Dziękuję. Nie zapomnę.

*

Tej nocy Dominik wywiózł z siedziby SS Inez i jej siostrę, a po kilku dniach Gerard kazał wypuścić gajowego, jego żonę i wnuczkę. Zawistny sąsiad nie zdziwił się powrotem gajowego i jego rodziny, gdyż już nie żył, żywcem zakopany w lesie na polecenie Dominika. Zrobił to Ratz, rozkoszując się każdą chwilą. Inez i jej siostra zostały ukryte w siedzibie szacownego zakonu żeńskiego, gdzie nikt niepożądany się nie zapuszczał. Gerard – w ramach budowy więzi z miejscową katolicką społecznością polską, co miało służyć ochronie jego węzła – zakazał swoim ludziom niepokojenia sióstr. I wszystko wróciło do normy.

Polska opiekunka dzieci Inez i Ratza, z którą podróżował teraz były SS-Obersturmbannführer, była wnuczką starego gajowego. Dla niej Gerard był dobrym esesmanem i jeszcze lepszym Niemcem, gdyż w czasie wojny mógł ich wszystkich zabić, ale nie zrobił tego. Dziewczyna nie roztrząsała, dlaczego tak się stało i co z tego miał. Żyła, bo nie pozwolił ich zabić.

6 maja

Statek przybił do nadbrzeża portu w Hamburgu o szóstej rano i cała czwórka powoli, bez pośpiechu zeszła na ląd. Pod sam trap podjechały dwa czarne mercedesy. Z pierwszego wysiadł postawny mężczyzna, szybko podszedł do Gerarda i wyprężony zameldował jak w wojsku:

– *Herr Oberst*, wszystkie formalności graniczne i celne załatwione. Granica otwarta, nie będzie pieczętek i śladu przyjazdu.

– Dziękuję, *Hilfers*. Mamy tylko bagaż podręczny z rzeczami chłopców i kobiety. Do kufra i w drogę. *Schnell*.

– *Jawohl*, panie Ober... – wyrwało się *Hilfersowi*, a ręka mimowolnie zaczęła się unosić do salut, ale w ostatniej chwili się opanował, zgaszony świdrującym wzrokiem byłego przełożonego.

Gerard wsiadł do pierwszego samochodu z przodu, a wnuczkę gajowego z chłopcami posadził z tyłu. Drugi samochód, z *Hilfersem* i trzema mężczyznami, ruszył za nimi. Kutze uśmiechnął się do siebie. Nareszcie w domu, w Hamburgu, w Niemczech. Tu czuł się panem.

Mimo denazyfikacji i całego gadania o rozprawieniu się z przeszłością on i niektórzy jego weterani z SS nauczyli się lawirować w nowych Niemczech i światowym ładzie powojennym, bo stali się znowu potrzebni w tej nowej, zimnej wojnie. Po śmierci Stalina Rosjanie zaczęli powoli wypuszczać z łagrów jeńców niemieckich – przynajmniej tych, którzy przeżyli. Ale nie z dobroci serca, rzecz jasna, lecz z wyrachowania. W obozach Rosjanie prowadzili masową akcję werbunkową wśród Niemców, w pełni świadomi, że tylko jednostki będą im rzeczywiście służyć, gdy w końcu znajdą się na wolności. Ale chodziło właśnie o to, aby każdy wypuszczony Niemiec mógł powiedzieć, że był werbowany. W ten sposób łatwiej było ukryć tych, którzy kontynuowali współpracę w Niemczech czy innym miejscu, gdziekolwiek się znaleźli. Wywiad radziecki po mistrzowsku przeprowadzał takie operacje, by ukryć swoje prawdziwe zamiary. W łagrach Rosjanie szczególną „troską” otaczali

esesmanów i w ich werbunek wkładali najwięcej wysiłku. Wiedzieli, że tylko niewielki ułamek członków czarnej gwardii Hitlera znalazł się w ich rękach. Reszta rozrzucona była po całym świecie i próbowała robić karierę w polityce, biznesie czy służbach specjalnych. Rosjanie zdawali sobie też doskonale sprawę, że w zasadzie każdy był esesman stara się zachować w tajemnicy przynależność do tej formacji. Bez trudu więc można ich było skłonić do współpracy szantażem. Zwerbowani przez wywiad radziecki byli esesmani, wypuszczeni w latach pięćdziesiątych z łagrów i związani na różne sposoby z nowymi zleceniodawcami, rozjechali się po świecie. Szukali byłych towarzyszy broni, którzy zajmowali stanowiska interesujące radziecki wywiad. Świat zachodni miał świadomość, że Rosjanie prowadzą takie operacje, ale świadomość a praktyczne przeciwdziałanie to dwie odmienne kwestie.

Dominik i Gerard byli praktykami zahartowanymi przez trudne lata okrutnej wojny i okres po jej zakończeniu.

– Dlaczego nie podłączyć się pod pomysł Rosjan – rzekł pewnego dnia Dominik do Gerarda – i nie stworzyć siatki twoich byłych kumpli? Są przecież na wszystkich kontynentach.

Wiedział jednak, że szantaż to środek na krótką metę. Przykuwa uwagę werbowanego do słów werbownika, ale rodzi złe emocje. Dlatego trzeba jak najszybciej związać ze sobą współpracownika w inny sposób – najlepiej materialnie – i przywrócić mu poczucie godności nadszarpnięte początkową koniecznością zastosowania nacisku. Dominik zresztą jako szef organizacji przemytniczej, w przeciwieństwie do większości wywiadów, zamierzał kaptować byłych esesmanów nie dla celów ideologicznych, tylko finansowych.

Gerard uznał pomysł za świetny. Wiedział, że wielu jego byłych kolegów w ogóle nie trzeba będzie werbować. Sami chętnie zwiążą się z organizacją, która da im wsparcie we wrogim świecie i możliwość zarobku. Po kilku latach mrówczej pracy obaj przemytnicy mogli poszczycić się obejmującą niemal cały świat siatką złożoną z byłych kolegów Gerarda. Działała ona na zdrowych, komercyjnych zasadach. Szczególnie dumni byli ze struktury funkcjonującej w Ameryce Południowej, skąd organizacja Dominika

zamierzała przemycać narkotyki do Europy via Stany Zjednoczone. Przerzut przez USA był co prawda skomplikowany, ale też bardzo opłacalny. Na tamtejszym rynku od ręki bowiem można było sprzedać połowę każdego transportu. Zarabiano się więc szybciej i bez ryzyka, a przy okazji oszczędzało na kosztach transportu do Europy, dokąd szła już tylko połowa każdego rzutu. Dlatego należało zebrać jak najpełniejsze informacje o amerykańskich zabezpieczeniach granicznych. Gerard wiedział, że Dominik rozpracowuje ten temat, ale nie znał szczegółów. Każdy wiedział tyle, ile musiał. *Need to know* – tak brzmiała zasada pracy wywiadowczej i przemytniczej.

Pomyślał o czekającej go rozmowie z Dominikiem. Przecież doskonale się orientował, kim dla niego była Inez. Z tych rozmyślań wyrwał go głos Hilfersa, który niedawno przesiadł się do samochodu Gerarda i zajął miejsce kierowcy.

– Przepraszam, *Herr Oberst*, ale dokąd jedziemy? Zaraz będzie rozwidlenie – zapytał, gdy znaleźli się daleko za rogatkami Hamburga.

– Jedź do Wiednia – odparł Gerard. To była miejscowość 20, do której Dominik kazał przywieźć chłopców: Andy ego, syna Ratza i zmarłej tragicznie Polki, oraz Maxa, syna swojego i Inez.

Gerard należał do bardzo niewielkiej grupy osób, które wiedziały, kim naprawdę jest drugi chłopiec. Odkąd Dominik wywiózł Inez z więzienia, byli nierozłączną parą. Dopóki trwała wojna, mógł ukrywać ją i jej siostrę w klasztorze na terenie, którym formalnie władał Gerard. Po wojnie Inez podążała tam, gdzie Dominik – do Polski, Niemiec, Austrii, Szwajcarii. Należała do jego organizacji przemytniczej i realizowała najróżniejsze zadania, niekiedy bardzo ryzykowne. Ale że była nad wyraz inteligentna i piękna, radziła sobie praktycznie w każdej sytuacji. Gdy jednak w 1951 roku zaszła w ciążę, Dominik powiedział: dość – koniec pracy operacyjnej, i kazał odesłać Inez do Londynu pod opiekę Ratza. Uznał bowiem, że kontynent europejski jest mały, a jego wrogowie liczni i znajdują bez trudu i jego, i tych, których kocha.

Na początku lat pięćdziesiątych Londyn wydawał się Dominikowi oazą spokoju, a pozycja, jaką wyrobił tam sobie Ratz,

zdawała się gwarantować całkowite bezpieczeństwo. Teraz, po śmierci Inez i Ratza, nie miał wyboru – musiał ściągnąć do siebie i syna przyjaciela, i swojego, aby ich przypadkiem nie stracić z pola widzenia na lata. Nie zamierzał tłumaczyć nawet najbardziej życzliwym angielskim przyjaciołom Inez i Ratza, ile ci chłopcy dla niego znaczą i dlaczego tylko on będzie się odtąd nimi opiekował.

Ale i sytuacja w Europie powoli się normalizowała; kontynent nie był już tak niebezpiecznym miejscem jak jeszcze kilka lat wcześniej. Zresztą przez te ostatnie lata ich organizacja tak urosła w siłę i okrzepła, że niewielu poważałoby się z nią zadzierać. Zwłaszcza z samym Dominikiem.

W pędzącym w stronę Wiednia samochodzie Gerard odwrócił się i spojrzał z uśmiechem na siedzących z tyłu chłopców. Max słodko spał. Mały Ratz z poważną miną lustrował przez szybę okolicę. Zauważywszy, że Gerard mu się przygląda, zwrócił twarz w jego stronę i pokazał mu język, a potem odwzajemnił uśmiech.

Będzie z ciebie ziółko, jak tatuś – pomyślał z satysfakcją były esesman. Najważniejsze, że jesteście w dobrych rękach. Dobrych jak dobrych – poprawił się natychmiast – ale na pewno bezpiecznych.

Odwrócił się i patrząc przed siebie, zaczął się zastanawiać, co Dominik powie swojemu chłopcu, gdy ten zacznie pytać o matkę. Nie był przy jego narodzinach w Londynie, nie wychowywał go. Widział go kilkanaście razy, gdy pod stosowną legendą wpadał do Londynu odwiedzić Inez lub gdy Ratz zabrał ją i dziecko na kontynent. Jan bardziej mógł być mu ojcem w tych rzadkich chwilach, gdy był w domu, wolny od rozlicznych misji i zajęć. Choć kiedy tylko mały zaczął mówić, Inez kazała mu zwracać się do Ratza „sir”, tak samo zresztą jak i małemu Ratzowi. Za to do Inez obaj chłopcy mówili „mamo”. Co Dominik powie Andy emu, gdy zacznie pytać o mamę i tatę? Żeby szlag trafił tych jankesów – pomyślał Gerard z furią. Ale Dominik coś wymyśli i poradzi sobie – doszedł do wniosku. Zawsze sobie radził!

– Jesteśmy w połowie drogi, *Herr Oberst* – zameldował Hilfers. – Malcy są zmęczeni, a dojeżdżamy do gospodarstwa jednego z naszych towarzyszy. Przenocuje nas wszystkich.

– Słusznie myślisz, Hilfers – pochwalił Gerard podwładnego. – Lepiej nie afiszować się w hotelach, bo lichy nie śpi. Realizować.

Samochody zjechały z głównej drogi i wnet stanęły przed dużymi i schludnymi budynkami gospodarczymi. Gerard kazał Hilfersowi wyjąć radiostację i nadać do Dominika kodowaną wiadomość, że wszystko idzie zgodnie z planem. Opiekunka natychmiast zabrała zasypiających na stojąco chłopców do wyznaczonego dla nich pokoju. Gospodarz – weteran Dywizji SS Leibstandarte, która w składzie armijnych grup marszałka Ericha von Mansteina walczyła też na froncie wschodnim – zaprosił gości do suto zastawionego stołu. Jedzenie było proste, smaczna wiejska kuchnia, za którą Gerard przepadał, a piwo z miejscowego browaru. Mężczyźni jedli i wspominali wojnę – czasy sławy i chwały swych formacji, ale też strachu i goryczy srogiego odwetu, jaki w końcu wróg ze Wschodu wziął za spalone miasta i wsie oraz pomordowanych i okaleczonych ludzi. Ale oni, którzy ocalili, też wyszli z tej wojny okaleczeni – jak weterani każdej wojny.

Po kolacji Gerard kazał przynieść z samochodu trzy butelki koniaku. Był przełożonym wymagającym i surowym, ale na podwładnych nigdy bez potrzeby nie podnosił głosu – bardzo rzadko miał taką potrzebę. Ludzie zawsze wykonywali jego rozkazy bez szemrania, bo Gerard wierzył w dyscyplinę opartą na dawaniu przykładu – także na pierwszej linii walki. Nie miał też zwyczaju wynoszenia się nad podwładnych i sztucznego odgradzania. Lubił i wiedział, kiedy i jak z nimi wypić, ale dla wszystkich było jasne, że nie ma to nic wspólnego z poluzowaniem dyscypliny. Gdy nalano koniak do kieliszków, Gerard wstał i w obliczu stojących na baczność byłych żołnierzy SS wzniósł toast, zawsze ten sam: „Za poległych!”

Następnego dnia, zanim ruszyli, zarządził mały mecz piłki nożnej na podwórku gościnnego gospodarstwa, aby chłopcy zażyli ruchu przed podróżą. Malcy radzili sobie całkiem nieźle, bo w końcu wychowali się w ojczyźnie futbolu. Nawet Polka piszcziała i klaskała w dłonie.

Gerard siedział na schodach domu, palił papierosa i popijał gruszkowego sznapsa. Świat nie zaprzestawał go zadziwiać. Oto syn

Polaka i Żydówki oraz syn pary Polaków grają w piłkę nożną z weteranami SS w środku Reichu. A pułkownik SS i Polka, której nie pozwolił zabić, kibicują. Ale chyba to lepsze, niż gdybyśmy mieli ich wszystkich rozwalić w jakiejś polskiej wsi, jak bywało – skonstatował. Tak, na pewno lepsze, i wspomnienia miłsze pozostaną.

Zarządził odjazd.

Przy pięknej majowej pogodzie ostatni etap podróży zleciał niepostrzeżenie. Siedzący z tyłu syn Inez, który wybiegał się i był z siebie dumny, bo strzelił drużynie przeciwników dwie bramki, patrzył z ciekawością na krajobraz za szybą. Od kilku dni przeżywał coś, co wydawało mu się wielką przygodą – bo i podróż statkiem, i samochodami, i nowe krajobrazy. Do tego ci mężczyźni, którzy traktowali go z szacunkiem. Uwielbiał swoją opiekunkę i lubił wujka Gerarda, którego nieraz widywał w Londynie i który zawsze znalazł trochę czasu, by z nim pogwarzyć. Ale tęsknił już za mamą i zastanawiał się, kiedy ją zobaczy. Może u celu podróży, chociaż nie był tego pewny, bo nikt nic o tym nie mówił. Dziwił się też, gdzie podział się Ratz, który zawsze mu towarzyszył w podróżach i za którym już nieco tęsknił. Postanowił być cierpliwy, gdyż tak go wychowano.

Drugi z chłopców, dwa lata starszy od Maxa, również się zastanawiał, dlaczego nie ma z nimi Inez i Rata. Ale bardziej analizował, niż tęsknił. Coś tu się nie zgadzało, bo nie pamiętał sytuacji, żeby nie było przy nich kogoś z ich dwojga. Musiało więc się stać coś nieprzewidzianego, i to raczej niedobrego. Potwierdzało to milczenie i wymijające, zdawkowe odpowiedzi opiekunki i Gerarda. Instykt podpowiadał mu, że stało się coś złego. Tak jak wtedy, gdy siedząc w szafie w sypialni Inez, dowiedział się z jej rozmowy z ojcem, że jego prawdziwa matka zginęła w wypadku samochodowym, gdy miał rok. Zresztą następnego dnia przy śniadaniu zapytał ich o to wprost – bo trudne sytuacje lubił wyjaśniać szybko i jednoznacznie – i powiedziano mu prawdę. Wtedy pokochał Inez jeszcze bardziej, ponieważ była dla niego jak najlepsza matka. Nigdy nie robiła żadnej różnicy między nim a swoim synem, a przecież nie musiała taka być – pomyślał. Czuł też jakąś dziwną

czułość wobec siebie i brata – bo tak zawsze traktował Maxa – emanującą z mężczyzn, którzy im towarzyszyli. A nie byli to zwykli mężczyźni. To byli żołnierze, bo z postury i odruchów przypominali ojca, a on był bohaterem wojennym. Wydawało się, że im współczuli – bo niby czemu, kiedy podczas gry w piłkę kopnął jednego z nich z całej siły w kostkę, ten uśmiechnął się jedynie boleśnie, zamiast mu przywalić, jak by się normalnie stało na angielskim boisku? Jeżeli współczuli, to może dlatego, że wiedzieli coś o zniknięciu Inez i Racza? Musiało się stać coś bardzo złego! Pomyślał o swojej tragicznie zmarłej prawdziwej matce i nastawił się na najgorsze.

Dojeżdżali do Wiednia. Podobnie jak Berlin Zachodni, Wiedeń po wojnie był mekką dla wszelkiej maści szpiegów, wywiadowców, przemytników i innych przedsiębiorczych ludzi, którzy żyli z robienia interesów na styku Wschodu i Zachodu. Zresztą od kilkuset lat miasto to tradycyjnie łączyło Azję i Europę, a wiedeńczycy byli do tego przyzwyczajeni.

Wszystkie wielkie wywiady – brytyjski, amerykański i radziecki – miały tu swoje rozbudowane struktury. Ale nie próżnowała też średnia liga – Francuzi, Włosi, Polacy, Węgrzy, Czesi, oba państwa niemieckie. Austriacy wiedzieli oczywiście, jaką rolę odgrywa ich piękna stolica, ale ponieważ i tak nie mogliby nad tą działalnością zapanować, a byli narodem praktycznym, więc przyjęli prostą i jedynie słuszną zasadę. Tolerowali wszystko, co nie wykraczało poza zdrowy rozsądek i ewidentnie nie obrażało ich poczucia suwerenności i godności narodowej. Wielka Trójka przyjęła te zasady i przestrzegała ich rygorystycznie, gdyż Wiedeń był niezwykle wygodnym, centralnie położonym i neutralnym miejscem działań operacyjnych. Jeżeli któryś z pomniejszych wywiadów tego nie rozumiał i naruszał reguły, to bywał dyscyplinowany przez wielkich, zanim zdążyli to zrobić gospodarze. W ciężkich czasach powojennych nie bez znaczenia było i to, że ta działalność świata równoległego przynosiła masę pieniędzy, które płynęły nad Dunaj wartkim strumieniem.

7 maja

Samochody kierowały się w okolice Schönbrunn. Tam, na obrzeżach miasta, Dominik urzędował w olbrzymim starym domu otoczonym kilkuhektarowym parkiem. Całość otaczał wysoki mur. Dzień i noc po terenie krążyły uzbrojone patrole z psami.

Jeden pojazd z obstawą zawrócił do centrum miasta, a samochód prowadzony przez Hilfersa zajechał około osiemnastej przed piękny pałacyk w stylu austriackiego baroku. Wokół wozu zaroilo się od ludzi. Dwudziestoletni mężczyzna otworzył Gerardowi drzwi i zameldował się, wyprężony na baczność.

– Melduję, *Herr Oberst*, ochronę obiektu. Zdarzeń nadzwyczajnych nie było. *Alles in Ordnung!*

Gerard powoli wysiadł i się przeciągnął.

– Spocznij, Werner – rzekł do postawnego młodego człowieka. Dobry obserwator zauważyłby, że chłopakowi brakuje koniuszka prawego ucha. – Synu, zadbaj, żeby służba zaopiekowała się Polką i chłopcami, gdy przywitamy się z Dominikiem. Mamy do pogadania i nikt nie ma prawa nam przeszkadzać. Zrozumiano?

– *Jawohl, Herr Oberst!* – odpowiedział syn Gerarda, nie zmieniając postawy zasadniczej.

Gerard wziął Maxa i Andy'ego za ręce i tak we trójkę weszli do pałacyku, którego barokowe wnętrze z elementami rokoko wprost olśniewało. *Theatrum mundi*, jak trafnie określił ten styl i epokę hiszpański poeta Calderon de la Barca, którego alegoryczną sztukę *Wielki teatr świata* Gerard kiedyś z nudów przeczytał i w lot pojął jej przesłanie – „życia jako gry”.

W holu czekał Dominik. Szczupły, wysoki i silnie zbudowany, miał około czterdziestki. Bardzo regularne rysy i prosty nos nadawały jego twarzy surowość. Blond włosy były krótko przystrzyżone. Czysty Aryjczyk – pomyślał Gerard, gdy zobaczył go po raz pierwszy w swoim gabinecie w okupowanej Polsce. Powtarzał to sobie, ilekroć go spotykał przez te wszystkie lata. Reichsführer Himmler by się nim zachwycał.

– Witaj, Gerardzie. Dziękuję, że tak szybko spełniłeś moją prośbę – rzekł Dominik na powitanie.

– *Befehl ist Befehl!* – zażartował Gerard. – Melduję wykonanie zadania, szefie.

– Ach, wy Niemcy – odparł Dominik bez cienia złośliwości i uściśnął przybysza. Nie zdarzało się to często, więc Niemiec wiedział, że to gest szczerzej wdzięczności.

Dominik podszedł do syna, schylił się i podał mu rękę.

– *Good afternoon, Max* – powitał go po angielsku, chociaż wiedział, że chłopiec świetnie zna polski, o co zadbała jego matka. Zapewniła mu też podstawy jidysz, mowy swoich przodków.

– *Good afternoon, sir* – odparł Max, podając rękę mężczyźnie, którego pamiętał z Londynu. Mama chyba go lubiła, bo gdy byli razem we trójkę, to się do niego przytulała. Budziło to w nim dziwne uczucie, którego do końca nie rozumiał, ale na wszelki wypadek podchodził do mamy i pytał: „Kochasz mnie?”. Brała go wtedy na kolana i mówiła: „Oboje bardzo cię kochamy”. Dzwonne uczucie natychmiast się ulatniało. Później zrozumiał, że to była zazdrość.

– To będzie twój nowy dom – powiedział Dominik. – Zobacz, jak tu ładnie. Odpocznij, a później cię oprowadzę.

– Tak, sir. Bardzo tu ładnie.

Rzeczywiście mu się podobało. Jak w tych wielkich pałacach, w których bywał z mamą i Janem w Londynie.

– Czy powie mi pan, kiedy przyjdzie mama? – wyrwało się Maxowi, który coraz bardziej za nią tęsknił.

– Mama jest w dalekiej podróży, bardzo cię kocha i zawsze jest z nami, bo przecież myślimy o niej cały czas. Prawda, Max? – Dominik wprawdzie nie zamierzał okłamywać syna, ale wiedział też, że chłopiec nie jest jeszcze gotowy na straszną prawdę. – A teraz odpoczniesz.

– Tak, sir, ja zawsze myślę o mamie! – zapewnił Max.

Następnie Dominik podszedł do syna swojego zabitego przyjaciela. Nie musiał się schylać, bo Andy był już o głowę wyższy od Maxa.

– *Good...* – zaczął Dominik.

– Dzień dobry, panie Dominiku – przerwał mu po polsku chłopiec.

– Dzień dobry, Andy. Pamiętasz więc, kim jestem? – zapytał nieco zaskoczony Dominik, a Gerard tylko uśmiechnął się pod nosem.

– Jest pan przyjacielem mojego ojca i nauczył go pan tego, co robił najlepiej: walczyć – rzekł bez zastanowienia Andy, po czym zniżył głos tak, aby Max nie słyszał, i mówił dalej, patrząc Dominikowi prosto w oczy. – Oni nie wrócą z tej dalekiej podróży, o której pan mówił Maxowi. Ani Inez, ani mój ojciec. Prawda? Nie wrócą, bo nie żyją, tak jak moja matka. Czy powie mi pan, co się stało?

Dojrzałość małego Ratza i odwaga, z jaką domagał się okrutnych wieści, całkowicie zbiły Dominika z tropu. Zanim jednak zdążył coś powiedzieć, w sukurs przyszedł mu Gerard, który chłonał jak gąbka każde słowo chłopca. Odszedł z nim parę kroków na bok i zaczął mówić.

– Widać, że stałeś się już mężczyzną, więc należy ci się prawda. Masz rację, nie wrócą, bo nie żyją. Zabito ich, a ja wiem, kto to zrobił. Nauczę cię wszystkiego, co umiał twój ojciec. Walczyć tak jak on, abyś mógł go pomścić, bo zemsta będzie długa i trudna. Ale w zamian musisz mi obiecać, że będziesz robił wszystko, o co Dominik i ja cię poprosimy. Rozumiemy się?

– *Jawohl, Herr Oberst* – odparł wyprężony jak struna Andy, po raz kolejny tego dnia zaskakując Gerarda.

– Dobra, umowa stoi! Zajmij się teraz bratem – wykrztusił Niemiec.

– To nie jest mój brat – powiedział cicho Andy i zanim Gerard zdążył zaoponować, dodał: – To logiczne, jesteśmy z różnych matek. Max to mój najlepszy przyjaciel, na całe życie. To niekiedy więcej niż brat. Tak mówił mój tata, gdy prosił, żebym się nim opiekował. Proszę się nie niepokoić, zrobię to, co do mnie należy, a pan to, co obiecał.

Gerard skinął na stojącą poza zasięgiem głosu opiekunkę oraz służące i cała gromadka zniknęła w czeluściach pałacu. Patrzył za

odchodzącymi chłopcami i w jednym z nich widział Jana Ratz. Taki sam krok. Taka sama determinacja i odwaga.

– Chodź, Gerardzie, opowiesz mi o wszystkim – rzekł Dominik, gdy zostali sami.

Przeszli do biblioteki, która była zarazem gabinetem gospodarza. Zbliżał się wieczór. Dominik otworzył butelkę hennessy, nalał do przepastnych kieliszków i zamienił się w słuch. Gdy Gerard skończył opowiadanie, Dominik wstał, stanął przed nim i zapytał:

– Co ci podpowiada instynkt, *Herr Oberführer*? Bo na razie głównie na nim musimy polegać.

Gerard został awansowany na pułkownika SS tuż przed końcem wojny, co miało go motywować do obrony węzła kolejowego do ostatniej kropli krwi, ostatniego naboju i żołnierza.

– Instynkt mi mówi, że ktoś mógł spierdolić robotę. Wskazuje mi na to logika sytuacji przed hotelem. Ten chaos i zamieszanie. To nie była precyzyjna likwidacja, chyba że to jakiś nowy amerykański patent, którego jeszcze nie znamy. Ale wiesz, jak to bywa w naszym fachu: wytłumaczeń może być wiele, a jedno dno może przykrywać drugie. Ratz meldował, że MI6 zaczęło mu się przyglądać po tej operacji z Hankem, która notabene wyszła nam modelowo i bardzo się opłacała. Może Anglicy dostali od kogoś cynk, że maczaliśmy w tym palce, a Ratz jest od nas, i zlecili ich zabicie, żeby uniknąć skandalu. Każdy scenariusz jest możliwy. Instynkt to za mało, musimy precyzyjnie ustalić wszystkie fakty. Z naciskiem na wszystkie.

– To wprawdzie nie w stylu Anglików zabijać cudzych szpiegów, zwłaszcza rękami Amerykanów, ale ktoś to zrobił i ktoś musiał komuś coś zlecić. Masz rację, Gerardzie, musimy ustalić fakty. Wszystkie.

– A potem... – zaczął Gerard.

– A potem? Żli ludzie zabili moją kobietę, tak jak przed laty twoją – powiedział Dominik, a trzymane do tej pory na żelaznej uwięzi emocje zaczęły wypływać na jego twarz, która nabrała nagle drapieżnego charakteru. – Tamtym nie podarowałem i tym nie podaruję!

Gerard patrzył na Dominika i znowu widział przed sobą rozdrażnionego, wręcz rozjuszonego wilka. Poczł dreszcz, bo wiedział, że będzie częścią stada, które go wesprze. Pomyślał o swojej żonie Dagmarze. Gdy mianowano go pułkownikiem SS i kazano bronić węzła, doskonale wiedział, że wojna dawno już została przegrana. Nie zamierzał przelać ostatniej kropli krwi, wystrzelić ostatniego naboju i poświęcić ostatniego ze swoich ludzi dla wariatów, którzy tę wojnę wywołali. Już dawno wyekspediował do Niemiec to, co zarobił na współpracy przemytniczej z Dominikiem, i czekał na stosowny moment, aby ulotnić się w to samo bezpieczne miejsce z rodziną i zaufanymi ludźmi. Opracował warianty ewakuacji – główny i zapasowy. Ale wokół węzła było zadziwiająco spokojnie. Żadnych bombardowań. Czekał więc, mimo że Dominik go uprzedzał, żeby wiał, bo będzie źle.

Nie przewidział, że Rosjanom tak zależy na jego węźle, że dokonają zmasowanymi siłami specjalnego wyłomu we froncie – desantu czołgowego, jak to nazywali, zgranego z desantem z powietrza. W jedną noc zagarnęli miasto i węzeł, a jego plany ewakuacyjne – główny i zapasowy – trafił szlag.

Tej nocy kłęczał w swoim gabinecie wraz z dwójką kilkuletnich synów i dwoma swoimi ludźmi, Hilfersem i Konradem, otoczony rosyjskimi żołnierzami, którzy pili jego koniak, palili jego cygara i po kolei – na jego biurku – gwałcili jego żonę Dagmarę. Na oczach jego dzieci i podwładnych! Ich dowódca bił Gerarda po twarzy i śmiał się.

Do gabinetu weszła nowa grupa żołnierzy, witana gromkimi okrzykami rosyjskiego oficera i jego ludzi.

– Popierdolicie sobie i wypijcie – zachęcał – wy Polacy z powstania, należy się. *Dawajcie!*

Gerard spojrział na młodego oficera, który nimi dowodził. Tak, to byli Polacy. Pamiętał te mundury i orzelki z kampanii w 1939 roku. Młody oficer spojrział mu w oczy, ale nie było w nich nienawiści. Były martwe. Jego kompania odgrywała w rosyjskim desancie rolę szpicy i przewodnika po atakowanym mieście i węźle.

– *Spasibo, komandir* – odrzekł Polak. – Ja to wszystko widziałem

w powstaniu, w Warszawie, i nie będę robił tego co oni wtedy. – Mówiąc to, wskazał głową na Niemców.

Rosyjski oficer przyskoczył do niego, zbliżył twarz do jego twarzy i z wyrazem obłędu w oczach wycedził przez zęby:

– A myślisz, że moja żona i córki ze starości umarły?!

Po tych słowach podszedł do zwiniętej na biurku Dagmary i strzelił jej w skroń. Gerard chciał się poderwać, ale powstrzymało go uderzenie kolbą w pierś. Oficer w polskim mundurze splunął na podłogę i wyszedł bez salutowania, a za nim jego ludzie. Rosjanin zarepetował broń, wymierzył ją w głowę jednego z synów Gerarda i strzelił. Ale widocznie wypił za dużo lub emocje i złe wspomnienia wzięły nad nim górę, bo nie trafił. Kula drasnęła prawe ucho chłopca. Rosjanin z niedowierzaniem spojrział na broń, na dziecko i ponownie złożył się do strzału. Lecz zanim zdążył pociągnąć za spust, do gabinetu wszedł żołnierz, zbliżył się do niego i zaczął coś szeptać. Twarz Rosjanina rozjaśniła się, skinął głową. Żołnierz wyszedł, lecz za chwilę ponownie otworzył drzwi i gestem zaprosił kogoś do środka.

Do gabinetu wszedł Dominik. Rzucił okiem na klęczącego Gerarda, jego dzieci i dwóch esesmanów. Następnie przeniósł wzrok na ciało Dagmary, z głową w kałuży krwi. Podszedł do rosyjskiego oficera, który na widok przybysza schował broń do kabury. Wziął go lekko za łokieć i poprowadził do najciemniejszego rogu. Stanęli tyłem do reszty i coś między sobą szepotali.

Gerard patrzył osłupiały na swojego byłego wspólnika i nie dowierzał własnym oczom. Dominik i rosyjski oficer rozmawiali tak kilkanaście minut, które klęczącym Niemcom wydawały się wiecznością. W końcu Rosjanin wziął z półki kolejną butelkę koniaku, otworzył ją i rozlał trunek do szklanek. Jedną podał Dominikowi i stuknął się z nim. Wypili do dna. Następnie odwrócił się do Niemców i ryknął na cały głos:

– *Raus, sobaki!*

Pewnie klęczeliby tak dalej w osłupieniu, oszołomieni sytuacją, gdyby nie podszedł do nich Dominik i głosem nieznoszącym sprzeciwu nie zaczął wydawać komend po niemiecku.

– Powstać. Baczność. Ręce na głowę. A wy dwaj brać trupa i wypierdalać z gabinetu pana komandira!

Mówiąc to, Dominik wymierzył po kopniaku każdemu z esesmanów, ku zachwytowi kibicujących mu rosyjskich żołnierzy.

Przodem szli chłopcy Gerarda z rękami na głowie. Jednemu z nich z postrzelonego ucha kapąła krew, dalej sam Gerard i esesmani niosący ciało zgwałconej i zastrzelonej żony SS-Oberführera i matki jego synów. Pochód zamykał Dominik.

– *Bud’ zdorow!* – krzyknął na pożegnanie rosyjski oficer, wygonił wszystkich z gabinetu i zaczął przeliczać zwitek dolarów, który właśnie dostał od tego szurniętego i żadnego zemsty Polaka. Zgadzało się – trzy tysiące. Nalał sobie jeszcze jeden kieliszek koniaku i pomyślał o swojej żonie i córkach zgwałconych i zabitych przez SS-Division Totenkopf. Wypił do dna, a z oczu pociekły mu łzy.

Chwilę później Dominik i Niemcy siedzieli w półciężarówce jego organizacji przed byłą siedzibą SS.

– Ruszać powoli i równo – rozkazał po polsku kierowcy. – Żadnych nerwów i pośpiechu. Nie uciekamy, bo jesteśmy u siebie. Zrozumiano?!

– Tak jest! – odpowiedział mu mocny kobiecy głos kierowcy.

Gerard odwrócił się z tylnego siedzenia. Znał ten głos! To była Dolores, siostra Inez...

– Wykonać!

Dotarli do bazy Dominika, ochłonęli i umyli się, oporzędzili ciało Dagmary, a następnie Gerard stanął na baczną przed Dominikiem i zapytał, dlaczego Polak uratował ich wszystkich.

– Życie za życie. Ty uratowałeś Inez i resztę, a ja ciebie i twoich towarzyszy. Przykro mi z powodu żony, ale to rozliczę. Ruskiemu powiedziałem, że muszę was rozwalić osobiście, bo byłeś bestią, a nie komendantem. A poza tym gdzie ja znajdę takiego wprawionego w przemyśle wspólnika?

Nie powiedział natomiast, że od miesiąca był w kontakcie z Polakami ze szpicu radzieckiego desantu czołgowego, którym dostarczył plany niemieckiej obrony miasta i węzła kolejowego.

Ocalało to wielu żołnierzy – polskich i rosyjskich. Oficer, od którego Dominik wykupił Niemców, doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Kilkanaście dni później rosyjskiego oficera i kilku aktywniejszych uczestników zabawy w gabinecie Gerarda znaleziono z kulami w czole, obciętymi genitaliami w ustach i wypisanymi gotykami tabliczkami *Werwolf* na piersi.

Gerard nie pytał Dominika, dlaczego kazał to zrobić, ale i tak usłyszał wyjaśnienie. Otóż Inez, tej nocy, gdy Dominik wywoził ją z aresztu SS, powiedziała mu, że żona komendanta to dobra kobieta, bo nie dość, że przyniosła jedzenie do celi, to jeszcze zawołała SS-Hauptscharführera, który dowodził tam wartą, i powiedziała mu, że jeśli tkną kobietę o wyglądzie Madonny, to ona ich przeklnie, a że jest niewiastą religijną, Bóg na pewno jej wysłucha. Esesman stuknął obcasami i zameldował, że Boga się nie boi, ale komendanta – owszem. Zapowiedział podwładnym, że jeśli więźniom spadnie choćby włos z głowy bez jego zezwolenia, to całą wartę postawi przed plutonem egzekucyjnym.

Od tamtej nocy w gabinecie Gerard związał losy swoje i synów z losami Dominika i jego organizacji. Komendantem wężła kolejowego został po wojnie młody dowódca polskiej szpicy rosyjskiego desantu czołgowego, gdyż przełożeni uznali, że spisał się na medal i szkoda by było, gdyby zginął w drodze na Berlin. A ponieważ oficer cenił żołnierski honor i wiedział, że powodzenie tamtej akcji i awans na komendanta wężła zawdzięczał planom i informacjom dostarczonym przez Dominika, to w rejonie wszystko wróciło do normy – organizacja przemytnicza rozrastała się swobodnie. Gerard realizował zadania głównie na Zachodzie, ale wpadał też bez przeszkód do Polski i swojego dawnego wężła kolejowego, gdyż Dominik oświadczył nowemu komendantowi, że były esesman jest dobrym Niemcem, nie mordował Polaków, a potem przekazał mu plany obrony wężła i miasta, co ułatwiło ich zagarnięcie. Gdy synowie Gerarda dorosli, Dominik wcielił ich do swojej organizacji.

Jeżeli nie podarował śmierci mojej żony – pomyślał Gerard – to biada tym, którzy zabili jego kobietę. Otrząsnął się ze wspomnień i spojrzał na Dominika, który odzyskawszy spokój, popijał koniak.

Musimy zająć się tymi, którzy wiedzą o zdarzeniu – rozmyślał Dominik. Kluczem jest kierowca śmieciarki, bo on wie, dlaczego zabił Inez i Ratza – nerwy, wypadek czy dlatego, że ktoś mu kazał lub zapłacił. Jeżeli tajniacy obstawiający hotel Algonquin byli z FBI, to szef biura w Nowym Jorku też musi to wiedzieć. Lord Grey traktował Ratza jak syna, więc informacje o zdarzeniu już ma albo będzie miał, bo przecież nie spocznie, dopóki nie wyjaśni, co się stało. Ratz był człowiekiem nie tylko naszym, lecz także MI6 i wiele dla nich zrobił – za naszą wiedzą, zgodą i pomocą wprawdzie, ale zawsze. Zatem jego kontroler i przyjaciel z wywiadu brytyjskiego, sir James Gibbons, też wszystkiego się dowie. Od wojny wywiad brytyjski coraz ściślej pracował z FBI w obu Amerykach, Anglicy więc ustalą interesujące ich szczegóły. Kto jeszcze może coś wiedzieć?

– Od ponad roku montujemy kanał przemytu narkotyków przez Stany Zjednoczone do Europy. Koordynatorem od strony Ameryki Południowej jest Konrad, którego poznałeś, gdy klęczał obok mnie w gabinecie tej nocy, gdy Ruski zastrzelił moją żonę. – Po upływie tylu lat Gerard mówił o tym już bez emocji. – Taki nowy kanał zawsze denerwuje konkurencję, bo chodzi o wielkie pieniądze. Ale nasz koordynator melduje... bo uczuliłem go na to... że na jego terenie, głównie w Brazylii, nie ma konkurencji. Funkcjonuje tam od końca wojny mocna grupa naszych kolegów z SS, którzy obsadzili gospodarkę i politykę. A ponieważ ufam mu jak sobie, więc wiem, że tak jest. Tobie jest wierny i wdzięczny, bo nigdy nie zapomni, że uratowałeś mu skórę. Robiliśmy w SS straszne rzeczy i było wielu złych ludzi, ale byliśmy też oficerami i przynajmniej niektórzy wiedzieli, co to honor.

– Życie mnie nauczyło, *Herr Oberführer* – odpowiedział filozoficznie Dominik – że żadna ze stron nie ma monopolu na honor, Boga, Ojczyznę, świętość, dobro czy zło. Skurwysynów znajdziesz wszędzie!

Gerard smętnie pokiwał głową i kontynuował swoje rozważania.

– Ale Stany Zjednoczone, a zwłaszcza New York City, to zupełnie inna bajka. To już nie nasz teren. Połowa każdego transportu miała być sprzedawana właśnie tam. Więc dla kogoś

jesteśmy konkurencją. Ale nasi ludzie, właśnie po to, żeby nikomu bez potrzeby nie nadebrać na odcisk, ustalili z jednym z nowojorskich szefów włoskiej mafii wszelkie zasady współdziałania i podziału zysków. Wszystko było dograne, a przynajmniej takie się wydawało.

– Czy włoscy mafiosi mogli wiedzieć o pobycie Inez i Ratz w Nowym Jorku i domyślać się, że to nasi ludzie?

– Mogli. Ratz miał wstępnie umówione spotkanie z szefem włoskiej mafii, żeby w imieniu naszej organizacji przypieczętować dil. Nic poważnego, ot, obiad we włoskiej knajpie w Little Italy: spaghetti, wino, amaro na koniec. Włosi lubią takie ceremonie, żeby nawiązać z kimś z kierownictwa drugiej strony osobisty kontakt, poklepać się po plecach. Taka *amicizia*. Ale do spotkania nie doszło, bo Włoch musiał jechać na Sycylię na pogrzeb brata, a u nich nie być na pogrzebie to gorzej niż zastrzelić zmarłego. Brak *rispetto*.

– Tak, przypominam sobie. Muszę wiedzieć wszystko o tym Włochu! Wiem, że to trudne, ale trzeba ustalić, czy był na pasku FBI...

– A może CIA? – wtrącił niespodziewanie Gerard. – Amerykanie posługiwali się mafią sycylijską w czasie wojny. To pewne informacje od ludzi z SS, którzy tam i wtedy to rozpracowywali. Jak pamiętam, Polacy też brali udział w inwazji...

– Warto zapamiętać to, co przed chwilą powiedziałeś o związkach OSS z mafią włoską. – Dominik się zamyślił, po czym odpowiedział na ostatnią uwagę swojego rozmówcy: – Tak, Polacy mieli swój udział w inwazji na Włochy, i to duży. Oficerowie przedwojennego wywiadu polskiego ostro działali dla aliantów w Afryce Północnej przed inwazją. Ale kto o tym dzisiaj pamięta...

– My pamiętamy. A idealisci z pierwszej linii giną pierwsi... – zaczął Gerard.

– Znam twoją maksymę – zaśmiał się Dominik. – Ale w Hamburgu przed wojną sam byłeś idealistą łamiącym nosy i kości czerwonym.

– Czas leczy każdą głupotę, *mein Führer* – odparł Gerard, który czasami lubił się poczuć jak za dawnych czasów

– *Natürlich...* – Dominik zaczął się dostrajać do tonu przyjaciela, lecz nagle przerwał. – Coś mi przyszło do głowy.

– Tak?

– Swego czasu monopol na operacje w Ameryce Południowej miało FBI. Ratz wiedział to od Gibbonsa. Potem pałeczkę przejęła CIA. Narkotyki od zawsze płynęły z południa na północ. Po zniesieniu prohibicji mafia poszła w narkotyki, bo to jeszcze większy szmal.

– Nie da się zaprzeczyć – przytaknął Gerard.

– Czy wyobrażasz sobie, że FBI i CIA nie wiedzą o tym narkotykowym Jedwabnym Szlaku i nie próbują go penetrować czy wręcz kontrolować?

Gerard z uznaniem spojrział na Dominika, który kontynuował:

– A jeżeli tak, to uwierzysz, że komuś z FBI czy CIA nigdy nie przyszło do głowy zaczerpnąć z tego strumienia pieniędzy? Już całkiem prywatnie?

– Masz rację. Ktoś z FBI lub CIA musiał w tym siedzieć. Może jedni i drudzy, bo to za wielka forsa. Zaczyna się od kontroli operacyjnej, a później zło zaczyna korcić... A jeżeli siedzieli w tym od lat, to po co im konkurent z Europy? Nie ma gorszej rzeczy niż skorumpowany glina czy urzędnik państwowy. Znam się na tym, bo sam nim byłem... dzięki tobie.

– Drobiazg.

– Ale żarty na bok. Ludzie, którzy poznali smak wielkich pieniędzy i dobrego życia, zrobią wszystko, żeby tego nie stracić. Wystarczy spojrzeć na starych towarzyszy partyjnych z NSDAP z marszałkiem Göringiem na czele. Jak oszalał na punkcie dobrobytu.

– Otóż to! Ale w przypadku takiej prywatnej inicjatywy kogoś z FBI czy CIA to musiało być coś więcej niż obawa, że uszczkniemy im trochę zysków. Zastanów się, jak ty byś kombinował na ich miejscu. Jeżeli organizacja przemytnicza z Europy odważyła się sięgnąć po narkotyki za Atlantyk, to musi być mocna i ambitna. A może jest podłączona pod jakiś większy organizm? Jeżeli wejdzie w ten przemysł – kombinują faceci – to może z czasem ustali, że oni w tym maczają paluchy. Koledzy federalni z FBI czy CIA. A jak to

ustalą, to zaczną szantażować. I co wtedy? Dupa, sytuacja wymknie się spod kontroli. To dla nich najgorszy scenariusz, ale jako zawodowcy muszą zakładać taką możliwość. Tak jak my zawsze zakładamy najgorszy scenariusz.

– Jeżeli jest tak, jak mówisz, a tego jeszcze nie wiemy, to skorumpowani federalni rzeczywiście mogliby zabić Inez i Ratza. W końcu nie wiedzieli, z kim będą mieli do czynienia. Czytelny znak dla takich jak my: nie wpierdalać się! Działali na własnym terenie, mogli wszystko dopracować. Nawet sfingować wypadek. Jeżeli... powtarzam: jeżeli... masz rację, to rzeczywiście kluczem do wyjaśnienia sprawy jest kierowca śmieciarki. Zapłacili mu za robotę? W takim razie kropną go niedługo albo już to zrobili. Ale jeśli to ich człowiek w FBI, to komisja lekarska orzeknie niezdolność do dalszej służby ze względu na szok spowodowany zabiciem niewinnych ludzi i takie tam duperele. Facet gdzieś się rozplynie z kupą kasy na dostatnie życie. Nie mogą go odstrzelić, bo jest członkiem ich kolektywu, a swoich nie zabija się bez powodu, bo to demoralizuje pozostałych. Zresztą po co? Przyzna się komuś do zabójstwa?

– I tu się mylisz, Gerardzie. Przyzna się, jeżeli ich zabił. Nam się przyzna! – zapewnił Dominik i Gerard nie miał wątpliwości, że tak będzie. W końcu to Dominik uczył Ratza i wielu innych technik skutecznych przesłuchań.

– Zrobimy tak. Niech nasz koordynator w Ameryce Południowej zacznie zbierać informacje, czy ludzie FBI lub CIA siedzą tam w handlu narkotykami. Interesują mnie nawet plotki, bo w nich na ogół tkwi ziarno prawdy. Zbieraniem informacji o włoskim mafiosie z Nowego Jorku, niedoszłym rozmówcy Ratza, nie zajmą się jednak twoi ludzie...

– Nie? – zdziwił się Gerard.

– Nie. Zbyttno rzucaliby się w oczy. Popytamy wśród konkurencji Włochów w tym pięknym mieście – głośno myślał Dominik.

– Konkurencji Włochów...? – Gerard próbował nadążyć za jego myślami.

– Mafii ży... – zaczął mówić Dominik.

– No tak! – przerwał mu triumfalnie Gerard. – Mafia żydowska! Naród wybrany, ulubieńcy Führera. Jest ich w Nowym Jorku tylu co Włochów albo jeszcze więcej. Też handlują narkotykami, Włosi to ich konkurencja, a o konkurencji trzeba wiedzieć, ile się da. Słusznie! Chyba lepiej, żebyś ty załatwił to z dziećmi Jahwe. Mnie nie wypada – skostatował pułkownik SS.

– Twoje wyczucie taktu zawsze budziło uznanie – odparł Dominik, ale żaden z nich się nie roześmiał, bo nie było im do śmiechu.

– Omówiliśmy sprawy umarłych – zauważył Gerard – i czas zająć się żywymi. Co z Maxem i Andym?

– Mój syn ma siedem lat. Jest jeszcze dzieckiem, ale jak każdy mały człowiek rozumie znacznie więcej, niż nam się wydaje. Wnet pojmie, że mama nie wróci, a ja nie mam zamiaru go okłamywać. Nauczę go wszystkiego, co potrafię, i ty mi w tym pomożesz. Świat jest okrutny i trzeba być takim samym, by przetrwać. Ale dam mu też wykształcenie, jakiego ty i ja nie mieliśmy. Gdy dorośnie, może wciągnę go do naszej organizacji. Syn Jana to zupełnie inny charakter. On poszedł w ojca, mój w swoją matkę. Nie widzę w Maksie, przynajmniej na razie, takiej twardości, jaką wydaje się mieć Andy.

– Nawet nie podejrzewasz, jaki on jest twardy, choć ma jedynie dziewięć lat – podjął wątek Gerard i streścił Dominikowi swoją rozmowę z małym Ratzem.

– Niesamowite. Będzie pasował do nas jak ulał. Tak czy inaczej, jeżeli my nie zdążymy pomścić Inez i Ratzę, to zrobi to Andy z pomocą Maxa. Dlatego nie chcę, aby poza nami ktoś wiedział, kim naprawdę są ci chłopcy.

– Poza tobą, mną, moimi synami i opiekunką nikt nie wie. O twoim synu zresztą cała londyńska socjeta myślała, bez obrazy, że to dziecko Ratzę. Obecnie zaś w ogóle się o nich zapomni, bo zniknęli. Kto ich znajdzie?

– Niech tak zostanie – odpowiedział Dominik.

Gerard, który był o pięć lat starszy od Dominika i widział, co wojna zrobiła z psychiką jego synów, pozwolił sobie na uwagę, która

dawniej nie przeszłaby mu przez usta w rozmowie z szefem.

– Wybacz, że się wtrącam, ale czy nie rozważałeś możliwości trzymania chłopców z dala od tego wszystkiego, co my musieliśmy robić, a co tak nam weszło w krew, że nic innego nie potrafimy?

– Nie po tym, co się stało! – uciął Dominik i pułkownik SS wiedział, że dalszej dyskusji już nie będzie.

Do biblioteki wszedł Werner i zameldował:

– Podano do stołu.

Może nie mają takiego wykształcenia jak inni – pomyślał Gerard, patrząc z miłością na syna – ale na mokrej robocie i wywiadzie znają się jak nikt. Skoro Dominik chce, żeby Andy i Max poszli w nasze ślady, to nauczycieli na pewno im nie zabraknie.

8 maja

W zakonspirowanym budynku Mosadu w Hajfie siedziała kobieta około trzydziestki, w spodniach khaki i białej męskiej koszuli, paliła papierosa. Jej uroda miała dziki, buntowniczy charakter; brakowało w niej łagodności, jaka powinna cechować tak piękną osobę. Mimo regularnych rysów, dużych czarnych oczu i krótkich kruczoczarnych włosów było w jej twarzy coś niepokojącego, a wysoka, wysportowana sylwetka sprawiała wrażenie gotowej do skoku.

Kobieta miała na imię Dolores i od chwili powstania Państwa Izrael służyła w jego służbach specjalnych. Ale jej doświadczenia konspiracyjne sięgały okupowanej Polski, gdzie nabywała wiedzę od najlepszych. Gdy trafiła do Mosadu, była już na tyle doświadczonym konspiratorem, że po krótkim przeszkoleniu natychmiast skierowano ją do pracy operacyjnej. Znała biegle niemiecki, polski, angielski i hiszpański, który wyniosła z domu rodzinnego. Jeździła więc po całym świecie z różnymi paszportami i realizowała zadania zlecane przez wywiad izraelski. A ponieważ pierwszego człowieka zabiła w okupowanej Polsce, gdy miała szesnaście lat, i pozostały jej z tamtego okresu dziwne, ale użyteczne kontakty, więc była, zdaniem przełożonych, wszechstronnym i bardzo cennym oficerem operacyjnym.

Wyszła na taras, zabierając ze sobą z pokoju butelkę bimbru z rodzynek i suszonych śliwek oraz dwa kieliszki. Dom stał na wzgórzach nad miastem, a z jego tarasu roztaczał się imponujący widok na port. Usiadła przy stoliku, nalała sobie kieliszek i mimo upału wypijała jednym haustem. Nawet lepszy niż w Polsce – pomyślała. Miała specjalną metę w jednym z kibuców, gdzie Żydzi z Polski pędzili ten eliksir o mocy sześćdziesięciu pięciu procent.

Od trzech lat była szefem samodzielnej sekcji wywiadu izraelskiego, której jednym z głównych zadań było przemycanie użytecznych dla Izraela Żydów zza żelaznej kurtyny, przede wszystkim ze Związku Radzieckiego i Polski. Poza tym zajmowała

się – tak jak wszystkie jednostki organizacyjne Mosadu – tropieniem zbrodniarzy hitlerowskich na całym świecie. Była w tym dobra, między innymi dzięki tym starym układom z Polski. Ale potrafiła też pozyskać najwyższej rangi informacje o tym, co się działo na Zachodzie – zarówno polityczne, jak i z kręgu służb specjalnych. Stała się z czasem tak cenna, że wyłączono ją z wszelkiej mokrej roboty, z czego nie była na początku zadowolona.

Sekcja podlegała bezpośrednio jednemu z zastępców szefa wywiadu i w to upalne popołudnie Dolores czekała właśnie na niego.

Po kilku minutach przed dom zajechał samochód, z którego wysiadł przystojny, krępy mężczyzna w wieku około czterdziestu pięciu lat, choć mocno szpakowate włosy stwarzały wrażenie, że jest starszy. Miał na imię Cewi i tak też wszyscy się do niego zwracali.

Pochodził z Polski i był z zawodu kowalem, a z zamiłowania rewolucjonistą. Działał w Komunistycznej Partii Polski, a wybuch wojny zastał go w więzieniu w jednym z kresowych miasteczek. Osiemnastego września 1939 roku drzwi jego celi otworzyły się z hukiem i stanął w nich żołnierz z czerwoną gwiazdą na czapce. NKWD szybko zweryfikowało, kim jest więzień. „Będziesz naszym tłumaczem, towarzyszu komunisto!” – powiedział mu szef miejscowego referatu NKWD i Cewi uświadomił sobie, że jeśli zacznie protestować, to może źle skończyć. Mimo że wołał wrócić do kowalstwa, został tłumaczem. Rosyjskiego nauczył się w trzy miesiące, gdyż na kresach wszyscy mieli jego podstawy. Z czasem tłumaczył także na przesłuchaniach, a nie były to rozmowy towarzyskie. Dostał pistolet, trzy magazynki pełne amunicji i radę, żeby uważał na mieście, bo Polacy nie tylko Rosjan nie lubią, ale takich Żydów jak Cewi również. W czerwcu 1941 roku, gdy weszli Niemcy i miejscowi Polacy urządzili miejscowym Żydom pogrom za – jak to określili – wysługiwanie się Sowietom, choć w tym miasteczku bynajmniej nie było to nagminne, Cewi zrozumiał, że przetrwa tylko w lesie. Przez następne lata walczył w radzieckiej partyzantce i zabijał Niemców oraz ich pomagierów.

Kiedy w 1944 roku nadszedł front, prawie cały oddział wstąpił w szeregi Armii Czerwonej. Zaciągnął się także Cewi i zdobywał ze swoją jednostką Berlin, a za niezwykłą odwagę na polu walki

dowódca armii odznaczył go przed frontem dywizji Orderem Bohatera Związku Radzieckiego i mianował na wyższy stopień oficerski. I może Cewi zostałyby w wojsku i zrobił karierę w Armii Czerwonej, ale na szlaku bojowym w Polsce, gdy był już dowódcą batalionu, jego pułk trafił na miasto Oświęcim i niemiecki obóz koncentracyjny Auschwitz.

Po tym, jak jego batalion wziął udział w oswoobodzeniu obozu, a Cewi zrozumiał, co się tam stało z Żydami Europy, pojął też, że już nigdy nie będzie tym samym człowiekiem.

W lipcu 1945 roku zdezerterował więc z Armii Czerwonej, przeszedł na zachodni brzeg Łaby i popłynął do Palestyny. Tam przystąpił do bojówek żydowskich zmagających się z Brytyjczykami i Arabami, a w 1948 roku brał udział w walce o Państwo Izrael. W tej wojnie jego doświadczenie bojowe wyniesione z Armii Czerwonej było na wagę złota, a umiejętności dowódcy batalionu – nieocenione. Ale nie wstąpił do tworzącej się armii izraelskiej, bo na placu apelowym obozu Auschwitz przysiągł sobie, że będzie ścigał i zabijał tych, którzy to piekło wymyślili i nim kierowali. A to gwarantował wywiad.

Cewi nigdy nie założył rodziny, gdyż uwierzył kiedyś, że jego rodziną jest partia. Później zrozumiał, że ci towarzysze, którzy ten pogląd wyrażali najgłośniejszy, mieli rodziny, ładne żony albo ładne kochanki, samochody służbowe oraz dobre wyżywienie... Ale nawet gdy się o tym przekonał, wiedział już, że przez całe życie będzie polował na sprawców Holokaustu. Na rodzinę zabrakło czasu.

Tak jak zabrakło czasu na tę kobietę z kresów, którą jego batalion wyzwolił, wśród tysięcy innych, w Auschwitz. Gdy następnego dnia otrząsnęła się z obozowego piekła, dołączyła do jego jednostki jako prosty żołnierz, a do Berlina doszła jako porucznik. Była zacięta, nieustraszona, nigdy nie brała jeńców i Cewi czuł, że się w niej zakochuje. Gdy więc podjął decyzję, że popłynie do Palestyny, chciał Janę zabrać ze sobą. Ale nie dała się przekonać. „Nie skończyłam z zabijaniem Niemców” – powiedziała.

Cewi ponownie wybrał między rodziną a swoim powołaniem. Tak zostało i na zmianę się nie zanosilo...

– Witaj, Cewi – usłyszał żeński głos, gdy wszedł na taras.

– Dolores, *szalom*, krasawico – odparł, podszedł do kobiety i pocałował ją. – Piękna jak zawsze.

Po którejś wspólnej akcji zagapił się na nią o sekundę za długo. Podeszła potem do niego i powiedziała: „Chcesz mnie przelecieć, Cewi? Nie krępuj się. Pomogę ci”. Rozpięła mu rozporek, ściągnęła spodnie, klękła przed nim... To niebezpieczna kobieta – uświadomił sobie były dowódca batalionu Armii Czerwonej i Bohater Związku Radzieckiego.

Ale taka sama była w akcji – nieprzewidywalna dla wroga. Zawsze zmierzała do tego, by przejąć kontrolę nad jego najbardziej wrażliwym punktem. Dużo musiała przejść w Polsce – doszedł do wniosku Cewi. Od tamtego dnia Dolores zawsze mogła liczyć na jego uwagę, ale nigdy nie nadużywała tej możliwości.

– Wybacz, Cewi, że zawracam ci dupę, ale to coś naprawdę ważnego – powiedziała teraz Dolores po polsku i nałapa mu kieliszek bimbru.

– Co się stało?

Wychylił kieliszek jak kiedyś na froncie. Mówili po polsku, jak każdy, kto był wtedy kimś w Izraelu. Żydzi z Polski w 1958 roku trzęśli Izraelem, a na posiedzeniach rządu ministrowie kłócili się po polsku.

– Dominik wywołał mnie na nadzwyczajne spotkanie do Włoch – odrzekła.

Jednym z owych dziwnych, ale jakże użytecznych kontaktów, czyli – w żargonie wywiadowczym – aktywów, jakie Dolores wniosła do Mosadu, była organizacja Dominika. Kazali sobie słono płacić, ale byli skuteczni, sprawni i dotrzymywali słowa. Dzięki nim wywiad izraelski wyciągnął zza żelaznej kurtyny kilkunastu naprawdę ważnych ludzi. Ale – co bardziej interesowało Cewiego – potrafili zlokalizować zbrodniarzy hitlerowskich, i to tych z samej góry. Zlokalizować i zabić, za dodatkową opłatą.

– To jedź. Napisał dlaczego?

– To przyszło w nocy przez radiostację, podwójnym szyfrem i zakodowane – rzekła i podała Cewiemu kartkę zapisaną po polsku.

„Madonna w niebie z opiekunem. Statua Wolności. Inkwizycja Kolonistów – bez pardonu. Miejsce 30.3.20”.

– Co to znaczy, Dolores?

– To znaczy, że w Nowym Jorku, gdzie jest Statua Wolności, jakaś służba jankesów wyprawiła do nieba moją siostrę Inez, chuj wie dlaczego, ale bez litości. – Dolores słyszeła z tego, że nigdy nie przebiera w słowach. – I Dominik wywołuje mnie do Rzymu za trzy dni o dwudziestej w stałym miejscu.

– Ale Inez była cywilem...

– Zabili ją z Ratzem, jej opiekunem z polecenia Dominika, a Ratz cywilem nie był! Kurwa mać!

Cewi zerknął na kartkę i natychmiast skojarzył – »...z opiekunem”. Jasne!

Poznał kiedyś Dominika na spotkaniu kontrolnym z Dolores w szwajcarskich Alpach. Cewiemu niełatwo było zaimponować, bo w życiu widział niejedno, ale ten Polak zrobił na nim wrażenie. A gdy kobieta uprzedziła go przed spotkaniem, że w swojej organizacji Dominik posługuje się byłymi żołnierzami SS, a ten nie zaprzeczył, to Cewi zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z zawodnikiem wagi ciężkiej. A taki nie bredzi, zwłaszcza szyfrem. Czuł więc instynktownie, że stało się coś... nie mógł nawet znaleźć właściwego słowa.

– Przecież Ratz to był prawie sir Jan Ratz. Weteran SOE, SAS i MI6. Pupil lorda Greya, ulubienca królowej i przyjaciela Winstona Churchilla. Jankesów czasami zaćmiewa, ale nie na tyle, żeby zabijać takich ludzi na swoim progu!

– Dominik to człowiek przytomny, umysł zimny jak stal, a nerwy grube jak moja noga koło dupy. Więc jeśli pisze, że Ami zajebali moją siostrę i Ratzę, to nie dlatego, że sen miał proroczy, ale dlatego, kurwa, że tak było! – rzekła dobitnie Dolores, a jej piękna twarz nabrała koloru dojrzalej wiśni.

Nalała sobie kieliszek bimbrowy i powoli wypijała do dna.

Cewi nieraz w życiu bywał w sytuacjach, gdy jego ludziom ginęli bracia, siostry, ojcowie, matki, dzieci czy przyjaciele, i wiedział, co należy robić. Zwłaszcza dla Dolores. Usiadł obok niej, ujął mocno jej dłoń, jak żołnierz, nie jak kochanek, i zaczął mówić.

– Powiem ci to nie jako przełożony, ale jako przyjaciel. Przysięgłem sobie wtedy na placu apelowym w Auschwitz, że czas bezkarnego zabijania Żydów skończył się bezpowrotnie – dla Niemców, Rosjan, Arabów czy Amerykanów i chuj wie kogo jeszcze. Pojedziesz na spotkanie z Dominikiem i dowiesz się wszystkiego. Powiesz mu ode mnie, że Mosad pomoże mu w ustaleniach, bo podczas wojny ratował Żydów, przez ostatnie lata Żydom pomagał i jego syn jest częścią naszego narodu. A my pamięć mamy jak słoń – dla wrogów, ale i dla przyjaciół. Dominik nie powie tego, ale będzie oczekiwał, że pojedziesz do Nowego Jorku dowiedzieć się u naszych, co się stało i czego on, jego Polacy i esesmani ustalić nie mogą. Więc udasz się tam ze spotkania w Rzymie. Wysłuchaj bardzo uważnie Dominika. To mądry i doświadczony człowiek... zresztą wiesz to lepiej ode mnie. On ci powie, czego dokładnie masz szukać w Ameryce, bo najlepiej zna sprawę i wie, komu mógł tam podpaść. Kochał Inez i kocha ciebie, więc nie każe ci robić nic, co mogłoby cię wpakować w tarapaty. Słuchaj go!

– Zawsze go słuchałam i wykonywałam jego rozkazy... – rzekła Dolores.

– W Nowym Jorku będziesz trzymała się z daleka od naszych oficjalnych placówek. Pójdiesz do dwóch osób, których namiary dam ci rano. Jedna zaprowadzi cię do polityków żydowskich, a druga do mafii. Dam ci też list do jednego z rabinów w mieście. Dwa lata temu Dominik wyciągnął z Ukrainy jego syna z nieprawego łoża. Byliśmy razem w radzieckiej partyzantce. Zna mnie dobrze. Gdyby ktoś z naszych miał wątpliwości, czy ci pomóc, albo coś taił – nic nie mów. Idź do rabina i opowiedz mu. On wtedy pójdzie do opornych i powie, że jeśli nie zechcą pomóc, to ja do nich przyjadę. Ale wtedy nie potraktuję ich jak braci Żydów! Rabin umie przekonywać w moim imieniu, bo to mądry człowiek i bogobojny.

– Dziękuję, Cewi, nigdy ci tego nie zapomnę...

– Nie nie musisz mówić. Wiesz, że robię to nie dlatego, że byliśmy kochankami, ale dlatego, że tak trzeba. Jeżeli zabiły ich służby amerykańskie, to albo był to jakiś przypadek, albo Ratz czy Dominik coś solidnie im nabroili. W jednym i drugim przypadku Amerykanie będą tuszować, ściemniać i bać się odwetu. Prędzej czy

później uświadomił sobie, że naruszyli interesy paru wywiadów: MI6, naszego, a może Polaków. Jeżeli Polaków, to może i Rosjan. Im bardziej będą się bać, tym bardziej będą niebezpieczni. Musisz więc być niezwykle ostrożna. Jeżeli to nie był nieszczęśliwy wypadek, to ci, którzy za tym stoją, już raz zabili i w razie potrzeby zabiją ponownie. Człowieka Mosadu też. A teraz bierzmy się do roboty, bo czasu mało.

– Na zdrowie, Cewi, *lechaim* – rzekła Dolores i napełniła kieliszki.

– Na zdrowie.

Wypili, pocałowali się i każde podążyło w swoją stronę.

Cewi wracał do centrali Mosadu i myślał. Służby amerykańskie to FBI i CIA, reszta się nie liczy. FBI nie zabija ludzi, z wyjątkiem gangsterów, a i tych coraz rzadziej. Obserwuje, rejestruje, aresztuje i posyła do więzienia. Typowa policyjna mentalność. Dobrzy fachowcy i legaliści. Stary Hoover nie tolerowałby jakichś zabójstw, w przeciwnym razie nie przetrwałby tyle lat. Ale CIA to inna bajka. Dużo tam jeszcze ludzi z OSS z czasów wojny. Operacje specjalne, dywersja na tyłach wroga, sabotaż, eliminacje. O tak, oni wtedy nauczyli się trochę zabijać! Może nie tak jak ja, Dominik lub Ratz, ale łyknęli bakcyła zabijania. Zrozumieli, że niekiedy to najprostsze rozwiązanie problemu. Mają jednak zakaz działania i stosowania takich metod na terenie Stanów Zjednoczonych.

Wiedział, że musi poinformować szefa Mosadu o wydarzeniu w Nowym Jorku ze względu na zaangażowanie Dolores, śmierć Inez, no i dlatego, że mogło ono naruszać interesy żydowskie. Poza tym szef i tak się jakoś dowie, bo Dominik nie odpuści i niedługo cały świat wywiadu będzie o tym mówił. Lepiej więc być pierwszym.

Parczywa sprawa! – pomyślał ze smutkiem i rosnącym gniewem.

9 maja

W wytwornym salonie rezydencji rodziny Greyów w londyńskiej dzielnicy Kensington zasiadało w wygodnych fotelach obitych jasnobieżowym jedwabiem trzech mężczyzn. Palili cygara i pili szkocką whisky. Byli to lord Grey, jego syn Malcolm i sir James Gibbons, który tego dnia wrócił z Waszyngtonu, dokąd udał się bezpośrednio z Nowego Jorku. Nad Potomakiem spotkał się z najbliższym doradcą prezydenta Eisenhowera i szefem FBI J. Edgarem Hooverem.

Teraz przekazywał zebranim całą swoją wiedzę i dokonywał podsumowania.

– W Białym Domu zapewniono mnie o pełnej gotowości do wszelkiej pomocy, gdybyśmy czegokolwiek potrzebowali. Prezydent odebrał w tej sprawie telefon od Churchilla, a to przecież kombatancki z ostatniej wojny, więc mamy we wszystkim zielone światło. Hoover miał już na biurku raport Carsona, szefa nowojorskiego biura FBI, i przychyliła się do opinii, że to musiał być nieszczęśliwy wypadek. Nie znajduje innego wytłumaczenia – bo niby dlaczego ekipa obserwacji FBI miałyby zabijać figurantów, za którymi chodziła od tygodnia? A Hoover to stary lis i potrafi zwietrzyć fałsz.

Lord Grey, który był rówieśnikiem Churchilla i kończył w tym roku osiemdziesiąt cztery lata, wstał, podszedł do kominka i zaczął mówić.

– Tak, prosiłem Winstona o telefon do Ike’a Eisenhowera, choć sam go znam z czasów wojny. Ale Churchill to zawsze Churchill. Dziękuję, sir Jamesie, za pańskie zaangażowanie w sprawę. Jestem już starym człowiekiem i życie nauczyło mnie, że to, co proste i oczywiste, na ogół takie nie jest. Sześćdziesiąt lat temu pod Omdurmanem armia derwiszów trzykrotnie przewyższała nas pod względem liczebności. Nasi egipcjacy szpiedzy donosili, że w obozie wroga panuje euforia, bo są pewni zwycięstwa. Było dla nich proste i oczywiste, że przejdą po nas, jak przeszli po obrońcach Chartumu i generale Gordonie, któremu ucięli głowę. Ale następnego dnia

rozbiliśmy ich w pył, a sami straciliśmy zaledwie kilkuset zabitych. Wszystko dlatego, że mieliśmy kilkadziesiąt armat, dwadzieścia karabinów maszynowych Maxim i tego wariata Kitchenera za dowódcę. To była dobra lekcja z prawd oczywistych. Teraz interesuje nas kierowca śmieciarki oraz to, czy ewentualnie Inez i Ratz mieli w Nowym Jorku zająć się czymś, o czym nie wiemy i może już się nie dowiemy...

– Pan wybaczy, milordzie – odezwał się Gibbons. – Carson rozmawiał z ojcem kierowcy, swoim podwładnym i przyjacielem. Chłopak jest w autentycznym szoku, ale zeznał ojcu jak na spowiedzi, że to był wypadek!

– A co ma powiedzieć ojciec w takiej sytuacji? Nie zawsze wszystko wiemy o swoich dzieciach. Jeżeli jest tu jakieś drugie dno, to ucieczka w szok stanowi idealne wyjście. Komisja lekarska, niezdolność do służby i tak dalej. Sam stosowałem takie rozwiązania, gdy z różnych względów nie dało się niektórych ludzi utrzymać w służbie. Śledź, Gibbons, losy kierowcy.

– Sugeruje pan, że FBI kręci i nas oszukuje?

– Nasi przyjaciele z MI6 od początku wojny współdziałali z FBI w obu Amerykach, chroniąc nasze interesy przed nazistami. Ręczę za ludzi FBI i tę strukturę. Wprowadzie ich szef J. Edgar Hoover lubi chłopców, ale nie on jeden. Poza tym to policjant z krwi i kości. Jeżeli ktoś tu mógłby mataczyć, chociaż nie mam zielonego pojęcia z jakiego powodu, to na pewno nie FBI.

– Więc zakładając, że nie FBI, to kto, na Boga? CIA...?! – wykrzyknął sir James i zamilkł, jakby doznał olśnienia. Darzył lorda Greya olbrzymim szacunkiem, lecz tego wieczoru jego przenikliwość i logika myślenia były zupełnie zaskakujące.

– *Maybe*. Podczas wojny poznałem Dzikiego Billa Donovana, szefa OSS, i Allena Dullesa. Byli zafascynowani wywiadem i operacjami specjalnymi na tyłach wroga, ale nic nie potrafili. Nasz wywiad miał za sobą kilkadziesiąt lat nowoczesnych doświadczeń w zakresie operacji specjalnych, a nasi amerykańscy przyjaciele i sojusznicy dopiero wkraczali na tę ścieżkę. To my nauczyliśmy ich wszystkiego: zabijać, wysadzać w powietrze obiekty, infiltrować

struktury przeciwnika. Odnosiłem niekiedy wrażenie, że dajemy dziecku brzytwę. Po wojnie naszym nowym wrogiem stał się komunizm i Stalin, niedawny sojusznik, któremu Churchill nigdy do końca nie ufał. Wojna z komunistami na cichym i nie tak cichym froncie stała się równie okrutna jak ta z nazistami. Ale tym razem na czoło wysunęli się nasi amerykańscy kuzyni. To oni grali pierwsze skrzypce w obaleniu rządu Mosaddegha w Iranie kilka lat temu i zainstalowaniu szacha; my udzieliliśmy im zaledwie skromnej pomocy. Dulles podlegał berlińczyków do ulicznych wystąpień w pięćdziesiątym trzecim i Węgrów do obalenia komunistów trzy lata później. CIA usuwa i instaluje rządy w Ameryce Południowej. Właśnie szykują się do obalenia rządu w Gwatemali. W ubiegłym miesiącu rozsypała im się operacja specjalna w Indonezji, gdzie samoloty CIA zatopiły przy okazji nasz frachtowiec...

– Tak, słyszałem o tej pomyłce – wtrącił sir James.

– Chłopcy z CIA grają bardzo ostro. Są fanatycznymi antykomunistami i nie potępiam ich za to. Ale popełniają masę błędów. A jeżeli ktoś sobie ubzdurał, że nasz Ratz to agent komunistyczny? Sam go podejrzewałeś o przerzut premiera Hankego do Polski, a świat wywiadu jest mały. W końcu to my daliśmy FBI zlecenie na śledzenie Polaka mieszkającego w Wielkiej Brytanii.

– Ale nawet gdyby, to po co od razu zabijać? – odparł Gibbons, podziwiając sprawność intelektualną lorda Greya.

– Nie wiem. Na razie tylko dywaguję. Nie oskarżam nikogo i nie rzucam podejrzeń. Ale to wszystko jest zbyt proste, aby było prawdziwe. Churchill i ja po raz pierwszy powąchaliliśmy prochu nie pod Omdurmanem, ale rok wcześniej na Pograniczu Północno-Zachodnim, gdzie nasze Imperium toczyło wojnę z afgańskimi plemionami Afridi i Orakzai. Tam szybko zrozumieliśmy, że wróg może nagle stać się przyjacielem i odwrotnie, że prawie wszystko jest możliwe, a przebiegłość ludzka... Afgańczycy zaś są mistrzami przebiegłości... nie ma granic. Wybacz przeto i zrozum sceptycyzm starego człowieka. Obserwuj losy kierowcy śmieciarki, a ja będę dalej uruchamiał *old boy network* na najwyższych szczeblach.

Malcolm, który dotąd przysłuchiwał się rozmowie w milczeniu, wreszcie się odezwał:

– Na miejscu Amerykanów chciałbym znaleźć jak najbardziej niewinne wytłumaczenie nowojorskiego incydentu. Wiedzą już, że zabici mieli powiązania z najwyższymi sferami, bo inaczej nie dzwoniłby Churchill i nie zjawił się w Ameryce sir James. Gdyby to zdarzyło się tutaj, my też chcielibyśmy przyjąć wersję nieszczęśliwego wypadku. Nie wierzę więc, że oficjalne śledztwo przyniesie cokolwiek poza takim właśnie wyjaśnieniem. Jeżeli chcemy znać prawdę, musimy działać zakulisowo, wykorzystując kontakty, o których mówisz, ojczu, ale jak w typowej operacji wywiadowczej.

– Szpiegowanie Amerykanów może okazać się ryzykowne... – zauważył sir James i zanim Malcolm zaoponował, dodał: – Ale nie niemożliwe. Nie tylko ty zawdzięczasz życie Ratzowi, ja też, i nie zamierzam o tym zapomnieć!

Otworzyły się drzwi, wszedł majordomus lorda Greya i przez chwilę coś mu szeptął na ucho.

– Dziękuję – powiedział lord Grey do służącego, który skierował się do wyjścia, dyskretnie zamykając za sobą drzwi. Następnie gospodarz zwrócił się do swoich rozmówców głosem drżącym ze zdenerwowania. – Zniknęli chłopcy Inez i Ratz. Opiekunka też. Jakby się rozplynęli. Nie mogę w to uwierzyć! Jeszcze parę dni temu poleciłem służbie sprawdzić, co u nich. Opiekunka zapewniła, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Malcolm nie zareagował.

– Mogła to zrobić jedynie organizacja, z której wywodził się Ratz – dedukował spokojnie sir James. – Ale skąd się tak szybko dowiedzieli, że Ratz i Inez nie żyją? Przecież inaczej nie ruszaliby chłopców. Powinniśmy zarządzić alarm i zablokować granice? Nie mogę znieść myśli, że ci chłopcy trafią nie wiadomo dokąd. Może nawet za żelazną kurtynę!

Lord Grey szczerze cenił i lubił sir Jamesa, ale jako stary, doświadczony sługa i budowniczy Imperium Brytyjskiego wiedział doskonale, że nawet najbardziej otrzaskanym na polu bitwy żołnierzom po przejściu do MI6 niełatwo było wyzbyć się odruchu natychmiastowego działania.

– Daruj sobie, drogi Gibbonsie. Organizacja, do której przynależał Ratz, to, jak się wydaje, zawodowcy, więc opiekunki i chłopców nie ma już na Wyspach. Sądzę, że o śmierci Inez i Ratta wiedzieli, bo albo ktoś od nich towarzyszył parze, albo dostali cynk prosto z Ameryki. Tak czy inaczej potwierdza to ich sprawność. Mnie też niełatwo pogodzić się z utratą tych chłopaków, ale czuję instynktownie, że nic im nie grozi i nie zazną krzywdy. Komuś musiało na nich bardzo zależeć, skoro zorganizował tak błyskawiczne zniknięcie. O ile wiem, ta opiekunka też była z Polski. Może miała cały czas kontrolować sytuację. Jak myślisz, Malcolmie? Spędziłeś wśród nich trochę czasu.

Malcolm, który po latach doszedł już całkowicie do siebie po traumie wojennej, nalał sobie whisky, usiadł i zaczął wspominać.

– Przez większość czasu leżałem bez czucia i półprzytomny, dopiero jakieś pół roku przed wyruszeniem z Polski na Zachód zacząłem coś kojarzyć. Opiekowali się mną różni ludzie, głównie stara kobieta, znachorka, bo reszta była na wojnie. No i oczywiście Ratz, gdy mógł. Ale obowiązywały ścisłe zasady konspiracji. Każdy wiedział tyle, ile musiał wiedzieć, i ani grama więcej. Obowiązywały pseudonimy. Że Ratz to Ratz, dowiedziałem się dopiero w naszym konsulacie w Portugalii u kresu ucieczki z Polski. Po wyzdrowieniu, gdy mogłem się poruszać o własnych siłach, przemieszczaliśmy się dwa razy do nowych kryjówek. Sprawność tej organizacji była imponująca. Zdawałoby się, że będziemy przemykać się jakimiś opłotkami i bocznymi drogami... Ale nie! Zajechał po mnie samochód polskiej granatowej policji, która pilnowała wtedy porządku, współpracując z Niemcami i – jak się okazało – z organizacją Ratta. Wtedy, w okupowanej Polsce, ci ludzie mogli zdziałać prawie wszystko. Byli pewni siebie i nie bali się Niemców, lecz nigdy nie kusili losu pychą, arogancją czy głupotą.

Malcolm wstał, nalał sobie kolejną porcję whisky i mówił dalej:

– Ratz był dla mnie jak brat, a Inez jak siostra. Ktoś z jakiegoś powodu ich zabił. Wychowałeś mnie, ojcze, na oficera i dżentelmena, dla którego honor to podstawa. Mówiłeś, że długi należy bezwzględnie spłacać. A ja w Polsce zaciągnąłem u tych ludzi ogromny dług i zamierzam go spłacić.

– Nie zapominaj, drogi chłopcze, że ja też zostałem dłużnikiem Racza, gdy cię wyprowadził z okupowanej Europy, podczas gdy sir James, ja i wielu innych myśleliśmy już, że nie żyjesz. Pamiętaj jednak, że w takich sprawach jak ta – gdzie ewidentnie splata się wiele wątków, z których nie wszystkie są nam jeszcze znane – należy działać według starodawnej maksymy prawnej: *with all deliberate speed*, z przemyślanym pośpiechem.

Inez zahacza o interesy wywiadu brytyjskiego – włączył się do rozmowy Gibbons. – A wszyscy mamy święty obowiązek o nie dbać, bo to także interesy Imperium!

– Wypijmy za to – postawił kropkę nad „i” Malcolm i wznosił szklaneczkę.

Po toaście pożegnał się z ojcem i sir Jamesem i opuścił rezydencję.

Ruszył spacerkiem wzdłuż Hyde Parku, kierując się w stronę Park Lane, gdzie zamierzał wstąpić do ulubionego pubu i napić się ginu z tonikiem. Szedł i rozmyślał.

Nigdy nikomu nie powiedział, że w okupowanej Polsce opiekowała się nim też piękna dziewczyna o dzikiej urodzie, łudząco podobna do Inez, ale o zupełnie innym temperamencie, nieokiełzanym. Nie zwierzał się też nikomu, że szaleńczo zakochał się w tej młodziutkiej, pięknej opiekunce i że zostali kochankami. Miała na imię Dolores i była siostrą Inez. A już na pewno nie ujawnił ani ojcu, ani sir Jamesowi i innym przyjaciółom z brytyjskich wyższych sfer, że po wojnie wielokrotnie spotykał się z Dolores w Europie, by się namiętnie kochać. Wszystko to jeszcze bardziej wiązało go z Raczem i piękną Inez, siostrą miłości jego życia.

Malcolm nigdy nie marzył o karierze wojskowej, bo był utalentowanym malarzem i w odróżnieniu od braci – urodzonych żołnierzy – człowiekiem o wielkiej wrażliwości. Ale wybuch wojny i pochodzenie społeczne nie dały mu wyboru. Nie mógł malować obrazów, gdy jego pokolenie ginęło za Imperium. W Polsce poznał ludzi, jakich nigdy przedtem nie znał, a ówczesne przeżycia ukształtowały jego przyszłe losy. Zrozumiał, co to miłość, przyjaźń i na czym polega prawdziwe życie. Trafił do swojej kompanii braci.

Pojął też, że Dolores nigdy nie zostanie jego żoną, bo nie pasowała do brytyjskiej arystokracji i nie wytrzymałaby pięciu minut wśród konwenansów, do których jej siostra o łagodnym usposobieniu bez trudu się przystosowała.

Najmłodszy syn lorda Greya zaakceptował więc Dolores taką, jaka była. Przyjął też warunki, na jakich opierał się ich związek – bo nie miał wyboru i dosyć siły, by z niej zrezygnować. Pogodził się z tym, że Dolores została oficerem wywiadu izraelskiego i narażała życie, robiąc to, do czego miała powołanie. A ponieważ nie mógł jej tego zabronić, to postanowił pomagać. Dzięki posiadanej wiedzy i kontaktom zdołał tak poszerzyć jej możliwości, że szybko awansowała w tym swoim wywiadzie na tyle wysoko, że stała się zbyt cenna, by przemierzać świat z pistoletem w ręku i przeprowadzać niebezpieczne dla życia – jej życia – operacje specjalne.

Nikom z życzliwych Malcolmowi ludzi nie przyszło na myśl, by po traumatycznych przeżyciach wojennych kierować go do dalszej pracy w armii czy służbach specjalnych. W rezultacie jako bohater wojenny i oficer został podwładnym ojca w pałacu Buckingham i łącznikiem dworu ze służbami specjalnymi i sztabem generalnym armii brytyjskiej, co dawało mu dobry wgląd w to, co dzieje się nie tylko w Wielkiej Brytanii, ale i na całym świecie. Wrócił też do malarstwa i poważnych studiów nad sztuką, a ponieważ wnętrza pałacu Buckingham stanowiły jedno z największych i najpiękniejszych muzeów świata, został jego nieformalnym kustoszem, co doceniała także rodzina królewska. Malcolm poznał wszystkich, którzy liczyli się nie tylko w służbach specjalnych i armiach sojuszników Imperium, ale również w międzynarodowych sferach arystokratycznych i towarzyskich. Uchodził trochę za playboya, który nie ma czasu na żeniaczkę.

Gdy dotarł do swojego pubu, zamówił gin z tonikiem, usiadł przy stoliku, wyjął z kieszeni marynarki notes z kalendarzem i zaczął się zastanawiać, kiedy wywołać Dolores na spotkanie. Za kilkanaście dni miały przyplłynąć do Londynu zwłoki Inez i Rata, planowano uroczysty pogrzeb, więc przez najbliższe dwa tygodnie i tak nie mógł się nigdzie ruszyć. Nie wyobrażał sobie, że nie weźmie udziału w

ceremonii. Byłby to szok dla całej socjety. Skoro jednak zniknęli Max i Andy, to Dominik musi już wiedzieć o wszystkim. Malcolm poznał Dominika w Polsce, wiedział doskonale, kim był i jaką organizacją kierował. Po wojnie kilka razy spotykał się z nim w Europie w obecności Ratza, Dolores lub sam na sam – bo to był człowiek, który ocalił mu życie i kazał go odesłać do domu, nawet jeżeli miał w tym swój interes... Nie chwalił się przed nikim tą znajomością, bo wtedy mogłaby wyjść na jaw jego miłość do Dolores oraz prawda o Inez, a nikt z jego sfery by tego nie zrozumiał. Dla niego zaś skończyłoby się to, co w swoim życiu uważał za najcenniejsze.

Kalkulował, że skoro Dominik wie, to wie także Dolores, bo ją pierwszą musiał poinformować o śmierci siostry. Oznaczało to, że spotkają się po pogrzebie, najszybciej, jak tylko to będzie możliwe. Opierając się na tym, co już mi wiadomo, ustalę plan działania – myślał – i zacznę rozwiązywać tę sprawę. Może Dolores uda się do Nowego Jorku, żeby uruchomić jakieś mechanizmy swojego wywiadu. Ależ oczywiście – olśniło go nagle – przecież tam jest więcej Żydów niż w Izraelu! Oznacza to, że najwcześniej mogę ją wywołać na spotkanie za jakieś dwa, trzy tygodnie. To dobrze, bo wtedy wszyscy będziemy wiedzieli więcej.

10 maja

Harry Adams zawsze lubił Włochy i szczerze się ucieszył, gdy Dominik ściągnął go na spotkanie do Mediolanu. Siedzieli w małej włoskiej restauracji w pobliżu katedry, jedli to, co Harry lubił najbardziej – tagliatelle w sosie z czterech rodzajów sera – i popijali wyborne, mocne czerwone amarone. Nie złożył Dominikowi wyrazów współczucia, bo cóż mógł powiedzieć, tylko po prostu uściśnął mu rękę na powitanie mocniej i dłużej niż zwykle, a gdy usiedli, zrelacjonował wszystko, co wie.

– Opowiadałeś mi wiele lat temu, że kiedyś wykupiłeś pewną kobietę. To ona zginęła przed hotelem? – upewnił się Harry na wszelki wypadek.

– Tak, właśnie ona – odparł krótko Dominik. – Co myślisz o sprawie, Harry?

– FBI nie zabija ludzi w taki sposób, a zwłaszcza takich jak Inez czy Ratz, nadanych do obserwacji przez wywiad brytyjski...

– Wywiad brytyjski zlecił obserwację Inez i Ratz w Nowym Jorku? – przerwał zaskoczony Dominik. Postanowił jednak nie rozwijać tego wątku z Harrym. Nie wątpił, że znajdzie lepiej poinformowanych rozmówców.

– Tak. Zlecenie dostało FBI w Nowym Jorku. Ustaliłem, że kierowca śmieciarki, która ich rozjechała, to młody człowiek z paroletnim stażem w służbie, po dobrej uczelni. Ojciec też w FBI. To by wskazywało na nieszczęśliwy wypadek. Ale jeśli montujesz kanał przerzutu narkotyków z Ameryki Południowej do Europy, a część towaru ma być sprzedawana w Stanach, to jako nowy gracz oznaczasz dla kogoś konkurencję...

– Skoro musisz wiedzieć, to dogadałem się z kim trzeba w Nowym Jorku...

– Domyślam się, że z włoską mafią, ale... – zaczął niepewnie Harry i zamilkł.

– Co chcesz mi powiedzieć, Harry? Znam cię i widzę, że coś cię męczy.

– W Agencji chodzą plotki, że różni ludzie od nas mogą siedzieć w narkotykach w Ameryce Południowej – wykrztusił Harry.

Dominik bystro na niego spojrział i odstawił kieliszek. Adrenalina sprawiła, że pomimo wypitego alkoholu w pełni kontrolował wszystkie zmysły. Nareszcie – pomyślał – namiastka motywu, którego szukałem!

– Skup się, Harry. CIA w narkotykach? Możesz to rozwinąć? Czy to jest na tyle poważne, że nasz kanał mogli odebrać jako zagrożenie?

– Nie mam bladego pojęcia. Tę informację uzyskałem tuż przed wylotem na to spotkanie. Muszę mieć więcej czasu na rozpracowanie tematu, a to nie będzie ani łatwe, ani szybkie.

– Ja się aż tak nie spieszę, Harry. Mam czas, dużo czasu! – odrzekł Dominik i pomyślał, że zemsta jest daniem, które należy jeść na zimno. Poza tym nie chciał niepotrzebnie stresować swojego agenta.

– CIA przez ostatnie lata prowadziła masę operacji specjalnych na świecie, walcząc z komunizmem. Jest moda na działania w stylu płaszcza i szpady, bo stary Dulles, nasz szef, uważa, że to skuteczne. A wiesz najlepiej, że takie operacje budzą w niektórych ludziach uśpione wariactwo. Wywiad, działając za granicą, zawsze łamie czyjeś prawo, ale to cudze prawo i jest na to przyzwolenie. Kiedy jednak nielegalne działania wejdą komuś w krew i zaczynają się przenosić na rodzimy grunt, to recepta na nieszczęście gotowa. Ustale, co będę mógł, a na razie masz to – zakończył Harry i podał Dominikowi kopertkę z mikrokropkami zawierającymi informacje o amerykańskich zabezpieczeniach granicznych.

– Dzięki, Harry. Uzupełnię twoje konto, chyba że chcesz trochę wsparcia od razu. – I nie czekając na odpowiedź, Dominik wyjął z torby książkę i podał przez stół Harry’emu. – Brakuje paru stron, ale zastępuje je zgrabnie dwadzieścia kawałków. A książka i tak nudna.

– *Grazie*. Słowny jak zawsze – odparł Harry, rzucając mimowolnie okiem na nazwisko autora i tytuł: *Brantôme, Żywoty pań swawolnych*. Uśmiechnął się do Dominika. – Dobra literatura francuska...

– Sądzę, że trop narkotykowy CIA w Ameryce Południowej, o którym wspominałeś, to słuszny kierunek – ocenił Dominik, chociaż nie dodał, że ta możliwość nasunęła mu się już w rozmowie z Gerardem. – Zgłębiaj to, proszę.

– Jasne. Nie zrezygnujesz w takiej sytuacji ze swoich planów?

– A dlaczego? – odparł Dominik. Czuł, że Harry, jak każdy agent, stara się wyciągnąć od osoby, dla której pracuje, trochę przydatnych informacji. Mówił więc, zakładając, że jego słowa mogą trafić do drugiej strony, ale przede wszystkim muszą trafić do świadomości rozmówcy. Inspiracja, tak to się nazywało w wywiadzie. Spojrzał na Harry'ego jakby z roztargnieniem i kontynuował: – Wręcz odwrotnie! Najwyżej zmienię partnerów i wejdę w to po szyję, bo teraz nie mam wyboru. Muszę nie tylko zarobić, ale też rozpracować, kto w CIA za tym stoi, jeżeli to w ogóle oni.

– Wiesz, Dominiku – zamyślił się Harry, który szybko obliczył, ile szlachetnych kamieni nabędzie za dwadzieścia tysięcy dolarów, co znacząco poprawiło jego samopoczucie – zawsze mnie zadziwiało, jak wiele nieszczęścia ludzie potrafią ściągnąć sobie na głowę bez żadnej potrzeby.

– Rozumiem, że masz na myśli tych potencjalnych baronów narkotykowych z Agencji?

– Właśnie – rzekł Harry, ucieszony, że Dominik ma jednak kolejny słaby punkt: chęć zemsty.

Ale dla mnie to jest mocny punkt, przynajmniej jeżeli chodzi o moje zarobki – zreflektował się. Cóż, zemsta to kosztowny luksus.

Spojrzał na Dominika i prawie radosnym głosem zapytał:

– Jeszcze jedna butelka amarone?

– *Per quale motivo no?* – odrzekł retorycznie Dominik, czując, że jego agent nabrał właściwej motywacji, by mu dalej pomagać.

11 maja

Siedzieli w niewielkiej rzymskiej kawiarence na świeżym powietrzu, nieopodal Schodów Hiszpańskich, i popijali campari z wodą sodową. Dolores była lekko zaskoczona, gdy dowiedziała się od Dominika, w jaki sposób zabito jej siostrę i Ratza.

– Żadnej finezji. Można rzec, że genialne w swej prostocie i głupocie. Większość zawodowców pomyśli, że to był nieszczęśliwy wypadek, bo po pierwsze po co zabijać, a po drugie tak, żeby sprawca był od razu oczywisty. I to ze służby federalnej?!

– A jeśli nie chcieli zabić, tylko nastraszyć, ale sprawa wyrwała im się spod kontroli i spierdolili, bo kierowca był za młody, niedoświadczony i wcześniej nie uczestniczył w akcji?

– To jest dobre! Trochę nieszczęśliwy wypadek, trochę zamach. Cewi osłupiał, gdy mu odkodowałam informację od ciebie, że jakaś służba jankesów zabiła Inez i Rata. Ale to, co przed chwilą powiedziałaś, już ma sens.

– Prawda?

– Ale to by oznaczało, że palce w tym maczała CIA, bo FBI nie pasuje mi do gier w narkotyki i zabijanie figurantów, których ma śledzić.

– Raczej nie. Co u Cewiego?

– Kazał cię pozdrowić i podziękować za pomoc we wspólnych operacjach. Kazał też przekazać, że pomożemy, to znaczy Mosad pomoże – poprawiła się Dolores – w tej sprawie. Mam jechać do Nowego Jorku.

Po czym zrelacjonowała instrukcje Cewiego związane z wyjazdem, a Dominik uzupełnił jej wiedzę informacjami od Harry'ego, nie ujawniając źródła ich pochodzenia. Wyjaśnił też szczegóły planowanej operacji przerzutowej narkotyków.

– Ostro idziesz, Dominiku. O tak, jeżeli chłopcy z CIA siedzą w narkotykach na południe od Rio Grande, to z pewnością im się nie spodobało, że ktoś chce hasać po ich podwórku. Pamiętasz doktrynę Monroego z początku dziewiętnastego wieku? Ameryka Południowa

dla Amerykanów, ale tych z Północy, a Europie wara. Nie się nie zmieniło, co najwyżej po wojnie doktryna uległa wzmocnieniu, stosownie do potęgi Ami. To cały czas ich podwórko.

– A w czasie okupacji Polska była niemieckim podwórkiem. I co z tego? Nie dawaliśmy sobie rady? Tu sobie daliśmy, to i tam sobie poradzimy.

– *Inszallah*, jak mówią arabscy bracia – odparła Dolores jakby nie do końca przekonana.

– Masz prawo mieć wątpliwości, zwłaszcza po tym, co się stało, ale wierz mi, z grubsza wiem, co robię – uspokoił ją Dominik.

– Wiesz, że jeśli będzie trzeba, to pójdę za tobą w ogień, zresztą nieraz już szłam. Jeżeli wyrażam wątpliwości, to tylko po to, żeby nam pomagały wybrać najlepszą drogę, a nie po to, by przeszkadzały.

– Wiem, Dolores. Zawsze byłeś dobrym żołnierzem. Jak ci wspomniałem, kanał przerzutowy ma iść przez Nowy Jork i tam połowę każdego transportu miał rozprowadzać jeden z szefów miejscowej mafii. Ale pewne poszlaki wskazują, że może być zamieszany w śmierć twojej siostry i Ratza.

– Jeżeli miał z nimi umówione spotkanie i odwołał je, a oni zginęli, to śmierdzi to z daleka jak jego pierdolone kalesony w upalny dzień, że się tak wyrażę.

– Nie byłabyś sobą, gdybyś nie ujęła tak sprawy – skomentował Dominik, który przyzwyczał się już do jej kwiecistych wyrażeń. – Dam ci jego namiary i niech twoi przyjaciele z mafii żydowskiej sprawdzą go, ale tak na wylot!

– Jeżeli się okaże, że ten chuj przyczynił się do śmierci Inez i Ratza, to sama sprawdzę go na wylot, ale niemieckim bagnetem, bo zawsze były z dobrej stali i na kościach się nie łamały...

– Wyrosłaś na niebezpieczną kobietę, Dolores – zauważył Dominik najzupełniej poważnie, bez krzty ironii czy kpiny.

– Miałam dobrego nauczyciela...

– Powiedz też ludziom z mafii żydowskiej w moim imieniu, że jeżeli temat ich interesuje, to zapraszam do spółki. Dostaną lepsze warunki niż Włosi, jeśli pomogą nam w tej sprawie.

– Pomogą na pewno. Cewi już o to zadbał, a jemu nikt z diaspory, czy to mafia, czy rabini, jeszcze nie odmówił pomocy.

– Rzeczywiście, wygląda na człowieka, którego dobry Jahwe obdarzył darem przekonywania bliźnich. Cewi ma za to moją dozgonną wdzięczność. Następną osobę, którą zechce wyprowadzić zza żelaznej kurtyny, przemycę gratis, nawet koszty wezmę na siebie. Ale mafia żydowska z Nowego Jorku to biznesmeni i grają na pieniądze, tak jak ja. Upewnij ich więc, że współpraca ze mną i pomaganie nam w tej sprawie bardzo im się opłaci. Jak zarobią, to i ja będę miał spokojniejsze sumienie, że uczyniłem, co mogłem, a i im będzie się lepiej pracowało przy wypełnianiu dyrektyw Cewiego.

– Jak zwykle nie można odmówić ci racji – uznała Dolores.

– Niech twoi przyjaciele mafiosi skoncentrują się na kierowcy śmieciarki. Im szybciej go znajdziemy i pogadamy, tym szybciej przestaniemy błędzić. W drugiej kolejności niech się wezmą za Włocha, z którym rzekomo się dogadaliśmy. Za CIA niech się nie biorą, chyba że im coś wpadnie przy okazji. Musimy także ustalić, kto w FBI kierował inwigilacją naszych przyjaciół. Ciekawy jest też wątek, że to wywiad brytyjski zlecił ich śledzenie.

– Dostałam wstępny sygnał od Malcolma, że będzie chciał się spotkać za jakieś dwa tygodnie – powiedziała Dolores. – On już może znać odpowiedzi na wiele pytań.

– Świetnie! Oczywiście, że może. Dla niego i lorda Greya to też musiał być cios, więc staną na głowie, żeby sprawę wyjaśnić... Informacji nigdy nie jest za wiele, zwłaszcza gdy układamy taką mozaikę.

– Jak twój syn?

– Tęskni za mamą, ale ma dobrą opiekę.

– Wnuczka gajowego. To dobra dziewczyna. A Andy?

– Przez tę cholerną sprawę szybko staje się mężczyzną – odparł Dominik i opowiedział o rozmowie Gerarda i Andy'ego. – On już wszystko rozumie i jest piekielnie twardy.

– To dobrze. Rośnie następne pokolenie mścicieli – zauważyła hardo Dolores. – Zanim moi rodzice zostali zabici w getcie, obiecałam im, że jeśli przeżyjemy, to zajmę się Inez, bo to ja zawsze

byłam ta twardsza i silniejsza. Dopóki nie trafiłyśmy na ciebie.

– Wiem, Dolores. Dlatego ciebie nauczyłem zabijać Niemców, szmalcowników i każdą inną swołocz, bo charakter kazał ci się mścić za getto i się do tego nadawałaś. A Inez nie.

– Ale ostatecznie jej nie ochroniłam! – rzekła posępnie Dolores.

– Ja też nie.

– Nie podarujemy skurwysynom?!

– Nigdy nie darujemy – odrzekł Dominik i stuknęli się szklaneczkami.

15 maja

W willi na warszawskiej Saskiej Kępie, w wielkim gabinecie na pierwszym piętrze, przy olbrzymim biurku z blatem obitym bordową skórą siedział poważny mężczyzna i czytał jakiś dokument. Pół godziny wcześniej przyniósł go młody człowiek, który teraz przycupnął na krześle przed biurkiem. Czytający mógł mieć jakieś czterdzieści, może czterdzieści pięć lat. Miał na sobie garnitur najnowszego kroju i białą koszulę, a gdyby ktoś zdołał zerknąć na metkę krawata, odkryłby, że pochodzi od Diora.

Nazywał się Adam Szulc i był pułkownikiem w pionie „N” (nielegalów) departamentu wywiadu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a willa, w której urzędował, z zadbanym ogrodem i otoczona wysokim murem – zakonspirowanym obiektem tegoż pionu. Towarzyszący mu młody mężczyzna, jego bezpośredni podwładny, od roku był łącznikiem z organizacją Dominika. Dzień wcześniej wrócił ze spotkania z jej szefem i przywiózł dwie mikrokropki. Jedna była przeznaczona do rąk własnych pułkownika, druga stanowiła osnowę raportu, z którym właśnie się zapoznawał. Najważniejsze tezy dokumentu opracował Dominik osobiście, informując o śmierci Ratza i Inez w konsekwencji zleconej przez wywiad brytyjski inwigilacji. Niczego nie sugerował i nie wyciągał żadnych wniosków; zastrzegł, że czeka na dalsze informacje.

Szulc skończył czytać i odłożył papiery na biurko. Podeszedł do okna. Stał tam przez chwilę, po czym zaproponował:

– Koniaku, kapitanie Darski?

– Tak jest! – odpowiedział podwładny. Zrozumiał, że to będzie dłuższa i głębsza rozmowa.

Szulc nalał dwa kieliszki i zaprosił Darskiego gestem, by usiadł w wygodnym klubowym fotelu z ciemnobrązowej skóry; sam zajął drugi.

Młody oficer poczuł się wyróżniony. Cały pion wiedział, że podczas okupacji jego szef walczył w Polsce. A że pochodził ze Śląska i niemiecki znał równie dobrze jak polski, to często podczas

akcji działał w niemieckim mundurze, wyjeżdżał nawet do Rzeszy właściwej. W wywiadzie „nielegalnym” uchodził za niekwestionowanego eksperta od infiltrowania niemieckojęzycznej części Europy, a zwłaszcza różnych struktur Niemieckiej Republiki Federalnej – głównego powojennego przeciwnika państwa polskiego – i był nie do ruszenia. Nawet dla najbardziej zagorzałych stalinowskich poszukiwaczy odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego, którzy w czasie wojny nie tylko nie walczyli w okupowanej Polsce, ale w ogóle nie walczyli, przedkładając front ideologiczny nad jakikolwiek inny front.

Podwładni Szulca wiedzieli więc, że wszystko, czego pułkownik od nich wymagał, sam zrobił już wcześniej wielokrotnie – przypuszczalnie też lepiej, szybciej i sprawniej. Dlatego tylko najlepsi oficerowie pionu mogli liczyć na udział we wspólnych przedsięwzięciach operacyjnych. Kapitan należał do tej grupy i dałby się za swojego przełożonego pokroić na najmniejsze kawałki.

– W jakiej formie jest nasz przyjaciel Dominik? – zapytał pułkownik.

– Biorąc pod uwagę, że zginęli jego ludzie, to w znakomitej – odpowiedział Darski, gdyż znał treść raportu Dominika z mikrokropki, którą dostał do wywołania. Ostateczną wersję dokumentu dopracowywał przez większą część ubiegłej nocy, aby mogła z samego rana znaleźć się na biurku pułkownika. – Nie po nim nie widać!

Drogi chłopcze – pomyślał Szulc – gdybyś jeszcze wiedział, kim była dla niego Inez! Ale kapitan nie miał o tym pojęcia. Wiedział tyle, ile musiał, by sprawnie realizować misję oficera łącznikowego. Ponieważ oficerem prowadzącym Dominika – wpisanym do teczki pracy źródła – był Szulc.

– No tak, cały Dominik. Kamienna twarz i twardy jak stal. Kiedyś to go wykończy – rzekł szef pionu „N”. – Albo i nie – dodał po chwili jakby do siebie. – Co planuje?

– W dwóch słowach: dorwać winnych – odparł kapitan. Wiedział z wielu poprzednich rozmów z przełożonym, że Szulc nade wszystko ceni precyzję, zarówno na strzelnicy, jak i w mowie. – A szerzej, to

zbiera informacje o zdarzeniu ze wszystkich możliwych źródeł. Pyta, czy warto zasięgnąć języka u PR.

– U przyjaciół radzieckich? – zamyślił się pułkownik. Takim mianem określano w wywiadzie MSW pracowników KGB. – Zobaczymy. Jeżeli tak, to musimy ostrożnie sformułować pytanie, żeby nie odkryli, że Dominik jest nasz. Mówcie dalej.

– Zebrał już sporo informacji jak na dwa tygodnie pracy. Koncentruje się na kierowcy śmieciarki i pogłosce o ewentualnym udziale ludzi CIA w obrocie narkotykami w Ameryce Południowej. Nie podaje źródła tej informacji. To możliwe? Po co im to? Przecież mają pieniądze.

Pułkownik, który doświadczeniem konspiracyjnym, operacyjnym i życiowym mógłby obdzielić wielu młodych i nie tak młodych kolegów po fachu, zerknął na kapitana i nic nie odpowiedział. Wywiady, bez względu na to, ile im przydzielono środków z budżetu państwa, uwielbiały mieć do dyspozycji czarne fundusze, z których nie musiały się w żaden sposób rozliczać przed rządowymi, partyjnymi czy parlamentarnymi nadzorcami. Zarabiano te pieniądze na wszelkie sposoby: na narkotykach, handlu bronią, ludźmi i wszystkim, co miało wartość w danym miejscu i czasie. Zawsze jednak było to nielegalne, a więc ryzykowne.

Ale nie będę tego tłumaczył młodemu – pomyślał. Gdy przyjdzie pora, to się dowie.

– Jak poważnie Dominik traktuje ten narkotykowy trop CIA w Ameryce Południowej? – odpowiedział pułkownik pytaniem.

– Wnioskuje, że bardzo poważnie, choć w gruncie rzeczy nie wiem, jakie ma ku temu podstawy – odparł kapitan, niewprowadzony w szczegóły planów ekspansji organizacji przemytniczej Dominika w obu Amerykach. Nie było mu to do niczego potrzebne. Wszystkie detale znał jego przełożony z drugiej mikrokropki przeznaczonej do rąk własnych. Ale Szulc wiedział, że zasady sztuki wywiadowczej nakazują mu szczegółowo przepytac podwładnego na temat spotkania z Dominikiem, bo osobiste wrażenia są nie mniej ważne aniżeli fakty.

– Skąd ten wniosek, kapitanie?

– Bo gdy Dominik mówi o czymś poważnie, to tak to traktuje. A o tym tropie mówił śmiertelnie poważnie. Mam więc przeczucie, że...

– Przeczucie?

– No tak, ja wiem, że to nie twarda, potwierdzona informacja... – zaczął usprawiedliwiać się Darski.

– Nie, nie, kapitanie, w porządku – wszedł mu w słowo pułkownik. – Przeczucie i instynkt to ważna rzecz w wywiadzie, zwłaszcza gdy się sprawdzają. Zapamiętajcie to!

– Tak jest!

– Zróbcie analizę sprawy pod kątem wyjaśnienia przyczyn zlecenia przez MI6 inwigilacji Inez i Ratza w Nowym Jorku. Czy wynikało to z jego udziału w sprawie premiera Hankego lub innej prowadzonej dla nas? I skąd wywiad brytyjski mógł ewentualnie dostać na ten temat przeciek? Bo bez powodu by go nie śledzili. A jeżeli był przeciek od nas, to warto o tym wiedzieć, prawda?

– Bez dwóch zdań...

– Przygotuję tezy do instrukcji dla Dominika. Dziękuję, kapitanie. Możecie się odmeldować.

– Tak jest. Odmeldowuję się, towarzyszu pułkowniku.

Gdy Darski wyszedł, Szulc usiadł, nalał sobie nieco koniaku i zamyślił się. Parszywa sprawa, z której wynikną same kłopoty. Organizacja Dominika była dla pionu „N” niezwykle cenna. Miała ludzi w całej Europie, a jej kanały przerzutowe sięgały poza kontynent. Umiała przemycać ludzi i towary ze Wschodu na Zachód i odwrotnie, z Północy na Południe i odwrotnie. Miała kontakty z różnymi wywiadami, dziwnymi organizacjami i grupami. Na ich zlecenie przemycała ludzi zza żelaznej kurtyny na Zachód, co pionowi „N” nie przeszkadzało, bo w ten sposób mógł plasować także swoich oficerów nielegalów lub agentów. Czasami szmuglowała z Zachodu na Wschód, co bywało bardziej kłopotliwe, gdyż nieraz trzeba było przemykać na to oko. Bywało to jednak użyteczne dla wywiadu, gdy rozpracowanie wykazywało, że takich podróżników uda się przewerbować i w przyszłości wysłać z powrotem na Zachód. Od czasu do czasu dostarczała też pierwszorzędnych informacji politycznych i militarnych.

Dominik i jego organizacja uchodzili za bardzo trudnych we współpracy. Byli mocni, niezależni, nie podejmowali się każdego zadania i konsekwentnie odmawiali całkowitego podporządkowania się. Zwłaszcza szef był błyskotliwym i wymagającym rozmówcą, za którym trudno było nadążyć. Nie trawił też idiotów – żadnej narodowości, w tym polskiej. Ale kierownictwo wywiadu, a pionu „N” w szczególności, nie składało się – zwłaszcza po 1956 roku – z ortodoksyjnych służbistów, tylko z ludzi, których wojna i potrzeby konspiracji nauczyły sztuki przetrwania. A do tego konieczna była elastyczność i umiejętność dopasowania się do konkretnej sytuacji i konkretnych osób.

Ktoś chciał mieć poczucie niezależności, nie chciał podpisywać zobowiązań o współpracy i wykonywać niektórych zadań – nie ma sprawy! Niech działa na swój sposób, byle profesjonalnie, i niech daje wywiadowi to, na czym mu zależy, a wywiad dostosuje się do jego fanaberii, w granicach rozsądku, a nawet trochę poudaje, że druga strona jest piękniejsza, mądrzejsza czy lepiej urodzona. *No problem.* Ale do czasu, gdy większość atutów będzie w jego rękach. Z reguły wtedy przychodził czas na dyktowanie warunków przez wywiad. Ale też z umiarem i bez naruszania równowagi w poczuciu wzajemnego szacunku i godności. Mistrzem takich rozgrywek i głaskania niepokornych agentów czy wolnych strzelców był pułkownik Adam Szulc.

Dlatego został głównym oficerem prowadzącym Dominika i jego organizację i dawał sobie nieźle radę. Zadanie to przypuszczalnie ułatwiał mu fakt, że Dominik był jego przyrodnim bratem. Ale o tym nie wiedział nikt ani w polskim wywiadzie, ani w organizacji Dominika. Mieli wspólną matkę i różnych ojców. Ojciec Adama, przedwojenny działacz lewicowy, trafił w 1937 roku do Berezki Kartuskiej i już z niej nie wyszedł. Oficjalnie zmarł na atak serca, jak prawie wszyscy, którzy z Berezki nie wrócili. Może to spowodowało, że Adam jeszcze przed wojną związał się ze skrajnie lewicowymi organizacjami robotniczymi, a podczas okupacji walczył w podziemiu komunistycznym, które choć niewielkie, miało dopracowane nawyki konspiracyjne wyniesione z czasów przedwojennych. Ojciec Dominika, Polak ze Śląska, zginął od kuli

bojówkarza Freikorpsu na niespokojnym pograniczu polsko-niemieckim, gdy jego syn był nastolatkiem. Zrozpaczona matka zmarła niewiele później, a na łożu śmierci kazała braciom przysiąc, że będą sobie pomagać.

Dominik zajął się przemytem, bo na tym znał się najlepiej, a polityka go nie interesowała. Raz do roku bracia spotykali się na grobie matki, a jeśli czas i okoliczności pozwoliły, to wypijali kielicha za zmarłych. Bardziej zbliżyła ich wojna, kiedy działając w różnych strukturach konspiracyjnych, mogli się wspierać i świadczyć sobie różne przysługi. Szybko też zrozumieli, że nie powinni afiszować się z tym, że są braćmi. Wróg – taki lub inny – mógł to wykorzystać przeciwko nim. Adam poznał piękną Inez i jej siostrę Dolores. Poznał też Ratza i wiedział, jaki układ łączył Dominika z SS-Oberführerem Gerardem Kutzem. Ale nawet ci najbliżsi i najbardziej zaufani nie wiedzieli, kim Adam naprawdę był dla Dominika. Nie wiedzieli, bo wiedzieć nie musieli. Takie obowiązywały zasady. I tak też zostało po wojnie.

Gdy się skończyła, bracia ustalili, że Adam – jako żołnierz Armii Ludowej z bogatym dorobkiem okupacyjnym i syn działacza zabitego w Berezie Kartuskiej przez sanację – zacznie robić karierę w wywiadzie tworzącego się państwa polskiego, a Dominik będzie kontynuował działalność przemytniczą, jako że w niej osiągał największe sukcesy. Gdy organizacja Dominika nieco okrzepla i zaczęła mieć realne możliwości wywiadowcze w Europie, Adam zwrócił na nią uwagę swoich przełożonych. Wspomniał, że w czasie okupacji raz czy dwa natknął się na jej szefa. Takie harde typy z wojennym bagażem niełatwo poddają się werbunkowi – orzekli szefowie wywiadu, dla których przydatność organizacji Dominika stała się natychmiast oczywista, i zalecili Szulcowi, wtedy jeszcze kapitanowi, by zastosował wobec jej szefa metodę powolnego wciągania do współpracy, co okazało się znakomitym rozwiązaniem.

Z czasem wywiad polski – poprzez organizację Dominika – uzyskał interesujące wejścia operacyjne w Niemieckiej Republice Federalnej, Austrii, Szwajcarii, a przede wszystkim w Londynie, gdzie Ratz trafił na szczyty establishmentu. Otwierały się ciekawe możliwości wywiadowcze w Stanach Zjednoczonych i Ameryce

Południowej. A i Dolores podrzucała czasami sprawy, które mogły przydać się Polakom, a których przekazanie nie szkodziło interesom Państwa Izrael. Istny samograj! Marzenie każdego oficera wywiadu i organizacji wywiadowczej.

Ale jako doświadczony konspirator wojenny i oficer wywiadu pułkownik Szulc wiedział, że nie należy nadmiernie eksploatować tak precyzyjnie działającego mechanizmu. A takie tendencje w wywiadzie zawsze były. Dlatego ściśle kontrolował wszelkie sprawy związane ze stawianiem zadań, obsługą i konspiracją organizacji Dominika. Często bardziej dbał o jej bezpieczeństwo niż o rutynowe zapotrzebowanie informacyjne wywiadu. Temu służył system mikrokropki do rąk własnych pułkownika i sporadyczne osobiste spotkania z Dominikiem gdzieś w Polsce lub Europie.

Śmierć Inez i Ratza zrobiła spory wyłom w tym pięknie funkcjonującym mechanizmie i mogła pociągnąć za sobą trudne do przewidzenia konsekwencje. Ale też potencjalnie ciekawe choć równie trudne do przewidzenia – nowe możliwości wywiadowcze. Jeżeli Dominik traktuje narkotykowy trop CIA z Ameryki Południowej poważnie i zakłada, że Agencja mogła mieć coś wspólnego ze śmiercią bliskich mu osób, to zacznie ją rozpracowywać. CIA wyrastała na potężnego i godnego przeciwnika, Stany Zjednoczone zaś dawno już potęgą i znaczeniem przegoniły rozpadające się ostatecznie Imperium Brytyjskie. Wielka szkoda, że katalizatorem tego nowego kierunku działalności wywiadowczej Dominika stała się śmierć Inez i Ratza, ale życie bywa takie parszywe. Ilu to już przyjaciół pochowaliśmy? – pomyślał pułkownik. A ilu jeszcze pochowamy?

Dopił koniak, usiadł za biurkiem i zaczął pisać instrukcję dla brata. Przeznaczoną wyłącznie do rąk własnych. Informował go w niej między innymi, że decyzją kierownictwa wywiadu obejmie w ciągu pół roku prowadzenie najważniejszego pionu wywiadu – niemieckiego. Zabierał ze sobą teczkę Dominika i jego organizacji. Taki był jego warunek przejścia do tego pionu. Szef wywiadu wyraził zgodę. Polecił też pułkownikowi Szulcowi, by zastanowił się nad zorganizowaniem w pionie niemieckim niezależnej od pionu „N” komórki nielegalów działających wyłącznie na tym kierunku.

16 maja

Coquille St. Jacques należała do ścisłej czołówki najlepszych restauracji w Waszyngtonie, a tym samym na całym Wschodnim Wybrzeżu. Z reguły nie trafiali tu przypadkowi ludzie, gdyż wszystkie stoliki zawsze były zarezerwowane. Goście restauracji nie zwracali uwagi na ceny, których zresztą nie podawano w menu. Liczyły się tylko nazwy oferowanych dań i trunków. Francuski szyk i elegancja dawały się dostrzec na każdym kroku – od haftowanych monogramów lokalu na serwetach po najbardziej wyszukane marki koniaku.

W półokrągłej salce w tylnej części restauracji siedziało trzech mężczyzn około czterdziestki. Posilali się specjalnością lokalu, przegrzebkami zapiekanymi na muszelkach pod pierzynką z tartego sera, śmietany i odrobiny czosnku. Pili pouilly fumé z dobrego rocznika schłodzone do przepisowych dziesięciu stopni i wyglądali na zadowolonych. Wszyscy byli pracownikami operacyjnymi CIA. i weteranami OSS.

Najprzystojniejszy z nich, w typie Gary’ego Coopera, nazywał się Martin Van Vert. Jego wywodzący się z Holandii przodkowie zakładali w XVII wieku pierwsze osady na Manhattanie. Od trzystu też lat Van Vertowie, jedna z najbogatszych i najpotężniejszych rodzin w Stanach, zamieszkiwali Manhattan i okolice. Ich fortuna nie tylko nie krzyczała jak szybki szmal nowobogackich, ale nawet nie szeptała jak konta Rockefellerów czy Mellonów. Po prostu milczała. Ten ród był wieczny jak Republika, której służył od zawsze i której interesy uznawał za swoje – i odwrotnie: to, co służyło Van Vertom, mogło jedynie służyć Republice. Byli od zawsze braminami tego porządku i kapłanami jego ognia wolności.

Przodkowie Henry’ego Lodgera, krótko ostrzyżonego, potężnie zbudowanego mężczyzny o wyglądzie boksera wagi ciężkiej, przyплыli do Ameryki z Anglii i zakładali pierwsze kolonie wokół dzisiejszego Bostonu. Ród Lodgerów nie miał bajecznych bogactw, był jedynie zamożny, bo od zarania Stanów Zjednoczonych

poświęcał się służbie państwowej. To uznawał za swoje powołanie i największą wartość. Lodgerowie znali wszystkich, których warto było znać w tym kraju, a ich wpływy były legendarne.

Z kolei Rick Sanmartino był z pochodzenia Włochem. Jego rodzina wywodziła się z okolic Palermo na Sycylii, gdzie zamieszkiwała od wieków. Była rozbudowana, bogata, wpływowa i nikogo się nie bała. Nigdy o tym głośno nie mówiono, ale wokół Palermo wszyscy wiedzieli, że nawet mafia słucha rodziny Sanmartino i jej służby. Dlatego gdy OSS i MI6 przygotowywały aliancką inwazję na wyspę w 1943 roku, jednym z pierwszych, których zrzucono na spadochronie, był Rick. W drugim rzucie znalazł się Martin Van Vert. Podczas wspólnych działań na tyłach wroga nabrał uznania i szacunku dla odwagi i operatywności Ricka. Wtedy po raz pierwszy dopuścił do siebie myśl, że ci wybrylantynowani makaroniarze z dolnego Manhattanu zasługują na miano prawdziwych Amerykanów i patriotów. A przynajmniej niektórzy z nich, nawet jeżeli zawitali na gościnne wybrzeża Ameryki zaledwie pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat temu.

– To co, panowie, homary z Maine na drugie i buteleczka lub dwie włoskiego verdicchio! – zawyrokował tonem nawykłym do posłuchu Van Vert.

– A mają coś lepszego? – spytał Lodger

– To może verdicchio dei castelli di jesi, *prego* – odezwał się Sanmartino.

– *Niente problema* – odparł Martin. – A teraz do rzeczy. Twój kuzyn ze śmieciarki trochę skomplikował prostą sprawę – zwrócił się do Lodgera.

– Może tak, może nie – odpowiedział Henry Lodger. – Dostali nie lekki sygnał, ale mocny.

– Chyba cię pojebało! – włączył się do rozmowy Rick, który kipiał z gniewu. – Wuj Tomaso zgodził się ujawnić nam kanał, który budują, i wystawić tych dwoje, bo obiecałem mu, że nie będzie miał żadnych kłopotów – szybkie, proste uderzenie po rączkach konkurencji wchodzącej na nasz teren i po sprawie. A teraz masz dwa trupy, dziwną organizację z Europy, z którą byli związani, MI6,

które zleciło inwigilację, jakichś wkurwionych Angoli z dworskich sfer wydzwanających do Białego Domu i FBI, które musi coś w tej sprawie ustalić i zameldować wozdom! To się nazywa dokumentnie spierdolić sprawę!

– Spokojnie, panowie – łagodził atmosferę Martin Van Vert. – Założenie było słuszne. Spójrzmy na fakty. Jakaś organizacja chce nam robić konkurencję w Ameryce Południowej i na naszym własnym progu. Wuj Tomaso, z którym utrzymujemy kontakt od lat, dał nam cynk, bo na szczęście to z nim zaczęli gadać. Najpierw jacyś Niemcy, a ostatecznie przyjechali Polacy, co oznacza, że to zwykli przemytnicy, bo tylko chęć zysku może skłonić Niemców i Polaków do współpracy. Nie więcej! Kuzyn Henry’ego w FBI – na naszą prośbę – donosi swoim o tych handlarzach narkotyków i Biuro obejmuje ich obserwacją, by zobaczyć, co to za jedni i co tu robią. Kuzyn jest kryty, bo dostał anonimowy donos. Decydujemy się puknąć lekko śmieciarką tych dwoje, gdy „uciekają”, żeby FBI musiało ich zgarnąć z ulicy, wylegitymować, pogadać i pod byle pretekstem wydalić z Ameryki z wielkim czerwonym zakazem wjazdu w paszportach! Wystraszyliśmy ich, nie wrócą i po sprawie. Skąd mogliśmy wiedzieć, że MI6 też dało FBI zlecenie na nich? O tym wiedział tylko szef nowojorskiego biura Carson i paru jego zaufanych. Nie uznali za stosowne podzielić się tą informacją z kuzynem ze śmieciarki, panem Fargo, bo niby dlaczego? To po pierwsze. A po drugie, kto mógł przewidzieć, że kuzynowi noga przyklei się do gazu i już tak pozostanie, dopóki kobieta i facet nie wyzioną ducha? Parszywy, pieprzony wypadek przy pracy. Jesteśmy ostatnimi, którym zależało, aby tych ludzi zakatrupić właśnie w Nowym Jorku. Ale stało się i trzeba posprzątać. Nikt nie wie, że kuzyn realizował sprawę dla nas, nawet jego ojciec, i niech tak pozostanie. À propos, jak się chłopak trzyma?

– Był w autentycznym szoku – odrzekł Henry Lodger. – I dobrze, bo to naturalnie wypadło. Ojcu mówił, że nerwy mu puściły i nie wiedział, co się dzieje. Nie nie pamięta. Ocknął się, gdy śmieciarka stała na wraku. Ojciec powtórzył to słowo w słowo Carsonowi, bo razem pracują. Prawdę mówiąc, nie rozmija to się z rzeczywistym przebiegiem zdarzenia. Chłopak idzie na komisję lekarską. Gadałem

z nim. Dałem mu kasę i obietnicę, że gdy zwolnią go z FBI – bo takie mają procedury – to go przytulimy w CIA gdzieś w Ameryce Południowej. Nieźle daje sobie radę, a przede wszystkim trzyma gębę na kłódkę. Jest lojalny.

– To świetnie! – ocenił Martin Van Vert, który lubił znajdować szybkie rozwiązania dla trudnych spraw, bo tak go nauczono w rodzinnym domu. – Więc tym bardziej zasługuje na wakacje w ciepłym klimacie pod naszą kuratelą. Uspokój Wuję Tomasa, Rick. Zwiększymy mu udział w zyskach.

– Z Wujem Tomaszem jakoś sobie poradzę. Ale co z Brytolami i tymi, którzy tę parę tu przysłali? Polak miał brytyjski paszport, więc nie był byle kim. Szef naszej stacji w Nowym Jorku to były policjant i jego kumple z komendy miejskiej donoszą, że MI6 bardzo się interesuje sprawą.

– *Take it easy*, Rick! – powiedział lekko poirytowany Van Vert. – FBI ustali, że to nieszczęśliwy wypadek, bo ich młodemu pracownikowi puściły nerwy, jak poborowemu na froncie w pierwszym starciu, zgodnie zresztą z prawdą – i taką wersję dostanie MI6, bo innej nie ma i nie będzie. Może im dopowiedzą, że to byli handlarze narkotyków, albo i nie – bo po co mają to wiedzieć. Niepotrzebnie by to komplikowało wersję nieszczęśliwego wypadku i ewentualnie nasze znakomite stosunki z Koroną Brytyjską. Tym, którzy ich przysłali, chcieliśmy dać niewinną nauczkę. Wyszło inaczej. Trudno i przykro. Ale co z tym zrobią, wypowiedzą Ameryce wojnę?

Rick Sanmartino nie odezwał się. Czuł instynktownie, że sprawa może mieć kłopotliwe konsekwencje. W końcu został wychowany w kulturze wendety, rozumiał dobrze jej mechanizmy i wiedział, co on by zrobił na miejscu mocodawców zabitej pary... Zarazem jednak znał potęgę i możliwości Van Vertów. Rzeczy, zdawałoby się, niemożliwe stawały się możliwe – bo tak mówił Martin Van Vert.

Do stołu podeszło trzech kelnerów pod wodzą *maître garçon*. Postawili przed każdym z gości olbrzymi talerz przykryty wielką srebrną kopułą i na sygnał *maître'a* jednocześnie unieśli pokrywy, odsłaniając niewiarygodnie wielkie skorupiaki przygotowane do spożycia, z białym mięsem fantazyjnie ułożonym wokół pancerza i

szczypiec.

– *Bon appétit!* – życzył *maître garçon*. Ukłonił się biesiadnikom i dyskretnie wycofał.

– To są poważne sprawy! – rzekł zgłodniały Henry Lodger, z uznaniem patrząc na danie. Nie zważając na to, że część mięsa wyłuszczone już ze skorupiaka i ułożono na talerzu dla wygody gościa, z wielką wprawą ujął homara w mocarne ręce i zmiażdżywszy skorupę, jął maczać kawałki białego mięsa w roztopionym maśle w miseczce ustawionej obok talerza i wkładać je sobie do ust.

Pozostali wybuchnęli śmiechem i poszli w jego ślady.

Po kolacji opłaconej z funduszu operacyjnego CIA Martin Van Vert pożegnał się z kolegami i wsiadł do czarnego rolls-roycea swojego ojca.

– Do rezydencji, Clintonie – rzucił postawnemu kierowcy i rozsiadł się wygodnie z tyłu.

Martin Van Vert zaliczał się do weteranów CIA, którzy przeszli do Agencji z OSS, owianej legendą wojenną organizacji szpiegowskiej, którą w 1941 roku na polecenie prezydenta Franklina Delano Roosevelta powołał do życia William J. Donovan. Przyłgnał do niego przydomek „Dziki Bill”, gdyż na polach bitewnych pierwszej wojny światowej wykazywał się szaleńczą odwagą i pogardą dla śmierci. Przed drugą wojną Donovan był świetnie prosperującym prawnikiem, milionerem brylującym w najlepszym towarzystwie. Pochodził wprawdzie z biednej rodziny katolickich Irlandczyków, ale jego żona odziedziczyła wielką protestancką *fortune* oraz równie bogate kontakty polityczne i towarzyskie.

Gdy więc Donovanowi zlecono zbudowanie od podstaw Office of Strategie Services, ściągnął do tworzącej się organizacji kwiat amerykańskiej młodzieży, śmietankę towarzyską i intelektualną z najlepszych uczelni i rodzin Wschodniego Wybrzeża. Trwała wojna i służba ojczyźnie była nie tylko nakazem chwili, ale także modą, więc do OSS garnęli się najlepsi – ludzie ideowi, a przy tym ciekawi świata i wielkiej wojennej przygody, którą Donovan im obiecał i miał zamiar dostarczyć.

Tacy właśnie jak Martin Van Vert, który gdy tylko ukończył Harvard, bez namysłu stawiał się na wezwanie. Od tamtego momentu upłynęło sporo czasu, a Martin zaliczył wiele akcji wywiadowczych i nabrał dużego doświadczenia w operacyjnej pracy wywiadu. W CIA kierował obecnie jej działaniami w Ameryce Południowej. Jego priorytetem była ochrona tego historycznego zaplecza Stanów Zjednoczonych przed infiltracją komunistyczną inspirowaną przez Związek Radziecki. Martin doskonale rozumiał, że aby skutecznie wypierać komunizm z Ameryki Południowej, należy działać niekonwencjonalnie, czego nauczył go osobiście Dzikie Bill Donovan.

Niekonwencjonalne działania oznaczały niekiedy potrzebę kupowania ludzi rządzących w różnych egzotycznych miejscach lub ich eliminowania, gdy okazywali się nieprzekupni, obalania jednych rządów, potencjalnie życzliwych lewicowym ideom, i tworzenia nowych, powolnych Stanom Zjednoczonym, CIA i systemowi wartości demokratycznych reprezentowanych przez ten kraj i jego wywiad. A to wszystko wymagało pieniędzy – dużych pieniędzy! CIA i Martin nie mogli narzekać na hojność Kongresu – wręcz przeciwnie, zwłaszcza gdy chodziło o zwalczanie komunizmu. Ale budżety mają to do siebie, że kiedyś trzeba się z nich rozliczyć, nawet jeżeli dość pobieżnie. Po prostu pewni kongresmeni i dziennikarze nic nie rozumieją i nie da im się wytłumaczyć, że walka z komunizmem wymaga nie tylko nadzwyczajnych metod, ale i nadzwyczajnych środków, w tym finansowych. Dlatego Martin bez większego trudu przekonał swoich przełożonych, że musi mieć do dyspozycji fundusz, z którego przed nikim nie będzie musiał się rozliczać.

Szef CIA Allen Dulles, też stary wyga OSS, i jego brat John Foster Dulles rozumieli to znakomicie, bo byli pragmatycznymi antykomunistami z krwi i kości. Poza tym Martin lubił mieć to poczucie niezależności finansowej, które wyniósł z domu rodzinnego.

Padło na narkotyki, gdyż był to najszybszy i organizacyjnie najłatwiejszy sposób uzyskania pokaźnych pieniędzy. W Ameryce Południowej narkotyków było w bród, a CIA orientowała się w organizacji kanałów przerzutowych. Zresztą handel już kwitł dzięki

mafii. Wystarczyło się do niego podłączyć, a w razie problemów pogrozić mafiosom palcem. Cóż łatwiejszego niż postraszyć odcięciem źródeł dostaw, aby zmusić Włochów do współpracy! Przydały się stare kontakty sycylijskie OSS z czasów wojny. Z czasem Martin i jego koledzy, z którymi właśnie się rozstał, stworzyli sprawny mechanizm przemytu narkotyków, przynoszący wiele milionów dolarów rocznie. Nie mógł więc tolerować obcej konkurencji na swoim terenie. Może Lodger miał rację – mocniejsze uderzenie w konkurencję, aczkolwiek niezaplanowane, może się okazać bardziej skuteczne.

Na początku Martin niepokoił się, że narkotyki trafiają do Amerykanów, jego współobywateli. Ale Wuj Tomaso, jeden z szefów nowojorskiej włoskiej mafii, szybko go uspokoił: „Jakich znów Amerykanów? Jakich współobywateli? Ćpuny to głównie czarnuchy i biała hołota z Południa. Pozbycie się tego balastu leży w interesie naszego społeczeństwa”. Poza tym jeżeli wspólnie nie będą kontrolowali tego handlu, to zajmie się tym ktoś inny.

Rolls-royce mknął wzdłuż Long Island do rodowej siedziby Van Vertów, gdzie Martin miał wyznaczone spotkanie z ojcem i bratem. Van Vertowie lubowali się w klasycznym baroku, więc rezydencja, przed którą zajechali, była wierną repliką wiedeńskiego Górnego Belwederu. Teren wokół niej liczył kilkadziesiąt hektarów i oprócz rozlicznych ogrodów jego główną ozdobą była kaskadowa rzeka z fontannami Wenus i Adonisa, jakby żywcem przeniesiona z Caserty.

Martin zastał ojca i brata w przepięknej bibliotece stanowiącej kopię biblioteki dawnego klasztoru benedyktynów w Ulm-Wiblingen, z osiemnastowiecznymi freskami pędzla Franza Martina Kuena, alegoriami nauki antycznej i chrześcijańskiej.

– Mój drogi synu – powitał go nestor rodu Victor Van Vert – może kieliszek sherry z Jerez?

– Chętnie, ojczy – odparł Martin i skinął na ubranego we frak służącego czuwającego w stosownej odległości od rozmawiających mężczyzn.

– Serwus, bracie – odezwał się trzeci z Van Vertów, który również miał na imię Victor, ale posługiwał się zdrobnieniem Vick.

– Co knuje nasz znakomity wywiad?

– Stoi na straży naszego patrymonium, bracie – odrzekł Martin. – Ameryki!

W tym prostym stwierdzeniu zamykała się cała filozofia i racja bytu rodu Van Vertów. Od trzystu lat budowali potęgę Ameryki i swoją, a jedno przeplatało się z drugim. Ich przodkowie inwestowali w to, co wtedy było najcenniejsze – w ziemię. Do nich więc należała połowa Manhattanu i obecnego stanu Nowy Jork. Van Vertowie wystarali się o wielkie nadania ziemskie jeszcze od Korony Brytyjskiej, a ponieważ przewidująco wsparli finansowo i zbrojnie walkę o niepodległość i osobiście George'a Washingtona, to pozwolono im je zatrzymać po powstaniu Stanów Zjednoczonych. W młodej republice Van Vertowie uczestniczyli we wszystkich wielkich spekulacjach ziemskich na zachód od Appalachów i stali się cichym udziałowcem First Bank of the United States, gdyż to ułatwiało obrót ziemią.

Ród nie miał kłopotu z kapitałem i płynnością finansową, ponieważ od zarania inwestował też w handel niewolnikami z Afryki, których przewożono do Brazylii, na Karaiby i do południowych kolonii amerykańskich, ale robił to po cichu i bez ostentacji. W procederze tym brały udział najzaciejsze rody Ameryki i Europy, a zgromadzone wtedy fortuny dały początek niejednej wielkiej współczesnej korporacji.

Gdy w Stanach Zjednoczonych nastąpiła era dróg żelaznych, Van Vertowie stali się jednymi z największych inwestorów i potentatów w tej dziedzinie. Kolejne wojny zaś udowodniły im ogromny potencjał przemysłu zbrojeniowego. Wtedy Van Vertowie zarobili na dostawach broni pierwsze naprawdę wielkie pieniądze. Po wojnie koreańskiej weszli do niewielkiego i bardzo elitarnego klubu światowych graczy w globalnym handlu bronią. A ponieważ ich protestancko-holenderskie pochodzenie za cnotę uważało przezorność i skromność, więc działali przez setki spółek pośredników, po cichu, bez fanfar i ostentacji, jak ongiś w handlu niewolnikami.

Rodzinnym imperium od wielu lat zarządzał urodzony w 1880 roku Victor Van Vert. Jego znacznie młodszy brat Frederick, jeden z

najbardziej wpływowych i najstarszych stażem członków Izby Reprezentantów z Partii Republikańskiej, czuwał nad interesami rodu w świecie polityki. Był również dyrektorem szacownego Instytutu Erudycji zajmującego się ochroną i popularyzacją dorobku encyklopedystów francuskich.

Służący we fraku podał sherry i opuścił bibliotekę.

– Wszyscy stoimy na straży Ameryki – poprawił syna Victor Van Vert. – Kiedy pokonacie komunizm? – zapytał drugiego syna i puścił do niego oko.

– To wyłącznie kwestia sił i środków... i czasu – odparł Martin. – Rozumieją to bracia Dullesowie, ale nie wszyscy politycy, kongresmeni i pismaki.

– Tak, masz niestety rację – podchwycił już na poważnie ojciec. – Ostatnio był tu na kolacji wiceprezydent Nixon. Odbyliśmy bardzo ciekawą rozmowę. I pouczającą. To bardzo ambitny i żądny władzy człowiek. Fanatyczny antykomunista. Bardzo mi go polecał senator McCarthy. Nixon to wielki znawca i entuzjasta prezydenta Eisenhowera, służy mu jako wiceprezydent już drugą kadencję, niemniej, jak mi wyznał, nie we wszystkim z nim się zgadza. Otóż Ike Eisenhower... z żalem to mówię, bo to nie tylko nasz prezydent, ale i amerykański bohater narodowy... wykazuje zbyt nie zdecydowanie co do sposobów zwalczania komunizmu. Zaczyna opowiadać zaufanym ludziom, że Stanami Zjednoczonymi rządzi kompleks militarno-przemysłowo-kongresowy i że należy coś z tym zrobić, zanim zaczną zagrażać wolności obywatelskim oraz pokojowym aspiracjom i celom polityki amerykańskiej. Te brednie niepokoją Nixona – i słusznie!

– Eisenhower to prosty żołnierz, a tacy zawsze są trochę naiwni – odezwał się Vick Van Vert, prawa ręka ojca w zarządzaniu rodzinnymi interesami. – Jakby nie rozumiał, że każde imperium, w tym amerykańskie, od zarania dziejów musi się opierać na potęgę militarnej, aby górować nad innymi. Ta potęga zaś musi być jak najbardziej nowoczesna, największa i zawsze gotowa do reagowania. Jak inaczej mamy pokonać Związek Radziecki, jego sojuszników i całą tę komunistyczno-lewicową filozofię?

– Nasz przyjaciel i mój szef Allen Dulles – dodał Martin Van Vert – też uważa, że prezydent nie rozumie potrzeby niektórych działań, także CIA. Pewne nasze operacje są kontrowersyjne i nie będę udawał, że jest inaczej. Ale gdy Dulles i ja służyliśmy w OSS, też robiliśmy kontrowersyjne rzeczy w imię wielkiej sprawy, jaką było pokonanie nazizmu. Obecna walka z komunizmem wymaga takich samych działań, bo to także rozgrywka na śmierć i życie, a to wiele usprawiedliwia. Parafrazując stare powiedzenie: *everything's fair in love and war!*

– A jak Dulles radzi sobie z Eisenhowerem? – zainteresował się Victor Van Vert.

– Po prostu wychodzi z założenia, że prezydent nie musi wszystkiego wiedzieć – odparł z uśmiechem Martin. – Po co ma się niepokoić niektórymi działaniami CIA, skoro ich nie rozumie?

– To słuszna taktyka, wymagająca ostrożności i czujności, ale Allen Dulles na pewno to wie – rzekł Victor. – Wracając do Richarda Nixona. Także ja polecam wam tego polityka, drodzy chłopcy, bo on wszystko rozumie i nadaje na tych samych falach co my. Za dwa lata będą wybory prezydenckie. Eisenhower odsłużył już dwie kadencje i republikanie będą musieli wystawić nowego kandydata. Mój brat Frederick, ja i paru przyjaciół podjęliśmy już decyzję, że będzie nim właśnie Richard Nixon. To naturalny i logiczny wybór. Nixon jest odpowiednim człowiekiem – dla nas, naszego środowiska, a więc i dla Stanów Zjednoczonych. Promujcie go!

Gdy synowie przyjęli jego słowa do wiadomości, poprosił ich, by usiedli, a sam zajął fotel ustawiony przodem do nich – jak profesor przed swoją klasą.

– Ktoś musi czuwać nad losami tego świata – kontynuował. – Tylko mały procent polityków to ludzie kalibru de Gaulle'a, Churchilla, Czang Kaj-szeka, Franco czy Jana Smutsa. Reszta to głupki i miernoty, które przychodzą i odchodzą, bo tacy jak my o tym decydują i ich finansują. Dlatego Richard Nixon musi zostać następnym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Aby zbrojnie i z dobrym skutkiem powstrzymać komunizm.

– Ile na tym zarobimy? – zapytał pragmatycznie Vick Van Vert,

wiedząc, że firmom zbrojeniowym, w których ród miał znaczące udziały, przypadnie w tym procesie zasadnicza rola.

– Dużo. Ale nie to jest najważniejsze. Imperium rzymskie czyniło świat lepszym, bo narzucało swoje porządki i rozwiązania. My musimy robić to samo, bo na razie nic lepszego od systemu amerykańskiego nie wymyślono.

– Ale imperium rzymskie upadło... – zaczął nieśmiało Martin.

– Upadło, bo obronę rubieży i porządku w cesarstwie, czyli swój los, oddało w ręce barbarzyńskich najemników, a wolni obywatele gnuśnieli i słabli – odparł stary Van Vert. – My, Amerykanie, tego błędu nie popełnimy.

25 maja

Po upojnej, a więc nieprzespanej nocy Malcolm Grey i Dolores siedzieli na tarasie niewielkiego pensjonatu, w którym zamieszkali dzień wcześniej, i napawając wzrok widokiem na Jezioro Zuryskie, leniwie spożywali śniadanie.

Malcolm niedawno zakończył przekazywać jej to, co wiedział i podejrzewał w sprawie śmierci Inez, a teraz słuchał relacji Dolores z pobytu w Nowym Jorku, bo interesy postanowili omówić właśnie tego ranka.

– Uruchomiłam ludzi, którzy znajdą kierowcę śmieciarki, a następnie ustalą wszystko o nim i całej jego rodzinie dwa pokolenia wstecz. Dominik uważa, i słusznie, że to klucz do wszystkiego.

– Ma rację, jak zwykle. Mój ojciec też tak sądzi, a on ma instynkt i doświadczenie. Dla MI6 sprawa jest oficjalnie zamknięta. Sir James Gibbons nie może podważać wersji, którą dostał od FBI, bo nie ma do tego żadnych podstaw. Zresztą wersja o nieszczęśliwym wypadku jest dla wszystkich wygodna, bo najmniej kłopotliwa. Dla MI6 też, w końcu to sir James zlecił tę feralną inwigilację i będzie miał do końca życia wyrzuty sumienia. Ale to on przywiózł z Ameryki pełne dane pracownika FBI, który kierował śmieciarką, oraz dane jego ojca, też pracownika Biura. Ojciec nazywa się William Fargo, a syn ma na imię Denis.

Mówiąc to, Malcolm przekazał Dolores niewielką kopertę.

– Dziękuję ci bardzo, kochanie – rzekła zaskoczona. – To bardzo przyspieszy działania, a przede wszystkim wykluczy ewentualny błąd co do tożsamości kierowcy!

– O tym właśnie pomyślałem, gdy wyciągałem tę informację od sir Jamesa. Jest pewna, bo nikomu w FBI nie przyszłoby do głowy, żeby go oszukać. A mając pewność co do bezpośredniego sprawcy, wystarczy spokojnie śledzić jego dalsze losy. Rozumiem jak nikt ból twój i Dominika oraz waszą niecierpliwość, ale tutaj nie należy się spieszyć. Wbrew pozorom czas jest naszym sprzymierzeńcem. Jeżeli jakieś osoby, o których dzisiaj nic nie wiemy, prowadziły nieczystą

grę, to losy kierowcy ciężarówki doprowadzą nas do nich. Ale dajmy im szansę i pozwólmy, aby wydarzenia rozegrały się bez naszej ingerencji.

Dolores zdążyła się już przyzwyczać do przenikliwości i intuicji Malcolma. Dobrze pamiętała, jak dwa lata wcześniej stanowczo odradzał Izraelczykom – za jej pośrednictwem – angażowanie się razem z Wielką Brytanią i Francją w odebranie Kanału Sueskiego Egiptowi, rządzonemu przez charyzmatycznego pułkownika Nasera. Miało to zapobiec nacjonalizacji drogi wodnej i zablokowaniu jej dla statków izraelskich. Twierdził, że ma pewne i potwierdzone informacje, według których Stany Zjednoczone prezydenta Eisenhowera nie poprą najazdu tej koalicji na Egipt. Ale rząd izraelski, opierając się na rzekomo kompleksowym rozpoznaniu Mosadu, nie dał Malcolmowi wiary. I to okazało się błędem. Wyprawa sueska zakończyła się międzynarodową awanturą. Pod presją Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego, w rzadkim pokazie jedności, Wielka Brytania, Francja i Izrael musiały się wycofać z całej operacji.

– Co myślisz o potencjalnym tropie narkotykowym CIA w Ameryce Południowej? – zapytała Dolores. – Dominik chyba przywiązuje do niego dużą wagę.

– Allen Dulles od kilku lat preferuje operacje specjalne jako ulubioną metodę pracy wywiadowczej: obalanie rządów, eliminację niewygodnych przeciwników, posługiwanie się formacjami paramilitarnymi. Takie zabawki dużych chłopców. Niestety, podobne akcje łatwo wymykają się spod kontroli i nadzoru czynników politycznych. Wymagają też dużo pieniędzy. Wyobraź sobie, że zaangażowałaś się w operację specjalną i o jednym czy dwóch istotnych elementach nie poinformowałaś polityków z Białego Domu i kongresmenów, którzy uchwalają na nią budżet. Ale operacja zaczyna żyć własnym życiem i takich istotnych, nieznanych politykom elementów zaczyna przybywać. Kończą ci się oficjalne fundusze, a jesteś głęboko przekonana, że jeszcze parę milionów dolarów i twoja akcja osiągnie zamierzony cel. Jeśli zwrócisz się do polityków, to zanim im wyjaśnisz to, czego wcześniej nie dopowiedziałaś, i przekonasz ich, jakie korzyści przyniesie operacja, ona sama umrze z

głodu. I co robisz?

– U nas taka sytuacja byłaby niemożliwa – odrzekła rzeczowo Dolores. – Nie oszukujemy się nawzajem.

– To ja ci powiem, co robią niektórzy ludzie z CIA. Kombinują czarną forszę. Nasze czynniki polityczne i wywiad odnotowały takie zachowania w Agencji w przeszłości i bardzo nas to zaniepokoiło. Nie dlatego, że jesteśmy tacy święci i niewinni, bo MI6 wszystko już widziało i robiło. Niepokoi to nas, bo uważamy, że w CIA zachwiana została bezpieczna proporcja pomiędzy operacjami specjalnymi a działalnością wywiadowczą sensu stricto. Przerost formy i fajerwerków nad treścią.

Dolores wiedziała, co mówi. Wywiad to werbowanie agentów i uzyskiwanie informacji: cierpliwa, żmudna, niekiedy monotonna praca wymagająca wielkiej systematyczności i konsekwencji. Informacje – źródłowe, wiarygodne i potwierdzone – to krwiobieg wywiadu i państwa, które chce coś wiedzieć. Operacje specjalne to jedynie środek pomocniczy, mimo całej ich spektakularnej otoczki. Na polu bitwy takie fajerwerki mogą przeciwnika na chwilę osłepić i wprowadzić w błąd, ale nie zastąpią kul armatnich. Nie podobało jej się to, że amerykańscy przyjaciele Izraela zaczęli raczej stawiać na fajerwerki.

– Nie chce się chłopakom przemęczać – skomentowała Dolores. – Pozyskanie agenta w czymś ścisłym ośrodku decyzyjnym to forma sztuki.

– No pewnie – rzekł Malcolm i pomyślał o sztukmistrzyni siedzącej naprzeciwko. – Dlatego jeżeli pytasz, co myślę o tropie narkotykowym CIA, to w świetle powyższego rzekłbym, że to trop wart rzetelnego zbadania i wyjaśnienia. Może się okazać, że drogi Dominika, Inez i Ratza skrzyżowały się ze ścieżkami kogoś z CIA.

– Dla Dominika nie będzie miało znaczenia, kto to zrobił – rzekła z przekonaniem Dolores. – I tak go zajebie.

– Nie wątpię – potwierdził Malcolm. – Co z Maxem i Andym?

– Są bezpieczni i mają się dobrze – odpowiedziała Dolores, która nie zamierzała udawać przed kochankiem, że nie wie, co się stało z synem jej siostry i synem Ratza.

– Mój ojciec bardzo się zaniepokoił ich zniknięciem. Chyba zakładał, że wychowamy obu chłopców...

– Max ma rodzinę, która się nim zajmie – odrzekła ostrożnie Dolores. Wiedziała, że Malcolm nie wie do końca, kto jest ojcem chłopca, chociaż mógł się domyślać, obserwując przez lata, jak Dominik kieruje losami Inez i z jakim szacunkiem odnosi się do niej Ratz. – Podobnie jak Andy. Ale to bardzo szlachetne ze strony lorda Greya, że o tym pomyślał i miał taki zamiar. Bardzo to doceniamy!

– Dlatego nie niepokoję się ich losem i myślę, że w znacznym stopniu uspokoilem również ojca. Wiem, że ty i Dominik o nich zadbacie – powiedział Malcolm – a reszta mnie nie interesuje.

– Za to cię kocham, choć pewnie czasami trudno ci to odczuć. Za twoją dobroć, wrażliwość i inteligencję.

Pocałowała go mocno w usta i przytuliła się do niego.

– Zostań więc panią Grey!

– Skompromitowałabym cię szybko w twoim *high society* – stwierdziła. – Prosta Żydówka z Polski. Poza tym mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia w Mosadzie. Ale jestem zaszczycona twoją propozycją.

– Nie po raz pierwszy – roześmiał się Malcolm, który już co najmniej dwukrotnie bezskutecznie prosił Dolores o rękę. – Ale ja się nie poddam, dopóki się nie zgodzisz. Co do *high society*, to w razie potrzeby udowodnimy, że twoi przodkowie z Hiszpanii byli nobilitowani... A tak poważnie to moglibyśmy zamieszkać tu, w Szwajcarii. Tak tu pięknie!

– Przecież ty jesteś jedynym żyjącym potomkiem lorda Greya! Nie możesz ot tak rzucić spuścizny pokoleń i popełnić mezaliansu z uciekinierką z Europy Wschodniej!

– Oczywiście, że mogę. Skoro angielski król abdykował dla kobiety, to Malcolm Grey też może. Naszego syna wychowamy na dziedzica Greyów... Zresztą nie będzie to żaden mezalians. Poradzę sobie z pomocą miłościwie panującej Jej Królewskiej Mości.

Dolores nie była nigdy kobietą próżną, żadną zaszczytów i pieniędzy. To, co przeszła w swoim krótkim jeszcze życiu, nauczyło ją najwyżej cenić szczerze odruchy ludzkiego serca. Nie miała

wątpliwości, że Malcolm nie blefuje i nie rzuca słów na wiatr. Po raz pierwszy uświadomiła sobie tak dokładnie, z czego ten człowiek gotów był dla niej zrezygnować, i nawet jej mało czułościowa natura nie mogła przejść obok tego obojętnie.

– Kurwa! – wyrwało jej się mimowolnie. – Ty mówisz poważnie?!

– Nareszcie dotarło! Gdybym chciał żartować, zostałemby komikiem.

– Ale jestem oficerem Mosadu, obcego wywiadu. Jak to będzie wyglądało wśród twoich przyjaciół w Londynie? Czy wobec lorda Greya?

– Dla moich przyjaciół w Londynie, a także dla mojego ojca, byłabyś przede wszystkim siostrą Inez, którą znali i kochali, oraz kobietą, która ocaliła mi życie w Polsce, lecząc mnie z ran. Poza tym MI6 i Mosad to wywiady sojusznicze, a nie wrogie. Masz jeszcze jakieś argumenty?

Dolores patrzyła na Malcolma i zdała sobie sprawę, że jej umysł nie odrzuca automatycznie myśli o tym małżeństwie, tak jak zrobiłby to jeszcze wczoraj. Albo się starzeję, albo wymiękam – pomyślała, ale bez złości, co ją samą zdziwiło.

– Skończymy sprawę Inez i Ratza i wtedy pogadamy – zaproponowała. – Ale gdybym miała być czyjąś żoną, to właśnie twoją.

– Zgoda, tak zrobimy – odpowiedział szybko Malcolm, bo zrozumiał, że jego oświadczenia zostały właśnie przyjęte. – Chodź, pójdziemy na wycieczkę w góry.

1 lipca

Pan domu i sir James Gibbons skończyli właśnie lekką kolację. Dopijali porto, które podano do serów.

– Trochę koniaku w bibliotece czy chcesz zostać przy portu, Jamesie? – zapytał lord Grey.

Gibbons wiedział, jakiej odpowiedzi oczekuje jego gospodarz, i nie miał zamiaru go zawieść.

– Odrobina koniaku jeszcze nikomu o tej porze nie zaszkodziła, jak mniemam.

– I ja tak sędzę – zgodził się lord Grey i śmiejąc się, byli żołnierze przeszli do biblioteki.

Lord Grey napełnił kieliszki koniakiem Remy Martin, po czym obaj usiedli w skórzanych fotelach.

– Jak się domyślasz, drogi Jamesie, przyjmuję do wiadomości raport FBI uznający śmierć Inez i Ratza za nieszczęśliwy wypadek, bo przyjąć muszę. Choćby dla dobra stosunków pomiędzy naszymi krajami. Ale go nie akceptuję. Nie mam zamiaru być na starość traktowany jak dureń. Zwłaszcza przez jankesów.

– Raport przywiózł tu osobiście szef biura FBI w Nowym Jorku, Carson, którego poznałem niemal w dniu zdarzenia. Przysłał go tu sam Hoover. To miał być taki gest z ich strony, że poważnie traktują sprawę, na wypadek gdyby ktoś z naszych miał pytania...

– Tak, pamiętam to nazwisko.

– Otóż na spacerze i poza protokołem Carson powiedział mi, że gdy otrzymali nasze zlecenie na inwigilację Inez i Ratza, wpłynęło do nich anonimowe doniesienie, że są to przemytnicy montujący w Nowym Jorku kanał przerzutowy narkotyków z Ameryki Południowej...

– A anonimowe doniesienie odebrał i przyniósł do biura FBI niejaki Denis Fargo, kierowca śmieciarki! – wszedł Gibbonsowi w słowo lord Grey.

Gibbons zaniemówił. W parę sekund odzyskał jednak pełną

kontrolę nad zmysłami – jak rasowy żołnierz na polu bitwy.

– Moje najwyższe gratulacje, milordzie – powiedział najszczerzej, jak potrafił. – Właśnie tak. To była druga część informacji Carsona. Nie wiem, jak ktoś mógłby traktować pana, milordzie, za przeproszeniem, jak durnia...

– Hm, sam się dziwię. Związki naszego wywiadu z FBI i Hooverem datują się od początku wojny, gdy zaczęliśmy wspólnie zwalczać hitlerowską zarazę. Wraz z informacją, o której mówimy, otrzymałem osobiste zapewnienie J. Edgara Hoovera, że FBI nie ma nic wspólnego ze śmiercią Inez i Ratz. Niby nic, ale mówi wszystko. To znaczy, że ktoś inny ma. Poinformowano mnie także, że Hoover kazał zwolnić kierowcę śmieciarki ze służby. Powoli, spokojnie, zgodnie z procedurami, ale zwolnić. Nie dlatego, że jest w szoku i już się nie nadaje, ale dlatego, że stary lis przestał mu ufać. Hoover zatem wie coś, czego nie wypada mu nam powiedzieć, ale daje wyraźny sygnał.

– Chcecie znać prawdę, przyglądajcie się dyskretnie kierowcy śmieciarki – sprecyzował Gibbons.

– No właśnie. Nie wiem, czy Ratz był przemytnikiem, i nie mam pojęcia, czy coś montował w Nowym Jorku. Nie wiem też, czy przyczynił się do powrotu do Polski premiera Hankego. Skoro jednak rok później wrócił tam następny, o takim niemożliwym nazwisku...

– Cat-Mackiewicz – uzupełnił Gibbons.

– No tak... to wyglądało na jakąś przypadłość tych premierów. Ale wiem na pewno, że Ratz przyprowadził nam tu Malcolma i zaraz chciał wracać z powrotem do Polski, więc nie było to zagranie, aby się tu zaczepić. Znam szczegóły rozmowy, jaką z nim wtedy przeprowadził Churchill. Winston mocno się natrudził, by go przekonać. Zmierzam do tego, że chcę zgłębić tę sprawę do samego dna...

– Jeżeli mogę coś zaproponować, milordzie...

– Ależ proszę!

– Oficjalnie MI6 ma związane ręce, bo przedstawiono nam raport w tej sprawie. Jeżeli cokolwiek zaczniemy robić, będzie wyglądało,

jakbyśmy podważali jego wiarygodność. Ale nie tylko my będziemy szukać prawdy. Zniknęli chłopcy Inez i Ratz wraz z opiekunką. Ktoś to zorganizował. Ktoś, komu zależy. Jeżeli ci ludzie nauczyli Ratz fachu, to są sprawni. Albo już wiedzą, albo szybko się dowiedzą, kto jest kluczem do tej sprawy... Idę o zakład, że wtedy znajdą nas i podzielą się z nami informacją, bo wiedzą, jak daleko sięgają pańskie ręce, milordzie.

– Dobrze przemyślane, James – stwierdził z uznaniem lord Grey.
– Tak, mamy tutaj cichych sojuszników. Organizacja, z której wywodził się Ratz, na pewno nie ma związanych rąk ani sztywnych procedur i nie musi niczego przyjmować do wiadomości...

1962

5 maja

Dolores siedziała przy stole na tarasie willi Mosadu w Hajfie. Paliła papierosa, popijała bimber i słuchała eleganckiego mężczyzny około siedemdziesiątki, który zajmował miejsce naprzeciwko niej, raczył się schłodzonym białym winem. Nazywał się Abraham Lanker i był jednym z szefów mafii żydowskiej w Nowym Jorku. Od lat miał wielką słabość do Dolores, a jako dżentelmen potrafił adorować ją z dowcipem i polotem.

– Wybacz, piękna pani – mówił – że spełnienie twojej prośby zajęło mi aż cztery lata, ale trafiliśmy na niespodziewane przeszkody i nieoczekiwane, a potencjalnie groźne pułapki. Zrozumiesz zaraz, co mam na myśli i dlaczego musieliśmy działać tak powoli i ostrożnie. Ale mamy wszystko, co trzeba, abyś mogła, anielsko śliczna Dolores, zrobić następny krok lub dwa naprzód.

– Dostaniesz całuska, Abe – obiecała z uśmiechem. – Niewinnego oczywiście.

Innego faceta dawno już bym opierdoliła i skopała mu cojones – pomyślała. Ale Lanker adorował ją z taką czułością, iż doznawała miłego uczucia, że naprawdę ma dla niej wiele szacunku. W przeszłości musiał nieźle kosić panienki – przemknęło jej przez myśl.

– Ach, cara mia, jak mówią nasi włoscy przyjaciele, nie śmiałbym. Pocałunek w wytworną dłoń całkowicie wystarczy! – odrzekł Lanker, odwzajemniając uśmiech, po czym spoważniał. – A teraz do rzeczy. Najpierw Włoch, który rozmawiał z Niemcem od Dominika na temat współpracy przy przerzucie narkotyków. Wuj Tomaso, jeden z szefów mafii sycylijskiej w Nowym Jorku. Od czasów wojny związany z amerykańskim wywiadem: najpierw OSS, teraz CIA. Jego krewniak Rick Sanmartino, weteran OSS, pracuje w CIA. Jest oficerem prowadzącym Wuja Tomasa... chyba tak to się fachowo nazywa. Tomaso i Johnny Roselli, też z nowojorskiej mafii, dostali właśnie od CIA kontrakt na Castro.

– Na Fidela Castro?! CIA chce go zabić przy pomocy mafii? A co

na to klan Kennedych?

– Od fiaska w Zatoce Świń rok temu bracia Kennedy mają obsesję na punkcie Castro. Zakładam więc, że raczej zachęcą CIA do jego eliminacji.

– Jak ci się udało to ustalić? Wybacz, że pytam – zastrzegła Dolores.

– To bractwo dosyć mocno cieknie, że się tak wyrażę, śliczna Dolores – odpowiedział Lanker. – O tym, że będzie inwazja w Zatoce Świń, wiedziało pół Ameryki Południowej z Castro na czele. W tym wypadku ze szczelnością kolegów z CIA jest znacznie lepiej, ale nie na tyle, żebym tego wszystkiego nie ustalił. Objęliśmy Wuję Tomasa ścisłą inwigilacją: punkty zakryte, rozpoznanie trasy dziennej i nocnej, wiele różnych ekip, które za nim chodzą. Wiesz, jak to się robi. Namierzyliśmy jego stałe kontakty z Rickiem Sanmartinem. Ustaliliśmy też, że spotyka się z Rosellim. Gdzie się dało, instalowaliśmy podsłuch. Ale co najważniejsze, zgłosili się do nas ludzie Johnny ego Rosellego...

– O, to ciekawe! – Dolores nie kryła zdumienia. – W sprawie...?

– Nie wiem, czy wiesz, ale zanim Castro zrobił rewolucję, Kuba była bardzo zabawowym miejscem – zaczął opowiadać Lanker. – Jedno wielkie kasyno i dom publiczny dla obu Ameryk. A tym wszystkim zarządzała moja organizacja i mafia włoska. Wielkie pieniądze. Po rewolucji Włosi się wynieśli, ale my podtrzymywaliśmy niektóre kontakty. Zawsze tak robimy, na wszelki wypadek. Tak jak wy w wywiadzie zostawiacie w różnych miejscach uśpionych agentów. Tak ich chyba nazywacie?

– Dużo wiesz o wywiadzie – zauważyła z podziwem Dolores.

– Tacy starzy ludzie jak ja w ogóle dużo wiedzą. Ale wracając do ludzi Rosellego... Przyszli do nas, bo potrzebowali pomocy w poruszaniu się po Kubie, a domyślali się, że mamy tam jeszcze jakieś dojścia. Początkowo nie chcieli nam powiedzieć, o co chodzi, ale od słowa do słowa i przy kolejnej whisky wszystko wypapłali. Jeżeli CIA rozmawia z Tomaszem i Rosellim o takich operacjach, to oznacza, że łączą ich zażyłe stosunki. Wniosek z tego, że Tomaso poinformował CIA w osobie Sanmartina, że ktoś montuje nowy

kanal przerzutowy z Ameryki Południowej, co może zagrozić ich narkotykowemu biznesowi. Bo ustaliliśmy, że CIA się tym zajmuje. Powiedzieli nam to ludzie Rosellego, a oni siedzą w tym razem z organizacją Wuja Tomasa, chociaż tylko pomocniczo. Poza tym na takie operacje jak Zatoka Świń i opłacanie mafii, żeby sprzątnęła Castro, CIA musi mieć pozabudżetowe, czarne pieniądze. Dowiedzieliśmy się też, że Wuj Tomaso nadał Agencji informacje o pobycie Inez i Rata. Że przyjechali spotkać się z nim i dopiąć współpracę przy kanale przerzutowym. I to prowadzi nas do kierowcy śmieciarki, agenta FBI Denisa Fargo.

– A gdyby jeszcze dało się ustalić jakikolwiek związek tego młodego człowieka z CIA... – zaczęła Dolores.

– Bingo! Tego właśnie powiązania ostrożnie i cierpliwie szukaliśmy i dlatego tyle to trwało – podsumował Lanker. – Ale znaleźliśmy, piękna pani.

– Boże! Jesteś cudotwórcą, Abe! – powiedziała Dolores dobitnie i z głębokim szacunkiem.

– Gdy cztery lata temu dodatkowo przekazałaś nam potwierdzone, jak to ujęłaś, dane pracowników FBI, Williama Fargo i jego syna Denisa, w miarę szybko ustaliliśmy podstawowe informacje. Obaj pracowali w nowojorskim biurze FBI. Ojciec od paru dziesięcioleci, syn od kilku lat. Chłopak jest jedynakiem i kawalerem, więc mieszkał z rodzicami w domu po drugiej stronie rzeki Hudson. Po incydencie przy hotelu Algonquin przestał pojawiać się w biurze FBI. Regularnie za to zaczął bywać w jednym z nowojorskich szpitali. Przechodził serię badań. Trwało to do połowy pięćdziesiątego dziewiątego roku. Moi ludzie, którzy go kontrolowali, raportowali, że początkowo nie był w najlepszej formie. Ale to trwało dwa czy trzy miesiące, a później jakby doszedł do siebie. W październiku i listopadzie cztery razy odwiedził ten sam biurowiec w centrum Manhattanu. Bardzo się pilnował, więc udało nam się ustalić jedynie piętro, na które wjechał windą. Myśleliśmy początkowo, że to kolejne biuro FBI w mieście, ale stwierdziliśmy ponad wszelką wątpliwość, że niczego takiego tam nie ma.

Dolores siedziała wsłuchana w głos Lankera i nie odzywała się ani słowem.

– Po Bożym Narodzeniu Denis Fargo zniknął. Niestety, moi ludzie przegapili ten moment. Nie wiedzieliśmy, czy wyjechał gdzieś w głąb Stanów Zjednoczonych, czy za granicę. Zdawałoby się, że znaleźliśmy się w punkcie wyjścia... – zawiesił głos niczym aktor.

– Tego bym nie powiedziała – rzuciła rezolutnie Dolores. – Jeżeli zniknął, a nie było pogrzebu, to znaczy, że gdzieś żyje. Więcej, być może ktoś go ukrył z jakiegoś powodu... Jeżeli tak, oznacza to postęp w sprawie, bo daje możliwość ewentualnego ustalenia, kto się o niego troszczy!

– Nie dość, że piękna, to jeszcze pięknie rozumuje. I logicznie. Pomyśleliśmy dokładnie to samo.

– Siadłabym mocno na rodzicach. Widać, że był z nimi związany, a więc jakoś się do nich, prędzej czy później, musi odezwać – zauważyła Dolores.

– Jak będziesz miała dosyć Mosadu – usłyszała w odpowiedzi – to u mnie zawsze znajdziesz zajęcie. Brawo. Tak zrobiliśmy. Długo szukaliśmy punktu zakrytego w okolicy, aby mieć cały czas oko na rodziców i ich dom. Nie było to łatwe, bo to dzielnica domów jednorodzinnych i ludzie się znają, ale się udało. Nie mogliśmy zakładać podsłuchu, bo baliśmy się, że stary Fargo jako pracownik FBI łatwo może sprawdzić co parę miesięcy, czy ktoś go podsłuchuje. Zatrudniliśmy więc naszą dziewczynę w lokalnej centrali telefonicznej, bo przez nią muszą przechodzić połączenia międzynarodowe i zamiejscowe do domu Fargoów. Ale takich telefonów nie było przez cały rok sześćdziesiąty. A to oznaczało, że chłopak się pilnuje. Przecież normalnie synowie dzwonią do rodziców. Pierwszego stycznia sześćdziesiątego pierwszego roku stary Fargo odszedł z FBI na emeryturę i kontrola jego ruchów stała się znacznie łatwiejsza. Okazało się, że na początku każdego miesiąca spotyka się w głównej bibliotece miejskiej z tym samym facetem i dostaje od niego niewielką brązową kopertę. Brał ją, szedł do metra i jechał do domu. W metrze otwierał kopertę i czytał zawartość. To były listy!

– No jasne! Listy od syna...

– Czytał, myślał... i płakał, raz czy dwa.

Dolores nic nie odpowiedziała.

– Listów nie niszczył. Chował je do kieszeni i zabierał dla żony. Obserwowaliśmy człowieka, który przekazywał listy staremu Fargo. Dwa razy udało nam się odprowadzić go do biurowca, w którym młody był w październiku i listopadzie pięćdziesiątego dziewiątego roku. Na to samo piętro. Mieści się tam między innymi międzynarodowa firma spedycyjna działająca też w Ameryce Południowej: Freight America. To przykrywka CIA.

– Pięknie! Jeżeli młody Fargo wykorzystuje firmę CIA jako skrzynkę pocztową, to znaczy, że gdzieś go wysłali i mocno utajnili kontakty z rodziną. To przełom, panie Lanker – powiedziała z mocą Dolores. – To, czego szukaliśmy. Ukryli go, bo wiedzą, że ktoś mógłby go szukać, by sobie uciąć z nim pogawędkę. A do tego jego koledzy z CIA nie chcą, jak widać, dopuścić. Już choćby z tego powodu taka rozmowa jest konieczna. Ale ad rem. Pozostało ci ustalić, gdzie jest młody Fargo, a najlepszą wskazówką są te listy. Starzy rodzice nie będą przecież wyrzucać wiadomości od jedyne go syna. Nie widzieli go ładnych parę lat, więc chcą fotografii, bo to namiastka spotkań. Dużo fotografii. Matka tęskniąca za synem celebrytuje każde zdjęcie. Wkłada do specjalnego albumu, aby mieć je zawsze pod ręką, ale nie na widoku.

– No właśnie. W którąś niedzielę, gdy Fargowie byli w kościele, nasi najlepsi ludzie weszli do ich domu i dokładnie go spenetrowali. Znaleźli album ze zdjęciami. Listów nie trzeba było już szukać. Chłopak jest w Rio de Janeiro. W ostatnie Boże Narodzenie zadzwonił stamtąd i złożył im życzenia. Pierwszy taki telefon.

– A więc czuje się bezpiecznie.

– Posłałem ludzi do Rio. Prowadzimy tam teraz duże interesy, które naraiłaś z Dominikiem, więc mamy i niezłą strukturę. CIA jest ostatnio bardzo aktywna w Brazylii. Pchają tam duże pieniądze i plotka niesie, że chcą obalić urzędującego prezydenta Goularta i zastąpić go juntą wojskową. Ponoć jest zbyt lewicowy, ale to nie nasz problem. Społeczność amerykańską w Rio nietrudno jest spenetrować. Namierzyliśmy młodego Fargo. Mamy adres i miejsce pracy. To przedstawicielstwo owej spółki spedycyjnej z Nowego Jorku. Freight America.

– No to go mamy! – podsumowała Dolores. – Sporo was to kosztowało.

– Ciągniemy niezłe zyski z kanału przerzutowego, który obsługujemy z organizacją Dominika.

– A CIA wam nie bruździ?

– Mocno go zakonspirowaliśmy, a poza tym mamy swoje sposoby, żeby nas nie ruszali... My jesteśmy odporni na ewentualną wrzawę medialną, oni znacznie mniej... Przy okazji wykryliśmy faceta, który przekazywał staremu Fargo listy od syna. To Henry Lodger, daleki kuzyn Fargoów. To pewnie on pomógł młodemu przejść z FBI do CIA i ukryć się w Rio. Lodger to bliski współpracownik i przyjaciel Ricka Sanmartina – prowadzącego Wuja Tomasa. Krąg zaczyna się domykać. Jeżeli wysłali młodego Fargo do Rio, to między innymi po to, żeby pilnował ich kanału narkotykowego. Jak widzisz, my wiemy o ich kanale coraz więcej, a oni o naszym coraz mniej...

– Wiesz, Lanker, że od strony Ameryki Południowej ten kanał obsługują między innymi byli esesmani?

– Wiem, ale ani ja nie będę Dominikowi dobierał ludzi, ani on mnie. Poza tym na rozmowy z nami przysłał znanych nam Żydów z dawnej Polski, więc wykazał takt. Byłe SS jest zresztą bardzo mocne w Ameryce Południowej, a więc użyteczne. Stare żydowskie przysłowie mówi: „Mojżesz to Mojżesz, a biznes to biznes!” W końcu życie pokazuje, że nie wszystkich ludzi można i należy mierzyć tą samą miarą. Nawet esesmanów.

– Ja akurat to wiem, ale nie chciałam, żeby były jakieś niedomówienia.

– Nie ma niedomowień, piękna pani. Co zrobisz teraz z informacją o młodym Fargo, którą ci dałem?

– Dowiem się prawdy. Co rzeczywiście wydarzyło się drugiego maja tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku przed hotelem Algonquin w Nowym Jorku.

– Posłuchaj, moje dziecko, rady starego człowieka – rzekł nagle Lanker zupełnie innym tonem niż zazwyczaj, wolnym od wszelkiej uwodzicielskiej nuty. – Poznanie prawdy o tym wieczorze jest,

niestety, przeznaczeniem, od którego uciec nie możesz. Ale gdy w końcu ją poznasz, nie pozwól, aby cię zniszczyła...

– Przed czym chcesz mnie przestrzec?

– Nie każda prawda wyzwala. Za jedną prawdą stoi niekiedy następna, i następna. Nie wpadnij w wir namiętności, które zatrują ci życie.

– Mówisz o zemście? Nigdy nie miałam z tym problemu. Złych ludzi trzeba zabijać! – powiedziała z przekonaniem Dolores.

– Gdy jest się młodym i pięknym jak ty, to na ogół z niczym nie ma się problemu. Pamiętaj, od przeznaczenia nie uciekniesz, ale od wymierzania zemsty... zawsze możesz próbować.

– Dziękuję za radę, Abe, będę pamiętała. A za informacje jestem ci dozgonnie wdzięczna.

– Nie pozwól, aby stała się twoim przekleństwem.

– Postaram się – odrzekła Dolores i na pożegnanie pocałowała Abrahama Lankera, przytulając się do niego na krótką chwilę całym ciałem.

7 maja

Od prawie dwóch godzin wspinali się szlakiem wśród sosnowych zagajników. Szli bez pośpiechu drogą do Beit Oren, ciesząc się swoim towarzystwem.

– Zbliża się jedenasta. Zatrzymajmy się na tej polanie i usiądźmy na kamieniach – zaproponowała Dolores. – Zjemy śniadanie i napijemy się wina.

– Świetny pomysł. – Dominik zdjął plecak i wspólnie zaczęli z niego wyjmować jedzenie oraz wino i układać na największym, najbardziej płaskim kamieniu. – Zaczynamy od białego czy czerwonego? – zapytał.

– Od białego. Jest jeszcze chłodne, więc na ten upał w sam raz – zawyrokowała.

Otworzyła butelkę i nalała do kieliszków. Napili się.

– Lubię ten wasz upał i słońce. Rozleniwia i wprowadza element bez troski.

– Może tu, na wzgórzu Karmel, w cieniu drzew, ale taka pustynia Negew chyba nie przypadłaby ci do gustu – roześmiała się Dolores, po czym spoważniała. – Co robimy dalej?

– Informacje, które przekazał ci Lanker, są dobre. Bardzo dobre. Namierzmy młodego Fargo bez problemu, poprosimy o rozmowę i dowiemy się, co naprawdę wydarzyło się tamtego wieczoru w Nowym Jorku i dlaczego.

– Może to nam zająć trochę czasu...

– Nie sądzę – odparł Dominik.

– Miałam na myśli pół dnia albo nocy – sprecyzowała posępnie. – Kiedy mam być gotowa do wyjazdu?

– Ty, skarbie, nigdzie nie jedziesz... – zaczął.

– Jeżeli myślisz, że nie wezmę udziału w przesłuchaniu skurwysyna, który zabił moją siostrę, to się, kurwa, mylisz! – odparowała z wściekłym błyskiem w oku i zerwała się na równe nogi.

Dominik znał ten błysk w pięknych oczach Dolores i ten ton głosu. Walka wisiała w powietrzu. Podszedł więc do niej, objął ją, przytulił, posadził z powrotem na kamieniu i zaczął tłumaczyć jak dziecku.

– Kim ty jesteś, Dolores? – zapytał retorycznie.

– O co ci chodzi? – odezwała się podejrzliwie. – Jestem przede wszystkim siostrą Inez, a ten chuj Fargo ją zabił!

– Myśl operacyjnie, a wtedy zrozumiesz, że w tej sprawie jesteś przede wszystkim oficerem izraelskiego wywiadu. Tylko dlatego mamy od Lankera informacje, które mi przekazałaś. I tylko dlatego, że zgodził się na to Cewi. A kim jest Fargo?

– Gdy skończę z tym pojebem... – zaczęła.

– Denis Fargo – przerwał jej Dominik – to były funkcjonariusz FBI, a obecnie najprawdopodobniej CIA. Dobrze mówię, logicznie?

Nie odzywała się, bo doskonale wiedziała, do czego on zmierza. Wiedziała też, że niestety ma rację.

– Jeżeli zgadzamy się przynajmniej w tej kwestii, to jak wyobrażasz sobie udział oficera Mosadu w przesłuchaniu pracownika CIA? A nie będzie to rozmowa przy herbacie w londyńskim Ritzu. Dobrze o tym wiesz! – kontynuował. – Dlatego zrobimy tak. Ciebie w sprawie już nie ma. Musisz mieć plausible deniability, jak mówią chyba właśnie w CIA. Dalszą częścią operacji zajmiemy się ja i Gerard. Wiesz, co to oznacza, i możesz być spokojna o rezultaty.

– Wiem, Dominiku. Przepraszam, że się uniosłam. – Dolores wprawdzie trudno było pogodzić się z wykluczeniem z operacji, ale logika i wymogi profesjonalnego działania były nieubłagane. – Masz oczywiście rację...

– Za kilka miesięcy, gdy zakończę tę fazę i będę wszystko wiedział, ty także się dowiesz i zobaczymy, co dalej. Bo Denis Fargo to może być wierzchołek góry lodowej i znowu twoje wielkie umiejętności będą potrzebne do ustalenia dalszych wątków tej sprawy.

– Nie mogę się doczekać – uśmiechnęła się Dolores.

– A tymczasem masz być grzeczną dziewczynką!

– Tak jest! – odparła dziarsko, pogodzona już z werdyktem losu oraz Dominika, i zabrała się do otwierania butelki czerwonego wina.

1 czerwca

W jednej z chłopskich karczem, z których słynęło miasteczko Gumpoldskirchen w pobliżu Wiednia, siedziało dwóch mężczyzn, racząc się specjami miejscowej kuchni i regionalnymi winami. Dominik i jego brat właśnie spróbowali salcesonów oraz pasztetów i przechodzili do golonki z rusztu.

W trakcie posiłku Dominik zrelacjonował Adamowi najnowsze ustalenia związane ze śmiercią Inez i Ratza.

– Gratuluję wytrwałości i możliwości. Wykorzystanie mafii żydowskiej w Nowym Jorku to iście szatański pomysł. CIA nigdy na to nie wpadnie – ocenił Adam. – Co zamierzasz dalej robić?

– Wybrać się na wycieczkę do Rio, oczywiście – odrzekł Dominik. – Czynię stosowne przygotowania. Nie wykluczam, że mogę potrzebować od twoich ludzi paszportów legalizacyjnych, ale dam znać, gdy się zdecyduję. Zapłacę, rzecz jasna.

– Rzecz jasna – powtórzył szef pionu niemieckiego. – Ale ja też mogę potrzebować pomocy. Chyba mamy kreta w rezydenturze naszego wywiadu w Niemczech. Dostałem sygnał od swojego nielegała w zachodniemieckim kontrwywiadzie, że jeden z naszych oficerów rezydentury w Bonn, którego Niemcy rutynowo objęli obserwacją, wszedł do biurowca, gdzie jest zakonspirowany obiekt CIA.

– Może przypadek? – zauważył Dominik.

– Zanim tam wszedł, odbył trzygodzinną trasę sprawdzeniową, a tego dnia nic nie realizował dla rezydentury. W budynku przebywał dwie godziny. Nikomu o tym nie meldował i nie miał żadnego powodu, by tam przebywać. To nie przypadek – podsumował Szulc. – Werbunek oficera rezydentury przez obcy wywiad to mała katastrofa. Zna pozostałych oficerów, swoją część spraw, środki i metody pracy na danym terenie, współpracowników...

– Ściągnijcie do kraju, przewerbujcie i będziecie mieli podwójnego agenta w CIA – zaproponował Dominik.

– Pewnie byśmy tak zrobili, ale to syn sekretarza Komitetu

Centralnego. Bez twardych dowodów możemy go cmoknąć w dupę. Nie mamy sił i środków, żeby objąć go ciągłą inwigilacją i namierzyć spotkania z Amerykanami, porobić zdjęcia i wszystko udokumentować – odrzekł pułkownik.

– No proszę, złota młodzież nie wierzy w ludową ojczyznę?! – rzucił z nutką sarkazmu Dominik. – To ma jeszcze niezły ogłąd spraw krajowych z perspektywy firmy tatusia!

– Jedni wierzą, drudzy nie, jak w życiu – odpowiedział mu filozoficznie brat. – Masz jakiś pomysł?

Dominik nalał sobie czerwonego wina, które wolał od piwa do golonki z rusztu. Wziął marynowanego ogórka w sosie musztardowym i przegryzał, zbierając myśli.

W ostatnich latach pułkownik Szulc nie widywał brata zbyt często, ale znał go na tyle dobrze, aby nie zakłócać tego toku myślenia, który na ogół owocował niespodziewanymi rozwiązaniami. Skupił się więc na golonce, czekając, aż Dominik się odezwie. Nie minęło dużo czasu, gdy przestał jeść i zaczął bardzo uważnie słuchać.

– Rozumiem, że trochę nam się spieszy, więc ja bym zrobił tak. Puścimy Amerykanom cynk, że Polacy sądzą, iż mają u siebie kreta. Nikogo konkretnego nie podejrzewają, ale wyciekają im informacje. CIA będzie musiała wywołać delikwenta na spotkanie nadzwyczajne i pogadać, ostrzec, że coś się dzieje. Nawet zamrozić kontakt na jakiś czas. Zajmę się tym ze swoimi ludźmi. Puścimy cynk do CIA, wychycimy wywołanie, a spotkanie sfilmujemy. Musimy mieć pełną kontrolę.

– Nie ma problemu...

– To będzie droga operacja, bo to nie koniec – dodał Dominik.

– Co jeszcze chodzi ci po głowie? – zapytał Szulc.

– Gdy już będziemy mieli materiał operacyjny, dowodzący, że młody człowiek kuma się z Ami, to czemu go nie przewerbować? Albo wykorzystać do inspiracji? Wolisz to dać prokuratorowi w Polsce, żeby go posłał do pudła? Po co ci taki facet w pudle?

– Mnie na nic. To tylko kłopot: proces, wkurwiony tatuś i jego partyjni koledzy, których część będzie bredzić o prowokacji

bezpieki... Osobiście mam to w dupie! Ale to może być trudny werbunek, bo chłopak pewnie będzie uważał, że tatuś go wybroni – stwierdził Szulc, pociągając łyk wina.

– Jasne. Masz rację. Tak by było, gdyby chciał go przewerbować wywiad PRL. Ale tak nie będzie – tajemniczo zagaił Dominik.

– Obca flaga? – zapytał Szulc. – Ale jaka?

– Ruska! – odpowiedział z chichotem brat pułkownika.

Adam Szulc nie zakrzuszył się winem tylko dlatego, że właśnie odstawił pusty kieliszek. Niedowierzające spojrzenie, jakim obdarzył Dominika, zaczęło powoli ustępować pełnemu podziwu uśmiechowi.

– A niech cię diabli... – wymamrotał w końcu. – Jeżeli wymyśliłeś to tak, jak sędzę, to miałeś świetny pomysł!

– W waszych rękach, zwłaszcza w Warszawie, wasz oficer czułby się pewnie. Na jego miejscu siedłbym w zaparte i domagał się widzenia z ojcem. Powiedziałbym, że to ja prowadziłem grę z Amerykanami i szykowałem werbunek jednego z nich.

– Słusznie mówisz, ja też bym tak robił – przyznał Szulc.

– Ale w obcych rękach, na obcym terenie, to już inna bajka. Zwłaszcza jeżeli to rosyjska skazka. Kiedy domniemany wywiad radziecki powie mu, że jeśli nie pójdzie na współpracę, to trafi do łagru i tam zgnije, to uwierzy czy nie? I w łagrze spotka tatusia i mamusię?

– Na pewno jest to temat do przemyśleń... – przyznał Szulc.

– Moja propozycja jest taka. Zgarniemy go z ulicy zaraz po spotkaniu nadzwyczajnym z ludźmi CIA i zaczniemy rozmawiać jako wywiad radziecki. Wytupujemy odpowiedni obiekt do takiej rozmowy. Cokolwiek chłopaczek zrobi, będzie w czarnej dupie. Przede wszystkim na bank przyzna się do współpracy z CIA, bo pokażemy mu materiał filmowy z zakończonego spotkania. Jeśli się przyzna, to macie taki materiał dowodowy, że nawet tatuś i cały Komitet Centralny mu nie pomogą. Dwa, pójdzie na współpracę z moimi „Ruskimi”, bo się będzie bał, że wylądjuje na Syberii. Będziecie więc mieli na niego dodatkowe materiały: współpraca z kolejnym obcym wywiadem, choćby i sojusznikiem. Z takimi

kwitami w ręku będziecie mogli decydować, co dalej – pociągnąć sprawę operacyjnie czy przemyścić faceta do Polski i posłać za kratki, bo dowodowo sprawa będzie nie do podważenia.

– Dobrze to wymyśliłeś. Bardzo dobrze – ocenił Szulc. – To naprawdę może się udać. Skonsultuję się z szefem wywiadu. To rozsądny człowiek.

– To nie powinien mieć kłopotu z rozsądną zapłatą za moją fatywę...

– Ile mu zaśpiewać?

– Dwieście tysięcy dolarów amerykańskich, bracie, z rabatem dla rodziny – odrzekł Dominik.

– To duże pieniądze.

– Zgadzam się, ale to dlatego, że zły dobór personelu jest strasznie kosztowny. A jakie będą koszty, gdy z całą swoją wiedzą facet będzie się lansował w Langley? – zapytał retorycznie Dominik.

– Mnie nie musisz przekonywać – zapewnił szef pionu niemieckiego. – A co do Langley... Nie obawiasz się, że idąc na wojnę z CIA, podejmujesz zbyt wielkie ryzyko?

– To nie ja tę wojnę zacząłem. Teraz rzecz wygląda jak grecka tragedia. Role zostały rozdane i aktorzy muszą je odgrywać. Aktorzy często grywali w maskach, rzadko ukazując prawdziwe oblicze. Tak właśnie zamierzam wystąpić w tej sztuce. Mnie w tragedii nie będzie, będą różne moje maski... Mam w miarę przyzwoite rozeznanie CIA. Stąd mój szacunek dla Agencji, oparty na zdrowym uznaniu jej możliwości i potęgi. Ale taki sam szacunek miałem dla Trzeciej Rzeszy, co nie przeszkadzało mi rozgrywać Niemców, z niejakiem zresztą powodzeniem. Poza tym ja nie idę na wojnę z CIA, tylko z kilkoma jej ludźmi.

– Tak, na swój sposób masz rację. Ale potęga amerykańska jest nieporównywalna z żadną inną. Nawet Rosjanie to przyznają w szczerych rozmowach z nami.

– Bracie, może ty stoisz po złej stronie barykady? – zapytał prowokacyjnie Dominik.

– Ja jestem zawodowcem, a jestem tam, gdzie jestem. Ale wróćmy do ciebie. Słusznie rozumiesz, mówiąc, że nie idziesz na

wojnę z CIA, jedynie z niektórymi jej ludźmi. Posłuchaj więc mojej rady – powiedział pułkownik. – Czasami da się to oddzielić, ale wymaga precyzji i finezji. Żaden wywiad... a wywiad amerykański nie jest tu wyjątkiem... nie lubi niepotrzebnych kłopotów. Żaden wywiad nie jest też monolitem. Zawsze są koterie i układy o różnych, niekiedy rozbieżnych interesach. W tak wielkim wywiadzie jak CIA te napięcia muszą być równie wielkie. Znam te mechanizmy bardzo dobrze. Postaraj się to wykorzystać. Może ci się uda. Pamiętaj też, że zemsta ma swoje prawa, ale także swoje granice. Nie przekrocz ich...

25 lipca

To nie ulegało wątpliwości: wszelkie ewentualne ślady musiały prowadzić tylko w jedno miejsce – donikąd. Tam też musiało trafić przyszłe śledztwo, niechybnie podjęte przez służby Stanów Zjednoczonych. Podstawę legendowania stanowił dobór właściwych paszportów – fałszywych oczywiście – z którymi Dominik i Gerard zamierzali odbywać podróż. Dopiero wokół tych dokumentów można było budować fałszywą tożsamość i życiorysy.

Zdecydowano się na papiery niemieckie i kanadyjskie. Krajem tranzytowym miała być Portugalia, która zapewniała nie tylko najlepsze połączenia z Brazylią, ale w razie potrzeby również życzliwość władz, o co zadbał Gerard poprzez koneksje ze starych czasów. W pogotowiu czekał łącznik z organizacji byłych esesmanów, gotów interweniować u władz stosownego szczebla. Nie znał podróżujących ani celu ich peregrynacji. Znał natomiast termin tranzytu i hasło, na mocy którego miał w razie kłopotów udzielać niezbędnej i daleko idącej pomocy.

Ze względu na delikatny charakter operacji Dominik nie mógł sobie pozwolić na najdrobniejszy nawet błąd, postanowił więc nie pozyskiwać potrzebnych dokumentów na europejskim czarnym rynku. Znani mu fałszerze nie gwarantowali, że ich produkty są całkowicie bezpieczne, że nie powielają istniejących tożsamości. Paszporty musiał dostarczyć ktoś, kto dawał pewność całkowitego bezpieczeństwa.

Ostatecznie więc Dominik zdecydował się kupić paszporty od polskiego wywiadu, tak jak zapowiadał bratu podczas niedawnego spotkania. Wybór paszportów kanadyjskich do podróży za Atlantyk odciągał uwagę ewentualnych tropicieli od Europy. Poza tym fałszerze paszportów z polskiego wywiadu wyjątkowo dobrze podrabiali właśnie kanadyjskie dokumenty – praktycznie nie dało się ich odróżnić od oryginałów. Paszporty niemieckie podrabiali perfekcyjnie od wielu lat.

W polskim wywiadzie komórka zajmująca się legalizacją

dokumentów – jak to ładnie nazywano – znajdowała się właśnie w mocno rozbudowanym pionie techniki wywiadu. Wywiad nielegalny działał poza oficjalnymi strukturami dyplomatycznymi – i wszelkimi innymi – państwa polskiego i starał się trzymać od nich z daleka jako od ewentualnych instytucji przykrycia. Czasami wykorzystywał możliwości tych struktur, by zbierać potrzebne mu informacje lub dokonywać ustaleń. Ale z reguły jego oficerowie działali pod legendą obywateli innych państw lub instytucji i sami tworzyli stosowne struktury umożliwiające pracę wywiadowczą za granicą. Perfekcyjnie przygotowane dokumenty legalizacyjne stanowiły podstawę tego typu operacji wywiadowczych. Dlatego w komórce legalizacyjnej polskiego wywiadu nielegalnego pracowali najlepsi specje pozyskani przez wywiad spośród ocalałych z wojennej zawieruchy przedwojennych mistrzów fałszerskiego fachu. Byli między nimi także ludzie ze służb specjalnych Drugiej Rzeczypospolitej. W tym przypadku dla szefów wywiadu profesjonalizm i talent miały o wiele większe znaczenie aniżeli jakiegokolwiek względy ideologiczne.

Pułkownik Szulc nie okazał zatem ani zdziwienia, ani obawy, gdy Dominik złożył – mikrokropką do rąk własnych – zapotrzebowanie na dwa paszporty kanadyjskie i dwa niemieckie. Wywiad wprawdzie rzadko i niechętnie powierzał dokumenty legalizacyjne osobom, które nie były jego oficerami, ale od tej zasady stosowano wyjątki. Jak od wszystkich zasad, gdy przynosiło to wywiadowi korzyść, a ryzyko ewentualnej wpadki mieściło się w granicach opłacalności przedsięwzięcia. W tym przypadku osoba Dominika gwarantowała profesjonalny przebieg operacji i to, że powierzone dokumenty nie trafią w niepowołane ręce, potencjalnie dekonspirując ich twórców. Poza tym Dominik oferował niezłą sumę za oba zestawy paszportów oraz stwarzał szansę na przetarcie szlaku do Ameryki Południowej. Dawało to ciekawą możliwość infiltrowania w przyszłości ludzi do Stanów Zjednoczonych lub Kanady. W tej sytuacji szef pionu niemieckiego czuł, że może zgodzić się na udostępnienie Dominikowi paszportów. Nawet gdyby z jakiegoś powodu musiał się z tej decyzji tłumaczyć przełożonym. Wiedział zresztą, że w wypadku odmowy jego brat skorzysta z

innego, gorszego rozwiązania. W rezultacie Dominik i tak zrobi to, co zamierza, lecz wywiad nie osiągnie żadnej korzyści.

Dominik i Gerard bez przeszkód dotarli z Portugalii do Brazylii. Ponieważ, jak na Kanadyjczyków, słabo mówili po angielsku, przygotowali sobie legendę dopasowaną do swoich doświadczeń życiowych i zdolności językowych. W razie potrzeby mieli się podawać za niedobitków armii Własowa walczącej w czasie drugiej wojny u boku Wehrmachtu przeciwko Armii Czerwonej, którym udało się uniknąć losu kolegów deportowanych po wojnie – w wyniku porozumienia Churchilla ze Stalinem – do Związku Radzieckiego i osiąść w Kanadzie. Dominik mógł bez problemu udawać ukraińskiego własowca, a Gerard byłego żołnierza Wehrmachtu przydzielonego do tej formacji, natomiast powojenna emigracja ukraińska do Kanady była faktem. Stali się więc kanadyjskimi biznesmenami ukraińskiego pochodzenia zajmującymi się pośrednictwem w handlu maszynami rolniczymi, a zwłaszcza traktorami. Wojna nauczyła jednego i drugiego obsługi wszelkich maszyn i urządzeń.

Po przybyciu na lotnisko w Rio de Janeiro mieli odbyć trasę sprawdzeniową po mieście, a następnie o dokładnie ustalonej porze spotkać się z osobą kontaktową w jednej z licznych restauracji. Oczywiście na wypadek komplikacji w podróży przewidziano zapasowe terminy i miejsca spotkań oraz łączność awaryjną. Jak zawsze.

O wyznaczonej godzinie Dominik i Gerard pojawili się w restauracji Porto specjalizującej się w owocach morza. Byli pewni, że nie są śledzeni i nie wzbudzili ani na lotnisku, ani podczas krążenia po mieście niczyjego niezadowolonego zainteresowania.

Przy barze stał wysoki, lekko opalony, przystojny mężczyzna w jasnym garniturze. Uważnie im się przyjrzał i uśmiechnął się szeroko do Gerarda. Serdecznie się uścisnęli. Następnie Gerard przedstawił Dominika. Zrobił to bardziej dla zachowania pozorów aniżeli z potrzeby. Konrad Priebe był bowiem jednym z esesmanów, któremu Dominik uratował życie w gabinecie Gerarda owego pamiętnego wieczoru, gdy klęczeli przed rosyjskim oficerem. Wtedy twarz Dominika utkwiała w pamięci Konrada na wieki.

Plan miasta, dokładnie wytyczoną trasę sprawdzeniową i lokalizację miejsca spotkania Gerard kazał załatwić jednemu ze swoich synów jeszcze przed wylotem z Europy. Nie lubił niczego zostawiać przypadkowi, zwłaszcza gdy przychodziło mu działać w obcym mieście. Dlatego na swój kontakt w Rio wybrał starego kolegę ze szkoły SS. Konrad tuż po wojnie osiedlił się w Brazylii. Dzięki zrabowanym diamentom mógł rozwinąć dużą plantację kawy i pomarańczy, a następnie misternie budować organizację weteranów SS i innych formacji zbrojnych Trzeciej Rzeszy. Obecnie siatka Konrada odgrywała kluczową rolę w operacji narkotykowej Dominika w Ameryce Południowej.

Ustalili szybko, że odtąd Dominik będzie się posługiwał imieniem Roland, które widniało w paszporcie legalizacyjnym, a Gerard stanie się Gerdem. Takie były zasady pracy operacyjnej.

– Pozwólcie, drodzy przyjaciele, za mną – zakomenderował Konrad. – Mamy tu salkę do spokojnych rozmów.

Usiedli przy dużym stole nakrytym wyjątkowej bieli obrusem i Konrad zaproponował drinki. Kelner przysunął do stołu sporych rozmiarów ruchomy bar.

– Gin z tonikiem – poprosił Dominik.

– Wódkę z lodem – rzucił Gerard.

– Dla mnie rum z colą – uzupełnił zamówienia Konrad.

Kelner podał drinki i wyszedł.

– Zdrowie poległych – rzekł Dominik i wzniósł szklanke.

Jego współbiesiadnicy nie mieli najmniejszej wątpliwości, kogo ma na myśli. Przez ostatnie dwadzieścia kilka lat każdy z nich wzniósł już wiele takich toastów.

– Wiesz, po co przyjechaliśmy? – niecierpliwie zapytał Dominik vel Roland.

– Tak, Rolandzie, wiem. Bardzo mi przykro z powodu twojej straty – odpowiedział Konrad. – Przyszykowałem wszystko zgodnie z wytycznymi Gerda. Jestem gotowy do działania.

– Dziękuję i przepraszam za niepotrzebne zniecierpliwienie – odparł Dominik, uświadamiając sobie, że przecież Konrad stoi po jego stronie. Na szczęście! – Gerd i ja zamieniamy się w słuch.

– Opowiem wam w paru słowach, co się dzieje w Brazylii, bo ma to pewne znaczenie dla naszych operacji. Mniej więcej rok temu prezydentem został João Goulart, dotychczasowy wiceprezydent. To reformator i lewicowiec. Nawiązał stosunki z Kubą i krajami Europy Wschodniej, czym bardzo wkurzył Waszyngton i własne koła wojskowe. Zrobią wszystko, aby się go pozbyć.

– Przewrót? – zapytał Dominik. – Więc to jednak może być prawdą. Nasi żydowscy przyjaciele z Nowego Jorku wspominali, że takie plotki chodzą po mieście.

Konrad, który w Trzeciej Rzeszy należał do bliskich współpracowników Waltera Schellenberga, szefa Sicherheitsdienst der SS – Służby Bezpieczeństwa SS, a w jej ramach był specjalistą od wywiadu zagranicznego, spojrzął wymownie na Dominika.

– Potwierdzam, absolutnie. Żydzi jak zwykle mają dobre informacje. Czasami myślę, że gdyby nie obsesja Führera na ich punkcie, to wygralibyśmy tę wojnę. Taki Einstein, dla przykładu, pracowałby dla nas... Ale do rzeczy – zreflektował się Konrad pod wpływem zdziwionych spojrzeń przyjaciół. – Moi ludzie od lat doradzają różnym wojskowym w tym kraju. Są słuchani i cenieni. Wiemy więc dokładnie, co się dzieje. Wojsko, przynajmniej jego większa, konserwatywna część, chce się pozbyć Goularta. Waszyngton dał CIA zielone światło na szeroko zakrojone działania zmierzające do zamachu stanu.

– Uda im się? – zapytał Gerard. – I co my z tego możemy mieć?

– Uda. Przynajmniej ja tak obstawiam. Dojście do władzy wojskowych, wśród których moi ludzie cieszą się dużym szacunkiem, znacznie by wspomogło nasze operacje narkotykowe. Zresztą wszystkie inne też.

– A konkurencja ze strony CIA? Wyobrażam sobie, że oni też mają wpływy i posłuch w wojsku – wtrącił się Dominik.

Konrad się uśmiechnął.

– Wybacz, Rolandzie, jeśli to, co za chwilę powiem, jakoś cię urazi, ale na pewno nie jest to moim zamiarem. SS nigdy nie było tuzinkową organizacją. Było skuteczne i bezwzględne. Tylko dlatego w pewnym momencie kontrolowało cały naród niemiecki i

większość Europy. Tutejsi wojskowi doskonale o tym wiedzą. Gdyby mogli, chętnie stosowaliby nasze metody. Na ogół jednak muszą dopasowywać je do realiów. Dla wielu z nich jesteśmy niedoścignionym wzorcem. Nadajemy na tych samych falach. Amerykanie to gringos, którzy od stu lat panoszą się na południe od Rio Grande. Są potężni i mogą być użyteczni. Zwłaszcza jeżeli interesy obu stron są zbieżne lub tożsame jak w przypadku pozbycia się Goularta i walki z komunizmem. CIA daje pieniądze i zapewnia przychyłność Stanów Zjednoczonych. To ważne. Ale moi ludzie potrafią przekazać esprit de corps, jakiego ci wojskowi przedtem nie znali, i зараzić ich poczuciem misji dziejowej. A dla ludzi w mundurach to jest jeszcze ważniejsze. Nie da się porównać wpływów mojej organizacji na oficerów, z którymi od lat mamy kontakt, ze stosunkami, jakie próbuje wypracowywać sobie CIA. Ich ludzie przychodzą i odchodzą – my trwamy!

– To bardzo interesujące. Bardzo. Widzę w tym ogromny potencjał. – Dominik się zamyślił. – Ale Amerykanie muszą się orientować, jakie wpływy ma twoja organizacja. Czyż nie?

– Do pewnego stopnia tak. Ale oczywiście nie do końca. Sam wiesz, że po wojnie zostaliśmy ich sojusznikami w walce z komunizmem. Tu też jesteśmy ich sojusznikami w tej samej walce z lewicową zarazą płynącą z Kuby. Dlaczego więc Amerykanie mieliby się nas obawiać?

– Brzmi to logicznie. Gerd i ja znamy te układy nieźle z Europy. Generał Gehlen okazał się dla wywiadu amerykańskiego niezwykle użyteczny w rozpoznawaniu Rosjan.

– Mogę cię zapewnić, że mój były szef, Walter Schellenberg, także. Ale zasadnicza różnica polega na tym, że brazylijscy wojskowi nie przegrali żadnej wojny ze Stanami Zjednoczonymi. Nie muszą im się podporządkowywać i nie mają problemu z niezależnością. Dlatego CIA nie jest tu konkurencją dla mojej organizacji. Ani dla naszych operacji narkotykowych.

– Jak głęboko CIA może tkwić w narkotykach w Ameryce Południowej? – zapytał Gerard. – Bo wiemy, że tkwi. Nie wiemy tylko, czy jest to zinstytucjonalizowane, czy zajmują się tym jedynie niektórzy ich ludzie prywatnie, a może jedno i drugie.

– Jeżeli Indochiny mogą być jakąś analogią, to oczywiście tkwią, i to mocno – odrzekł Konrad.

– Co mają do tego Indochiny? – dociekał Gerard.

– Kilku moich ludzi parę dobrych lat służyło w Legii Cudzoziemskiej w Indochinach, a zwłaszcza w Wietnamie, gdy Francuzi walczyli z Viet Minhem. Cudem wydostali się w ostatniej chwili z oblężonego Dien Bien Phu, kiedy cały wysiłek zbrojny Francuzów w tym regionie szlag trafił. Mieli okazję się przyjrzeć, jak wywiad francuski kontrolował obrót narkotykami na tym terenie. Znał wszystkie kanały przerzutowe i handlarzy. Bez jego zgody żaden większy transport nigdzie się nie ruszył. A gdy ktoś się sprzeciwił i zaczął działać na własną rękę, Francuzi potrafili być bezwzględni. Ich służby słyną z bezwzględności – doceniają więc byłych żołnierzy SS. Obrót narkotykami przynosił gigantyczne pieniądze. Jego kontrola pozwalała na czerpanie wielkich zysków na różne cele. Pierwsza wojna indochińska zakończyła się w pięćdziesiątym czwartym roku. Powstały dwa Wietnamy – Północny i Południowy. Od paru lat w Wietnamie Południowym rozpędu nabiera druga wojna indochińska. Działa tam nowa partyzantka komunistyczna, Wietkong. Dowodzą nią ci sami ludzie, którzy uprzednio pokonali Francuzów. Ale teraz tych ostatnich zastąpili Amerykanie. Zaczynają się tam bardzo angażować. Na razie na pierwszej linii walki z komunizmem w Wietnamie jest CIA. Ich ludzie jednak słabo znają ten teren. Poszukali więc bardziej doświadczonych, w tym byłych żołnierzy Legii Cudzoziemskiej, którzy przeszli już przez Wietnam. Jeden z moich ludzi, były legionista, jest na kontrakcie CIA w Wietnamie. Amerykanie błyskawicznie się zorientowali, jakie pożytki płyną z kontroli obrotu narkotykami. Mój człowiek podzielił się z nowymi kolegami z CIA całą swoją wiedzą o tym, jak to robili Francuzi. Amerykanie mieli zresztą więcej takich doradców i szybko weszli w buty Francuzów. To zbyt wielka forsa, by jej nie przytulić.

– Skoro zajmują się tym na Wschodzie, to pewnie i tu, jeżeli jest okazja – odezwał się Dominik. – Zresztą wiemy, że mają kanał w Nowym Jorku razem z mafią włoską. Sądzę, że jego odpryskiem tutaj jest młody Fargo. Nasz cel.

– I tak dochodzimy do sedna sprawy – rzekł Konrad. – Otóż bardzo dokładnie rozpracowałem operację narkotykową CIA na tym terenie, bo instynkt samozachowawczy nakazuje wiedzieć, co robi konkurencja. Tobie, Rolandzie, nie muszę chyba wspominać o niemieckiej dokładności.

– O, nie! – odpowiedział Dominik z miną cierpiętника. – Muszę to znośić na co dzień.

Z tymi słowy Dominik vel Roland wymownie spojrział na Gerarda i wszyscy się roześmiali.

Tymczasem na stole pojawiły się przystawki, specjalności kuchni portugalskiej, a więc różne salgados, czyli pikantne paszteciki i krokiety nadziewane mięsem, rybą i kiełbasą paprykową, oraz petiscos, czyli pyszne kęski – małże w wywarze z czosnku i liści kolendry z cytryną i pieprzem; nadziewane oliwki; pieczona na ruszcie papryka z oliwą, octem i czosnkiem; kawałki ośmiornicy w sosie winegret z cebulką i natką pietruszki; sałatka z pokrojonych na niewielkie kawałki świńskich uszu w sosie winegret i tym podobne przysmaki.

Konrad ze znajomością rzeczy dobrał odpowiednie wina. Po zaspokojeniu pierwszego głodu zebrani kontynuowali rozmowę.

– Nasz młody cel nie tkwi operacyjnie w samej akcji narkotykowej CIA. Pełni raczej funkcję kontrolną. Od czasu do czasu spotyka się z szefem operacji lub jego zastępcą i dostaje od nich sprawozdania. Przekazuje je komuś w Stanach Zjednoczonych, przypuszczalnie kanałem łączności CIA w ambasadzie amerykańskiej.

– Coś mi się zdaje, Konradzie, że zinfiltrowałeś tę ich operację – zauważył Dominik. – Ale – dodał szybko – nie musisz odpowiadać!

Konrad uśmiechnął się szeroko.

– Masz instynkt, Rolandzie. Ale jakoś mnie to nie dziwi. Pomyślałem sobie, że jeśli agenda rządowa wielkiego mocarstwa babrze się w Brazylii w narkotykach, to warto o tym wiedzieć. Jeden z moich ludzi doradza szefowi kontrwywiadu wojskowego, pułkownikowi Santosowi. Zwrócił mu uwagę na tę operację CIA i przekonał, że warto zbierać materiały kompromitujące Amerykanów,

przyszłych sojuszników w planowanym przewrocie. To świetna poli-sa ubezpieczeniowa na wypadek nieprzewidywalnego zachowania partnera, który ma masę własnych interesów, nie zawsze zbieżnych z twoimi. Mój człowiek podał swemu mocodawcy parę przykładów na to, jak takie sprawy rozgrywało się w Trzeciej Rzeszy. Ludzie z tutejszego kontrwywiadu wojskowego to bystre chłopaki i nie trzeba im było długo tłumaczyć, jaką wartość może w przyszłości mieć takie dossier. Tak więc dzięki uprzejmości naszych brazylijskich partnerów dokumentujemy wszystko, co się da, o operacji CIA w takim zakresie, jaki może zapewnić wyłącznie służba państwowa. A ten ich kontrwywiad wojskowy może tu wszystko. Nikt nie odmówi mu współpracy, wierzcie mi.

– Piękny mechanizm stworzyłeś. A Amerykanie do nich nie docierają? – zainteresował się Gerard.

– Oczywiście, że docierają. Szef kontrwywiadu wojskowego spotyka się regularnie z nowym attaché wojskowym Stanów Zjednoczonych, Vernonem Waltersem, czy ludźmi z ich ambasady. Ale rodzina szefa kontrwywiadu wywodzi się ze starej arystokracji portugalskiej i mieszka w Brazylii od paruset lat. To arystokrata i patriota. Goulart w jego opinii to śmieć zagrażający wszystkiemu, co dlań najświętsze. A do tego, jak niesie plotka, naznaczony chorobą weneryczną. Jeżeli CIA chce pomóc Santosowi pozbyć się prezydenta, to on chętnie z tej pomocy skorzysta, ale nigdy się Agencji nie podporządkuje. Duma i honor są w kręgach brazylijskich wojskowych w wielkiej cenie. Ba, są wszystkim. Oni wiedzą, że z silnym trzeba rozmawiać z pozycji siły. Wiedza o operacji narkotykowej CIA w ich kraju da im taką siłę. Zwłaszcza gdyby udało się ustalić, kto tą operacją zarządza w Langley, wie o niej, godzi się na nią i jak rozchodzą się zyski. Szef kontrwywiadu wojskowego byłby bardzo wdzięczny za taką wiedzę.

– Każdy by był. Może nasz młody cel ma takie informacje – zamyślił się Gerard.

– Częściowo na pewno tak. Zresztą niedługo się o tym przekonamy. Po to tu między innymi przyjechaliśmy – rzekł Dominik.

– My wiemy dosyć dokładnie, jak ta operacja funkcjonuje tu, na

miejscu, i jak działa kanał przerzutowy do Stanów. Wiemy, kim tam są główni ludzie kontaktowi. Oni znają i docierają do ludzi z CIA. W końcu muszą jakoś dzielić się forszą, bo tak naprawdę o to chodzi w tej całej zabawie – podsumował Konrad.

– Już wykonałeś kawał dobrej roboty, Konradzie – odezwał się Dominik. – Teraz musimy zrobić kolejny krok. Zając się na poważnie naszym młodym Fargo. Gdy ustalimy, co on wie, to pomyślimy o kolejnym ruchu.

– Jasne. Sprawa z naszym celem przedstawia się następująco – zaczął referować Konrad. – Denis rzeczywiście pracuje w firmie spedycyjnej Freight America, tak jak wynikało z informacji, które dostałem od Gerda. Potwierdzam, że to przykrywka CIA. To tajemnica poliszyneła w Rio, bo amerykańscy koledzy nawet się z tym specjalnie nie kryją. Nie bardzo przestrzegają zasad bhp. U Schellenberga byłoby to nie do pomyślenia. Widać, że czują się tu pewnie.

– Bo nie muszą pracować w warunkach głębokiej konspiracji, gdy za błąd można było zarobić kulkę od ludzi Gerda, jak kiedyś w Polsce – zauważył Dominik z czarnym humorem.

– Ale ty jakoś żadnej kulki nie zarobiłeś, przemytniku. I to dzięki komu? – odgryzł się esesman.

Konrad, który rzadko miał okazję słuchać takiej wymiany zdań, nie mógł powstrzymać się od refleksji.

– Gdy uczyłem się sztuki wywiadu u Schellenberga, do głowy mi nie przyszło, że będę kiedyś świadkiem podobnej rozmowy pomiędzy Polakiem a Niemcem...

– Bo życie jest niekiedy ciekawsze od fikcji. Schellenberg nie wysłał cię na front wschodni, tylko oddelegował jako szefa wywiadu ochrony tego węzła kolejowego do Gerda, bo uważał, że tam będziesz bardziej potrzebny i będzie bezpieczniej. A nie było – odrzekł Dominik. – Bo ten węzeł to była linia życia dla Wschodu...

– Może dosyć tego filozoficznego pierdolenia – wtrącił od niechcienia Gerard. – Przy tych waszych dygresjach umrzemy ze starości, zanim skończymy tę robotę.

– Prostak – mruknął pod nosem Dominik. – Dobrze, Konradzie,

kontynuuj.

– Na początek objęliśmy Denisa obserwacją, żeby zobaczyć, jakie ma zwyczaje i z kim utrzymuje kontakt. Wiemy, że nosi przy sobie czarny notes z telefonami i nazwiskami. Musi być dla niego ważny, bo bardzo go pilnuje. Lubi sobie pohulać po mieście. Czasami sam, czasami z kolegami z rezydentury CIA. Jak na warunki brazylijskie to chłopcy mają dużo forsy, więc stać ich na wiele. Piją po barach i nocnych klubach, czasami zapalą trawkę... no i uganiają się za Brazylijkami. Bo mamy tu piękne dziewczyny, wszelkich odcieni skóry i kształtów. Nasz cel gustuje w Mulatkach z dużymi piersiami, wąską talią i zgrabnym tyłeczkiem.

– Jak skończymy robotę... – rozmarzył się Gerard, jak zawsze, gdy wypływał temat płci pięknej.

– Ja stawiam – wtrącił się Dominik. – A teraz się zamknij i daj człowiekowi mówić.

Gerard umilkł, ale zanotował sobie w pamięci obietnicę przyjaciela.

– Pozwólcie, że zreferuję sprawę do końca – przywołał ich do porządku Konrad. – Przypuszczamy, że w ramach podziału pracy w rezydenturze CIA nasz cel nadzoruje na tutejszym terenie kwestie związków zawodowych...

– CIA robi w związkach zawodowych? – zainteresował się Gerard.

– Zaczął tu działać American Institute for Labor Development, odnoga amerykańskiej centrali związkowej AFL-CIO. Przez Instytut CIA pcha kasę na mobilizowanie brazylijskich związkowców, aby aktywnie bronili swoich praw pracowniczych, czyli strajkami podkopywali reżim Goularta i uprzykrzali mu życie. Wszystko to zostało przecwiczone w zeszłym dziesięcioleciu we Włoszech i Francji. Te mechanizmy działają! Oczywiście lewicowe związki zawodowe bronią Goularta i jest rozróżba. Nasz cel jest jednym z koordynatorów tej zabawy...

– Czyli lewicowe związki to jego przeciwnicy? – upewniał się Gerard.

– Tak, wspierane przez komunistów z Kuby i Europy Wschodniej

– odrzekł Konrad. – Dlaczego pytasz?

– Tak kombinuję – odparł Gerard i zatonął w myślach.

– Przejdźmy do sedna sprawy – zaproponował Dominik. – Chcemy z naszym celem pogadać na osobności, więc najpierw musimy go zaprosić na takie spotkanie. Co sugerujesz, Konradzie?

– Mam plan opracowany w najdrobniejszych szczegółach. Nasz cel nie przestrzega stałych godzin pracy w Freight America i często w soboty nie ma go w robocie. Lubi długie weekendy. Jeżeli zdejmujemy go w piątek po południu, to będziemy mieli sobotę, niedzielę i poniedziałek, zanim we wtorek ktoś ewentualnie zacznie go szukać.

– Czasami tacy młodzi lubią być twardzi... – zaczął Gerard.

– Przesłuchującym będzie Holtz – wyjaśnił Konrad.

– Arnold Holtz? To on żyje?! Masz go tu pod ręką? – z niedowierzaniem dopytywał się Gerard.

Zanim Konrad zdążył odpowiedzieć, odezwał się Dominik:

– Gdzie słyszałem to nazwisko. Kto to jest Arnold Holtz?

Dwaj byli esesmani spojrzeli na siebie z mieszaniną lekkiego rozbawienia i zakłopotania.

– No, chłopcy, dalej, bez żenady! – zachęcił Dominik.

– To jeden z najbardziej znanych i skutecznych inkwizytorów w SS. Był legendą – tłumaczył Gerard. – Historyk z wykształcenia. Jeszcze przed wojną napisał pracę o metodach wyciągania prawdy od heretyków przez inkwizycję. Można by powiedzieć: taki podręcznik dla przesłuchujących.

– Żartujesz? – zapytał Dominik.

– Bynajmniej – odrzekł najzupełniej poważnie Konrad. – Arnold ma zacięcie naukowe. Już w Brazylii zdążył zebrać masę materiałów na temat działalności inkwizycji w całej Ameryce Południowej. A działała tu paręset lat.

– I co, zamęczy nasz cel wykładami na ten temat? – zadrwił Dominik. – My nie chcemy zanudzić go na śmierć...

Ale żarty Dominika nie pobudziły do śmiechu żadnego z esesmanów.

– I kto tu jest prostakiem? – skonstatował Gerard.

– Panowie, proszę o powagę – rzekł Konrad tonem, w którym prośba mieszała się z poleceniem. Po czym, patrząc na Dominika, zaczął wyjaśniać: – Arnold jest z zamiłowania badaczem tortur, ale ma też sadystyczną żyłkę... Można by rzec, że jest sadystą naukowcem. Ale też absolutnym profesjonalistą, a nie tępym siepaczem. Jego celem nie jest torturowanie, ale wydobywanie informacji, w miarę możliwości bez tortur. Do tego jest niezłym psychologiem i doskonale wyczuwa przesłuchiwanym.

– Brzmi to interesująco. Wiesz, Konradzie, sam w życiu musiałem przesłuchiwać ludzi i wiem, że różnie bywa. Jedni mówią, nad innymi trzeba się namęczyć. Ale dobra, zobaczymy. Pogadajmy lepiej o tym, co zrobimy z celem, gdy skończymy przesłuchanie – zaproponował Dominik.

– Bardzo chętnie – zgodził się Konrad. – Muszę się przygotować.

– Zabił Inez i Ratza, więc zasługuje na śmierć – rzekł bez emocji Dominik. – Ale najchętniej bym go przewerbował, aby rozpracował dla nas tę operację CIA od środka, jednak pod warunkiem, że dałoby się mu zrobić pranie mózgu. Tyle że Amerykanie to niełatwy materiał do werbunku, zwłaszcza drugie pokolenie pracowników FBI. Nigdy nie wiadomo, kiedy ten ich hurapatriotyzm zacznie brać górę nad strachem przed nami. Przygotuj się na to, że chłopak musi zniknąć, rozplątać się. Macie tu takie rybki. Nazywają się chyba piranie. Gdy CIA zacznie go szukać, to nie powinna po nim znaleźć najdrobniejszego śladu.

– To jest prawidłowe rozwiązanie – odezwał się nagle Gerard. – A ja bym jeszcze skierował tropicieli z CIA w stronę lewicowych związków zawodowych i ich doradców z Kuby. Powinni znaleźć ten jego czarny notes przy jakimś martwym Kubańczyku.

Dominik i Konrad pokiwali z aprobatą głowami.

– To dałoby się załatwić... – głośno myślał Konrad.

– Jednym kamieniem zabilibyśmy dwa ptaszki – kontynuował Gerard. – Skierujemy podejrzenia na lewicowe związki i ich doradców komuchów. Przecież oni i prawicowcy ze związków finansowanych przez AFL-CIO muszą się regularnie łączyć, tak jak my

z komuchami w Hamburgu w pięknych starych czasach.

– Tak jest istotnie – potwierdził Konrad. – Są regularne bijatyki. Czasami ktoś ginie, a masa rannych trafia do szpitali.

– Gdy CIA się zorientuje, że lewicowcy i Kubańczycy kropnęli nasz młody cel, to pomyślą, że mogli od niego wyciągnąć informację o ich kanale narkotykowym, więc być może go zawieszą lub zlikwidują. Pozbędziemy się zarazem konkurencji.

– Brawo, Gerardzie! – rzekł Dominik. – Godne rozważenia.

– To świetne rozwiązanie! – zachwycił się Konrad. – Na dodatek zmotywuje Agencję i brazylijskich wojskowych, w tym naszego przyjaciela pułkownika Santosa, do szybszego obalenia Goularta. A gdy do władzy dojdą wojskowi, będziemy jak u siebie. Dobrze! Zaczyna mi się to bardzo podobać!

– Widzisz, przyjacielu – zwrócił się Gerard do Dominika. – To tak, jakbyś zawerbował młodego Amerykanina. Będzie ci służył nawet po śmierci. Idealny agent. Nawet gdyby Ami mieli jakies wątpliwości, to nie przepuszczą okazji, by zrobić z niego męczennika walki z komunizmem i wykorzystać do podkopania reżimu Goularta. Strzał w dziesiątkę.

– Więc będziemy mieli problem, jeśli się zgodzi na współpracę... – zamyślił się Dominik. – Bo twoje rozwiązanie rzeczywiście jest świetne.

– Nie wierzę, aby szczerze chciał współpracować. To raz. A dwa, będziemy się tym martwić, gdy taka sytuacja zaistnieje – odpowiedział Gerard.

Konrad zawołał kelnera i kazał serwować dania główne – przede wszystkim ryby i owoce morza, ale także ragout z jagnięciny, marynowane wątróbki cielece, prosiaka z rożna, duszone mięso z dzika. Na koniec podano wybór serów i owoców, które biesiadnicy popijali znakomitym porto.

– Będziecie nocować w willi na skraju miasta, której właściciel jest obecnie za granicą. Nie ma potrzeby włączania się po hotelach i zostawiania niepotrzebnych śladów. A od jutra do roboty! – zakomunikował Konrad.

Przywołał kelnera, uregulował rachunek i mężczyźni opuścili

restaurację.

27 lipca

Odkąd Denis Fargo poznał Marię, jego życie uległo widocznej zmianie. Nie włączył się już tak często z kolegami z CIA po barach i nocnych klubach. Pierwszy raz zobaczył ją, gdy ubrana w biały fartuszek stała przy straganie z kwiatami przed wejściem do domu, w którym wynajmował apartament. Ucieleśnienie słodyczy i niewinności. Miała dopiero osiemnaście lat. Kupił ze dwa razy kwiaty, zagadał, zaprosił na kawę. Z początku była niezdecydowana, nieśmiała, ale gdy zagadnął ponownie, wreszcie się zgodziła. Po kilku grzecznych randkach Maria dała się przekonać do spędzenia wspólnej nocy i odtąd zaczęła działać na niego jak narkotyk. Miała niezwykle ciało. Pod wpływem oliwki z orzecha kokosowego, którą je starannie nacierała, wydzielало odurzający zapach.

Na początku znajomości sądził, że to po prostu kolejna dziewczyna do łóżka. Teraz, po prawie trzech miesiącach regularnych spotkań i wspólnie spędzonych nocy, miał świadomość, że jest hooked, jak by powiedzieli jego kumple z Agencji. Złapany jak ryba na haczyk. Dlatego też wolał nie przedstawiać im Marii, bo szybko by się zorientowali, że to ktoś znacznie więcej niż panienka do bzykania. Zresztą ona sama też się ich wystrzeżała: co by ludzie powiedzieli, itepe... Tym lepiej. Nie chciał się narażać na głupie komentarze, nie chciał też, żeby jego koledzy pożerali ją wzrokiem. Czyżby zazdrość? – pomyślał. Maria pociągała go nie tylko niespotykanym, naturalnym seksapilem, ale również ponadprzeciętną bystrością. Była po prostu inteligentna, skonstatował kiedyś zaskoczony, bo nie był przyzwyczajony do takich kobiet. Zaczął zdawać sobie sprawę, że im dłużej będzie ją znał, tym trudniej będzie mu się z nią rozstać. Nie dopuszczał jeszcze do siebie myśli, że mógł się zakochać, ale przyszło mu też kiedyś do głowy, iż Maria to dobry materiał na żonę. Nie tylko dla niego – dla każdego mężczyzny. Nawet dla pracownika CIA. Natychmiast jednak odrzucił tę myśl jako nierealną. To już wprawdzie nie były lata pięćdziesiąte i Agencja powoli dopuszczała małżeństwa swoich ludzi z obywatelami takich państw jak Brazylia, ale wciąż należało to do

wyjątków.

Odsuwał więc od siebie takie dywagacje i starał się maksymalnie cieszyć z każdego spotkania i każdej nocy z Marią. Jak choćby tego piątkowego wieczoru, gdy właśnie zbliżał się do umówionego miejsca. Nigdy nie brał samochodu, bo wolał wybrać się z Marią po kolacji na romantyczny spacer, który kończył się w jego mieszkaniu. Gdy tak chodzili, całując się i przytulając, sama myśl, że wkrótce będzie pieścił jej ciało, napawała go podniecającym drżeniem. Uwielbiał te momenty oczekiwania.

Około dwustu metrów od miejsca, gdzie Maria już oczekiwała na swojego kochanka, w jednym z barów za rogiem Dominik i Gerard pili kawę. Towarzyszył im członek ekipy obserwacji, która na polecenie Konrada od kilku miesięcy wrywkowo inwigilowała młodego Amerykanina. Człowiek ten miał im wskazać cel, aby wykluczyć jakąkolwiek pomyłkę. Dominik i Gerard dokładnie obejrzeni zdjęcia młodego Fargo i nagrania filmowe z jego inwigilacji, aby zapamiętać charakterystyczne ruchy i mowę ciała. Ale diabeł zawsze tkwił w szczegółach. A w tej operacji pomyłka co do osoby była niedopuszczalna.

Jakieś dwadzieścia czy trzydzieści metrów od baru, po tej samej stronie ulicy, stał zaparkowany samochód dostawczy koncernu ITT, amerykańskiego giganta łączności telefonicznej. Maskę była otwarta i kierowca dolewał wody do chłodnicy. Młody Fargo musiał przejść obok baru, następnie minąć furgonetkę i skręcić w prawo, aby wreszcie ujrzeć swą wybrankę.

– To był dobry pomysł, szefie, z tym wozem – rzekł z uznaniem Gerard. – Coś swojskiego i wzbudzającego zaufanie, jakby cząsteczka Stanów Zjednoczonych na brazylijskiej ulicy. Nasz cel podświadomie się odpręży. Może nawet zechce pomóc z tą wodą.

– O to chodzi, żeby stępić jego czujność – odparł Dominik. – Chociaż on już teraz myśli fiutem i jest w krainie szczęśliwości.

Obaj wiedzieli o prawdziwej roli Marii.

Konrad znalazł ją w domu publicznym należącym do jednego z jego ludzi. Przybytek miał znakomitą renomę. Bywała tam elita Rio z najróżniejszych kręgów, a i sporo przyjezdnych, toteż miejsce

stanowiło przy okazji przebogatą kopalnię informacji. Dziewczyna była ze świeżego narybku, zawsze bardzo starannie dobieranego, na ogół z nizin społecznych, bo tam wiedzą, co to twarde życie, i nie mają przewrócone w głowie. Ale w jej przypadku, oprócz niezwyklej urody i pięknej budowy ciała, zwracała uwagę wielka inteligencja, wrodzona inteligencja kojarzeniowa. Naprawdę nieprzeciętna kobieta. Konrad więc pomyślał, że szkoda jej na prostytutkę i że bardziej mu się przyda do zadań specjalnych. Zwłaszcza że nie miała żadnych oporów, jeżeli chodzi o seks. Zapłacił właścicielowi niezłe odstępnę, zainstalował ją w porządnym mieszkaniu, zapisał do prywatnego liceum, żeby zdobyła maturę, i kazał szkolić się we wszystkim, co w życiu takim jak jego może okazać się przydatne. Gdy ją odkupił, miała szesnaście lat. Po dwóch latach szkolenia mógł powiedzieć, że była to pierwszorzędna inwestycja. Za parę miesięcy Maria pójdzie na studia i – przy skromnej pomocy Konrada i jego ludzi – będzie mogła zawojować świat. A na pewno każdego dygnitarza, przedsiębiorcę czy naukowca, którego jej wskażą. Nie tylko w Brazylii.

Dominik z podziwem wysłuchał opowieści Konrada. „Nie chcę być niedyskretny, ale ile jeszcze masz takich kobiet w trakcie szkolenia, a może już wyszkolonych?” – zapytał. Konrad popatrzył na niego. „Nikommu innemu bym na to pytanie nie odpowiedział. Ale tobie zawdzięczam życie, a to wszystko zmienia. Oprócz dziewczyny, o której mówimy, dwie są już wyszkolone i działają, a dwie się szkolą. W końcu Mata Hari to niemiecki wynalazek”.

W rzeczy samej, ta kobieca broń ma niesamowity potencjał – skonstatował wówczas Dominik – i bardzo może się jeszcze przydać. Zaproponował nawet, że gdyby celu nie udało się złamać, to w ostateczności można by sfingować przy nim śmierć dziewczyny. „Niech wie, że nie żartujemy. Mam przećwiczone takie udawane egzekucje. Na ogół przesłuchiwany staje się wtedy bardziej rozmowny”. Ale Konrad się sprzeciwił. „Albo zamyka się w sobie i wzmacnia to jego upór. Nie chcę mieszać jej do tej sprawy w większym stopniu, niż to konieczne. Celowo kazałem Marii unikać jego kolegów. Gdy rozpoczną poszukiwania, lepiej, żeby nie szukali i dziewczyny. Nie pozwoliłem jej też przeglądać ani kopiować

czarnego notesu, bo to mogłoby ją spalić. Sami zdążymy go przejrzeć”.

Dominik przyznał mu rację. Życie nauczyło go, że nawet najlepiej zaplanowane operacje mogą niespodziewanie zacząć się sypać. Dlatego kazał ustawić drugi, już nieoznakowany pojazd dostawczy tuż obok miejsca, w którym czekała Maria. Tak na wszelki wypadek, gdyby młody Fargo przeszedł na drugą stronę ulicy i ominął wóz ITT. Licho nie śpi.

Tymczasem do baru weszła jakaś młoda kobieta i zaczęła rozglądać się po sali.

– Cel nadchodzi, za chwilę tu będzie. Przygotujcie się – szepnął członek ekipy obserwacji, który towarzyszył Dominikowi i Gerardowi.

Kobieta, jakby nie znalazła tego, kogo szukała, opuściła bar i skierowała się w stronę samochodu ITT. Mijając go, dała znak kierowcy i grupie wsparcia, że zaraz zacznie się akcja.

Dwa stoliki od miejsca w barze, gdzie Dominik i Gerard dopijali kawę, siedział podpity młody mężczyzna. Od kilkunastu minut awanturował się i obrzucał wyzwiskami innych gości. Teraz zainteresował się Gerardem, którego wskazywał palcem i mieszaniną portugalskiego i łamanej angielszczyzny urągał mu od świni.

– Nie zwracaj na niego uwagi, przyjacielu. Nie wyglądasz na świnię – szepnął Dominik.

– Zaraz urwę mu łeb – odszepnął Gerard.

– Mamy coś, ciekawszego do roboty. Może zajmie się kimś innym i da nam spokój...

Ale tak się nie stało. Pijak widocznie doszedł do wniosku, że wystudiowana obojętność Gerarda go obraża, bo wstał i niepewnym, chwiejnym krokiem ruszył ku niemu, wykrzykując coraz obraźliwsze wyzwiska. Zanim przeszedł połowę dystansu dzielącego go od byłego esesmana, od baru oderwała się młoda, mocno zbudowana i krótko ostrzyżona kobieta i ruszyła w stronę agresywnego opoja. Zaszła mu drogę i prawe kolano z całej siły wbiła mu w krocze, jednocześnie prawą ręką chwytając go za tchawicę, a lewą dla stabilizacji za prawy bark. Facet stanął jak wryty, z wyrazem

najwyższego zdumienia przechodzącego powoli w grymas bólu. Po chwili zwinął się w kłębek i powoli osunął na ziemię. Krewka kobieta przy aplauzie części klienteli powoli zaczęła przemieszczać się w stronę wyjścia.

Gerard szepnął z uznaniem do Dominika:

– Ty to umiesz przewidzieć nieprzewidywalne.

Dominik się uśmiechnął. Kobieta należała do ich obstawy. Dołączono ją na wypadek nieoczekiwanych zwrotów akcji, takich jak ten, lub gdyby kogoś z zespołu realizującego trzeba było nagle zastąpić.

Denis Fargo właśnie mijał oszkloną witrynę baru. Obserwator towarzyszący Dominikowi i Gerardowi wskazał go głową i dla wykluczenia jakiegokolwiek pomyłki wyszedł z knajpy i zrównał się z Amerykaninem na chodniku. Szedł z nim ramię w ramię przez kilka metrów, zanim go wyprzedził i ruszył przodem.

Dominik i Gerard opuścili bar i udali się za swoim celem, trzymając się w odległości około dziesięciu metrów od niego. W takiej samej odległości za nimi szła kobieta – ich obstawa z baru.

Młody Amerykanin, pogrążony w marzeniach o Marii, dostrzegł nagle stojącą przy krawężniku furgonetkę. Maskę była otwarta i kierowca dolewał wody do chłodnicy. Wszędzie amerykańskie imperium – pomyślał Fargo z odrobiną sarkazmu. Gdzie to nas nie ma! Zwrócił też uwagę na parę młodych ludzi, kobietę i mężczyznę, obwieszonych aparatami fotograficznymi. Stali przy samochodzie i żywo dyskutowali nad wielkim planem miasta, który trzymali przed sobą. Pieprzeni turyści – stwierdził Denis – wszędzie ich pełno. Ale miał jeszcze trochę czasu, więc postanowił, że jeżeli to będą Amerykanie, to im pomoże. Od młodej pary dzieliło go już tylko parę metrów i starał się zorientować, w jakim mówią języku. Kobieta uniosła wzrok znad rozłożonej płachty papieru i zaczęła mu się przyglądać z miłym uśmiechem. Fargo odwzajemnił uśmiech i zatrzymał się o krok przed nią. Cała trójka stała tuż przy samochodzie dostawczym ITT.

– Hi! – zagadnął przyjaźnie Fargo, patrząc z zaciekawieniem na kobietę. – Need any help?

– John? To ty? – odezwała się turystka. Wpatrywała się w niego, jakby próbowała rozpoznać kogoś ze starych znajomych.

Mówi bez akcentu, ale nie jest chyba Amerykanką – pomyślał Denis. Skąd ja ją mogę znać?

Zanim cokolwiek przyszło mu do głowy, boczne drzwi furgonetki rozsunęły się, a potężna siła uniosła go i dosłownie wrzuciła do wnętrza. Siedzący tam dwaj mężczyźni przechwycili go w locie i unieruchomili. Żeby stłumić krzyk, narzucili Denisowi na głowę czarny worek.

Dominik i Gerard, którzy zaatakowali swoją ofiarę od tyłu, wskoczyli do samochodu w ślad za nią. Całą akcję, trwającą zaledwie kilka sekund, zasłonili przed oczami niepożądanych świadków turyści z aparatami fotograficznymi i wielkim planem miasta. Pomogła im krótko ostrzyżona kobieta podążająca za Dominikiem i Gerardem.

Cała trójka przez parę sekund bacznie obserwowała otoczenie, by wyłowić oznaki zaniepokojenia wśród przechodniów. Ale nikt nic nie zauważył. Młoda para ruszyła w stronę baru, a twardzielka na róg, gdzie stał obserwator towarzyszący wcześniej Dominikowi i Gerardowi w knajpie. Podniesiony kciuk kobiety oznaczał, że wszystko przebiegło zgodnie z planem. Taki sam znak obserwator przekazał czekającej na spotkanie z Denisem Marii, która skinęła głową i odeszła. Dziewczyna nie знаła szczegółów operacji, nie wiedziała, że jej kochanek został porwany. Wiedza ta nie była jej potrzebna. Miała udać się do mieszkania, które Amerykanin dla niej wynajął, i czekać.

W chwili gdy boczne drzwi furgonetki zatrzasnęły się za młodym Fargo, kierowca spokojnie zamknął maskę, usiadł za kierownicą i odjechał bez pośpiechu.

Fuck! Zostałem porwany! – uświadomił sobie Denis, a w jego głowie galopowały myśli. Kim są ci ludzie?! Komuchy i lewacy – próbował wnioskować – w odwet za koordynację działań AFL-CIO? Jak śmieli? My tu rozdajemy karty! Przecież jestem z CIA! To muszą być wariaci. Mam przesrane. Skoro odważyli się mnie porwać, to odważą się na wszystko. Kurwa, mogli dobrać się do

Marii! Jeśli mnie śledzili, to wiedzą, że się z nią spotykam. Ja pierdołę, wiedzą, że to może być moja słaba strona.

Spokojnie, Denis, nie panikuj, weź się w garść – próbował opanować strach i wprowadzić jakiś porządek do swojego rozumowania. Myśl, jak to rozegrać. Cholera, dziś jest piątek. Zanim moi się zorientują, że zniknąłem, to będzie wtorek albo środa. Dobrze to zaplanowali, skurwiele. Ale kim są?

Podczas gdy Denis Fargo leżał skrępowany na podłodze i myślał o swoim losie i być może podobnym losie Marii, Dominik siedział na rozkładanej ławeczce i patrzył z góry na człowieka, który zabił jego ukochaną Inez i Ratza. Cztery lata ustaleń i działań operacyjnych zwieńczone powodzeniem – pomyślał – ale to dopiero liryczny wstęp. Zdawał sobie sprawę, że rozpoczął rozgrywkę z jednym z najpotężniejszych wywiadów świata i stąpa po linie wysoko nad ziemią. Wiedział, że w zależności od tego, co usłyszy od porwanego Amerykanina, rozgrywka może przerodzić się w walkę. Ale odkąd pamiętał, zawsze toczył walki z większymi od siebie przeciwnikami i nigdy go to nie przerażało, bo na ogół nie miał wyboru. Tak jak teraz.

Gerard siedział obok, bardzo z siebie zadowolony. Pociągnął właśnie potężny łyk whisky z butelki, którą podał mu jeden z mężczyzn z załogi furgonetki, starannie dobranych przez Konrada, i mimo upału na zewnątrz czuł ciepło rozchodzące się po całym ciele. Sprawnie poszło – pomyślał – jak w starych czasach, gdy zbieraliśmy z ulicy komunistów i różnych demokratów. Ale wtedy taka finezja jak dziś nie była potrzebna – skonstatował. Tym bardziej się cieszył, że akcję udało się bezbłędnie przeprowadzić. Pociągnął następny łyk i podał butelkę Dominikowi, ale ten pokręcił głową. Gerard to rozumiał – szef chce mieć jasną głowę do rozmowy z tym dupkiem.

Był bardzo ciekaw, co młody Fargo im powie. Jaka będzie prawda. Bo że prędzej czy później powie im prawdę, nie miał żadnej wątpliwości. Wiedział z doświadczenia, że to zawsze kwestia czasu. Ci bardzo nieliczni, którzy nie mówili podczas przesłuchania, tylko potwierdzali regułę, że cała reszta mówi. A Denis Fargo wyglądał Gerardowi na należącego do tej rzeszy pozostałych.

Samochód dostawczy dotarł do dzielnicy portowej La Boca. Po drodze kierowca zdjął oznakowania ITT i pojazd niczym się nie wyróżniał. Kilkanaście minut później wjechał do magazynu szalup ratunkowych, a wielkie żelazne wrota szybko się za nim zamknęły.

Kilkaset metrów od hali zatrzymał się drugi samochód dostawczy. W czasie akcji parkował tuż obok miejsca, gdzie stała Maria. Potem sprawdzał, czy nikt nie śledzi furgonetki. Teraz jego załoga obserwowała okolice magazynu szalup, aby sygnalizować zbliżanie się nieproszonych gości.

*

– Gratuluję sprawnej akcji – powiedział po niemiecku Konrad. – Dostałem przez radiostację meldunek, że wszystko jest w porządku. Na mieście nie ma żadnego alarmu i nikt nic nie zauważył. Jak cel się trzyma?

– Rusza się, więc nie zszedł na serce – odparł Gerard. – Niech poleży i skruszeje.

– Chodźcie, przedstawię was Arnoldowi.

Konrad poprowadził ich do odgradzonej ścianami części magazynu przeznaczonej do malowania i mycia łodzi. Podłoga i ściany wyłożone były białymi kafelkami. W podłodze co kilka metrów zainstalowano kratki odpływowe. Z sufitu zwisały łańcuchy i urządzenia dźwigowe do przemieszczania szalup. W jednym z rogów stał duży stół i kilkanaście metalowych krzeseł. Na jednym z nich siedział jakiś mężczyzna. Podniósł się, gdy Konrad, Dominik i Gerard podeszli.

– To jest Arnold, panowie – rzekł Konrad.

Arnold Holtz był w średnim wieku i średniego wzrostu. Niezwykle szerokie bary i tors oraz szeroka twarz i mocno zarysowana szczęka sprawiały wrażenie, że jest kwadratowy. Odczucie potęgowała ogolona do skóry głowa. Było w tym człowieku coś niepokojącego, wręcz złowrogiego.

– Heil, Kamerad! – wykrzyknął Gerard i wyprężony na baczność pozdrowił Arnolda podniesioną ręką.

Arnold odwzajemnił się takim samym gestem.

Konrad zerknął na Dominika, lekko zaniepokojony jego ewentualną reakcją, ale Polak przyzwyczał się już do esesmańskich nawyków i nie robiło to na nim żadnego wrażenia. Podszedł do kwadratowego Niemca i podał mu rękę. Uścisk Arnolda był potwornie mocny i Dominik wiedział, że ten człowiek go testuje. Prymitywnie wprawdzie, ale w przypadku kogoś innego odniosłoby to skutek. Widocznie sprawdzian wypadł pomyślnie, bo Niemiec zwolnił uścisk i uśmiechnął się do Dominika.

– Wydajesz się w porządku – stwierdził.

– Mocne powitanie – zauważył Polak.

– Zaczynałem pracę jako uczeń kowalski – odpowiedział mistrz przesłuchań i kwadratową jak cała reszta dłonią mocno klepnął rozmówcę w ramię.

– Ja też – przyznał się Dominik, co niewiele odbiegało od prawdy.

– Wierzę – odparł były esesman i lody zostały przełamane. – Pogadajmy o robocie.

Podprowadził ich do dużego stołu, na którym rozłożono dużo dziwnych rzeczy. Były tam obciążki i kombinerki, piły, zestaw młotków, gumowe pałki, skórzane szpicruty i baty, duża drewniana pałka i akumulator, korkociągi różnej wielkości i butelka ze spirytusem. Obok stało kilka szklanych akwariów. W jednym pełzały węże, w innym kłębiły się włochate pająki, a w kolejnym pływało kilkanaście piranii. Przy akwariach stała klatka z kilkoma średniej wielkości wychudzonymi szczurami. Na podłodze umieszczono parę wiader z wodą i żeliwną wannę oraz gumowy wąż podłączony do kranu.

– Zadanie główne, jakie mi postawiono – zaczął referować Arnold – to uzyskanie od celu prawdziwej odpowiedzi na pytania: dlaczego cztery lata temu w Nowym Jorku zabił kobietę i mężczyznę? kto mu to zlecił i dlaczego? co to za ludzie i komu służą? W drugiej kolejności ma opowiedzieć wszystko o kanale narkotykowym CIA na tym terenie, kto nim zawiaduje w Langley i na jakich zasadach. Czy dobrze rozumiem?

– Ty jesteś gospodarzem sprawy, Rolandzie – zwrócił się Konrad

do Dominika – więc odpowiedz. Kierowanie przesłuchaniem pozostawiam tobie.

– Dziękuję – odparł Dominik. – Rozumujesz prawidłowo, Arnoldzie. Jest jeszcze jedna rzecz.

Mówiąc to, wyjął z kieszeni należący do Denisa Fargo gruby czarny notes, o którym dowiedzieli się dzięki Marii.

– Znaleźliśmy to przy celu. Jest tu dużo nazwisk, numerów telefonów i różnych notatek. Cel musi nam to wszystko przybliżyć i skomentować. To w trzeciej kolejności.

– Jawohl – odrzekł Arnold. – Wszystko nam powie. Moja taktyka przesłuchania będzie następująca. Jako znawca i admirator Świętej Inkwizycji, zwłaszcza hiszpańskiej, jestem gorącym zwolennikiem stosowania jej sprawdzonych przez paręset lat środków i metod. Wychodzę z założenia, że pod względem inwencji i skuteczności nie prześcigniemy świątobliwych ojców, więc nie należy silić się na zbędną oryginalność, choć nie przeczę, że współczesne pomysły różnych lokalnych inkwizytorów, zwłaszcza azjatyckich, są godne uwagi.

Zebrani słuchali wywodu Arnolda jak studenci na wykładzie. Facet bez wątpienia wiedział, o czym mówi.

– Idąc za przykładem inkwizycji, przesłuchanie rozpocznę od okazania i omówienia zgromadzonych tu środków perswazji. Bardzo często to wystarcza i pozwala na nawiązanie z celem dialogu wypełnionego szczerością i prawdą – kontynuował Holtz. – Jednocześnie reakcje osoby przesłuchiwanej na opis i prezentację poszczególnych metod dają mi cenne wskazówki, czego najbardziej się boi i co ją przeraża. Woda, ogień, prąd, węże, robactwo, szczury, różne formy bólu. A może trwałe okaleczenie. Pozbawienie kończyn, oczu, przyrodzenia. To wszystko trzeba powoli wyjaśnić celowi, aby przeniknęło do jego świadomości. Musi być przekonany, że wiem, co robię, i że to zrobię, jeżeli nie pozostawi mi wyboru. Weźmy dla przykładu te szczury. Są głodne i zdesperowane, bo od kilku dni nic nie jadły. Kiedy włożymy do klatki rękę, zaczną ją obgryzać. Ale ad rem. Jeżeli okazanie narzędzi tortur nie spełni swojego zadania, to przesłuchanie zaczniemy od środków i metod bezkrwawych.

– Nie chcesz pobrudzić podłogi? – zażartował Gerard.

– To też, ale nie wyłącznie – odrzekł Arnold bez śladu rozbawienia. – Niekiedy, aby przesłuchiwany się otworzył, nie ma potrzeby całkowicie go zastraszać. Bywa tak, że lepiej jest odgrywać kogoś, kto stara się uchronić go przed niepotrzebnym cierpieniem...

– I właśnie o to mi chodzi – wszedł mu w słowo Dominik. – Jesteś znawcą swego fachu. Chciałbym celowi na pewnym etapie zaproponować współpracę z nami. Jeżeli będzie miał nadzieję, że przeżyje, to motywacja do mówienia prawdy i dzielenia się informacjami wzrośnie.

– Święte słowa i świetny pomysł – zawtórował Arnold. – Taka motywacja u przesłuchiwanego to bardzo cenna rzecz.

Konrad, w którym odezwała się żyłka oficera wywiadu i który nigdy nie był zwolennikiem przesłuchań trzeciego stopnia, aczkolwiek w pewnych sytuacjach doceniał ich konieczność, wtrącił się do rozmowy.

– Gdyby dało się młodego Amerykanina zawerbować i zmusić do lojalności, to byłby on wartościowym nabytkiem. Zobaczcie, mamy jego notes, w którym jest masa informacji, a on je nam jeszcze przybliży i zinterpretuje. Ponadto Arnold wydusi z niego wszystko. Nie tak łatwo będzie mu przyznać się swoim, że ujawnił tajemnice. Oprócz tego musi zakładać, że mamy w ręku jego dziewczynę. Zależy mu na niej. Będzie chciał ją chronić, zwłaszcza gdy Arnold lub ty, Rolandzie, dacie mu do zrozumienia, co możemy jej zrobić... Chyba że musisz go zabić za tamtych, którzy zginęli.

– Jak widzę, Walter Schellenberg był dobrym mentorem. Werbunek ponad wszystko – odpowiedział Dominik. – Postawię sprawę jasno. Śmierć Amerykanina nie ożywi Inez i Racza. Nie jestem fanatykiem zemsty i nie muszę go z tego powodu zabijać. Jasne, że wołałbym go mieć jako agenta w CIA, a przede wszystkim wśród tych, którzy nim sterowali i faktycznie doprowadzili do śmierci naszych przyjaciół. Ale nie za wszelką cenę. Nie wierzę, że pozostanie wobec nas lojalny, nawet jeśli zgodzi się na współpracę i spróbuje dochować lojalności. W jakimś momencie może pęknąć. A wtedy szkody okażą się ogromne, bo jego wiedza o nas będzie duża,

bardzo duża. Pamiętaj, Konradzie, że za chwilę, gdy będziemy mu stawiać różne pytania, to zarazem prześlemy niezłą porcję informacji na nasz temat. Jeżeli zaczniemy go prowadzić jak agenta i wyznaczać mu zadania, to dowie się o nas jeszcze więcej. Założmy, że nas zdradzi i jednak wróci do swoich. Będziemy wtedy mieli mnóstwo kłopotów made in USA. A Amerykanie, gdy już na kogoś wleżą, potrafią bardzo wydajnie pracować. Jeśli go raz stąd puścisz, to obawiam się, że stracisz nad nim kontrolę.

– Możemy go kontrolować poprzez Marię. Wróci z nim do Ameryki jako żona – ripostował Konrad. – Będzie przekonany, że jeżeli zdradzi, to ją zabijemy. Nawet w Ameryce. Prędszej czy później.

Arnold uniósł brwi i cmoknął z uznaniem. Widać było, że taka koncepcja działa na jego wyobraźnię. Ale Dominik nie był przekonany.

– A kto będzie kontrolował Marię? Tu, na twoim terenie, zrobi wszystko, co jej każesz, bo nie ma wyboru i jest ci szczerze wdzięczna, że dałeś jej szansę na nowe życie. Że nie musi co dzień obciążać fiutów i rozkładać nóg w burdelu. Ale co zrobi w pięknych Stanach Zjednoczonych jako żona kadrowego pracownika CIA? Będziesz mógł jej dalej ufać i panować nad nią?

– Przecież mamy stertę materiałów i dowodów, że ją podstawiliśmy ewentualnemu przyszłemu mężowi i że jest z nami związana jak koń z zaprzęgiem. I że zaczynała jako dziwka. Powie o tym mężusiowi? Wątpię. Kopnąłby ją w dupę mimo dozgonnej miłości; jeśli nie od razu, to w chwili, gdy te fakty naprawdę dotrą do jego świadomości, a wyobraźnia podpowie, jak możemy dzięki temu zniszczyć mu życie – argumentował Konrad.

– Miłość czyni cuda – odrzekł filozoficznie Dominik. – Ale zróbmy tak. Zachowajmy sprawę ewentualnego werbunku i wariant z Marią jako potencjalnie realną opcję. Zobaczymy, jak potoczy się przesłuchanie, jak Fargo będzie reagował, co powie i na co się zgodzi w kwestii współpracy. Może wymyślimy jakąś kombinację sprawdzeniową. No, dawajcie go tu!

– Zanim zaczniemy, ustalmy procedury – odezwał się Arnold. –

Między sobą mówimy po niemiecku, bo dziewczyna ustaliła, że cel nie zna tego języka. Pytania zadaje Konrad, bo doskonale zna angielski. Zresztą ja też się trochę poduczylem od zakończenia wojny. Zdejmujemy mu worek z głowy, gdyż w czasie przesłuchania muszę widzieć jego twarz. Wszystkie jego reakcje. Czy nas nie nabiera, udając strach, ból, przerażenie albo odporność. W konsekwencji maski założymy my. Po pierwsze, żeby nie poznał naszych twarzy, dopóki o tym nie zdecydujemy, a po drugie, aby nie myślał, że pokazujemy twarze, bo i tak go kropniemy. Gdy zarządzymy przerwę na konsultacje, to włożymy mu na głowę worek. Coś ominąłem?

– Alles klar! – odpowiedzieli zgodnie Konrad, Gerard i Dominik.

*

Denis Fargo leżał na podłodze furgonetki, starając się odprężyć i zebrać siły. Tyle zapamiętał ze szkolenia CIA na temat psychiki porwanego, jakie zaliczył w budynku na Manhattanie, zanim wysłano go do Rio. Ale to on miał porywać, a nie zostać porwanym! Czuł instynktownie, że cokolwiek go spotka, będzie potrzebował bardzo dużo sił. Podczas jazdy starał się wsłuchiwać w odgłosy miasta, aby zorientować się, dokąd jadą, i wyłowić znajome dźwięki, które mu w tym pomogą. Ale teraz, gdy samochód dotarł do kresu podróży, nie miał zielonego pojęcia, dokąd go wywieziono.

Wiedział natomiast, że dałby wszystko, aby znaleźć się w domu rodziców w Nowym Jorku. Starał się na razie nie myśleć o Marii, bo czuł, że będzie to destrukcyjnie wpływać na jego psychikę i osłabiać w obliczu wyzwania, które go czekają.

Boże, jak ja mogłem wdepnąć w takie gówno?!

Uświadomił sobie, że się boi, bardzo. Przeszło mu też przez myśl, że może nie wyjść z tej przygody żywy.

Boczne drzwi otworzyły się z hukiem i czyjeś ręce zaczęły wyciągać go z pojazdu. Zanim zdążył czubkami butów dotknąć ziemi, ktoś zarzucił go sobie na ramię i ruszył przed siebie. Musiał to być prawdziwy mocarz, bo Denis czuł, że nie stanowi dla niego żadnego ciężaru, a przecież nie należał do ułomków. Postawiono go

wreszcie na podłodze i potężne dłonie zaczęły zdzierać z niego ubranie. Wkrótce został w samych majtkach. Pod bosymi stopami czuł chłodne kafle podłogi. Posadzono go na metalowym krześle. Skrępowane z tyłu ręce przełożono za oparcie i dodatkowo przywiązano.

Zdjęto mu z głowy worek. Oślepiło go ostre światło z lamp zwisających z sufitu. Przed nim stał średniego wzrostu, jakby kwadratowy mężczyzna w czarnym roboczym kombinezonie i w masce na twarzy. Za nim siedziało na krzesłach trzech innych mężczyzn, również w maskach i identycznych czarnych kombinezonach.

Znajdował się w dużej sali wyłożonej białymi kafelkami. Po jego prawej stał duży stół zavalony różnymi niecodziennymi przedmiotami i szklanymi akwariami, w których coś się kłębiło. Na podłodze stały pojemniki z wodą. Denis z narastającym przerażeniem zaczął sobie uświadamiać, że znajduje się w sali przesłuchań... Nie, nie przesłuchań – tortur!

– Kim jesteście? Gdzie ja jestem?! – wyrwał mu się krzyk strachu. – Jestem...

Zanim zdążył dokończyć, że jest Amerykaninem i ambasada Stanów Zjednoczonych będzie go szukać, kwadratowy mężczyzna uderzył go w twarz. Denis zamilkł.

– Zasady są takie. My pytamy, ty odpowiadasz – instruował go kwadratowy mężczyzna angielszczyzną z silnym obcym akcentem. – Proszę ich przestrzegać. Chcesz coś powiedzieć, kiwnij głową i dostaniesz zgodę albo nie.

Co to za akcent? – myślał szybko Denis. To nie jest Latynos. Europejczyk? Na pewno nie Francuz. Rozmyślenia przerwał mu głos jednego z siedzących na krzesłach. Mówił po angielsku z wyraźnym brytyjskim akcentem. Anglik? Niemożliwe! Czyżby Brytole?!

– My wiemy, kim jesteś i co robisz w tym pięknym kraju – powiedział Konrad bezbłędną angielszczyzną, której nauczył się w Londynie jako syn niemieckiego dyplomaty długo przed wybuchem wojny. – Pracujesz dla CIA, a przedtem byłeś w FBI...

– Jesteście z MI6? – wyrwało się Denisowi i kwadratowy

ponownie wymierzył mu policzek.

– Nie przestrzegasz reguł! – zwrócił mu uwagę.

– Może jesteśmy, a może nie – kontynuował „Anglik”. – Mamy natomiast kilka pytań, na które musisz nam odpowiedzieć zgodnie z prawdą i bez kręcenia. Podkreślam: musisz.

Denis kiwnął głową.

– Mów! – rzekł krótko kwadratowy.

– Jestem przekonany, że to jakieś nieporozumienie. Odpowiem na wasze pytania i każdy pójdzie w swoją stronę. Jeżeli wiecie, że pracuję dla CIA, to wiecie też, że to potężna organizacja, z którą nie warto zadzierać.

– My wiemy, panie Fargo, czym jest CIA, co może, a czego nie – odpowiedział Konrad. – Wiemy więc na pewno, że przez najbliższych parę dni nic nie jest w stanie dla pana zrobić. Jediną osobą, która może panu pomóc, jest pan sam. Odpowiadając wyczerpująco i zgodnie z prawdą na pytania, które panu za chwilę zadam. Czy się rozumiemy?

Denis kiwnął głową. Ale zanim Konrad powiedział coś więcej, Dominik dał znak, że chce konsultacji. Arnold zarzucił przesłuchiwanemu worek na głowę i mężczyźni odeszli poza zasięg jego słuchu.

Co oni, kurwa, kombinują – myślał Fargo, ponownie zatopiony w ciemnościach. Czego Brytole mogą chcieć ode mnie? Kwadratowy facet z ciężką ręką to na pewno nie Anglik, pewnie najemnik gdzieś z Europy Ale ten drugi to Brytol. Za dobrze mówi tym pieprzonym Kings English.

– Brawo, Konrad! – rzekł Dominik, gdy odeszli na stosowną odległość od związanego więźnia. – Dzięki twojej angielszczyźnie on myśli, że jesteśmy z MI6. Tyle zrozumiałem. To interesujący obrót sprawy.

– I tak, i nie – zamyślił się Konrad. – Jeżeli zakłada, że jesteśmy z MI6, to musi także założyć, że go nie zabijemy, i będzie się mniej bał. Ale też może spontanicznie mówić prawdę, żeby wyjaśnić sojusznikom, co się tak naprawdę stało. Chyba że działali wtedy przeciwko MI6, ale w to nie wierzę. Na razie sugeruję, żeby się tego

trzymać. Ja będę Anglik, ten dobry. A ty, Dominiku, w razie potrzeby będziesz Polakiem, tym złym. Bo to tobie zabito bliskich.

– Zgadzam się. Tak właśnie grajmy. Jeśli będzie trzeba, to zmienimy taktykę. W końcu umiejętność improwizacji to podstawa. Ale odtąd możemy porozumiewać się po niemiecku, bo jako dziki Polak nie muszę znać angielskiego.

Wrócili na swoje miejsca i Arnold zdjął młodemu Fargo worek z głowy.

– Excellent – zaczął Konrad nienaganną angielszczyzną. – Zawsze się niezmiernie cieszę, gdy zawodowcy, tacy jak my, się rozumieją. To bardzo ułatwia życie. Więc niech pan słucha uważnie, panie Fargo.

Denis kiwnął głową na znak, że rozumie i jest gotowy.

– Kilka lat temu brał pan udział w pewnej operacji w Nowym Jorku, przed hotelem Algonquin. Zginęli wtedy kobieta i mężczyzna, gdy w ich samochód wjechała śmieciarka. Pan nią kierował. Chcemy wiedzieć, dlaczego pan ich zabił, kto panu to zlecił i na czym cała ta operacja polegała. Rozumie pan, że taka profesjonalna organizacja jak my – ciągnął Konrad, wczuwając się w rolę oficera wywiadu brytyjskiego – musi do końca wyjaśnić takie zaszłości i nie może sobie pozwolić, aby przed ostatecznym zamknięciem sprawy jakiegokolwiek wątpliwości zaciemniały obraz. Od tej pory może pan odpowiadać i mówić spontanicznie, bez naszego zezwolenia.

Gdyby Denis Fargo stał, to teraz bez wątpienia ugięłyby się pod nim nogi i musiałyby usiąść. Ale ponieważ już siedział, przywiązany do metalowego krzesła, więc tylko jęknął cichutko, przymknął oczy i pomyślał: Kurwa, ta pieprzona sprawa dopadła mnie po tylu latach. Jak oni mnie znaleźli? Więc to jednak Brytole, bo nikt inny by się do mnie nie dokopał. Tylko my i MI6 jesteśmy w stanie znaleźć każdego, gdziekolwiek by się schował. A przecież ta kobieta i ten facet to byli ich ludzie. Niech to szlag! Co im powiedzieć? Prawdę, kurwa. W taki stopniu, w jakim mogę. Przecież na pewno wszystkiego nie wiedzą, bo inaczej mnie by tu nie było. Ale spokojnie, Denis – dyscyplinował się – to w końcu sojusznicy, a nie jakieś dzikusy z Polski, skąd chyba ta para pochodziła. Więc to

jednak prawda, co mówią o MI6, dobrzy są ci Brytole – przemknęło mu przez myśl.

– To był wypadek, przysięgam. Po co miałbym zabijać tych ludzi? Byłem przekonany, że uciekają, i chciałem ich przyblokować. Nie poradziłem sobie z tą śmieciarką. Jakby mi nogę przylutowało do pedału gazu. To trwało sekundę. Bardzo żałuję, że tak się stało i że oni zginęli. Ich śmierć była bez sensu. Niby kto mógłby z tego odnieść jakąś korzyść? Odwrotnie, same kłopoty i komplikacje. Nikomu niepotrzebne. A najmniej mnie. Powiedziałbym to wam przy drinku. Niepotrzebnie się trudziliście z tym całym cyrkiem i uprowadzeniem – tłumaczył Denis, powoli odzyskując spokój i pewność siebie. – Ale wam wybaczam. No hard feelings!

– Jestem skłonny panu uwierzyć, że to był przypadek i że zabicie tych ludzi mogło nie być zaplanowane. Ale życie mnie nauczyło, że niewinne z pozoru przypadki mają niekiedy drugie albo trzecie dno. Myślę, że tak jest i w tej sprawie. Dobieranie się do tego drugiego lub trzeciego dna pozwoli też stwierdzić, czy postąpiliśmy słusznie i przewidując, sprowadzając pana w to miejsce. Na czym polegała operacja FBI, w której brał pan udział?

– No przecież pan wie, kto to nadał... – zaczął Amerykanin.

W jego stronę ruszył kwadratowy mężczyzna z ręką podniesioną do ciosu i Denis już się skulił przed uderzeniem, ale w ostatniej chwili Anglik powstrzymał osiłka.

– Zła odpowiedź! To, co ja wiem, nie ma znaczenia – mówił Konrad. – Ważne jest to, co pan wie! Proszę więc odpowiedzieć na pytanie.

– Mieliśmy po prostu śledzić tych dwoje, ustalać wszelkie ich kontakty. Wyglądało na to, że mieli się z kimś spotkać w Nowym Jorku, i chodziło o ustalenie z kim. Jak się później dowiedziałem, FBI realizowało tę inwigilację na zlecenie MI6. Ale to, jak zakładam, pan powinien wiedzieć najlepiej...

– I co przyniosła inwigilacja tej pary?

– Nie. Nie udało się namierzyć żadnego ich kontaktu. Wyglądało raczej na to, że są w Nowym Jorku na krótkich wakacjach.

– Skąd pewność, że zlecenie pochodziło od MI6?

– Ojciec mi później powiedział. Informacje miał od swojego przyjaciela Carsona, szefa biura FBI w Nowym Jorku. Natychmiast po incydencie zjawił się tam wkurwiony przedstawiciel wywiadu brytyjskiego. Jakiś lord. Nazywał się Gibbons.

Konrad przerwał na chwilę przesłuchanie, a Arnold narzucił na głowę Denisa czarny worek.

– Więc to jednak Anglicy kazali pierwotnie ich śledzić – skonstatował Dominik. – Czyżby jeszcze odprysk sprawy Hankego? Ustalimy to w Londynie. Przejdźmy teraz do kanału narkotykowego i udziału CIA. Dlaczego podłączyli się pod akcję FBI, bo mniemam, że tak było. To jest to drugie dno. Albo i trzecie.

Konrad znów zajął miejsce naprzeciwko Amerykanina, a Arnold zdjął z jego głowy worek.

– To wszystko, co ma pan do powiedzenia w tej sprawie?

– Tak. Jak mówiłem, to był nieszczęśliwy wypadek – odparł Denis.

– Jak pan trafił z FBI do CIA? – zapytał zniecierpliwiony Konrad. – To raczej nietypowy transfer.

Denis poczuł przyływ fali gorąca. Opanuj się – mówił do siebie. To logiczne pytanie. Nie będę im ściemniał, że nie jestem w CIA, bo i tak wiedzą.

– Ojciec miał jakieś znajomości w Agencji. Po zwolnieniu z FBI pomyśleliśmy, że zmiana otoczenia dobrze mi zrobi...

– Jakie znajomości miał tatuś w CIA? – dociekał Konrad. – Przedstawił pana komuś? Jak to było?

– Nie wiem, jakie miał znajomości. Polecono mi po prostu zgłosić się do stacji CIA w Nowym Jorku.

– Po prostu? A w chwili zdarzenia pod hotelem Algonquin jakie pan osobiście miał znajomości w CIA?

– Ja? Żadnych... – zaczął Denis i natychmiast poczuł mocne uderzenie w twarz.

– Zła odpowiedź! – skomentował spokojnie Konrad. – Musi mi pan podać jakieś nazwisko, abym mógł się przekonać i uwierzyć, że mówi pan prawdę.

Nigdy nie podawaj nikomu nazwisk kolegów oficerów CIA – wbijano mu do głowy na szybkich kursach szkoleniowych Agencji przed wysłaniem do Brazylii. To zasada podstawowa i najważniejsza – podkreślano.

Co mówić? – myślał gorączkowo Denis. Zaraz znowu dostanę w ryj od tego kwadratowego. Co mówić? Chciało mu się jednocześnie płakać i wyć z wściekłości, że znalazł się w takiej sytuacji.

Zanim zdążył coś sensownego wymyślić, do przesłuchującego Anglika przysunął się mężczyzna dotychczas siedzący nieco w tyle i niezabierający głosu. Zaczął mówić w języku, którego Denis nie rozumiał, ale uświadomił sobie, że to niemiecki.

– Słuchaj, śmieciu – mówił powoli Dominik, a Konrad tłumaczył z niemieckiego na angielski. – Ludzie, których zabiłeś, to byli moi najbliżsi przyjaciele. Pan pułkownik – tutaj wskazał głową na Konrada – który tak pięknie z tobą rozmawia w twoim ojczystym języku, nie jest w tę sprawę tak mocno zaangażowany jak ja. A ja jestem bardzo mocno zaangażowany. Więc albo powiesz nam dokładnie wszystko, co wiesz, albo pan, który do tej pory głaskał cię po buzi, weźmie się za ciebie na poważnie. A więc jeszcze raz: jakie miałeś znajomości w CIA, gdy zabiłeś moich przyjaciół?

Kim jest ten facet? – zastanawiał się Denis. I dlaczego ten Brytol pozwala, żeby mi groził? Mimo trudnej sytuacji, w jakiej się znalazł, postanowił przejść do kontrataku.

– Panie pułkowniku – zaczął mówić z determinacją – jako oficer sojuszniczego wywiadu brytyjskiego rozumie pan, że potraktowano mnie w sposób niedopuszczalny i sprzeczny z wszelkimi zasadami współpracy pomiędzy naszymi służbami. Jeżeli chce pan coś wiedzieć, to proszę zwrócić się drogą formalną do moich przełożonych. Ja stanowczo protestuję i proszę mnie natychmiast uwolnić!

Konrad, który uważnie słuchał wypowiedzi więźnia, z satysfakcją odnotował, że wierzy on w sugestię, iż ma do czynienia z brytyjskim wywiadem. Doszedł zarazem do wniosku, że trzeba już skończyć z tą maskaradą. Co prawda dzięki niej młody Fargo potwierdził przynależność do FBI i CIA – bo dlaczego miałyby to ukrywać przed

sojuszniczą służbą brytyjską? – ale też przestał się bać przesłuchujących go „sojuszników”. Jego ostatnia wypowiedź świadczyła, że przy tym scenariuszu już nic ciekawego nie powie. Należało zatem przejść do kolejnego etapu przesłuchania i Konrad postanowił zagrać *va banque*.

– Godna podziwu stanowczość i odwaga – rzekł, ale w taki sposób i takim tonem, że Denis nie mógł się zorientować, czy mówi poważnie, czy też sobie kpi. – Ale widzi pan, panie Fargo, cały problem polega na tym, że ja nie jestem pułkownikiem wywiadu brytyjskiego...

W tym momencie Konrad zawiesił teatralnie głos i z lekkim rozbawieniem patrzył na Amerykanina, który sprawiał wrażenie, jakby ta wiadomość do niego nie dotarła.

– Owszem, jestem pułkownikiem. Ale SS. U nas to się nazywało SS-Standartenführer. Słyszałeś o takiej organizacji? – Mówiąc to, Konrad podciągnął wysoko rękaw kombinezonu i pokazał więźniowi charakterystyczny tatuaż. – Porozmawiajmy teraz po naszymu.

Wydał krótką komendę po niemiecku. Do związanego doskoczyli Arnold i Dominik, chwycili krzesło, podnieśli je razem z więźniem i przystawili tyłem do napełnionej wanny. Powoli zaczęli przechylać krzesło z przywiązanim do niego człowiekiem, aż jego głowa znalazła się pod wodą.

Zanim Denis przetrwał to, co przed chwilą usłyszał, woda zaczęła wlewać mu się do gardła wszelkimi możliwymi otworami – nosem, uszami, ustami. Czuł, że za chwilę się udusi. Dłońmi panicznie ścisnął siedzenie krzesła, jakby miało mu to pomóc w wyciągnięciu głowy spod wody.

– To się nazywa praktyczne okazanie i demonstracja metod i narzędzi perswazji – objaśniał Arnold. – Trochę w tym improwizacji, ale w dopuszczalnych granicach.

– Nie utopmy go przedwcześnie – rzekł spokojnie Dominik, obserwując bąbelki powietrza, które wydobywały się z ust Amerykanina. Trzymał mocno krzesło z więźniem, gotów w każdej chwili wyciągnąć jego głowę spod wody.

– Nie ma obawy – odparł Arnold ze znajomością rzeczy. – To

młody człowiek, pojemne płuca. Dopóki ściska krzesło, reaguje prawidłowo.

– No właśnie, nie wylewajmy dziecka razem z kąpielą – wtrącił Konrad, który do każdej sytuacji lubił dopasować stosowne powiedzenie, i wszyscy się uśmiechnęli.

Do wanny podszedł zaciekawiony Gerard.

– Zobaczmy, ile trzeba go będzie kąpać, zanim zacznie gadać sensownie – rzucił. – Ktoś ma ochotę na jakiś zakładzik?

Ale chętnych nie było.

– Dobra, do góry z nim! – rzekł Arnold.

Manewrując krzesłem, Arnold i Dominik wyciągnęli głowę Fargo spod wody i postawili je na nogach. Denis łapczywie wciągał powietrze, plując jednocześnie, krztusząc się i kaszłąc.

Był kompletnie zaskoczony. Nie mógł pozbierać myśli. Kolejny siarczasty policzek wybił go natychmiast ze stanu rozkojarzenia.

– To na początek, młody przyjacielu – zwrócił się do niego Konrad. – Ten kwadratowy dżentelmen to mistrz tortur. Też z SS, jak może już się domyśliłeś. Za chwilę objaśni ci szczegółowo, do czego służą te wszystkie przedmioty i zwierzątka zgromadzone na dużym stole. Bo już wiesz, do czego służy wanna. Angielski naszego kolegi jest na tyle poprawny, że powinienś wszystko zrozumieć, ale chętnie pomogę w tłumaczeniu. Gdy mistrz skończy wykład, to zastanowimy się, co dalej. Słuchaj uważnie.

Ja chyba śnię! – pomyślał Denis, gdy z trudem doszedł do siebie po podtopieniu. Co tu robi SS? Przecież ludzie, których rozjechałem w Nowym Jorku, byli z Polski, a ona do tego Żydówka. Poza tym jakoś związani z Brytolami. Skąd SS? Ale nie miał wątpliwości, że mężczyzna z tatuażem pod pachą mówi prawdę. Nie dziwnego, że między sobą rozmawiają po niemiecku. Wiedział też, że po wojnie byli esesmani rozproszyli się po całym świecie, imając się różnych zajęć i służąc licznym wywiadam. Amerykańskiemu także. Mówiło się o tym zarówno w FBI, jak i CIA.

Jeden z tych facetów powiedział, że zabici to jego bliscy przyjaciele – przypomniał sobie Denis. Czyżby Polak? Z esesmanami? Może ich wynajął albo robią razem brudne interesy. Może

to ich kanał narkotykowy chcieliśmy rozwalić w Nowym Jorku? Kurwa, nie jest dobrze! Ale mnie podeszli z tym brytyjskim wywiadem. Skąd ten Standartenführer tak biegle zna angielski?

Denis starał się porządkować chaotyczny natłok myśli. Zdał sobie nagle sprawę, że jest w rękach ludzi, którym zabił przyjaciół i których interesy on i jego koledzy z CIA najprawdopodobniej mocno naruszyli. Czuł instynktownie, że to ludzie niebezpieczni, nawykli do zabijania i torturowania. Żarty się skończyły – doszedł do wniosku. Jeśli nie zacznę mówić, to mnie zabiją. Powoli i boleśnie. Co zrobić? Z tych bezładnych rozmyślań wyrwał go głos kwadratowego mężczyzny.

– Proszę o uwagę! – zaczął mówić Arnold do przesłuchiwanego. – Będę objaśniał powoli i dokładnie, jak zamierzam cię przekonać do mówienia prawdy i tylko prawdy, jak na Sądzie Ostatecznym. Tortura wodna, której doświadczyłeś, to uświęcona wielowiekową tradycją ulubiona metoda Świętej Inkwizycji. Jej podstawową zaletą jest to, że można ją stosować wielokrotnie, nie narusza powłoki cielesnej, a więc nie brudzi warsztatu pracy. Bezpośrednio po niej w czasach Świętej Inkwizycji stosowano dla równowagi ogień. My zastosujemy prąd, gdyż również posiada zaletę wielokrotnego wykorzystania, nie narusza powłoki cielesnej, a zatem, tak jak podtapianie, nie brudzi warsztatu pracy. W akwariach mamy gady, płazy, pająki i różne robale. Zwłaszcza brazylijskie stonogi olbrzymi wydają się ciekawe. Nie wszyscy ludzie lubią takie żyjątka. Zobaczymy, jak ty się do nich odnosisz.

Mówiąc to, Arnold zaczął sukcesywnie wyjmować z kolejnych akwariów rozmaite dorodne okazy i przykładać je Denisowi do twarzy, a następnie do innych części ciała.

Dominik, Konrad i Gerard, przyglądając się od czasu do czasu temu, co robi Arnold, wymieniali pomiędzy sobą uwagi.

– Zaszokowałeś go swoją przynależnością wojskową, panie Standartenführer – rzekł Dominik. – Dobra zagrywka. Zupełnie nie był na to przygotowany. Gratuluję roli oficera MI6.

– Tak, to było świetne – skomentował Gerard. – Już się rozluźnił, że jest z sojusznikami i wszystko się wyjaśni, zhardział nawet, a tu

buch!

– Nadzieja umiera ostatnia. A jego właśnie umarła, gdy podniosłem rękaw i zobaczyłem tatuaż SS. Teraz wie, że jest w rękach wroga.

Do rozmawiających podszedł Arnold.

– Oceniam, że jest gotów do rozmowy. Próbuje to ukryć, ale przerażają go pająki i te wielkie brazylijskie stonogi. Myślę, że się nie myślę co do jego gotowości, ale zrobimy tak. Zacznę podłączać go do akumulatora i puszczać pierwszy lekki prąd. Powinien pęknąć.

Przygotowania zajęły Arnoldowi parę minut. Denis, który nienawidził wszelkiego robactwa, odkąd jako nastolatek wlaźł do wyschniętej studni i nie mogąc z niej wyjść, przez pół dnia walczył z obłączającym go paskudztwem, dochodził do siebie po prezentacji zawartości akwariów. Wtedy ze studni wyciągnął go ojciec, uwalniając od jej koszmarnych mieszkańców. Uprzątomnił sobie aż nazbyt dobrze, że tym razem ani ojciec, ani nikt inny mu nie pomoże.

Zaczynała ogarniać go rozpacz i poczucie beznadziei. Weź się w garść, oni właśnie tego chcą – próbował zapanować nad strachem. W tej samej chwili uderzenie prądu na krótko go sparaliżowało. Miał wrażenie, jakby przeszył go ogień, a jednocześnie w jego organizmie coś wybuchowało. Zwiotczały, osunął się na krzesło i gdyby nie więzy, spadłby na podłogę. Opuszczają go siły i czuł, że dłużej nie wytrzyma. Ledwo słyszalnym głosem wymamrotał:

– Dosyć!

Miejsce na krzesło tuż przed nim zajął mówiący piękną angielszczyzną SS-Standartenführer.

– Odpowiedz. Kogo znalazłeś w CIA w chwili zdarzenia przed hotelem Algonquin? – powtórzył pytanie Konrad.

– Henry’ego Lodgera. To mój daleki krewniak – wyszeptał Amerykanin.

– Kogo jeszcze?

– Ricka Sanmartina.

– No widzisz. To nie było takie trudne – pochwalił więźnia Konrad i przysunął mu do ust szklanekę wody. Denis pił łapczywie. – Opowiedz mi o kanale narkotykowym z Ameryki Południowej, który

prorowadzicie z mafią sycylijską w Nowym Jorku. No i o tym, dlaczego zginęli nasi ludzie – kontynuował.

Wiedzą wszystko i każą mi potwierdzać – podpowiadał Denisowi udręczony umysł. Co mam zrobić, żeby przeżyć i wyrwać się stąd?

– Powiem wam, co chcecie wiedzieć, a wy i tak mnie zabijecie – próbował się targować resztką sił.

– A po co nam martwy Amerykanin z CIA? – zapytał Konrad. – To strasznie kłopotliwe. Jak widzisz, my swoje wiemy, a ty masz nam to po prostu potwierdzić. Jesteś dzielnym młodym człowiekiem. Ja to doceniam. Ale na to – wskazał głową na Arnolda i stół – nie ma mocnych. Wierz mi. Jeśli będziesz się opierał i kręcił, to będzie bolało. Bardzo. Gdy znudzimy się tobą, to dla urozmaicenia nasz kolega weźmie w obroty twoją śliczną przyjaciółeczkę. Chyba ma na imię Maria, o ile się nie mylę? Wiesz, kobiety przesłuchuje się nieco inaczej niż mężczyzn. On może ci to szczegółowo wyjaśnić, jeśli chcesz. No, to jak będzie, panie Fargo?

Imię Marii wyrwało Denisa z odrętwienia spowodowanego przejściem prądu przez jego ciało. Skurwysyny! – pomyślał. Nie wytrzymam, jeśli to kwadratowe bydlę zacznie jej dotykać. Błefują? Ale nawet jeśli nie, to jak długo wytrzymam?

Siedzący przed nim mężczyzna położył mu coś na kolanie. Były to czerwone koronkowe majteczki. Niedawno właśnie takie kupił Marii i uwielbiał, gdy miała je na sobie podczas ostatnich randek w jego mieszkaniu.

– Żebyś nie myślał, że bluffujemy – wyjaśnił Konrad, jakby czytając w myślach więźnia. – Jeżeli jeszcze nie jesteś przekonany, to za chwilę mogę ci przynieść jej palec z pierścieniem z malutkim szmaragdem kolumbijskim.

Denis podniósł wzrok na mówiącego. Wiedział, że nie bluffuje, bo sam jej właśnie kupił taki pierścionek. Zaczął mówić: o Wuju Tomasie i jego krewnym Ricku Sanmartinie, kanale narkotykowym CIA, Martinie Van Vercie i jego rodzinie i o tym, dlaczego chcieli nastraszyć Inez i Ratza.

– Tomaso nam ich wystawił i poinformował, że montują kanał narkotykowy. CIA nie chciała takiej konkurencji, to znaczy Van Vert

i Sanmartino nie chcieli. Na ich polecenie dałem cynk do biura FBI, żeby objąć ich kontrolą operacyjną jako handlarzy narkotyków, i tak się stało. Miałem puknąć ich samochód, bo niby myślałem, że uciekają. Chodziło o to, by doprowadzić do ich wylegitymowania i wydalenia na zawsze z Ameryki. Jako sygnał dla organizatorów kanału, że Nowy Jork to niebezpieczny teren poza ich zasięgiem. Ale nigdy nie chciałem tych dwojga zabić, przysięgam. To był idiotyczny, nikomu niepotrzebny wypadek – mówił Denis. – Puśćcie dziewczynę, ona nic nie wie!

– A dlaczego myślisz, że ją mamy? – zapytał Konrad. – Na razie mamy tylko jej majtki. A może zresztą nie jej? Nie chcę, żeby ona wiedziała, że cię tutaj zaprosiliśmy. Po co ją w to mieszać? Zamiast cię zabić, wołę, żebyś dla nas pracował. Nasz człowiek w kanale narkotykowym CIA.

Denis zaniemówił, ale w jego umyśle zatliła się iskierka nadziei. Shit! – pomyślał nagle. Jest szansa, że wyjdę z tego gówna. Jeżeli tylko to mądrze rozegram i przekonam tych facetów, że zrobię, co zechcą.

– A teraz odpocznij trochę, a ja naradzę się z kolegami – rzekł Konrad. – I pomyśl o tym, co przed chwilą powiedziałem.

Arnold nałożył na głowę więźnia worek i podszedł do pozostałych, którzy zabrali krzesła i znów usiedli poza zasięgiem słuchu młodego Fargo.

– Sądzę, że mówi prawdę. Abstrahując od logiki jego wypowiedzi, to mimika twarzy, oczy, ton głosu wykazują, że nie kłamie – referował Arnold. – Nie widzę potrzeby dalszych tortur.

– To rozwiąż go, doprowadź do porządku, daj mu coś jeść i pić, bo już świta – polecił Konrad. – Maglujemy go już prawie osiem godzin i jeszcze umrze nam z głodu.

– Po ośmiu dniach to może tak – mruknął pod nosem Arnold i poszedł wykonać polecenie SS-Standartenführera.

– Myślę, że jest dobrze – zwrócił się Konrad do Dominika i Gerarda, wyraźnie z siebie zadowolony.

– Pierdolony pech – rzekł posępnie Gerard. – Inez i Ratz znaleźli się w złym miejscu, w złym czasie i w zasięgu działania tego

dyletanta Fargo. Jebany rekrut.

– Dziękuję ci, Konradzie, za dobrą robotę – odezwał się Dominik.
– Znamy więc prawdę o ich śmierci. Ta wiedza współgra z tym, co udało się zebrać do tej pory z innych źródeł. Ale nie zmienia to faktu, że ich zabili, umyślnie czy nieumyślnie, w rezultacie poronionej akcji.

– Tomaso nas po prostu zdradził – zauważył Gerard – i wystawił CIA. Zabijałem ludzi za nieporównywalnie mniejsze przewinienia.

– Ja też – rzekł Dominik. – U mnie jest na liście do piachu. To mafia, więc nikt się specjalnie nie zdziwi. Ale koledzy z CIA to już trochę inna sprawa. Wywiady dziś się tak nie zabijają jak w pięknych latach pięćdziesiątych. Obowiązują niepisane zasady i znakomita większość służb ich przestrzega. A Sanmartino, Lodger i ten Van Vert nie zginą przecież wszyscy w wypadkach samochodowych.

– Wszyscy nie – zgodził się Gerard. – Bo i po co? To byłoby podejrzone. Bywa gorsza zemsta. Mało cierpisz z powodu śmierci Inez? Przecież nam się nie spieszy, mamy czas na obmyślenie czegoś naprawdę finezyjnego.

Dominik popatrzył na Gerarda smutnym, ale drapieżnym wzrokiem.

– Cierpię, ale wiem też, jak zadać cierpienie.

– Wszyscy wiemy – włączył się do rozmowy zamyślony do tej pory Konrad. – Nie dawało mi spokoju nazwisko Van Vert. Holenderskie. Dosyć nietypowe jak na Stany Zjednoczone. Ale skojarzyłem. Jest klan Van Vertów, który należy do pięciu najbogatszych rodzin w Ameryce, ale tak nieoficjalnie, bo ponoć unika rozgłosu. Martin Van Vert może być z nimi spokrewniony. Zresztą młody Fargo zaraz nam powie.

– No to mielibyśmy godnych przeciwników – stwierdził Dominik.

– I potężnych – dodał Gerard. – A takich zawsze jest gdzie uderzyć.

– Chcesz werbować tego Amerykanina? – zapytał Dominik, zwracając się do Konrada.

– Dopytam go w naszej sprawie, przewertuję z nim jego czarny

notes, pogadam o współpracy. Jeżeli się zgodzi, to proponuję wypuścić go w niedzielę rano. Jeśli postanowił nas kiwać, to ruszy pędem do ambasady amerykańskiej, bo tylko tam będzie czuł się bezpieczny po naszych pogadankach. Zdążymy go wtedy przechwycić i puknąć. Natomiast jeśli rzeczywiście myśli o współpracy, to pobiegnie do Marii zobaczyć, co z nią, albo do siebie i do niej zadzwoni.

– Przemawia przez ciebie pasja wywiadowcza, panie Standartenführer. Ale ryzyko jest za duże i zbyt wiele czynników, nad którymi nie będziemy mieli kontroli – spokojnie analizował sytuację Dominik, któremu pomysł werbunku Amerykanina coraz mniej się podobał. Po pierwsze, dowiedział się tego, na czym mu najbardziej zależało, a po drugie, w CIA miał już agenta. – W ambasadzie może wszystko sypnąć równie dobrze w poniedziałek lub we wtorek. Przecież nie zabronisz mu tam chodzić, wręcz odwrotnie, bo to kopalnia informacji. Już wie o nas bardzo dużo. Jednocześnie powiedział nam wszystko, co chcieliśmy wiedzieć o śmierci Inez i Ratza. My nie prowadzimy rozpracowania CIA, my jesteśmy od przemytu narkotyków i zarabiania wielkiej kasy. Żadne informacje, których mógłby nam dostarczyć w najbliższym czasie na temat CIA czy czegośkolwiek innego, nie są warte tego, co może o nas wypaplać swoim kumplom. To by zagroziło wszystkim naszym operacjom, wszędzie. Ani CIA, ani MI6, KGB czy inni nie wiedzą zbyt wiele o naszej strukturze. Trochę szczegółów znają zaufani ludzie w Mosadzie, a jeszcze mniej Polacy. Wolałbym, żeby tak pozostało.

– Dominik ma rację – wyraził swoją opinię Gerard. – Wielkie ryzyko. Czy chciałbyś, Konradzie, prowadzić takiego agenta, bojąc się, że może cię w każdej chwili sypnąć, że na kolejne spotkanie przyjedzie z obstawą, która cię zgarnie i pogada z tobą tak jak my dzisiaj z nim? Już ci nie zazdrozczę tych nieprzespanych nocy.

– Ale asekuranci! Co za brak fantazji! – spontanicznie wykrzyknął Konrad, ale natychmiast zmienił ton i kontynuował już poważniej. – Żartuję oczywiście. Chyba macie rację. Za dużo o nas wie i nie jesteśmy go w stanie do końca skontrolować, nawet jeśli zgodzi się na współpracę. Szkoda, a mógł być taki piękny werbunek.

– To go zawierbuj. Wtedy powie ci jeszcze więcej i zrobimy próbę – zaproponował nagle Dominik.

– Poważnie mówisz? – spytał zaintrygowany Konrad, już delektując się wyzwaniem, które go czekało.

– Oczywiście. Albo zda egzamin, albo nie zda – odparł Dominik.

Gerard spojrział na twarz Dominika. Rysował się na niej ten drapieżny wyraz, który widywał często, gdy jego przyjaciel planował czyjaś zgubę. Nie więc nie powiedział, jedynie uśmiechnął się lekko pod nosem.

28 lipca

Arnold wrócił z wykąpanym, nakarmionym i ubranym młodym Amerykaninem. Usiedli przy niewielkim stoliku w innej części hali.

– Jest tylko twój – zwrócił się Dominik do Konrada. – Zrób z niego Matę Hari.

Konrad podszedł do stolika, przy którym siedzieli młody Fargo i Arnold. Ten ostatni z ulgą wstał i zaczął porządkować swój warsztat pracy. Konrad usiadł naprzeciwko Amerykanina i wyjął czarny notes.

– Opowiesz mi wszystko, o czym tu napisałeś – zaproponował tonem, z którego nie przebijała ani prośba, ani polecenie, jedynie stwierdzenie faktu.

– Opowiem – zgodził się Denis.

Podjął już decyzję, że musi stąd wyjść i przeżyć. Uświadomił sobie, że jedynym sposobem, aby osiągnąć ten cel, jest mówić tym ludziom wszystko, co chcą wiedzieć, i zgadzać się na wszystko, czego zażądają. Gdy Maria i ja będziemy poza ich zasięgiem, to wtedy zacznę kombinować – planował w myślach. Na razie muszę grać uległego.

Arnold sprzątał swoje narzędzia pracy, a Gerard i Dominik wyszli, żeby poinstruować i porozstawiać ekipy obserwacji, które miały zabezpieczać zwolnienie młodego pracownika CIA. Przygotowywano się na różne warianty, szykowano w mieście zakryte punkty obserwacji, sprawdzano łączność radiową.

Po trzech godzinach rozmowy Konrad wiedział o czarnym notesie Amerykanina tyle co on sam. Były to bardzo przydatne wiadomości i Konrad dokładnie je spisał.

– Martin Van Vert – rzekł w zamyśleniu. – Proszę scharakteryzować tego człowieka.

– To bogaty, pewny siebie arogant – odparł spontanicznie Denis i zdał sobie sprawę, że nigdy nie darzył go sympatią. – Wywodzi się z jednego z najbogatszych i najstarszych rodów w Stanach. Więc były szef CIA Dulles i obecny McCone hołubili go i hołubią, a Martin

Van Vert może właściwie robić, co chce. Dyrektor McCone wywodzi się z przemysłu zbrojeniowego i świetnie zna starego Victora Van Verta. Bardzo ufa jego synowi. Dlatego Martin nadal kieruje pozyskiwaniem czarnej kasy dla Agencji z kanału narkotykowego na Amerykę Południową, o którym wam opowiedziałem. Kierownictwo CIA widocznie wychodzi z założenia, że Van Vert jest na tyle bogaty, że nie będzie sobie przywłaszczał tych czarnych funduszy.

– Bo świat, panie Fargo, dzieli się na takich Van Vertów, którzy nim zarządzają, i takich jak pan, którzy im służą i albo gównem z tego mają, albo same kłopoty, jak pan teraz – zaczął Konrad. – Chyba że o to sami zadbają. Wtedy zaczynają kontrolować swoje życie.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – zapytał Denis.

– To proste. Jeżeli zacznie pan z nami współpracować, to zostanie pan niedługo zamożnym człowiekiem. Będzie pan mógł wywieźć stąd swoją Marię i uczynić ją szczęśliwą, o ile oczywiście ma pan taki zamiar.

– Nie jej nie zrobiliście? – upewnił się Denis.

– Oczywiście, że nie. Nie mogła się na pana doczekać, więc poszła do pańskiego mieszkania. Nie zastała tam pana, więc wróciła do siebie i pewnie płacze. Na razie nie było powodu, aby mieszać ją do tej sprawy, i mam nadzieję, że tak pozostanie. A co do czerwonych majteczek, to jeden z naszych ludzi widział, jak pan je kupuje. Kupiliśmy więc takie same. Tak na wszelki wypadek – wyjaśnił Konrad.

– A to dobre! – wykrzyknął wyraźnie uradowany i odprężony Fargo.

– Niech pan mnie posłucha, panie Fargo – ciągnął Konrad. – Ja nie proponuję panu, aby pan zdradził swój kraj, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. To byłoby niegodne i wiem, że taką propozycję by pan odrzucił. Ale operacja Van Verta nie dość, że jest niegodna amerykańskiego wywiadu, to jeszcze zahacza o nasz teren i komplikuje nam życie. My nie jesteśmy od polityki, ale od pieniędzy. Pan tkwi w kanale narkotykowym Van Verta i to nas interesuje, a nie amerykańskie tajemnice państwowe. Bo przecież

Van Vert to nie Stany Zjednoczone.

– Na pewno nie, chociaż Van Vertowie mogą sądzić inaczej – odpowiedział Denis ze szczerością, która go zdumiała.

– Możemy się umówić, że informacje, które będzie pan nam przekazywał, ograniczą się tylko do spraw służących ochronie naszych interesów. Żadnych zleceń i pytań o politykę Stanów Zjednoczonych tu czy tam, żadnych tajemnic wojskowych, rywalizacji z komunizmem i tym podobnych. Śmiem powiedzieć, że jest pan nam coś winien, w końcu zabił pan dwójkę naszych ludzi. A dla jednego z moich kolegów to była rodzina. To, że zrobił pan to nieumyślnie, nie zmienia faktu, że najchętniej ten człowiek by pana z marszu rozwalił, bez tego przesłuchania i rozmów. Tam, skąd pochodzi, takie sprawy załatwia się szybko i tylko w jeden sposób. Ale to rozsądny człowiek i gotów jest dać panu drugą szansę. Jeżeli popracujemy razem skutecznie przez pięć lat, to uznamy, że spłacił pan wobec nas ów dług śmierci, i się rozejdziemy. Pan bogatszy o, powiedzmy, pół miliona dolarów. To jest chyba rozsądna propozycja. Co pan na to?

Denis słuchał z coraz większym zainteresowaniem. Według wszelkich standardów te żądania były co najmniej umiarkowane.

Nie da się ukryć, że zabiłem ich ludzi i tkwię w operacji, która narusza ich interesy. Już za to samo mieliby prawo mnie kropnąć. A oni chcą współpracy jako rekompensaty. To brzmi nawet fair. Zwłaszcza w tych ramach tematycznych. Rzeczywiście nie zdradzałbym amerykańskich sekretów. Pięć lat i pół miliona dolarów. Taki szmal urządziłby mnie na ładnych parę lat. Ale jestem Amerykaninem i oficerem CIA. Jak w ogóle mogę zgodzić się na współpracę z kimkolwiek? To łamanie zasad! Ale Dulles i Van Vert też je łamią, bo zarabiając czarną kasę dla CIA, oszukują system amerykański i prezydenta. A kim ja jestem dla Van Vertów? Narzędziem pracy. Zepsuje się, to wezmą następne. Zresztą po co te dywagacje... Jeżeli chcę stąd wyjść, to muszę tym ludziom udzielić jedynej słusznej odpowiedzi.

– Doceniam to – zaczął Denis – że ułatwia mi pan podjęcie trudnej dla oficera wywiadu decyzji. Żadnej polityki i ujawniania prawdziwych tajemnic państwowych mojego kraju? – upewnił się.

- Słowo oficera i dżentelmena – odrzekł uczeń Schellenberga.
- Dobrze, zgadzam się – oznajmił Denis Fargo.
- Cieszę się. Ustalmy więc pewne parametry łączności – zaproponował Konrad – oraz kilka innych spraw na najbliższą przyszłość.

Gdy skończyli, Konrad zostawił Amerykanina pod opieką Arnolda i podszedł do Dominika i Gerarda, którzy wrócili już z miasta i siedzieli przy dużym pustym już stole.

– Zgodził się – rzekł Konrad, przysiadając się do nich, i zdał im krótką relację z rozmowy.

– Ja też bym się zgodził, żeby stąd wyjść – stwierdził sceptycznie Gerard.

– Dobra taktyka rozmowy werbunkowej – ocenił z uznaniem Dominik. – Pozwoliłeś mu zachować godność, wyrobiłeś poczucie winy za szkodę, którą nam wyrządził, zabijając Inez i Ratza, zdeprecjonowałeś w jego oczach przełożonych łamiących zasady i wartości, których powinni strzec. No i perspektywa dużych pieniędzy. Wszystko, co powinno się znaleźć w propozycji werbunkowej nie do odrzucenia.

– W mieście wszystko przygotowane. Proponuję wypuścić go jutro rano, w niedzielę, nieopodal mieszkania, które wynajmuje dla Marii – powiedział Gerard. – Niech pobiegnie do niej i zacznie się wypłakiwać. Nie mogę się doczekać, co jej opowie i co ostatecznie zrobi.

– A co obstawiasz? – zapytał ostrożnie Konrad.

– Będzie chciał zgarnąć lolię i jak najszybciej schronić się w ambasadzie amerykańskiej. Następnie wypaplać wszystko, co go spotkało, i pozować na bohatera – wyjaśnił pewnym tonem Gerard.

– To młody człowiek i kołacze się w nim jeszcze idealizm, więc może zrobić coś takiego – rzekł Dominik. – Nie do końca chyba zdaje sobie sprawę, że gdy opowie swoim wszystko, to nie będzie bohaterem. Van Vertowie i inni ludzie z Agencji stwierdzą, że dużo nam powiedział, a na dodatek jest i zawsze już będzie kłopotliwy. Bo stale będą musieli go chronić przed naszą zemstą. A wywiady nie lubią kłopotliwych pracowników, którzy partolą robotę i których

ciągle trzeba przed kimś osłaniać.

– Powiedz mu to, zanim stąd wyjdzie – zasugerował Konrad.

– To nic nie da – odparł Dominik. – Jeżeli zdecyduje się nie dotrzymać umowy z nami, to będzie się kierował sercem, a nie umysłem. A na to nie ma rady.

– I co wtedy? – zapytał retorycznie Konrad.

– Wtedy ja tam będę – odpowiedział Dominik bez emocji.

Otworzył butelkę courvoisiera i nalał do kieliszków.

– Za poległych – rzekł Gerard.

Wypili i położyli się na przygotowanych posłaniach.

29 lipca

Tej nocy Denis nie mógł zasnąć. Wiedział, że rano, gdy zostanie uwolniony, tak jak mu zapowiedziano, będzie musiał podjąć ciężką i brzemienną w skutki decyzję. Albo lojalność wobec CIA i własnego kraju, albo wobec tych ludzi. Trzeciej drogi nie było. Ale czy kwestia lojalności wobec ojczyzny w ogóle wchodzi tu w grę? – myślał. Przecież wyraźnie powiedzieli, że nie proponują mi zdrady kraju. Ale CIA to też Ameryka. Czy da się to rozróżnić i oddzielić? Co by powiedział ojciec? I co by na moim miejscu zrobił? Z kolei jeżeli zdradzę tych facetów, to będą mnie szukać. Marii też. Znaleźli mnie tutaj, więc znajdą wszędzie. Będę musiał do końca życia się ukrywać, uciekać i oglądać przez ramię.

Czy CIA i Van Vertowie zasługują na moją lojalność? W końcu to oni wmanewrowali mnie w tę sytuację. Jeżeli pozostanę lojalny wobec nich, to czy oni to docenią i pozostaną lojalni wobec mnie?

Denis uświadomił sobie nagle, że nie może być pewny pozytywnej odpowiedzi. Bardzo go to zaniepokoiło.

W końcu zasnął wyczerpany. Wydawało mu się, że przespał dosłownie minutę, gdy obudził go głos mówiący po angielsku.

– Pobudka, panie Fargo. Nadszedł dzień wolności! – mówił Konrad, starając się nadać głosowi nutę pogodnego optymizmu.

Denis zerwał się z posłania, jakby się obawiał, że przetrzymujący go ludzie rozmyślą się i już nigdy nie odzyska swobody.

– Napijmy się kawy, zanim pan pójdzie – zaproponował Konrad i zaprowadził Denisa do stolika, gdzie stały przygotowane dwie filiżanki, metalowy ekspres z kawą i dzbanuszek z mlekiem.

SS-Standartenführer rozlał kawę do filiżanek.

– Posłuchaj mnie, Denisie – zaczął mówić, przechodząc nagle na tę poufałą formę. – Zakładam, że możesz mieć mętlik w głowie i się zastanawiać, jak należy postąpić. Wobec kogo być lojalnym: swoich czy nas? Teoretycznie odpowiedź powinna być łatwa: wobec swoich, oczywiście.

Denis nieomal zakrztusił się kawą. Odstawił filiżankę i pilnie

zaczął słuchać tego nieprawdopodobnego człowieka, który chyba dobrze mu życzył.

– Ale, po pierwsze, czy jesteś pewny, że klika Van Verta w CIA to twój, i po drugie, jakie będą konsekwencje, jeżeli będziesz wobec nich lojalny, i czy zostanie to docenione. Układ Van Verta w CIA to grupa interesu, której wydaje się, że ma receptę na zbawienie świata, a ich szczytne cele uświęcają środki, jakimi się posługują. Widziałem, jak to działa w Trzeciej Rzeszy, zresztą podobne mechanizmy funkcjonują dzisiaj w wielu państwach. Choćby tu, w Brazylii, gdzie niedługo wojsko obali prezydenta, głosząc, że ma receptę na szczęście narodu. Ale tak naprawdę działa przede wszystkim we własnym interesie. Jeżeli zachowasz lojalność wobec grupy Van Verta i powiesz mi o naszych rozmowach, to będziesz oczywiście musiał potwierdzić, że wygadałeś nam wszystko, bo taka była cena wolności. Gdybyś nie powiedział, tobyś nie wyszedł stąd w jednym kawałku. Van Vert nigdy nie znalazł się w takiej sytuacji, więc nie zrozumie, że musiałeś mówić, by przeżyć. On nadał sobie status bohatera wojennego – słusznie czy nie, w to nie wnikiem – i nigdy nie zejdzie ze swojego piedestału, aby porównać się z tobą. Dla niego najważniejsze będzie to, co nam powiedziałeś o nim i jego operacji pozyskiwania czarnej kasy. I po tym cię będzie oceniał, a nie po tym, że człowiek, któremu głodny szczerak zaraz zacznie dobierać się do palców u rąk, ma niewielki wybór i wąziutkie pole manewru. Po rozmowie z tobą Martin Van Vert zda sobie sprawę, że dużo nam powiedziałeś, i nie będzie cię za to kochał. Uświadomi sobie również, że będziemy cię dalej ścigać, aż do skutku, gdyż byłeś wobec nas nielojalny. Jeżeli zaś będziemy cię ścigać, to przejrzymy również cały jego misternie ułożony plan niezależnych finansów CIA – nielegalnych, rzecz jasna, z punktu widzenia ustawodawstwa i wymiaru sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych. Słowem, w oczach Van Verta, Sanmartina i Lodgera staniesz się całkowicie bezużyteczny, a nade wszystko kłopotliwy. Bardzo kłopotliwy, bo będziesz wymagał ciągłej ochrony, co ściągnie na nich groźbę dekonspiracji działań. Van Vert może nie korzystać z tej czarnej kasy dla siebie, bo nie musi, skoro jest bajecznie bogaty z domu. Ale Sanmartino i Lodger to zupełnie inna para kaloszy. Myślę, że dla

nich ta operacja ma w sensie finansowym bardzo osobisty wymiar, bo czerpią z niej korzyści. To też znam z Trzeciej Rzeszy i, wierz mi, ten aspekt wszędzie działa tak samo, bez względu na to, czy panuje dyktatura, czy demokracja. A ty realnie zagroź ich interesom i tej wygodnej i miłej kombinacji, jaką sobie wypracowali. Będziesz dla nich jak wrzód na dupie, bo oni muszą się tobą opiekować niejako prywatnie, a nie jako CIA. Działales przeciw na ich prywatne zlecenie, a nie państwa amerykańskiego. Pamiętaj o tym! Z nami sytuacja jest znacznie prostsza. Dajesz informacje, dostajesz pieniądze i za pięć lat możesz być urządzony na całe życie. Nikomu nie podpasz, zero komplikacji. Przemyśl to, co powiedziałem, i podejmij właściwą decyzję.

Denis słuchał i milczał. W głębi duszy czuł, że to, co mówi jego interlokutor, ma głęboki sens. Ale czy tak postąpiłby ojciec? – pomyślał znowu. I czy mogę być pewny, że wiem, jak by postąpił w mojej sytuacji?

– Dziękuję za szczerść – odpowiedział.

– Koledzy, którzy cię tu przywieźli, odwiozą cię do twojej dziewczyny. Nie wtajemniczaj jej w te sprawy, bo dla kobiety to niepotrzebny balast – rzekł Konrad, odprowadzając młodego Amerykanina do furgonetki. – Jeszcze jedno. Tu jest dwadzieścia tysięcy dolarów. Na drobne wydatki – dodał, wyjmując gruby plik banknotów.

– Nie mogę tego wziąć – cofnął się Denis.

– To jest polecenie – wyjaśnił Konrad, wtykając mu pieniądze w kieszenie spodni.

Denis przestał oponować, bo zrozumiał, że nie ma wyboru.

– Coś mi mówi, że się niedługo zobaczymy. – Konrad podał mu rękę.

– I ja tak myślę – odparł Denis. Uścisnął wyciągniętą dłoń i wsiadł do samochodu.

Siedzący z tyłu dwaj mężczyźni założyli mu czarny worek na głowę, a kierowca uruchomił silnik.

Po mniej więcej półgodzinie samochód się zatrzymał. Denis, już bez worka, zauważył, że znajduje się kilka przecznic od mieszkania,

które wynajmował dla Marii.

– Ciao, amigo – rzekł jeden z mężczyzn i odsunął drzwi.

Denis szybko wysiadł. Był wolny! Spojrzał na zegarek. Dziewiąta rano. Jak w każdą niedzielę ulice były jeszcze puste. Skierował się w stronę mieszkania swojej dziewczyny. Przeszło mu przez myśl, że mógłby zabrać Marię, schronić się w ambasadzie i wszystko ujawnić. I co dalej?

Znał procedury. Natychmiast wyekspedują go z Brazylii do centrali w Langley. Rozpocznie się postępowanie wyjaśniające, które potrwa Bóg wie jak długo i nie wiadomo kiedy się skończy. A co z Marią? A jeśli nie będzie chciała schronić się ze mną w ambasadzie? A nawet gdyby chciała, to przecież równie dobrze szef stacji CIA w Rio może ją wyrzucić na ulicę. I co, będę protestował? Ambasada i ludzie CIA w Rio odpadają.

Pozostaje tylko Martin Van Vert. Tylko jemu mogę to wszystko wyjaśnić. A wtedy co? Rzeczywiście będą musieli mnie znowu gdzieś ukryć i chronić. I to znacznie bardziej efektywnie niż do tej pory, bo tu przecież mnie znaleźli. Będę jak ból w dupie, jak mówił ten esesman, czy jakoś podobnie. A Maria? Mogą nie pozwolić mi jej zabrać. To logiczne. Po co chronić dwie osoby? Zresztą nie znają jej i nie dopuszczą do takiego programu ochrony, bo będą się bali powtórnej dekonspiracji i wynikającej z tego odpowiedzialności. Stracę ją na zawsze!

Sama myśl o rozmowie z Martinem Van Vertem przyprawiała Denisa o drżenie rąk. Będzie patrzył na mnie tym swoim wzrokiem amerykańskiego bramina z rodu pierwszych kolonizatorów jak na nędznego robaka – wyobraził sobie. Tak, dla niego na pewno nie będę bohaterem. Będę na jego łasce. A na koniec rozmowy poproszę go jeszcze, aby był tak uprzejmy i sprowadził z Brazylii moją narzeczoną Mulatkę. Zabije mnie śmiechem.

Wpierdoliłeś się, Denis, po uszy! Może więc nic nie robić i nic nie zmieniać? Dawać informacje tym facetom, brać od nich kasę, ciągnąć kanał narkotykowy i kochać się z Marią. Myśl o własnej dupie, bo Van Vert tego za ciebie nie zrobi!

Ci ludzie, którzy mnie wprowadzili, to zawodowcy – pierwsza

liga. Van Vert i reszta mogliby się od nich dużo nauczyć. Paradoksalnie jestem w dobrych rękach. Oni na pewno nie ocenią mnie jako bezużytecznego. Przynajmniej przez najbliższe pięć lat. A gdy się zdecyduję, to Van Vertowi mogę o wszystkim powiedzieć za miesiąc lub dwa – w końcu musiałem zachowywać maksymalną czujność i ostrożność, wytłumaczę mu. O ile się zdecyduję.

Uśmiechnął się do siebie i zadzwonił do drzwi mieszkania Marii. Piękna Mulatka otworzyła i rzuciła mu się na szyję.

– Co się z tobą działo? Tak bardzo się bałam, że mogło cię spotkać coś złego – mówiła, przytulając się do niego.

Wniósł ją do mieszkania i zamknął drzwi.

– Wpadli niespodziewanie ludzie z Ameryki i musiałem się nimi zająć...

– Mogłeś przynajmniej zadzwonić...

– Tak, oczywiście, ale byli strasznie absorbujący i bardzo im się spieszyło, więc tak jakoś wyszło – wyjaśniał Denis, szczęśliwy, że nareszcie jest ze swoją ukochaną. – Ale wszystko jest już w porządku. Będziemy mieli wspaniałe życie, Mario, i nigdy cię nie opuszczę, a może nawet...

Przerwał w pół zdania, bo poczuł w piersi potworny ból, który za mostkiem zaczął rozlewać się na plecy. Ból się nasilał i Denis czuł, że traci przytomność. Przyklęknął na kolano i przewrócił się na podłogę. Zaczęła go ogarniać ciemność... A może nawet poproszę cię o rękę – pomyślał ostatnim wysiłkiem woli. W następnej chwili już nie żył.

Maria patrzyła z niedowierzaniem na to, co się z nim działo. Nie była w stanie się ruszyć i w jakikolwiek sposób mu pomóc.

*

Dominik i Gerard obserwowali całą scenę dzięki urządzeniom do podglądu i podsłuchu zainstalowanym w mieszkaniu. Siedzieli za ścianą, w sąsiednim lokalu, który specjalnie w tym celu został wynajęty. Obaj zamarli.

– Co jest, kurwa, grane? – wymamrotał w końcu Gerard.

– Do dupy! Chodźmy tam – odparł Dominik i obaj weszli do

mieszkania Marii.

Dziewczyna osunęła się na krzesło. Spojrzała na Gerarda, którego widziała raz czy dwa z Konradem, i ponownie wpatrzyła się w martwego kochanka. Gerard przykleknął przy zwłokach i zaczął je uważnie badać. Po dłuższej chwili wyprostował się i spojrzał na Dominika.

– Obstawiam atak serca – rzekł spokojnie.

– Około trzydziestki? Trochę wcześniej, ale zdarza się – odparł rzeczowo Dominik.

– Jeden z moich podwładnych w Polsce tak zszedł. Identycznie. Też miał całe życie przed sobą.

– Wezwij Konrada z jakąś ekipę sprzątającą.

Gerard wyjął krótkofalówkę.

Konrad z dwoma swoimi ludźmi zjawił się w mieszkaniu Marii w ciągu dziesięciu minut. Czekali przecnicę dalej, gotowi do podjęcia obserwacji Denisa lub innych niezbędnych działań, ale rozwój sytuacji ich zaskoczył. Konrad szybko objął wzrokiem pomieszczenie – wyciągnięte ciało Amerykanina i siedzącą na krześle Marię ze wzrokiem wbitym w podłogę. Spojrzał pytająco na Dominika i Gerarda.

– Atak serca – oznajmił Gerard pewny swej diagnozy.

Konrad nic nie odpowiedział. Podszedł do Marii, pogłaskał ją po głowie i zapytał z troską:

– Wszystko dobrze? Jak się czujesz?

– Nikt jeszcze przy mnie nie umarł – rzekła cicho. – Nie chciałam, aby tak skończył. To był dobry człowiek. Mówił, że będziemy wiedli wspaniałe życie i że nigdy mnie nie opuści...

Konrad uniósł brwi i spojrzał znacząco na Dominika i Gerarda.

– Nikt nie chciał, aby tak skończył – odpowiedział po chwili i natychmiast zaczął wydawać polecenia. – Zarządzam pełną ewakuację tego mieszkania. Wy dwaj – zwrócił się do mężczyzn z furgonetki – wezwiecie tyłu naszych ludzi, ilu potrzeba, i usuniecie trupa. Ale tak, żeby nikt się o tym nie dowiedział. Zawieziecie zwłoki do magazynu szalup. Spakujecie jej rzeczy i wyczyścicie wszelkie ślady. Ewakuujecie też mieszkanie obok i sprzęt. Cicho i

bezszelestnie. Ja zabieram Marię. Za mniej więcej godzinę spotykamy się w magazynie – zakończył, patrząc na Dominika i Gerarda.

Następnie podszedł do zwłok i wyjął z kieszeni spodni dwa pliki dolarów, które niedawno tam umieścił.

Maria szybko spakowała torbę podręczną z niezbędnymi rzeczami. Była już spokojna, opanowana i pogodzona z niespodziewanym obrotem spraw. Przekraczając próg mieszkania, nie oglądała się za siebie i nie żegnała wzrokiem zmarłego. Ten rozdział jej życia zakończył się nieoczekiwanym finałem i był zamknięty. Należało przygotować się do nowych wyzwań. Tak nauczyło ją krótkie, ale burzliwe życie i ten wspaniały mężczyzna u jej boku, który ją przez nie prowadził.

Zachowanie Marii nie uszło uwagi Dominika i Gerarda, którzy już podświadomie dostrzegali różne drobne szczegóły.

– Rasowa suczka – skomentował z uznaniem esesman.

– Rzekłbym, że piękna i niebezpieczna kobieta – zamyślił się Dominik. – Łamaczka serc, większość facetów może przyprawić o zawrót głowy.

– Jak widać po tym asie wywiadu – zarechotał Gerard z właściwym sobie poczuciem humoru, wskazując głową ciało Denisa Fargo.

– Warto ją mieć na oku – dodał Dominik i obaj wyszli z mieszkania.

*

Zbliżało się południe. Dominik i Gerard siedzieli przy dużym drewnianym stole w pomieszczeniu wyłożonym białymi kafelkami i pili koniak. Czekali na Konrada, który spóźniał się już godzinę. Obok siedział Arnold i komentował śmierć swojego byłego więźnia.

– Takie nagłe zgony na atak serca zdarzają się. Rzadko, ale się zdarzają. Zwłaszcza gdy na koniec sesji przesłuchiwany odzyskuje wolność. Najpierw duży stres, później euforia, że jednak udało się przeżyć. Mocna mieszanka. Mógł mieć jakąś wadę serca. Przykro mi, że pokrzyżowałem wasze plany związane z tym delikwentem.

– Ależ nie rób sobie wyrzutów, Arnoldzie – rzekł protekcjonalnie Gerard. – Wypadek przy pracy. Miał chłopak pecha!

– Owszem. Odkąd wsiadł do tej pieprzonej śmieciarki, wszyscy mieliśmy pecha – stwierdził pośepnie Dominik.

Do pomieszczenia szybkim krokiem wszedł Konrad. Miał na sobie nowy garnitur i świeżą koszulę. Był ogolony, wyraźnie odświeżony i w znakomitym humorze.

– Cześć, komando – przywitał się z uśmiechem, zajmując miejsce przy stole. – Ja też poproszę o łyżeczek koniaku.

– Pan Standartenführer kwitnie jak zwykle – zauważył Gerard. Następnie, nachylając się do nowo przybyłego, zapytał poufale teatralnym szeptem: – Bzykanko było? Laseczkę zrobiła?

Konrad spojrział na Gerarda z doskonale udawanym niesmakiem.

– Jeżeli pytasz się o zdrowie Marii, prostaku, to dziewczyna trzyma się dzielnie po tym traumatycznym poranku. Ale do rzeczy, panowie oficerowie. Oglądaliście ostatnie chwile życia naszego młodego przyjaciela i słyszeliście jego ostatnie słowa. Jak oceniacie: pracowałyby z nami? Byłby lojalny? Pytam z profesjonalnej ciekawości.

– Nie wiem, co mu powiedziałeś, zanim go wypuściłeś, ale sądzę, że była taka szansa, i to duża – odparł Dominik. – O tym, że będą wiedli wspaniałe życie i że nigdy jej nie opuści, mówił z wielkim przekonaniem. Z taką pewnością mógł mówić jedynie o wspaniałym życiu tu, w Brazylii, i w sytuacji, gdyby nic nie uległo zmianie, co najwyżej na korzyść. Gdyby poszedł do swoich i ujawnił im konszachty z nami, to niczego nie mógłby być pewien, a już na pewno nie owego wspaniałego życia z Marią. Pierwszym samolotem wróciliby do Langley na dłuższą spowiedź. Bez Marii, jak sądzę. Myślę więc, że nie zamierzał od razu pobiec do swoich. Chciał dać sobie czas. Im więcej by go upłynęło, tym mniejsza możliwość, że byłby wobec nas nielojalny. Coraz bardziej wiązałyby go Maria, pieniądze, które dostawałyby od nas, i informacje, które by nam przekazywał.

Konrad opowiedział o swojej ostatniej rozmowie z młodym Amerykaninem i jej ustaleniach.

– Dobra taktyka – stwierdził Gerard. – Mogłem się mylić, twierdząc, że od razu pobiegnie do swoich. Mogło coś z chłopaka być.

– Mógł być z niego dobry agent, dla nas. Gdyby na miejscu Martina Van Verta znajdował się ktoś, kto dla młodego Fargo byłby autorytetem, a nie dupkiem, który łamie zasady swojej służby, to przypuszczalnie chłopak zgłosiłby się do niego po naszej rozmowie. A tak wziął zeń przykład. Dla CIA potencjalnie zły, dla nas potencjalnie dobry. Ale dosyć dywagacji i analiz. Zastanówmy się, jak możemy tę, zdawałoby się, porażkę obrócić w zwycięstwo – podsumował Dominik.

– Powracamy zatem do pierwotnego wariantu, sprzed decyzji o werbunku – rzekł Konrad. – Początkowo, jak pamiętacie, mieliśmy go zabić. Zrobiła to za nas całkiem niespodziewanie opatrność.

– Nie bądź taki skromny. Pomogliśmy jej... – wtrącił Gerard.

– Być może tak – odpowiedział Konrad – a być może nie. Jeżeli miał słabe serce, to mogło go trafić wszędzie.

– Na przykład gdy bzykał Marię... – zaczął Gerard.

– Gerard! – rzucił ostrzegawczo Dominik i esesman zamilkł.

– Ciało Amerykanina – podjął wątek Konrad – musi zniknąć. Zajmie się tym Arnold z moimi ludźmi. Takie zniknięcie rozbudzi wyobraźnię tych, którzy go będą szukać, i przekona ich, że ktoś chciał tę śmierć ukryć. Czarny notes Fargo zostanie znaleziony przy zwłokach działacza lewicowych związków zawodowych, konkurencji AFL-CIO. Fargo nadzorował te ostatnie z ramienia CIA. Tym działaczem będzie Kubańczyk. Albo oficer, albo współpracownik ich służb specjalnych. O zniknięcie... w domyśle zabicie... Fargo zostanie oskarżony wywiad kubański. Tym bardziej więc nikt nie może znaleźć ciała chłopaka, bo sekcja wykazałaby atak serca, a to przecież podważałoby winę Kubańczyków. Nasz przyjaciel, szef tutejszego kontrwywiadu wojskowego, będzie zachwycony możliwością oskarżenia kubańskich służb specjalnych o kropnięcie kadrowego pracownika CIA. Piękna cegiełka do planu obalenia lewicowego prezydenta Brazylii. Kubańczyka, rzecz jasna, pukną moi ludzie. Tak dla pewności, żeby nikt nic nie spierdolił.

– Gdzie go namierzyliscie? – zainteresował się Gerard.

– Będzie ci się podobało, ty prostaku – odparł Konrad ze śmiechem. – W domu schadzek mojego kolegi...

– W burdelu...? – podchwycił Gerard, niezrażony epitetami Konrada.

– Burdel to ty masz czasami w głowie! To luksusowy przybytek – obruszył się Standartenführer.

– Czy w tym waszym SS nie było żadnej dyscypliny? Teraz rozumiem, dlaczego Trzecia Rzesza musiała upaść – wtrącił się Dominik. – Możemy zająć się sprawą, dla której przyjechałem zza oceanu, czy chcecie wyzwać się na pojedynek?

Byli esesmani spojrzeli po sobie.

– Zobaczcie no, jakiś Polak nas opierdala... – zaczął Gerard, ale nie dokończył, bo siedzący do tej pory spokojnie Arnold założył mu, mrugnawszy do Konrada, czarny worek na głowę i lekko przytrzymał.

– Będziemy mówić o sprawach czy wolisz podtopienie? – prawie krzycząc, zapytał Konrad.

Głowa w czarnym worku zaczęła potakiwać.

– Chuj wie, co ma na myśli, ale zdejmijcie mu ten worek – wtrącił Dominik. – Dojrzał do dyskusji.

Uwolniony Gerard powiódł wzrokiem po zebranych i wypił duszkiem kieliszek koniaku.

– No słucham, słucham, panie Standartenführer – rzekł jakby nigdy nic. – Proszę kontynuować.

– Jak zacząłem mówić, Kubańczyk zachodzi do domu schadzek. Pije, bzyka i za dużo gada. Jak się spuszcza, to klnie po rosyjsku. Z dobrym akcentem. Musiał być tam jakiś czas – ciągnął Konrad. – No i ma stanowczo za dużo kasy jak na działacza lewicowych związków zawodowych.

– Szukałeś w kontrwywiadzie wojskowym potwierdzenia, że Kubańczyk to Kubańczyk? – zapytał rzeczowo Gerard.

– Nie chciałem robić tego w sposób, który zwróciłby uwagę szefa kontrwywiadu. Ale nieoficjalnie wiemy na pewno, że w ich kartotece

jest zarejestrowany jako powiązany z kubańskim wywiadem – odpowiedział Konrad. – Potwierdza to zatem nasze ustalenie co do jego osoby. Jeżeli więc wykonamy ruch, o którym tu mówimy, to kontrwywiad wojskowy nie będzie wątpił, że w zniknięciu Amerykanina musiał maczać paluchy wywiad Castro.

– To bardzo dobry pomysł i jeszcze lepszy plan – ocenił Dominik. – Nie będzie nas w tej sprawie. Pełna anonimowość.

– Nasz niedoszły agent wyświadczył nam jeszcze jedną przysługę o potencjalnie wielkiej sile rażenia. Otóż w trakcie rozmów opowiedział szczegółowo o roli, jaką Van Vert odgrywa w akcji narkotykowej CIA. Fargo dużo się dowiedział, nadzorując kanał narkotykowy w Rio. Wiele spraw wyjaśnił mu jego kuzyn Henry Lodger z centrali CIA. Wszystko to jest nagrane na filmie. Sam młody człowiek przed kamerą – już umyty i wykąpany, najedzony i opowiadający dobrowolnie. Nas tam nie ma. Bardzo kompromitujący film. O tym, jak oficerowie amerykańskiego wywiadu handlują narkotykami. Każdy prezydent Stanów Zjednoczonych chciałby mieć taki bat na Agencję.

Dominik i Gerard wymienili spojrzenia, z uznaniem kiwając głowami.

– No, gratuluję, panie reżyserze – Gerard zaczął jowialnie wznosić toast. – Pięknie. Tak się tworzy historię.

– To bomba zegarowa pod dupą Van Vertów – dodał Dominik. – Muszę to obejrzeć, gdy uporamy się z tą sprawą. Zastanowimy się wtedy, jak to wykorzystać.

*

Zwłoki Denisa Fargo spoczywały w białym brezentowym worku na tyle furgonetki. Ubranie już zostało spalone w innej części magazynu. Arnold i dwaj ludzie, którzy brali udział w uprowadzeniu młodego Amerykanina, teraz zajęli się usuwaniem jego ciała. Towarzyszył im Gerard, którego takie działania zawsze interesowały.

– Weźmiemy wóz dostawczy i wywieziemy zwłoki jakieś sto kilometrów za miasto, do jeziora przepływowego, do którego wpuściliśmy kiedyś piranie. Przyjęły się i tam pozbywamy się

umarlaków – tłumaczył Arnold. – Jeżeli oczywiście się zdarzą i nie chcemy, żeby wypłynęli.

– Myślałem, że opowieści o piraniach to legendy – wtrącił Gerard.

– Niedługo zobaczysz, że nie – wyjaśniał dalej Arnold. – Zadbaliśmy, żeby w naszym jezioru znalazły się czerwone piranie, niebezpieczne dla człowieka. Trzeba je nieco zanęcić krwią i biorą się do roboty. Kąsają i rozdzierają trupy czy inną zdobycz systematycznie i bez przerwy, ustępując sobie miejsca. Gdy jedna zaczyna kąsać, to natychmiast przypląwa całe stado, jakby dawały sobie sygnały, że jest obiad. Mam niekiedy wrażenie, że działają jak jeden sprawny organizm.

W tym samym czasie Dominik i Konrad nadzorowali likwidację mieszkania Marii i planowali zabicie kubańskiego działacza. W niedzielne popołudnie w magazynie szalup ratunkowych było wyjątkowo cicho i spokojnie. Zatoka, nad którą leżało Rio de Janeiro, odbijała słońce tysiącem promieni.

– Piękne miasto – zauważył Dominik.

– Cudowne. Jak wróci Gerard, trochę pozwiedzamy. Musisz zobaczyć plażę Copacabana – powiedział Konrad. – To wyjątkowe miejsce. Brazylia to kraj przeogromnych możliwości. Kiedyś to będzie potęga. Gdy już pomożemy miejscowym chłopcom zrobić porządek z tymi lewicowymi fantastami.

– Ładnie się tu urządziłeś, Konradzie, ze swoimi ludźmi – stwierdził Dominik. – Brazylijscy wojskowi was cenią...

– Oni dążą do władzy. Szybko i na skróty. Nie mają czasu na demokrację. Wiedzą, że mamy doświadczenie w przejmowaniu rządów, a nade wszystko, co jeszcze ważniejsze, w utrzymywaniu raz zdobytej władzy. Bo tak naprawdę to się liczy.

– To będziesz miał w tym kraju bazę nie do ruszenia...

Konrad spojrział na Dominika, zastanowił się chwilę i zaczął mówić:

– Przeznaczenie splótło twoje i moje losy i wyznaczyło wspólną ścieżkę, którą podążamy, więc powiem ci kilka rzeczy, o których mało kto wie. My w SS, zwłaszcza w organizacji Schellenberga,

wiedzieliśmy, że wojna jest przegrana, co najmniej dwa lata przed ostateczną klęską. Przygotowaliśmy się dobrze do dnia kapitulacji. Prowadziliśmy rozmowy z Amerykanami i Anglikami, zbieraliśmy fundusze. Z Rosjanami nie dało się pertraktować, bo oni pałali jedynie żądzą odwetu. Przynajmniej wtedy. Po wojnie wywiad amerykański przyjął nas z otwartymi ramionami, bo mógł liczyć na to, co stawało się najważniejsze: na nasz antykomunizm i znajomość Związku Radzieckiego i Europy Wschodniej. No i profesjonalizm. Takich baz jak tu, w Brazylii, gdzie nasi ludzie doradzają i mają silną pozycję, jest więcej. W samej Ameryce Południowej, ale także na Bliskim Wschodzie. Jesteśmy na przykład bardzo mocni w Egipcie. Gdy młody pułkownik Naser doszedł do władzy i zaczął robić porządki z resztkami Imperium Brytyjskiego, zaprosił naszych ludzi, aby mu doradzali w różnych sprawach. Sam Otto Skorzeny pomagał w opracowaniu planu umocnienia władzy Nasera. Parę razy nasze rady ocaliły jego głowę przed zamachami organizowanymi przez wywiad brytyjski. A wszystko to za błogosławieństwem CIA, bo Amerykanie chcieli mieć Nasera po swojej stronie i uważali, że negatywne nastawienie Brytyjczyków wynika z ich resentymentów. A dla Amerykanów kolonializm przedwojennej Europy to już był relikw historyi. Zresztą po wojnie mój były szef Walter Schellenberg też doradzał CIA, jak powinien wyglądać powojenny porządek. Gdybyśmy więc czegoś potrzebowali na Bliskim Wschodzie, to dużo da się załatwić przez moich kolegów w Kairze.

– Wielu jednak skazano po wojnie i powieszono...

– Owszem, tych, którzy mieli za dużo krwi na rękach. Ale mentor Gerarda, SS-Obergruppenführer Josef „Sepp” Dietrich, od trzech lat jest na wolności. Bardzo się przydaje do koordynowania różnych naszych działań, bo cieszy się wśród byłych esesmanów wielkim szacunkiem i jego słowo jest święte. Jak rozkaz.

– Wiedziałem, że jesteście mocni w Europie i ludzie nadal się was boją, ale rzeczywiście nie zdawałem sobie do końca sprawy, że istnieje coś na kształt globalnego SS. Doceniam szczerść – rzekł Dominik.

– Jestem ci to winien na swój sposób. Ja wiem, co zrobiliśmy w Polsce w czasie wojny. Wiem, co robiła brygada Dirlewangera w

powstaniu warszawskim. Nigdy nie poruszałeś tych spraw, nie czyniłeś nam wyrzutów...

– Bo ja jestem pragmatykiem. Wierzę w instynkt samozachowawczy narodów i ludzi. Polski instynkt samozachowawczy osiągnął apogeum w tysiąc czterysta dziesiątym roku pod Grunwaldem. Potem było już tylko gorzej. Gdy cała Europa szła w kierunku królewskiej władzy absolutnej, aczkolwiek oświeconej, to my wymyśliliśmy elekcyjność. Na własne życzenie staliśmy się słabi i jako naród straciliśmy ów instynkt. Gdyby w tysiąc sześćset osiemdziesiątym trzecim roku Jan III Sobieski zawarł z Turkami zbrojny rozejm, dał im trochę poplądować w Europie, a następnie złupił ich zdobycze, gdy wracaliby przez Wiedeń na Bałkany, to przypuszczalnie nie doszłoby do rozbiorów. Robiliście w Polsce, co chcieliście, bo byliśmy słabi. A słabi zawsze dostają w dupę, często na własną prośbę. Więc co mam wam wypominać? Niemcy, naśladując Napoleona, też stracili instynkt samozachowawczy, gdy w czterdziestym pierwszym roku rzucili się na Związek Radziecki. Gdyby nie to, pewnie do dziś władalibyście większością Europy. Zresztą po wojnie mieliśmy krótko taką małą polską strefę okupacyjną w Niemczech i nie było tam różowo. Wolę z wami rozmawiać jak silny z silnym. A Dirlewangera ktoś wskazał w czterdziestym piątym roku Francuzom, a ci dali go Polakom do pilnowania i nie przeżył biedaczek...

– Ktoś z naszych...? – zainteresował się Konrad.

Do magazynu wjechał samochód dostawczy. Wysiedli z niego Gerard i Arnold.

– Melduję panom wykonanie zadania! – wykrzyknął Gerard, przyjmując na chwilę przepisową postawę na baczność.

– Spocznijcie, żołnierzu – odrzekł Dominik. – Siadajcie, opowiadajcie i pijcie. – Mówiąc to, wyciągnął spod stołu kolejną butelkę koniaku i rozlał do kieliszków.

Słońce powoli zachodziło i zapadał zmierzch.

Gerard rozsiadł się przy stole, opróżnił kieliszek i poprosił o dolewkę.

– Jestem pod wrażeniem! – zaczął opowiadać, wyraźnie

podekscytowany. – Ciekawe przeżycie. Jeziorko z tymi rybkami to unikatowy wynalazek. Należałoby to opatentować. Każda mafia kupi.

– Gwarancja w pakiecie, Gerardzie? Na ile lat? – zaśmiał się Konrad, który parę razy gościł nad jeziorkiem.

– Na długość żywota piranii – zripostował Gerard. – Otóż Arnold ma nad jeziorkiem chałupkę. Jest tam duża metalowa klatka. Wkłada się trupa do klatki, a klatkę do jeziorka. Ryby zanęca się świeżym mięsem lub krwią, jak wampiry. My pijemy piwo, a piranie robią swoje. Następnie wyciągamy klatkę, a tam już wyczyszczony szkielet. Ani odrobiny ciała. Taki czysty, że może robić za eksponat na wydziale medycyny.

– Ja, ja – odezwał się Arnold. – To dobry sposób na pozbycie się zwłok. Stosujemy ten patent od dobrych kilku lat i nigdy nie było problemów. Szkielet następnie rozczłonkowujemy i zakopujemy poszczególne jego części w różnych miejscach.

– Gratuluję inwencji – skwitował relację esesmanów Dominik i przeszedł do czekających ich jeszcze zadań. – Jak załatwimy Kubańczyka, czyli nasze alibi?

– Upozorujemy śmierć w bójce. Lewicowe i prawicowe związki mają swoje bojówki i regularnie się tłuką. Tak jak ci koledzy – Konrad wskazał na Gerarda i Arnolda – tłukli się z komunistami i innymi lewakami przed wojną w Reichu. Przy zwłokach Kubańczyka policja znajdzie czarny notes...

– Byle gliniarze go nie wyrzucili albo nie włożyli na dno jakiejś szuflady na posterunku... – zaczął Dominik, ale zamilkł pod spojrzeniem Konrada, z którego wyzierało urażone poczucie własnej wartości.

– Ty nas ciągle nie doceniasz. Kontrwywiad wojskowy dostanie anonimowy donos od patriotów brazylijskich, że wykończyli kubańskiego szpiega. Ich człowiek będzie w patrolu policji, który znajdzie trupa. Bo musi go znaleźć policja, żeby wyglądało naturalnie.

– Proszę przyjąć moje uniżone przeprosiny, panie Standartenführer – sumitował się Dominik. – Już nie będę...

– Nasi doradcy w kontrwywiadzie wojskowym podpowiedzą, jak sprawie nadać stosowny rozgłos, aby szkodzić lewicowym rządóm Goularta – kontynuował Konrad, grożąc palcem. – A czarny notes szef kontrwywiadu osobiście przekaże szefowi stacji CIA w Rio, bo z lektury jasno wyniknie, że powinien trafić w ręce Agencji. Zresztą nazwisko szefa też w nim jest. Biedny Fargo, jeszcze wiele powinien był się nauczyć, aby zostać zawodowcem w tej branży. Powiem wam, że szczerze szkoda mi chłopaka, bo mógł być z niego pożytek i przy nas stałby się profesjonalistą, a później pędziłby spokojne i dostatnie życie...

– Nie puknęlibyśmy go po tych pięciu latach...? – zapytał nieco zdziwiony Arnold. Jeszcze bardziej zdziwiło go, gdy kieliszki zawisły w powietrzu i poczuł na sobie lodowate spojrzenia wszystkich trzech towarzyszy.

Po chwili milczenia odezwał się Konrad.

– Nigdy nie jest za późno na naukę, więc posłuchaj, Arnoldzie. Oficer wywiadu nie zabija ludzi, którzy zgodzili się dla niego pracować. No, chyba że doszło do zdrady albo trzeba zdradzie zapobiec, a i to nie zawsze. Wywiad żyje z agentów, bez nich jest niczym. Gdy ktoś zgadza się pracować dla ciebie, to stajesz się za niego odpowiedzialny. Jeśli jakiś wywiad przestaje się z wywiązywać ze swoich obowiązków wobec agenta, to zakłada sobie pętlę na szyję. Bo świat równoległy żyje własnym życiem, a takie wieści zawsze gdzieś wypłyną. I nikt już nie będzie chciał dla ciebie pracować. Więc nie mów takich bzdur...

– Jawohl, Herr Oberst! – zapewnił zmieszany Arnold.

– Jak zabijemy Kubańczyka? – zapytał Dominik.

Arnold, który chciał zatrzeć złe wrażenie wywołane niefortunnym pytaniem i wykazać się profesjonalizmem, zaczął referować plan.

– Tutejsze bojówki używają tych samych narzędzi co my kiedyś w Trzeciej Rzeszy. Pałki, kastety, noże, metalowe pręty. No i pięści oczywiście, i buty. Podkute niekiedy, choć tu jest za ciepło na takie, jakie my nosiliśmy. Rzadko używana jest broń palna, więc nie powinien zginąć od kuli. Zresztą z tym zawsze jest później kłopot ze

względu na badania balistyczne i inne ślady, jakie to zostawia. Opowiadałbym się raczej za pobicie i kilkakrotnym pchnięciem nożem. To będzie typowe i najmniej podejrzane. Mogę się wszystkim zająć – zaproponował na koniec.

– Świetnie – oznajmił Konrad. – Zajmij się przygotowaniem i melduj o postępach. I pamiętaj, Arnoldzie, wywiad szanuje tych, którzy dla niego pracują, i dba o nich, bo bez nich nie ma racji bytu.

– Tak jest! – odpowiedział Arnold. – To się nigdy nie powtórzy. Dziękuję za zwrócenie mi uwagi. Odmeldowuję się, Herr Oberst. – Potężny esesman wyprężył się na baczność i odszedł.

– Gdyby nie nasz plan wrobienia Kubańczyków w zniknięcie młodego Fargo, to wysłałbym anonimowy list do jego rodziców, że nie cierpiał w ostatnich chwilach życia – myślał na głos Konrad. – Ale przecież wywiad kubański nie robi takich rzeczy, prawda?

– Interesujący z ciebie człowiek – zauważył Dominik, któremu taka myśl nawet nie zaświtała, a śmierć Denisa Fargo nie przysporzyła rozterek moralnych.

– Był naszym agentem, chociaż tylko przez kilkanaście godzin, więc właściwie jesteśmy mu to winni... – ciągnął Konrad.

– Ludzki był ten Schellenberg, jeżeli uczył was takich rzeczy. Nie sądzisz, że troszeczkę przesadzasz? – wtrącił się Gerard, któremu śmierć Amerykanina wydawała się obecnie najlepszym z możliwych rozwiązań. A przynajmniej potencjalnie najmniej kłopotliwym i bezpiecznym, bo przecież zawsze istniało ryzyko, że mógł ich wszystkich kiedyś wydać amerykańskiemu wywiadowi.

– To nie jest kwestia bycia ludzkim. Wiesz, że jeśli trzeba, to potrafię być tak twardy jak nasz przyjaciel Arnold – wyjaśnił Konrad. – To wyłącznie kwestia zasad, których przestrzeganie leży w najlepiej pojętym interesie każdego wywiadu. Lojalność wobec agenta do samego końca. Jeżeli zaczniesz się łamać te zasady i chodzić na skróty, jak nieopatrznie zaproponował Arnold, to prędzej czy później da się, mówiąc kolokwialnie, dupy...

– Trudno się z tobą nie zgodzić – rzekł Dominik.

Więc i takie SS było – pomyślał. Nie dziwnego, że byłych esesmanów tej klasy różne wywiady wyrrywają sobie z rąk. Więc to

chyba nie błąd, że i ja załapałem się na kilku...

Uśmiechnął się leciutko z poczuciem satysfakcji.

– Dobra, macie rację, jak zwykle oficerowie i dżentelmeni – skomplementował kolegów Gerard. – Ale chciałbym zmienić temat i tak nieco przyziemnie zacząć o sprawy, które mnie nurtują...

– Wal śmiało! – zachęcił go Konrad.

– O to właśnie chodzi. O walenie. Bo ja pragnąłbym nieśmiało nawiązać do tego kolokwializmu użytego przez pana SS-Standartenführera i zapytać pokornie, czy byłaby możliwa wizyta w burdelu pana kolegi, gdzie jest właśnie dużo tych, no... dup właśnie!

Rozległ się głośny wybuch śmiechu. Konrad puścił oko do Dominika i zwracając się do Gerarda, zaczął mówić możliwie najpoważniejszym tonem:

– Kurt będzie zachwycony, że odwiedzamy jego elegancki dom seksualnej tolerancji. A jakie panie cię interesują, Gerardzie? Młodsze, starsze, blondynki, brunetki, białe, czarne, czekoladowe, inteligentne, mało inteligentne, po szkołach, bez szkół, z dużym biustem, z małym biustem?

– Panie dowcipniś! – przerwał Konradowi Gerard, który zorientował się, że jest przedmiotem żartów. – Gdybym chciał ruchać starsze blondynki po szkołach, tobym do Niemiec pojechał...

– Ale blondynki w Brazylii to szczyt marzeń każdego macho... – zripostował Konrad ze śmiechem.

– To ty je bzykaj, te blondynki. Ja chcę czarną jak smoła osiemnastkę z wąską talią i taką dużą, brazylijską, wystającą pupą, że jak na każdym pośladku postawisz kieliszek z szampanem, to się utrzymają. A jak stanie w rozkroku, nachyli się i wypnie pośladki, to będzie w środku miała wargi różowe jak pyszczek świnki po porodzie. Dokładnie jak mi to opisywali koledzy z Afrika Korps...

Gerard mówił z takim przekonaniem i determinacją, że nie dostrzegł ironicznego uśmiešku na twarzy Dominika.

No proszę, jak się pan Oberführer rozochocił – myślał Polak. Seks z Murzynką? A czystość rasy to co?

– Poeta z ciebie i eseista w jednej osobie – powiedział głośno. – Może twoje powołanie to literatura...

– Szczególnie pornograficzna... – dorzucił złośliwie Konrad i w samą porę uchylił się przed szybkim ciosem w żebra, który usiłował wyprowadzić Gerard.

– No już, masz załatwione! – krzyknął wesoło Konrad. – Jedziemy do Kurta. Ale proszę cię, nie nazywaj jego prestiżowego przybytku burdelem, bo będziesz mógł liczyć jedynie na najstarszą blondynkę z dyplomem...

*

Po kąpeli w ciepłym morzu Dominik, Konrad i Gerard przespacerowali się plażą Copacabana i właśnie przechodzili na przylegające do niej plaże dzielnicy Ipanema. Słona woda wypłukała resztki koniaku z ich organizmów. Przy bulwarze stał olbrzymi cadillac w kolorze piasku, po którym przed chwilą spacerowali. Stojący obok pojazdu kierowca otworzył drzwi i cierpliwie czekał, aż trzech pasażerowie wsiądą do środka.

– Jedziemy do Kurta – zarządził Konrad i potężny silnik cadillaca wprawił maszyną karoserię w ruch niezwyklej płynności i lekkości.

– Nasi amerykańscy przyjaciele potrafią robić samochody! – zachwycił się Gerard, lustrując luksusowe wnętrze pojazdu.

Po kilkunastu minutach szybkiej jazdy cadillac zatrzymał się przed ciężką, pięknie ozdobioną żelazną bramą, za którą rozciągała się tonąca w zieleni duża posesja. Stojący przed bramą dwaj mężczyźni w smokingach i muszkach rozpoznali samochód i bez zwłoki zaczęli otwierać metalowe wrota. Cadillac, niczym zwinna pantera, przeskoczył niewielką odległość dzielącą bramę od pięknego domu w stylu włoskim.

– Pamiętaj, Gerardzie, nie nazywaj tego miejsca burdelem – przypomniał przyjacielowi Konrad. – To ważne.

Wysiedli z samochodu. Przed wejściem do willi stał szpakowaty mężczyzna średniego wzrostu ubrany w smoking. Piękna czarna jedwabna muszka pod szyją dopełniała stroju.

– Witam, Konradzie, i was, panowie – mówił uśmiechnięty właściciel, witając się z każdym po kolei mocnym uściskiem dłoni.

– Witaj, Kurt. Przedstawiam Gerarda i Rolanda.

Kurt szybko zlustrował fachowym spojrzeniem mężczyzn i zatrzymał wzrok na Dominiku.

– Ty to będziesz miał tutaj powodzenie. Przystojna z ciebie bestia – mówił do Dominika, przekonany, że ma do czynienia z byłym członkiem SS, i w związku z tym przeszedł od razu na ty. – Gdzie służyłeś w czasie wojny?

– W Polsce i w Rosji – odparł nienagannym niemieckim Dominik, puszczając oko do Konrada. – SS Totenkopf...

– Roland to człowiek o stalowych nerwach – uzupełnił Konrad. – Infiltrowaliśmy go do oddziałów partyzanckich w Polsce.

Gerard, który zdążył się już przyzwyczaić do najróżniejszych wcieleń Dominika, postanowił przejąć inicjatywę, gdyż drzemiące w nim żądze coraz gwałtowniej domagały się naturalnego ujścia, a to przekomarzenie mogło trwać w nieskończoność.

– Drogi Kurcie – zwrócił się do gospodarza – widzę, że jesteś koneserem wszelakiego piękna, skoro doceniłeś męską urodę naszego przyjaciela Rolanda, ale też jako pan tej perły architektury w najczystszy, szlachtetnym stylu włoskim. Nie pomylę się, jeśli zaryzykuję twierdzenie, że w środku trafimy na klasyczny dziedziniec tak charakterystyczny dla budowli renesansu włoskiego, a jego ozdobą będzie fontanna, w czterech rogach zaś pomniki bogiń i herosów... Nie mam najmniejszej wątpliwości, drogi przyjacielu, że twoja miłość do piękna gwarantuje, że uroda tutejszych mieszkank w niczym nie będzie ustępować temu boskiemu przybytkowi.

Z tymi słowami Gerard wziął pod rękę zauroczonego jego wypowiedzią Kurta i powiodł go przez drzwi wejściowe willi na patio.

Konrad, który w osłupieniu słuchał Gerarda, spojrzał pytająco na Dominika, jakby nie wierzył własnym uszom.

– Wziął sobie do serca twoje rady, Konradzie – wyjaśnił Polak. – Jak widzisz, pokłady kultury kryją się u Gerarda głęboko zakopane, ale są tym cenniejsze.

– Jasne – mruknął do siebie Konrad. – A najszybciej wydobywa je na powierzchnię chęć jebania.

Przekroczyli próg domu. Przestronny hol prowadził do

olbrzymiego salonu, którego francuskie okna otwierały się na dziedziniec. Wysoki na dwa piętra salon umeblowany był w stylu rokoko. Fotele i kanapy pokrywały tkaniny w delikatnych pastelowych barwach. Najdalszą ścianę prostokątnego pomieszczenia zajmował olbrzymi bar z czarnego marmuru, nad nim zaś górowały półki wypełnione bateriami butelek z trunkami z całego świata.

W salonie siedziało lub przechadzało się około piętnastu kobiet reprezentujących wszystkie typy urody i karnacji. Nosiły długie, eleganckie suknie wieczorowe, które odsłaniały szyję i ramiona.

– Zapraszam do mojego gabinetu na górę – zaproponował Kurt i widząc rysujący się na twarzy Gerarda opór, szybko dodał: – Tam łatwiej przejdziemy do rzeczy przy drinku.

Powiodł ich w stronę baru i otworzył prawie niewidoczne drzwi. Krętymi, ale wygodnymi schodami weszli na piętro i znaleźli się w przestronnym pokoju, którego cała przeszklona ściana wychodziła na rozpościerający się pod nimi salon.

– To wenecka szyba – wyjaśniał Kurt. – My widzimy salon, lecz salon nas nie widzi.

– Mistrzu Kurcie – powiedział Gerard, którego samopoczucie poprawiało się z minuty na minutę, proporcjonalnie do narastających w nim żądz – twoja finezja i dobry smak niechybnie przejdą do legendy.

Gabinet właściciela wypełniały meble ze starego drewna i skóry w różnych odcieniach brązu. Ściana przeciwległa do przeszklonej zabudowana była regałami pełnymi książek. Wśród półek znajdował się okazałych rozmiarów barek zastawiony butelkami.

– Czego się napijecie, drodzy goście, zanim znikniecie w czeluściach tego domu? – zapytał gospodarz.

– Gin z tonikiem poproszę – odezwał się Dominik.

– To samo dla mnie – dorzucił Konrad.

– Ja sobie popatrzę – rzekł Gerard, sadowiąc się na krześle przed przeszkloną ścianą z widokiem na salon. – Może kieliszek czystej wódki.

Kurt podszedł do baru, żeby przygotować drinki. Równocześnie mówił do Gerarda:

– Tam, Gerd, nie wypatrzysz tego, o co ci chodzi, a co Konrad łaskaw był mi przekazać w twoim imieniu. Ta niespodzianka czeka na ciebie za tamtymi drzwiami.

Mówiąc to, Kurt wskazał na duże drzwi prowadzące do innych pomieszczeń na piętrze. Gerard wstał, wychylił jednym łykiem kieliszek wódki, który podał mu Kurt, i stanął przy drzwiach w pełnej gotowości.

– Zaraz ktoś cię zaprowadzi do obiektu pożądania. – Kurt podniósł pozłacany dzwoneczek, który stał na blacie biurka wyłożonym bordową skórą, i energicznie nim potrząsnął.

Do pokoju weszła bardzo młoda, wysoka Mulatka o wyjątkowo zgrabnej figurze. Ubrana była w czarny strój francuskiej pokojówki ze śnieżnobiałym obszernym kołnierzykiem, który podkreślał mocno odsłonięte obfite brązowe piersi. Szykowny strój ledwo zakrywał jej mocno zaokrągloną pupę. Na nogach miała wysokie czerwone szpilki, a idealnie wyrzeźbione łydki były obleczone w białe pończochy kończące się w połowie ud, podtrzymywane pasem w tym samym kolorze, z długimi tasiemkami o czarnych zatraskach. Ubioru dopełniał biały czepek. Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko do zebranych. Na jej policzkach pojawiły się dołeczki, a zgrabny nosek leciutko się rozszerzył.

Podeszła do Kurta, pocałowała go lekko w policzek i stanęła z opuszczonymi rękoma w oczekiwaniu na polecenia szefa.

– Przedstawiam Matyldę – oznajmił Kurt, wodząc triumfalnym spojrzeniem po zebranych i chłonąc ich wrażenia. – Matylda cię poprowadzi, Gerd. – Szepnął coś do ucha pięknej Mulatki, która kiwnęła ze zrozumieniem zgrabną główką. Wychodzącemu zaś Gerardowi szepnął w przelocie: – Nie musisz się martwić o prezerwatywy, bo twoje przeznaczenie jest zdrowe i czyściutkie. Nie musisz też z niej wyskakiwać. Zostaw wszystko w środku lub gdzie chcesz i nie spiesz się.

Gdy Gerard opuścił gabinet z Matyldą, Kurt usiadł w fotelu i zwrócił się do swoich gości:

– To była jedynie skromna próbka naszych możliwości. Brazylia ma wielkie tradycje najstarszego zawodu świata. Zachowujemy

oczywiście dyskrecję, ale bez tej beznadziejnej pruderii i hipokryzji, z jaką spotykamy się w Europie. Tu panuje antycznie wyzwolone podejście do tych spraw, zgodnie z maksymą boskiego Seneki: „Nie co ludzkie nie jest mi obce”.

– Gratuluję – skomplementował Kurta Dominik. – To piękny obiekt najwyższej klasy. Żadna stolica świata by się nie powstydziała. Musi tu bywać elita Rio...

– Absolutnie! – odrzekł Kurt mile połączony szczerymi pochwałami gościa. – Staram się nie wpuszczać tu ananasów...

Konrad pospieszył z wyjaśnieniem:

– To takie brazylijskie określenie prostactwa i chamstwa. Czyli ludzi szorstkich i topornych jak skóra ananasa.

– Właśnie! – kontynuował Kurt. – Tutaj bywa crème de la crème elit brazylijskich: politycy, wojskowi, adwokaci, sędziowie, biznesmeni i plantatorzy z prowincji. Jak niegdyś w legendarnym Casa Rosa. Jutro jest poniedziałek, dlatego ruch nieco mniejszy.

– Jesteś zatem osobą wielkiego zaufania... niepublicznego, że się tak wyrażę – zauważył Dominik. – To daje wielkie możliwości...

– Ale i nakłada wielkie obowiązki – wszedł mu w słowo Kurt. – Nie ma tu widzę i nie ma tu wiem. Lecz jeden fałszywy ruch, głupia niedyskrecja i długie lata pracy mogą iść w diabły.

– Dlatego nigdy nie nadużywamy możliwości, jakie stwarza działalność Kurta – wyjaśnił Konrad. – Czasami trafiają się tu perły, ale muszą być obrabiane w podwójnych białych rękawiczkach. Zresztą ty, Rolandzie, wiesz o tym najlepiej...

– No właśnie – ożywił się Kurt. – Jak było wtedy na Wschodzie, gdy infiltrowałeś te polskie bandy? Jacy oni byli, przecież chyba nie same ananasy?

Dominik, który nie widział potrzeby ujawniania przed Kurtem swojej prawdziwej tożsamości, postanowił grać dalej przypisaną mu przez gospodarza rolę żołnierza czarnych formacji trupich czaszek. Nie chciał też zrażać Kurta odmową opowieści o czasach wojny, które znał tak dobrze.

– Pochodzę ze Śląska, więc polski znałem jak niemiecki i mogłem ich infiltrować – wyjaśnił. – To dziwny naród, ci Polacy. Z

jednej strony nie potrafią się rządzić, jak już sto lat temu zauważył nasz wielki kanclerz Otto von Bismarck. Ale z drugiej, jakby dla zrekompensowania tej ułomności, bić się potrafią jak niewiele narodów...

Gdy w gabinecie Kurta rozkręcała się dyskusja, Gerard podązał za Matyldą, która powoli szła korytarzem parę kroków przed nim. I Pan Bóg stworzył człowieka – pomyślał, obejmując wzrokiem całą jej figurę, a zwłaszcza rytmicznie kołyszący się tyłeczek wystający spod czarnego stroju francuskiej pokojówki. W tym przypadku musiał dać z siebie wszystko!

Matylda zatrzymała się przed drzwiami jednego z pokoi usytuowanych wzdłuż długiego korytarza. Bez słowa uśmiechnęła się do Gerarda i gestem zaprosiła go do środka. Wszedł i drzwi się za nim zamknęły. Po prawej stronie pokoju stało wielkie łóżko zasłane białą pościelą. Naprzeciw niego – olbrzymi mebel zastawiony mnóstwem kosmetyków, nad którymi górowało olbrzymie lustro. Drzwi obok musiały prowadzić do łazienki. Okno było do połowy zasłonięte i w pokoju panował tajemniczy mrok. Jedynie poświata księżycy pozwalała dostrzec cokolwiek.

Gerard rozejrzał się po pomieszczeniu, ale nikogo nie zauważył. Może jaja sobie ze mnie robią – przeszło mu przez myśl, ale w tej samej chwili otworzyły się drzwi łazienki i wyszła z niej kobieta. Była bardzo wysoka, a czerwone szpilki sprawiały, że wydawała się jeszcze wyższa. Poza tymi pantoflami nic na sobie nie miała. Była naga, czarna i zbudowana jak Murzynka z jego erotycznych marzeń. Potężne uda ocierały się o siebie, gdy szła, a wąska talia sprawiała, że biodra i pośladki wyglądały na większe. Duże, ale nie przesadnie wielkie piersi poruszały się rytmicznie. Okrągłą twarz z płaskim nosem okalała grzywa kręconych czarnych włosów. Z całej postaci emanowała niepokojąca dzikość.

W prawej ręce trzymała pięcioramienny kandelabr z zapalonymi świecami, który za chwilę postawiła na toalecie. Gerard patrzył na kobietę jak na zjawę ze swoich najśmielszych snów. Czarna piękność podeszła tak blisko, że czuł jej oddech na twarzy i zapach jej ciała. Zapach olejku kokosowego. Lewą ręką sięgnęła do rozporka Gerarda i przez spodnie zaczęła delikatnie głaskać jego członek, który w

sekundę zrobił się twardy jak stal. Grube, pełne usta kobiety rozchyliły się w leciutkim uśmiechu, ukazując niezwykle białe, mocne zęby. Zabrała rękę i odwróciła się do niego tyłem, ocierając się wielkimi pośladkami o jego nabrzmiałe prącie. Gerard nigdy w życiu nie widział takich pośladków, mimo że panie, które miał w swoim rodzinnym kraju, bywały rozłożyste.

Zaschło mu w ustach. Kobieta przestała się ocierać o niego pośladkami i podeszła do toaletki. Dopiero teraz Gerard dostrzegł tam srebrne naczynie przykryte białą serwetą. Szybkim ruchem ręki Murzynka zdjęła serwetę. W wiaderku pełnym lodu tkwiła otwarta butelka szampana Dom Pérignon. „Czyta w moich myślach” – wyszeptał Gerard. Nalała szampana do smukłych kieliszków. Jeden podała Gerardowi, a drugim stuknęła o jego kieliszek. Wypił duszkiem.

Naga czarna piękność upiła nieco trunku, znów odwróciła się do Gerarda tyłem i podeszła do toaletki. Wolną ręką oparła się o mebel, stanęła w szerokim rozkroku, nachyliła się, mocno wypinając pupę, i zdecydowanym ruchem postawiła sobie do połowy opróżniony kieliszek na naturalnej półeczce, jaką tworzyły jej wypięte pośladki. Leciutko przechylone naczynie stało, jakby je ktoś przykleił.

Gerard nie wierzył własnym oczom. Podeszedł do kobiety, chwycił stojący na jej pośladkach kieliszek i opróżnił go jednym haustem. Odstawił szkło i ukląkł przed odwróconą tyłem kobietą. Położył ręce na czarnych, nieprawdopodobnie jędrnych pośladkach. Zaczął masować je dłońmi, rozchylając coraz mocniej. Widział zarys warg sromowych. Je również usiłował rozchyłać palcami i pieścić językiem. Ale uniemożliwiały mu to nabite, mocno przylegające do siebie pośladki.

Musiałbym mieć jęzor jak pierdolona iguana – pomyślał Gerard po kolejnej nieudanej próbie penetracji. Murzynka, widocznie przyzwyczajona do takich bezskutecznych zmagani, wyprostowała się, pocałowała go namiętnie w usta, po czym bez pośpiechu przeszła do łóża. Położyła się na plecach i uniosła nogi, a następnie z wolna rozłożyła je na boki. Patrząc Gerardowi w oczy, prawą ręką zaczęła masować łechtaczkę. Podeszedł do łóżka, klęknął, palcami delikatnie rozchylił wargi sromowe...

Chłopcy z Afrika Korps jednak nie kłamali!

Językiem zaczął pieścić łechtaczkę, a obie ręce położył na wewnętrznych stronach muskularnych ud kobiety. Czuł, jak Murzynka zaczyna poddawać się pieszczotom, a jej biodra falują w harmonii z coraz szybszymi ruchami jego języka. Stawała się coraz bardziej wilgotna. Zaczęła cichutko pojękiwać, a jej pośladki się naprężyły. Przyspieszył rytm swoich pieszczot, czując jej podniecenie. W pewnym momencie oplotła wielkimi udami jego głowę i wydała krzyk rozkoszy. Jej uda i pośladki zaczęły się rozluźniać, a na czarnej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Przeciągnęła się na łożu, prężąc ciało niczym olbrzymia czarna anakonda.

Po chwili usiadła na brzegu łoża, a Gerard stanął przed nią. Zaczęła rozpinać mu pasek. Członek Gerarda celował jej w twarz niczym armata. Otworzyła lekko usta i koniuszkiem języka zaczęła wodzić po napletku, rozchylając go stopniowo. Ręce trzymała na swoich kolanach. Gerard czuł, jak grube, ale aksamitnie delikatne wargi kobiety zaczynają obejmować jego żołądź i posuwać się w stronę podbrzusza. Cała jego męskość zginęła w ustach Murzynki. Wolno, posuwicie poruszając głowę w tył i w przód, precyzyjnie masowała pełnymi wargami prącie Gerarda spoczywające na jej języku. Co dwa, trzy ruchy wypuszczała go z ust i końcem języka pieściła nabrzmiałą żołądź. Od czasu do czasu podnosiła wzrok i patrzyła mężczyźnie w oczy, a na jej twarzy błąkało się coś na kształt uśmiechu.

Ruchy głowy Murzynki stawały się coraz bardziej rytmiczne. Nieznacznie przyspieszyła. Gerard pomyślał, że najwyższy czas przystąpić do rzeczy, ale zanim zdążył obrócić zamysł w czyn, eksplodował w jej ustach. Przełknęła spermę, wylizała do czysta członek, a potem wstała i zaprowadziła Gerarda za rękę do łazienki. Znajdowała się tam wpuszczona w podłogę okrągła wanna, wypełniona w dwóch trzecich gorącą wodą.

Gerard, pozbywszy się po drodze resztek odzieży, zanurzył się w kąpeli. Czuł się bosko! Woda relaksowała całe jego ciało, a rozluźnienie mięśni oddziaływało też na jego psychikę. Dawno nie czuł się tak spokojnie i bezpiecznie. Obok usadowiła się czarna

kobieta z marzeń. Namydliła ogromną gąbkę i zaczęła nią systematycznie obmywać jego ciało.

Po wyjściu z wanny Gerard został natarty wonnym olejkiem kokosowym. Nacieranie było połączone z profesjonalnym masażem, co niespodziewanie szybko doprowadziło go do kolejnej erekcji...

*

Kurt i Konrad przerwali rozmowę, podnieśli wzrok na powracającego do gabinetu Gerarda i z ciekawością zlustrowali go wzrokiem.

– No pięknie, Herr Oberst. Nie było cię ponad dwie godziny, a wyglądasz jak nowo narodzony – ocenił okiem znawcy Kurt.

– I tak się czuję – odrzekł bez cienia przesady Gerard. – Dziękuję, Kurt, za tę czarną piękność. Nie wybrałbym lepiej. Jeszcze raz muszę ci pogratulować tego domu i wszystkiego, co tu stworzyłeś. A gdzie się podział nasz przyjaciel Roland?

– Porwała go piękna Matylda – pospieszył z wyjaśnieniem Konrad.

– Świetny wybór! – skomentował Gerard.

Jak na zawołanie drzwi do gabinetu otworzyły się i stanęła w nich Matylda. Strój francuskiej pokojówki zniknął; młoda kobieta miała na sobie obcisłą sukienkę do połowy łydki, zakończoną typową dla ubiorów azjatyckich stójką. Lamparcie cętki kreacji znakomicie współgrały z jasno-czekoladowym odcieniem skóry. Upięte do góry włosy odsłaniały długą, smukłą szyję i podkreślały zgrabny kształt głowy i piękno twarzy. Całość była urzekająca, czemu wyraz dawały pełne zachwyty spojrzenia mężczyzn.

Do pokoju wkroczył uśmiechnięty, spokojny Dominik. Stanął obok Matyldy. Wyglądali razem tak wspaniale, że wszyscy obecni zaczęli spontanicznie bić brawo niczym na zakończenie koncertu gwiazd filharmonii.

– Brawo, Matylda! Brawo, Roland! Pięknie wyglądacie! – wykrzyknął szczerze zachwycony Kurt. – Zarządzam szampana!

Podszedł do baru i z ukrytej w biblioteczce niewielkiej lodówki wyciągnął butelkę dom pérignona. Matylda zaczęła przygotowywać

kieliszki. Kurt z wielką wprawą otworzył butelkę i rozlał szampana.

– Proponuję toast za życie i powodzenie – powiedział Kurt.

Nikt nie oponował.

Matylda wypła trochę, odstawiła kieliszek, pożegnała się z zebranymi i opuściła pokój, pozostawiając mężczyzn ich sprawom. Usiedli w fotelach i delektowali się szampanem. Gdy skończyli butelkę, Kurt wyszedł po następną. Przy okazji chciał skontrolować, jak kręci się jego biznes.

– Mamy szczęście, panowie – odezwał się Konrad. – Gdy zabawialiście się z dziewczynami, zjawił się tu Kubańczyk od lewicowych związków. Arnold jest na miejscu i podejmuje stosowne działania. Kurta w sprawę nie wprowadzałem, bo po co mu ten stres?

– Bardzo słusznie – ocenił Gerard.

– To rzeczywiście mamy szczęście – dodał Dominik. – Jest zatem szansa, że zanim opuścimy piękną Brazylię, damy CIA trop mordercy ich człowieka.

– Najbardziej zaczyna mnie w tej sprawie wkurwiać to, że choć nasz młody kierowca śmieciarki bezpośrednio odpowiada za śmierć Inez i Ratza, to wydaje się najmniej winny – skonstatował nagle Gerard. – Główni winowajcy i mózgi całej operacji to według mnie Van Vert, Sanmartino i Lodger. Nawet Wuja Tomasa zrobili w konia, bo nie spodziewał się chyba, że przyczyni się do śmierci naszych ludzi.

– Masz rację, oczywiście – rzekł Dominik, popijając szampana. – Dlatego prędzej czy później zamierzam dopaść ich wszystkich...

– Każdemu według zasług... – dorzucił Gerard.

30 lipca

Dochodziła druga w nocy.

Arnold siedział przy niewielkim stoliku obok garażu na cztery samochody i pił piwo. Ciepła noc i świeże powietrze dobrze go nastrajały. Od wielu lat dobierał i szkolił ludzi do ochrony posiadłości Kurta. Musieli być wszechstronni – ich wygląd nie mógł odstraszać gości, interwencje zaś wymagały zarazem taktu i zdecydowania. Oprócz tego musieli umieć dyskretnie kontrolować kobiety pracujące w przybytku. Czy nie wynoszą informacji o klientach i miejscu pracy, czy nie nadużywają alkoholu i narkotyków, a także czy są zadowolone z takiego życia, bo to mogło bezpośrednio się przekładać na poziom zadowolenia klientów, którym świadczyły usługi.

Z tego powodu Arnold znał obiekt na wylot i wiedział o wszystkim, co się w nim działo. Dostawał za to od Kurta wcale nieźle pieniądze oraz możliwość darmowego korzystania – w granicach rozsądku – z wdzięków jego mieszkanki.

Tej nocy, ledwie zdążył polecić ochronie, by informowała go o każdym pobycie Kubańczyka w posiadłości, ten, jak na zamówienie, zjawiał się we własnej osobie. Arnold wiedział z doświadczenia, że w pracy służb zdarzają się cudowne przypadki nazywane łutem szczęścia. Strażnicy szybko poinformowali go o zwyczajach Kubańczyka, który na ogół spędzał w przybytku od trzech do czterech godzin i wychodził umiarkowanie podпиты. Następnie wsiadał do taksówki, którą tuż po przybyciu kazał zamawiać na określoną porę, i wracał nią w okolice dzielnicy portowej, gdzie najwyraźniej mieszkał. Była to jego dziesiąta wizyta i tyle zdołali ustalić ochroniarze dzięki zaprzyjaźnionym kierowcom, którzy mieli okazję odwozić gościa.

Arnold rozważał dwa warianty realizacji powierzonego mu zadania. Mógł śledzić taksówkę wiozącą Kubańczyka i dopaść go w jego dzielnicy. Ale wariant ten, pozornie prosty, zawierał w sobie wiele niewiadomych i niósł różne potencjalne komplikacje.

Kubańczyk nie musiał przecież jechać, jak zwykle, do dzielnicy portowej, ale, na przykład, udać się do swojej ambasady albo na spotkanie z kolegami w barze, albo z kobietą, gdyby w posiadłości nabrał ochoty na seks, jakiego u Kurta nie oferowano. Przecież nie będę ganiał za nim po mieście jak palant – pomyślał były esesman.

Wybrał więc wariant najprostszy i najbezpieczniejszy. Przywołał do siebie szefa ochrony. Był to jego zaufany człowiek, z którym nieraz już realizował zadania mające swój finał w jeziorze z piraniami i wymagające absolutnej dyskrecji.

– Siadaj, Hans – powiedział Arnold, gdy zjawił się szef ochrony.
– Jest mała robótka.

– Tak jest. Co trzeba zrobić?

– Nie skomplikowanego, ale musimy się uwinąć szybko i dyskretnie, aby nie ucierpiała opinia tego miejsca – tłumaczył Arnold.

Szef ochrony słuchał ze zrozumieniem, kiwał głową i od czasu do czasu uśmiechał się pod nosem.

– Wszystko jasne? – zapytał Arnold na koniec.

– Jak słońce, szefie – odparł Hans.

– No to do roboty!

Ochroniarz oddalił się, a Arnold wyjął kolejną butelkę piwa ze stojącego u jego stóp wiadra z lodem. Życie jest piękne – pomyślał.

Dokładnie w tej samej chwili to samo pomyślał Kubańczyk. Siedział nagi w obitym czerwonym aksamitem fotelu w jednej z licznych komnat willi. Przed nim klęczała, równie naga, duża blondynka z biustem o rozmiarze sześć i wydatnymi ustami pieściła jego członek. Lubił takie duże, wysokie blondynki o obfitych kształtach, bo wtedy wydawało mu się, że jest hiszpańskim konkwistadorem i panuje nad całym światem. Śmiał się później z takich myśli, ale to właśnie te blondynki przyciągały go jak magnes do przybytku Kurta. Heidi, która właśnie go obsługiwała, musiała mieć w sobie skandynawską lub niemiecką krew. Spotykał się z nią po raz piąty i jako stały klient był traktowany ze szczególną atencją.

Głowa dziewczyny poruszała się coraz szybciej, a gdy jej prawa ręka dodatkowo zaczęła pieścić jego członek, Kubańczyk poczuł

nadchodzący orgazm. Heidi widocznie też to poczuła, bo wyprostowała się nieco i cały czas pracując prawą ręką, skierowała strumień spermy na swoje piersi. Kubańczyk klął cicho po rosyjsku, a jego ciało przeszywały spazmy rozkoszy. W końcu opadł zmęczony na fotel.

Kobieta wstała, podeszła do niewielkiego stolika, na którym stała butelka rumu, cola, srebrny pojemnik z lodem, wysokie szklanki i pokrojone cytryny. Przygotowała drinki i zachęcającym ruchem głowy wskazała Kubańczykowi uchylone drzwi łazienki. Wstał z fotela, podszedł do Heidi i pocałował ją delikatnie w policzek. Podała mu szklankę. Drobnymi łyżkami wypił połowę. Odbiło mu się lekko. Życie jest piękne – pomyślał ponownie i szarmanckim gestem zaprosił dziewczynę do łazienki.

Jak długo można się pierdolić? – zastanawiał się Arnold, siedząc przy stoliku i popijając kolejne piwo. Lubił kobiety, ale kochał się szybko i zdecydowanie. Wolał mieć dwie albo i trzy partnerki w ciągu nocy, gdy już postanowił zaszaleć, niż godzinami celebrować jedno spotkanie. Latynoska mentalność – tłumaczył sobie.

Z mroku wyłonił się szef ochrony i usiadł przy stoliku. Hans był synem jednego z kumpli Arnolda ze starych czasów. Wysoki, postawny i wyjątkowo przystojny, stanowił obiekt marzeń i pożądania większości kobiecego personelu przybytku Kurta.

– Kąpią się, szefie – zameldował i zapalił cygaretkę, którą wyjął ze złotej, pięknie grawerowanej papierośnicy.

– Mam nadzieję, że ten dupek nie ma zwyczaju pożerać tu śniadania? – zapytał na wszelki wypadek Arnold.

– Nein, Herr Oberst. – Hans parsknął śmiechem. – Mniej więcej za pół godziny powinien ładować się do taksówki.

– Bogu dzięki – odparł Arnold. – Wszystko gotowe?

– Rozkazy wypełnione co do joty!

Siedzieli jeszcze kilkanaście minut i rozmawiali. Gdy Arnold dokończył piwo, wstali i każdy z nich zajął wyznaczoną pozycję.

Wykapany i odświeżony Kubańczyk siedział na fotelu obitym czerwonym aksamitem i popijał kolejną cuba libre. Alkohol zaczynał robić swoje i facet czuł, że jego reakcje są wolniejsze, a głowa nieco

mu ciąży. W sumie lubił ten stan umiarkowanego upojenia, bo bardzo go to relaksowało.

Telefon zadzwonił cicho. Heidi odebrała i zamieniła z kimś kilka słów. Miała na sobie jedynie czarne pończochy i pas w tym samym kolorze.

– Taksówka czeka, kochanie – poinformowała klienta.

– Ach, ten czas! Tak szybko mija, gdy jestem z tobą. – Kubańczyk, dopijając drinka, niepewnie uniósł się z fotela. – Mocne te drinki porobiłaś!

– Jeszcze połóweczkę na drogę? Wypiję z tobą – zachęcała.

– A co tam! Żyje się raz – zdecydował.

Heidi błyskawicznie przyrządziła dwa mniejsze drinki. Stuknęły się szklaneczkami. Kubańczyk opróżnił swoją, nim Heidi zdążyła umoczyć usta.

– Wpadnę za tydzień. W sobotę lub niedzielę – zapowiedział. Odstawił szklaneczkę, podszedł do kobiety i musnął ustami jej usta, a wychodząc, położył na kredensie przy drzwiach studolarowy banknot.

– Będę tęskniła – rzekła uwodzicielskim głosem Heidi i zamknęła za klientem drzwi.

Następnie odwróciła się i usiadła w fotelu, z którego przed chwilą wstał Kubańczyk. Założyła nogę na nogę i bez pośpiechu zaczęła dopijać drinka. Jej wzrok zatrzymał się na studolarowym banknocie. Hojny i miły ten amigo – pomyślała nie bez szczypty czułości. Szkoda, że ma taki króciutki loncik i spuszcza się w tempie królika, bo pokazałabym mu, co potrafię.

Kubańczyk zszedł bocznymi schodami. W głównym salonie oprócz barmana nie było już nikogo. Kiedy znalazł się na zewnątrz, spojrzął na zegarek. Mijała czwarta i nieuchronnie nadchodził świt. Taksówka stała przy garażach, chociaż na ogół czekała przed frontowymi drzwiami. Najwyraźniej jednak kierowca właśnie kończył myć pojazd. Jak spod ziemi wyrósł szef ochrony.

– Buenos dias, señor – odezwał się najczystszy hiszpański i uśmiechnął przyjaźnie.

– Buenos dias – odpowiedział Kubańczyk. Ponieważ nie mógł

skutecznie udawać rodowitego Brazylijczyka, wcielał się w obywatela Wenezueli i mieszkańca Caracas, które dobrze znał. Zawsze doceniał, gdy ktoś podejmował dodatkowy wysiłek, aby zwracać się do niego w ojczystym języku. Zwłaszcza jeśli czynił to taki stuprocentowy Aryjczyk jak szef ochrony.

– Taksówka już jest i będzie gotowa za minutę – poinformował Hans. – Chce pan, żeby podjechała, czy przejdziemy się kawałek?

– Ależ z największą przyjemnością. Spacer dobrze mi robi – odparł Kubańczyk i ruszył powoli przed siebie, leciutko się zataczając.

– To będzie piękny dzień, señor – rzekł z przekonaniem ochroniarz, oceniając wprawnym okiem, czy klient faktycznie jest wstawiony, czy tylko udaje, co oznaczałoby kłopoty.

Ale on nie udawał. Był bardziej pijany, niż mu się wydawało; wszystkie reakcje i ruchy miał znacznie spowolnione. Heidi, która obiecała raczyć go alkoholem bez ograniczeń, jako stałego klienta, wykonała swoje zadanie.

Kierowca skończył myć taksówkę i zajął miejsce za kierownicą.

– Tak, to będzie piękny dzień – odpowiedział z opóźnieniem Kubańczyk. Miał w planie przespać się parę godzin, wpaść do centrali związków zawodowych, a na wieczór był umówiony dla odmiany z czarną brazylijską pięknością...

Doszli do samochodu. Strażnik otworzył tylne drzwi i zaprosił gościa do środka. Kubańczyk zdjął białą marynarkę i rzucił na siedzenie. Następnie odwrócił się do szefa ochrony i bez słowa uściśnął mu rękę, po czym zaczął gramolić się do auta. Szło mu niesporo. W końcu usiadł i próbował zamknąć drzwi. Podniósł wzrok na szefa ochrony, oczekując, że pomoże mu w tym jakże trudnym tego ranka zadaniu. Ale przy drzwiach pojazdu nie ujrzał tego, kogo oczekiwał. Stał tam natomiast dziwnie kwadratowy mężczyzna średniego wzrostu i patrzył na niego twardym wzrokiem.

Ten facet mi się nie podoba – pomyślał Kubańczyk. Zanim jednak zdążył zareagować, olbrzymia pięść kwadratowego osiłka wylądowała na jego skroni. Uderzenie było tak mocne, że natychmiast stracił przytomność i osunął się na swoją białą

marynarke.

– Piękny cios, Arnoldzie – skomentował szef ochrony, który pojawił się ponownie obok samochodu, jakby wyrósł spod ziemi.

– Rzeczywiście niezły – przyznał Arnold i zamknął tylne drzwi.

– Z Bogiem, jak to się mówi – rzekł Hans.

– Tak jest. Gott mit uns.

Arnold obszedł pojazd, otworzył tylne drzwi z drugiej strony i usiadł na siedzeniu obok nieprzytomnego Kubańczyka.

– Jedź do dzielnicy portowej – poinstruował kierowcę, przyrodniego brata szefa ochrony, z matki Brazylijki.

*

W posiadłości Kurta, w jadalni obok głównego salonu na parterze, przy stole nakrytym białym obrusem siedzieli Konrad, Gerard i Dominik. Jedli wielkie, pożywne śniadanie – jajka sadzone na boczku ze smażonymi pomidorami, kiełbaski wieprzowe, fasolkę w sosie pomidorowym, tosty. Zapijali na przemian mocną kawą i piwem.

– Kobiety potrafią wyciągnąć z człowieka ostatnie siły – komentował Gerard, nakładając na talerz kolejną porcję jajek.

– Pomyśl, co byś robił, gdyby nie było tych pięknych istot – zauważył Dominik, który pochłaniał jedzenie z nie mniejszym apetytem.

Zanim Gerard zdążył odpowiedzieć, otworzyły się drzwi i do jadalni wszedł Arnold.

– Załatwione, szefie – zwrócił się do Konrada.

– No pięknie! Siadaj, napij się piwa, zjedz coś, a dopiero potem opowiadaj – polecił Konrad. – Gospodarz załatwia sprawy na mieście, więc nie musisz owijać w bawełnę.

Arnold w okamgnieniu wypił duszkiem butelkę piwa. Nałożył sobie wielką porcję i gdy zaspokoił pierwszy głód, zaczął opowiadać, obserwowany z zaciekawieniem przez siedzących przy stole mężczyzn.

– Puknąłem go w głowę tu, przy garażach. Nie obudził się przez

całą drogę do portu – meldował kwadratowy esesman. – Zaczął dochodzić do siebie, gdy go wyciągałem z tylnego siedzenia, ale dostał kilka ciosów kastetem w łeb i cztery pchnięcia nożem, w tym jedno pod serce, i wyzionął ducha. Czarny notes włożyłem mu do tylnej kieszeni spodni. Ciało zostawiłem w alejce, którą można dojść na skrót do siedziby lewicowych związków zawodowych. Przykryłem kartonami, które specjalnie w tym celu miałem w bagażniku, aby ktoś za szybko go nie odkrył i nie podwedził notesu. Następnie kierowca taksówki, też mój wychowanek, zadzwonił anonimowo na policję i poinformował, że jakiś trup leży na drodze do siedziby lewaków. Nikt nic nie widział, nikt nic nie wie. Typowa śmierć w bójce w porcie. Facet szedł do swoich, a nadział się na cudzych. Samo życie!

– Arnold zadzwonił też do naszego doradcy w kontrwywiadzie wojskowym – uzupełnił Konrad. – Koledzy wojskowi włączą się więc do sprawy, przejmą czarny notes i zaczną się zabawa.

– Gratuluję sprawności działania – odezwał się Gerard. – Sądzę, że nikt nie będzie wątpił, że Kubańczyk miał pecha: w drodze do pracy trafił na prawicową bojówkę i zginął na posterunku.

– Ja dołączam się do tych gratulacji – powiedział Dominik. – Osiągnęliśmy wszystko, po co tu przyjechaliśmy, a może jeszcze więcej. Dzięki.

– Wiesz teraz, Rolandzie, wszystko lub prawie wszystko o śmierci swojej kobiety i przyjaciela – stwierdził Konrad. – Co zamierzasz dalej?

– Wszyscy należymy do pokolenia naznaczonego piętnem wojny. Nauczylismy się zabijać w odpowiedzi na zabijanie. Biblijne przykazanie „oko za oko, ząb za ząb” to w moim przypadku druga natura. Zajmę się teraz Rickiem Sanmartinem i Wujem Tomasem, a później pomyślę, co dalej – odpowiedział Dominik.

– Wybacz, że to powiem – ciągnął Konrad. – Ale czy nie szkoda ci czasu na zemstę? Nie lepiej zająć się chłopcami, którym tylko ty pozostałeś?

– Nie! – Dominik nie miał wątpliwości. – Widzisz, Konradzie, ja znam siebie. Dopóki z całą tą sprawą nie uporam się na swój sposób,

nie zaznam spokoju. To już jest moje przeznaczenie. A chłopcami zajmę się odpowiednio. Możesz być spokojny.

– Też się będą mścić? – zapytał Konrad, jakby szukał odpowiedzi na pytanie, co sam by zrobił, gdyby był na jego miejscu.

– To będzie ich wybór, gdy dorosną i zrozumieją, że ktoś pozbawił życia najbliższe im osoby – odparł Dominik.

Gerard, który przysłuchiwał się rozmowie, myszkując jednocześnie po jadalni, odkrył w przylegającym do niej sporym pomieszczeniu gospodarczym dużą lodówkę. Jego szczególną uwagę zwróciła w niej butelka alkoholu o żółtawym zabarwieniu z trawką w środku. Podniósł ją i zaczął czytać etykietę.

– A niech mnie! – wymamrotał. – Wódka z Polski. Żubrówka! Ale wynalazek!

Pamiętał jak przez mgłę, że pił coś podobnego podczas wojny w Polsce i bardzo mu wtedy smakowało. Wziął schłodzoną mocno butelkę i z triumfalnym uśmiechem na twarzy wrócił do jadalni.

– Eureka! – wykrzyknął, podnosząc butelkę i budząc zdziwienie towarzyszy. – Nie uwierzycie, co znalazłem! – wyjaśniał lekko podekscytowany. – Gorzałę z Polski. W Rio de Janeiro. Wyobrażacie sobie? To jakiś omen.

Dominik wziął butelkę do ręki.

– W rzeczy samej. Wódka z trawką żubrową z Puszczy Białowieskiej. To rarytas.

– Rozpijemy przed drogą, prawda? – upewnił się Gerard i wprawną ręką zdjął nakrętkę.

– Nie widzę przeszkód – odparł Konrad. – Spróbujmy najpierw, a potem wzniesiemy toast. Lej, Herr Oberst! Tylko nie rozlej.

Gerard szybko napełnił kieliszki i mężczyźni małymi łydkami zaczęli smakować gęsty, zmrożony trunek.

– Rewelacja! – pierwszy ocenił Gerard.

Reszta pijących z uznaniem pokiwała głowami, wyraźnie gadzając się z tą oceną.

Gerard szybko ponownie napełnił kieliszki.

– Za co pijemy? – zapytał Konrad. – Za poległych?

– Nie tym razem – wszedł mu w słowo Dominik. Gdy nieco zdziwieni koledzy czekali, jaki toast wzniesie, dodał powoli i z naciskiem: – Na pohybel!

3 sierpnia

Na zacienionym tarasie zakonspirowanej willi siedzieli w wiklinowych fotelach trzech mężczyzn. Jednym z nich był Vernon Walters, nowy attaché wojskowy Stanów Zjednoczonych w Brazylii, drugim szef stacji CIA w Rio de Janeiro, trzecim zaś gospodarz, szef brazylijskiego kontrwywiadu wojskowego. Obaj Amerykanie pili z wysokich szklanek whisky z lodem i dużą ilością wody gazowanej. Brazylijczyk raczył się mocno schłodzonym chardonnay puligny-montrachet. Na wiklinowym stole stały miseczki z orzeszkami i oliwkami. Obok naczyń leżał czarny notes stanowiący do niedawna pilnie strzeżoną własność Denisa Fargo.

Zarówno attaché, jak i szef stacji CIA zdążyli przewertować notatnik. O ile pierwszemu notes z niczym się nie kojarzył, choć z niejakim zdziwieniem odkrył w nim swoje nazwisko, nazwisko szefa stacji CIA i wielu osób z centrali Agencji w Stanach, o tyle drugi doskonale wiedział, do kogo należą zapiski. Wiedział też, że od środowego poranka cała stacja CIA poszukiwała właściciela, który przepadł jak kamień w wodę. Ale ponieważ szef placówki w Rio był doświadczonym oficerem operacyjnym, czekał na ruch ze strony gospodarza willi. Znał zasady rządzące rozmowami w takich okolicznościach, gdy każda ze stron chciała wyciągnąć od drugiej to, czego nie wiedziała, lecz jedynie się domyślała.

Brazylijczyk spokojnie obserwował swoich gości. Czuł, że ma nad nimi przewagę. Gdy pierwszy raz dokładnie przejrzał czarny notes, nabrał przekonania, że musiał on należeć albo do oficera Agencji, albo do jej bardzo dobrze poinformowanego współpracownika. Mnóstwo ciekawych nazwisk i zapisków. Bo co do tego, że notes był wypełniany ręką Amerykanina, nie miał żadnych wątpliwości. W podległej mu jednostce służyli oficerowie, którzy kończyli amerykańskie szkoły publiczne i prywatne. Regularne, lekko pochylone pismo w notesie było znakiem firmowym tych instytucji. Szef kontrwywiadu wojskowego dokładnie wiedział, czego chce od Amerykanów, i zamierzał to osiągnąć – w dobrze pojętym obopólnym interesie.

– Mamy chyba mały problem, drodzy amigos, bo coś mi mówi, że ten notes mógł należeć do jednego z waszych ludzi – zaczął Brazylijczyk.

– Dlaczego pan tak sądzi, pułkowniku? – ostrożnie podjął temat Vernon Walters.

– Bo to takie małe wademekum, kto jest kim w CIA – odparł z uśmiechem Brazylijczyk. – Szef stacji chyba to potwierdzi, nieprawdaż?

Wywołany do tablicy kierownik placówki CIA zastanawiał się, jak rozegrać tę rozmowę, aby jak najmniej zdradzić, a jak najwięcej się dowiedzieć. Rozumiał, że brazylijscy wojskowi są potencjalnymi sojusznikami Stanów Zjednoczonych w podkopywaniu lewicowych rządów Goularta, ale Agencja prowadziła w Brazylii wiele operacji, o których nikt z miejscowych nie miał pojęcia. Do tej kategorii należała koordynowana przez Denisa Fargo działalność prawniczych związków zawodowych przeciwko lewakom. Nie wspominając o obsłudze kanału narkotykowego CIA. Doświadczenie i inteligencja podpowiadały mu jednak, że w tej rozgrywce Brazylijczyk ma lepsze karty.

Muszę go mieć po swojej stronie – pomyślał. Najlepiej więc potraktować go poważnie i nie obrażać jego niewątpliwej inteligencji. Postanowił mówić prawdę – w granicach wywiadowczego rozsądku, rzecz jasna.

– Okej. Ja powiem, co trzeba, o właścicielu notesu, a pan pułkownik oświeci mnie, skąd się wziął w waszym posiadaniu, i przejdziemy do kolejnych ciekawostek – zaproponował szef stacji.

– No problem. Jak między przyjaciółmi – odparł szef kontrwywiadu, szeroko rozkładając ręce i jeszcze szerzej się uśmiechając.

Amerykanie spojrzeli po sobie. Nie wiedzieli do końca, czy ich rozmówca mówi poważnie, czy też delikatnie sobie podkpiwa z całej sytuacji.

– Notes jest własnością mojego człowieka, kadrowego oficera CIA Denisa Fargo, którego nikt z nas nie widział od co najmniej tygodnia – rzekł w końcu szef stacji i zdał sobie sprawę, że nigdy

żadnemu przedstawicielowi obcej służby nie mówił tak otwarcie o innym oficerze Agencji.

Brazylijczyk spoważniał i zamyślił się.

– Dziękuję bardzo za szczerość – odrzekł po chwili, świadom, ile to wyznanie musiało kosztować jego rozmówcę. – Proszę mi jeszcze przybliżyć, czym się zajmował pana człowiek...

Piorunujący wzrok Amerykanina uświadomił szefowi kontrwywiadu, że być może powinien coś dodać do ostatniej wypowiedzi.

– W najogólniejszym sensie, oczywiście – pospieszył z uzupełnieniem pułkownik.

Amerykanin odchrząknął, pociągnął duży łyk ze stojącej przed nim szklanki whisky i odpowiedział:

– Obserwował lewicowe związki zawodowe.

Atmosfera zaczęła się robić niepokojąco ciężka i Brazylijczyk postanowił ją rozładować.

– Prawda za prawdę. Notes znalezione w poniedziałek we wczesnych godzinach rannych w tylnej kieszeni spodni działacza lewicowych związków zawodowych...

Amerykanie zaniemówili i przez dłuższą chwilę patrzyli z niedowierzaniem na szefa kontrwywiadu.

Pierwszy odezwał się attaché:

– Skąd go wziął? Co mówił? Chyba go przesłuchaliście...?

– Nie było takiej możliwości, bo znaleziono go martwego. Kilka uderzeń czymś tępym w głowę, przypuszczalnie kastetem, i parę pchnięć nożem. Jedno w serce. Robota fachowego bojówkarza – bez pośpiechu zrelacjonował Brazylijczyk.

Zapadło milczenie.

– Ale to nie wszystko – dorzucił po chwili.

Słowa te jakby wytrąciły obu Amerykanów z głębokiego snu. Baczenie spojrzeli na gospodarza. Brazylijczyk delektował się oczekiwaniem swoich gości na kolejną informację i myślą o wrażeniu, jakie z pewnością na nich zrobi.

– Czy pan nas jeszcze może zaskoczyć, pułkowniku? – zapytał

z pewną irytacją szef stacji CIA.

– Zabity nie był obywatelem brazylijskim. To Kubańczyk, najprawdopodobniej powiązany z ich wywiadem, a do Brazylii oddelegowany, żeby koordynować działalność lewicowych związków. Taki odpowiednik waszego człowieka po drugiej stronie – powiedział szef kontrwywiadu, obserwując swych rozmówców.

Ponownie zapadło milczenie, ale znacznie dłuższe niż poprzednio. W końcu odezwał się Vernon Walters.

– Czy chce pan powiedzieć, że wywiad kubański zabił oficera amerykańskiego wywiadu? Czy dobrze rozumiem?

– Niedobrze. Ja mam świadomość, że sytuacja jest zaskakująca i brzemienna w najróżniejsze konsekwencje. Ale na razie wiemy jedynie to, że w tylnej kieszeni spodni zabitego Kubańczyka o określonej przeszłości znaleziono notes należący do oficera CIA. Wszystko wskazuje na to, że Kubańczyk zginął w bójce z prawicowymi bojówkarzami w drodze do swojej centrali związkowej – tłumaczył Brazylijczyk. – Jeżeli dostanę zdjęcie pana Fargo, to włączymy się niezwłocznie do poszukiwań.

– Ja także dziękuję za szczerość, panie pułkowniku – rzekł nagle szef stacji CIA. – Doceniam to, i pan Walters również. Jak najszybciej muszę skontaktować się z centralą, bo wydaje mi się, że ta sprawa szybko zacznie nas przerastać. Co pan może mi powiedzieć o tym Kubańczyku?

Brazylijczyk wstał i szybko przeszedł do pokoju przylegającego do tarasu. Po chwili wrócił z cienką teczką i pudełkiem cygar.

– W tym dossier znajdzie pan wszystko, co nasze służby wiedzą o Kubańczyku. – Wręczył teczkę Amerykaninowi. – Może na tej podstawie CIA poczyni dalsze, bardziej dogłębne ustalenia. Cygaro?

– Kubańskie? – zapytał Vernon Walters i mimo trudnej sytuacji wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Jakżeby inaczej! – odpowiedział szef kontrwywiadu wojskowego, zapalając cygaro i dolewając sobie wina. – Zanim odejdziecie, panowie, do swoich obowiązków, posłuchajcie kilku moich uwag. Obawiam się, że wasz pracownik może nie żyć, bo przecież nie rozstawałby się dobrowolnie z tak cennym i wiele

mówiącym notesem. Gdyby mu go ukradziono, to byłby obecny wśród nas. Jeżeli nie żyje, to nie mogę wykluczyć, że nigdy nie znajdziemy jego ciała, bo Brazylia to ogromny kraj i trupa bardzo łatwo się pozbyć. Musimy przyjąć, że waszego człowieka zabili Kubańczycy, a konkretnie wywiad kubański lub ktoś z lewicowych związków zawodowych. Ale osobiście powątpiewam, czy ci ostatni odważyliby się na taki krok, chyba że przez przypadek, w co też jednak wątpię, bo z pewnością znali waszego człowieka, skoro się nimi zajmował...

– Słusznie pan rozumuje, panie pułkowniku – wtrącił się Vernon Walters, który w mig zrozumiał, jak wielki potencjał polityczny i wywiadowczy może mieć sprawa Denisa Fargo i do czego przypuszczalnie zmierza szef kontrwywiadu wojskowego. – Lewacy nie odważyliby się zabić oficera CIA. Zresztą po co? Jakie by mieli z tego korzyści? Raczej same kłopoty. Nie widzę u nich nikogo, kto podjąłby taką decyzję. Ale Kubańczycy to zupełnie inna bajka. Dzisiejsza Brazylia stanowi jeden z głównych południowoamerykańskich frontów walki demokracji i wolnego świata z komunizmem. Śmierć młodego Fargo oznacza eskalację tego konfliktu i podniesienie go na wyższy poziom. Kubańczycy rzucają nam wszystkim oczywiste wyzwanie i chcą pokazać rządowi Goularta, jacy są mocni.

Szef kontrwywiadu natychmiast wyczuł w Vernonie Waltersie bratnią duszę i sprzymierzeńca.

– Zgadzam się całkowicie – poparł go. – Może za wcześnie o tym mówić, ale uważam, że śmierć pana Fargo nie powinna pójść na marne. To morderstwo, nie waham się użyć tego słowa, musi stać się impulsem dla waszej administracji i wszystkich patriotycznych sił w Brazylii, które mam przyjemność reprezentować, do ostatecznego pozbycia się tej lewicowej zarazy z mojego kraju!

– Nie ująłbym tego lepiej – podchwycił Walters. – Przygotuję odpowiedni raport zakończony stosownymi wnioskami i złożę go na ręce samego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Nie wątpię, że nasz kolega z CIA zrobi to samo.

Szef stacji CIA w Rio de Janeiro, który w swojej karierze widział wiele sukcesów operacyjnych Agencji, ale także kilka wpadek,

słuchał i myślał. Wiedział doskonale, do czego zmierzają jego rozmówcy i jak chcą wykorzystać tę śmierć, bo nie miał wątpliwości, że Denisa Fargo nigdy już nie zobaczy. Odezwał się w końcu, starannie dobierając słowa, aby nie zostać źle zrozumianym.

– Zgodnie z prawem, dopóki nie ma ciała, nie ma zabójstwa. To musimy brać pod uwagę w naszych planach – oznajmił rzeczowo. – Jest też nikła szansa, że naszego człowieka zabił ktoś inny z zupełnie innych powodów i chce w to zrobić Kubańczyków. Może warto przeanalizować życiorys młodego Fargo...

Vernon Walters, któremu tok rozumowania szefa stacji CIA zdecydowanie przestał się podobać, postanowił zabrać głos i właściwie zinterpretować sprawę.

– Formalnie jest to zniknięcie, bo nie ma ciała, ale wszyscy, jak tu siedzimy, nie mamy wątpliwości, że chłopak nie żyje. To po pierwsze – tłumaczył metodycznie. – Po drugie, gdyby ktoś chciał zrobić Kubańczyków w tę sprawę, to musiałby najpierw zabić naszego Fargo, zabrać mu notes, zabić Kubańczyka i jemu go podrzucić. To wielka operacja, za którą musiałaby stać wielka motywacja oraz wielkie pieniądze i możliwości. Ale jedyna organizacja zdolna zrealizować takie działania, jaka przychodzi mi do głowy, to... my. A myśmy tego nie zrobili, prawda? Wy także nie, jak sądzę, panie pułkowniku. Widzę tu wyłącznie rękę Kubańczyków. A sprawcę już ktoś mimowolnie ukarał, zabijając posiadacza notesu Denisa Fargo.

– Ponownie zgadzam się w stu procentach. Ba, w dwustu! – odrzekł Brazylijczyk. – Dla formalności dodam, że my także nie stoimy za tą operacją...

– Żartowałem, drogi przyjacielu – pospieszył z wyjaśnieniem Vernon Walters.

– Mój raport do kierownictwa CIA będzie dokładnie taki sam jak pański – rzekł szef stacji CIA, zwracając się do attaché wojskowego. – Podobnie jak wnioski. Proszę nie mieć co do tego najmniejszej wątpliwości. Nie trafi się lepsza okazja aniżeli śmierć Fargo z rąk Kubańczyków, bo tak to przecież ujmujemy w raportach do naszych przełożonych, aby rozpętać nawałnicę, która zmiecie w tym kraju te

przekłete komunizujące rządy. Ale doświadczenie operacyjne i życiowe podpowiada mi, że zawsze należy być przygotowanym na najmniej oczekiwany rozwój sytuacji.

– Nie spodziewam się w tej sprawie niespodzianek. Sądę, że wszystko jest jasne – podsumował szef kontrwywiadu i przez stojący na stoliku telefon wewnętrzny kazał przynieść szampana.

Służący zjawił się z butelką veuve clicquot, otworzył ją, rozlał do wysokich, smukłych kieliszków i wyszedł.

Brazylijczyk wznosił toast.

– Przede wszystkim wypijmy ku pamięci dzielnego Denisa Fargo i przyjmijcie, drodzy amigos, moje najszczerze kondolencje z powodu tej pożałowania godnej tragedii – mówił pułkownik. – Zróbmy wszystko co w naszej mocy, aby jego śmierć stała się załącznikiem zmian, które uczynią mój kraj wielkim.

– Tak się stanie – odpowiedział z determinacją Vernon Walters i zebrani wypili dobrze schłodzonego francuskiego szampana.

Szef stacji CIA wiedział, że w Brazylii są dwie organizacje, które byłyby zdolne przeprowadzić każdą akcję, z tym, co spotkało jego młodego pracownika i Kubańczyka, włącznie. Jedną była mafia narkotykowa, a drugą ugrupowania uchodźców hitlerowskich z Trzeciej Rzeszy. Ale pierwsza była wykorzystywana i dogłębnie spenetrowana przez Agencję. Nie dotarł najdrobniejszy nawet sygnał, aby mogła mieć cokolwiek wspólnego ze zniknięciem Fargo, który poruszał się w tym świecie swobodnie, gdyż nadzorował kanał narkotykowy CIA. Co do Niemców, to nie mieli najmniejszego motywu zabijać oficera CIA. Wręcz odwrotnie. Byli dobrze zorganizowani, rozsądni i ostrożni. No i od końca wojny wielu z nich miało dobre stosunki z OSS, a następnie CIA. Nie dzielił się tymi przemyśleniami podczas rozmowy, bo nie było takiej potrzeby – sprawy te dotyczyły wyłącznie Agencji. Więc chyba jednak Kubańczycy – pomyślał weteran CIA i uśmiechnął się do siebie. Szkoda chłopaka, rzecz jasna, ale to jak dar niebios. Obalimy tego syfilityka Goularta.

5 sierpnia

Przy dużym drewnianym stole w magazynie szalup ratunkowych w dzielnicy portowej La Boca siedzieli Dominik, Gerard i Konrad. Przed nimi stała do połowy opróżniona butelka koniaku. Konrad właśnie skończył relacjonować naradę, która odbyła się w zakonspirowanej willi brazylijskiego kontrwywiadu wojskowego z udziałem dwóch Amerykanów. Informację przekazał mu dwie godziny wcześniej doradca jego organizacji przy szefie kontrwywiadu.

– Wygląda to wszystko całkiem niezłe – rzekł Gerard, popijając hennessy.

– Wszystko przeprowadziliśmy dosyć sprawnie, ale też mamy szczęście, bo główni zainteresowani, czyli Amerykanie i brazylijscy wojskowi, bardzo chcą wierzyć, że za zniknięciem i ewentualną śmiercią Fargo stoją Kubańczycy i lewacy – podsumowywał Dominik. – Sądzę, że dni Goularta są policzone, bo żadna administracja amerykańska nie będzie mogła podarować mu tej śmierci. Masz, Konradzie, czego chciałeś: twoi kumple w mundurach dojdą do władzy.

– Wszystko na to wskazuje – rzekł Konrad z widoczną satysfakcją. – Szef kontrwywiadu wojskowego jest w siódmym niebie. Zakazał kolportowania jakiegokolwiek innej wersji zniknięcia i przypuszczalnej śmierci Fargo poza tą, że zrobili to Kubańczycy i lewacy. Za parę dni cały brazylijski establishment wojskowy i prawniczy będzie mówił tylko o tym. Lewicowy zresztą też, ale z niejakim przerażeniem. Lont został podpalony...

– Wywiad kubański nie pozostawi tej sprawy samej sobie. Zginął ich człowiek z notesem oficera CIA w kieszeni. Oficer zniknął, w domyśle: został przez nich zabity. Rozpoczną swoje śledztwo, bo wiedzą, jakie konsekwencje rodzi ta wersja zdarzenia i do czego to wszystko zmierza – włączył się do rozmowy Gerard. – Nie budzi to waszych obaw?

– Nie nie wykryją, bo nie zostawiliśmy żadnych śladów –

odpowiedział Konrad. – Nie mają żadnego punktu zaczepienia. Będą dreptać w miejscu i krzyżeć, że to nie oni, ale nikt ich nie będzie słuchał. Zresztą nie mogą się nawet zająknąć, że zabity Kubańczyk to ich człowiek, choć całe Rio będzie o tym przekonane. Moja wrodzona skromność nie pozwala mi powiedzieć, że to operacja doskonała.

– Możemy podsunąć Kubańczykom, że całą sprawę zainscenizowali Amerykanie. Zabili ich człowieka, podrzucili mu notes swojego oficera, a jego wycofali do Stanów. Wszystko po to, aby mieć mocny pretekst do obalenia Goularta – odezwał się niespodziewanie Dominik. – Jeśli Kubańczycy to łykną, żadna inna wersja nie będzie ich interesować. Tak samo żadna inna wersja, poza tropem kubańskim, nie interesuje szefa tutejszego kontrwywiadu wojskowego.

– Genialne! – stwierdził urzeczony pomysłem Konrad. – A macie takie możliwości?

– Myślę, że da się zrobić coś sensownego – odpowiedział Dominik, myśląc o swoim bracie i stosownej informacji wywiadu polskiego dla bratniej służby kubańskiej o niegodziwościach CIA w Brazylii.

– To może jeszcze dodamy, że Agencja miała tu nielegalny kanał narkotykowy? – rozkręcał się Konrad.

– Jeżeli chcesz zwrócić uwagę na rynek narkotyków w Brazylii, a potencjalnie na nasz kanał, to rzeczywiście świetny pomysł – odezwał się Gerard.

– No tak, chyba się rozpędziłem – przyznał Konrad. – Nie jest to nam potrzebne i cofam wniosek. Proszę odnotować.

– Sprawę kanału narkotykowego CIA w tym kraju wykorzystamy na swój sposób w odpowiednim czasie. A taki z pewnością nadejdzie – dodał Dominik, sprawiając wrażenie, że ma tę sprawę dokładnie przemyślaną.

– Taki czas zawsze nadchodzi – dorzucił Gerard jako echo.

– Pora wracać do Europy i brać się za kolejnych aktorów tego dramatu – rzekł Dominik. – Podróżujemy samolotem czy statkiem?

– Podróż samolotem to dwa dni, a statkiem dwa tygodnie – ocenił

Konrad. – Macie dobre dokumenty i legendy, więc z punktu widzenia bezpieczeństwa wszystko jedno, czy polecicie, czy popłyniecie.

– Ja piszę się na statek, jeśli kilka dziewczyn Kurta też się zaokrętuje... – odezwał się Gerard. – Inaczej można zdechnąć z nudów.

– Obawiam się, że Kurt nie organizuje takich wycieczek – odrzekł Konrad.

– No to lecimy samolotem, szkoda czasu – zdecydował Dominik. – Dziękuję ci, Konradzie, za wszystko, co dla nas zrobiłeś.

– To ja wam powinienem podziękować – odpowiedział Konrad. – Sprawa Denisa Fargo będzie miała olbrzymie znaczenie przy rozprawie z rządami Goularta. Wierście mi, ja znam ten kraj. To będzie świetny katalizator przemian... A bez was by go nie było. Życzę wam powodzenia w dalszych łowach. Gdybym był do czegokolwiek potrzebny, to wiecie, gdzie mnie szukać i co potrafię.

1 września

W jednej z sal konferencyjnych centrali CIA w Langley zajęło miejsca kilku mężczyzn. Powód spotkania musiał być istotny, gdyż rzadko zbierano się w większym gronie w soboty. Naradzie przewodniczył zastępca szefa CIA, generał Marshall S. Carter. Z jego prawej strony siedział Martin Van Vert, z lewej – szef stacji CIA w Rio de Janeiro.

Van Vert, któremu zwołane w ostatniej chwili spotkanie psuło świetnie zapowiadający się weekend żeglarski, z trudem ukrywał irytację.

– Pan wybaczy, generale, ale czy czekamy jeszcze na kogoś? – zapytał w końcu.

– Owszem, Martinie. Zaraz tu będzie przedstawiciel pionu kontrwywiadu CIA. Nasz szef, dyrektor McCone, zażyczył sobie dziś rano, aby ten pion został włączony do sprawy. Jakież obiekcje?

Generał Marshall S. Carter do wszystkiego, co w życiu osiągnął, doszedł sam – odwagą na polu bitwy lub wrodzoną inteligencją. Był absolutnym przeciwieństwem Martina Van Verta, któremu życie wszystko serwowało na złotych lub srebrnych półmiskach. Ale nie był w związku z tym uprzedzony do swojego podwładnego. Cenił w ludziach inteligencję i oddanie sprawie, której służyli – Martinowi Van Vertowi nie można było odmówić ani jednego, ani drugiego.

Do sali wsunęła się sekretarka, podeszła do generała, nachyliła się i coś mu powiedziała ściszym głosem.

– Niech wejdzie – polecił Carter.

Sekretarka kiwnęła głową i wyszła, a za chwilę w sali pojawił się nowy uczestnik narady.

– Panie generale, Harry Adams, pion kontrwywiadu CIA, melduje się zgodnie z poleceniem – wyrecytował jednym tchem.

Generał, mile zaskoczony, spojrzął na wyprężonego przed nim oficera CIA.

– Spocznijcie, Adams. Były żołnierz? – upewnił się.

– Tak jest, panie generale. Lądowanie w Normandii, kampania francuska, siły okupacyjne Stanów Zjednoczonych, Niemcy – odpowiedział Harry przepisowo jak w wojsku.

– Dobrze zatem mieć was na pokładzie, żołnierzu – ocenił z uznaniem Carter. – Wasze doświadczenie bojowe i życiowe może nam się przydać. Zajmijcie miejsce i nalejcie sobie kawy.

Martin Van Vert siedział jak na szpilkach. Te militarne ceremonie to jakiś horror – myślał, obserwując z niesmakiem obu żołnierzy. Zaraz dadzą sobie buzi i będziemy tu tkwić do rana, a pogoda wymarzona na żagle.

Przez większość sierpnia był na urlopie, więc oderwał się od bieżących spraw Agencji. Nikt też nie zdążył mu powiedzieć, w jakim celu się spotykają, ale obecność szefa stacji CIA w Rio de Janeiro dawała do myślenia.

– Okej, panowie, zaczynamy – rzekł w końcu generał, gdy Harry Adams nalał sobie kawy i zasiadł przy stole konferencyjnym. – Poprosiłem was o to spotkanie, żeby przedyskutować zniknięcie, a najprawdopodobniej śmierć, naszego oficera w Rio, Denisa Fargo. Do tej pory informacja ta była trzymana, z różnych powodów, w ścisłej tajemnicy. Ale przyszedł czas na działanie.

Martin Van Vert poczuł się, jakby ktoś zdzielił go obuchem w głowę. Choć od miesiąca nie interesował się zbytnio tym, co dzieje się w Agencji, to jednak sądził, że wszystko ma pod kontrolą. Spojrzał na szefa stacji CIA w Rio de Janeiro, ale ten tylko patrzył mu prosto w oczy, milcząc. Kanał narkotykowy CIA, który nadzorował młody Fargo, był prowadzony z centrali. Oznaczało to, że szef stacji wiedział z grubsza, iż istnieje, ale nie miał kompetencji, aby o czymkolwiek przesądzać czy żądać informacji. O wszystkim decydowali centrala i Fargo. Zdejmowało to z niego część odpowiedzialności.

– Fakty są następujące – zaczął analizować Carter. – Nasz człowiek Denis Fargo miesiąc temu rozplynał się w Brazylii i do tej pory nie możemy go znaleźć. Przepadł. Tuż po jego zniknięciu natrafiono na trupa pewnego Kubańczyka, który mocno udzielał się w brazylijskich lewicowych związkach zawodowych i zginął

najprawdopodobniej w przypadkowej bijatyce, zabity przez prawicowych bojówkarzy. Zdaniem brazylijskiego kontrwywiadu wojskowego był to albo kadrowy pracownik, albo współpracownik kubańskiego wywiadu. Denis Fargo z kolei koordynował amerykańskie wsparcie i pomoc, w tym finansową, dla związków prawicowych przychylnych nam, a zwalczających lewicowe rządy Goularta. Z tego, co wiem, robił to dobrze i skutecznie.

– Absolutnie potwierdzam – poczuł się w obowiązku zabrać głos szef placówki w Rio. – Świetnie sobie radził!

– Wiem, Martinie, że Fargo robił też coś dla ciebie – dodał Carter – ale o tym porozmawiamy później.

– Co ma wspólnego trup domniemanego szpiega z Kuby ze zniknięciem Denisa? – zapytał ostrożnie Martin Van Vert. – Czy coś przeoczyłem?

– Otóż przy zwłokach Kubańczyka, w tylnej kieszeni spodni, znaleziono notes Denisa Fargo – odpowiedział generał i z leżącej przed nim dużej brązowej koperty wyjął czarny notatnik zaginionego oficera CIA. – Możemy zatem postawić uprawnioną tezę, że wywiad kubański mógł mieć związek ze zniknięciem naszego człowieka.

Ostatnia wypowiedź generała całkowicie zaskoczyła Martina Van Verta. Wywiad kubański był sprawny i skuteczny – o czym świadczyło fiasko inwazji w Zatoce Świń – ale nie zabijał oficerów CIA. Przynajmniej do tej pory.

– Czy mogę obejrzeć notes? – spytał Martin.

– Ależ oczywiście – odparł generał.

Martin Van Vert wziął notes i zaczął kartkować. Bez wątplenia była to własność Denisa Fargo. Zauważył nazwisko swoje, Sanmartina, Lodgera i Wuję Tomasa. Pełno też było informacji i zapisków dotyczących kanału narkotykowego.

Nie był zbyt ostrożny – pomyślał Martin. Nawet jeśli działał na zaprzyjaźnionym terenie. Szkoda chłopaka, ale to rozwiązuje pewien problem. Zabrał naszą tajemnicę do grobu.

– Tak, to jego notes – autorytatywnie poinformował generała.

– Zamierzam postawić następującą tezę i przedstawić ją szefowi Agencji jako nasze ustalenia. Otóż wszystko wskazuje na to, że za

zniknięciem i przypuszczalną śmiercią Denisa Fargo stoi wywiad kubański – mówił generał Carter. – W ostatnim czasie Agencja podejmowała pewne działania wobec samego Fidela Castro, które mogły zostać zdekonspirować, i to może być odpowiedź Kubańczyków. Czy ktoś chciałby zabrać głos lub polemizować z moją opinią?

Martin doskonale wiedział o operacjach Agencji zmierzających do zabicia Castro: zlecono je mafii i emigrantom kubańskim, a skończyły się podobnie jak wydarzenia w Zatoce Świń. Nie zamierzał, broń Boże, polemizować z tezą postawioną przez zastępcę szefa Agencji, gdyż była logiczna i bardzo dla niego wygodna. Nie dziwił się też, że Fidel Castro mógł się zdenerwować i zarządzić taką ripostę, choć wzmacniało to pozycję pravicowych kół wojskowych w Brazylii występujących przeciwko prezydentowi Goulartowi i zapewniało im jeszcze większe poparcie ze strony Ameryki. Ale cóż – pomyślał. Ci Latynosi bywają tacy emocjonalni. Nawet komuniści.

Szef stacji CIA w Rio de Janeiro poprosił o głos.

– Proszę mówić. Ciekaw jestem pana opinii jako naszego człowieka na miejscu – zachęcił generał Carter.

– Teza pana generała jest uprawniona i co do zasady nie zamierzam z nią polemizować – zaczął mówić szef stacji. – Brazylijski kontrwywiad wojskowy identycznie ocenia sytuację, a dossier na temat Kubańczyka, które nam przekazali, jest wiarygodne i nie pozostawia wątpliwości, że był mocno związany z wywiadem kubańskim. Jednakże naszym obowiązkiem jest szukać dziury w całym, grać rolę adwokata diabła i przynajmniej uświadamiać sobie możliwość istnienia innych scenariuszy. Teza o zamordowaniu naszego oficera przez wywiad kubański jest bardzo na rękę wszystkim kołom pravicowym w Brazylii, cywilnym i wojskowym. Zmusza Stany Zjednoczone do zwielokrotnienia wysiłków skierowanych przeciwko wspólnemu wrogowi, lewicowemu rządowi Goularta. Gwarantuje, że nie spoczniemy, dopóki nie pozbawimy go władzy. Po części w odwecie za śmierć Fargo. Nie możemy zatem wykluczyć, że zniknięcie i przypuszczalna śmierć Fargo oraz trup Kubańczyka z jego notesem w kieszeni to inscenizacja, która ma na celu postawić nas w określonej sytuacji. Nie znam dokładnie

życiorysu Fargo, więc nie mogę się wypowiadać, czy nie dogoniły go jakieś upiory z przeszłości, ale chyba był na to za młody.

– Jak pan widzi, nie odrzucam pana dywagacji z oburzeniem, bo wiele dziwnych rzeczy już w życiu widziałem – odparł spokojnie generał. – Jakie siły w Brazylii mogłyby dokonać takiej inscenizacji, jak pan to ładnie określił?

– Sami wojskowi oczywiście, handlarze narkotyków i organizacje byłych nazistów – odpowiedział szef stacji. – Tych ostatnich raczej wykluczam, bo nie widzę motywu. Ale pierwsi i drudzy... owszem. Nie wiem wprawdzie, czy mieli motyw, ale możliwości na pewno.

– Co pan na to, Martinie? – zapytał generał.

– Fargo miał pewne zadania związane z obrotem narkotykami. – Van Vert nie krył irytacji z powodu poruszenia tematu przez szefa stacji. – Ale absolutnie wykluczam zaistnienie sytuacji, w której jego działania narażałyby go na tak drastyczne retorsje ze strony środowiska handlarzy narkotyków. Śmiem powiedzieć, że wręcz odwrotnie. Raczej by go chronili.

– Ja z kolei wykluczam, aby takiej inscenizacji mogli dokonać brazylijscy wojskowi – rzekł generał Carter. – Nasz attaché wojskowy Vernon Walters ma wyjątkowe relacje z ich przywódcą, generałem Branco, bez którego zgody nikt nie zrobiłby nic, aby nami manipulować. A Branco jest głęboko przekonany, że Ameryki w walce z komunizmem nie trzeba do niczego zachęcać. Odwrotnie, trzeba niekiedy powstrzymywać. Czy chce pan coś dodać, Adams?

Harry Adams dziękował w duchu opatrności, że umożliwiła mu udział w tym spotkaniu – znalazł się we właściwym czasie we właściwym miejscu. Dosłownie dzień wcześniej otrzymał list od starej znajomej z Niemiec. Kobieta istniała naprawdę i w razie potrzeby zaświadczyłaby, że zna Harry'ego, a on ją. Należała do organizacji Dominika. Od czasu do czasu pisała do amerykańskiego przyjaciela list o całkiem niewinnej treści, a Dominik na tej samej kartce dopisywał instrukcję niewidzialnym atramentem, po czym osobiście adresował kopertę i wysyłał. Tylko Harry miał odczynniki, które mogły pismo wywołać. Dostał polecenie, żeby zwracać uwagę na wszelkie informacje z Brazylii dotyczące zniknięcia oficera CIA.

Harry chłonał więc wypowiedzi uczestników zebrania, przeliczając już dolary, którymi Dominik go wynagrodzi, na diamenty.

– Tak, panie generale – rzekł Adams. – Z informacji naszego pionu wynika, że Kubańczycy są przekonani, iż cała ta sprawa to nasza operacja, aby zrobić ich w ewentualne morderstwo. Uważają, że to my zabiliśmy ich człowieka i podrzuciliśmy mu notes Fargo, a jego samego wycofaliśmy gdzieś i ukryliśmy. Odcinają się od sprawy, bo rozumieją jej potencjalne konsekwencje dla ich pozycji w Brazylii.

– Jak pan to ocenia? – zapytał generał.

– Uważamy, że za sprawą stoi supertajna komórka wywiadu kubańskiego, która zamordowała Denisa Fargo na polecenie samego Fidela Castro, a teraz prowadzi działania inspiracyjne i dezinformacyjne zarówno wobec pozostałej części wywiadu kubańskiego, jak i wobec nas – tłumaczył Harry zgodnie z instrukcją Dominika. – Chodzi o to, że jeżeli ludzie wywiadu kubańskiego mają skutecznie odcinać się od sprawy w całej Ameryce Południowej i zrzucać winę na nas, to powinni w to wierzyć, aby przekonująco wypaść.

Martin Van Vert, który nagle poczuł przyływ sympatii do tego niepozornego przedstawiciela pionu kontrwywiadu CIA, z uznaniem pokiwał głową.

– Gratuluję pionowi kontrwywiadu takich informacji i logicznie świetnej analizy – powiedział najszczerzej, jak potrafił. – Na ich miejscu robiłbym dokładnie to samo. Porwali i zabili Fargo, zabrali mu notes, a następnie mieli pecha, że prawicowa bojówka natknęła się na ich człowieka i postanowiła go zadźgać. Gdyby nie to, wszystko poszłoby jak z płatka.

Szef placówki CIA w Rio, który uważał, że w sprawie jest za dużo szczęśliwych zbiegów okoliczności wskazujących na wywiad kubański jako sprawcę, postanowił nie zabierać już głosu. Był zbyt doświadczonym i inteligentnym oficerem wywiadu, aby nie wiedzieć, że decyzje już zapadły na najwyższych szczeblach Agencji, a być może nawet poza nią. Teza o zaangażowaniu Kubańczyków w zniknięcie Fargo była zbyt wygodna dla Agencji i

sojuszników w Brazylii, aby jej nie wykorzystał przeciwko rządowi Goularta. Była też wygodna dla niego, bo przecież ułatwiała mu mobilizację różnych sił w kompleksowej operacji CIA w Brazylii. Nie zamierzał więc walczyć z wiatrakami.

– Rzeczywiście pion kontrwywiadu się spisał. Gratuluję, panie Adams. Okej. Wszyscy się wypowiedzieli – zaczął podsumowanie generał Carter. – Przedstawię zatem gorze opinię, co do której jesteśmy zgodni. Kubańczycy, miejcie się na baczności! Dziękuję panom i życzę miłego weekendu. Niech pan zostanie na minutkę, Martinie.

Gdy reszta uczestników zebrania opuściła salę, zwrócił się do podwładnego.

– Trzeba założyć, że kanał narkotykowy, który nadzorowałeś, a Fargo prowadził w terenie, jest skompromitowany. Kubańczycy, zanim zabili Fargo i gdzieś ukryli ciało, przesłuchali go. Co mógł im powiedzieć?

– O kanale wiedział wszystko – odparł Martin. – Kto kręci operacją w Brazylii i w paru innych krajach, trasy przerzutowe i środki transportu do Nowego Jorku, Miami i Nowego Orleanu, kto jakie łapówki bierze po drodze, współpraca z mafią włoską, jaki jest obrót i ile na tym zarabiamy. Czyli miliony dolarów miesięcznie. Mógł nie powiedzieć...

– Nie żartuj, Martinie – zachnął się generał. – Jesteś przecież weteranem OSS. Wiesz, co to tortury. Jest kwestią czasu, zanim człowiek zacznie mówić, a zakładam, że zdążyli go skutecznie rozpracować i orientowali się z grubszą, co wie i jaka jest prawda. Nie miał wielkich możliwości kiwania przesłuchujących.

– Co robimy? – zapytał Martin.

– Musimy zawiesić kanał narkotykowy na Amerykę Południową przynajmniej na jakiś czas, bo być może Kubańczycy zechcą nam dołożyć, wykorzystując zdobytą wiedzę – myślał na głos generał. – Jednak fundusze, które płyną z takich przedsięwzięć, są Agencji niezwykle potrzebne...

– Nie sądziłem, że pan generał popiera moją działalność w tym zakresie – wtrącił zaskoczony Martin, który nigdy nie miał

najlepszych relacji z zastępcą szefa CIA.

– Mylisz się, Martinie. Jestem żołnierzem i zawsze lubiłem proste, jasne sytuacje zgodne z regulaminem – odparł Carter. – Tu, w CIA, przekonałem się jednak, że nie da się skutecznie zwalczać komunizmu, stosując zwykłe żołnierskie metody. Jeżeli czarna kasa, którą twoje operacje generują, pomaga w tej walce – to ja opowiadam się za. Bo najpierw jestem antykomunistą, a dopiero w drugiej kolejności dbam o niuanse prawne. Musimy, jak powiedziałem, czasowo zrezygnować z kanału narkotykowego na Amerykę Południową. Co proponujesz w zamian? Bo komunizm nie będzie czekał.

Martin Van Vert przyjrzał się uważnie rozmówcy i stwierdził w duchu, że nie doceniał generała Marshalla S. Cartera. Przyszło mu nagle na myśl, że powinien mu to po prostu powiedzieć.

– Nie doceniałem cię, Marshallu, jeżeli mogę tak do ciebie mówić... – zaczął.

– Feel free – odrzekł generał.

– Masz rację, myliłem się – kontynuował Van Vert. – Uważałem cię za prostego żołnierza, szczerze się przyznaję, a z przyjemnością odkrywam, że jesteś generałem myślącym strategicznie. Wyraźnie i globalnie widzisz zagrożenie i chcesz z nim walczyć, nie przebierając w środkach. Chylę czoło. Ale do rzeczy. Czasową utratę kanału na Amerykę Południową zrekompensujemy kanałami na Azję i Bliski Wschód. Mamy przyczółek w Wietnamie. Stamtąd możemy pracować na cały region. To istne zagłębienie narkotykowe. Bliski Wschód musimy rozpoznać. Zajmie się tym natychmiast mój człowiek, Rick Sanmartino. Dobrze zna się na tych kanałach narkotykowych. Dobrze byłoby też zlecić panu Adamsowi zrobienie paru ustaleń w sprawie organizacji, która przysłała tu tę parę zabitych nieopatrznie przez młodego Fargo...

– To bierz się do działania. We mnie masz sojusznika – odrzekł generał i ucisnął Martinowi rękę. – W przyszłym tygodniu zaproszę Adamsa i w twojej obecności zlecę mu zrobienie tych ustaleń.

Kiedy obaj już wyszli, do sali wrócił Harry Adams. Podszedł do stołu konferencyjnego, jakby czegoś szukając. Nachylił się i podniósł

z podłogi zapalniczkę, która nie przypadkiem wypadła mu z kieszeni podczas zebrania. Prostując się, odczepił od spodu stołu niewielkie urządzenie podsłuchowe, przez które przysłuchiwał się rozmowie Martina Van Verta i generała Cartera, po czym niespiesznie opuścił pomieszczenie.

Miał świadomość, że Dominik nie pochwalałby ryzyka, jakie podjął, i gdyby decydował tu i teraz, to nie pozwoliłby mu na takie działania. Ale nie decydował. On, Harry Adams, decydował. Czuł, jak adrenalina powoli rozchodzi się po jego ciele. Ogarnęło go olbrzymie poczucie satysfakcji i spełnienia. Nie po raz pierwszy. Wiedział, że ryzyko jest jak narkotyk – nie chodziło już nawet o pieniądze, ale o potrzebę sprawdzenia się i robienia rzeczy, których inni nie są w stanie zrobić. Trzeba z tym walczyć, Harry – pomyślał – bo może cię to zgubić.

Wyszedł z budynku, wszedł do samochodu i ruszył w kierunku miasta do swojego ulubionego baru.

2 września

Martin Van Vert, Rick Sanmartino i Henry Lodger jedli kolację w oddzielnej salce prawie pustej restauracji Coquille St. Jacques. Jak zwykle główne danie stanowiły kraby z Maine splukiwane dużą ilością francuskiego białego wina. Przy drinkach przed kolacją Martin zdał swoim współpracownikom relację z sobotniego spotkania w centrali CIA i jego zaskakującej puenty, jaką była rozmowa w cztery oczy z generałem Carterem.

– Jednym słowem, mamy placet na handel narkotykami – podsumował żartobliwie Rick Sanmartino, pochłaniając porcję kraba i popijając schłodzonym winem.

Ale Martin nie był w nastroju do żartów. Zastępca szefa CIA zrobił na nim duże wrażenie. Wydawał się bardziej zdeterminowany w swoim antykomunizmie niż on sam. Dobrze, że tacy ludzie istnieją – pomyślał Van Vert. Frywolny nastrój przyjaciela irytował go. Postanowił okazać pryncypialność.

– Mamy placet na powstrzymywanie wrogów Stanów Zjednoczonych wszelkimi skutecznymi metodami, panie Sanmartino – odparł ze śmiertelną powagą. – A to zasadnicza różnica.

Rick Sanmartino spojrział na Martina. Wiedział, że czasami lubi on wpaść w bogoojczyźniany nastrój, który najlepiej przeczekać bez zbędnych polemik. Widocznie to samo myślał trzeci z biesiadników, Henry Lodger, bo nie nawiązując do ostatniej wypowiedzi, przeszedł do tematu, który nie dawał mu spokoju, a który chciał wyjaśnić.

– Czy zniknięcie Denisa Fargo może mieć jakikolwiek związek z tym, co się stało cztery lata temu w Nowym Jorku? – zapytał, patrząc na Van Verta. – Z ludźmi, których wtedy rozjechał śmieciarką? Kiedy byłeś na urlopie, zajmowałem się tym zniknięciem, bo Agencja nie wykluczała, że Denis mógł z jakiegoś powodu wrócić do kraju i gdzieś się zaszyć. Byłem w kontakcie z jego rodziną.

Van Vert i Sanmartino przestali jeść. Zapadło milczenie. Aczkolwiek jednemu i drugiemu taka myśl zaświtała w głowie, to równie szybko z niej uleciała. Aż do tej chwili, gdy Lodger postawił

sprawę otwarcie.

– W zniknięcie Fargo zaangażowani są Kubańczycy. To bezsporne – odparł po chwili Martin. – Skąd w ogóle taki pomysł, że tamta sprawa może się wiązać z wydarzeniami w Brazylii?

– Rozmawiałem z ojcem Denisa. Jest zdruzgotany zniknięciem i prawdopodobną śmiercią syna, ale to stary wyga FBI i wciąż ma bardzo trzeźwy umysł – relacjonował Lodger. – Przyjmuje do wiadomości wersję kubańską jako najbardziej prawdopodobną, ale też nie wyklucza każdej innej. Na przykład zemsty.

– Czyjej? – prawie jednocześnie zapytali Van Vert i Sanmartino.

– Nie bądźcie, kurwa, dziećmi – spokojnie ripostował Lodger. – Ludzie, których zabił wtedy nasz młody przyjaciel, nie byli jakimiś anonimowymi nurkami śmietnikowymi. Ratz był obywatelem brytyjskim, wielokrotnie odznaczonym za odwagę komandosem i człowiekiem MI6, naszych starszych kuzynów oraz, last but not least, pupilem niejakiego lorda Greya, doradcy miłościwie panującej Elżbiety II i przyjaciela Winstona Churchilla. Trudno chyba o wyżej postawionych znajomych.

– Prawda. Jest to olbrzymie zaplecze z wielkimi możliwościami – odparł równie spokojnie Van Vert. – Dlatego nasze kochane FBI oficjalnie poinformowało tych ludzi, że śmierć Racza i tej kobiety to był nieszczęśliwy wypadek. Z tego, co wiem, MI6 przyjęło to do wiadomości i sprawa jest zamknięta.

– Zgoda. Zamknięta dla establishmentu naszych państw – kontynuował Henry Lodger. – Ale dobrze wiemy, że ta sprawa ma swoją drugą, nieoficjalną stronę. Ratz i kobieta siedzieli w narkotykach i dlatego mieli się spotkać z Wujem Tomaszem, który ich nam wystawił i żałuje tego do dziś.

– Prawie się do mnie nie odzywa... – wtrącił ze smutkiem Rick Sanmartino.

– Nie dziwię mu się za bardzo – mówił dalej Lodger. – Zmierzam do tego, że ci ludzie montowali kanał narkotykowy na Amerykę Południową. Nie robili tego sami. Ktoś ich tu przysłał. Jakaś organizacja przestępcza, i to mocna, skoro sięgnęła z Europy za ocean. Zabiliśmy więc pewnie ludzi mafii narkotykowej. Wiemy,

jakimi prawami rządzą się takie bractwa: oko za oko, ząb za ząb. Oni mają w dupie, czy to był wypadek, czy umyślne zabójstwo. Ktoś zabił ich ludzi, więc oni muszą zabić ludzi drugiej strony. Proste jak pierdolenie, że się tak wyrażę. Dlatego stawiam pytanie o ewentualny związek między zniknięciem Fargo, który nadzorował nasz kanał narkotykowy właśnie w Ameryce Południowej, a tą sprawą sprzed lat. Nie twierdzę, że związek istnieje, i nic nie sugeruję. Ale może warto pochylić się nad organizacją, która wydelegowała tu Ratza z tą kobietą, zerknąć, co to za ludzie, co mogą knuć, jak są mocni i czy należy podjąć przeciwdziałania.

– Wiedzy nigdy za wiele, zwłaszcza o potencjalnym przeciwniku... – zaczął mówić Sanmartino.

– Zgadzam się co do zasady – wszedł mu w słowo Van Vert. – Ale wierzcie mi, wątek kubański w sprawie zniknięcia Fargo jest wielkości słonia i ma moc aksjomatu. Jest niepodważalny. To także opinia brazylijskiego kontrwywiadu wojskowego, a to profesjonaliści. Organizacja przestępcza, o której mówisz, Henry, musiałaby to wymyślić, zainscenizować i wszystkich nas nabrać, nie popełniając ani jednego błędu. Wybacz, nie wierzę w to.

– Nie wymagam, Martinie, żebyś w to wierzył. Ja także uważam, że prawdopodobieństwo takiego scenariusza jest prawie zerowe – odrzekł Lodger. – Ale bądźmy zawodowcami. Co nas kosztuje przeprowadzenie małego śledztwa? Mamy przecież do dyspozycji najlepszy aparat wywiadowczy na świecie, a gdy zajdzie potrzeba, stary Fargo pomoże nam w to włączyć swoich kumpli z FBI...

– Spokojnie, Henry, nie rozpędzaj się – zaoponował Van Vert. – Nie strzelmy sobie w stopę, odgrzewając sprawę spod hotelu Algonquin, która zdążyła tak ładnie przyschnąć! Nie jestem przeciwny rozpracowaniu organizacji, która przysłała tu Ratza, choćby dlatego, że to nasza konkurencja, ale nie róbmy z tego między agencyjnego projektu.

– No problem. Co proponujesz? – zapytał pojednawczo Lodger. Wiedział z doświadczenia, że pomysły zaproponowane przez Van Verta zawsze miały większą szansę wprowadzenia w życie.

– Nie gniewaj się, Henry, po prostu nie chcę, żeby takie śledztwo

wyrwało się nam spod kontroli – wyjaśnił Martin.

– Żaden z nas nie chce – wtrącił się Sanmartino. – Może spróbuję namówić Wuję Tomasa, aby powęszył?

– Zróbmy tak – zaczął Van Vert, który zdążył już ułożyć sobie w głowie plan działania. – Poprowadzimy rozpracowanie wielotorowo, ale pod naszą ścisłą kontrolą. W CIA niech się tym zajmie pion kontrwywiadu. Mam nawet na myśli idealnego kandydata do kierowania taką operacją. We wczorajszym spotkaniu brał udział, z polecenia dyrektora Agencji, niejaki Harry Adams z pionu kontrwywiadu. Jest oficjalnie wprowadzony w temat zniknięcia naszego oficera, więc nie trzeba mu nic tłumaczyć. Poza tym to były żołnierz, który po wojnie stacjonował w Europie, więc zna tamtejsze realia. Jeżeli generał Carter wyda mu stosowny rozkaz, to Adams będzie zasuwiał niczym policyjny wyżeł, merdając ogonkiem ze szczęścia. A pan generał bardzo miło mnie wczoraj zaskoczył, deklarując się w osobistej rozmowie jako nasz sojusznik i dając nam placet na handel narkotykami, jak to zręcznie ujął Rick. Gdy go więc poproszę, aby dla dobra Firmy uruchomił Adamsa – zrobi to. Sądzę nawet, że odda go pod mój nadzór, bo przecież sprawy czarnej kasy są najtajniejsze z tajnych.

– Już mi się podoba... – zachęcał przyjaciela Lodger, któremu chodziło o takie właśnie zaangażowanie Martina w rozpracowanie organizacji Ratza, która potencjalnie mogła, choć nie musiała, zagrozić im wszystkim. Dziesiątki lat urzędniczej służby dla dobra Stanów Zjednoczonych nauczyło Lodgerów, że niekiedy różne niezalatwione sprawy wracają niespodziewanie z podwójną siłą.

– Propozycja uruchomienia Wuję Tomasa jest słuszna – rozwijał swój plan Martin Van Vert. – Takie równoległe działanie naszych kontaktów w świecie przestępczym może przynieść nieoczekiwane korzyści.

– Tak jak przyniosło nam na Sycylii w czasie wojny – wtrącił Sanmartino.

– Właśnie. Mafia włoska w Ameryce i mafia sycylijska zdały wtedy egzamin z patriotyzmu – mówił dalej Martin. – Nie widzę powodu, aby dzisiaj miało być inaczej.

– Zajmę się tym – stwierdził Sanmartino.

– Mam jeszcze jeden pomysł – oznajmił Lodger, włączając się do dyskusji. – Wuj Tomaso wspomniał, że pierwszy kontakt z nim nawiązali jacyś Niemcy. Może uruchomimy naszych ludzi wokół starych szpiegów z Trzeciej Rzeszy, Schellenberga i Gehlena. Niech się zorientują, czy jacyś ich koledzy nie zapuścili się na nasze tereny i nie weszli w handel narkotykami w Ameryce Południowej i Nowym Jorku. Poproszę również o wybadanie, czy nie zauważyli czegoś podejrzanego w Brazylii, gdy zniknął Fargo.

– To dobry pomysł – ocenił Martin. – Lepiej zawsze wiedzieć więcej niż mniej. Choć to mało prawdopodobne, aby jacyś Polacy, zwłaszcza związani z brytyjskim wywiadem, mogli lub chcieli kooperować z Niemcami, zwłaszcza z byłymi nazistami czy wręcz esesmanami, jak w przypadku Schellenberga.

– Służąc w OSS w czasie wojny, też nie zakładaliśmy, że po jej zakończeniu ci ludzie staną się naszymi sojusznikami przeciwko ówczesnym sojusznikom – odparł Lodger. – Historia wywiadów pełna jest bardzo dziwnych przypadków...

– Nie da się zaprzeczyć – odpowiedział w zamyśleniu Martin Van Vert. – Pewnie dlatego tak ten wywiad uwielbiamy.

Około dziesiątej skończyli kolację. Na Martina czekał już rolls-royce z kierowcą, który miał go zawieźć do rodzinnej siedziby na Long Island.

*

Ledwie Martin wszedł do biblioteki i przywitał się z ojcem i bratem, natychmiast wyczuł, że nestor rodu jest w nie najlepszym nastroju.

– Doszły mnie słuchy, synu, że nasz młody, piękny prezydent i jego genialny brat, minister sprawiedliwości, polecili CIA wynająć włoską mafię do zabicia Fidela Castro – ni to zapytał, ni to oznajmił Victor Van Vert, pociągając z kieliszka porto.

O Boże – pomyślał Martin – zaczyna się.

Odkąd John Kennedy w wyborach prezydenckich 1960 roku pokonał Richarda Nixona, stał się osobistym wrogiem Victora i obiektem jego najbardziej jadowitych ataków. Oliwy do ognia

dolewał fakt, że Nixon przegrał dosłownie o włos. Zabrakło mu około stu trzydziestu tysięcy głosów i w kołach republikańskich powszechnie uważano, że były to lewe głosy, wygenerowane w Chicago przez tamtejszą machinę partyjną demokratów burmistrza Daleya. Victor Van Vert był głęboko przekonany, że klan Kennedych, który w czasie prohibicji dorobił się na nielegalnym handlu alkoholem, ukradł mu wybory i tym samym pozbawił władzy jego kandydata na prezydenta, Richarda Nixona. Było to niewybaczalne! Co więcej, istniały uzasadnione podejrzenia, że ówczesne kierownictwo CIA z Dullesem na czele wspierało kampanię Kennedy'ego różnymi tajnymi informacjami.

– Chodzą takie słuchy... – zaczął Martin.

– Ja muszę znać prawdę, synu. – Głos Victora Van Verta stał się łagodny i Martin zrozumiał, że ojciec nie popuści. – Nie można akceptować takich praktyk, bo to się źle skończy.

– Prawda jest taka, jak mówisz – odpowiedział zrezygowany Martin, który nie chciał być wciągnięty w rozgrywki ojca i jego kolegów z prawicy przeciwko urzędującemu prezydentowi Stanów Zjednoczonych. – Ale w czasie wojny ja też korzystałem z pomocy mafii sycylijskiej. Pamiętasz?

– To nie jest dobre porównanie, synu – odpowiedział po namyśle Victor. – Każda wojna ma swoje prawa i można sobie wtedy pozwolić na znacznie więcej niż w czasie pokoju, bo i naród więcej wybaczy. Poza tym czym dla maszyny wojennej Ameryki i aliantów była mafia sycylijska? Niczym. Gdybyś wtedy chciał, tobyś ją zdmuchnął jednym kichnięciem w jedno popołudnie. A mafia włoska w Stanach Zjednoczonych to co innego. Stary Kennedy i jego nieopierzony syn myślą, że to oni wydają rozkazy i ją kontrolują, a może być zupełnie inaczej. Radzę ci więc trzymać się z daleka od tych ich konszachtów z mafią. To nie przystoi majestatowi tego kraju.

– Ojczy, wojna z komunizmem, którą toczyliśmy, jest równie ważna jak wojna z nazizmem – próbował oponować Martin.

– Oczywiście. Właśnie dlatego prezydent Stanów Zjednoczonych nie powinien się bezmyślnie wystawiać na potencjalny szantaż ze

strony zorganizowanych przestępców – ripostował Victor Van Vert. – Wojnę z komunizmem należy toczyć tam, gdzie jest najbardziej skuteczna: na polu bitwy.

– Czyli gdzie, tato? Masz na myśli jakieś konkretne miejsce? – zapytał Martin.

– Mówiłem ci to już nieraz. Indochiny, a konkretnie Wietnam – odparł senior rodu.

Martin odstawił kieliszek i spojrzał z zainteresowaniem na ojca. Co za zbieżność! – pomyślał. Utratę kanału narkotykowego na Amerykę Południową miał przecież zrekompensować rynek azjatycki.

– To wydaje się potencjalnie ciekawy teren – rzekł ostrożnie. – Co ci mówią twoje francuskie kontakty?

– Mówią, że nasz główny sojusznik w Sajgonie, prezydent Ngo Dinh Diem, to oferma, która swoją nieudolnością nastawia społeczeństwo przeciwko sobie i nam, czyli w efekcie działa na korzyść komunistów – odpowiedział Victor Van Vert. – Trzeba go usunąć, zanim będzie za późno.

– Za późno na co, ojcze? – zapytał na wszelki wypadek Martin.

– Za późno na to, aby południowym Wietnamczykom pomóc w odparciu komunistycznej infiltracji, a później inwazji z Północy – odparł Victor.

– Tudzież zarobić parę groszy, uzbrajając po zęby ich armię i naszą przy okazji – dodał Vick Van Vert.

– Administracja pana prezydenta Kennedy’ego marnuje cenny czas i środki, próbując podbić Kubę czy zlikwidować jej władcę. Do tego robi to potwornie nieudolnie. W stosownym czasie należało go po prostu kupić i sprawa byłaby załatwiona – tłumaczył Victor Van Vert. – Dzisiaj to my jesteśmy zagrożeniem dla Kuby, a nie Kuba dla nas, więc nie należy histeryzować, tylko pozwolić pokoleniu rewolucjonistów umrzeć, a kolejne przeciągnąć na naszą stronę. Tak to się zwykle działo na Karaibach. Prawdziwy odpór należy dawać komunizmowi azjatyckiemu, gdyż ten jest rzeczywiście groźny. W Wietnamie szykuje się powtórka z wojny koreańskiej. Musimy mieć tego świadomość i być na nią przygotowani.

– A nie jesteśmy? – zapytał nieco prowokacyjnie Martin. – Poza tym nasz wielki wódz z czasów wojny koreańskiej, generał Douglas MacArthur, przestrzegał przed kolejną wojną lądową w Azji.

– Odpowiem ci tak. Na starość generałowi MacArthurowi woda sodowa wylewała się dziurkami od nosa i zapomniał, że to nie on jest prezydentem Stanów Zjednoczonych, ale Truman, a po nim Eisenhower. Nie wszystkie jego wypowiedzi należy traktować poważnie – mówił z sarkazmem. – Poza tym wojna to zbyt poważna sprawa, aby zostawiać ją generałom. A co do meritum, to nie, nie jesteśmy przygotowani do wojny w Wietnamie. Richard Nixon, owszem, docenia to zagrożenie, ale klan Kennedych – nie!

– Nie da się wymienić prezydenta w środku kadencji na innego, ojczu, chyba że za bardzo napsoci albo umrze – przypomniał Martin. – Musisz zatem inaczej zadbać o nasze przygotowanie do tej wojny.

– Już zadbałem, synu – odpowiedział natychmiast Victor Van Vert. – Najmądrzejszy człowiek w tej całej marnej administracji Kennedy’ego to Robert McNamara, sekretarz obrony. W czasie drugiej wojny opracował plan bombardowania Tokio. Od czterdziestego szóstego roku pracował w koncernie Forda i został jego prezesem w sześćdziesiątym. Pierwszy facet spoza rodziny Fordów pełniący tę funkcję! Nawet John Kennedy poznał się na nim i mianował go sekretarzem obrony. McNamara rozumie wszystko, co się tyczy Wietnamu, i nic nie trzeba mu tłumaczyć. Jest po naszej stronie. McCone z CIA też. On też wszystko rozumie. Podobnie, Martin, jak twój wczorajszy rozmówca, generał Carter.

Martina na chwilę zmroziło. A to stary drań! – pomyślał z uznaniem o swoim ojcu nie wiadomo który już raz. Wie wszystko, wszędzie ma ludzi.

– Czarna kasa w wywiadzie, podobnie jak w biznesie, to bardzo ważna sprawa. Stanowi specjalny rodzaj oleju, uruchamiający wrażliwe i niebezpieczne mechanizmy, bez których niekiedy nie sposób się obejść – mówił Victor Van Vert. – Ale w Wietnamie idziemy na prawdziwą wojnę. Każde imperium, w tym amerykańskie, musi co pewien czas mierzyć swoją sprawność. Wojną. To jedyna miara być albo nie być pierwszym w realnym świecie. Drugie miejsce jest nieważne. Czarna kasa, Martinie, będzie

w tym konflikcie bardziej potrzebna niż w innych, ale przede wszystkim będziemy walczyć o prawdziwe pieniądze, aby nasz kraj jak najlepiej przeszedł ten kolejny sprawdzian siły.

– A wiceprezydent? – zapytał Martin. – Lyndon Johnson to przecież konserwatywny demokrat z Teksasu. Powinno być mu chyba bliżej do nas niż do Kennedy’ego.

– I w pewnym sensie jest – odezwał się milczący dotąd Vick Van Vert. – Johnson ścigał się z Kennedym o nominację demokratów w ostatnich wyborach i przegrał. Kennedy wprowadził mianował go wiceprezydentem, ale zrobił to tylko dlatego, żeby mieć za sobą konserwatywnych demokratów z Południa, których symbolem jest właśnie Johnson. On doskonale o tym wie. Ma kompleks Kennedy’ego i jego wspaniałej rodziny. Różni ich wszystko: pochodzenie, wykształcenie, maniery, towarzystwo. Liberalne media Wschodniego Wybrzeża zbudowały mit Białego Domu Kennedy’ego porównywalnego z zamkiem Camelot z legendy o królu Arturze i rycerzach Okrągłego Stołu. Johnson z trudem mieści się w tej legendzie. Nawet jako stajenny.

– Czyli de facto się nie mieści – podsumował Martin.

– Właśnie. Dlatego jeżeli Kennedy nie w pełni rozumie zagrożenie komunistyczne w Wietnamie, to Johnson będzie się starał, na zasadzie przeciwieństwa, zrozumieć je dogłębnie. Otoczyliśmy go bardzo dobrymi specjalistami od Indochin i wyniki są niezwykle obiecujące – kontynuował Vick. – Johnson to mistrz rozgrywek w Kongresie i gdy przyjdzie do pozyskiwania głosów niezbędnych do zagwarantowania Pentagonowi odpowiednich środków na tę wojnę, to wiceprezydent wart będzie swojej wagi w złocie. A to duży chłop i bardzo ciężki...

Martin nie pytał nawet, ile zarobi na tym rodzinny biznes zbrojeniowy, bo zależało to od natężenia i długości trwania konfliktu. Ale sądząc po wojnach XX wieku, na których firmy Van Vertów miały okazję jeszcze bardziej się wzbogacić, byłyby to gigantyczne pieniądze.

– Co mi zatem radzisz, ojcze? – zapytał Martin.

– Zapomnij na razie o Ameryce Południowej, bo tam to, co

trzeba, jest pod kontrolą, a jedna Kuba nie wyeksportuje swojej rewolucji i komunizmu na cały kontynent – odrzekł stary Van Vert. – A Chiny Ludowe i Wietnam Północny mogą zrobić to skutecznie w kierunku Wietnamu Południowego. Francuzi długo lekceważyli Viet Minh, aż było za późno. My, Amerykanie, nie możemy powtórzyć tego błędu. Dlatego radzę ci się skupić na Indochinach, bo w najbliższych latach one staną się tematem numer jeden w Ameryce. W Agencji będzie go rozgrywał Richard Helms i jego ludzie oraz generał Carter. Trzymaj się blisko nich. Oni docenią twoje doświadczenie i umiejętności w robieniu czarnej kasy, bo w tej wojnie CIA będzie jej potrzebowała całe tony. Moi francuscy przyjaciele, którzy znają ten region lepiej, niż my kiedykolwiek będziemy go znać, bardzo precyzyjnie mi uświadomili, że nasi południowo wietnamscy sojusznicy nie zrobią nic bez stosownej zachęty finansowej. Za ich czasów brali i za naszych też będą. To jest Azja i rządzi się swoimi prawami. – Podniósł się z fotela. – Późno już, chłopcy. Pogadajcie sobie, a ja pójdę spać. Dobranoc.

Gdy Victor Van Vert uściśnął ręce synów i wyszedł, Martin i Vick ponownie napełnili kieliszki porto.

– Widzę, że ojciec uparł się na ten Wietnam i traktuje sprawę bardzo poważnie – zaczął Martin. – Nie odniosłem jednak wrażenia, żeby był to jakiś priorytet w Agencji.

– Bo cały czas zajmujecie się Ameryką Południową i Kubą: Zatoka Świń, polowanie na Castro. Maczaliście palce w eliminacji Trujilla z Dominikany i zastanawiacie się, jak obalić Jagana, premiera Gujany Brytyjskiej. Nie wydaje ci się, że są to trochę tematy zastępcze?

– Parę dni temu wykryliśmy na Kubie radzieckie rakiety średniego zasięgu zdolne do przenoszenia broni jądrowej – odpowiedział Martin, mocno zaskoczony wiedzą brata o poczynaniach Agencji. – Broń atomowa na Kubie to nie jest temat zastępczy, zgadzasz się chyba?

– Słyszałem o tym odkryciu... – potwierdził Vick Van Vert.

– Niemożliwe! To supertajna informacja! – prawie wykrzyknął Martin.

– Tata naprawdę wie, co się dzieje w tym państwie – odparł z uśmiechem Vick. – Przecież to nasze państwo...

– Przyznasz więc, że nie jest to temat zastępczy – upierał się Martin. – To grozi trzecią wojną światową. Atomową tym razem!

Vick Van Vert wybuchnął śmiechem, wprawiając w osłupienie brata, dla którego radzieckie głowice atomowe na Kubie były sprawą śmiertelnie poważną.

– Wybacz, bracie, ale opowiadasz bzdury niczym z salonu fryzjerskiego w jakiejś pipidówce – rzekł Vick, gdy przestał się śmiać. – Medialnie nie jest to temat zastępczy. Będzie się panoszył na pierwszych stronach gazet całego świata przez najbliższe miesiące. Ale zastanów się, kto tu rozdaje karty: Rosjanie czy my, Kennedy czy Chruszczow? Znasz życiorys tego ostatniego?

– O tyle o ile... – rzekł wymijająco Martin, bo w rzeczywistości nie miał o nim bladego pojęcia.

– Nikita Chruszczow to politruk spod Stalingradu i z innych pól bitewnych ostatniej wojny – tłumaczył Vick. – To mistrz rozgrywek politycznych i przetrwania w radzieckim aparacie władzy. On nie wywoła trzeciej wojny światowej, gdyż doskonale wie, na czym wojna polega i jak skończyłaby się wojna atomowa. Natomiast grać w politycznego pokera z Kennedyem głowicami jądrowymi zamiast pieniędzy czy żetonów to zupełnie inna sprawa. To potrafi doskonale i ma stalowe nerwy. On daje nam wyraźny sygnał: odczepcie się od Kuby i Castro, bo potrafimy ich obronić. To piękny blef, który rozejdzie się po kościach. A odciąga uwagę, siły i środki od naprawdę ważnych miejsc, takich jak właśnie Indochiny i Wietnam.

– Skąd ty to wszystko wiesz? Skąd taka ocena? – zapytał Martin.

– Tata i ja mamy różne interesujące kontakty na całym świecie – odparł Vick. – W każdym kraju są takie rodziny jak nasza, które współdecydują o tym, co się w nim dzieje, a tym samym – co się dzieje w naprawdę istotnych kwestiach. Nie mówię oczywiście, że stworzymy jakiś rząd światowy, ale pewne grupy ludzi znają się i rozmawiają. To takie stowarzyszenie, w którym przyjaciele przyjaciół pomagają sobie w takim stopniu, w jakim pozwalają im na to sprzeczne niekiedy interesy.

– Chyba rzeczywiście za bardzo zakopałem się w Agencji – przyznał Martin. – A co robicie, gdy interesy są bardzo sprzeczne, nie do pogodzenia?

– Próbujemy mediować. Czasami musi odbyć się misterium walki, które przesądza o tym, kto będzie negocjował z pozycji siły, a kto z pozycji słabszego. Ale koniec końców stowarzyszenie ludzi racjonalnych mediuje.

– A jeśli ktoś jest nieracjonalny? Albo nadmiernie chciwy? – dociekał Martin. – Co wtedy należy zrobić?

– Dojść do porozumienia, że trzeba go zabić, i zrobić to w ostateczności – odparł bez emocji Vick Van Vert.

– Jak Hitlera? – rzucił Martin, unosząc brwi.

– Piękny przykład, wręcz podręcznikowy – podchwycił Vick.

– A Chruszczow? Nie jest nadmiernie chciwy i nieracjonalny? – zapytał Martin.

– Ależ Boże uchowaj! To bardzo racjonalny człowiek, i inteligentny. Ma też taki chłopski spryt, który często pomaga mu wychodzić cało z opresji – tłumaczył bratu Vick. – Paru naszych przyjaciół zna go dobrze i wie, jak myśli. Bywa, że konsultuje się z nimi, a oni z nim. To dowodzi jego racjonalności: trzyma rękę na pulsie i doskonale wie, jak daleko może się posunąć. Lubi jechać po bandzie, ale kontrolowanym poślizgiem.

– Myślałem, że to wywiady zajmują się takimi konsultacjami... – zaczął Martin, lecz przerwał, zauważywszy na twarzy brata łagodny uśmiech.

– Jeżeli potrafią, to oczywiście tak – wyjaśniał Vick. – Wtedy taki wywiad jest istotną wartością dodaną dla kierownictwa państwa, o ile potrafi ono to spożytkować. Ale wielcy mężowie stanu polegają na wywiadach, nawet najlepszych, tylko do pewnego stopnia. Chcą na ogół mieć własny dostęp do informacji.

– I wtedy do gry wchodzi przyjaciół... – dokończył myśl brata Martin.

– Doskonale, bracie! Zaczynasz rozumieć teraz, skąd i dlaczego nasz drogi tata i powoli ja na ogół wiemy, co się dzieje – podsumował Vick. – Wrócimy kiedyś do tego tematu, a teraz

pomówmy o Indochinach, bo to ważne dla ojca.

– Sure – odparł Martin. – Siedzisz, jak widzę, mocno w tym temacie, więc powiedz mi, co się tam wydarzy.

– To proste. Będzie powtórka z Korei, wielka wojna z takim samym naszym udziałem, tylko wynik może być mniej pewny. Nie ma innego wyjścia, choć prezydent Kennedy chyba jeszcze o tym nie wie – stwierdził Vick.

– Jest aż tak źle? Rząd Diema, czy jak mu tam, nie poradzi sobie? – zapytał Martin, którego zaangażowanie w Ameryce Południowej odciągnęło od innych obszarów działania amerykańskiego wywiadu.

Vick zaśmiał się sarkastycznie, ale niemal natychmiast spoważniał.

– Źle? Jest jeszcze gorzej – zaczął referować. – Rok temu Kennedy wysłał w podróż inspekcyjną do Wietnamu Południowego swojego ulubionego generała, Maxwella Taylora, doradcę wojskowego Białego Domu. To łebski facet i uczciwie zreferował prezydentowi stan rzeczy. Czyli że reżim Diema jest w przededniu upadku i należy pilnie wysłać tam co najmniej osiem tysięcy żołnierzy, by bezpośrednio wspomóc armię południowowietnamską. Nasz przyjaciel McNamara poszedł jeszcze dalej. Stwierdził wręcz, że taki symboliczny pokaz siły niczego nie załatwi i trzeba natychmiast wprowadzić do akcji takie siły amerykańskie, jakie zagwarantują pokonanie komunistycznej partyzantki.

– I co? – zapytał wyraźnie zaciekawiony Martin.

– Nie. Kennedy nie zaakceptował ani jednej, ani drugiej rekomendacji – odrzekł Vick. – Myśli, co robić, i stosuje półśrodki, które nic nie dadzą. To strata czasu i pieniędzy.

– Skąd taka pewność? Jakie macie rozpoznanie? Kto może trafnie przewidzieć, co się tam wydarzy? – dopytywał się Martin.

– Francuzi. Oni to wszystko przerabiali. Wszystkie informacje o Indochinach i Wietnamie są w Paryżu. A także eksperci, którzy znają ten region na wylot, bo na przykład budowali różne obiekty wojskowe znajdujące się obecnie na terytorium Wietnamu Północnego. Zresztą razem z Wietnamczykami, którzy teraz dowodzą partyzantką komunistyczną, a wiele lat temu zostali

wyszkoleni właśnie przez Francuzów. Francuscy weterani wojen w Indochinach znają więc kadry dowódcze komunistów, wiedzą, jak myślą i na co tych ludzi stać. Stać ich było na pokonanie Francuzów i jeżeli nie weźmiemy się do roboty, to pokonają także nas...

– Coś ty, Vick! Chyba nie porównujesz kolonialnej armii francuskiej z US Army? – zdumiał się Martin. – To nonsens!

– Na początku lat pięćdziesiątych, gdy zaczynali wojować z kiełkującą partyzantką komunistyczną, Francuzi mówili dokładnie to samo o swoich przeciwnikach. Trzon armii francuskiej w Indochinach stanowiła Legia Cudzoziemska: mnóstwo zabijaków jeszcze z frontów drugiej wojny światowej. Byli pewni siebie... i dali dupy! Ale wyciągnęli wnioski i chętnie je przekazują tym, którzy chcą słuchać i trochę zapłacić za tak użyteczną wiedzę. A my chcemy słuchać i jesteśmy gotowi zapłacić, nawet nieco więcej, niż trzeba – spuentował Vick.

– I co robisz z tą wiedzą? – zapytał Martin.

– Przekazujemy ją z ojcem wybranym ludziom w administracji, którzy troszczą się o dobro Ameryki i należne jej miejsce w świecie – odpowiedział mu brat i dołał sobie trochę porto.

Martin spojrzał wnikliwie na Vicka, bo zrozumiał nagle, że w amerykańskim establishmencie został uruchomiony pewien mechanizm, którego celem jest zwycięska wojna w Indochinach.

– Ile potrzebujemy czasu, sił i środków, żeby wygrać tę wojnę? – drążył, gdyż temat coraz bardziej go wciągał.

– Ja nie powiedziałem, że my tę wojnę wygramy. Możemy jedynie spróbować ją wygrać – odpowiedział brat.

– W Korei wygraliśmy, a też nie było łatwo – ripostował Martin.

– Bo to była typowa wojna konwencjonalna regularnych armii. Były fronty, pola bitwy i taktyka, którą znaleźmy z czasów drugiej wojny światowej. Tym razem będziemy mieli do czynienia z wojną partyzancką, a to zupełnie inny typ działań. Jak mi tłumaczyli nasi francuscy przyjaciele, partyzant wietnamski to specyficzny gatunek człowieka: przede wszystkim zmotywowany i gotowy zginąć za swój kraj i sprawę, niewymagający, odporny, odważny, działający na własnym terenie i umiejący wymusić lub pozyskać poparcie

miejscowej ludności. No i dobry żołnierz. Są też ochotnicy z Wietnamu Północnego, regularni, dobrze wyszkoleni wojskowi. Tak jak byli ochotnicy chińscy w wojnie koreańskiej. Armia Południa natomiast jest zdemoralizowana i skorumpowana.

– Poślemy naszych żołnierzy. Dadzą radę żółtkom – odpowiedział z przekonaniem Martin.

– Francuzi byli przekonani równie mocno jak ty, że dadzą radę, a nie dali. Przegrali – przypomniał Vick.

– Czy nie przeceniacie z ojcem doświadczeń Francuzów? Hitler pokonał ich w sześć tygodni, a my pokonaliśmy jego – rzucił lekko poirytowany Martin.

– Ojciec i ja nie przeceniamy wietnamskiego doświadczenia Francuzów. Myje doceniamy. Ja nie twierdzę, że my tę wojnę przegramy, bo Stany Zjednoczone nie mogą przegrać z definicji. My jej możemy nie wygrać, a to wielka różnica – odpowiedział Vick. – Tak czy inaczej do tej wojny musi dojść, gdyż jest to historyczny imperatyw. Dla interesów Van Vertów natomiast to żyła złota...

– Mam nadzieję, że nie dlatego jest to historyczny imperatyw. Jak wielka żyła złota?

– Ta wojna jest przeznaczeniem Ameryki, gdyż ona przewodzi wolnemu światu, a tacy jak my przewodzą Ameryce. To jest nasze przeznaczenie – odparł Vick. – Zresztą wiesz o tym równie dobrze jak ja. Koszty wojny w Wietnamie będą ogromne. Nieporównywalne z innymi wojnami. Już obecnie nasza grupa doradcza w Wietnamie to setki milionów dolarów rocznie. Wydatki na regularną wojnę wyniosą dziesiątki miliardów dolarów rocznie, a nie wiadomo, ile lat to potrwa.

– Czy Amerykę stać na taką wojnę? – zapytał retorycznie Martin. W swojej działalności wywiadowczej zwykł obracać naprawdę niemałymi sumami, ale fundusze, o których mówił Vick, nieco przekraczały jego wyobraźnię.

– Amerykę? Cały świat zapłaci za tę wojnę – odparł ze śmiechem Vick. – To przecież nasz bank centralny drukuje dolary, które cały świat tak uwielbia. Dodrukujemy sto miliardów, globalna inflacja zwiększy się o procent lub dwa i po kosztach. Jak zwykle zapłaci

ciemny lud tej ziemi i nawet tego nie zauważy, a jeśli zauważy, to obwini swoje rządy. Lubię prostotę takich rozwiązań, a ty nie, braciszku?

– Jest w tym pewien urok, przyznaję. Praktykowałem w swoim fachu sposoby przerzucania kosztów na barki innych ludzi, ale nie na taką skalę – przyznał Martin najwyraźniej pod wrażeniem tego, co mówił brat.

– Im większa skala, tym bardziej sexy to się robi – mówił wciąż uśmiechnięty Vick. – Uwielbiam tę robotę!

– Ile Van Vertowie zarobią na tej wojnie? – zapytał pragmatycznie Martin.

– Jeżeli potrwa pięć, sześć lat, to podwoimy nasze aktywa w gotówce. Oczywiście natychmiast zainwestujemy je w coś sensownego. Krótko mówiąc, zarobimy miliardy dolarów, choć dzisiaj nie powiem ci, czy będzie to dziesięć, dwadzieścia czy sto – odrzekł Vick ze znajomością rzeczy.

– To więcej niż budżet większości państw na świecie... – powiedział Martin, lekko zaskoczony prognozami finansowymi potencjalnych przychodów rodziny, do której należał.

Odstaję trochę od realiów rodzinnych – przeszło mu przez myśl. Trzeba to naprawić.

– Zgadza się, to więcej niż budżet wielu państw. Dlatego tak dużo ważnych i mądrych ludzi na świecie utrzymuje z nami kontakt, słucha tego, co mówimy, a ponieważ my też umiemy słuchać, więc przekazują nam swoje przemyślenia, a my potrafimy je wykorzystać – odparł Vick.

– To wypijmy za sukcesy rodu Van Vertów! – zaproponował Martin.

Bracia dopili porto i każdy udał się do swojego pokoju, gdyż o tak późnej porze żadnemu nie chciało się wracać do własnego domu.

24 września

Bezchmurne niebo i upał sprzyjały turystom kręcącym się w tej części Wiecznego Miasta. Przy stoliku przed jedną z wielu kawiarenek w uliczkach dochodzących do Schodów Hiszpańskich siedział Harry Adams i popijał campari z wodą sodową. Czekał na Dominika i wciąż się zastanawiał, co ma mu powiedzieć.

Zdobył bezcenne dla niego informacje i powinien być z siebie zadowolony. Ale nie był. Czuł bowiem, że drzemiąca w nim chciwość kieruje jego myśli w stronę rozwiązań, które bynajmniej nie napawały go dumą. Odkąd generał Carter podczas zebrania w Langley polecił mu rozpracować organizację, z której wywodził się Ratz, jakieś drzemiące w nim лихо kazało mu rozważać, ile Martin Van Vert i jego rodzina zapłaciliby za informacje o organizacji Dominika i o nim samym.

Dzięki rozmowie w centrali CIA zdołał poskładać w sensowną całość różne elementy tej pozornie skomplikowanej układanki. Wynikało z niej, że Denis Fargo, były agent FBI, który następnie przeszedł do CIA i zniknął niedawno w Brazylii, nadzorował tam w imieniu Martina Van Verta, mistrza od czarnej kasy, kanał narkotykowy Agencji. Skoro Van Vert obdarzył takim zaufaniem chłopca z FBI, to przypuszczalnie dlatego, że tamten maczał palce w incydencie przed hotelem Algonquin. Po prostu CIA sprzątnęła konkurencję, która pod samym jej nosem budowała własny kanał narkotykowy. Harry nie miał najmniejszej wątpliwości, że za zniknięciem i przypuszczalną śmiercią Denisa Fargo stoi Dominik i jego organizacja. Jeżeli tak, to dowiedzieli się od niego wszystkiego o wszystkich, którzy brali udział w zabójstwie Inez i Ratza. Harry doskonale wiedział, jak przekonujący potrafi być Dominik. Nie kwestionował wersji kubańskiej, bo w końcu czarny notes Amerykanina znaleziono w kieszeni zabitego Kubańczyka, ale to o niczym w jego ocenie nie świadczyło. Co najwyżej o sprawności Dominika i jego podwładnych.

Czyli Dominik najprawdopodobniej ma listę ludzi do odstrzału.

Adamsowi instynkt podpowiadał, że znajduje się na niej Martin Van Vert. A nawet jeśli go tam nie ma, to gdy usłyszy o organizacji Dominika i o tym, kim dla niego była Inez, szybko uwierzy, że jest. Ile mi wtedy zapłaci za taką wiedzę i za informację, jak się ratować przed zemstą Dominika? Tak zupełnie prywatnie, poza strukturami Agencji? – siedzące w Harrym lichu nie dawało mu spokoju. To bajecznie bogaty ród. Co to dla nich wyłożyć milion, dwa, ba, nawet pięć milionów dolarów za ocalenie głowy Martina Van Verta?

A jeśli doniosą o mojej propozycji szefom Agencji i mnie zapudłują? Powiem, że to nieprawda? Wtedy wszyscy uwierzą Van Vertom, bo przecież nie mnie, i będę skończony. Zwłaszcza jeśli przez jakiś przypadek potwierdzą, że współpracowałem z Dominikiem. Co tu robić, jak najlepiej sprzedać te klejnoty wiedzy, które posiadam? – głowił się Harry Adams, były żołnierz i agent przemysłowca.

Nie bądź, chamlu, chytry! – odezwał się w nim nagle inny głos. I głupi też nie bądź! Z Dominikiem zarobiłem przez te lata kupę kasy. On jest coraz bogatszy, a ja mam coraz lepsze informacje. Kto powiedział, że nie stać go na tyle, ile dałby Van Vert, jeśli w ogóle by dał? Tu mam pewny, znany i w miarę bezpieczny układ. Wejście do gry z Van Vertami to wypłynięcie na szeroki ocean – wielkie fale i wielkie sztormy. Łatwo można utonąć albo stracić łódeczkę, na której się płynie.

Kto nie ryzykuje, ten nie dostaje największych nagród – kusiło go lichu chciwości, nie dając za wygraną. Poradzisz sobie z CIA i Van Vertami. Jednym powiesz trochę, drugim trochę, pokażesz, że nic nie ukrywasz, i rozegrasz obie strony. Każą ci rozpracowywać organizację Dominika i będziesz mógł ich cyckać latami! Dla Agencji będziesz bohaterem, a Van Vertowie będą ci płacić na boku. Wszystko zależy od twojej inwencji! Do dzieła!

Poczuł się bardzo zmęczony, osamotniony i wytrącony z równowagi. Ze złością odgonił osę, która najwidoczniej również miała ochotę na campari z wodą sodową. Gdyby był w normalnej formie, z pewnością zwróciłby uwagę, że od dobrych paru minut jego rozterki obserwuje Dominik.

W ciągu ostatnich czterech lat spotykali się mniej więcej raz w

roku i Harry przekazywał rutynowe informacje związane z bezpieczeństwem kanału narkotykowego, który przechodził przez Nowy Jork. Nie przynosiły one Harry'emu wielkich pieniędzy, jedynie całkiem przyzwoite, i Dominik miał tego pełną świadomość. Miał też świadomość, że Harry bardzo lubi pieniądze, a tak naprawdę jest po prostu chciwy.

Jako znawca najciemniejszych stron ludzkiej natury Dominik wiedział, że nie ma w wywiadzie nic bardziej niebezpiecznego niż chciwy agent, który może uważać, iż dostaje za mało kasy. To idealny materiał na podwójnego agenta, który zgłosi się do drugiej strony, by sobie dorobić. Dominik nie posądzał Harry'ego o taką niegodziwość, bo przecież współpracowali razem wiele lat, ale jej nie wykluczał i wkalkulowywał jako potencjalne ryzyko. Bo takie były zasady pracy z agentem.

Po tym, co się stało w Brazylii, to spotkanie nie mogło mieć rutynowego przebiegu. Harry musiał coś wiedzieć o zniknięciu oficera CIA. Jeżeli tak, to trafiała mu się szansa na lepsze wynagrodzenie – w zależności od tego, co wiedział. I co będzie chciał powiedzieć.

Harry wydawał się bardziej zamyślony i zdenerwowany niż zwykle. Do stojącej przed nim szklanki ponownie podleciała osa, ale już z koleżanką, co przyprawiło go niemal o atak furii. Ale zanim zdążył coś przedsięwziąć, czyjaś szybka ręka przykryła szklankę podstawką. Uwięzione owady trzepotały się bezradnie przez chwilę, zanim opadły na resztki napoju.

– Witaj, Harry – odezwał się Dominik. – Pozwól, że cię wyręczę, zanim kurwica cię zabije i mój przyjazd pójdzie na marne.

Harry odwrócił się i lekko zmieszany spojrzał na Dominika. Nadal nie wiedział, jak ma postąpić i jak rozegrać to spotkanie.

– Witaj, przyjacielu, miło cię widzieć – powiedział więc na początek. – Siadaj, zamawiaj i mów, jak żyjesz.

Dominik usiadł, zamówił dwa campari z wodą sodową i zaczął mówić.

– Ostatnio poświęcałem dużo czasu na dopracowywanie organizacji kanału narkotykowego z Ameryki Południowej i

nareszcie wydaje się działać tak, jak bym sobie życzył. Mam w związku z tym pewną propozycję. Współpracujemy ze sobą, Harry, od lat i dużo dla mnie zrobiłeś, ale i trochę zarobiłeś. Mam świadomość, że ostatnio zarobki te nie były tak wysokie, jak być może byś sobie życzył, ale też moje zapotrzebowanie na informacje, które mógłbyś dostarczyć, nieco spadło, choć to może się zmienić. Organizacja, którą zarządzam, rozwija się i potrzebuję zaufanych ludzi do nadzorowania nowych operacji. Gdybyś więc doszedł kiedyś do wniosku, że praca w CIA cię zmęczyła, to u mnie masz zapewnioną posadę z godziwą pensją. Emerytura z Agencji będzie do niej dodatkiem, nie odwrotnie.

Propozycja Dominika zaskoczyła Harry'ego, choć z pozoru wydawała się naturalna. Komu miał ufać przemytnik, jeśli nie takim jak on? Będę urządzony do końca życia – pomyślał, wiedząc, że wynagrodzenie, jakie zaproponuje mu Dominik, będzie hojne. Ale dlaczego mówi mi o tym tu i teraz? Czyżby przeczuwał moje rozterki?

– Zastanów się, Harry, spokojnie. – Słowa Dominika przerwały ciszę. – Miałbyś jak u Pana Boga za piecem. Pewna kasa, praca, z którą bez problemu sobie poradzisz, no i życzliwi ludzie. A tak przy okazji, co słychać w Agencji?

Harry Adams spojrzął się na swojego rozmówcę, jakby chciał odczytać jego myśli. A jeżeli Dominik wie, że byłem na tym spotkaniu w Langley – zaświtała mu nagle niepokojąca myśl – bo ma inne wtyki w Agencji i mnie testuje? Zdał sobie nagle sprawę, że nie poradzi sobie w rozgrywce z dwoma takimi ludźmi jak Dominik i Martin Van Vert. Trzymaj się rzeczy pewnych i znanych – odezwał się w nim głos rozsądku i lichy chciwości rozplynęło się w popołudniowym włoskim słońcu.

– Bardzo to miłe z twojej strony, że dajesz mi komfort wyboru i perspektywę niezłego bytowania. Chętnie przyjmę twoją ofertę, gdy nadejdzie czas rozstania z Agencją. Ale jeszcze nie nadszedł, wręcz odwrotnie: mam dla ciebie coś naprawdę istotnego. – Harry zaczął opowiadać Dominikowi o spotkaniu w Langley i o tym, co później usłyszał z rozmowy Martina Van Verta i generała Cartera.

Dominik słuchał, uważnie przyglądając się swojemu agentowi.

Gdy ten skończył, postanowił rozszerzyć nieco ofertę.

– To, co mówisz, jest niezwykle ciekawe i przydatne – powiedział. – Ale przede wszystkim doceniam fakt, że przyszedłeś z tym do mnie. Nie obraż się, ale Van Vertowie też by docenili, gdybyś powiedział im to, co wiesz o mnie i organizacji...

Harry uśmiechnął się lekko, bo przecucie, że rozmówca go przejrzał, okazało się słuszne. Poczuł ulgę, że przekazał Dominikowi wszystkie informacje. Postanowił być szczery aż do bólu i grać konsekwentnie o najwyższe stawki, skoro zdecydował się to zrobić właśnie z nim.

– Przeszło mi to przez myśl, nie przeczę – przyznał. – Ale widocznie nie jestem jeszcze takim skurwysynem i cenię sobie nasz układ bardziej, niż sądziłem.

– To dobrze. Rozegramy tę sprawę z Van Vertami jak zawodowcy. Za to, co usłyszałem dziś od ciebie, i za dalsze działania w sprawie proponuję ci milion dolarów – rozwijał swoją ofertę Dominik. – Nie ukrywam, że moimi celami będą wszyscy, którzy przyczynili się do śmierci Inez i Ratza, a wiem bardzo dokładnie, o kogo chodzi. Nie sądzę, żebym ci musiał wyjaśniać, skąd wiem, bo się domyślasz. Gdy uporamy się ze sprawą, zapłacę ci kolejny milion dolarów, ale nie później niż za dziesięć lat. W sumie więc proponuję dwa miliony dolarów za dziesięć lat współpracy, a następnie przejście do struktur mojej organizacji, jeżeli będziesz miał na to ochotę.

Harry, który nie spodziewał się ze strony Dominika tak wspaniałomyślnej oferty, nie posiadał się ze szczęścia, że dokonał właściwego wyboru. Chyba jakieś лихо próbowało mnie opętać – pomyślał były żołnierz.

– Brak mi słów. To świetna propozycja, biorę – odpowiedział szybko.

– Musimy przygotować plan... – zaczęła Dominik.

– Najlepsze mam na koniec – wszedł mu w słowo Harry.

– Tydzień po spotkaniu, które opisałem, generał Carter ponownie zaprosił mnie na rozmowę. Wziął w niej udział także Martin Van Vert.

Dominik odstawił szklanekę i uniósł brwi.

– Generał przydzielił mi zadanie – kontynuował Harry. – Mam ustalić i ewentualnie rozpracować organizację, która wysłała Ratza i Inez do zmontowania kanału narkotykowego w Nowym Jorku. To ma być takie rutynowe działanie związane z faktem, że Denis Fargo ich rozjechał. Mam pracować pod bezpośrednim nadzorem Martina Van Verta i wszystkie ustalenia meldować jemu jako ostatniemu bezpośredniemu przełożonemu Fargo... Dobre, nie?

Dominik spojrzał na Harry'ego i pomyślał, że oferta, którą mu właśnie przedstawił, nie była zbyt hojna nawet o grosz. Miał agenta w wymarzonym miejscu do rozgrywania sprawy i zajmowania się wszystkimi, którzy w niej tkwili.

– Spisałeś się, Harry – odpowiedział ze szczerym uznaniem. – Sprzyja ci szczęście operacyjne. To ważne. Wniosek z tego, że wszyscy lansują opcję kubańską zniknięcia Fargo, bo to najwygodniejsze, ale Martin Van Vert i jego kumple chcą na wszelki wypadek zadbać o swoje tyłki. Rękami Agencji i oczywiście na jej koszt. Jak bardzo to jest pilne?

– Nie pali się. Musimy wymyślić coś wiarygodnego, co uspokoi Van Verta, a zarazem pozwoli mi przez jakiś czas utrzymywać z nim kontakt – odrzekł Harry. – Tropienie organizacji przemytniczych to czasochłonne i niebezpieczne zajęcie.

– Owszem – przyznał Dominik. – Często też trop może się niespodziewanie urywać, bo to nie są korporacje notowane na giełdzie...

– Zakładam, że masz listę jeszcze paru osób, z którymi zamierzasz wyrównać rachunki za to, co się stało w Nowym Jorku – mówił z namysłem Harry. – Pomogę ci, ale igramy tu z wielkimi instytucjami i siłami. Zarówno CIA, jak i Van Vertowie to potęga. Zwykła ostrożność tu nie wystarczy, jeżeli planujesz powtórzyć wariant brazylijski, że się tak wyrażę...

– Mam tego pełną świadomość – odpowiedział Dominik. – Jakikolwiek wariant zastosuję, będzie w pełni zakamuflowany, a ty nigdy nie będziesz miał ze sprawą bezpośrednio nic wspólnego. Twoje podstawowe zadanie to informować, co się dzieje w Agencji i

wokół Martina Van Verta, o ich reakcjach na nasze ewentualne działania i ich planach.

– To będzie długa i ciekawa rozgrywka – podsumował Harry, który już zapomniał, że próbował cokolwiek kombinować poza plecami Dominika.

Zbliżała się druga. Pora obiadu.

– Może coś zjemy? – zaproponował przemytnik.

– I wypijemy! Pozwól, że ja postawię! – uzupełnił oficer CIA i obaj się roześmiali.

W czasie posiłku Harry Adams opowiedział Dominikowi pewną historię z życia wziętą. O tym, jak CIA niedawno zawerboowało na terenie Niemiec oficera polskiego wywiadu.

– Może ta informacja przyda ci się do handlu wymiennego z różnymi dziwnymi ludźmi, z którymi się zadajesz – wyjaśnił Harry, który po tylu latach współpracy wiedział doskonale, że Dominik jest Polakiem.

– Dzięki – odparł mile zaskoczony Dominik. – Pohandlowanie tą informacją ci nie zaszkodzi, Harry?

– W najmniejszym stopniu – odrzekł Amerykanin. – Dowiedziałem się o tym zupełnie przypadkowo. Facet należy do rezydentury polskiego wywiadu w Bonn i na razie spotyka się z naszymi w biurowcu, gdzie CIA ma własną tajną rezydenturę.

26 września

Dolores, Malcolm i Dominik raczyli się kawą i świeżutkimi croissantami w kawiarni przy jednej z uliczek przylegających do placu Świętego Marka w Wenecji. Od ponad godziny Dominik relacjonował im, co zaszło w Brazylii, i przekazywał informacje, które dwa dni wcześniej otrzymał od Harry'ego. Nie ujawnił oczywiście, skąd ma takie wiadomości, ani tym bardziej nie zdekspirował swojego źródła. Takie były zasady pracy wywiadowczej, nawet we współpracy z najbliższymi.

– To kogo następnego pierdolniemy? – zapytała niecierpliwie Dolores, gdy Malcolm Grey udał się do toalety. Nie chciała niepokoić go swoimi planami i wyjść na zbyt krwiożerczą.

– Przypominam ci, że młody człowiek w Brazylii zmarł na serce – odpowiedział Dominik. – Gdyby nie ten drobny szczegół, to może siedziałby w tej chwili tutaj i zdawał sprawozdanie jako nasz agent w CIA...

– Nie pierdol, drogi Dominiku – odparła zdecydowanie. – Kamień spadł ci z serca, gdy odwalił kitę. A zszedł, bo tak się zestresował w waszym towarzystwie. Zanim więc Malcolm się odleje, powiedz mi łaskawie, kto następny.

– Pomyślałem, że mogłabyś się zająć Wujem Tomaszem w Nowym Jorku – zasugerował Dominik. – Ale musi to być wypadek lub naturalny zgon. W obu przypadkach stosowne służby amerykańskie, od lekarza i koronera aż po naszych przyjaciół z Agencji, mają być przekonane, że nie było obcej ingerencji.

– Jak mam to, kurwa, zrobić? Poczekać, aż umrze ze starości? – zapieniała się Dolores. – Raczej myślałam o kulce w skroń. Z bliska!

– I nie zapomnij zostawić pozdrowień od Dolores, siostry Inez – zakpił. – To ty jesteś Mosad, rusz głową.

– Wypadek w metrze odpada, bo nie jeździ metrem, pod samochód też nie wpadnie, bo go wozi kierowca – głośno rozmyślała oficer izraelskiego wywiadu. – Wypadek w pracy również odpada, bo skurwiel nie pracuje jak normalny człowiek... ale żre jak każdy z

nas. Jasne, mam! Otrujemy skurwysyna!

Dominik spojrział na rozradowaną swoim odkrywczym wnioskiem Dolores i bezgłośnie zaklaskał kilka razy.

– Brawo, moja droga – rzekł po chwili. – Dokładnie na taki sam pomysł wpadłem w Brazylii, gdy młody pan Fargo łaskaw był opisać rolę włoskiego mafiosa w całej sprawie. Co więcej, przeprowadziłem konsultacje z naszymi miejscowymi przyjaciółmi z formacji trupich czaszek, jaki środek by polecili. Bo pewnie słyszałaś, że Brazylia słynie z ogromnej różnorodności roślin wydzielających wszelakie toksyny albo takich, z których owe toksyny można spreparować. Mnie chodziło o coś takiego, co spowodowałoby atak serca lub wylew krwi do mózgu. Typowa dolegliwość starszego, otyłego i łakomego Włocha...

– I co? – pytała natarczywie, nie mogąc doczekać się puenty.

– Mam w kieszeni niewielką torebkę, a w niej proszek z trujących roślin. Powoduje gwałtowny skok ciśnienia, jakby szok nadciśnienia tętniczego, i prowadzi do wylewu krwi do mózgu – tłumaczył Dominik. – Wuj Tomaso albo się przekreśli, albo będzie do końca życia srającym pod siebie warzywem, gdyż dostaniesz do dyspozycji końską dawkę. Substancja działa prawie natychmiast, więc musisz wziąć to pod uwagę... Ale ma też tę ogromną zaletę, że szybko zostaje wchłonięta przez organizm i praktycznie nie zostawia śladów.

Wyjął z kieszeni foliową torebkę i położył na stole, przykrywając ją dłonią. Dolores położyła swoją dłoń na jego ręce, a gdy ją cofnął, przejęła pakiecik i schowała do kieszeni sukienki.

– A co z resztą? – zapytała.

– Następny będzie Sanmartino. Ale nim zajmę się w Wietnamie albo na Bliskim Wschodzie, bo tam się wybiera.

– Mogę ci pomóc na Bliskim Wschodzie – zaproponowała. – Gdzie będzie?

– Tam, gdzie są narkotyki – odrzekł.

– Główne szlaki z Azji do Europy idą przez Turcję i Liban, a następnie na Bałkany albo do Włoch. Ale serce Bliskiego Wschodu to Kair. Tam się wszystko załatwia na większą skalę, a o taką chyba chodzi naszym kolegom z CIA – tłumaczyła.

Wrócił Malcolm i zajął swoje miejsce przy stoliku.

– Co knujecie? – zapytał zaciekawiony.

– Podziwialiśmy architekturę Wenecji – odparła z uśmiechem Dolores i pocałowała go w policzek.

Brytyjczyk roześmiał się i odwzajemnił pocałunek.

– Im ładniejsze, tym lepiej kłamią – stwierdził z przekonaniem. – Idę o zakład, że męczyłaś Dominika, jak zamierza się rozprawić z resztą bandy Martina Van Verta. Przyznaj się, kto ci przypadł w udziale?

Dominik i Dolores spojrzeli na siebie, uśmiechnęli się porozumiewawczo i zaczęli dokładnie oglądać stół i leżące na nim przedmioty, ale tak, aby nie zwrócić uwagi otoczenia. Dolores upuściła łyżeczkę do kawy i natychmiast się po nią schyliła, lustrując spód stolika. Ale nic nie znaleźli. Malcolm patrzył na te manewry, kiwając z politowaniem głową.

– Jak dzieci – podsumował w końcu. – Tylko zabawy im w głowie.

– Gdzie schowałeś pluskwę? – dała za wygraną Dolores, zajrzawszy jeszcze pod obrus.

– Człowiek o wybitnej inteligencji, ma chérie, potrafi sobie poradzić bez takich zabawek – ripostował Malcolm. – Na pewno słyszałaś o sztuce dedukcji i Sherlocku Holmesie.

– Dedu... co? – przerwała, przedrzeźniając Malcolma i krztusząc się ze śmiechu.

Uspokoiła się po chwili, ale zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, odezwał się Dominik:

– Twoja przenikliwość, lordzie Grey, zasługuje na nagrodę. Masz jak zwykle rację, ale proponuję nie wchodzić w szczegóły mokrej roboty, że się tak wyrażę. Zastanówmy się lepiej, jaki użytek z wiedzy, którą wam dzisiaj przekazałem, może zrobić twój ojciec albo MI6, aby zaszkodzić Van Vertom.

Malcolm zastanawiał się przez chwilę. Sprawiał wrażenie człowieka głęboko zatroskanego.

– Mój ojciec może nawet jutro spotkać się ze starym Joem Kennedym, ojcem prezydenta. Dobrze się poznali przed wojną, gdy

Joe był ambasadorem w Londynie, więc ten wysłucha go w skupieniu, a następnie pójdzie do syna i wszystko mu opowie – mówił brytyjski arystokrata. – Tylko zastanówmy się, co ojciec może mu powiedzieć, skoro niedługo potem zaczną ginąć ludzie CIA! Skąd wie o tym, co się naprawdę stało? Od tych, którzy zorganizowali zniknięcie młodego Fargo? Kolejne pytanie: czy prezydent Kennedy będzie chciał w związku z tym, co usłyszy, podjąć jakieś kroki, czy jedynie przyjmie to do wiadomości? W tym przypadku zemsta jest bardzo złożoną sprawą.

Dolores słuchała słów Malcolma z coraz bardziej zaszępioną miną. Pojmowała, że sprawa mocno się komplikuje.

– Anonim! – powiedział nagle Dominik.

Dolores i Malcolm spojrzeli, zaskoczeni, najpierw na siebie, a potem na pijącego kawę Dominika.

– Od kogo? – zapytała rzeczowo piękna oficer izraelskiego wywiadu. – Od Kubańczyków? Polaków? Czy pewnej organizacji przemytniczej?

– Od uczciwych oficerów CIA albo FBI, którzy nie po to przyszli do służby, żeby handlować narkotykami i łamać amerykańskie prawo – odpowiedział spokojnie Dominik. – Zabójstwo Inez i Ratz w Stanach w ramach operacji CIA to przestępstwo federalne, bo Agencja nie może prowadzić takich działań na terytorium własnego kraju...

Zapadła cisza. Gdyby szare komórki, pracując, wydawały dźwięk, w kawiarence byłoby bardzo głośno.

– To dobry pomysł, godny uwagi i rozwinięcia – odezwał się wreszcie Malcolm. – Znam osobiście wielu uczciwych Amerykanów!

– Zgadzam się. To niezły pomysł – oceniła Dolores. – Większość Amerykanów ma w sobie taką nutkę idealizmu. Tylko dlaczego piszą do Brytyjczyków?

– Bo wiedzą, że sami nie przebiją się przez swoje struktury administracyjne do prezydenta Stanów Zjednoczonych, a lord Grey czy MI6 mają na to znacznie większą szansę. No i naruszono interesy brytyjskie, gdyż Ratz był u nich kimś wysoko postawionym –

rozwijał swój pomysł Dominik. – Anonim powinien koncentrować się na czarnej kasie CIA robionej przez Van Verta i na tym, że działania te doprowadziły do zabicia ludzi powiązanych z MI6 na terytorium Stanów Zjednoczonych. Nie będzie wnikał w to, co ci ludzie robili w Ameryce, lecz koncentrował się na tym, do czego prowadzą nielegalne operacje wywiadu... Powinien też lekko zasugerować, że jeszcze w szeregach FBI młody Fargo wykonywał polecenia CIA w sprawie Inez i Ratza. Nie napiszemy oczywiście, że nam to powiedział, gdy poszedł na współpracę w Brazylii.

– Anonim zawsze wywołuje niepewność co do autora i jego intencji, ale jeżeli zawiera wystarczającą liczbę wiarygodnych informacji, to zmusza adresata do ich sprawdzenia – analizował sytuację Malcolm. – A naszym celem jest to, aby najwyższy szczebel amerykańskiej administracji przyjrzał się Martinowi Van Vertowi... Nieprzychylnym i krytycznym okiem.

– A jeżeli pan prezydent wie o czarnej kasie CIA i to akceptuje? – zapytała retorycznie Dolores.

– Pan prezydent może akceptować różne rzeczy w czterech ścianach Gabinetu Owalnego – odpowiedział Malcolm. – Ale nie może akceptować sytuacji, kiedy przychodzi do niego własny ojciec i mówi mu o kryminalnej niekompetencji jego podwładnych, o której właśnie się dowiedział od brytyjskich przyjaciół, z ostrzeżeniem, że wiedzą o tym kubańscy, a więc i radzieccy wrogowie. Właśnie teraz, gdy kryzys kubański z radzieckimi głowicami jądrowymi w roli głównej rozwija się w najlepsze.

– Cudowny zbieg okoliczności! – zachwyciła się Dolores. – Kennedy ma już chyba obsesję na punkcie Kubańczyków, skoro angażuje włoską mafię do zabicia Fidela Castro. Gdy się dowie, że Kubańczycy mogą wiedzieć o kanałach narkotykowych CIA na Amerykę Południową, bo przypuszczalnie wycisnęli to od oficera Agencji, który zniknął w Brazylii, i mogą ujawnić wszystko światu, to się wścieknie. Pomyśli, że taki przeciek ośmieszylby go w oczach międzynarodowej opinii publicznej.

– Dzięki uprzejmości Martina Van Verta – dodał Dominik. – Najbardziej w tej opcji podoba mi się to, że nas w niej nie ma.

– Ojciec mówił mi, że już cztery lata temu sir James Gibbons doradzał cierpliwość. Zakładał, że znajdą się ludzie, którzy nie odpuszczą śmierci Inez i Racza i będą dążyć do jej wyjaśnienia – zaczęła opowiadać Malcolm. – Miał zapewne na myśli organizację z czasów wojny, z której wywodził się Racz. Ale anonimy mają tę wspaniałą zaletę, że każdy kolejny czytający może uznać za autora kogokolwiek...

– ...kto w danym momencie najbardziej mu do tej roli pasuje – dokończył Dominik. – Gdybym był, dla przykładu, Martinem Van Vertem, to mógłbym podejrzewać, że za donosem może stać FBI.

– To byłoby bardzo uzasadnione podejrzenie. – Brytyjczyk natychmiast podchwycił wątek. – Na sir Jamesie, gdy zajmował się sprawą tuż po incydencie przed hotelem Algonquin, jego rozmówcy z FBI wywarli jak najlepsze wrażenie. Bardzo im wtedy zależało, zarówno szefowi biura w Nowym Jorku, jak i samemu Hooverowi, aby nikt w brytyjskich kręgach władzy nie miał najmniejszych wątpliwości, że merytorycznie Biuro nie ma nic wspólnego z tym karygodnym wydarzeniem i... poza osobą Denisa Fargo, oczywiście... nie jest uwikłane w żaden spisek.

– Tak, pamiętam. Hoover osobiście przesłał twemu ojcu zapewnienie, że FBI jest w tej sprawie czyste jak łąza, a to znaczy, że inni, czytaj CIA, nie są – rzekł Dominik. – A ten anonim postawi kropkę nad „i”. Tak, ktoś z FBI to świetny kandydat na autora takiego donosu. A co tobie podpowiada kobieca intuicja, pani oficer wywiadu?

– Gdybym była prezydentem Stanów Zjednoczonych uwikłanym w ostrą rozgrywkę z Rosjanami i Kubańczykami wokół rakiet na Kubie, to pomyślałabym, że przeciwnik daje mi jakiś sygnał – wypaliła. – Rosjanie to mistrzowie inspiracji. Taki anonim do brytyjskiego pośrednika, lecz dotyczący Amerykanów, to najzupełniej w ich stylu. To jakby mówili do Kennedy’ego: my wiemy, co twoi ludzie psocą, Brytyjczycy wiedzą i cały świat może się dowiedzieć.

Malcolm i Dominik spojrzeli na nią z podziwem.

– Bardzo dobra interpretacja – orzekł Polak. – W dużym pokerze

politycznym o wielkie stawki takie uboczne nękanie to rutyna. No to mamy dwóch potencjalnych autorów anonimu. To już dobrze. Joe Kennedy zapyta oczywiście lorda Greya, skąd pochodzi informacja...

– Lord Grey może spekulować co do potencjalnych autorów, podobnie jak my teraz, i nawet zasugerować tych samych – odparł Malcolm. – Ale nie powinien się na tym nadmiernie skupiać, bo to nie jego rola. On przekazuje wiarygodną informację, a ponieważ ojciec prezydenta mu ufa, więc także przekaże ją synowi jako wiarygodną. John Kennedy jest najpotężniejszym politykiem na świecie, niech wobec tego zarządzi przeprowadzenie takich sprawdzeń i ustaleń, jakie uzna za stosowne.

– A jeśli Joe Kennedy nie przekaże informacji lorda Greya synowi? – zapytała ni stąd, ni zowąd Dolores.

– Kiedy tuż przed wojną i na jej początku Kennedy senior był ambasadorem Stanów Zjednoczonych w Londynie, uległ niejakiej fascynacji Hitlerem i Trzecią Rzeszą – odpowiedział Malcolm. – Zaczął opowiadać na kolacjach dyplomatycznych w Londynie i wypisywać w depeszach do Waszyngtonu różne bzdury w stylu, że Brytyjczycy poddadzą się Niemcom bez walki albo że będą negocjować odrębny pokój, nie oglądając się na sojuszników. Mój ojciec odbył z nim kilka zasadniczych rozmów, by wytłumaczyć mu, jak bardzo się myli i jak drogo mogą go te błędy kosztować. Czas pokazał, że Joe Kennedy rzeczywiście mógł się nieodwracalnie skompromitować, lecz dobra wola i argumenty mojego ojca pozwoliły mu zejść z błędnej ścieżki. Nigdy o tym nie zapomniał i ilekroć się spotykają, niezmiennie powtarza, jak bardzo jest za to wdzięczny. Gdy więc mój ojciec pójdzie do niego i powie mu, że w trakcie jakiejś nielegalnej operacji narkotykowej źli ludzie zabili człowieka, którego traktował jak syna, to Kennedy wysłucha go z uwagą i poinformuje prezydenta, gdyż to będzie dotyczyło jego podwładnych. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

– Ja też nie, po tym, co powiedziałaś. Swoją drogą, ciekawy epizod – stwierdził Dominik. – Mamy potencjalnie wspaniałą broń, którą możemy wykorzystać przeciwko Van Vertom. Zastanówmy się teraz, jak tego nie spierdolić. Kto powinien dostać anonim, lord Grey czy sir James Gibbons w MI6? To po pierwsze, a po drugie, czyje

autorstwo powinien on sugerować? I po trzecie, kto go sporządzi? Od razu mówię, że ja nie czuję się na siłach.

– Ja też nie – dodała jak echo Dolores.

– Rozumiem, że mam się zgłosić na ochotnika – podsumował Malcolm.

– Och, tak, kochanie, wynagrodzę ci to po swojemu – natychmiast zareagowała Dolores, tuląc się do niego przymilnie.

– Ja wprawdzie tego nie obiecuję, ale to jedyny słuszny wybór – poparł przyjaciółkę Dominik. – Ty najlepiej znasz mentalność adresatów i wiesz, co ich przekona. Dobra, ten punkt mamy z głowy. Przynajmniej Dolores i ja. Kto dostanie anonim?

– Adresatami powinni być lord Grey i sir James w MI6 – stwierdziła z przekonaniem Dolores. – Pozwoli to im działać na różnych szczeblach władzy w obu państwach. Wywiad brytyjski to instytucja o wielkich możliwościach i nie zapomni, że ktoś zabił ich człowieka, celowo czy niechcący.

– Popieram – powiedział Malcolm. – MI6 powinno dostać taki anonim, a sir James na pewno o to zadba.

– Okej. To został nam ostatni punkt – kontynuował Dominik. – Czyje autorstwo ma sugerować dokument?

– Założmy scenariusz – odezwał się Malcolm – w którym Joe Kennedy przekáže informację synowi, a ten poprosi o dokument do wglądu, aby jego doradcy samodzielnie wyrobili sobie opinię o sprawie. Moim zdaniem dokument winien delikatnie sugerować dwie opcje. Primo, że został przygotowany przez Rosjan, aby stwarzać wrażenie wewnętrznego donosu z CIA lub ze strony FBI. Secundo, że został przygotowany w CIA lub FBI tak, aby stwarzać wrażenie, że popełnili go Rosjanie. Niech powstaną w otoczeniu prezydenta Kennedy’ego dwa obozy o przeciwstawnych poglądach, bo wymusi to dokładne sprawdzenie tez anonimu. Tym lepiej dla faktów zawartych w dokumencie, bo one same się obronią, a tym gorzej dla Martina Van Verta i jego ludzi.

– To genialne, Malcolmie – zachwyciła się Dolores. – Jaka mnogość tropów, którymi wszyscy mogą podążać podczas typowania autorów anonimu. Główni aktorzy tej tragedii zwariują ze

szczęścia, szukając winnych...

– Na koniec dnia to oni będą winni – rzekł Malcolm. – Taką przynajmniej mam nadzieję i nie chciałbym się zawieść.

– To dobry pomysł – ocenił fachowo Dominik. – Ile czasu zajmie ci przygotowanie tekstu?

– Umówmy się, że adresaci dostaną go pierwszego grudnia – odparł Malcolm. – Oznacza to, że na przełomie roku prezydent Stanów Zjednoczonych być może zapozna się z jego treścią i zobaczymy, co zrobi.

– To ekscytująca gra – powiedziała Dolores. – Podoba mi się!

– Ekscytująca i niebezpieczna – orzekł Dominik. – Dlatego trzeba dopilnować najdrobniejszych szczegółów. Gdy przygotujesz tekst, Malcolmie, twoja rola na tym etapie się skończy. Ja zajmę się przepisaniem na odpowiednich maszynach, doborem papieru, kopert, wyczyszczeniem odcisków palców i wysyłką. Do gry wchodzisz dopiero wtedy, gdy adresaci dostaną anonim i zechcą się z tobą skonsultować.

– Yes, sir – odparł Malcolm. – Uwielbiam profesjonalizm.

– Rozumiem, że wysłanie anonimu nie opóźni innych działań w sprawie? – upewniła się Dolores z niepokojem w głosie, patrząc na Dominika.

– Nie przewiduję takiej możliwości – zapewnił ją. – Masz wolną rękę. Myślę, że poruszyliśmy wszystkie tematy i każdy wie, co ma robić. Pozwolicie zatem, że opuszczę was i zajmę się swoją organizacją. Bywajcie zdrowi.

Dominik wstał i odszedł bez zbędnych pożegnań, aby nie zwracać uwagi otoczenia czy zawodowych obserwatorów.

Gdy Malcolm i Dolores zostali sami, usiedli obok siebie i wzięli się za rękę. Od kilku lat widywali się w miarę regularnie, co dwa lub trzy miesiące przez parę dni, niekiedy nawet przez tydzień, i bardzo do siebie przywykli. Nie wyobrażali sobie rezygnacji z tych spotkań, a tym bardziej ze związku, jaki ich łączył.

– To co się dzieje w świecie wywiadu, piękna pani? – zapytał Malcolm. – Kogo z otoczenia Van Verta masz puknąć? Może ci w czymś pomóc?

– Wybiore się do Nowego Jorku zając się Wujem Tomaszem – odrzekła zgodnie z prawdą, gdyż nie miała zamiaru niczego przed nim ukrywać. – Na tamtym terenie nie potrzebuję pomocy, ale dzięki za ofertę, kochanie.

– Zastanów się, czy posłanie Tomasa do więzienia nie byłoby dla niego większą karą niż skrócenie go o głowę – rzucił.

Dolores z zaciekawieniem przyjrzała się kochankowi, próbując odgadnąć, jaki plan lęgnie się w jego umyśle.

– Jak to sobie wyobrażasz? – zapytała.

– W trakcie rozmowy o anonimie mój ojciec może poprosić Joego Kennedy’ego, aby dopilnował posłania Tomasa do więzienia – wyjaśniał. – Stary Kennedy spełni tę prośbę, bo ma awersję do mafii z czasów prohibicji, gdy była jego konkurencją. Pójdzie do Hoovera i poprosi go, aby posłał Tomasa do więzienia. Ponadto zwróci się do swego drugiego syna, Roberta, ministra sprawiedliwości, aby dopilnował przygotowania stosownego aktu oskarżenia. Siła złęgo na jednego.

– To może nie być takie proste – odpowiedziała. – Tomaso, gdy poczuje zagrożenie ze strony FBI, pobiegnie po pomoc do swoich kumpli z CIA.

– Kiedy treść anonimu dojdzie do wiadomości prezydenta Kennedy’ego, Tomaso może stracić kumpli w CIA – zauważył. – Natomiast z punktu widzenia FBI fakt, że mafioso jest na usługach Agencji, tylko pogarsza jego sytuację. Biuro latami cierpliwie gromadzi materiały na takich facetów jak on, aby się z nimi rozprawić w odpowiednim momencie.

– Na przykład gdy ojciec prezydenta o to poprosi? – Dolores dokończyła jego myśl.

– Na przykład. – Brytyjczyk pokiwał głową. – Przyznasz, że to bardzo dobry moment, aby rozprawić się z mafiossem.

– Przyznaję – zgodziła się. – Ale opcja eliminacji daje nam pełną kontrolę nad sytuacją i pewność ukarania skurwysyna. Natomiast przy opcji więzienia, o której mówisz, puszcza sprawę na żywioł i albo niezawisły sąd go skaze, albo nie. Jest mnóstwo niewiadomych po drodze.

– Zgoda. Ale dla starego mafiosa, który ma ugruntowaną pozycję w organizacji i żyje we względnym luksusie, skończyć w więzieniu federalnym zamiast na zasłużonej emeryturze gdzieś na Florydzie to marna perspektywa – przekonywał. – To jakby smażył się w piekle: kara się wydłuża, robi się z wiekiem coraz bardziej dokuczliwa i trudna do zniesienia. To jest prawdziwa zemsta. Pomyśl o tym.

– Kusząca opcja – rzekła w zadumie. – Nie odrzucam jej. Pojadę do Nowego Jorku i naradzę się z mądrymi Żydami.

– Można pogodzić jedną opcję z drugą – dodał Malcolm. – Gdyby udało się posadzić Wuję Tomasa, to można by zlecić jego eliminację w więzieniu. To wydaje się prostsze niż załatwienie go na wolności i jest dla nas bezpieczniejsze, bo odsuwa podejrzenia i kieruje je w stronę porachunków mafijnych.

– To dobre – rzekła Dolores zaskoczona jego pomysłowością. – Nie znałam cię od tej strony, kochanie. Drzęmią w tobie ukryte talenty.

– Sam nieraz je odkrywam ku swemu zaskoczeniu – odparł skromnie i oboje wybuchnęli śmiechem.

10 października

Dolores i Lanker właśnie zasiedli przy stole w głównej restauracji słynnego nowojorskiego hotelu. Szef sali, który zaprowadził ich do stołu, czekał cierpliwie na pierwsze zamówienia. Abraham Lanker należał do stałych bywalców, często zjawiał się z atrakcyjną damą u boku. Maître nie miał więc wątpliwości, że w towarzystwie tej niepokojącej piękności jako aperitif zamówi francuskiego szampana. Jak on to robi – zastanawiał się – że mimo podeszłego wieku przyciąga do siebie tyle ślicznotek?

– Kieliszek szampana przed posiłkiem? – zaproponował Lanker swojej towarzyszce, co wywołało uśmiech satysfakcji na twarzy szefa sali.

– Z przyjemnością, mój drogi Abe – odparła Dolores i uśmiechnęła się do starego gangstera.

Lanker skinął głową szefowi sali, który doskonale wiedział, co należy podać w takiej sytuacji. Gdy zaserwowano stary rocznik veuve clicquot – La Grande Dame – i obsługa się oddaliła, Dolores opowiedziała Lankerowi, bez wchodzenia w zbędne szczegóły, o zniknięciu w Rio de Janeiro kierowcy śmieciarki i planach wobec Wuja Tomasa.

– Sprawę w Brazylii rozegrano bardzo dobrze – ocenił Abraham Lanker. – Kanał narkotykowy CIA na Amerykę Południową już nie funkcjonuje. Wątek kubański w tej sprawie to świetny ruch, wygodny dla wszystkich, nawet dla Kubańczyków, bo pozwala im występować wobec swoich lewackich podopiecznych w Ameryce Południowej w aureoli męczenników imperializmu amerykańskiego. Doszły mnie już sygnały, że wywiad kubański tak to rozgrywa wobec niektórych organizacji, twierdząc, że za całą sprawą stoi sama CIA.

Dolores uśmiechnęła się do siebie. Dominik poinformował ją ogólnie, że planuje taką inspirację za pośrednictwem łańcuszka ludzi dobrej woli.

– To zostałeś na tym terenie bez zbytejnej konkurencji –

zauważyła. – Gratuluję i życzę dalszych sukcesów.

– Mój partner Dominik to bardzo zdolny człowiek – podsumował Lanker i dodał z filuterną miną: – Doprawdy nie wiem, jak bym sobie bez niego poradził.

– Ty też jesteś bardzo zdolny, Abe – podchwyciła uwodzicielsko Dolores. – Dlatego pragnęłabym twojej rady w kwestii Wuja Tomasa. Jak to najlepiej rozegrać, pozostając poza podejrzeniami?

– Zabicie go w sposób niebudzący żadnych podejrzeń jest skomplikowane. Nawet jeśli otruje się go substancją, która nie pozostawi śladu, to część jego otoczenia uzna, że użyto właśnie takiego środka – rozważał na głos Lanker. – Tak czy inaczej jego klan będzie węszył aż do upadłego i a nuż w końcu na coś trafi. Może im się przypomnieć incydent sprzed hotelu Algonquin, bo nie wiemy, komu Tomaso mówił, że miał się spotkać z Ratzem. A przecież mafia włoska też potrafi myśleć. Nie należy ich, broń Boże, nie doceniać.

– Broń Boże, nie należy – powtórzyła jak echo.

– Mógłbym oczywiście zlecić jego eliminację, ale to wywoła wojnę gangów i dociekania różnych ludzi, dlatego to zrobiłem – głośno myślał szef nowojorskiej mafii żydowskiej. – Kumple Tomasa z CIA zaczną mi się przyglądać i mogą trafić na nasz kanał narkotykowy w Ameryce Południowej, a to byłoby bardzo niedobre, gdyż mogliby nas skojarzyć z niedawnymi wydarzeniami w Brazylii.

– Nie chcę nawet o tym myśleć! – Dolores aż jęknęła.

– Prawda?! Dlatego należy przyjąć rozwiązanie, które nie dawałoby podstaw do takiego myślenia – rzekł z przekonaniem Lanker.

– Zatem wariant więzienia? – zapytała.

Bezszelестnie podszedł do nich szef sali.

– Czy mogę państwu zaproponować przekąskę przed daniem głównym?

– Ależ oczywiście, mój drogi – odparł Lanker. – Gdzie moje maniery! Na co masz ochotę?

– Polegam na tobie, Abe – odrzekła Dolores.

– W takim wypadku wybór jest prosty. W hotelu Waldorf-Astoria

nie sposób nie zamówić najslawniejszej sałatki świata. Dwa razy poproszę – zakomenderował Lanker. – Pozostaniemy przy szampanie.

– Tak jest, sir – odrzekł maître i oddalił się, by zrealizować zamówienie.

– Tak, kochanie, wariant więzienia – wrócił do przerwanej wątku Lanker, gdy zostali sami. – To optymalne rozwiązanie i już spieszę wyjaśnić dlaczego. Po pierwsze, jeżeli sprawę weźmie w swoje ręce tatuś prezydenta, to rezultat jest gwarantowany. Kluczową rolę w posłaniu do więzienia gangstera odgrywają szef FBI i minister sprawiedliwości, gdyż oni zawsze znajdują odpowiedni materiał dowodowy, na podstawie którego niezawisły sąd wyda wyrok skazujący bez cienia wątpliwości. A zanim wyda wyrok, co może długo potrwać, zgodzi się na tymczasowe aresztowanie, o które wystąpią FBI i prokurator z błogosławieństwem ministra sprawiedliwości. J. Edgar Hoover i Robert Kennedy zrobią wszystko, o co ich poprosi tatuś prezydenta. Hoover, bo lubi sadzać gangsterów i przy okazji przymilać się władzy, a Robert Kennedy, bo też lubi sadzać gangsterów i słucha się taty. Tak więc to, że Tomaso trafi do pudła, mamy jak w banku. Po drugie, gangsterzy w wieku Tomasa bardzo nie lubią siedzieć w więzieniu. Sądzę po sobie, więc wiem, co mówię. W młodości pobyt w więzieniu to część legendy i prestiżu, który budujesz, więc wszystko gra, bo masz to wliczone w koszty sławy i chwały. Ale po siedemdziesiątce to już nie jest ani zabawne, ani miłe. Starzy ludzie mają przyzwyczajenia i nawyki, o których w więzieniu na ogół trzeba zapomnieć. Jasne, twoja organizacja mafijna potrafi stworzyć ci w celi warunki prawie jak w domu. Ale cela to zawsze cela, a nie dom. Stary mafioso cierpi w więzieniu i niekiedy to jest gorsze od śmierci. Rozumiesz, do czego zmierzam, śliczna pani...

– Doskonale – odrzekła. – Będzie żył i cierpiał!

– Po trzecie – ciągnął Lanker – dla starego mafiosa trafić do więzienia pod koniec kariery to nie żaden prestiż, lecz kompromitacja. Oznacza bowiem, że niewiele się nauczył przez całe życie, skoro na koniec dał się zamknąć. To rzutuje na stosunek innych więźniów do takiego człowieka. Nie darzą go już należyтым

szacunkiem, a z tego mogą wynikać najróżniejsze konsekwencje. Ale to już będzie po czwarte. W więzieniu, wbrew pozorom, człowiek może umrzeć szybciej niż na wolności. Albo zabije go ktoś na zlecenie, albo sam się zabije, bo otoczenie go do tego doprowadzi. Jeżeli więc chodzi o zemstę na Wuju Tomasie, to nie ma nic lepszego niż karcer. Ktoś to dobrze wymyślił – zakończył stary gangster.

– Nie ja – odparła Dolores jak uczennica wywołana z nienacka do tablicy. – Ja myślałam o czymś szybkim i prostym, ale pewnie mniej bolesnym.

– Cieszę się, że nie widzę w tobie oznak gorączki zemsty, która trawi niektórych ludzi – rzekł Lanker. – To dobrze, bo możesz trzeźwo myśleć i oceniać sytuację.

– Nabrałam dystansu – przyznała Dolores. – Ludzi, którzy robią złe rzeczy, powinna spotykać kara za te uczynki, a nie zemsta. A kara to zawsze pojęcie względne, jak wynika z naszej rozmowy. Zabicie Tomasa to byłaby zemsta, posłanie go do więzienia to kara. Uczę się szybko, bo mam dobrych doradców.

Nadszedł szef sali, a za nim dwóch kelnerów z talerzami. Stanęli obok gości i na dany znak postawili przed nimi porcje wykwintnie podanej specjalności hotelu. Była to wersja tradycyjna sałatki wymyślonej ongiś przez słynnego maître'a Oscara Tschirky'ego na uroczystość otwarcia hotelu Waldorf-Astoria – pokrojone czerwone jabłka i seler naciowy zalane sosem majonezowym, ozdobione orzechami włoskimi i rodzynkami, które to dodatki wymyślili kolejni wielbiciel tego dania.

– Bon appétit – życzył maître i odszedł do swoich obowiązków, a Dolores i Lanker zabrali się do jedzenia.

– Przez ostatnie cztery lata obserwuję Tomasa, wiem, w czym siedzi i co ma na sumieniu – zaczął Lanker. – W razie potrzeby dostarczę materiał, który pogrąży go w każdym sądzie. Do rąk własnych ministra sprawiedliwości. Gratis, – ku pamięci twojej siostry, cara mia.

– Dziękuję ci, przyjacielu – odparła lekko wzruszona Dolores. – To nam się przyda, jeżeli mamy być pewni sukcesu.

– Nie zapomnijcie najpierw zneutralizować przyjaciół Tomasa w Agencji – dodał na wszelki wypadek. – Ale uważajcie na Van Vertów. To ród potężny i mściwy. Martinowi nie możecie więc zadać fizycznych ran, bo cała mafia dostanie na was kontrakt. Na nim musicie się mścić z wielką finezją, schowani głęboko w mroku. Sanmartino i Lodger to inna para kaloszy. Ich można odstrzelić. Ale strzeż się Van Vertów! Nawet gdy będziesz zbierać o nich informacje, to nie daj się na tym przyłapać.

– Wszyscy trzej przyjaciele z Agencji są naszymi głównymi celami. Każdy według zasług i zasad zemsty krojonej na miarę – odrzekła. – Gdy Tomaso trafi do więzienia, nie będzie już miał wsparcia w żadnej amerykańskiej instytucji federalnej.

– Tak – zamyślił się szef mafii żydowskiej. – Dojrzałaś do zemsty, konsumujesz ją na zimno i nie pozwalasz, aby to ona konsumowała ciebie. Brawo! Jako danie główne proponuję foie gras – gęsie wątróbki na ciepło w sosie pomarańczowym, a do tego buteleczkę szlachetnego sauternes, którego słodycz ułatwi trawienie. Akceptujesz?

– Każda by zaakceptowała. Teraz mam względne pojęcie, jak ty bałamucisz te kobiety – odpowiedziała Dolores, patrząc z podziwem na Lankera i zastanawiając się, czy doszłoby do czegoś między nimi, gdyby był piętnaście czy dwadzieścia lat młodszy.

– Ciebie bym nie bałamucił, to chyba ty byś mnie oczarowała swoją urodą. Może więc to dobrze, że jestem już stary – odparł, jakby odgadując jej myśli, i puścił do niej oko.

Skinął głową w stronę maître'a, który nawet z najdalszego zakątka restauracji zauważyłby sygnał starego bywalca. Niech zgadnę – myślał w duchu szef sali, przemieszczając się zwinnie pomiędzy stołami. Stary drań zamówi foie gras.

13 października

Dominik przyleciał do Warszawy samolotem rejsowym z Wiednia. Posługiwał się paszportem austriackim, gdyż praktycznie od zakończenia wojny miał obywatelstwo tego kraju. Podobnie jak Gerard, jego synowie, Hilfers i inni członkowie organizacji. Z lotniska osobiście odebrał go pułkownik Adam Szulc. Zanim jednak udali się do lokalu konspiracyjnego, pułkownik podjechał w okolice pomnika króla Jana III Sobieskiego przy Agrykoli i bracia poszli na spacer do Łazienek.

– To wprawdzie ja kontroluję wszystkie podsłuchy w moich lokalach konspiracyjnych, ale o pewnych sprawach wolę z tobą rozmawiać w warunkach wykluczających wszelki podsłuch, bo licho nie śpi – tłumaczył swoją ostrożność szef pionu niemieckiego. – A przechadzka po pięknych Łazienkach nie tylko gwarantuje brak podsłuchu, ale również dobrze robi na umysł i ciało.

Przez następną godzinę Dominik szczegółowo informował brata o akcji w Rio de Janeiro, niespodziewanym zgonie młodego Amerykanina, eliminacji Kubańczyka i podrzuceniu mu notesu Denisa Fargo oraz reakcjach brazylijskiego kontrwywiadu wojskowego i stacji CIA.

– To dlatego przysłałeś mi prośbę, aby poinformować Kubańczyków, że CIA zainscenizowała śmierć swojego oficera i zabiła ich człowieka, wrabiając go w całą tę aferę – komentował na gorąco pułkownik Szulc. – Kubańczycy byli bardzo wdzięczni za informację i odpowiedzieli, że ich ocena jest identyczna. Dobre!

– Mam nadzieję, że nie sprawiłem ci tym żadnego kłopotu? – zapytał Dominik z troską w głosie. – Ale wydawało się to takie logiczne.

– Żadnego kłopotu, wręcz odwrotnie – odpowiedział Szulc. – To świetna rozgrywka, godna ciebie. Mów dalej, proszę.

Dominik zrelacjonował spotkanie w centrali CIA po zniknięciu Fargo i znalezieniu zwłok Kubańczyka z czarnym notesem Amerykanina w kieszeni, planach wobec Wuja Tomasa i Ricka

Sanmartina. Szef pionu niemieckiego słuchał bez słowa i notował w pamięci uwagi, które mu się nasuwały.

– A zatem znajomość lorda Greya ze starym Joem Kennedym ma dla waszych planów ogromne znaczenie – rzekł Szulc, gdy Dominik skończył opowieść. – Ciekawe mechanizmy i pożyteczne. Dobrze mieć taki dostęp do ucha prezydenta Stanów Zjednoczonych.

– Owszem, ale trzeba mówić prawdę i tylko prawdę – odparł Dominik. – Mam dla ciebie jeszcze coś interesującego. Jak się domyślasz, dysponuję pewnymi możliwościami wywiadowczymi w CIA...

– Widać gołym okiem, ale nie wnika! – zastrzegł się pułkownik. – Co to za ciekawostka?

– Otrzymałem w pełni wiarygodną informację, że ostatnio CIA pozyskała do współpracy oficera polskiego wywiadu z rezydentury w Bonn. Wiem też, gdzie odbywają się jego spotkania z Amerykanami – oznajmił nie bez satysfakcji Dominik, powtarzając słowo w słowo to, co usłyszał od Harry'ego. Obserwował jednocześnie reakcję brata.

Szef pionu niemieckiego zatrzymał się i zaintrygowany spojrzął na Dominika, który także przystanął i uśmiechał się, jakby czekając na pochwałę.

– Nie pytam nawet, czy to pewna informacja, bo inaczej byś mi nią głowy nie zawracał – bardziej stwierdził, niż zapytał Szulc.

– Absolutnie pewna, ze środka CIA, przekazana w okolicznościach wykluczających inspirację, pomyłkę czy dezinformację – dodał Dominik i przypomniał sobie, z jaką radością Harry przyjął wiadomość, że zarobi dwa miliony dolarów przez dziesięć lat, a następnie podzielił się informacją o krecie w polskim wywiadzie.

– Czyli mamy zdrajcę w szeregach i musimy jak najszybciej przystąpić do realizacji, o której mówiliśmy w lecie – ocenił pułkownik Szulc. – Jedźmy do lokalu, żeby kontynuować ten wątek, bo inne tematy wymagające rozmów na świeżym powietrzu chyba już mamy z głowy.

– Tak sędzę – przytaknął Dominik.

Bracia wsiedli do samochodu i w ciągu kilku minut znaleźli się w

okolicy placu Zbawiciela. Adam Szulc zaparkował w alei Wyzwolenia, po czym przeszli kilkaset metrów. Aby nie zostać namierzonym, żaden oficer wywiadu nie parkuje samochodu pod lokalem, w którym prowadzi spotkanie. Zasada ta obowiązuje na każdym terenie, zarówno obcym, jak i swoim.

Mieszkanie miało około stu metrów i od wielu lat należało do departamentu wywiadu. Zbliżała się czternasta.

Pułkownik Szulc zaparzył dwie kawy i usiedli w skórzanych fotelach w salonie. Na stoliku przed nimi leżała szara teczka.

– Ja też nie próżnowałem od naszego ostatniego spotkania – pochwalił się gospodarz i otworzył teczkę. Wyjął z niej kilkanaście fotografii i zaczął układać je obok siebie. Wszystkie przedstawiały młodego mężczyznę wchodzącego do biurowca. Zostały zrobione bardzo profesjonalnie i nie trzeba było się domyślać, kto na nich jest. Na kilku uchwycono fotografowany cel i numer budynku.

Zachęcony przez brata, Dominik wziął odbitki do ręki i dokładnie im się przyglądał.

– Świetna robota. Dobra ekipa obserwacji. Twoja? – zapytał.

– A masz wątpliwości? – pułkownik Szulc odwzajemnił się pytaniem, uśmiechając się szeroko.

– Niby proste i banalne zdjęcie, ale wymagało dużo pracy i ludzi – oceniał fachowo Dominik. – Ekipa musiała czuć się pewnie, skoro robiła ujęcia także z wnętrza budynku. Uchwycenie jednocześnie człowieka i numeru biurowca wymagało przymierzenia się z odpowiedniego kąta. Tego się nie robi z biodra, stojąc na ulicy, więc musieli wykorzystać jakiś pojazd. Zdjęcia wykonano w różne dni, o czym świadczy zmienne naświetlenie spowodowane prawdopodobnie zachmurzeniem. Ponadto cel ma różne krawaty...

– Okej, okej. Dosyć tych popisów – przerwał ze śmiechem pułkownik. – Straszny bystrzak z ciebie. Rzeczywiście to nie moja ekipa. To dobra niemiecka robota.

Dominik przypomniał sobie, co mówił mu brat na ostatnim spotkaniu – że ma źródło w kontrwywiadzie zachodniemieckim.

– Rozumiem – odrzekł. – To oznacza, że nie muszę już uruchamiać swoich możliwości w CIA, aby skierować kreta do tego

budynku, jak planowaliśmy latem?

– Nie musisz. Pomyślałem, że to zbyt ryzykowne, a twoje kontakty mogą się przydać do większych i ciekawszych operacji – wyjaśnił Szulc. – Nie pomyliłem się, bo mamy stuprocentowe potwierdzenie, że nasz oficer został pozyskany, a nie że jedynie prowadzi z Amerykanami wstępny dialog. To znacząca różnica. Czy te zdjęcia ci wystarczą, by przeprowadzić z nim rozmowę pod obcą flagą? Mam też tu w teczce jego bardzo dobry portret psychologiczny, gdzie mieszka, którędy jeździ lub chodzi do pracy, o której godzinie...

Dominik przypomniał sobie niedawne rozmowy w magazynie szalup ratunkowych w Rio de Janeiro z równie młodym człowiekiem.

– Jeżeli wasz oficer wie, co to jest KGB, i ma dość wyobraźni, aby uzmysłwić sobie, jak się żyje za kręgiem polarnym w obozie pracy o zaostrzonym rygorze... – zaczął – to odpowiedź brzmi: tak. Te zdjęcia będą bardzo pomocne. Ale w takich rozmowach zawsze decyduje psychika. Czasami nawet najlepszy portret psychologiczny bywa mylący, bo ekstremalne sytuacje potrafią z człowieka wydobyć siłę, o którą nawet sam siebie nie podejrzewał. Wszystko wyjdzie w praniu. A teraz powiedz mi, na czym wam najbardziej zależy, co mam z niego wyciągnąć. Wyłącznie przyznanie się do współpracy z Amerykanami? A może chcecie go odwrócić i obsadzić w roli podwójnego agenta rozpracowującego CIA? Jaki jest plan działania? Co postanowili mędracy stojący na czele polskiego wywiadu?

– Nie oni, niestety, mają najważniejszy głos w tej sprawie – odparł Szulc.. – W MSW swoją pozycję umacnia niejaki Mieczysław Moczar. Ojciec naszego kreta to jego przeciwnik w aparacie partyjnym. Robi karierę, którą Moczar chce przerwać. Ta historia z synem to wprost wymarzona okazja, by go uwalić. Zadanie więc jest proste: uzyskać przyznanie się do współpracy z CIA na tyle mocne, aby sąd mógł wiarygodnie i skutecznie go skazać bez konieczności naciągania dowodów.

– Pięknie. Uwielbiam, jak politycy decydują o operacjach wywiadowczych – stwierdził z sarkazmem Dominik.

– Musimy działać bardzo szybko. Obóz Moczara najbardziej by się cieszył, gdyby kret zdezerterował, bo wtedy sprawa stałaby się jasna i prosta. Tatuś byłby natychmiast skończony. Boimy się, że ktoś z tego obozu może nawet dać Amerykanom lub kretowi cynk, że został namierzony – tłumaczył Szulc.

– Ostre gierki prowadzicie w tym komunizmie – zauważył Dominik. – Prawie jak na Zachodzie.

– Dlatego jako wywiad nie mamy wyboru. Musimy kreta zdjąć, uzyskać przyznanie się do współpracy z CIA i osądzić. Żadne gry operacyjne nie wchodzi w rachubę, bo moczarowcy na to nie pozwolą. Zresztą w takiej sytuacji nikt przy zdrowych zmysłach nie weźmie odpowiedzialności za prowadzenie odwróconego agenta, nawet gdyby taki manewr się udał, bo to wymaga spokoju i życzliwości wszystkich zainteresowanych. A szkoda – podsumował szef pionu niemieckiego.

– To zasadniczo zmienia moje plany. Skoro kret ma ostatecznie trafić do waszego więzienia, zamiast po ewentualnym odwróceniu działać dalej, to wolałbym z nim rozmawiać nie w NRF, ale na bezpieczniejszym terenie – zaczął rozważać Dominik.

– Jakbyś czytał w moich myślach – wszedł mu w słowo Szulc. – Rozmowę właściwą z kretem odbędziesz w NRD. Wszystko jest przygotowane.

– Genialny pomysł – teraz to Dominik, nie bez ironii, wszedł bratu w słowo. – Jest tylko mały szczegół, nad którym warto byłoby się zastanowić. Mianowicie granica pomiędzy jednym a drugim państwem niemieckim, ufortyfikowana niczym Stalingrad podczas wojny. Oczywiście nie jest to problem nie do pokonania, ale będzie wymagał pewnych przygotowań.

– Zaoszczędzę ci główkowania nad tą kwestią – odezwał się z uśmiechem szef pionu niemieckiego. – Rzeczywiście granica ta jest, powiedzmy, trudna do przekroczenia. Albo zasieki z drutu kolczastego i miny, albo betonowy mur.

– Proponuję przemycić faceta przez Hamburg i drogą morską bądź przez Austrię – zasugerował Dominik. – Obie trasy mam sprawdzone i przećwiczone.

– Nie ma takiej potrzeby, przyjacielu – rzekł tajemniczo pułkownik Szulc. – Koledzy ze Stasi przewidzieli różne sytuacje, między innymi takie, że trzeba będzie tę granicę przenikać w obie strony. Dlatego w murze granicznym są ruchome miejsca. Odsuwają się i zamykają tak, że swobodnie przejedzie przez nie pojazd, nawet furgonetka.

Dominik słuchał z zainteresowaniem, kiwając z uznaniem głową i zastanawiając się, czy mógłby to wykorzystać w operacjach swojej organizacji.

– Ciekawe. Dużo jest takich wrót w murze granicznym? – indagował brata, świadomy, że takie informacje zawsze się przydają.

– Nie wiem – odpowiedział szczerze Szulc. – Nasze relacje ze Stasi są poprawne, ale nie wylewne. Mówią nam tyle, ile muszą. Czasami, gdy czegoś naprawdę potrzebujemy, musimy prosić Rosjan, aby ich przycisnęli, bo tylko KGB się słuchają i boją.

– Będziemy prowadzić naszą operację na terenie Stasi – zauważył Dominik. – Nie obawiasz się jakiejś ingerencji z ich strony?

– Nie. Moczarowcom zbyt zależy na tej sprawie i skompromitowaniu tatusia kreta, żeby coś mogło pójść nie tak. Wszystko zostało załatwione na najwyższym szczeblu. Mamy do dyspozycji willę niedaleko granicy, już po wschodniej stronie. Został sprawdzony przez naszą technikę na wszelkie możliwe sposoby pod kątem podsłuchu, podglądu i co tam jeszcze można wymyślić. Od tego momentu dwóch moich ludzi mieszka w obiekcie i pilnuje, powiedzmy, jego czystości operacyjnej. Będę czekał tam na ciebie razem z nimi. Kiedy możesz być gotowy do realizacji? – zapytał pułkownik.

– Za tydzień, może dziesięć dni. Jak tylko odbiorę pieniądze za robotę od waszego kuriera. Pełna przedpłata.

– Nie ufasz mi? – zadał retoryczne pytanie szef pionu niemieckiego.

– Tobie jak najbardziej – odpowiedział Dominik. – Ale nie ty o wszystkim decydujesz, a nie chciałbym później dochodzić reszty kasy w sposób, który popsułby relacje z twoją firmą. To nie byłoby dobre dla żadnego z nas.

– Nie byłoby – przyznał pułkownik. – Omówmy szczegóły uprowadzenia i przekroczenia granicy.

– Z dokumentacji kreta wynika, że chodzi do pracy na piechotę. Zdejmiemy go więc niedaleko od domu. Musicie tylko zapewnić, że w dniu operacji będzie wiedział, iż rano musi stawić się w pracy.

– Załatwione – rzekł Szulc.

– Muszę dostać środki łączności i kody do porozumiewania się z twoimi ludźmi. Odezwę się tylko dwa razy: po zdjęciu kreta z ulicy, że jesteśmy z nim w drodze, i gdy będziemy już w wytypowanym miejscu pod murem granicznym, żeby otworzyła się ruchoma część. Będziecie musieli cierpliwie czekać, aż się zjawimy. Jeżeli coś pójdzie nie tak, to na pewno przeczytasz o tym w gazetach w Reichu – zażartował Dominik, patrząc przekornie na brata.

Pułkownik nic nie odpowiedział i jeszcze przez następną godzinę bracia omawiali najdrobniejsze szczegóły planowanej operacji. Gdy byli już pewni, że nic nie zostało pominięte, Szulc zaproponował obiad.

Pół godziny później siedzieli w restauracji Grand Hotelu i pili piwo.

– Kret ma żonę – zauważył Dominik. – Jakie macie plany wobec niej?

– Robi doktorat w Polskiej Akademii Nauk – odpowiedział brat. – Już ją ściągnęliśmy do Polski na konsultacje naukowe. Świetnie się zapowiada.

– Mam jeszcze jedno pytanie – odezwał się z ociąganiem Dominik. – Choć to może nie moja sprawa...

Szulc spojrzął na niego pytająco.

– Czy jesteś absolutnie przekonany, że powinieneś osobiście brać udział, w tej operacji? – zapytał Dominik.

– Dlaczego nie? Jakże widzisz przeciwwskazania? – zdziwił się pułkownik. – Nie mogę wymagać od podwładnych, żeby mnie wyręczali w delikatnej akcji, której przebieg trudno przewidzieć. A jeśli kret zejdzie na serce jak twój figurant w egzotycznym mieście w Ameryce Południowej?

– Znikoma szansa na taki finał – odrzekł z uśmiechem Dominik.

– Chodzi mi o to, że będziesz miał wroga w tatusiu kreta. Kto wie, może kiedyś wypłynie na szerokie wody i będzie się mścił?

– To ryzyko zawodowe, które muszę wkalkulować. A swoją drogą to byłoby ciekawe, gdyby facet, którego syn był agentem obcego wywiadu, robił karierę polityczną w naszym kraju. Ale wtedy już chyba nie pracowałbym w wywiadzie, nie sądzisz? Moi ludzie jeszcze nie uczestniczyli w takiej operacji, więc ja muszę ją dowodzić, żeby wiedzieli, że nie uciekam od odpowiedzialności i ewentualnego ryzyka. Inaczej stracę ich szacunek. Wiesz o tym?

– Wiem.

– Podejmując się tej operacji, wyświadczasz nam ważną przysługę – ciągnął Szulc. – Czy polski wywiad może ci w czymś pomóc?

Dominik zamyślił się na chwilę i przeszedł do rzeczy.

– Jakie macie możliwości wywiadowcze w Wietnamie Południowym? – strzelił, nie licząc na zbyt wiele. – Muszę tam namierzyć niejakiego Ricka Sanmartina z CIA.

– Wyczuwam w twoim głosie powątpiewanie. A tymczasem nasza skromna służba całkiem nieźle sobie radzi w tym pięknym kraju. Od pięćdziesiątego czwartego roku, kiedy Francuzi ponieśli tam klęskę, działa w Wietnamie Południowym Międzynarodowa Komisja Kontroli. W jej skład wchodzi Indie, Kanada i Polska. Nie muszę dodawać, że nasi oficerowie regularnie zasilają skład Komisji i mamy nieźle rozpoznanie tamtejszej sytuacji. A nie dzieje się najlepiej, wojna idzie...

– No proszę, wywiad polski w Azji – z zadowoleniem odnotował Dominik. – Jakoś to uszło mojej uwagi. To jak oceniasz szanse wyłowienia pana Sanmartina w Sajgonie czy gdzie tam się pałęta?

– Bardzo wysoko – odpowiedział z niespodziewanym silnym przekonaniem Szulc. – Jeżeli przewinął się ostatnio przez Wietnam Południowy albo regularnie tam bywa, to go namierzemy, choć zajmie to nieco czasu.

– Brzmi zachęcająco – zauważył Dominik, zaskoczony jego pewnością siebie. – Nie sądziłem, że Wietnam to dla was jakiś priorytet!

– Dla nas nie – odparł z tajemniczym uśmiechem szef pionu niemieckiego. – Ale dla Wietnamczyków z Północy i ich licznych pomocników na Południu tak. Mamy z nimi całkiem przyzwoite układy. W Polsce szkoli się trochę oficerów ich sił zbrojnych. A jak już znajdziemy pana Sanmartina, to co należy z nim zrobić? O ile pamiętam, to jeden z tych, którzy przyczynili się do śmierci Inez i Rata.

Dominik skinął głową.

– A co jest możliwe? – zapytał ostrożnie.

– Możliwe jest prawie wszystko – odpowiedział enigmatycznie Szulc. – Wietnam Południowy robi się powoli niebezpieczny dla naszych amerykańskich przyjaciół. Wchodzą w buty Francuzów i ściągają na siebie gniew ludzi, którzy tych pierwszych pokonali osiem lat temu. Jeżeli, jak mówiłeś, pan Sanmartino rozpoznaje tam rynek narkotyków, to igra z ogniem. Sporo heroiny napływa do Wietnamu z Birmy i Laosu. Powinien zatem udać się tam i porozmawiać z głównymi producentami i dostawcami. A to ryzykowne podróże. Ale nie uprzedzajmy faktów. Podam jego nazwisko komu trzeba i zobaczymy, co z tego wyjdzie...

– Będę bardzo zobowiązany – pospieszył z zapewnieniem Dominik. – Koszty też pokryję, jeżeli zajdzie taka konieczność.

Podano obiad. Na przystawkę świeży tatar, a na drugie sztukamię w sosie musztardowym. Po obiedzie pułkownik Szulc zamówił u kelnera butelkę francuskiego koniaku.

– Jak sobie radzą twoi chłopcy? – zapytał brata.

– Uczą się w prywatnej szkole z internatem w Szwajcarii. Nie ma wyboru – odparł Dominik. – A twój syn? Nie zapomniał niemieckiego?

– Załatwiłem mu korepetycje. Ma poza tym smykałkę do języków, bo z angielskim też sobie całkiem dobrze radzi – pochwalił się szef pionu niemieckiego.

– No to rośnie następne pokolenie polskiego wywiadu – zauważył Dominik. – Warto byłoby kiedyś poznać naszych chłopaków ze sobą.

– Wypijmy za to! – zaproponował Szulc.

26 października

Przez okno na pierwszym piętrze willi ogrodzonej murem, nieopodal miasteczka Eisenach w Turynii, pułkownik Szulc wyglądał na drogę dojazdową. O wpół do dziewiątej otrzymał od Dominika umówiony sygnał radiowy, że pierwszy etap operacji przebiegł zgodnie z planem i kret został wprowadzony. Podróż z Bonn nad granicę miała zająć około czterech godzin. Niecałe pół godziny temu pułkownik otrzymał kolejny sygnał radiowy, oznaczający, że furgonetka Dominika zbliża się do granicy w miejscu, gdzie ruchomy mur pozwoli na jej przekroczenie. Natychmiast przekazał odpowiedni sygnał niemieckiej obsłudze przejścia, która miała także dokładny opis furgonetki i jej numer rejestracyjny.

Na drodze pojawił się w oddali biały Volkswagen garbus, a tuż za nim biała furgonetka. Szulc odetchnął z ulgą i uśmiechnął się do siebie. Ładnie ze strony Stasi, że pilotują Dominika – pomyślał i zbiegł na parter.

– Jadą! – rzucił do dwóch swoich ludzi czekających w napięciu. – Otwierać bramę i realizować dalej według uzgodnień.

Przez otwartą bramę na dziedziniec wtoczyła się powoli biała furgonetka. Pilotujący pojazd garbus wykręcił przed bramą i ruszył z powrotem tą samą drogą, którą przed chwilą przyjechał.

Gdy brama została zamknięta, a kierowca furgonetki wyłączył silnik, czyjaś mocna ręka zdecydowanym ruchem odsunęła boczne drzwi pojazdu i stojącemu nieopodal Szulcowi ukazała się uśmiechnięta twarz brata. Dominik wysiadł i zatrzasnął za sobą drzwi. Uściskawszy się, odeszli kawałek od furgonetki.

– Cieszę się, że cię widzę, i gratuluję udanej akcji – entuzjasmował się pułkownik. – Działasz jak szwajcarski zegarek. Jak się trzyma kret?

– Dzięki. Staram się. Kret dostał zastrzyk uspokajający i spał przez całą drogę – odpowiedział Dominik. – Strasznie mi się podoba ten ruchomy mur graniczny. Ale do rzeczy. Pokaż mi, gdzie mamy rozmawiać z delikwentem.

Szulc poprowadził brata stromym zjazdem do garażu, który znajdował się pod willą. Otworzył podwójne drzwi i weszli do środka. Było to duże pomieszczenie, w którym swobodnie mogłyby się zmieścić trzy samochody. Pośrodku stał duży drewniany stół, a na nim akumulator z kilkoma kablami. Obok stołu na podłodze umieszczono dużą żeliwną wannę wypełnioną prawie po brzegi. Wokół stołu rozstawiono kilka metalowych krzesel.

– Zgodnie z zamówieniem – odezwał się pułkownik Szulc. – Nie chcę się wtrącać do twoich metod, ale pamiętaj, że ja potrzebuję kreta żywego i w jednym kawałku.

– Przede wszystkim potrzebujesz przyznania się do współpracy z naszymi kolegami z CIA – odparł Dominik i zaczął uspokajać brata. – Mój człowiek, który będzie głównym przesłuchującym, Zachar, to sprytny Ukraińiec i dobry aktor. Kret szybko uwierzy, że ma do czynienia z KGB, a to już połowa sukcesu. Prąd i woda to tak na wszelki wypadek. Przecież teoretycznie mamy z niego zrobić podwójnego agenta, więc nie możemy go uszkodzić. Nie martw się, będzie dobrze!

W garażu pojawił się jeden z ludzi pułkownika, coś mu szepnął na ucho i oddalił się w stronę schodów prowadzących na górę.

– Telefon z Warszawy. Poczekaj tu na mnie – rzekł do Dominika pułkownik Szulc i podążył za podwładnym.

Dominik usiadł na krześle i cierpliwie czekał. W trakcie operacji specjalnych prowadzonych za granicą centrale wywiadów nigdy nie mają dosyć informacji o ich przebiegu i jeśli tylko mogą, to wydzwanianą – rozmyślał. Ale chyba dostali sygnał, że wszystko poszło gładko? Oprócz niego samego, kierowcy furgonetki i Zachara, który teraz pilnował kreta, w akcji uprowadzenia w Bonn wzięli udział dwaj synowie Gerarda. Podobnie jak w Rio de Janeiro, akcja trwała kilkanaście sekund i gdy kret został wepchnięty do furgonetki, chłopcy Gerarda rozplynęli się w tłumie.

Dalsze rozmyślenia przerwało mu niespodziewane pojawienie się Zachara. Dominik spojrzał na niego pytająco.

– Kierowca pilnuje więźnia – zameldował dla porządku Zachar i jakby usprawiedliwiając swoją obecność w garażu, dodał: – Musimy

pogadać, szefie.

– Co się stało? – zaniepokoił się Dominik.

– Coś jest nie tak – zaczął Ukrainiec. – Z więźniem. W jego oczach nie widzę strachu ani nawet zbyt wielkiej obawy, a powinienem, sądząc po podobnych akcjach, w których brałem udział. Uprawdzeni, którzy nie wiedzą, co ich czeka, wyraźnie się boją. A ten nie. Zapytał, kim jesteśmy. Odpowiedziałem po rosyjsku: specnaz!

– I co? – zapytał Dominik.

– Bez reakcji, szefie, i bez strachu – odrzekł Zachar. – Mam takie wrażenie, jakby ten człowiek wiedział coś, czego my nie wiemy... To coś pozwala mu zachowywać dziwną pewność siebie.

Zanim Dominik zdążył odpowiedzieć coś sensownego, otworzyły się drzwi od strony domu i pojawił się w nich pułkownik Szulc. Stał przed Dominikiem, sprawiając wrażenie, że nie wie, co powiedzieć. Zachar obrzucił go spojrzeniem i dyskretnie opuścił garaż.

– Co się stało? – zapytał Dominik. – Zamurowało cię?

– Dzwonił szef wywiadu z Warszawy – wyjaśnił Szulc beznamiętnym głosem. – Mam polecenie przerwania naszej operacji i dowiezienia kreta jak najszybciej do Warszawy. W dobrym zdrowiu i nieuszkodzonego. Pytano mnie, czy aby nic mu się nie stało w trakcie naszych działań... To dziwne!

– To zastanów się także nad tym. – Dominik zrelacjonował mu wrażenia i uwagi dopiero co przekazane przez Zachara.

Pułkownik Szulc w milczeniu słuchał słów brata. W głowie kłębiły mu się różne myśli i starał się je uporządkować.

– Czyżby tatuś naszego młodego kreta okazał się tak mocny? – zaczął dywagować Dominik.

– To raczej nie to. Dyrektor wywiadu prosił, abyśmy młodego człowieka traktowali z godnością, jak oficera... – odparł Szulc.

Dominik spojrzął się na brata i po chwili zaczął uśmiechać się do siebie jak człowiek, który zaczyna rozumieć sytuację, w jakiej się znalazł.

– Wygląda na to, że wleźliśmy z butami w czyjaś bardzo tajną

operację – zaryzykował w końcu hipotezę, która wydawała się coraz bardziej logiczna i oczywista. – Chyba że intuicja operacyjna podpowiada ci coś innego?

– Nie innego nie przychodzi mi do głowy – przyznał pułkownik. – Ale szkoda czasu na dywagacje. Moje rozkazy są jasne. Jedziemy do Warszawy i tam wszystko wyjaśnimy. Niedoszłego kreta biorę ze sobą. Pojedziemy pierwsi, bo moi ludzie mają wszelkie niezbędne dokumenty i telefony, aby przejechać przez NRD i naszą granicę. Twoja furgonetka jedzie za nami, bo do Reichu nie wrócisz przez ten ruchomy mur, to zbyt niebezpieczne. Ktoś z drugiej strony mógł zauważyć tamto cudowne przeniknięcie i teraz siedzi i obserwuje. Zresztą Stasi ma swoje regulacje, jak często dany ruchomy segment może być wykorzystany, i ten musi z pół roku odpocząć.

– Do głowy by mi nie przyszło wracać tą samą drogą – odparł Dominik. – Byłoby to mało profesjonalne.

Ludzie Szulca wyprowadzili granatowego mercedesa 180 ukrytego dotąd za willą i szykowali się do podróży. Pułkownik podszedł do białej furgonetki, z której Zachar przed chwilą wyciągnął niedoszłego kreta, a teraz częstował go mocną kawą.

– Mam rozkaz odwieźć pana do Warszawy – zwrócił się Szulc do młodego oficera wywiadu, wskazując głową mercedesa. – Zapraszam do samochodu – dodał.

Oficer bez słowa odstawił kubek z resztką kawy na podłogę furgonetki i skinąwszy Zacharowi w podzięcie głową, ruszył do wozu, odprowadzany wzrokiem przez Dominika, który stał w połowie drogi między furgonetką a samochodem osobowym. Jeden z ludzi pułkownika otworzył tylne drzwi pojazdu. Oficer już miał wsiadać, gdy zawahał się na moment, odwrócił i podszedł do Dominika.

– To była dobra akcja. Cieszę się, że jesteśmy po tej samej stronie – rzekł, patrząc mu w oczy pogodnym wzrokiem.

– Ja też. Cokolwiek pan robi... powodzenia! – odparł Dominik i uściśnął wyciągniętą dłoń.

W ciągu kilkunastu minut oba pojazdy zmierzały już w stronę granicy polskiej i Warszawy. Po drodze minęły białego garbusa,

który jechał w kierunku willi. Należało ją przygotować na pobyt kolejnych gości.

31 października

Pułkownik Szulc i jego brat siedzieli w barze najlepszego hotelu stolicy i raczyli się whisky z wodą sodową. Dominik, który po przyjeździe do Warszawy zainstalował się w Bristolu, zdążył już wyprowadzić swoich ludzi do Austrii, a sam postanowił poczekać parę dni. Miał nadzieję, że się dowie, dlaczego przerwano tak pięknie zapowiadającą się operację.

– Gratuluję ci przenikliwości – zaczął Szulc. – Faktycznie wdepnęliśmy w czyjąś operację.

– W czyją? – zapytał Dominik, nie okazując nadmiernych emocji.

– Trudno w to uwierzyć, ale cała sprawa jest owocem przemyśleń niejakiego Nikity Chruszczowa, który zdołał namówić do udziału w niej towarzysza Wiesława... – zaczął powoli relacjonować Szulc.

Na twarzy Dominika poczęło rysować się autentyczne niedowierzanie, przechodzące stopniowo w rozbawienie.

– Masz na myśli tego towarzysza Wiesława, pierwszego sekretarza Gomułkę? – upewnił się.

– Tego samego – potwierdził Szulc.

– Co ich podkuśiło? – zapytał wyraźnie zciekawiony Dominik.

– Ruskie głowice atomowe na Kubie i wynikły z tego kryzys, który właśnie się rozgrywa na Karaibach – wyjaśniał rzeczowo szef pionu niemieckiego.

Dominik słuchał w skupieniu i bez słowa, jak jego brat odsłania kulisy wielkiej polityki, na której znał się tak dobrze.

– Umieszczając głowice atomowe na Kubie, Chruszczow postanowił jednym zdecydowanym ruchem nadrobić przewagę, jaką Stany Zjednoczone mają nad Związkiem Radzieckim pod względem broni atomowej. Bez wielkich nakładów finansowych i inwestycji w międzykontynentalne rakiety do przenoszenia głowic czy w bombowce strategiczne przybliżył swoją broń jądrową o tysiące kilometrów do serca Ameryki. W sumie niezły plan – ocenił Szulc. – Pod warunkiem, że uda mu się przeprowadzić go do końca i prezydent Kennedy nie stawi oporu, za to uwierzy, że Chruszczow jest

nieobliczalny i lepiej go nie drażnić.

– Nasz rzekomy kret miał utwierdzać Amerykanów w przekonaniu o tej nieobliczalności Chruszczowa? – wszedł mu w słowo Dominik.

– W zależności od rozwoju sytuacji miał podsuwać Amerykanom rozmaite sugestie – mówił dalej Szulc. – Pierwsi sekretarze wymyślili to sobie wyłącznie na płaszczyźnie politycznej. Bez udziału wywiadów. Zresztą z tego, co mówią nasi ludzie w Stanach, Chruszczow ma swojego człowieka w ambasadzie radzieckiej w Waszyngtonie, niejakiego Gieorgija Bolszakowa, który regularnie spotyka się z bratem prezydenta Kennedy’ego, Robertem, ministrem sprawiedliwości. Razem knują poza wszelkimi oficjalnymi strukturami.

– Czyli amerykański prezydent i pierwszy sekretarz KPZR mają swoje niezależne kanały, którymi się porozumiewają? – upewniał się Dominik. – A wasz oficer miał być takim dodatkowym elementem uwiarygodniającym tezy, jakie Chruszczow przekazał Kennedy’emu innymi, już działającymi kanałami?

– Moi szefowie, którzy kazali nam przerwać operację i właśnie mnie z grubsza oświecili, dlaczego musieli to zrobić, też nie wiedzą wszystkiego, bo pierwsi sekretarze nie muszą się nikomu tłumaczyć, ale z grubsza wygląda to tak, jak mówisz.

– Dlaczego wybrali akurat polskiego oficera jako kolejny nośnik swoich inspiracji? – dopytywał się Dominik.

– To w sumie dobre zagranie – kontynuował szef pionu niemieckiego. – Polska jest największym i najbliższym sojusznikiem Rosjan. Oficer, którego wytypowali do roli kreta, a następnie dezterera, jest synem człowieka ze ścisłego kręgu władzy. Może zatem, a nawet powinien, mieć dostęp do informacji politycznych z najwyższej półki. Takie urozmaicenie źródeł inspiracji z innego państwa Układu Warszawskiego to bardzo sprytnie zagranie psychologiczne uwiarygodniające przekazywane informacje.

– Zgadzam się, że to w sumie nieźle pomyślane. Tylko wykonanie kiepskie. Bardzo cię opierdolili? A może medal dali, w końcu zrobiłeś to, co do ciebie należy?

– W sumie wyszło na dobre, bo kierownictwo wywiadu bardzo zyskało w oczach obu pierwszych sekretarzy z powodu czujności i fachowości. Cała sprawa rozgrywa się w tak wąskim gronie i operację przeprowadziliśmy na tyle sprawnie, że nie jest wykluczona jej kontynuacja. Ale to już nie nasza sprawa – dodał pułkownik.

– Jak wasi politycy się o niej dowiedzieli? – zapytał Dominik wiedziony ciekawością operacyjną.

– Proste. Gdy przyszedł pierwszy sygnał od ciebie, że zdjeliście kreta z ulicy, szef wywiadu zameldował bezpośrednio Gomułce, że nasza akcja jest w toku. Standardowa procedura na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. Wtedy na ogół za późno jest tłumaczyć politykom, że coś się sypie. Gomułka zorientował się szybko, że właśnie weszliśmy w ich operację. Na początku zaniemówił. Chyba nie brał takiego wariantu pod uwagę.

– Teraz rozumiesz, dlaczego wolę się domagać pieniędzy z góry – zauważył z pewną przekorą Dominik.

– Na twoim miejscu też bym tak robił – zapewnił go Szulc. – Mogą ci się przydać w Wietnamie.

Dominik z niekłamanym zainteresowaniem spojrzął na brata, który uśmiechał się tajemniczo.

– Nie mów, że w ciągu dwóch tygodni namierzyliście Ricka Sanmartina?! – rzekł z niedowierzaniem.

– Łut szczęścia w wywiadzie, jak obaj wiemy, to wielka sprawa – odpowiedział Szulc. – Jak widać, szczęście uśmiechnęło się do ciebie. Dostaliśmy rutynowe zapytanie od wywiadu Wietnamu Północnego, czy Rick Sanmartino jest nam znany jako pracownik CIA, bo przewinął im się parę razy w Sajgonie.

– To rzeczywiście niesamowity zbieg okoliczności – przyznał Dominik. – Co zamierzasz odpowiedzieć wietnamskim kolegom?

– Prawdę, oczywiście w granicach rozsądku – odparł rzeczowo pułkownik. – Potwierdzimy, że to oficer CIA wywodzący się z OSS i że w przeszłości zajmował się obrotem narkotykami, w związku z czym nie wykluczamy, że podobną działalność może prowadzić w Sajgonie.

– Nie za dużo chcesz im ujawnić?

– Nie. Opiszemy to ogólnie – tłumaczył Szulc. – Ale wtedy koledzy wietnamscy, kierowani wdzięcznością, odpowiedzą nam, w jakich okolicznościach Amerykanin zwrócił ich uwagę w Sajgonie. Jak znam życie, to dadzą parę adresów, pod którymi go zlokalizowali. Tak działają biurokracje wywiadowcze. Dostaniesz te informacje i na tym moja rola się skończy.

– Nie chcesz wiedzieć, co dalej? – zapytał Dominik z leciutkim przekąsem, obserwując uważnie brata.

– Ja wiem, co będzie dalej, i dlatego wolę o tym nie wiedzieć – odparł Szulc. – CIA to wprawdzie nasi przeciwnicy, ale i oficerowie wywiadu, tak jak my. Staramy się nawzajem nie zabijać.

– Rozumiem to i akceptuję – rzekł Dominik. – Dam sobie radę.

– Nie wątpię.

15 grudnia

Lord Grey siedział w swojej bibliotece i czytał kilkunasto – stronicowy maszynopis. Tekst był anonimowy. Omawiał kulisy śmierci Inez i Ratza, nielegalny obrót narkotykami przez ludzi CIA w celu pozyskania czarnej kasy na operacje wywiadowcze prowadzone poza czyjąkolwiek kontrolą oraz zaangażowanie przez wywiad amerykański członków mafii w celu zabicia Fidela Castro. Dokument, umieszczony w kopercie bez stempli pocztowych, został wrzucony kilka dni wcześniej do skrzynki na listy w rezydencji. Takie samo pismo i w taki sam sposób otrzymał sir James Gibbons. Lord Grey czytał tekst po raz piąty czy szósty i znał go już prawie na pamięć. Poprzedniego dnia wysłał służącego z maszynopisem do swojego syna Malcolma, który zapoznał się z dokumentem na poczekaniu i przekazał go z powrotem adresatowi.

Lord Grey był starym człowiekiem, widział w życiu prawie wszystko i niewiele mogło go zdziwić lub zaskoczyć. Ale był też człowiekiem dawnej daty, oficerem i dżentelmenem i niektóre z opisanych spraw nie mieściły mu się w głowie. Może świat się zmienia, a ja po prostu nie nadążam? – przeszło mu przez myśl, nie po raz pierwszy zresztą.

Wszedł kamerdyner i oznajmił przybycie sir Jamesa i Malcolma. Goście przywitali się z gospodarzem, który nalał im najstarszej szkockiej whisky Lagavulin, jaką znalazł w barze biblioteki.

Wszyscy trzej wzięli ciężkie kryształowe szklaneczki i zaczęli degustować ich zawartość. Najpierw podziwiali dojrzały kolor, mocny zapach, który powoli rozchodził się po całej bibliotece, a następnie zamoczyli usta w samej whisky, rozcierając językiem znakomity trunek.

– Wyborne! – ocenił sir James Gibbons, który uchodził za znawcę wszelkich alkoholi, a whisky w szczególności.

– Tak. Pięćdziesiąt lat dojrzewania robi swoje – zgodził się syn lorda Greya. – Ten trunek jest starszy ode mnie.

– Cieszę się, że udało mi się trafić w wasze gusta – odezwał się

gospodarz. – Dla ukoronowania tej degustacji proponuję cygara prosto z Kuby.

Wstał i podszedł do niewielkiego stolika z ciemnozielonego marmuru. Na blacie stało drewniane pudełko, jasnobrązowe i lakierowane, które dzięki specjalnej konstrukcji zapewniało cygarom odpowiednią temperaturę i wilgotność.

Zapalili, puszczając obłoki dymu.

– Kombinacja starej whisky i kubańskich cygar to absolutna rozpusta. Siódme niebo! – orzekł sir James.

– Niestety, rzeczywistość opisana w dokumencie, z którym wszyscy się zapoznaliśmy, każe nam zejść na ziemię – zauważył flegmatycznie młody lord Grey. – Co o nim sądzicie, panowie?

Lord Grey spojrział na sir Jamesa i skinął głową, zachęcając go do zabrania głosu. Szpieg Jej Królewskiej Mości odstawił szklaneczkę z whisky, wstał i puszczając dym z cygara, zaczął mówić.

– Z wstępnego sprawdzenia wynika, że zawartość dokumentu jest prawdziwa. Ktoś musiał zadać sobie sporo trudu, aby dokonać tych wszystkich ustaleń. O ile pamiętacie, w swoim czasie sugerowałem beczynność w sprawie nowojorskiego wypadku, przepowiadając, że organizacja, z której wywodził się Ratz, a być może także piękna Inez, nie podaruje nikomu ich śmierci. Ustali wszystko i będzie wiedziała, jak trafić z tym do nas. Teraz i my znamy prawdę o ich śmierci. I nie tylko...

– Może nadszedł czas, aby z tą prawdą zapoznało się większe grono wpływowych ludzi – rzucił od niechcenia Malcolm.

– Przedstawiłem ten tekst kierownictwu naszego wywiadu – odparł Gibbons. – Z punktu widzenia MI6 to bardzo ciekawy dokument. Zawsze dobrze wiedzieć, jakich ciemnych metod działania można się spodziewać po najbliższym sojuszniku i czego się wystrzegać. Amerykanie mogą sobie pozwolić na różne nietypowe manewry. My natomiast mamy wielkie tradycje i dobrą reputację, o którą należy pieczołowicie dbać. To ona zapewnia naszemu wywiadowi dopływ nowych agentów.

– A ty, ojczu, co zamierzasz? – zapytał Malcolm z prawie niewyczuwalną nutką zniecierpliwienia.

– Przede wszystkim nie zamierzam próżnować – odparł lord Grey. – Pokazałem ten tekst swojemu przyjacielowi Winstonowi Churchillowi i doszliśmy do wniosku, że należy z nim zapoznać prezydenta Stanów Zjednoczonych. John Kennedy powinien wiedzieć, jak się zabawia jego wywiad, bo wątpię, żeby szefowie CIA meldowali mu, że werbują do współpracy gangsterów z włoskiej mafii, przygotowując zabójstwo głowy obcego państwa. Nawet jeżeli to Kuba, a celem jest Castro. Abstrahując od wątpliwej podstawy moralnej takiego zamachu, to są to bardzo niebezpieczne gry, bo mogą powodować u Castro chęć odpłacenia pięknym za nadobne.

Sir James i Malcolm spojrzeli na siebie znacząco, zaskoczeni tempem działania starego arystokraty.

– Jak chcesz dotrzeć do prezydenta Kennedy’ego, ojczu? – zapytał Malcolm, nie kryjąc zaciekawienia.

– Jak wiecie, poznałem całą rodzinę Kennedych przed wojną, gdy stary Joe był ambasadorem w Londynie – odpowiedział lord Grey. – Najsensowniej byłoby więc spotkać się właśnie z nim i przedstawić mu ten dokument, a on udałby się do swego syna prezydenta. Ale w ubiegłym roku Joe Kennedy miał wylew, co długo utrzymywano w tajemnicy. Jest częściowo sparaliżowany i praktycznie nie nadaje się do rozmowy, biedak.

– To przykre – zmartwił się Malcolm. – Więc co zrobimy? Jaka jest alternatywna droga do prezydenta?

– Przez jego brata Roberta, ministra sprawiedliwości – odrzekł mu z uśmiechem ojciec. – Pamiętam go jako kilkunastoletniego chłopca. Rozmawiałem już z nim telefonicznie. Jesteśmy wstępnie umówieni w Ameryce.

– Doprawdy zadziwiasz mnie, ojczu. – Malcolm nie mógł ukryć zdumienia. – Działasz jak młodzieniaszek!

– Robert Kennedy to dobry rozmówca w tej sprawie – odezwał się sir James. – Może nawet lepszy niż stary Joe Kennedy. W wielu sprawach jest idealistą i nie kryje tego. Gangsterami, których CIA pozyskała do zabicia Castro, Samem Giancaną, Johnnym Rosellim i Santem Trafficantem, od wielu lat interesuje się Departament

Sprawiedliwości. Są prowadzone przeciwko nim dochodzenia, w które osobiście angażuje się Robert Kennedy, bo przestępczość zorganizowana zawsze go mierzyła. Możecie więc sobie wyobrazić, co będzie czuł, czytając, że gangsterzy, których ściga, są na usługach amerykańskiego wywiadu. Ktokolwiek spisał ten dokument, uczynił mistrzowski ruch i wykazał się głęboką znajomością rzeczy.

– Jakie mogą być konsekwencje twojej rozmowy z Robertem Kennedym, ojczy? – zapytał niewinnie Malcolm, mile połączony ostatnią wypowiedzą Gibbonsa pod adresem autora dokumentu.

– Może pan, sir Jamesie, zechce najpierw odpowiedzieć na to pytanie jako praktyk wywiadu i znawca jego mechanizmów – zasugerował lord Grey.

– Chętnie – odrzekł wywołany do tablicy Gibbons. – Nie zdradzę wielkiej tajemnicy, jeżeli powiem, że wywiad Jej Królewskiej Mości opracował profil psychologiczny Roberta Kennedy’ego, gdy jego brat John został prezydentem Stanów Zjednoczonych.

– Domniemywam, że jako dodatek do portretu psychologicznego samego prezydenta – wtrącił niewinnie Malcolm.

Sir James spojrział na młodego lorda, znacząco unosząc brwi, ale nie odniósł się do tej uwagi. Stary lord Grey uśmiechnął się pod nosem i poprosił swojego przyjaciela o kontynuowanie wywodu.

– Jak zacząłem mówić, przygotowaliśmy profil psychologiczny Roberta Kennedy’ego. To człowiek otrząskany z polityką i mimo młodego wieku wyzbyty wszelkich złudzeń co do tego, że politycy działają wyłącznie dla dobra społeczeństwa. Wie doskonale, iż znakomita ich większość uprawia tę profesję przede wszystkim dla dobra własnego, przy okazji niekiedy załatwiając coś dla obywateli. Ale sam Robert Kennedy jest, w naszej ocenie, inny. Nie zawahałbym się go zaliczyć do tej niewielkiej grupy polityków amerykańskich, którym naprawdę zależy. Dlatego tak mocno angażuje się w walkę o prawa czarnych i w działania przeciwko infiltracji przez mafię związków zawodowych. Niektóre swoje ideały stara się przekładać na praktyczną politykę. Chce przez to czynić świat lepszym dla zwykłych ludzi. Jak wszyscy tu wiemy, nie jest to proste i wymaga odwagi. A Robert Kennedy jest odważny. Odważny

i twardy. Dokument, który otrzyma od lorda Greya, będzie stanowił zaprzeczenie prawie wszystkiego, w co wierzy. Van Vertowie uważają się za amerykańskich braminów. Robert Kennedy jest braminem. On naprawdę wierzy, że z konstytucji amerykańskiej wynika amerykańska republika prawa, na której straży ma stać państwo i jego urzędnicy. W tym sensie on pochodzi z zupełnie innego plemienia braminów niż Van Vertowie. Będzie zszokowany, trzymając namacalny dowód działania państwa... jego państwa... w sposób nieodbiegający od funkcjonowania organizacji mafijnej. Morderstwa, narkotyki, zacieranie śladów zbrodni, nadużycie władzy, kłamstwo – słowem, wszystko to, co kochają mafiosi, z którymi on na co dzień walczy. Mogę się wprowadzić w błąd, ale jestem przekonany, że ten tekst zrobi na nim głębokie wrażenie. Dojdzie do tego wstyd, że sprawa znana jest tak znakomitym przedstawicielom naszego establishmentu jak Winston Churchill i lord Grey. To bardzo ważny aspekt, którego nie należy nie doceniać. Amerykanie to dumny naród, a prezydent Kennedy i jego brat, w szczególności.

– Kolokwialnie mówiąc, strasznie się wkurwi – zasugerował Malcolm.

Sir James spojrział na niego z zainteresowaniem i mówił dalej:

– Nieczęsto wprowadzić używam takich kolokwializmów, ale ten wydaje się wyjątkowo dobrze oddawać jego przypuszczalną reakcję. Tak, zdenerwuje się, chyba nawet bardzo, i pójdzie do swojego brata prezydenta. Powie mu, że jednym z głównych macherów w biznesie narkotykowym amerykańskiego wywiadu jest członek rodziny Van Vertów. Prezydent wie, że w wyborach prezydenckich w sześćdziesiątym roku pieniądze Van Vertów mocno wspierały jego rywala politycznego, Richarda Nixona. Ale Nixon przegrał i różne rachuby Van Vertów się nie ziściły. Prezydent zacznie się zastanawiać, co ci Van Vertowie kombinują w ramach amerykańskiego wywiadu razem z mafią sycylijsko-amerykańską. Jego brat odpowie na to, że mogą szykować jakąś prowokację wymierzoną w prezydenta, bo tak mu wcześniej zasugeruje lord Grey. Kombinowanie z mafią w celu zabicia głowy obcego państwa to świetny materiał na prowokację. Zwłaszcza w obliczu tego wszystkiego, co się działo i dzieje wokół

Kuby. Nieprawdaż? I na wszelki wypadek prezydent nie będzie miał innego wyboru, jak tylko wyrzucić to całe towarzystwo ze służby państwowej. Taka jest moja ocena.

– A jeżeli to prezydent zlecił zabicie Castro, nieważne jak i przez kogo? – odezwał się Malcolm. – Wtedy obrót narkotykami da się usprawiedliwić dobrem sprawy, podobnie jak wszystkie pozostałe przestępstwa.

– Teoretycznie jest to możliwe, ale mało prawdopodobne – rzekł milczący do tej pory lord Grey. – Pamiętam Roberta Kennedy’ego, gdy przewinął się przez Londyn w czterdziestym ósmym roku w drodze w świat. Masz rację, Gibbons, to rzeczywiście idealista. Ale przede wszystkim nie idiota. A trzeba być tęgim idiotą, aby wykorzystywać mafię, zorganizowanych przestępców, do operacji wywiadowczych o międzynarodowych reperkusjach. To aż się prosi o nieszczęście! W czasie wojny, gdy mafia sycylijska zapewniała Amerykanom informacje wywiadowcze z wyspy tuż przed inwazją, to było co innego. Ale nie prawie dwadzieścia lat później! To już jest czyste awanturnictwo. Dlatego myślę, że nie stoją za tym bracia Kennedy, ale koledzy z OSS, którym niegdyś dobrze się pracowało z mafią i nie widzieli powodu, aby tej współpracy nie powielić w walce z komunizmem.

– Jestem skłonny zgodzić się z tym, co mówicie, drodzy panowie – zaczął Malcolm. – Martin Van Vert i jego banda wylecą z wywiadu. I co dalej?

Lord Grey i sir James spojrzeli po sobie.

– Tu nasza rola się kończy – rzekł dobitnie lord Grey, patrząc na syna. – Nawet w życiu Van Vertów jest coś takiego jak infamia. Młody Van Vert odejdzie z wywiadu Stanów Zjednoczonych w niesławie, która nie zniknie, dopóki w Białym Domu będzie rządził klan Kennedych. A może rządzić długo, bo po przypuszczalnej drugiej kadencji obecnego prezydenta mogą nastąpić dwie kadencje jego brata Roberta.

– To bardzo prawdopodobny scenariusz – zgodził się sir James. – A wtedy nasz przyjaciel Martin Van Vert... pozwólcie, panowie, że i ja posłużę się kolokwializmem... utknie w gównie po wsze czasy.

Natomiast odnosząc się do ewentualnych innych rozwiązań, które zdawało się sugerować twoje pytanie, Malcolmie, to organizacja, z której wywodził się Ratz, być może nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. Zostawmy to im.

Malcolm, który doskonale wiedział, co w tej mierze planuje organizacja Dominika, oczywiście nie oponował. Jego pytanie – co dalej? – miało służyć nade wszystko ustaleniu, czy jego ojciec i MI6 planują ewentualne dalsze działania w sprawie. Wiedział już, że nie.

– Absolutnie nie mam nic przeciwko temu – szybko podchwycił opinię Gibbonsa. – Jeżeli prezydent Kennedy wyrzuci Martina Van Verta z CIA, będzie to cios dla całej tej pieprzonej rodziny. Poświęćmy trochę czasu szczegółom twojej rozmowy, ojczu, z bratem prezydenta. Sir James wydaje się sugerować, że ów anonimowy dokument to owoc wysiłków, ustaleń i przemyśleń organizacji, z której wywodził się Ratz, a o której tak mało wiemy. To logiczna hipoteza. Ale pokuszę się o przedstawienie hipotez konkurencyjnych... w ramach intelektualnej rozrywki.

Sączący whisky rozmówcy spojrzeli z zaciekawieniem na młodego arystokratę.

– Bardzo jestem ciekaw, drogi chłopcze, co też chodzi ci po głowie – rzekł lord Grey. – Zaskocz nas!

– Postaram się, ojczu – odparł Malcolm i powoli cedząc słowa, żeby wyrzec większe wrażenie, zasugerował: – A może anonim powstał na polecenie naszego starego znajomego, J. Edgara Hoovera, szefa FBI?

– My God! – wyrzekł po dłuższej chwili sir James. – Czy to możliwe, żeby stary Edgar posunął się do czegoś takiego?

– Stary Edgar posunąłby się do wszystkiego, gdyby uznał, że przyniesie mu to pożądaną korzyść – wszedł mu w słowo lord Grey. – Wierz mi, Jamesie, to gracz nad gracze. Rozwiń swoją myśl, synu, jeśli łaska.

– Yes, sir. Otóż FBI jest w posiadaniu wszystkich informacji, które zostały zawarte w anonimie. Śledzili Inez i Ratza na nasze polecenie, wiedzieli, co się stało pod hotelem i kto ich zabił, kto go zatrudnił, gdy oni go zwolnili, oraz co robił w pięknym Rio de

Janeiro. Wiedzą też, że CIA zarabia czarną kasę na narkotykach z pomocą Wuja Tomasa, bo mają go obstawionego jak najlepszego konia na wyścigach w Ascot. To po pierwsze. Po drugie, J. Edgar Hoover doskonale wie, kim Jan Ratz był dla ciebie, ojczyste, i dla mnie. A także dla wywiadu brytyjskiego. – Mówiąc to, Malcolm spojrział na sir Jamesa. – Dlatego anonim trafił do dwóch adresatów w Wielkiej Brytanii. Autor i nadawca tego dokumentu musi być głęboko przekonany, że dostarczymy go najwyższym kręgom amerykańskiej władzy. Hoover może mieć taką pewność, bo wie, jak nam zależało na Ratzu i Inez. Po trzecie: czyż nie jest to piękny donos na CIA, głównego rywala FBI w strukturze amerykańskich służb specjalnych? Sam bym lepszego nie napisał – zakończył.

– Co myślisz, Jamesie, o hipotezie młodego człowieka? – indagował lord Grey. – Nie sprawia chyba wrażenia wziętej z sufitu.

– Bynajmniej – odrzekł szpieg Jej Królewskiej Mości. – Jest słuszna i bardzo prawdopodobna. I jakże wygodna dla pana Hoovera. Taki donos wszystko pozwala załatwić cudzymi rękoma, przekazując jedynie wiedzę. Tak, w odniesieniu do CIA szefa FBI stać na taki ruch. Mogę sobie wyobrazić, że zapoznawszy się z dokumentem, prezydent wezwie do siebie Hoovera i zapyta, co on o tym sądzi. Ten wie oczywiście, że tak może być, gdyż to przewidujący człowiek. Nie wątpię, że przygotował sobie na taką właśnie ewentualność stosowne wystąpienie tudzież dodatkowe, ekscytujące informacje o poczynaniach CIA. Jeżeli to on zlecił napisanie anonimu... – W tym miejscu sir James teatralnie zawiesił głos.

– A któż jeszcze mógłby to zrobić? – szybko podchwycił Malcolm, któremu zależało, aby autorstwo anonimu nie zostało przypisane organizacji, z której wywodził się Ratz, a do której on sam teraz też należał. Bo przecież mogło to powodować nikomu niepotrzebne kłopoty i zwracać uwagę na organizację Dominika, a tym samym także na kochankę Malcolma.

– Nietrudno sobie wyobrazić, że autorami anonimu równie dobrze mogą być ludzie z CIA – niespodziewanie rzekł sir James.

Lord Grey i jego syn ze zdziwieniem spojrzeli po sobie, a następnie utkwili wzrok w rozmówcy, czekając na dalszy ciąg jego wypowiedzi.

– Tak, tak, drodzy przyjaciele, to całkiem realna hipoteza. CIA to duża instytucja i jest w niej wiele osób, które uważają, że powinna zajmować się wywiadem, a nie tym, co opisano w anonimie, że nie może być krzyżówką mordercy z przemytnikiem. Tych ludzi jest większość i są to wysokiej klasy oficerowie wywiadu. W końcu to myśmy ich szkolili przez te wszystkie lata od chwili powstania Agencji. A robiliśmy to według najlepszych wzorów klasycznego wywiadu. Zdało to egzamin u nas i zdaje u nich. Dla tych ludzi taki Martin Van Vert to zakała, która odciąga CIA od jej prawdziwej misji: pozyskiwania najtajniejszych informacji z centrum decyzyjnego przeciwnika. Każdego przeciwnika. Co da zabicie Castro? Propagandowo same problemy. Przecież zastąpi go brat albo ktoś inny. Czyż nie lepiej mieć agenta w sekretariacie dyktatora i znać każdy jego ruch, niekiedy nawet z wyprzedzeniem? To są prawdziwe perły sztuki wywiadowczej. Ale Martin Van Vert ma większą siłę przebicia od prawdziwych zawodowców. Uderzają więc w niego w jedyny sposób, w jaki potrafią. Tym dokumentem. O ile oczywiście ta hipoteza jest słuszna.

– Obie hipotezy są interesujące – wtrącił się do rozmowy lord Grey. – Ale mnie przychodzi do głowy jeszcze jedna, bardziej globalna. A gdyby założyć, że autorami tego dokumentu są Rosjanie? Właśnie byliśmy świadkami kryzysu kubańskiego, który doprowadził Amerykę i Rosję na skraj konfliktu atomowego. Obaj przywódcy, Kennedy i Chruszczow, zadają jeden drugiemu ciosy, nie przebierając w środkach. Może anonim to część tej wymiany uprzejmości?

– A co Rosjanie mieliby w ten sposób osiągnąć? – zapytał Malcolm, świadomie rozwijając wątek poruszony przez ojca.

– Potencjalnie bardzo wiele – odparł lord Grey nieco zdziwiony, że musi synowi tłumaczyć sprawy tak oczywiste. – Pokazują, że doskonale wiedzą, co robi wywiad amerykański w Ameryce Południowej, w tym na Kubie, przygotowując zgładzenie Castro. Pokazują także, że łamie prawo. Nie tylko międzynarodowe, ale również prawo Stanów Zjednoczonych, gdyż handluje narkotykami i prowadzi operacje wewnątrz kraju, czego mu czynić nie wolno. Upublicznienie tego to dynamit medialny. Nie sądzisz, Malcolmie,

że jest to materiał do przemyśleń dla każdego amerykańskiego prezydenta?

– Oczywiście masz rację, ojciec – zgodził się bez oporu Malcolm.
– Przepraszam, że w ogóle o to pytałem. Ale skąd wiedzieli, że najlepiej przysłać to do nas?

Zanim lord Grey zdążył mu odpowiedzieć, odezwał się sir James, wyraźnie poruszony najnowszą hipotezą.

– Rosjanie, niestety, wiedzą bardzo dużo. Ich wywiad sięga głęboko. Na myśl, że ten dokument to ich sprawka, skóra mi cierpnie, gdyż oznacza to, że mocno spenetrowali Amerykanów.

– Co zatem powiesz, ojciec, Robertowi Kennedy’emu, gdy w rozmowie zapyta, skąd pochodzi dokument i kto jest jego autorem? – zainteresował się Malcolm.

– Jak to co, synu? Prawdę, oczywiście! – odrzekł flegmatycznie stary lord. – Ja przecież nie wiem, skąd pochodzi anonim ani kto jest jego autorem. Nie zamierzam też w rozmowie z bratem prezydenta snuć jakichkolwiek spekulacji na ten temat. No, może poza zupełnie niewinnym stwierdzeniem, iż musiał napisać to ktoś, kto bardzo nie lubi CIA i tego typu metod działania, a być może również rodziny Van Vertów. Spekulowanie czy nawet ustalenie, kto jest autorem, pozostawię prezydentowi Stanów Zjednoczonych, jego bratu i całej chmarze niewątpliwie kompetentnych ludzi, jacy ich otaczają.

– Bardzo dobra taktyka, ojciec – ocenił Malcolm. – Nie można Amerykanom nic sugerować. Niech sami popracują nad autorami i pochodzeniem dokumentu. A pan jak myśli, sir Jamesie?

– Absolutnie zgadzam się z tym, co powiedział mój szanowny przedmówca i przyjaciel, lord Grey – odrzekł Gibbons. – Tym bardziej że dla obu Kennedych sprawa autorstwa i pochodzenia dokumentu może być wtórna, co nie znaczy, że nieważna.

– To co będzie ważne? – zainteresował się Malcolm, który chciał maksymalnie ukierunkować rozmowę ojca z Robertem Kennedym.

– Martin Van Vert i jego poczynania – odparł sir James. – Jak mówiłem, klan Kennedych doskonale wie, kogo ród Van Vertów wspierał podczas ostatnich wyborów i kogo znowu wesprze w następnych: Richarda Nixona. Dla Kennedych Van Vertowie to nie

przeciwnicy, to wrogowie. Ten dokument będzie dla nich jak dar niebios, a darowanemu koniowi nie zagłąda się w zęby. Tak więc w kwestii autorstwa anonimu przyjmą taką hipotezę, jaka będzie dla nich wygodniejsza. FBI, CIA, Rosjanie... wszystko jedno.

Malcolm oczywiście odnotował, że wśród potencjalnych autorów sir James nie wymienił organizacji, z której wywodził się Ratz. I o to mu chodziło w całej tej rozmowie, która przeciągała się już ponad miarę.

– To cóż, ojczyzna, miękkiego lądowania w Ameryce.

– Nie zamierzam lądować w Ameryce, drogi chłopcze, lecz jak każdy cywilizowany arystokrata popłynąć tam statkiem – odrzekł z godnością lord Grey i wznosił szklaneczkę z whisky. – Za powodzenie naszej misji.

1963

26 stycznia

Lord Grey przybył do Hyannis Port w stanie Massachusetts poprzedniego dnia i spędził noc w posiadłości Kennedych. Gospodarz, Robert Kennedy, dojechał w nocy, gdy jego gość już spał. Na biurku rozległego gabinetu ojca, starego Joego Kennedy'ego, zastał kopertę, która miała tam na niego czekać. Znajdowała się w niej kopia anonimu, który otrzymali lord Grey i wywiad brytyjski. Brat prezydenta natychmiast ją otworzył i błyskawicznie zapoznał się z treścią. Następnie odłożył dokument, podszedł do barku i napił się wody sodowej prosto z butelki. Ponownie wziął do ręki anonim, usiadł w wygodnym fotelu klubowym i zaczął czytać po raz drugi, powoli i dokładnie, robiąc od czasu do czasu notatki na luźnej kartce. Gdy skończył, popadł w zadumę, a po chwili na jego twarz zabłąkał się lekko ironiczny uśmiech. Mimo późnej pory Robert Kennedy podszedł do stojącego na biurku telefonu i zadzwonił do brata, prezydenta Stanów Zjednoczonych. Rozmawiali przez kwadrans. Gdy skończyli, odruchowo zerknął na zegarek. Dochodziła druga. Czas na drzemkę – pomyślał i udał się do sypialni.

Teraz siedział naprzeciwko lorda Greya w tym samym gabinecie Joego Kennedy'ego, gdzie nad ranem czytał anonim, i przyglądał się swojemu gościowi z zainteresowaniem i sympatią.

– Świetnie pan wygląda, milordzie – powiedział. – Nie pan się nie zmienił przez te lata, odkąd widzieliśmy się ostatnio, chyba w czterdziestym ósmym roku w Londynie.

– Bardzo pan miły, panie ministrze... – zaczął stary lord.

– Proszę mi mówić po imieniu – wszedł mu w słowo brat prezydenta, a widząc cień wahania na twarzy gościa, szybko dodał: – Nalegam!

– No cóż, drogi Robercie, bardzo to uprzejme z twojej strony – odrzekł lord Grey, ujęty gestem gospodarza i jego bezpośredniością. – Ale na początek najważniejsze pytanie: jak się czuje ojciec?

– Dziękuję, jest już znacznie lepiej – odparł Kennedy. – Prawie doszedł do siebie, choć częściowy paraliż pozostanie. Kuruje się na Florydzie, bo gdyby tu był, na pewno skorzystałby z okazji, żeby się z panem spotkać. Zawsze wyrażał się o panu z najwyższym szacunkiem, jakby coś panu zawdzięczał.

– To stare dzieje, Robercie. – Lord Grey przypomniał sobie, jak wybijał z głowy ambasadora Joego Kennedy’ego nadmierny podziw dla Hitlera, i zmienił temat. – Piękna posiadłość i jaki wspaniały widok na morze!

– Przyznaję – zgodził się z nim gospodarz. – To kolejna inwestycja, która udała się mojemu ojcu. Główny dom zakupił w dwudziestym ósmym roku. W pięćdziesiątym szóstym mój brat Jack nabył niedaleko stąd własny dom, a Ted sprowadził się tu trzy lata później. Dwa lata temu odkupiłem dom od Teda. Mieszkamy tu wszyscy obok siebie. To wygodne i praktyczne, bo sprawujemy teraz funkcje publiczne i nie możemy się nagadać w Waszyngtonie.

– Wiem coś na ten temat – westchnął lord Grey. – Swego czasu Churchill i ja też nie mogliśmy się nagadać w Londynie i często razem jeździliśmy na weekendy do różnych wiejskich domów, z których słynie stara Anglia. Służba publiczna nigdy się nie kończy.

– Właśnie – podchwycił brat prezydenta. – Powróćmy zatem do celu pańskiej podróży. W nocy zapoznałem się z dokumentem, który pan przywiózł.

– I co pan o tym sądzi? – zapytał retorycznie lord Grey, doskonale świadomy, jakiej odpowiedzi może oczekiwać.

Robert Kennedy milczał chwilę, jakby układał sobie w głowie to, co chce powiedzieć staremu przedstawicielowi Imperium Brytyjskiego. Odchrząknął i zaczął mówić dobitnie i bez pośpiechu.

– Naprawdę wierzę w przeznaczenie Ameryki i misję dziejową mojego kraju. Wierzę, że wartości amerykańskie i sposób, w jaki funkcjonujemy w różnych aspektach życia, są słuszne i godne naśladowania. Przyjmując je, inne narody mogłyby lepiej żyć i szybciej się rozwijać. Głęboko wierzę w naszą konstytucję i literę prawa, bo stanowią podstawę amerykańskiego systemu i decydują o być albo nie być naszej republiki. Nawet lata spędzone w kręgach

politycznych Waszyngtonu w najmniejszym stopniu nie zachwiały mojej wiary w to, co przed chwilą powiedziałem. Wręcz odwrotnie. Utwierdziły mnie w przekonaniu, że takie rozumowanie jest niezbędne, jeżeli mój kraj ma przetrwać jako wielka demokracja i wzór do naśladowania dla innych narodów, które miały mniej szczęścia.

Lord Grey wnikliwie obserwował młodego gospodarza i uważnie słuchał jego słów. Dawno nie słyszał od żadnego polityka tak żarliwie idealistycznej deklaracji. Gdyby nie to, że siedzę tutaj i go obserwuję – pomyślał – nie uwierzyłbym w ani jedno jego słowo. Ale on nie udaje. On w to szczerze wierzy! Aż niewiarygodne!

– Mówię to panu, lordzie Grey, aby nie miał pan żadnych wątpliwości co do tego – kontynuował Kennedy – że działania opisane w dokumencie, który pan przywiózł, są zaprzeczeniem wszystkiego, w co mój brat i ja wierzymy, a nasz kraj od zawsze reprezentuje i pod naszymi rządami nadal reprezentować będzie...

– Robercie, dawno nie słyszałem takiej deklaracji wiary – stwierdził lord Grey – i bardzo mnie ona cieszy, gdyż jako stary już człowiek powoli tracę nadzieję, że w ludzkiej naturze dobro góruje nad złem.

– Dziękuję za te słowa, milordzie – odrzekł Robert. – Wracając zaś do tego dokumentu, to jest on wstrząsający. Jeżeli zawarte w nim informacje są prawdziwe, a zakładam, że tak jest, to mamy do czynienia z jakimś horrorem wywiadowczo-kryminalnym. Ale również politycznym, bo przecież to wszystko dzieje się w trakcie kadencji prezydenckiej mojego brata, za naszych rządów. Biorąc pod uwagę zaangażowanie w tę sprawę Van Vertów, naszych... nie waham się użyć tego określenia... wrogów, rzecz ma znamiona prowokacji. Czy oni chcą w ten sposób wysadzić naszą administrację? Pan jest doświadczonym człowiekiem, lordzie Grey, i bliskim współpracownikiem Winstona Churchilla, który stanowi niedościgniony wzór dla wszystkich polityków. Co pan sądzi o tej sprawie i co pan radzi?

Lord Grey, który przeszedł brytyjską, a więc najlepszą, szkołę polityki i dyplomacji, spodziewał się, rzecz jasna, takiego pytania i był na nie w pełni przygotowany. Ale jako dżentelmen starej daty

czuł pewien dyskomfort wywołany poczuciem konfliktu interesów. W końcu proszono go o radę w sprawie, w której jednak był w jakiś sposób stroną. Ale przecież – zauważył z gniewem – zabili tych, których kochałem. Pieprzyć rozterki duchowe – dodał w myślach na zakończenie.

– Przede wszystkim, zanim podejmie pan jakiegokolwiek działania czy kroki prawne – powiedział – musi pan zlecić weryfikację tez postawionych w dokumencie, aczkolwiek zakładam, że nie jest to żadna mistyfikacja. Następnie powinien pan jak najszybciej zlikwidować ten układ narkotykowy w waszym wywiadzie i powiązania z mafią. To niezwykle kompromitujące. Wywiady sojusznicze, w tym MI6, przestaną traktować was poważnie i dzielić się poufnymi informacjami. Przyznam szczerze, że nie sądziłem, iż któryś z synów starego Van Verta w taki sposób będzie pojmował rolę wywiadu. To smutne.

– Zna pan Victora Van Verta? – zainteresował się brat prezydenta, który nigdy nie spotkał jednego z najbogatszych ludzi Ameryki.

– Naturalnie – odparł Anglik, a widząc na twarzy rozmówcy wyraz lekkiego zdziwienia, wyjaśnił: – Na pewnym szczeblu władzy i układów towarzyskich wszyscy się znamy, w zasadzie każdy zna każdego, a jeśli nie zna osobiście, to zna kogoś, kto zna. To mały świat, ten nasz padół ziemski, Robercie, i ktoś musi nim zawiadywać, abyśmy się wszyscy nie pozabijali.

– Zapewniam pana, że mój brat i ja bezwzględnie przerwiemy ten narkotykowy biznes, a winnych ukarzymy – rzekł Robert.

– Jeżeli mogę coś zasugerować... – kontynuował lord Grey. – Warto dać Van Vertom i reszcie w CIA czytelny sygnał, że macie poważne zamiary i nie będziecie tolerować działalności przestępczej w tak newralgicznej instytucji państwowej, jaką jest wywiad.

– Co pan ma na myśli?

– Na twoim miejscu szybko posłałbym kogoś za kratki – odpowiedział powoli lord Grey, ważąc słowa. – Nie może to być Martin Van Vert czy ktoś z jego otoczenia z CIA, ale świetnie by tu się nadawał ten włoski gangster, ich wspólnik, Wuj Tomaso. A ty,

Robert Kennedy, jesteś przecież konstytucyjnie zobowiązany do posyłania mafiosów do więzienia. Byłoby to mocne i zdecydowane uderzenie w całą tę narkotykową szajkę.

Robert Kennedy z podziwem spojrział na starego Anglika. Ma facet łeb na karku – ocenił. Nie dziwnego, że Brytole podbili pół świata.

– To znakomity pomysł! – rzekł już na głos. – Jednym strzałem można upolować parę istotnych celów. Van Vertom dał jasny sygnał, że gramy ostro i prędzej czy później przyjdziemy także po nich. A Wuj Tomaso to stary drań i odsiadka mu się należy. Ponadto pogrozimy palcem całej CIA, mówiąc bez ogródek, że nie życzymy sobie takich działań. Tak, to będzie dobry manewr. Dziękuję, milordzie. Jak widać, jest pan w świetnej formie.

Dobrze wyszło – stwierdził w duchu lord Grey, którego słowa uznania ze strony młodego Kennedy’ego wprawiały w coraz większe zadowolenie. Malcolm nieźle kombinował, podsuwając mi sugestię aresztowania Wuja Tomasa. Skąd ten chłopak czerpie takie pomysły? – zadumał się.

Z tych rozważań wyrwało go pytanie gospodarza.

– Kto może być autorem tego dokumentu? Jak pan sądzi, milordzie?

– Zastanawiałem się nad tym, oczywiście, i potencjalnie autorem mogą być różne organizacje, gdyż nie wydaje mi się, aby to było dzieło jednego człowieka. Będę mówił prosto z mostu, więc proszę się nie obruszać...

– Nie ma takiej możliwości – zapewnił Robert.

– Z góry dziękuję – uśmiechnął się lord Grey. – Mogę sobie bez trudu wyobrazić sytuację, w której dokument ten napisał ktoś z... FBI. Abstrahując od znanej już niechęci jednej trzyliterowej instytucji do drugiej, to te nielegalne działania CIA zmuszają Biuro do statutowego przeciwdziałania, zwłaszcza że uczestniczy w nich jego były pracownik. Ale FBI może podjąć kroki jedynie wobec takich ludzi jak Wuj Tomaso, bo agenci CIA są, rzecz jasna, poza jego formalnoprawnym zasięgiem. Taka niemoc zaś rodzi tym większą chęć przyłożenia drugiej stronie. Anonim to idealny

instrument w podobnej sytuacji. A skierowanie go do MI6 i do mnie to świetne posunięcie. FBI doskonale przecież wie, jak mocno w tę sprawę był zaangażowany wywiad brytyjski i ja osobiście ze względu na dług wdzięczności wobec Ratza, o czym chyba wiesz, Robercie. Ludzie FBI, o ile to oni są autorami, nie wątpili, że otrzymawszy taki dokument, postanowimy zapoznać z nim najwyższe szczeble władzy w Stanach Zjednoczonych, a o to przecież im chodziło. Zakładali, że staniemy się niejako orędownikami tej sprawy. I nie pomylili się, bo oto jestem.

– Zgadzam się. To słuszne rozumowanie, a taki ruch byłby absolutnie w stylu Hoovera. To przebiegły stary lis. – Brat prezydenta pokiwał głową. – Kogo jeszcze pan typuje, milordzie?

– Następni w kolejce są ludzie w samej CIA – odrzekł Anglik. – Fachowcy od prawdziwego wywiadu, dla których działania Martina Van Verta i jego bandy, bo tak to trzeba nazwać, to obelga dla wizerunku Agencji i czyste awanturnictwo, dalekie od działalności wywiadowczej. I znowu posyłają pismo do nas, bo wiedzą, że pokażemy je wam, gdyż, jak powiedziałem wcześniej, to mały świat i na pewnym szczeblu wszyscy się znają. Choć niekoniecznie kochają...

– Okej, to kolejna logiczna hipoteza – zgodził się Kennedy. – A nie sądzi pan, że potencjalnym autorem mogłoby być jakieś obce mocarstwo? Rosjanie dla przykładu czy nawet Kubańczycy?

– Touché, panie przyszły prezydencie Stanów Zjednoczonych! – prawie wykrzyknął lord Grey. – Dokładnie tę możliwość miałem wymienić jako trzecią. Jeżeli to sprawka Rosjan lub ich kubańskich przyjaciół, to posyłają jednoznaczne ostrzeżenie: znamy dużo waszych wstydlivych sekretów, nie przeholujcie w sprawie rakiet na Kubie.

– Tak to odczytuję – odparł Robert. – Gdyby oni za tym stali, to faktycznie byłby to dowód, że dużo wiedzą. Mam ochotę udusić tego idiotę Martina Van Verta...

– Kubańczycy i Rosjanie i tak przypuszczalnie wszystko wiedzą, nawet jeśli to nie oni sporządzili anonim. W końcu ci pierwsi najprawdopodobniej wydusili te informacje od biednego Fargo w

Brazylii – chłodno analizował lord Grey – skoro jego notes znaleziono w kieszeni człowieka związanego z kubańskim wywiadem.

– No tak, zapomniałem o tym drobnym szczególe – przypomniał sobie Kennedy. – Boże, ilu takich kretynów jak Van Vert kryje jeszcze nasz wywiad!

– Proszę się nie denerwować, Robercie – lord Grey uspokajał młodego polityka. – Jeżeli to wpłynie na ukojenie twoich nerwów, to spieszę cię zapewnić, że każdy wywiad ma swoją grupę idiotów. W jednych okresach mniejszą, w innych większą. CIA nie jest pod tym względem instytucją wyjątkową. Nie mam wątpliwości, że gros personelu Agencji to przyzwoici fachowcy.

– Skoro pan tak mówi, milordzie, to musi pan wiedzieć coś, czego ja nie wiem – odparł Robert. – Przyjmuję, że tak jest, bo pana głęboka wiedza i doświadczenie stanowią gwarancję pańskich słów.

– Cieszę się, Robercie, że tak do tego podchodzisz, gdyż to jedyne rozsądne nastawienie do sprawy – podsumował lord Grey. – A teraz pytanie za sto funtów. Co zamierzasz zrobić, skoro już zapoznałeś się z anonimem?

– Nad ranem rozmawiałem z bratem i zreferowałem mu dokument – poinformował Kennedy. – Jutro prezydent Stanów Zjednoczonych sam panu powie, co zamierza w tej sprawie, gdyż akurat tak się składa, że od wielu tygodni planował spędzić ostatnią niedzielę stycznia w Hyannis Port. Dlatego muszę nalegać, aby został pan do poniedziałku, lordzie Grey.

– Będzie to dla mnie zaszczyt – odrzekł Brytyjczyk, zrećnie kryjąc zaskoczenie. – Sądzę, że dżentelmen w moim wieku może sobie pozwolić na parę dodatkowych dni wakacji w pięknej Ameryce.

– No to załatwione – ucieszył się Robert. – Chodźmy na lunch. Zapraszam!

27 stycznia

Dokładnie minutę po dwunastej do lorda Greya i Roberta Kennedy'ego, oczekujących w gabinecie, przyszedł John Kennedy, prezydent Stanów Zjednoczonych. Miał na sobie granatową marynarkę i jasne spodnie – strój kapitana jachtu.

– Witam serdecznie, lordzie Grey, w Ameryce i Hyannis Port – powiedział już od progu i podszedł do Anglika, by uścisnąć mu rękę. – To zaszczyt dla mnie móc tu pana powitać. Ojciec dużo mi o panu opowiadał. W Londynie wyprostował pan jego poglądy na pewne sprawy.

– To były interesujące dyskusje – przyznał Anglik, mile zaskoczony otwartością Johna Kennedy'ego.

– Z pewnością. Mama też mi o nich mówiła. Dzięki nim nie skończyliśmy w oczach towarzystwa jako wielbiciel Hitlera – rzekł prezydent i przywitał się z bratem. – Witaj, Robercie. Mam nadzieję, że zadbałeś należycie o naszego gościa.

Nie czekając na odpowiedź, gestem zaprosił swych rozmówców, by usiedli w fotelach.

– Mam sporo czasu, więc nie musimy się spieszyć – zaczął John Kennedy – a chciałbym poruszyć parę tematów. Najpierw dokument, który pan przywiózł, lordzie Grey. Przeczytałem go dokładnie dziś rano i Robert opowiedział mi o waszych dywagacjach na temat potencjalnych autorów. Otóż uważam, że zawarte w nim fakty są prawdziwe, co oczywiście nie tylko bardzo mnie smuci, ale też wkurwia, że się tak wyrażę. Autorstwo dokumentu jest sprawą wtórną, gdyż i tak nie ustalimy z całą pewnością, kto go napisał. Ważne, że to prawda. Możemy przyjąć najgorszą wersję, czyli że napisali to Rosjanie. Najgorszą przede wszystkim dla Van Vertów, bo wtedy ich wyczyny ocierają się o zdradę stanu, dając oręż do ręki naszemu głównemu przeciwnikowi, aby mógł wystąpić przeciw interesom Stanów Zjednoczonych.

– Mocno powiedziane, panie prezydencie – zauważył lord Grey. – Choć nie bez pewnej racji. Ale Van Vertowie to potężny ród i nie

przyjmą takiego werdyktu bez oporu.

– Oczywiście, że nie. Dlatego zamierzam poprosić starego Van Verta na rozmowę do Białego Domu i zapoznać go z tym dokumentem – zdecydował John Kennedy. – A tak na marginesie, lordzie Grey, proszę mówić do mnie Jack. Tak mówi do mnie ojciec i przyjaciele, a pana do nich zaliczam.

– Okej, Jack. Ty rządzisz w tym kraju – odpowiedział lord Grey, który nie zamierzał sprzeciwiać się prezydentowi Stanów Zjednoczonych. – Zaproszenie Victora Van Verta na rozmowę do Gabinetu Ovalnego to całkowicie słuszny krok. Tym bardziej że nie sądzę, aby do końca wiedział, co wyprawia i czym w CIA zajmuje się jego syn Martin. Jak wspomniałem wczoraj Robertowi, znam Victora. Jak każdy z nas, grzeszników, ma on wiele wad, ale nie jest głupcem ani awanturnikiem. Sądzę, że nigdy nie pozwoliłyby Martinowi na handel narkotykami pod płaszczykiem uprawiania działalności wywiadowczej. Nie dlatego, że brzydzi się narkotykami, bo mogę go sobie wyobrazić jako potentata w chińskich wojnach opiumowych. Victor nie pozwoliłyby na to, ponieważ wie, że gdyby prawda została ujawniona, to wizerunek rodu doznałby poważnego uszczerbku. Masz, Jack, świetnego haka na starego Victora i piękną kartę do rozegrania.

Prezydent pomyślał, że słusznie postąpił, udając się na spotkanie ze starym arystokratą.

– Nie pomyślałem o tym, że Victor Van Vert może nie wiedzieć, co kombinuje jego syn w naszym wywiadzie, ale to rzeczywiście logiczne. Fakt, że Victor nie jest głupcem – stwierdził prezydent i zwrócił się do swojego gościa: – A jak pan by rozegrał tę kartę, lordzie Grey?

– W trakcie rozmowy w Białym Domu nie atakowałbym Victora Van Verta – odpowiedział Anglik, który w swoim długim życiu nieraz widział, jak mądrzy ojcowie musieli świecić oczyma za głupotę własnych dzieci. – Jesteś, Jack, prezydentem Stanów Zjednoczonych i stać cię na wspaniałomyślność. Pokaż Victorowi, że współczujesz mu jako ojcu, i zapytaj go, co ty, prezydent, masz zrobić z grupą handlarzy narkotyków w samym sercu twojej administracji. Dorzuć, że najprawdopodobniej wiedzą o tym

Rosjanie i Kubańczycy, i to w trakcie kryzysu raketowego, nie mówiąc o brytyjskich sojusznikach. Niech Victor Van Vert ci powie, co masz zrobić z jego synem.

– Uważam, bracie, że to świetna taktyka – poparł starego lorda Robert Kennedy. – Dasz temu dupkowi jasno do zrozumienia, że na razie nie zamierzasz robić ze sprawy publicznego skandalu, ale w każdej chwili możesz zmienić zdanie. Będzie to zależało wyłącznie od tego, czy Van Vertowie będą grzeczni, czy nie. Nareszcie mamy w garści tych miłośników Richarda Nixona.

– Zgadzam się, panowie, to bardzo dobra taktyka i ją zastosuję. Nawiążę tym samym do słynnego powiedzenia Roosevelta: Speak softly and carry a big stick. Przemawiaj łagodnie i miej pod ręką duży kij – zaśmiał się prezydent.

– Akurat w przypadku rozmowy z Van Vertem takie nawiązanie do Roosevelta jest bardzo stosowne – zauważył lord Grey. – Roosevelt i Van Vert uczestniczyli w wojnie amerykańsko-hiszpańskiej i walczyli na Kubie. Roosevelt to dla Van Verta wzór godny naśladowania.

– W rzeczy samej! Ten drobny szczegół mi umknął. Pięknie się składa – ucieszył się Kennedy. – Skorzystam także z pana pomysłu, lordzie Grey, aby jednak posłać Van Vertom mocniejszy sygnał. Zapudłujemy tego ich gangstera, Wuja Tomasa. Zajmij się tym, Robercie, od strony formalnoprawnej, a ja powiem Hooverowi, że ten mafioso zagraża bezpieczeństwu narodowemu Stanów Zjednoczonych i jego miejsce jest za kratami. Edgar uwielbia takie zlecenia.

– Uznaj, bracie, sprawę za załatwioną – odrzekł minister sprawiedliwości. – Myślę, że z pomocą FBI niezbędny materiał dowodowy szybko się znajdzie.

Na pohybel ci, Tomaso – pomyślał nie bez satysfakcji lord Grey. Mam nadzieję, że zgnijesz w więzieniu! Szkoda, że nie jesteś młodszy, bo pod prysznicem byś się z dupą nie pozbierał.

– Okej, jedna sprawa załatwiona – rzekł John Kennedy. – Porozmawiajmy teraz o naprawdę poważnym problemie. Ma na imię Wietnam.

Lord Grey uniósł brwi i spojrzał na prezydenta. Czyżby chciał mojej rady w tej sprawie? – pomyślał. Jeżeli tak, to dobrze trafił. Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności jestem przygotowany. Dobrze przygotowany!

– Zamieniam się w słuch, Jack – rzekł lord Grey. – Jak mogę pomóc w takiej sprawie?

– Zaraz wytłumaczę – odpowiedział prezydent. – Wietnam Południowy jest jak wrzód na dupie. W końcu trzeba coś zrobić z ekspansją komunistów w tym kraju. Albo ich powstrzymać, albo się wycofać i niech Wietnamczycy załatwiają to między sobą. Tę decyzję muszę podjąć ja i muszę to zrobić szybko. Dlatego radzę się, kogo mogę. Pana również, lordzie Grey. Tym bardziej że ktoś mi mówił, że nieźle zna pan jednego z czołowych ekspertów od takich, nazwijmy to, wojen kolonialnych. Mam na myśli prezydenta de Gaulle’a, który niedawno gościł pana u siebie w Colombey. Strasznie trudna nazwa. Sam bym chętnie porozmawiał na ten temat z prezydentem Francji, ale stosunki pomiędzy naszymi krajami nie są ostatnio najlepsze.

– Ta posiadłość, Jack, to Colombey-les-Deux-Églises – uzupełnił lord Grey. – Cieszę się niezmiernie, że wywiad amerykański nie tylko handlem narkotykami stoi. Potwierdzam, Charles de Gaulle był łaskaw niedawno mnie przyjąć.

– Co on myśli o Wietnamie? Na pewno zna pan jego pogląd w tej sprawie. Co zrobiłby na moim miejscu? Co pan by zrobił? – dopytywał się John Kennedy.

Dociekliwość prezydenta Stanów Zjednoczonych nieco rozbawiła lorda Greya, ale nie dał tego po sobie poznać. Jednocześnie odrobina próżności, która w nim drzemała, jak w każdym człowieku, została mile połechtana: oto przywódca największego mocarstwa na świecie pragnie zasięgnąć jego rady. Postanowił nie owijać niczego w bawełnę i mówić szczerze.

– Masz rację, Jack, znam pogląd de Gaulle’a na tę sprawę i dokładnie wiem, co zrobiłby na twoim miejscu i co ja bym zrobił – odparł lord Grey. – Charles de Gaulle wycofałby się natychmiast z Wietnamu Południowego, tak jak niedawno wycofał się z Algierii.

Wietnam Południowy to pułapka. Wpadli w nią nie tak dawno Francuzi i zdaniem prezydenta Francji także Stany Zjednoczone są na najlepszej drodze, aby popełnić ten sam błąd, ale na znacznie większą skalę. Mam więc tylko jedną radę: wycofać się jak najszybciej, nie oglądając się na żadne względy. Według de Gaulle'a wojna lądowa w dżunglach Wietnamu to koszmar, a nade wszystko nie sposób jej wygrać.

Prezydent Stanów Zjednoczonych z uwagą wysłuchał brytyjskiego arystokraty i chyba odetchnął z ulgą.

– Bardzo dziękuję, lordzie Grey, zarówno za informacje, jak i radę – odrzekł. – Proszę oczywiście o dyskrecję, ale chcę pana poinformować, że właśnie podjąłem dokładnie taką decyzję.

– Gratuluję, Jack, bo to słuszna decyzja. Oszczędzisz swojemu krajowi dużo krwi, potu i łez, że sparafrazuję Winstona Churchilla, który notabene też uważa, że Wietnam Południowy byłby dla was pułapką – ocenił lord Grey.

– Podjąłem taką decyzję między innymi dlatego, że wszyscy wielcy generałowie amerykańscy, legendy naszej armii, MacArthur, Ridgway czy James Gavin, są absolutnie przeciwni jakiegokolwiek amerykańskiej wojnie lądowej w Azji. To lekcja wyniesiona z Korei. Jeżeli oni tak uważają, to kim ja jestem, żeby podważać ich ocenę? Komunizm powstrzymamy gdzie indziej i na naszych warunkach, a nie na warunkach przeciwnika. Do maja kazałem przygotować harmonogram naszego całkowitego wycofania się z Wietnamu Południowego i chciałbym zakończyć ten proces najpóźniej w sześćdziesiątym piątym roku. Uff, ulżyło mi! Teraz wie pan wszystko, lordzie Grey. Proszę zachować dyskrecję.

– Tak zrobię. To bardzo odważna i mądra decyzja, panie prezydencie – odpowiedział lord Grey poważnym głosem. – W dłuższej perspektywie przysporzy ci ona, Jack, wielkiej chwały, ale tu i teraz... potężnych i nieubłaganych wrogów.

– Nie wątpię, że republikanie z Nixonem na czele odsądzą mnie od czci i wiary – uśmiechnął się prezydent. – Powiedzą, że jestem niemalże komunistą.

– Nie tych wrogów miałem na myśli, Jack – odparł po chwili

milczenia i namysłu lord Grey. – Chodzi mi o mocodawców Nixona i jemu podobnych. Wycofanie się Ameryki z wojny w Wietnamie sprawi, że ktoś nie zarobi na niej wielkich pieniędzy. Wręcz gigantycznych. Do tych ludzi należy Victor Van Vert, którego ród dorabia się na handlu bronią od czasów waszej wojny secesyjnej. Dlaczego niby poparł Nixona w ostatnich wyborach prezydenckich? Bo wiedział, że republikanie i Nixon poprą wojnę w Wietnamie. Zadbali o to brat Victora, Frederick, który jest szarą eminencją Partii Republikańskiej w Izbie Reprezentantów. Victor Van Vert też zna Charlesa de Gaulle'a i wie od niego wszystko o Wietnamie. Ale nie chce mu uwierzyć, że Ameryka nie poradzi sobie z tą wojną, tak jak nie poradzi sobie Francuzi. Nie chce, bo uważa, że Ameryka poradzi sobie ze wszystkim, a poza tym jest mu tak wygodniej. Chce zarobić krocie, bo te pieniądze pozwolą mu sponsorować kolejnych Nixonów, a ci zapewnią kolejne wojny, na których Van Vertowie znowu zarobią. Czyż nie piękne perpetuum mobile?

– Ale ta wojna jest wbrew interesom naszego kraju – żachnął się brat prezydenta. – Przegrana nie przysporzy nam chwały. Parcie do niej to zdrada i brak patriotyzmu. Nie akceptuję tego.

– Victor Van Vert nie jest zdrajcą i nie brak mu patriotyzmu – spokojnie odpowiedział lord Grey. – On po prostu uważa, że imperium amerykańskie musi od czasu do czasu sprawdzić się w warunkach wojny. Pokazać wszystkim, kto rządzi na świecie, i krzawić wartości amerykańskie, o których sam, Robercie, wczoraj mówiłeś. A że przy okazji powiększy się fortuna Van Vertów... No cóż, to tylko świadczy o tym, że co dobre dla Van Vertów, to dobre dla Ameryki.

– To bardzo cyniczne, co pan mówi – gorączkował się Robert. – Musimy krzawić wartości amerykańskie, ale nie poprzez wojnę i nie na bagnietach naszych żołnierzy. Na pewno nie to miałem na myśli.

– Daj spokój, Robercie – odezwał się prezydent z ledwo zauważalną nutką zniecierpliwienia w głosie. – Lord Grey ma rację. Van Vertowie są takimi samymi patriotami jak my. Problem polega na tym, że ich rodzaj patriotyzmu może być obiektywnie niebezpieczny dla Stanów Zjednoczonych. Patriotyzm oparty na wojnie będzie odsuwał od nas inne narody, a nie przyciągał, tak jak

ty byś chciał. Takich patriotów jak Van Vertowie trzeba powstrzymywać. Dzięki dokumentowi, który przywiózł lord Grey, będzie to przez jakiś czas łatwiejsze. Ale tylko przez jakiś czas. Jedynym pewnym sposobem ograniczenia ich wariackich zapędów jest wygrywanie wyborów z tymi, których oni sponsorują. Trzeba mieć mandat narodu, aby ich kontrolować.

– Świetnie powiedziane, panie prezydencie! – stwierdził lord Grey, prawdziwie poruszony dojrzałością rozumowania Kennedy’ego. – Ale to nie będzie łatwa batalia, Jack. Van Vertowie mają licznych sprzymierzeńców. Nie tylko w samej Ameryce, ale i na całym świecie. Nie oni jedni zarabiają na zabijaniu. Musi pan być bardzo czujny i ostrożny. Van Vertów tego świata stać na bardzo wiele!

– Więc proszę mi pomagać tam, gdzie pan może, lordzie Grey – odpowiedział prezydent. – Liczy się każda para rąk na pokładzie, jak mówimy na morzu podczas sztormu. A teraz, panowie, chodźmy coś zjeść, bo strasznie zgłodniałem od tej polityki. A podczas lunchu, lordzie Grey, musi pan nam szczegółowo opowiedzieć, jak radziliście sobie z Winstonem Churchillem pod Omdurmanem.

22 lutego

W piątkowy wieczór prezydent Stanów Zjednoczonych zaprosił do Białego Domu nestora rodu Van Vertów, Victora. Po wymianie wstępnych uprzejmości dał swojemu gościowi do przeczytania dokument dostarczony przez lorda Greya. W miarę jak Victor Van Vert zapoznawał się z treścią anonimu, jego twarz na przemian to czerwieniała, to bladła. Ktoś inny w podobnej sytuacji być może wykrzyknąłby, że to falsyfikat, ale tak doświadczony gracz jak Victor był pewny, iż prezydent Stanów Zjednoczonych nie dawałby mu do czytania fałszywek. Postanowił więc wykorzystać okazję i dowiedzieć się możliwie najwięcej o dokumencie, który właśnie skończył czytać.

– Zakładam, panie prezydencie, że dokument jest wiarygodny, a zawarte w nim fakty zostały sprawdzone i nie są zwykłymi pomówieniami? – zapytał retorycznie gość.

– Stosownych sprawdzeń dokonały FBI, CIA i inne instytucje, co wykluczyło możliwość jakiegokolwiek pomyłki lub nieścisłości. Dokument jest prawdziwy – odpowiedział prezydent. – Inaczej nie dałbym go panu do przeczytania, gdyż to by mnie kompromitowało.

Victor Van Vert uśmiechnął się do siebie. Nie można odmówić temu młokosowi inteligencji – przyznał w duchu.

– Dlaczego pokazał mi pan ten list, panie prezydencie? – zapytał z wielką podejrzliwością. On na miejscu Kennedy’ego postąpiłby inaczej. Nie całkiem więc rozumiał, do czego jego oponent zmierza.

Ty stary draniu – pomyślał Kennedy. Nie jesteś nawet w stanie zrozumieć, czemu ktoś zachowuje się wobec ciebie w miarę przyzwoicie, zamiast za pomocą tego dokumentu zniszczyć twoją rodzinę. Wyjaśnię ci to łopatologicznie.

Uśmiechnął się.

– To proste, panie Van Vert. – Delektował się tą chwilą, gdyż wiedział, że każde jego słowo wbija się niczym szpilka w ciało interlokutora. – Wprawdzie pan nie lubi mnie, delikatnie mówiąc, ani ja nie przepadam za panem, ale pismo dotyczy pana syna Martina.

Pobłądził ostatnio, jak widać, ale od czasu wojny służył swojemu krajowi, niejednokrotnie z narażeniem życia. Jako przywódca Stanów Zjednoczonych nie mogę o tym zapominać, gdyż jestem prezydentem wszystkich Amerykanów i w czasie wojny też byłem żołnierzem. Nie zamierzam stawiać go przed sądem, choć obaj wiemy, że każdy sąd skazałby go i jego kolegów za te operacje narkotykowe, które prowadzili razem z nowojorską mafią. Wystarczy, że w więzieniu wylądował ten gangster Wuj Tomaso.

Celowo o tym wspomniał, uważnie obserwując reakcję rozmówcy. Choć Victor Van Vert starał się nie okazywać zdezorientowania, bardzo zaniepokoiły go wiadomości z ostatnich dni, gdy prasa rozpisywała się o przesłanej pocztą do centrali FBI w Waszyngtonie anonimowej paczce. Była w niej, upchnięta w karton po butach, sarta dokumentów, które wskazywały, że Sycylijczyk popełnił wiele przestępstw federalnych uzasadniających zastosowanie środka zapobiegawczego w postaci aresztu. Sąd bez sprzeciwu uwzględnił wniosek Biura w tej sprawie. Trwało postępowanie przygotowawcze przed procesem. Osobisty nadzór nad śledztwem zastrzegł sobie minister sprawiedliwości Robert Kennedy.

– Zapoznałem pana z tym dokumentem – kontynuował prezydent – aby dać Martinowi szansę honorowego wyjścia z trudnej sytuacji. Zamiast wywoływać publiczny skandal, zachowam ten dokument dla siebie. Nie popełnię w ten sposób przestępstwa, bo działam w stanie wyższej konieczności i oceniam, że ujawnienie tych faktów naruszałoby podstawowe interesy bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. W zamian Martin zrezygnuje z pracy w CIA. To chyba uczciwa propozycja?

Victor Van Vert analizował słowa Kennedy'ego. Stan wyższej konieczności, my ass! – pomyślał. Nie chcesz ujawnić treści dokumentu i rozprawić się z Martinem przed sądem, bo nie masz takiej potrzeby. Możesz to zrobić w każdej chwili, ty skurwysynu, a do tego czasu masz nas w garści. Wiesz, że przez ten kurewski papierek muszę ci jeść z ręki, bo możesz zapudłować mi syna i skompromitować mój ród. Nie mogę po sobie pokazać, jaki jestem wściekły, bo dałbym temu chłystkowi nadmiar satysfakcji. Żeby go szlag trafił!

– Rzekłbym, panie prezydencie, że to propozycja nie do odrzucenia – odpowiedział, siląc się na uśmiech.

– No to załatwione – odparł Kennedy. – Martinowi na pewno przyda się trochę odpoczynku po tak ekscytujących operacjach.

Victor Van Vert skinął głową, gdyż nie miał innego wyboru, ale na odchodnym odwrócił się do prezydenta i na wszelki wypadek zapytał:

– Kto jest autorem tego dokumentu i skąd on się w ogóle wziął?

– To wprawdzie tajemnica państwowa, ale powiem tak: mam szczerą nadzieję, że nie stworzyli go Rosjanie czy Kubańcy, bo to oznaczałoby dla panów wielkie kłopoty. Stworzenie zagrożenia dla bezpieczeństwa narodowego!

Van Vert natychmiast uświadomił sobie potencjalne konsekwencje ostatniej wypowiedzi prezydenta.

– Czy mogę liczyć na kopię? – zapytał. Męczyło go bowiem jedno z nazwisk, które dostrzegł w anonimie. Wiedział, że już gdzieś je słyszał, ale nie pamiętał gdzie. Zakotował je w pamięci: Jan Ratz.

Będę musiał zlecić sprawdzenie – pomyślał.

– Nie – uciął krótko John Kennedy i pożegnał swojego gościa, odprowadzając go do drzwi Gabinetu Ovalnego.

Z niewielkiego sąsiedniego pomieszczenia wyszedł Robert, który przysłuchiwał się całej rozmowie.

– Piękna wymiana zdań – ocenił. – Mamy w nim teraz śmiertelnego wroga. Cały ród będzie knuł, jak nas załatwić. Tym bardziej że z braku reakcji na informację, jak jego syn robił czarną kasę dla CIA, śmiało możemy wnioskować, że wiedział o tym cały czas. Van Vertowie nam nie darują.

– I wszyscy ich przyjaciele – dodał prezydent. – Ale tym dokumentem trzymamy ich za krótkie włoski na jankach, jak lubi mawiać mój wice, kochany Lyndon Johnson. Lorda Greya i autorów tego dokumentu należałoby ozłocić. Pamiętam, że lord ma syna. Zorientuj się, proszę, czym on się zajmuje, i zobaczymy, czy Stany Zjednoczone mogą jakoś podać mu pomocną dłoń.

– Załatwione, bracie – zapewnił go Robert.

24 lutego

W bibliotece siedziby rodzinnej na Long Island zebrali się wszyscy mężczyźni przedstawiciele klanu Van Vertów – nestor rodu Victor, jego brat Frederick, słynący z zamiłowania do dorobku intelektualnego encyklopedystów francuskich, oraz bracia Vick i Martin.

Victor Van Vert zarządził to spotkanie natychmiast po rozmowie z prezydentem. Doszło jednak do niego dopiero w niedzielny wieczór, gdyż wcześniej nie udało się skoordynować ich napiętych harmonogramów zajęć. Zresztą stary Van Vert doskonale wiedział, że na obecnym etapie pośpiech w niczym nie pomoże. Od godziny spokojnie referował zebranim to, co wyczytał w dokumencie udostępnionym mu w Gabinetce Owalnym, i przedstawiał szczegóły rozmowy z Kennedym.

– Tak się rzeczy mają – zakończył. – Zastanówmy się teraz, co z tym zrobić. Pole manewru widzę niewielkie...

Oczy wszystkich bez wyjątku członków rodu zwróciły się na Martina, ale w tych spojrzeniach nie było wyrzutu. Raczej oczekiwanie na trzeźwą ocenę sytuacji. Martin westchnął, bo wiedział, że musi zabrać głos, a odkąd ojciec zaczął przytaczać ujawnione w dokumencie szczegóły jego tajnych operacji narkotykowych, czuł, że zbiera mu się na wymioty, a jego budowana przez tyle lat kariera wywiadowcza rozpada się jak domek z kart.

– Co mogę powiedzieć? – rzekł w końcu. – Przykro mi, że wmanewrowałem nasz ród w tę sytuację, ale wywiad to nie przedszkole, a wszystkie moje działania akceptowali przełożeni.

– Nikt nie robi ci wyrzutów, Martinie – wszedł mu w słowo Frederick Van Vert. – Tak postępuje wiele wywiadów i nie byłoby żadnego problemu, gdyby prezydentem był nasz przyjaciel Richard Nixon. Może nawet uchodziłbyś za bohatera! Ale prezydentem jest, niestety, ten dupek Kennedy...

– Stało się tak, jak się stało, i nie ma co nad tym płakać, bo nie zmienimy przeszłości – wszedł stryjowi w słowo Vick, zarządzający na co dzień rodowym majątkiem. – Z mojego punktu widzenia

najważniejszym zadaniem w tej chwili jest zminimalizowanie szkód dla naszych interesów. A swoją drogą, Kochany bracie, to nieco przesadziliście z tą czarną kasą.

Martin chciał odpowiedzieć bratu, że każdy powinien wypowiadać się w kwestiach, na których się zna – on w sprawach wywiadu, a Vick w sprawach rodzinnego biznesu – lecz zanim zdążył otworzyć usta, odezwał się ich ojciec:

– Martin, jego koledzy i przełożeni działali w dobrze pojętym interesie Stanów Zjednoczonych, a więc także naszym. To, że dali się komuś na tym złapać, to zupełnie inna sprawa, wymagająca dogłębnego wyjaśnienia. Musimy się oczywiście dowiedzieć, kto jest autorem dokumentu, z którym zapoznano mnie w Białym Domu. Ale to nie ucieknie. Mamy bowiem ważniejsze problemy, które trzeba natychmiast przemyśleć, by podjąć kroki zaradcze. Nie tyle błyskawiczne, ile przede wszystkim skuteczne. Żeby tę porażkę przekuć w zwycięstwo.

Frederick, Martin i Vick Van Vertowie ucichli i zaczęli chłonąć każde słowo nestora ich długowiecznego rodu.

– Kennedy – mówił Victor Van Vert, jakby słowo „prezydent” nie chciało mu przejść przez gardło – dał mi do przeczytania ten dokument nie dlatego, że troszczy się o Martina, lecz by móc nas szantażować. To był jedyny cel zaproszenia mnie do Białego Domu. Kennedy jasno i bez ogródek dał mi do zrozumienia: uważaj, Victorze, bo w każdej chwili mogę posłać twojego syna za kratki, i to nie tylko za handel narkotykami, ale także za to, że jego działania zagrażały bezpieczeństwu narodowemu. Zapudłowali tego gangstera, Wuję Tomasa czy jak mu tam, aby nam udowodnić, że Martina też mogą zamknąć. A uwaga na odchodnym, że autorem dokumentu mogli być Rosjanie czy Kubańczycy, to groźenie palcem: widzisz, Victorze, twój syn dał naszym wrogom broń do ręki. Klan Kennedych ma nas, niestety, w garści i będzie się starał wykorzystać to politycznie.

– Bardzo mi przykro, ojczy... – odezwał się Martin, który dopiero teraz zaczął uświadamiać sobie złożone konsekwencje swoich operacji wywiadowczych i ich ewentualnego ujawnienia.

Ale ojciec uciszył go ruchem ręki.

– Jak słusznie zauważył Frederick, to nie twoja wina, chłopcze, lecz tych uzurpatorów w Białym Domu, Johna i Roberta Kennedych – powiedział dobitnie. – Nie obwiniaj się. Dobry Bóg ukarze ich obu. Ale to jeszcze nie jest nasz największy problem, drodzy panowie.

Martin spojrział osłupiały na ojca, gdyż nie bardzo mógł sobie wyobrazić coś jeszcze gorszego od kwestii, którą właśnie poruszali. Także Vick, który zawsze słuchał ojca z namaszczeniem, jeszcze bardziej wyteżył słuch.

– Mam informacje, wiarygodne i potwierdzone, więc w zasadzie pewne, że John Kennedy i jego otoczenie – zaczął mówić grobowym tonem Victor Van Vert – podjęli decyzję, aby nie angażować armii Stanów Zjednoczonych w wojnę lądową, czy jakkolwiek inną, w Wietnamie Południowym w celu powstrzymania tam komunizmu. W konsekwencji planują również wycofanie możliwie szybko tych symbolicznych sił zbrojnych, które mamy tam obecnie. Chcą pozostawić Wietnam Południowy na pastwę losu, a ściślej mówiąc, komunistów. Nie muszę wam mówić, co to oznacza dla wizerunku Ameryki i dla naszego rodu...

W bibliotece zaległo milczenie. Informacja, którą przekazał Victor, ogromnie wszystkich zaskoczyła.

Pierwszy odezwał się Vick.

– Jeżeli tak się stanie, to stracimy ogromne pieniądze, kilkadziesiąt, a może nawet kilkaset miliardów dolarów czystego zysku – mówił powoli. – Zresztą nie tylko my... Tych szaleńców Kennedych trzeba jakoś powstrzymać. To, o czym mówisz, ojcze, nie może się zdarzyć.

– Przede wszystkim Stany Zjednoczone stracą prestiż i rolę przywódcy wolnego świata – odezwał się Frederick Van Vert. – Klan Kennedych wyczuwa nastroje społeczne i klimat w Kongresie, gdzie też nikt nie pała chęcią wladowania się w wojnę lądową w Azji. Zwłaszcza po wypowiedziach MacArthura i innych generałów, którzy przed taką wojną przestrzegają. Gdyby jednak odpowiedni prezydent, chętny do walki z komunistami, ogłosił przystąpienie do wojny po stronie Wietnamu Południowego, to nastawienie Kongresu

dałoby się zmienić. Trzeba by nad tym popracować, aby osiągnąć sukces, ale dałoby się to zrobić. Wziąłbym to na siebie...

– Wszystko pięknie, drodzy panowie – odezwał się Martin. – Prawda jest jednak taka, że ten przeklęty klan Irlandczyków może rządzić Ameryką jeszcze długo, jeżeli obecny prezydent wygra następne wybory, a jego pieprzony brat Robert zasiądzie w Białym Domu na kolejne dwie kadencje. To zakrawa na jakiś koszmar. Nasz kraj może tego nie przeżyć.

– Bez paniki, panowie – studził nastroje nestor rodu. – Nasz kraj nie takie rzeczy i nie takich przywódców przeżywał, więc poradzi sobie ze wszystkim. Poradzi sobie także z klanem tych irlandzkich przybłędów. – Zwrócił się do brata i jednego z synów: – Pozwolicie, że zamienię parę słów z Martinem na osobności.

– Chodź, Vick, popływamy w basenie i pogrzejemy się w saunie – zaproponował Frederick i obaj ulotnili się z biblioteki.

Martin usiadł obok Victora na kanapie obitej bordową skórą i cierpliwie czekał, aż ten zacznie mówić. Uwielbiał ojca i wiedział, że zawsze może liczyć na jego wsparcie. Zdawał sobie sprawę, że dał Kennedyym do ręki oręż, za pomocą którego mogli upokarzać ich obu, i budziło to w nim gniew i nienawiść. Był jednak przekonany, że ojciec potrafi znaleźć właściwe wyjście z tej trudnej sytuacji, i nie zawiódł się.

– Odejdiesz z CIA, synu – rzekł Victor Van Vert głosem pełnym spokoju, lecz nieznośnym sprzeciwu, i uniósł prawą rękę, jakby chciał powstrzymać ewentualne protesty Martina. – Może na jakiś czas, a może na dobre. To się jeszcze okaże i będzie zależało od rozwoju sytuacji. Odejdiesz nie tylko dlatego, że w innym wypadku damy Kennedyym pretekst do wymierzonego w nas uderzenia, ale przede wszystkim dlatego, że twoje doświadczenie i wiedza zdobyte w wywiadzie potrzebne są gdzie indziej. Na znacznie ważniejszym froncie walki o interesy Ameryki, a tym samym o interesy Van Vertów, ale nie tylko.

– To brzmi bardzo intrygująco, ojcze. Jestem, rzecz jasna, do twojej całkowitej dyspozycji – odparł szczerze zaciekawiony Martin, który do tej chwili sądził, że służąc w CIA, znajduje się na pierwszej

linii najważniejszego frontu walki o globalne interesy Stanów Zjednoczonych.

Victor Van Vert wstał z kanapy i zaczął przechadzać się po bibliotece, mówiąc jednocześnie do Martina.

– Zrobię ci, synu, krótki wykład na temat mechanizmów, które rządzą tym światem, a które być może nie były dla ciebie oczywiste, gdyż pochłaniała cię praca w Agencji – tłumaczył. – Od zawsze światem rządzą pieniądze, a ściślej mówiąc, ludzie, którzy je mają. Nie dysponują, ale mają. Tacy jak my oraz jeszcze kilka rodzin w Ameryce i kilkadziesiąt w cywilizowanym i mniej cywilizowanym świecie. Większość tych rodzin zna się i utrzymuje bieżące kontakty towarzyskie, ale też, co znacznie ważniejsze, koordynuje różne swoje działania i interesy. Przede wszystkim skupiamy się na unikaniu konfliktów między sobą, a tam, gdzie jest to konieczne, wspieramy się i znajdujemy najbardziej optymalne rozwiązania dla wielu globalnych problemów. Nie zawsze wszystko wychodzi, ale bardzo się staramy. Robimy to dlatego, że na większości polityków i mądrości narodów, które ich wybierają czy tolerują, polegać, niestety, nie można. Oczywiście gros polityków i dyktatorów dochodzi do władzy i rządzi, bo im to umożliwiamy lub nie przeszkadzamy. Niekiedy jest nam obojętne, kto rządzi w wielu namiastkach państw na różnych kontynentach, gdyż i tak nie ma to wpływu na bieg losów tego świata. Ludzie mówią, że świat jest skomplikowany. Dla tych, którzy tak powiadają, z pewnością tak jest. Ale nie dla nas! Z naszego punktu widzenia świat jest mniej więcej tak skomplikowany jak mrowisko dla stojącego nad nim człowieka, który trzyma w jednej ręce długi, gruby kij, w drugiej płonąca pochodnię, a na nogach ma wysokie gumowe buty. W dole kłębią się miliardy żyjątek, dla których skomplikowanie ich bytu przerasta jakąkolwiek możliwość ogarnięcia go malutkimi rozumkami. Zresztą znakomita większość tych żyjątek nawet tego nie próbuje, bo tak jest zajęta swymi marnymi egzystencjami. Ale w tym mrowisku tkwi wielki potencjał nie tylko samozagłady, ale też niszczenia wszystkiego dookoła. Dlatego człowiek z długim, grubym kijem i pochodnią musi od czasu do czasu kontrolować te niszczycielskie masy. To jest podstawowe zadanie tej, nazwijmy to,

Ligi Rodów. Bywają sytuacje, gdy nagromadzone frustracje i gniew mrówek mieszkających w różnych częściach mrowiska czy państwach, jak kto woli, osiągają taki poziom, że należy dać im upust. Wtedy trzeba posłużyć się kijem lub pochodnią, niekiedy jednym i drugim, aby jedno pokolenie mrówek nawzajem się wybiło, a nowe zajęło się odbudową i nie miało czasu ani ochoty na dalszą destrukcję. Aż gniew i frustracja znów się odbudują. Czasem trzeba zamieszać kijem, aby mrówki zmieniły rządzącego nimi polityka lub dyktatora na takiego, który w naszej ocenie będzie gwarantował stosowną stabilizację. Bo naszym nadrzędnym celem jest zachowanie stabilizacji i równowagi w tym mrowisku, nawet jeżeli ich osiągnięciu ma służyć wojna, rewolucja czy też inne narzędzia apokalipsy. To, co mówię, może wydawać ci się brutalne, ale takie też jest mrowisko, które staramy się kontrolować. Dodam jednak, żeby nieco złagodzić obraz naszych działań, że zanim sięgniemy po arsenał apokalipsy, staramy się wpływać na nastroje mrowiska i je kształtować. Robimy to za pomocą prasy, telewizji, książek, filmów i co tam jeszcze można wymyślić, gdyż, jak się domyślasz, nasze rody je kontrolują.

Martin słuchał uważnie i nie komentował, gdyż wykład ten zmieniał jego dotychczasowe pojmowanie otaczającej go rzeczywistości.

– Oczywiście zdarzają się niekiedy aberracje, jak wtedy, gdy niektóre wielkie rody niemieckie naszej Ligi uległy, niestety, pewnej fascynacji Adolfem Hitlerem i zaślepiła je chciwość. Choć trzeba też przyznać, że spora część mrowiska europejskiego, i to nie tylko ta niemieckojęzyczna, przez długi czas patrzyła w Hitlera jak w obraz. W pewnym momencie nawet stary Joe Kennedy dał się nabrać. Ale ostatecznie poradziliśmy sobie także z nazizmem i militarystką japońską. W wyniku wojny nastąpiło, że się tak wyrażę, wielkie oczyszczenie świata i to była pozytywna strona wydarzeń, choć brzmi to cynicznie. W konsekwencji w mrowisku zapanował spokój, a nasz ród notabene nigdy tak dobrze nie zarobił na zaprowadzaniu globalnego porządku. Dzisiaj to komunizm zagraża stabilizacji w mrowisku i trzeba będzie się z nim rozprawić tak jak z nazizmem. Aby jednak ta rozprawa nie przerodziła się w konflikt światowy,

należy mu dawać odpór właśnie w takich miejscach jak Wietnam Południowy, bez względu na koszty. Kto tego nie rozumie, ten nie powinien urzędować w Białym Domu. To logiczne, prawda, drogi Martinie?

Mówiąc to, Victor Van Vert przestał chodzić i zatrzymał się przed siedzącym na bordowej kanapie synem.

– Oczywiście, ojciec, to bardzo logiczne – odparł Martin. – To, co mówisz, jest dla mnie nowe i fascynujące. Jakbym wyszedł z jaskini Platona, wspiął się na najwyższy szczyt i stamtąd oglądał ziemię. To inne spojrzenie i inny świat.

– Bardzo dobrze to ująłeś – pochwalił syna Victor, kontynuując swój spacer po bibliotece. – O to właśnie chodzi, aby patrzeć na mrowisko z góry! Ale skuteczna kontrola opiera się, jak sam, najlepiej wiesz, na wiedzy. Potrzebne są oczy i uszy, żeby wiedzieć, kogo, co, jak i gdzie kontrolować. Dlatego nasza Liga Rodzin ma własne struktury wywiadowcze.

Martin zaniemówił. Ojciec nie przestawał go zaskakiwać.

– Jak one działają? – zapytał w końcu młody Van Vert.

– Rody danego państwa, członkowie Ligi, tworzą krajowe struktury wywiadowcze – odpowiedział z uśmiechem i pewną dumą Victor Van Vert. – Wyjaśnię ci to na przykładzie Ameryki, gdyż to będzie najprostsze i ta wiedza ci się przyda. Wszystkie rody amerykańskie zrzeszone w Lidze są udziałowcami naszej rodzimej struktury wywiadowczej. Trochę jak w porządnej korporacji, aczkolwiek struktura nie jest nastawiona na zysk finansowy, lecz informacyjny, co ostatecznie i tak przekłada się na pieniądze. Udziałowcy finansują strukturę, zasilają ją kadrowo i wszelkimi niezbędnymi kontaktami oraz możliwościami działania i korzystają z pozyskanej przez nią wiedzy. Jednak w odróżnieniu od CIA nasza struktura działa nie tylko globalnie, lecz także na terenie samych Stanów Zjednoczonych. Nie ma żadnych sztucznych ograniczeń. Podstawowym wyznacznikiem jest zapotrzebowanie na konkretną wiedzę i granice państw nie mogą być tu przeszkodą. Wyznaczeni przedstawiciele poszczególnych struktur krajowych spotykają się od czasu do czasu ze swoimi odpowiednikami z innych krajów,

wymieniają się informacjami, koordynują działania struktur krajowych, tak aby nie wchodzić sobie w drogę, a w razie potrzeby podejmują wspólne przedsięwzięcia i operacje. Struktury krajowe, w tym i nasza amerykańska, mają swoich zaufanych ludzi w najróżniejszych przydatnych instytucjach państwowych, takich jak CIA, FBI, policja, ale też w Białym Domu. Wiedza państwa jest do naszej dyspozycji i dlatego struktura krajowa nie duplikuje jego działań, lecz zajmuje się w niezwykle wybiórczy sposób kwestiami strategicznymi.

Victor przerwał na chwilę wykład, podszedł do barku i nalał sobie kieliszek porto, po czym usiadł obok syna na skórzanej kanapie i kontynuował:

– Nie muszę dodawać, że funkcjonowanie wszystkich struktur krajowych, nie mówiąc o ich współpracy międzynarodowej, otacza najściślejsza tajemnica, a dobór ludzi do nich nigdy nie jest dziełem przypadku. Obecnie tak naprawdę liczą się struktury krajowe w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Francji, Niemczech Zachodnich, Japonii, Szwajcarii, Południowej Afryce i Izraelu. Utrzymujemy też kontakt z rodami w Meksyku, Brazylii, Argentynie, Indiach, Egipcie, Maroku, Kongu czy Australii, ale nie ma tam w pełni rozwiniętych struktur krajowych. Dodam, że mamy także głęboko zakonspirowanych rezydentów w kilku państwach komunistycznych. Oczywiście w samym Związku Radzieckim, ale i w Chińskiej Republice Ludowej, na Kubie i w Polsce. Udziałowcy struktur krajowych liczących się państw, które wymieniłem na samym początku, postanowili jakiś czas temu, że globalnym koordynatorem działań informacyjnych i operacyjnych będzie amerykańska struktura krajowa, a struktura brytyjska odegra rolę wspomagającą, gotowa w każdej chwili przejąć funkcję koordynatora na wypadek nieprzewidzianych kataklizmów. Dlatego została w pełni wprowadzona we wszystkie nasze działania. Tak to mniej więcej wygląda w największym skrócie, mój drogi Martinie. System jest sprawny i wydajny, sprawdza się w działaniu i w zasadniczy sposób ułatwia nam kontrolę nad mrowiskiem. I co sądzisz o naszym wywiadzie równoległym?

– To jest po prostu genialne, ojcze – odpowiedział Martin,

oszołomiony ogromnym potencjałem globalnej władzy, jaki zarysował przed nim Victor Van Vert. – Bo przecież mechanizm jest prosty, ale jego działanie skomplikowane i wiem z doświadczenia, ile pracy wymaga skuteczne zarządzanie taką strukturą.

– Bingo, synu! – prawie wykrzyknął Victor. – Cieszę się niezmiernie, że to rozumiesz, gdyż oznacza to, iż jesteś przygotowany do roli, jaką wyznaczylimy ci w naszej amerykańskiej strukturze krajowej.

– To brzmi bardzo obiecująco, ale czy jestem godzien tego zadania? – krygował się Martin, doskonale wiedząc, że poradzi sobie z każdym zadaniem w sferze wywiadu.

– Oczywiście, że jesteś godzien – odparł ojciec. – Gdybyśmy ja i moi przyjaciele myśleli inaczej, to nigdy nie dostałbyś propozycji, o której za moment. Wspomniałem wcześniej, że w doborze kadr do struktur krajowych nie ma przypadku, gdyż jedynie taka rekrutacja zapewnia wymagany stopień tajemnicy. Liga Rodów funkcjonuje prawie sto lat i, jak widzisz, nie trafia na pierwsze strony gazet... abstrahując od faktu, że większość tych gazet to nasza własność. Cała działalność pozostaje tajemnicą głównie dlatego, że ludzi, którzy znają jej mechanizmy, dobieramy spośród rodów. Tu nie ma miejsca na najemników. Posługujemy się najemnikami, rzecz jasna, i to wieloma, ale w sposób głęboko zakonspirowany, tak aby byli przekonani, że wykonują zlecenia prywatnych czy państwowych firm. Natomiast wszystkie funkcje merytoryczne zastrzeżone są dla naszych potomków, obojga płci. Dlatego twoja kariera w CIA nie była przypadkiem. Posłałem cię tam jeszcze w czasie wojny, abyś nauczył się fachu wywiadowczego, który teraz będzie służył nam. Jest to swoista danina, jaką płaci każdy ród dla dobra wspólnego.

– Nie odbieram tego jako daniny, ojcze. Praca w OSS i w CIA zawsze była dla mnie zaszczytem i z wielkim żalem odejdę z Agencji, ale wiem, że nie mamy wyboru.

– Głęboko wierzę, że jest to stan przejściowy – odparł z godnością stary Van Vert. – Ale nawet gdyby nie szantaż Kennedych, to i tak musiałbyś odejść z CIA i na jakiś czas przejść do naszych struktur krajowych, aby poznać specyfikę ich działania, a nade wszystko charakter realizowanych zadań informacyjnych i

operacyjnych. Po odbyciu takiej kilkuletniej praktyki wrócisz do CIA na jej szefa lub jego zastępcę. A jeżeli ulokujemy w Białym Domu naszego prezydenta, nad czym nieustannie pracujemy, to zostaniesz jego nieoficjalnym doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego. Działamy w ten sposób od wielu pokoleń, gdy jeszcze nie było CIA i FBI, i mamy sprawdzone procedury.

Martin, któremu każda wypowiedź ojca poszerzała horyzonty, próbował wszystkie te informacje poszufladkować i poukładać sobie w głowie.

– W jakiej roli widziałbyś mnie w naszych strukturach krajowych, ojcze? – zapytał z nieskrywaną ciekawością.

– Tę kwestię zaraz ci wytłumaczy ktoś znacznie bardziej biegły w temacie aniżeli twój stary ojciec – odrzekł Victor Van Vert, podszedł do biurka i podniósł słuchawkę telefonu. – Pozwól do nas do biblioteki – powiedział do osoby na drugim końcu linii.

Dosłownie po minucie otworzyły się drzwi i stanął w nich Frederick Van Vert.

– Usiądź z nami, Fredericku – rzekł nestor rodu, a następnie zwrócił się do syna: – Nasz drogi Frederick, Martinie, jest szefem amerykańskiej struktury krajowej. Opowie ci o niej i o tym, co miałbyś w jej ramach robić. Pójdę się położyć, gdyż to portu mnie rozleniwiło, a wy sobie pogadajcie.

Victor Van Vert opuścił bibliotekę i udał się do swojej sypialni. Frederick i Martin usiedli naprzeciwko siebie i członek Izby Reprezentantów zaczął mówić.

– Nasza struktura krajowa jest jedną z najstarszych na świecie, a na pewno najsilniejszą. Jak niewątpliwie wspomniał ci ojciec, pełnimy też funkcję globalnego koordynatora wszystkich struktur krajowych. I tu dochodzimy, drogi Martinie, do roli, jaką przewidzieliśmy dla ciebie. Ja wprawdzie jestem szefem całej struktury amerykańskiej i decyduję o wielu kwestiach strategicznych, ale za pracę bieżącą, tę codzienną, zawsze odpowiada koordynator krajowy, moja prawa ręka i faktyczny zastępca. Obecny koordynator lada dzień odejdzie na zasłużoną emeryturę i chcemy, abyś ty go zastąpił na tym newralgicznym stanowisku.

Martin, który zdążył już ochłonąć z osłupienia, w jakie wprawiło go wejście Fredericka i świadomość, że to właśnie on jest szefem amerykańskiej struktury krajowej organizacji wywiadowczej Ligi Rodów, przyjął propozycję ze spokojem i opanowaniem godnym weterana OSS i CIA.

– Będzie to dla mnie, drogi stryju, wielkim zaszczytem i nie zawiodę ani ojca, ani ciebie – odrzekł. – Wasza oferta stanowi ukoronowanie mojej dotychczasowej kariery wywiadowczej.

– Jestem przekonany, że to dopiero początek spraw wielkich i ważnych, które cię czekają – kontynuował kongresmen. – Za kilka lat, gdy sprawdzisz się w roli naszego koordynatora krajowego, a nie mam co do tego żadnych wątpliwości, zostaniesz jednym z tutejszych decydentów. Jak się domyślasz, decydentami nie zawsze są politycy, którzy pełnią określone funkcje i zajmują takie czy inne stołki. Dotyczy to także prezydenta Stanów Zjednoczonych, i to częściej, niż ci się wydaje, o czym już niedługo sam się przekonasz. W najbliższym czasie poznasz wiele osób, które są naszymi rezydentami w różnych agendach i instytucjach federalnych, stanowych, ale także międzynarodowych. Współpracując z nimi, musisz przestrzegać jednej podstawowej zasady: to oni przekazują ci informacje, od ciebie zaś nie dowiadują się niczego, jedynie otrzymują polecenia. W tym sensie to ulica jednokierunkowa. Naczelną zasadą jest need to know – wiedzieć wyłącznie tyle, ile trzeba, by realizować nasze zadania! Większość tych ludzi jest przez strukturę wynagradzana, i to niemałymi sumami. Często dwukrotnością tego, co zarabiają oficjalnie. Zapewnia to ich lojalność i dyspozycyjność. Ale sfera finansowa podlega wyłącznie mnie. Jako moja prawa ręka i osoba, która musiałaby przejąć moje obowiązki, gdybym niespodziewanie rozstał się z tym światem, zostaniesz zapoznany ze wszystkimi procedurami, które pozwolą ci w sytuacji kryzysowej objąć po mnie schedę i zapewnić niezakłócone działanie naszej struktury krajowej. A teraz pomówmy o twoich nowych obowiązkach.

– No właśnie, jestem niezmiernie ciekaw, jak mam funkcjonować w tej nowej roli – wszedł stryjowi w słowo Martin.

– Najpierw opowiem ci o obowiązkach koordynatora struktury

krajowej, a następnie o instytucji przykrycia... bo tak to chyba nazywacie w wywiadzie... w której te obowiązki będziesz wypełniał – odpowiedział Frederick z uśmiechem, najwyraźniej zadowolony z możliwości popisania się fachowym terminem.

– Chłonę każde twoje słowo – zapewnił stryja Martin.

– Pozwolę sobie zastosować analogię biznesową – zaczął Frederick. – Koordynator struktury krajowej to jak CEO, dyrektor generalny korporacji. Odpowiada za codzienne zarządzanie firmą i podejmuje decyzje w sprawach bieżących. On... albo jego personel, o czym za chwilę... utrzymuje kontakt z rezydentami struktury w instytucjach amerykańskich i międzynarodowych, a także ze strukturami krajowymi w innych państwach. Koordynator odpowiada za finalny produkt tych wysiłków, jakim są informacje wywiadowcze, trafiające bezpośrednio do mnie. Ja odgrywam rolę rady nadzorczej, w której zasiadają udziałowcy. Nie jest to zatem malowana rada nadzorcza, gotowa klepnąć wszystko, co przedstawi jej zarząd, lecz rada aktywnie nadzorująca funkcjonowanie korporacji. Oparta na bezpośrednim bieżącym kontakcie z walnym zgromadzeniem udziałowców, którzy obracając się w światowej elicie elit, utrzymują z kolei kontakt ze wszystkimi liczącymi się w świecie osobistościami. Mają więc także dostęp do ich wiedzy i informacji. Koordynator i ja spotykamy się regularnie w ramach bieżącej współpracy, ale w odróżnieniu od innych korporacji koordynator ma też regularny dostęp do udziałowców i ich wiedzy, niekiedy bardzo nieformalnej. Dlatego koordynatorem jest zawsze ktoś z rodziny jednego z udziałowców, czyli rodów amerykańskich, gdyż jest to stanowisko najwyższego zaufania. Podobnie jak moje. Bo więzy krwi najskuteczniej wykluczają zdradę lub brak odpowiedzialności.

– A były takie przypadki? – zainteresował się Martin, kierowany profesjonalną ciekawością, ale też instynktem samozachowawczym.

Frederick Van Vert, po którym było widać, że lubi dobrze zjeść i wypić, z trudem podniósł się z fotela i podszedł do barku. Rzucił okiem na baterię najlepszych i najstarszych markowych alkoholi, po czym pogrzebał między nimi i wydobył płaską półlitrową butelkę pospolitego jacka danielsa. Uśmiech triumfu rozjaśnił jego nalaną,

ogorzałą twarz. Zaczął sięgać po szklaneczkę i lód, gdy nagle wspomnienia z przeszłości spowodowały, że się rozmyślił. Wziął butelkę i ponownie zajął swoje miejsce w fotelu. Trzymał ją niemal pieczołotliwie i przez moment głośno śmiał się do siebie. Nagle zamilkł, szybkim ruchem odkorkował butelkę, pociągnął potężny łyk, zaraz potem następnym i zakorkował.

Martin obserwował stryja z rosnącym zainteresowaniem, ale bez niepokoju.

– Wybacz, Martinie – odezwał się Frederick, przełknąwszy whisky. – To wspomnienia z wojny na Pacyfiku i patroszenia tej żółtej zarazy. Już jest okej. O czym to mówiliśmy? Aha, czy były takie przypadki! Nigdy się nie zdarzyło, aby ktoś z pracowników merytorycznych ujawnił cokolwiek mediom czy naszym wrogom. W tym sensie przyjęty system rekrutacji opartej na więzach krwi zdaje egzamin od wielu pokoleń. Notabene nie my jedni go stosujemy. Rothschildowie przestrzegali go od samego początku i dzięki temu do dziś odnoszą wielkie sukcesy. Zdarzały się natomiast nieprzyjemne incydenty, kiedy członkowie rodów, obarczeni poważnymi i odpowiedzialnymi zadaniami w naszej strukturze, zachowywali się nieodpowiedzialnie i niepoważnie. Ale zawsze udawało się przywołać takich ludzi do porządku, a szkody ograniczyć do minimum. Dzieje się tak między innymi dlatego, że za daną osobę odpowiada ród, który delegował ją do struktury. Jest to odpowiedzialność całkowita i bezwzględna: odium nieodpowiedzialności takiego człowieka spada na ród, a to rodzi konsekwencje towarzyskie, wizerunkowe i finansowe, uderza zatem w te aspekty życia, które w naszych sferach były od zawsze traktowane z wielką powagą. To niezwykle skuteczny mechanizm kontroli, ale nacechowany pewną subtelnością, stanowiącą istotną wartość w naszych kręgach. Zgodzisz się, Martinie?

– Ależ oczywiście – pospieszył z odpowiedzią przyszedł koordynator. – Namiastkę takiego systemu starałem się wprowadzać w CIA, tam, gdzie umożliwił to materiał ludzki. Zawsze wychodziłem z założenia, że kolektyw powinien jakoś brać odpowiedzialność za swoich członków. Teraz, gdy wiem, że system taki od dziesiątków lat zdaje egzamin w naszej strukturze, podpisuję

się pod nim obiema rękami!

– To dobrze, Martinie, to dobrze – pochwalił Frederick. – Pomówmy teraz o instytucji przykrycia, która pozwala strukturze skutecznie funkcjonować. Rzecz jasna, przez te wszystkie lata naszego istnienia bywały różne przykrycia działalności Ligi Rodów. Czasami firma, fundacja charytatywna, stowarzyszenie dobroczynne lub klub tematyczny. Na przykład miłośników rzadkiego kwiatu z dorzecza Amazonii, bo któryś z moich poprzedników wpadł i na taki pomysł.

– Wcale niezły – fachowo skomentował Martin. – A jak jest dzisiaj?

– W roku bieżącym instytucją przykrycia jest jeden z wielu komitetów doradczych, jakie funkcjonują w naszym kraju – odparł z uśmiechem Frederick. – Nosi nazwę Instytut Erudycji i formalnie zajmuje się krzewieniem nauk encyklopedystów francuskich, podkreślając zwłaszcza aktualność ich przesłania w dzisiejszych trudnych czasach...

– Świetne! – ocenił z podziwem Martin, który nigdy nawet nie podejrzewał, że ogólnie znane zainteresowania stryja mają też swój ukryty aspekt. – Nobliwe i niekontrowersyjne. Nie zwraca też niepotrzebnej uwagi.

– Prawda? – rzekł Frederick. – O to nam właśnie chodziło. Aby przedmiotem działalności naszej instytucji przykrycia było coś niewinnego, ale godnego. Instytut Erudycji ma siedzibę w Waszyngtonie, w dzielnicy Georgetown, ma się rozumieć, elegancką, lecz skromną, aby nie rzucała się w oczy. Ma jednak znaczącą filię w Nowym Jorku, który jest znacznie bardziej anonimowy aniżeli stolica i gdzie o wiele łatwiej stać się niewidocznym. Tam właśnie prowadzona jest zasadnicza praca operacyjna i funkcjonuje większość personelu. Będziesz więc urzędował głównie w Nowym Jorku. Ja natomiast raczej działam w Waszyngtonie, zwłaszcza że uchodzę za autorytet w dziedzinie dorobku encyklopedystów francuskich...

– No jasne! Zawsze nim byłeś, odkąd pamiętam – żywo odpowiedział Martin. – Przedmiot działania Instytutu Erudycji i

sama nazwa to oczywiście twój pomysł.

– Oczywiście! Jakżeby inaczej! – odparł Frederick, śmiejąc się serdecznie, i poczęstował się kolejnym potężnym łykiem z płaskiej butelki jacka danielsa.

Rozmawiali jeszcze długo, gdyż Frederick cierpliwie i metodycznie zapoznawał bratanka z tożsamością rezydentów struktury krajowej w amerykańskich instytucjach federalnych, stanowych i wszystkich innych. Gdy skończył, rozpoczął prezentację rezydentów za granicą, a następnie odpowiedników Martina, koordynatorów struktur krajowych w liczących się państwach świata. Na sam koniec pozostawił ujawnienie tożsamości rezydentów w krajach za żelazną kurtyną, w tym także w Chinach.

– W Polsce mamy klasyczną sytuację – mówił Frederick, zbliżając się już do końca tej wyliczanki. – Polacy mogą się pochwalić ciekawym premierem. To były więzień obozu koncentracyjnego w Auschwitz. Działał tam w obozowym ruchu oporu, więc, jak się domyślasz, to twardy człowiek i bardzo inteligentny. Jest także mocno zabawowy i uwielbia piękne kobiety. Jedną z jego kochanek, taka bardziej stała, to właśnie nasz rezydent. Jej nazwisko podam ci w Instytucie Erudycji, gdyż nie jestem w stanie prawidłowo go wymówić ani nawet poprawnie przeliterować.

– Kochanka premiera! – ożywił się Martin. – Dla CIA, jak pamiętam, Polska zawsze była ciekawym celem i chyba moi koledzy ze służby dużo by dali, żeby mieć taką agentkę.

– Ta kobieta, nasz rezydent, to znacznie więcej aniżeli agent – poprawił go Frederick. – To nie jest po prostu dama do łóżka. Ona potrafi wpływać na politykę państwa, a czasem nawet ją kształtować.

Dochodziła północ. Frederick dopił whisky i poczuł się zmęczony, podobnie jak i Martin, który systematycznie sączył porto.

– Chyba wystarczy na dzisiaj, drogi Martinie – rzekł Frederick. – Warto zostawić nieco tajemnic na deszczowy dzień. Idziemy spać!

– Nolo contendere, jak mówią prawnicy – zgodził się Martin.

I rozeszli się do swoich sypialni.

25 lutego

Martin obudził się przed szóstą i jak co rano przebiegł dziesięć kilometrów. Robił to od wielu lat, wszędzie, gdziekolwiek się znajdował i bez względu na pogodę. Pokonanie trasy zajęło mu około czterdziestu minut. Powietrze wokół rodowej rezydencji na Long Island było świeże i rześkie, zwłaszcza gdy od morza wiała bryza. W Nowym Jorku biegał po Central Parku, gdyż mieszkał w kilkusetmetrowym apartamencie nieopodal.

Prysznic i poranna toaleta zajęły mu pół godziny. Postanowił włożyć granatowy garnitur, błękitną koszulę i ciemny krawat w ukośne żółte pasy. Potem zszedł do jadalni na śniadanie. Dochodziło wpół do ósmej.

Przy stole siedział już Frederick i pił świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy. Na jego twarzy nie było widać śladu zmęczenia spowodowanego wypitym poprzedniego wieczoru alkoholem. Martin usiadł naprzeciwko stryja. U filipińskiej służącej, która natychmiast się przy nim zjawiała, zamówił trzy jajka sadzone na bekonie, z pomidorami i pieczarkami.

– Śniadanie to podstawowy posiłek dnia, Fredericku – poinformował stryja, popijając sok pomarańczowy.

– Gdzieś to już słyszałem, drogi bratanku. Pewnie od ciebie, bo powtarzasz mi to za każdym razem, gdy mamy okazję wspólnie jeść śniadanie – odparł Frederick. – Zapomniałeś dodać, że wstępem do dużego śniadania jest poranny jogging...

– Jednak zapamiętałeś coś, co może przedłużyć ci życie – przekomarzał się Martin, gdy wróciła służąca, niosąc tacę z jajkami na bekonie i dzbankiem kawy.

– Różnica między nami będzie taka, że umrzesz zdrowszy. O ile bieganie nie załatwi ci stawów kolanowych lub biodrowych – zrewanżował się kongresmen. – Ale dosyć gadania o zdrowiu. Dzisiaj zabiorę cię do siedziby Instytutu Erudycji w Nowym Jorku, gdzie będziesz urzędował i pilnował interesów naszych i kilku zaprzyjaźnionych rodzin. Oprowadzę cię i zapoznam z ludźmi, z

którymi będziesz pracował. Spotkamy się też z interesującym człowiekiem.

– Z kim? – zapytał Martin.

– To niespodzianka. Ale człowiek ten pracuje dla naszych struktur już od paru lat.

Martin skończył śniadanie i razem ze stryjem wyszli przed rezydencję, gdzie czekał już na nich wielki czarny cadillac. Rozsiedli się wygodnie na tylnym siedzeniu.

– Do Instytutu – polecił Frederick kierowcy i samochód pomknął wzdłuż Long Island w stronę miasta.

Nowojorska siedziba Instytutu Erudycji mieściła się w wielkim apartamentowcu przy Park Avenue, nieopodal hotelu Waldorf-Astoria. Był to jeden z najbardziej reprezentacyjnych zakątków Nowego Jorku, gdzie z powodu wysokich cen mieszkań i biur skupiali się jedynie najbogatsi. Jak Van Vertowie i ich nieliczni przyjaciele.

Czarny cadillac zatrzymał się przed budynkiem. Kierowca wysiadł, obszedł pojazd od przodu i otworzył tylne drzwi. Życzył swoim pasażerom i chlebodawcom miłego dnia, a oni odwzajemnili życzenia, gdyż zostali wychowani w duchu zdrowego protestanckiego szacunku do ludzi, którzy im usługiwali.

Frederick i Martin przywitani się skinieniem z ubranym w liberię i wysoki kapelusz odźwiernym o wyglądzie zapaśnika wagi ciężkiej, mierzącym prawie dwa metry wzrostu. Przez obrotowe drzwi weszli do wielkiego eleganckiego westybulu wyłożonego marmurem w różnych odcieniach brązu i beżu. W takich samych odcieniach były liczne skórzane kanapy i fotele. Jedynym odstępstwem od tej brązowo-beżowej tonacji była zieleń licznych palm posadzonych w ciężkich miedzianych naczyniach, ułożonych strategicznie wokół skórzanych mebli niczym zielone parawany. Stojący za marmurowym kontuarem recepcji młody mężczyzna w czarnym garniturze, białej koszuli i bordowym krawacie ukłonił się z szacunkiem obu przybyszom, którzy odwzajemnili pozdrowienie.

– Wytwornie tu – zauważył Martin, który miał oko do detali, zwłaszcza jeżeli tworzyły przemyślaną estetyczną kompozycję.

– I bezpiecznie – odrzekł jego stryj. – Mysz się nie prześlizgnie bez pozwolenia.

Instytut Erudycji zajmował całe ostatnie piętro. Do biura bracia wjechali specjalną windą obsługującą wyłącznie Instytut.

Masywne drzwi biura z jasnego dębu otworzyła im młoda kobieta, zanim którykolwiek z nich zapukał lub zadzwonił.

Weszli do dużego salonu wysokiego na cztery metry. Wszystkie ściany wyłożone były boazerią z jasnego dębu. Na wprost wejścia znajdowało się olbrzymie lustro w pozłacanych, rzeźbionych ramach. Drzwi w bocznych ścianach prowadziły do dalszych pomieszczeń Instytutu. Podłogę pokrywała jasnobezowa wykładzina. Pośrodku, naprzeciwko siebie, stały dwie olbrzymie skórzane kanapy, a między nimi przeszklony niski stolik do kawy.

– Witaj, Susan – rzekł Frederick do młodej kobiety. – Przedstawiam ci mojego bratanka Martina.

– Miło mi. Cieszę się, że będziemy razem pracować – odparła.

– Mnie również – odrzekł były oficer CIA i przyjrzał jej się uważnie.

Susan miała przypuszczalnie około trzydziestu pięciu lat i długie ognistorude włosy. Jasna skóra delikatnie zaokrąglonej twarzy upstrzona była piegami. Idealna figura o mocnej budowie, podkreślona dopasowaną ciemną garsonką, dopełniała niezwykle przyjemną dla oka całość.

– Susan odpowiada u nas za bezpieczeństwo – poinformował bratanka Frederick. – Przez dziesięć lat służyła w policji stanowej w Houston w Teksasie. Jest strzelcem wyborowym i potrafi z kolta odstrzelić komarowi jajka. Zgadza się, Susan?

– Jeżeli tylko komar nie jest eunuchem, to da się zrobić – odparła ze śmiechem, z zaciągającym teksańskim akcentem.

– Pokażę ci coś, Martinie, zanim pójdziemy dalej – rzekł Frederick i podszedł do wielkiego lustra. W połowie lewego boku ramy nacisnął niewidoczny guzik i otworzyły się ukryte w dębowej boazerii wąskie drzwi. Uśmiechnął się do Martina. – Zapraszam do środka. To nasze małe centrum szybkiego reagowania.

Cała trójka weszła do sporego pomieszczenia. Przebywał w nim

średniego wzrostu, mocno zbudowany i krótko ostrzyżony mężczyzna o postawie wojskowego, ubrany w ciemny garnitur i białą koszulę z muszką.

– To weneckie lustro pozwala obserwować salon, kontrolować sytuację i każdego, kto tu wejdzie – wyjaśnił Frederick. – Ten dżentelmen z muszką to Morgan. Zajmuje się trudnymi sprawami.

Martin z zainteresowaniem spojrzął na salon przez przeszkloną ścianę. Zwrócił uwagę, że centrum obserwacyjne jest bardzo wygodnie urządzone dębowymi meblami, w tym imponującym biurkiem i skórzaną kanapą. Obok biurka znajdował się rząd monitorów telewizji przemysłowej dających pełny obraz Park Avenue przed wejściem do apartamentowca, marmurowego westybulu, wnętrza windy i korytarza prowadzącego od niej do drzwi wejściowych Instytutu. Na biurku stało kilka telefonów.

Frederick podszedł do okazałych rozmiarów dębowej szafy. Wypełniała ją starannie dobrana broń długa i krótka. Oprócz karabinów M-16 i różnych pistoletów i rewolwerów firmy Colt uwagę Martina zwróciły dwa karabiny AK-47. Jeden z drewnianą kolbą, a drugi ze składaną metalową.

– Ceni pani broń naszych przeciwników? – zapytał zaciekawiony Martin, patrząc na szefową bezpieczeństwa.

– Cenię broń niezawodną – odparła pewnym siebie głosem. – AK-47 nie zacina się i jest niezawodny, gdyż ma bardzo prostą konstrukcję. Wręcz genialną. Jeśli wpadnie w błoto albo w piach, wystarczy go otrzepać i strzela się dalej. M-16 nie zawsze się sprawdza.

– Skoro Susan tak mówi, to widocznie tak jest – wtrącił się Frederick. – Komuniści mają beznadziejną gospodarkę, ale broń potrafią produkować. Telefony na biurku łączą z ochroną tego budynku, która składa się z kilkunastu byłych marines, oraz z naszymi ludźmi w policji i biurze bezpieczeństwa burmistrza Nowego Jorku. Uznaliśmy z Susan, że to wystarczy, aby czuć się tu bezpiecznie. Idziemy dalej, Martinie. Dziękuję, Susan.

Opuścili centrum reagowania i korytarzem podążyli do gabinetu, w którym miał urzędować Martin. Był to pokój wielkości salonu i

urządzony w podobnym stylu, ale z wielkim dębowym biurkiem w rogu i kilkoma skórzanymi fotelami w beżowym odcieniu.

– Stąd będziesz czuwał nad bezpieczeństwem Ameryki i rodu Van Vertów, albo odwrotnie, jeśli wolisz, bo w istocie jest to samo – rzekł Frederick, siadając w jednym z foteli. – Za piętnaście minut przyjdzie nasz gość, więc po reszcie pomieszczeń oprowadzę cię później. Poznam cię też z ludźmi. W Instytucie Erudycji nie pracuje nikt przypadkowy. Wszyscy są starannie dobrani spośród członków rodzin naszych przyjaciół lub wieloletnich współpracowników i regularnie sprawdzani. Służą temu stare, pewne procedury, które też ci później objaśnię.

Martinowi bardzo się podobało to, co do tej pory widział, z szefową do spraw bezpieczeństwa włącznie.

Chyba że Frederick ją obraca – przeszło mu przez myśl. Muszę zapytać go przy okazji.

Głośno zadał jednak inne pytanie:

– Jaka jest organizacja Instytutu, bo przecież działacie też oficjalnie?

– Już wyjaśniam – odpowiedział mu stryj. – Kilkanaście osób zajmuje się prowadzeniem oficjalnej, statutowej działalności Instytutu związanej z propagowaniem przesłania i twórczości francuskich encyklopedystów. Mamy wielu stałych współpracowników na uczelniach w Stanach Zjednoczonych i za granicą, głównie w Europie, przede wszystkim we Francji, rzecz jasna. Znacznie większa grupa koordynuje zadania wynikające z potrzeb struktur. Ty oczywiście będziesz nadzorował oba pionys. Zasadniczo staramy się nie mieszać ich działalności, niekiedy jednak może to być wyjątkowo użyteczne i wtedy czynimy rozsądne wyjątki. W pracy, zwłaszcza tego niejawnego pionu Instytutu, stosujemy zasadę need to know, czyli każdy wie tyle, ile musi. Wiesz lepiej ode mnie, jak ta zasada działa w praktyce, więc nie muszę ci nic dodatkowo tłumaczyć.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi i Susan oznajmiła przybycie oczekiwanego gościa. Po chwili do pokoju wszedł rosły mężczyzna mniej więcej w wieku Martina.

– To, Martinie, jest Dan – rzekł Frederick, ściskając jego rękę. – Jest byłym policjantem i krewnym naszej Susan. Od kilku lat pracuje w Brazylii dla jednej z naszych agend rządowych. Uczy tamtejszych policjantów, jak rozprawiać się z przeciwnikami oraz jak ich skutecznie przesłuchiwać. Dan wpadł na chwilę, aby opowiedzieć nam, co czeka ten piękny kraj w niedalekiej przyszłości.

– Witam pana. – Martin wyciągnął dłoń. – Bardzo mnie interesuje, co może wydarzyć się w Brazylii w najbliższym czasie.

Nie wyjaśniał, dlaczego to go interesuje ani jakie miał związki z Brazylią w przeszłości. Nie było takiej potrzeby. Pamiętał, co usłyszał poprzedniego wieczoru. To tacy jak on zadawali pytania, a tacy jak Dan na nie odpowiadali. Usiadł więc w fotelu i zamienił się w słuch.

– Z brazylijską policją pracuję już od trzech lat – zaczął były policjant. – To dobrzy i pojętni chłopcy. Ale jestem też w kontakcie z różnymi ich służbami specjalnymi. Moim głównym zadaniem, które jakiś czas temu przydzielił mi pan Frederick, było jednak ustalić, jakie jest nastawienie funkcjonariuszy służb i policji do obecnego rządu i tej socjalistycznej zarazy, która go wspiera. Mogę z przyjemnością zameldować, że jest zdecydowanie negatywne. Jeżeli wojsko zdecyduje się w końcu obalić obecnego prezydenta Goularta, to policja i służby specjalne poprą pucz, gdyż bojówki lewicowych związków zawodowych mocno dają im się we znaki. Funkcjonariusze mają też dosyć infiltracji wywiadu kubańskiego. Grunt pod pucz jest przygotowany. Powinno do niego dojść najpóźniej za rok. Generałowie muszą otrzymać jasny i mocny sygnał, panie Fredericku. Ale to już nie moja działka.

– Dziękuję ci, Dan, za świetną robotę. Na pewno dostaną sygnał – zapewnił kongresmen.

Po wyjściu gościa wyjaśnił bratankowi:

– Dan to typowy żołnierz, jakich wielu pracuje dla nas w różnych ciekawych miejscach i pilnuje naszych interesów. Dlatego chciałem, żebyś go poznał, tym bardziej że działa w Brazylii, o której masz niezłe pojęcie.

– Ale czy jest wiarygodny, to znaczy czy wie, co mówi... ? –

rzekł Martin, wywołując uśmiech stryja.

– Oczywiście. Widzisz, Martinie, Dan to nie jest zwykły wykładowca z akademii policyjnej. On ich uczy przede wszystkim technik skutecznego przesłuchiwanie zatrzymanych. Wzmocnionych technik... – dodał Frederick. – Domyślasz się, co mam na myśli?

– Tortur? – zapytał z niedowierzaniem były oficer CIA.

– Właśnie. Jest specjalistą od przesłuchiwanie z użyciem prądu – potwierdził Frederick. – Jest ponoć niedoścignionym mistrzem w tej dziedzinie. Słyszałem, że urządził kilka pokazów z bezdomnymi z Rio. Chyba nie wszyscy przeżyli, ale chodziło o to, aby pokazać, jak daleko można się posunąć i jakich granic wytrzymałości nie należy przekraczać...

– Nie wiedziałem, że eksportujemy taką wiedzę. To brzmi ciut nielegalnie, ale przecież to nie nasz teren – zauważył Martin. – Dużo ludzi o tym wie?

– Ci, którzy powinni – odparł Frederick. – Dlatego Dan ma wielki autorytet wśród swoich uczniów w Brazylii, a oni są z nim szczerzy do bólu. Jeżeli zatem mówi, że policja i służby specjalne poprzę pucz wojskowych, to ja mu wierzę. Zresztą pozwól, że dokończę ten temat.

– Chętnie posłucham – zapewnił Martin.

– Do obalenia Goularta przez wojsko rzeczywiście powinno dojść w ciągu roku – zaczął tłumaczyć Frederick. – Na koniec władzę obejmie generał Humberto Castelo Branco. Natychmiast otrzyma stosowne kredyty od Banku Światowego i Międzynarodowego Funduszu Walutowego na rozkręcenie gospodarki, którą pogrzyżyły lewicowe rządy Goularta. W Brazylii zaczną też inwestować amerykańskie korporacje, bo kraj ten pod rządami wojskowych stanie się stabilnym ogniwem i sojusznikiem w walce z międzynarodowym komunizmem. Wszystko to, rzecz jasna, dla dobra narodu brazylijskiego. ITT i Hanna Mining Company już przebijają nóżkami.

– To wszystko wydaje się takie proste, Fredericku, gdy kreślisz tę wizję – zauważył Martin.

– Bo wszystko jest proste, gdy ma się odpowiednie siły i środki

oraz właściwy plan działania – odpowiedział Frederick. – Brazylia to początek, bo to największy kraj kontynentu. Następnie przyjdzie kolej na Argentynę, Boliwię i inne państwa. Jeżeli chcemy robić porządek w Azji, to najpierw musimy uporządkować własne podwórko w Ameryce Łacińskiej. To chyba logiczne. Poza tym to będzie dobry biznes dla różnych naszych firm. Przybliżam ci tę kwestię, gdyż w najbliższych latach jako koordynator będziesz za nią w dużej mierze odpowiadał.

– Nie ma obawy, drogi Fredericku, ja szybko dogaduję się z wojskowymi – odparł Martin. – To był interesujący ranek. Dałeś mi znakomity wgląd w to, czym zajmuje się Instytut Erudycji w swojej nieoficjalnej odsłonie. Bardzo ciekawe.

– Zbliża się pierwsza. Masz jakieś plany czy zjemy lunch? – zapytał Frederick.

– Chętnie bym z tobą został, ale umówiłem się z Lisą – odpowiedział Martin. – Muszę wpaść po nią do domu.

– Okay, as you wish. Pewnie zobaczymy się jutro.

Frederick odprowadził bratanka aż do marmurowego westybulu i wyjścia na ulicę. Patrzył, jak Martin wsiada do czarnego cadillaca i odjeżdża na spotkanie z żoną.

Dobrze, że ja się rozwiodłem lata temu – pomyślał z satysfakcją. Czego i tobie życzę, Martinie, bo tylko tak się uwolnisz od tej wrednej suki...

*

W 1959 roku w nowojorskim hotelu Pierre przy Piątej Alei w miejsce większości pokoi dla gości stworzono siedemdziesiąt siedem luksusowych i niesamowicie drogich apartamentów.

Jednym z pierwszych nabywców był Martin Van Vert. Wprowadził się z żoną i dziećmi. Oceniał, że trzysta metrów kwadratowych wystarczy dla ich czwórki, i nie pożądał dużych pieniędzy. Nie mógł i nie chciał przepuścić tej okazji, mimo że jako pracownik CIA przez pięć dni w tygodniu musiał urzędować w ich dotychczasowym domu w Georgetown w Waszyngtonie, jedynie weekendy spędzając z rodziną w Nowym Jorku.

Połączenie w jednym budynku wyjątkowo eleganckiego hotelu i apartamentów mieszkalnych mocno przemówiło do wyobraźni Martina. Mógł teraz część swoich gości przyjmować w hotelowym barze lub restauracjach, nie oddalając się zarazem od domu. Jak mawiał, mógł odbywać takie spotkania w bardziej eleganckich kapciach.

Wszystko wydawało się układać idealnie do momentu, gdy jego żona przestała być sobą – kobietą, którą pokochał piętnaście lat wcześniej i znał tak dobrze... Przełomem stała się właśnie przeprowadzka ze spokojnego Georgetown do Nowego Jorku, miasta, które nigdy nie śpi.

Pod względem pochodzenia i majątku Lisa nie dorównywała Van Vertom. Była inteligentną, dobrze wychowaną córką profesora literatury angielskiej i kelnerki, w której ten zakochał się jeszcze jako student.

Martin poznał Lisę pod koniec lat czterdziestych w Cambridge w Massachusetts, gdzie młodziutka dziewczyna – delikatna brunetka o wiotkiej figurze i ślicznej twarzy - studiowała na Harvard University, a on kończył studia podyplomowe ze stosunków międzynarodowych w Europie Wschodniej. Skierowała go na nie Agencja, wychodząc z założenia, że znajomość realiów politycznych państw za żelazną kurtyną może okazać się przydatna.

Przelotna znajomość Lisy i o dziesięć lat starszego oficera CIA szybko przekształciła się w fascynację, a następnie w miłość. Ślub wzięli na początku lat pięćdziesiątych. Rodzina szybko się powiększała. Najpierw przyszedł na świat chłopiec, któremu dano na imię Frederick, na cześć stryja taty, a parę lat później córka, która otrzymała imię Rose, po matce Lisy.

O tym, że jej mąż jest wyższym oficerem CIA, Lisa dowiadywała się powoli. Najpierw Martin opowiedział jej, co robił w czasie wojny, działając na tyłach wroga na Sycylii i w okupowanej Europie. Bardzo to zaimponowało młodej kobiecie. Ameryka właśnie wygrała największą w dziejach ludzkości wojnę światową i przymierzała się do kolejnej, na Półwyspie Koreańskim, więc odwaga na polu walki była w cenie. Gdy nieco później Lisa dowiedziała się, że Martin jest oficerem amerykańskiego wywiadu, przyjęła to z zadowoleniem,

dumna, że jest żoną prawdziwego patrioty.

Przed ślubem największą obawę budziła w niej świadomość tego, z jak potężnego i bogatego rodu wywodzi się narzeczony. Bała się, czy sprostą oczekiwaniom. Ale Martin dbał o to, aby nie dać jej odczuć, że między nimi może istnieć jakakolwiek różnica społeczna czy majątkowa. Nigdy się nie wywyższał ani w żaden inny sposób nie obnosił ze swoim bogactwem lub pochodzeniem. To Lisie zaczęło z czasem imponować, że stała się kobietą majątną i należy do bardzo wąskiego grona wybrańców Ameryki.

W pewnym momencie zdała sobie sprawę, że zaczyna traktować większość ludzi z góry, i próbowała z tym walczyć, ale nie zawsze jej się udawało. Stopniowo służba, szoferzy, kelnerzy w restauracjach i cała masa innych użytecznych osób, bez których życie najbogatszych nie byłoby tak wygodne, przestała darzyć ją sympatią, gdyż pani Van Vert stała się nieznośnie uciążliwa i niemila. Spokojne życie w cichym Georgetown skupione na wychowywaniu Fredericka i Rose, które kiedyś tak lubiła, po kilkunastu latach zaczęło ją po prostu nudzić. Podobnie jak życie towarzyskie Waszyngtonu obracające się prawie wyłącznie wokół jednego tematu – polityki, tej międzynarodowej i tej wewnętrznej. Kobiety z waszyngtońskiego towarzystwa, które poznała dzięki Martinowi i jego rodzinie, żyły tą polityką i mogły o niej rozprawiać godzinami. Ale Lisa wiedziała w głębi duszy, że gdzieś musi być inny, ciekawszy świat.

Odkryła go, gdy zaczęła bywać z Martinem w Nowym Jorku i spotykać ludzi, którzy nie mówili o polityce, lecz o czymś znacznie bardziej interesującym – o pieniądzach. Do czego służą i co można za nie mieć. Ludzi tych spotykała na przyjęciach w rodowej siedzibie Van Vertów na Long Island, a także w innych pobliskich rezydencjach, choć może nie tak wspaniałych. Odkryła jednak, że w tych drugich przyjęciach uczestniczyli znacznie ciekawszy ludzie niż w tych pierwszych, zwłaszcza kobiety, które powoli zaczęły ją wprowadzać w życie towarzyskie miasta. Była zafascynowana tym, co poznawała. A poznała dopiero wierzchołek góry lodowej.

Gdy zatem Martin zapytał ją pewnego dnia w 1959 roku, czy nie pojechałaby z nim do Nowego Jorku, żeby obejrzeć apartament,

którego kupno rozważał, w odpowiedzi rzuciła mu się na szyję, zasypując pytaniami o szczegóły.

– Nie ci nie powiem, moja droga. Wszystko będzie niespodzianką i nawet nie próbuj naciskać. My z CIA jesteśmy odporni na wasze kobiece sztuczki – mówił Martin, uśmiechając się tajemniczo. – Dziećmi przez parę dni zajmie się służba, a my przypomnimy sobie narzeczeńskie czasy.

Następnego dnia polecili samolotem do Nowego Jorku i zamieszkali w hotelu Pierre. Lisa nigdy wcześniej tu nie była i choć przywykła już do luksusu, jaki otaczał ją u boku Martina, to luksus hotelu Pierre ją oczarował. Natychmiast pokochała to miejsce i czuła się w nim jak w domu. Tego wieczoru zjedli wykwintną kolację w hotelowej restauracji, gdyż Lisa nie chciała się nigdzie ruszać, i spędzili upojną noc.

Rankiem, już o ósmej, Lisa niecierpliwiła się w pokoju, nie mogąc doczekać się niespodzianki.

– Kochanie, najpierw niespodzianka, a później śniadanie. Czy tak może być? – mruzczała przymilnie do męża, choć doskonale wiedziała, że Martin nigdy nigdzie nie ruszał się rano z domu bez porządnego angielskiego śniadania. Nawet na tyłach wroga, jeżeli mógł temu zaradzić.

– Nie ma sprawy – odparł bez najmniejszego protestu, co Lisę mocno zaskoczyło i dało do myślenia.

Wyszli z pokoju i zjechali windą do hotelowego westybulu. Lisa natychmiast skierowała się do wyjścia na Piątą Aleję, ale zauważyła, że Martin, zamiast iść za nią, zatrzymał się przy recepcji i zaczął rozmowę z niezwykle eleganckim, dystyngowanym dżentelmenem około sześćdziesiątki. Co, u licha? – pomyślała i podeszła do rozmawiających mężczyzn.

– Liso, poznaj pana Stewarta, dyrektora generalnego hotelu Pierre. Panie dyrektorze, to moja żona Lisa – dokonał prezentacji Martin.

– Je suis enchanté, madame – rzekł dyrektor i pocałował Lisę w rękę. – Gratuluję naprawdę doskonałego wyboru!

– Bardzo mi miło, dyrektorze – odpowiedziała Lisa, szczerze

uradowana, że ma okazję poznać szefa tego cudownego miejsca. Nie miała jednak pojęcia, jaki doskonały wybór miał on na myśli, więc odpowiedziała ostrożnie: – Ta noc w pańskim hotelu to wybór Martina. Ale, przyznaję, doskonały. Ma pan cudowny hotel. Uwielbiam go!

Dyrektor rzucił szybkie spojrzenie na uśmiechającego się Martina, który wpatrywał się jakby nigdy nic w wysoki sufit, i jako człowiek nad wyraz inteligentny natychmiast odgadł, że żona jego ulubionego bywalca nic nie wie o...

– Merci, madame, za tak miłą ocenę tego zacnego miejsca. – Dyrektor postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. – Chciałbym pokazać pani pewien uroczy zakątek, którego nikt nie zna. Wiem, że pani się spieszy, ale nasz tour zajmie dosłownie chwilę, którą zapamięta pani na całe życie. Nalegam!

W sposobie bycia dyrektora Stewarta było coś tak ujmującego, że Lisa nie potrafiła zdobyć się na odmowę, mimo że nie mogła się już doczekać niespodzianki obiecanej przez męża. Ale wzmianka o chwili, którą zapamięta na całe życie, bardzo ją zaintrygowała.

– Concierge! – zawołał dyrektor, nie czekając na odpowiedź Lisy, gdyż doskonale wiedział, że jak zwykle ciekawość weźmie górę nad niecierpliwością. – Prowadź!

Starszy mężczyzna, który zjawił się w okamgnieniu, uprzejmie poprosił małą grupkę, aby łaskawie udała się za nim. Wszyscy czworo ruszyli w stronę wind w bocznej części westybulu. Wsiadli do ostatniej i konsjerż nacisnął przycisk najwyższego piętra. Ciekawość Lisy rosła, w miarę jak winda się wznosiła.

– Jedziemy na taras widokowy? – próbowała zgadywać.

– Doskonała intuicja, madame – odpowiedział dyrektor z ujmującym uśmiechem. – Można tak to ująć...

Wysiedli na ostatnim piętrze i skierowali się w prawo od windy. Podłogę wyściełała wykładzina skrząca się feerią barw. Musiała być robiona na specjalne zamówienie, gdyż Lisa nigdy nie widziała tak przepięknego wzoru.

Doszli do kremowych drzwi, które konsjerż otworzył kluczem. Lisa znalazła się w wielkim holu ogromnego apartamentu,

nieumeblowanego i niewykończonego. Przemierzyła go szybkim krokiem, rozglądając się jedynie pobieżnie, i wyszła na duży taras, z którego rozpościerał się iście królewski widok na Central Park. Widok zapierający dech w piersi. Lisa zaczęła uśmiechać się do siebie jak osoba spełniona.

Nawet nie zauważyła, że dyrektor i konsjerż dyskretnie udali się do innej części apartamentu, zostawiając małżonków samych.

Martin stanął za jej plecami.

– Nie kazałem wykańczać, gdyż wolałem zostawić to tobie, kochanie – oznajmił, obejmując żonę i całując ją w policzek.

– Czy to jest ta niespodzianka? – zapytała Lisa z nadzieją w głosie, choć podświadomie wiedziała, co odpowie jej mąż. Ale na wszelki wypadek szybko dodała: – Powiedz, że tak, powiedz!

– Ależ oczywiście. To jest moja niespodzianka dla ciebie. Dla nas – dodał Martin i zapytał retorycznie: – Podobają ci się?

W odpowiedzi Lisa namiętnie pocałowała go w usta. Była w tej chwili najszczęśliwszą kobietą na świecie. Apartament zlokalizowany jakby na dachu tego świata wydawał jej się szczytem marzeń.

Martin błyskawicznie sfinalizował zakup i Lisa zabrała się do urządzania mieszkania, niemal przeniósłszy się do Nowego Jorku. Za każdym razem mieszkała oczywiście w hotelu Pierre, bo przecież tylko stamtąd mogła kierować pracami.

Czuła, że żyje pełną piersią i że przechodzi jakąś przemianę. Obracała się teraz w środowisku projektantów wnętrz, mebli, tkanin, malarzy i artystów wszelkiej maści. Było to towarzystwo ludzi bardzo inteligentnych, wrażliwych i wyzwolonych. Nowojorska bohema żyjąca szybko, rozrzutnie i nie zawsze za swoje pieniądze, na krawędzi tego, co wypada i nie wypada, a niekiedy tego, co dozwolone i niedozwolone. Cóż za kontrast z życiem, jakie Lisa wcześniej prowadziła w urokliwym i poukładanym Georgetown! W tamtych latach Martina pochłaniały operacje narkotykowe w Ameryce Łacińskiej i spędzał dużo czasu w Waszyngtonie lub za granicą.

Późno zwrócił uwagę na metamorfozę swojej żony. Chyba tak

naprawdę dopiero wtedy, gdy pewnego sobotniego wieczoru wiosną 1962 roku zjawił się w swoim nowojorskim apartamencie po dłuższym pobycie za granicą i zastał w nim tłum dziwnych ludzi, dziwnie podrygujących w takt dziwnej muzyki, której w jego kręgach nigdy się nie słuchało. Wśród podrygujących była także Lisa, spleciona z czarnym mężczyzną bez koszuli.

Martin był żołnierzem i oficerem wywiadu nawykłym do zaskakujących zwrotów akcji i nieoczekiwanych widoków. Ogarnął najpierw wrokiem hol, salon i jadalnię, gdzie kłębiło się pół setki osób obojga płci, i podszedł do podrygującej z czarnym mężczyzną Lisy. Była kompletnie pijana, a źrenice wskazywały na coś jeszcze gorszego. Martin przeszedł niedawno kolejne gruntowne szkolenie związane z obrotem narkotykami i poznał objawy ich nadużywania. A teraz własna żona patrzyła na niego otepiałym wrokiem, nie kojarząc jego twarzy. Czarny partner był w nie lepszej formie. Martin zostawił parę i ruszył do kuchni. Siedział tam – nienagannie ubrany w czarny garnitur, białą koszulę i ciemny krawat – kamerdyner i zarazem szef służących obsługujących jego rodzinę, którego polecił mu ojciec, i spokojnie czytał weekendowe wydanie „New York Timesa”.

– Dobry wieczór, Clarence – rzekł od drzwi Martin cichym i opanowanym głosem. – Możesz mi powiedzieć, co tu się dzieje?

Zaskoczony kamerdyner wstał i uklonił się, odkładając gazetę. Ale szybko się ogarnął.

– Nie wie pan, jak bardzo się cieszę, że pana widzę – odezwał się z ulgą w głosie i... czyżby nutą wyrzutu? – Madame zaprosiła swoich znajomych na party.

– A gdzie dzieci? – zapytał Martin z troską w głosie.

– U pana Victora w rezydencji – odrzekł Clarence i od razu wyjaśnił: – A reszta służby dostała wolne.

– Chodź ze mną, Clarence. – Martin ruszył w stronę salonu. – Zlokalizuj źródło tej koszmarnej muzyki i wyłącz ją, a ja zajmę się resztą.

Kątem oka zauważył Eunice, którą kiedyś przedstawiła mu Lisa, tłumacząc, że to jej najbliższa przyjaciółka w Nowym Jorku i

najważniejsza pomoc w projektowaniu apartamentu. Młoda, zgrabna blondynka w eleganckiej garsonce spodobała się wtedy Martinowi. Była bardzo elokwentna, pewna siebie i sprawiała wrażenie solidnej, godnej zaufania osoby. Tego wieczoru miała na sobie bardzo obcisłą sukienkę w lamparcie cętki, wysokie czerwone szpilki i sprawiała zgoła inne wrażenie. Była pijana i na widok Martina ruszyła ku niemu mocno chwiejnym krokiem. Potknęła się o nogę kobiety, która leżała bez ruchu na podłodze, i wpadła z impetem w jego ramiona. Przywarła do niego całym, bardzo gorącym ciałem.

– Martin, kochanie, miło cię widzieć – zaczęła bełkotać, ocierając się o niego pierściami i brzuchem. – Chcesz mnie przelecieć? Bo ja o tym marzę. Na początek zrobię ci loda.

Prawą ręką zaczęła dotykać przez spodnie jego członka. W innym miejscu, w innym czasie i z inną kobietą Martin może skorzystałby z takiej oferty, ale nie tego wieczoru.

– To nie jest dobry pomysł, kochanie. – Odepchnął ją od siebie. – Mam lepszy. Weź to towarzystwo i wyprowadź je stąd najszybciej, jak potrafisz, bo inaczej nie dostaniesz w tym mieście kontraktu nawet na zaprojektowanie i wyposażenie kibla miejskiego w Harlemie. Okej?

Eunice odsunęła się od Martina, jakby zdziwiona, że jej propozycja nie została przyjęta, ale widocznie resztki świadomości nieprzytłumione jeszcze alkoholem i marihuaną odpowiedziały jej, że to nie żarty, gdyż zaczęła zdecydowanym głosem i gestami zachęcać zebranych do wyjścia.

Clarence musiał zlokalizować źródło dziwnej muzyki, bo nagle ucichła. Po dziesięciu minutach w apartamencie zostali jedynie Martin, kamerdyner i leżąca bez czucia na podłodze salonu pijana i naćpana Lisa Van Vert. W całym mieszkaniu walały się kieliszki, szklanki, butelki po alkoholu, popielniczki pełne niedopałków. Jeden z kątów salonu ktoś widocznie pomylił z toaletą, gdyż ściany były dokładnie obsikane od poziomu metra w dół, a na podłodze stała jeszcze kałuża moczu.

– Jeżeli pan pozwoli, sir, to wezwę resztę służby, aby uporządkowali ten, o ile wolno mi się tak wyrazić, syf! – odezwał się

Clarence. – Proponuję, sir, aby dzieci zostały na Long Island do poniedziałku.

– Dziękuję ci, Clarence. To dobry pomysł – odpowiedział Martin i dodał mimochodem: – A syf to rzeczywiście adekwatne określenie na to, co widzimy. Zajmij się apartamentem, a ja zajmę się panią Van Vert.

Podźwignął żonę z podłogi i zaniósł do sypialni, a następnie wezwał lekarza, który zajmował się rodziną Van Vertów od lat. Doktor zaaplikował pacjentce kilka zastrzyków i podłączył kroplówkę, aby zapobiec odwodnieniu wycieńczonego alkoholem i narkotykami organizmu. W niedzielę wieczorem Lisa doszła do siebie, a w poniedziałek z samego rana, zanim przywieziono dzieci, Martin odbył z nią poważną rozmowę.

– Co się z tobą dzieje? – zapytał. – Masz jakieś problemy?

– Ja nie mam żadnych problemów. Ja po prostu żyję – odpowiedziała, siedząc w łóżku i nerwowo paląc papierosa. – Nie mam zamiaru już dłużej wegetować w tym waszym purytańskim gorsecie.

W ciągu roku Martin przeprowadził z nią jeszcze kilka rozmów i wydawało się, że wszystko wraca do normy. Lisa nie nadużywała alkoholu ani tym bardziej narkotyków i zajmowała się dziećmi.

Dlatego w dniu, kiedy Frederick wprowadził go jako koordynatora do Instytutu Erudycji, Martin postanowił zjeść z żoną lunch i poświęcić jej resztę popołudnia. Umówił się z nią w ich apartamencie. Ale nie zastał Lisy w salonie, tak jak się spodziewał, lecz w łazience przylegającej do sypialni. Nieprzytomna, w samej bieliźnie, leżała na podłodze. Na lewym ramieniu miała jeszcze zaciśniętą gumową opaskę, a w prawej dłoni strzykawkę z resztką heroiny. Obok klęczała Eunice i obmywała twarz przyjaciółki wilgotnym ręcznikiem. Wydawała się głęboko zatroskana, ale nie przerażona.

– Od dawna to trwa? – zapytał Martin, szybko oceniając sytuację i zastanawiając się, jak mógł nie zauważyć u Lisy oczywistych symptomów nałogu.

– Od sześciu miesięcy było coraz gorzej, ale pierwszy raz aż tak – przyznała Eunice ze łzami w oczach, całując Lisę po twarzy.

Martin odniósł wrażenie, że nie były to tylko przyjacielskie pocałunki.

Pochylił się nad żoną, zerwał jej opaskę uciskową i podniósł z podłogi strzykawkę. Następnie zadzwonił do Fredericka, którego zastał jeszcze w Instytucie Erudycji, i poprosił o pomoc. W końcu dla stryja Nowy Jork nie ma tajemnic, a on, Martin, stawia tu pierwsze kroki.

– Nie ruszaj się stamtąd, drogi bratanku, zaraz przyślę Morgana z pogotowiem – odrzekł kongresmen.

Morgan zjawił się w piętnaście minut wraz z ekipą pogotowia, która udzieliwszy Lisie pierwszej pomocy, natychmiast wyniosła ją z apartamentu. Eunice, która za wszelką cenę chciała towarzyszyć przyjaciółce, została skutecznie powstrzymana. Morgan bezceremonialnie opróżnił jej torebkę i znalazł kilka fiołek z heroiną. Mimo protestów projektantki schował je do kieszeni i spisał jej dane z prawa jazdy znalezionej w torebce. Następnie wziął Eunice mocno pod rękę i wyprowadził z apartamentu, gdzie przejął ją mężczyzna z ekipy Morgana i zwiózł windą do hotelowego westybulu. Czekał tam już na nią starszy konsjerż, który dopilnował, aby opuściła hotel.

Był to początek końca małżeństwa Martina. Po kilku tygodniach odwyku Lisa nie wróciła do apartamentu, lecz zamieszkała z Eunice, z którą połączyło ją uczucie mocniejsze od przyjaźni. Za radą i namową Fredericka Martin wystąpił o separację, motywując to dobrem dzieci. Wynegocjowana przez prawników rodu Van Vertów ugoda z Lisą ustalała częstotliwość jej spotkań z dziećmi i wysokość miesięcznej gaży, jaką miała dostawać od męża.

Lisa nie stawiała wygórowanych żądań i warunków, gdyż – jak się okazało po sprawdzeniu na policji, które kazał zrobić Morgan – Eunice miała wyrok w zawieszeniu za posiadanie narkotyków i każde następne złamanie prawa mogło skutkować wieloletnim pobytem za kratami. Morgan wytłumaczył obu kobietom w krótkich, żołnierskich słowach, że może dojść do takiej sytuacji, gdyby przyszło im do głowy nadużywać hojności rodu Van Vertów.

Martin z zapalem zajął się obowiązkami koordynatora struktur

amerykańskich Ligi, a Frederick pomógł mu stopniowo wymazać z pamięci byłą żonę, która, jak się okazało, zupełnie nie pasowała do ich rodziny i środowiska.

1 marca

Dolores spotkała się z Cewim, jednym z zastępców szefa izraelskiego wywiadu, w kawiarni z widokiem na morze. Jak zwykle w Tel Awiwie o jedenastej przed południem lokal był prawie pusty. Przy barze siedziała para bardzo zajętych sobą młodych ludzi. Cewi popijał kolejne espresso, a Dolores kolejny kieliszek śliwowicy paschalnej.

– Dobre to cholerstwo! – stwierdziła i odruchowo zamówiła kolejny kieliszek.

Cewi, który swój dożywotni przydział wódki skonsumował w Armii Czerwonej podczas wojny, a obecnie pił alkohol tylko wtedy, kiedy musiał, mimowolnie skrzywił się, obserwując siedzącą na wprost niego kobietę.

– To świństwo kiedyś cię wykończy, cara mia – skarcił ją po polsku, dodając włoski akcent.

– Nie pierdol, Cewi, to wzmacnia – odrzekła również po polsku Dolores, swoim zwyczajem nie przebierając w słowach. – Przestań mnie opieprzać i lepiej powiedz, o co biega. Po co się spotykamy?

Cewi wybuchnął śmiechem, gdyż brak zahamowań Dolores zawsze wprawiał go w znakomity humor.

– Parę miesięcy temu zawerbowaliśmy wysokiego rangą oficera armii egipskiej – zaczął. – Wziął kasę i pokwitował, aczkolwiek odmówił podpisania zobowiązania do współpracy. Powiedział, że pokwitowanie wystarczy. Nie nalegaliśmy, rzecz jasna. Przekazał trochę niezłych informacji, które się potwierdzają z innych źródeł, ale są też nowe, istotne elementy. Sprawa jest rozwojowa i zapowiada się dobrze.

– Gdzie był werbunek? – zapytała rzeczowo Dolores, wchodząc mu w słowo. – Bo chyba raczej nie w Kairze?

– Przenikliwa jak zawsze. – Cewi pokiwał głową. – Masz oczywiście rację. Werbunek nastąpił w Szwajcarii, gdzie nasz figurant się leczył na koszt państwa egipskiego, jako że pochodzi ze starej i wpływowej rodziny. Była to jego trzecia kuracja w tym kraju

i dlatego udało się go namierzyć i zrobić udane podejście werbunkowe.

– I co? Wyzdrowiał?

– Oczywiście! Leczyli go w końcu porządni żydowscy lekarze i to oni nas o nim poinformowali – oznajmił nie bez dumy Cewi. – Chcesz wiedzieć, bo tworzysz sobie portret psychologiczny człowieka?

– Jego portret psychologiczny i zdrowie wiszą mi koło cipy, drogi przyjacielu – odrzekła flegmatycznie. – Jeżeli się wyleczył, to nie może już tak sobie zwiedzać świata i za często wyjeżdżać z Egiptu. I tam właśnie musimy się z nim spotkać, bo inaczej o nas zapomni i nie dostaniemy od niego kolejnych informacji. Na spotkanie nie wyślecie werbownika, którego facet zna, bo ze względów bezpieczeństwa trzeba wywołać agenta na z góry ustalone miejsce, ale podejść dopiero wtedy, kiedy uznamy to za stosowne, zniecka albo w ogóle. Musi więc jechać ktoś, kogo on nie zna, najlepiej kobieta, bo w mentalności Egipcjan pokutuje przekonanie, że kobiety nie zajmują się wywiadem, ale jedynie gotują, dupy dają i w efekcie rodzą bachory, by poświęcać im resztę czasu. Dobrze, kurwa, mówię? Mam jechać i obsłużyć agenta?

Cewi patrzył na Dolores i zastanawiał się, kiedy i po co Jahwe produkuje takie baby. Rano, wieczorem, przed posiłkiem, po drinku...? Ale na pewno dobry Bóg konstruuje je po to, aby dosrać nam, facetom, i naszą męską pychę w ryzach trzymać – skonstatował z rezygnacją.

– Nie powiem, że mnie zadziwiasz, bo o tym wiesz... – zaczął.

– Ty mi lepiej, kurwa, powiedz dokładnie, jak przebiegał werbunek, jaka była jego podstawa – kasa, szantaż, miłość do Izraela czy co tam jeszcze – i czy figurant się opierał, droczył, miał wątpliwości... i tak mogłabym cały jebany dzień. Słowem, czy mamy przeświadczenie, że go nam wywiad egipski nie podstawił i nie włączymy w pułapkę. Taka dociekliwa, wybaczyć, jestem, ale wolałabym, żeby mnie nie zgarnęli, bo wtedy skończę z egipskim fiutem w każdym otworku, zanim ktoś od ciebie łaskawie się po mnie pofatyguje, a nie lubię być ruchana w taki sposób.

– Za parę minut dołączy do nas werbownik Egipcjanina i sam ci wszystko opowie. To młody, ale bardzo zdolny i dobrze się zapowiadający oficer naszego wywiadu – odpowiedział Cewi. – Więc postaraj się zachowywać jak dama z hotelu George V, a nie z placu Pigalle.

– Dziewczyny z pigalaka są w porządku, Cewi, sam byś niejedną wypierdolił... – zaczęła Dolores, ale zamilkła nagle, gdyż do ich stolika podszedł wysoki, dobrze zbudowany i niezwykle przystojny trzydziestolatek i dyskretnie zameldował się Cewiemu.

– Melduję się zgodnie z poleceniem – powiedział, stojąc prawie na baczność, ale w sposób niezwracający uwagi otoczenia.

– Witaj, Szimonie – odrzekł Cewi. Podniósł się i przedstawił swoją towarzyszkę. – To jest Dolores.

Szimon wyciągnął rękę, a gdy Dolores podała mu swoją, ucałował ją z taką gracją i szybkością, że nie zdążyła jej cofnąć. O kurwa, ale facet! – pomyślała i postanowiła zachowywać się jednak jak dama z hotelu George V.

– Jest mi niezmiernie miło cię poznać. – Szimon zajął miejsce przy stoliku. Zwracał się do Dolores per ty, gdyż takie zasady obowiązywały wśród oficerów Mosadu. – Wiele o tobie słyszałem.

– Mam nadzieję, że same dobre rzeczy, Szimonie – odparła z uroczym uśmiechem. – Czasami ludzie potrafią opowiadać niestworzone rzeczy, a my, kobiety, jesteśmy takie bezbronne wobec złych plotek lub złośliwych pomówień...

Bezbronna niewinność! – sztychł w myślach Cewi, obserwując w osłupieniu nagłą i zaskakującą metamorfozę Dolores. Pieprzona modliszka, zaraz wypierdoli go razem z butami i paskiem od spodni.

Chrząknął głośno i postanowił wkroczyć do akcji.

– No dobrze, wystarczy tych czułości, moi drodzy – powiedział. – Czas wziąć się do poważnej roboty. Opowiedz, Szimonie, o przygotowaniach do werbunku. Skąd przyszło naprowadzenie na figuranta, jak go opracowałeś, jaką przyjęto taktykę werbunku i jak oceniano szanse powodzenia. Następnie zreferuj przebieg rozmowy werbunkowej i plan łączności z agentem. Słowem, wszystko, co ona musi wiedzieć, aby czuć sytuację.

– Naprowadzenie na figuranta otrzymaliśmy od jednego z lekarzy szwajcarskiej kliniki, w której leczył się nasz oficer armii egipskiej – zaczął referować Szimon. – Ten lekarz to niemiecki Żyd, któremu w latach wojny naziści zabili całą rodzinę, a on sam przeszedł przez Auschwitz. Od czasu do czasu świadczy nam różne usługi wywiadowcze. Wyczerpująco poinformował nas o figurancie, jego rodzinie i ich sytuacji materialnej, gdyż w trakcie kuracji pacjent dużo opowiadał lekarzowi o różnych swoich kłopotach, nie tylko zdrowotnych. Ramzes, taki pseudonim ma nasz egipski agent, pochodzi ze starej, szacownej rodziny wojskowych. Na szczęście dla nas rodzina w ostatnim czasie mocno zubożała i Ramzes potrzebował sporo pieniędzy, które tylko my mogliśmy mu dać.

– Werbowaleś go jako wywiad izraelski czy pod jakąś obcą flagą? – weszła mu w słowo Dolores. – A jeżeli tak, to pod jaką?

– Nie określiłem przynależności państwowej wywiadu, który reprezentuję – odparł Szimon. – Rozmowa werbunkowa odbywała się po angielsku. Ja wychowałem się w Wielkiej Brytanii, mam akcent brytyjskiego dżentelmena starej daty i starałem się dać figurantowi do zrozumienia, że mogę reprezentować wywiad Jej Królewskiej Mości.

– Zakładałam, że nawiązałeś kontakt jako dochodzący pacjent kliniki i powiedzialesz Ramzesowi, że jesteś przedstawicielem instytucji, która pomoże mu rozwiązać problemy finansowe w zamian za jego wiedzę? – Znowu przerwała. – Tak było?

– Właśnie tak – odpowiedział Szimon, uświadamiając sobie w pełni, dlaczego jego rozmówczynie cieszy się opinią nieprzeciętnego fachowca.

– Mów dalej – poprosiła Dolores.

Przez następną godzinę Szimon szczegółowo relacjonował przebieg rozmowy werbunkowej, która zakończyła się sukcesem – pozyskaniem do współpracy wysokiego rangą oficera ze sztabu generalnego armii egipskiej.

– W czasie rozmowy werbunkowej i później Ramzes nie dopytywał się, jaki konkretnie wywiad reprezentuję, tak jakby nie chciał wiedzieć, że w ogóle chodzi o wywiad jakiegoś państwa –

zakończył swoją opowieść Szimon.

– To typowe zachowanie dla agentów uplasowanych w newralgicznych strukturach armijnych czy rządowych – odezwał się Cewi. – W razie wpadki mogą z przekonaniem twierdzić, że nie wiedzieli, iż to jakiś wywiad ich podszedł. Nawet gdy perswazja śledczych przechodzi w przesłuchanie trzeciego stopnia...

– Masz rację – zgodziła się Dolores. – W czasie tortur to ważne, by móc krzyżeć z przekonaniem, że nie wiedziało się, że chodzi wywiad. Zwłaszcza izraelski, gdy torturują Arabowie.

– Dziękujemy ci, Szimonie – powiedział Cewi. – Jeszcze raz gratuluję udanego werbunku. Możesz wrócić do swoich zajęć.

Młody oficer pożegnał się, ponownie całując Dolores w rękę, a zarazem obejmując całą jej postać pełnym podziwu przeciągłym spojrzeniem. Dostrzegła w tym spojrzeniu iskierkę czegoś, co wychwytuje jedynie kobieca intuicja, i leciutko uśmiechnęła się do siebie. Nie jest ze mną tak źle! – pomyślała.

– Była rozmowa werbunkowa, a następnie jeszcze jedno spotkanie operacyjne kolejnego dnia – zwróciła się do Cewiego, gdy ponownie zostali sami. – Jaki był uzysk informacyjny? Zakładam, że powiedział to, co wie, i wyjaśnił, jaki ma dostęp do informacji w sztabie generalnym i ewentualnie innych instytucjach?

– Jakbyś tam była – odpowiedział Cewi. – To, co przekazał, jest wiarygodne, dosyć cenne, a nade wszystko potwierdzone przez dane, które już posiadamy. Natomiast jego możliwości dotarcia do informacji zarówno w sztabie generalnym armii egipskiej, jak i Ministerstwie Obrony wyglądają imponująco.

– Jeżeli są prawdziwe, bo to na razie jego narracja – wtrąciła, sącząc śliwownicę.

– Zgoda – przyznał Cewi. – Ale my też odrobiliśmy pracę domową. Wykorzystując nasze możliwości wywiadowcze w Egipcie i innych państwach arabskich, przyjrzeliliśmy się Ramzesowi i pozycji, jaką zajmuje w sztabie generalnym. To znany i ceniony oficer z niezwykle wpływowej, aczkolwiek zubożałej rodziny o długich tradycjach wojskowych. A jego stanowisko w sztabie generalnym daje mu naprawdę znakomity dostęp do potencjalnie

bardzo ciekawej wiedzy. Nie mamy co do tego żadnych wątpliwości. Dlatego nasze kierownictwo podjęło decyzję, aby nawiązać z nim kontakt operacyjny w samym Kairze, oczywiście z pełną świadomością ewentualnych zagrożeń, jakie mogą wynikać z takiej operacji. Chcemy więc przygotować się do niej bardzo starannie, a ty zostałeś wytypowana do jej przeprowadzenia, bo jesteś najlepsza.

– Powiedzmy, jedna z najlepszych – uściśliła.

– Okej, jedna z najlepszych – zgodził się, posyłając jej uśmiech. – Oficer z twoim dorobkiem może pozwolić sobie na skromność. Co sądzisz o tej sprawie? Co podpowiada ci instynkt?

– Co wiemy o człowieku, który dał naprowadzenie na Ramzesa? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Szimon mówił o nim. To niemiecki Żyd... – zaczął Cewi, ale Dolores mu przerwała.

– Też to słyszałam, gdybyś miał wątpliwości. Chodzi mi o to, czy sprawdziliśmy go tak, jak potrafimy sprawdzać. Czy ma numer na rękę, czy ktoś pamięta go z obozu i jak się tam zachowywał? Taki solidny background check, drogi Cewi – wyjaśniła cierpliwie.

– Nie wiem, czy sięgaliśmy tak daleko, ale każę sprawdzić – odparł.

– Byłabym zobowiązana. Co do samej sprawy, to na pierwszy rzut oka wygląda w porządku. Teoretycznie może się rozwinąć w dobrą agenturalną operację. Ale, jak sam wiesz najlepiej, diabeł tkwi w szczegółach. Pod jaką legendą mam realizować wyjazd i nawiązanie kontaktu?

– Pomyślałem sobie, że pojechałabyś do Egiptu jako argentyńska kobieta interesu. Hiszpański znasz biegle, urodą pasujesz do Ameryki Południowej, podobnie jak i temperamentem. W Argentynie jesteśmy mocni, więc bez problemu przygotujemy całą twoją tamtejszą biografię i niezbędne dokumenty – tłumaczył Cewi. – Zrobimy z ciebie handlarza perfumami. Co ty na to?

– Jak na lato! Każda kobieta byłaby zachwycona – oceniła Dolores. – Rozumiem, że ktoś rozsądny będzie mnie ubezpieczał w czasie nawiązywania kontaktu z Ramzesem i nie spierdoli sprawy w razie czego?

Nawiązywanie po raz pierwszy kontaktu z agentem, którego zawerbowano w kraju trzecim, na terenie jego własnego kraju jest jedną z najbardziej niebezpiecznych operacji wywiadowczych. Zwłaszcza gdy kraj agenta jest w stanie permanentnej wojny z krajem wywiadu, który dokonał werbunku, jak było w tym przypadku. Nie ma stosunków dyplomatycznych, więc nie ma też placówek, które dawałyby przykrycie i immunitet oficerowi, który musi ten pierwszy kontakt nawiązać. Trzeba zatem działać z pozycji nielegalnej i bez żadnej oficjalnej ochrony. Dlatego kontakt z nowym agentem zawsze nawiązuje oficer, którego agent nie zna, gdyż inicjatywa w podobnej sprawie musi do ostatniej chwili należeć do tegoż oficera. Na bieżąco ocenia on sytuację i ryzyko. W razie wpadki jego jedyną ochroną jest żelazna legenda, którą przeciwnik w trakcie przesłuchania kupi lub nie. Chyba że gdzieś nastąpił przeciek albo zdrada. Wtedy, jeżeli ktoś jest wierzący, może tylko się modlić. Niewierzący może oczywiście nawrócić się w pokoju przesłuchań, ale raczej nie powinien liczyć na cud.

Operacja zawsze jest zabezpieczana przez innego oficera lub oficerów wywiadu aniżeli ten, który dokonał werbunku. Ma to tylko jeden cel: poinformować centralę, że zadanie wykonano zgodnie z planem lub że nastąpiła wpadka. Zabezpieczający nigdy nie interweniuje i nie biegnie nikomu na ratunek – ani agentowi, ani koledze w tarapatkach. Obserwuje, rejestruje jak najwięcej faktów i jak najszybciej informuje centralę wywiadu, który zorganizował akcję. Wywiad powinien mieć przygotowane warianty działania na wypadek, gdyby operacja zakończyła się ujęciem jej realizatora. Plany te mają służyć wyciągnięciu oficera z pułapki, dopóki jest w jednym kawałku.

Dolores znała, rzecz jasna, wszystkie procedury i zasady rządzące tego typu operacjami, gdyż wiele razy w przeszłości brała w nich udział. Wiedziała zatem, że jakość ludzi realizujących zadania zabezpieczające bywała różna, i dlatego zadała swoje pytanie.

– Chyba nie myślisz, kochana Dolores, że wystawiłbym twoją słodką dupkę na ryzyko – odrzekł Cewi, wchodząc w styl swojej rozmówczyni. – A teraz poważnie. Ubezpieczać cię będzie dwójka oficerów działających osobno i niezależnie. Nie musisz ich znać ani

nic wiedzieć o ich zadaniach, bo takie są procedury i znasz je dobrze. Jeżeli spełni się najgorszy scenariusz i zostaniesz ujęta, nie daj Boże, z Ramzesem, to będziemy wiedzieli o tym natychmiast. W naszych więzieniach jest paru szpiegów egipskich, których w takim wypadku postaramy się wymienić na ciebie. Nawiązanie kontaktu z Ramzesem chcemy zaplanować na pierwszą niedzielę maja. Wywołamy go ustalonym systemem łączności.

– Jakie jest miejsce nawiązania kontaktu? – zapytała, gdyż od tego zależały wstępne przygotowania.

– Basen w Gezira Club na wyspie Zamalek w centrum Kairu – odpowiedział Cewi. – Znany ci chyba, jak pamiętam?

– O tak! – przyznała. – Parę lat temu opracowywałam to miejsce pod kątem pewnej operacji...

– Chodziło, zdaje się, o eliminację, do której nie doszło? – Cewi starał się przypomnieć sobie fakty.

– Tak, eliminację pewnego wojskowego, który bardzo nam podpadł w czasie kryzysu sueskiego i całego tego fiaska – potwierdziła. – Gezira Club to piękne miejsce. Naser kazał je wprowadzić znacjonalizować i udostępnić ludowi, czyli wszelakiej hołocie, ale nadal są tam elitarne, bo płatne, miejsca, w tym basen. W niedzielę bywa tam sporo ludzi, zwłaszcza na początku maja, bo to otwarcie letniego sezonu sportowego. Z mojego punktu widzenia to dobrze i źle. W tłumie łatwiej się ukryć i podejść do figuranta znienacka pod byle jakim pozorem i równie łatwo się wycofać. Tłum zapewni też anonimowość grupie zabezpieczającej...

– Ale także obserwacji przeciwnika, gdyby to była pułapka, i ich ekipie realizacyjnej, która będzie miała za zadanie cię zdjąć – zauważył.

– To prawda, ale nie ma sytuacji idealnych w tym naszym popierdolonym zawodzie – podsumowała na swój sposób Dolores. – Inaczej byłoby cholernie nudno. Prawie jak w biurze rachunkowym nowojorskich Żydów.

Zamówiła kolejną śliwownicę dla siebie i espresso dla swojego przełożonego, prosząc jednocześnie o rachunek.

– Do tego argentyńskiego paszportu wbijecie mi egipską wizę

made in Israel czy też mam się o nią starać w jakiejś ambasadzie egipskiej?

– Jak twoim zdaniem będzie bezpieczniej? – zapytał Cewi raczej retorycznie, gdyż miał wyrobioną opinię w tej sprawie. Chciał jednak pozostawić ostateczną decyzję podkomendnej, gdyż to ona ryzykowała najwięcej i było ważne, żeby akceptowała zastosowane rozwiązania.

– Gdyby to była rutynowa akcja ustaleniowa lub zabezpieczająca, to wiza egipska wyprodukowana u nas byłaby wystarczająca. Ale muszę założyć scenariusz najgorszy: zatrzymanie i długie rozmowy wyjaśniające. Wtedy paszport zostanie poddany dokładnym oględzinom i nawet gdyby wiza naszej komórki legalizacyjnej była lepsza od oryginału, to szybko ustalą, że żadna ich ambasada jej nie wydała. I będę ugotowana, bo jak się wytłumaczę z lewej wizy? Prosząc, żeby jeszcze raz sprawdzili w swojej ambasadzie, bo to z pewnością pomyłka? Zabiją mnie śmiechem! Wizę egipską pobiorę w Rzymie, a przy okazji spotkam się z Dominikiem. Wiza włoska może być made in Israel Wizy egipskie dla grupy zabezpieczającej też, bo po co robić tłok w ambasadach.

– Zgadzam się – powiedział Cewi. – Chcemy, żebyś udała się do Kairu kilka dni przed datą nawiązania kontaktu i regularnie bywała w Gezira Club, zwłaszcza na basenie. Niech personel i ochrona przyzwyczają się do ciebie. Masz być towarzyska i swobodnie rozmawiać z innymi bywalcami. Taka argentyńska trzpiotka. Pracujemy nad taktyką nawiązania kontaktu z Ramzesem i ewentualną małą niespodzianką. Od jutro zaczniesz pobierać lekcje w zaprzyjaźnionej perfumerii. Twoja legenda musi być perfekcyjna, bo tylko wtedy masz szansę wyłgać się z więzienia, gdyby doszło do najgorszego.

– Jak dojdzie do najgorszego, to nie wyłgam się z niczego, choćbym miała usta całe złote – odrzekła Dolores. – Cipkę zresztą też.

– Nie rozumiem. – Spojrzył pytająco na podwładną. – Czy coś przeoczyłem? O czym mówisz?

– Najgorsze byłoby wtedy, gdyby gdzieś nastąpił przeciek czy

niedopatrzenie, bo zdrady raczej nie biorę pod uwagę – wyjaśniła.

– Nie ma żadnego niedopatrzenia czy przecieku. Sprawdzaliśmy różne elementy gry – zapewnił.

– Inszallah... – odpowiedziała.

20 kwietnia

Od paru minut Dominik przechadzał się po Placu Świętego Piotra, lawirując pomiędzy stadami gołębi, których nie cierpiał.

Już z daleka dostrzegł Dolores. Piękna jak Inez, ale taka do niej niepodobna – pomyślał. Tamta była delikatna i wiotka jak trzcina, a ta przypomina młodą dębinę. Nie do złamania.

Na widok Dominika na ustach izraelskiej agentki zaczął się błąkać ledwo widoczny uśmiech, ale jej czarne oczy dokładnie lustrowały otoczenie, usiłując wyłapać każdy element, który zakłócałby obraz. Jak zwykle pocałowali się na powitanie.

– Witaj, śliczna – powiedział Dominik. – Chodźmy do bazyliki, tam sobie spokojnie pogadamy i obejrzymy trochę prawdziwej sztuki.

– Dobry pomysł – podchwyciła. – Lubię spotkania w kościołach. Człowiek czuje się taki bezpieczny... Na początku lutego dostałam szyfrowane polecenie od Malcolma, żebym dała sygnał Lankerowi w Nowym Jorku. Niech wszystko, co ma na Wuja Tomasa, wyśle na adres centrali FBI w Waszyngtonie do rąk własnych J. Edgara Hoovera. Anonimowo, oczywiście. Abe potwierdził, że spełnił moją prośbę. Możesz mnie oświecić, co jest grane?

– Z przyjemnością, moja droga, jak tylko usiądziemy w ostatnim rzędzie ławek w bazylice – odparł. – Spodoba ci się! Niedawno widziałem się z Malcolmem w Wiedniu i wszystko wiem.

Gdy już usiedli w ogromnej świątyni, anonimowi dla innych ludzi, którzy tego dnia postanowili ją odwiedzić, Dominik opowiedział Dolores o wszystkim, co się wydarzyło w Londynie, w Hyannis Port i Gabinetcie Ovalnym, a co doprowadziło do aresztowania Wuja Tomasa i wszczęcia przeciwko niemu postępowania prokuratorskiego oraz do wymuszonego odejścia Martina Van Verta z CIA.

– Wygląda na to, że powoli zaczynamy dobierać się do dupy tym, którzy odpowiadają za śmierć Inez i Ratza – podsumował nie bez satysfakcji.

– Tak by się mogło wydawać – stwierdziła jego towarzyszką. – Na pewno Wuj Tomaso będzie cierpiał w więzieniu tak, jak mi to opisywał Abe Lanker. Wymuszenie odejścia Martina Van Verta z CIA to policzek dla całego rodu. Przytulą biedaczka, rzecz jasna, i krzywdą mu się nie stanie, ale klan Kennedych upokorzył ich i to jest najcenniejsze w naszej zemście. Daliśmy Kennedyom pałkę, którą mogą okładać Van Vertów i niweczyć ich plany polityczne i finansowe. Nie narzucą Amerykanom swojego ukochanego Richarda Nixona ani kolejnej wojny, która rodowi przyniosłaby kokosy, a zwykłym ludziom śmierć i kalectwo. To dopiero boli...

– Lord Grey jest nieoceniony. Bez niego byłoby trudno – zauważył Dominik. – A może w ogóle nic nie dałoby się zrobić.

– Masz rację, ale Van Vertowie nie pozostaną bierni. Sporo się o nich ostatnio dowiedziałam. Są potężni! Gdyby się sprężyli i sprzedali parę nieruchomości na Manhattanie, to pewnie bez trudu kupiliby cały Izrael. Abe Lanker mocno mnie przed nimi ostrzegwał, jakby sam się bał ich potęgi i wpływów.

– Czego się o nich dowiedziałaś?

– Należą do pierwszej piątki najbogatszych rodzin Stanów Zjednoczonych, a więc są także w ścisłej czołówce światowych potentatów – relacjonowała Dolores. – Moim zdaniem to właśnie, oprócz szmalu, stanowi o ich potędze. Ci wszyscy krezusi znają się nawzajem. Van Vertowie utrzymują kontakt ze wszystkimi, którzy coś znaczą. Nie w jednym czy drugim kraju, ale na całym świecie. W naszym izraelskim grajdołku też. To jest prawdziwa władza, chociaż nieformalna. Bo jeżeli taki Martin Van Vert tkwił w CIA, to wiedza Agencji służyła także jego rodowi. A ilu takich Martinów jest poutykanych w różnych ciekawych instytucjach na całym świecie i działa na rzecz swoich rodów czy klanów? A te wszystkie żuczki ocierają się o siebie cały czas i mogą wzajemnie wspierać swoje interesy, nieprawdaż? Myślałeś o tym kiedyś?

– Oczywiście, że myślałem. Nie tylko wywiady tworzą świat równoległy – odrzekł. – Takich światów równoległych jest w naszej rzeczywistości więcej, a jeden z nich z pewnością należy do właścicieli planety Ziemia. To, co robimy, zaczyna naruszać interesy ważnej grupy. Musimy być bardzo ostrożni. Pogadaj o tym kiedyś z

Cewim. Jeżeli jakiś wywiad ma prawdziwą wiedzę na temat równoległego świata bogaczy, to tylko wasz Mosad...

– Dlaczego tak sądzisz? – weszła mu w słowo.

– Bo wywiad izraelski jest nieodzowny dla przeżycia Państwa Izrael – wyjaśnił. – Musi być więc odporny na wszelkie naciski i infiltrację także ze strony możliwych tego świata. A wręcz musi wiedzieć, czy ich różne interesy, w tym prowadzone z jego wrogami, nie stanowią zagrożenia dla najbardziej żywotnych interesów Izraela. Pogadaj z Cewim. Tobie powie wszystko, co wie na ten temat, a coś mi podpowiada, że jest tego sporo...

– Możesz mieć rację – zamyśliła się. – Poplotkuję z Cewim, jak tylko wrócę z Kairu...

– Skąd?! – prawie wykrzyknął. – O czym ty mówisz, kobieto? Z jakiego Kairu? Czy ty rozum postradałaś?

Spokojnie odczekała, aż Dominik opanuje emocje, i nie wchodząc w szczegóły, zaczęła mu tłumaczyć założenia operacji kairskiej.

– Mówię ci o tym, żebyście z Malcolmem wiedzieli, co robiłam, gdyby doszło do czegoś nieprzewidzianego – zakończyła relację.

Dominik, który zdążył już odzyskać naturalny spokój, wiedział aż nadto dobrze, że żadne perswazyje nie odwiodą siostry Inez od realizacji zaplanowanej w Egipcie operacji. Postanowił więc omówić kwestię współdziałania na wypadek ewentualnej wpadki.

– Muszę znać dokładną datę i godzinę rozpoczęcia akcji. Ile czasu możesz na nią potrzebować? – zaczął. – Chcę, żebyś jak najszybciej po akcji zadzwoniła do mnie lub wysłała telegram. Jeżeli nie zrobisz tego do ustalonej godziny, będę wiedział, że stało się coś niedobrego, i skontaktuję się z Cewim. Zakładam, że on też zostanie powiadomiony, jeżeli sprawa zacznie się sypać.

– Mam realizować operację, która będzie zabezpieczana przez ludzi z naszego wywiadu – wyjaśniła. – Jeśli więc coś się rypnie, to Cewi dowie się pierwszy, bo przecież wszystkich nas Egipcjanie nie zdejmą. Akcja rozegra się w pierwszą niedzielę maja o jedenastej. Jeżeli nie odezwe się do czternastej, to będzie znaczyć, że jestem w czarnej dupie... albo jeszcze gorzej.

Dominik słuchał i tylko kiwał głową, wiedział bowiem, że przeciwnik bez trudu może zastawić sidła i kontrolować sytuację. Wystarczy najdrobniejszy przeciek.

– Chyba wam wszystkim odbiło – ocenił. – Ta sprawa mi się nie podoba, ale pewnie nie odwiódę cię od wejścia prosto w pułapkę. Dlaczego nie spotkacie się z facetem jeszcze parę razy za granicą i nie sprawdzicie, co wam przyniesie?

– Bo gość mówi, że co najmniej na pół roku wyczerpał limit wyjazdów – wyjaśniła Dolores.

– A co ma mówić, jeżeli chce cię zwabić na swój teren... – analizował Dominik, łudząc się jeszcze, że być może ją przekona, by przynajmniej przemyślała celowość operacji w takiej formie.

– Skończmy ten wątek – przerwała. – Doceniam twoją troskę, ale powiedz mi lepiej, gdzie mam dzwonić, gdy skończę robotę.

Dominik dał za wygraną. Wiedział, że nic nie wskóra, ale przynajmniej miał czyste sumienie, że próbował.

– Kontaktuj się z moim biurem w Wiedniu – odpowiedział. – Tam zawsze ktoś jest. Podam ci zaraz dodatkowy numer telefonu i skrytkę pocztową, które nic nikomu nie powiedzą. Nawet gdyby Egipcjanie podsłuchiwali panią od perfum, to nic nie ustalą. My natomiast ustalimy, że ustalają.

Dolores skrzętnie zanotowała dane, które podał jej Dominik. Do zapamiętania i zniszczenia.

– Bazylika jest piękna i wspaniała. Czuję się natchniona i głodna, więc zaprosz mnie na lunch, drogi przyjacielu – odezwała się, gdy przestała notować.

Wyszli z bazyliki i skierowali się w lewo. Wkrótce zauważyli niewielką rodzinną knajpkę i nim usiedli, Dolores zamówiła butelkę chianti. Spotkanie zakończyli pocałunkiem. Może trochę dłuższym niż zwykle, gdyż w ten sposób Dominik chciał jej dodać otuchy.

21 kwietnia

Od paru miesięcy Rick Sanmartino krążył po Sajgonie, prowadząc rozmowy z wytypowanymi wcześniej hurtownikami heroiny, gdyż ją właśnie uznał za najbardziej dochodową i najłatwiejszą do sprzedaży. Budował taką samą strukturę obrotu narkotykami, z jakiej on i jego przyjaciele musieli zrezygnować w Ameryce Południowej.

Na początku marca dotarła do niego wiadomość o aresztowaniu Wuja Tomasa i niespodziewanej rezygnacji Martina Van Verta z pracy w CIA. Takie wieści szybko rozchodziły się w Firmie. Ale równie szybko skontaktował się z Rickiem Henry Lodger i w imieniu Martina nakazał mu kontynuowanie prac. Rick doszedł więc do wniosku, że mimo chwilowych niepowodzeń sytuacja jest pod kontrolą, i dalej robił swoje. W przekonaniu tym umocnił go kolejny telefon od Henry'ego, który niespodziewanie zapowiedział swój przylot do Sajgonu pod koniec marca. Perspektywa spotkania ze starym znajomym i towarzyszem broni ucieszyła Ricka. Wyjechał po Lodgera na lotnisko. Wynajęty samochód przebijał się przez sajgoński tłum.

– Doceniam to, że przyjechałeś, Henry, ale ja jestem dużym chłopcem i jakoś tu daję sobie radę – żartował Rick Sanmartino, świadomy, że Lodger nie przyjechał dla niego.

– Więc co cię tak naprawdę sprowadza do Sajgonu?

– Martin Van Vert chce mieć dokładne informacje z pierwszej ręki o tym, co się dzieje w Wietnamie Południowym... – zaczął Lodger, ale Sanmartino wszedł mu w słowo.

– Zanim zaczniemy mówić o Wietnamie, to może wyjaśnisz mi, dlaczego Martin nie pracuje już w CIA, a Wuj Tomaso siedzi w więzieniu? – zapytał Rick. – Czym Martin się teraz zajmuje, jeżeli to nie tajemnica?

– Nie znam szczegółów, ale w skrócie wygląda to tak, że Kennedy dobrali się do dupy klanowi Van Vertów – zaczął Lodger. – A ponieważ mają w ręku prawie całą władzę w kraju, więc mogli to zrobić skutecznie. Martin poleciał za czarną kasę CIA, którą wszyscy

motaliśmy. Zakładam, że Wuj Tomaso znalazł się na linii strzału, bo tkwił w tej operacji narkotykowej.

– CIA Kennedych nie potrzebuje czarnej kasy? – zapytał retorycznie Sanmartino.

– Przecież nie o to chodzi, Rick – odparł Lodger. – Kennedy chcieli przywalić Van Vertom, więc każdy pretekst jest dobry.

– Czy nam coś grozi, czy też dalej możemy grać z Martinem? – Sanmartino chciał wiedzieć dokładnie, na czym stoi.

– Martin pracuje teraz dla swojej rodziny. A to mimo wszystko bardzo mocny układ, więc sądzę, że możemy być spokojni i robić swoje – odpowiedział Lodger.

– Skoro tak mówisz, to pewnie tak jest – skwitował Sanmartino. – Kto ci przekaze informacje o Wietnamie, bo ja na pewno jestem za cienki? W tym kraju jest straszny bałagan.

– Jedź do hotelu Caravelle. Tam spotkamy się z Lucienem Coneinem – odparł Lodger.

– Nie wiedziałem, że Lucien tu działa – odparł Sanmartino, który montując operację narkotykową w Sajgonie, unikał kontaktów z ludźmi Firmy.

– O tak, Lucien to guru od Wietnamu – zapewnił przyjaciela Lodger.

Lucien Conein był legendą OSS. W czasie wojny walczył w okupowanej Francji z Niemcami, a w 1945 roku zdążył jeszcze bić się z Japończykami w Indochinach. Od 1954 roku działał dla CIA, która przejmowała tam pałeczkę po klęsce Francuzów. O Wietnamie Północnym i Południowym wiedział prawie wszystko, tyle, ile może wiedzieć biały człowiek. Znał Ho Szi Minha, przywódcę Wietnamu Północnego, i był za pan brat z prezydentem Ngo Dinh Diemem, władcą Wietnamu Południowego.

Gdy zaparkowali nieopodal hotelu i weszli do westybulu, Lucien Conein już tam czekał. Przywitali się wylewnie.

– Miło mi powitać towarzyszy broni w Sajgonie – rzekł Lucien. – W podziemiach hotelu jest bar. Pogadamy tam sobie.

Usiedli, zamówili drinki, jakieś przekąski i Henry Lodger wyłuszczył cel swojej wizyty w Sajgonie.

– Przysłał mnie nasz wspólny przyjaciel Martin, który został niedawno odprawiony przez prezydenta Kennedy’ego na przymusową emeryturę i obecnie zajmuje się interesami swojej rodziny – mówił Lodger. – Chciałby wiedzieć, co się dzieje i będzie działo w tym kraju w bliższej i dalszej perspektywie. A ty tu, Lucienie, uchodzisz za eksperta...

– Słyszałem, że wyjebali Martina z Firmy za zbieranie czarnej kasy w Ameryce Południowej. Chyba zresztą razem z wami – odpowiedział Conein, który zawsze był dobrze poinformowany nie tylko w sprawach wietnamskich. Nie czekając na reakcję swoich rozmówców, kontynuował: – Ale ja mam w dupie, za co go posunięto, a tym bardziej co politycy o nim myślą. Zawsze jest tak, że jedni politycy chcą od nas sukcesów za wszelką cenę, a inni później to oceniają zależnie od tego, jak im pasuje do ich zasranych gier. A my robimy swoje i Martin to dla mnie towarzysz broni, bez względu na to, co mu się przytrafiło.

– Chapeau bas, Lucien – odparł Lodger. – Zawsze miałeś jaja.

– Merci, mon ami. Sytuacja w Wietnamie Południowym jest następująca – zaczął wyjaśniać Conein. – Prezydent Diem jest pierdolnięty i musi źle skończyć. Część społeczeństwa wietnamskiego to katolicy, spuścizna po Francuzach i okresie kolonialnym. Ale większość to buddyści. Natomiast Diem to mistycyzujący i wojujący katolik, który niedługo podzieli ten kraj pod względem religijnym. W pięćdziesiątym dziewiątym roku oficjalnie oddał kraj w opiekę Matce Boskiej, co w Ameryce Południowej jest może w porządku, ale nie tu. Mnisi buddyjscy już szykują się do protestów, a Diem nie chce się wyrzec pomysłu uczynienia z Wietnamu kraju katolickiego. Na razie Firma pompuje w jego reżim kasę jak powietrze w dmuchany materac. Ale szybko musimy znaleźć jakieś inne wyjście, bo Diem to zgrany facet, chociaż osobiście go lubię...

– Zamach stanu? – zainteresował się Lodger i z przeświadczeniem znawcy dodał: – Znamy to z Ameryki Łacińskiej. Musisz zmobilizować wojsko.

– I tak właśnie robię – odparł Lucien z tajemniczą miną.

– Co dalej? – zapytał Lodger. – Gdy już będzie taki rząd, jaki nam odpowiada?

– Wtedy trzeba przysłać tu amerykańskich żołnierzy, bo miejscowi nie poradzą sobie z partyzantką komunistyczną i infiltracją z Wietnamu Północnego – odpowiedział Lucien. – Ho Szi Minh to przeciwnik najwyższej klasy. Znam go osobiście. Ma też dobrych ludzi, a Firma przysyła tu facetów, którzy nic o tym kraju nie wiedzą, nie znają historii, języka, kultury... Potrafią tylko bzykać Wietnamki, najczęściej agentki Ho, którym opowiadają, jacy są dzielni i co robią w pracy.

– Ile naszego wojska potrzeba, żeby wygrać tę wojnę? – Lodger poważnie traktował zlecenie Martina. – Mówię o żołnierzach, nie o biurokratach.

– Tak z milion – odparł Lucien.

Lodger i Sanmartino spojrzeli po sobie z niedowierzaniem. Obaj doskonale wiedzieli, co to znaczy milion żołnierzy plus sprzęt, wyżywienie, obsługa medyczna, rotacja poborowych... i tak w nieskończoność.

– Pojebało cię, Lucien? – rzekł w końcu Sanmartino. – Oprócz Rosjan i Chinoli nikt nie ma takiej armii. Tylu Amerykanów nawet się nie zmieści w Wietnamie Południowym!

– Posłuchaj mnie uważnie, Lodger, jeżeli chcesz stąd przywieźć Martinowi informacje godne uwagi – odpowiedział Lucien. – Armia Południa to atrapa, którą Północ rozjedzie bez naszej pomocy w pięć minut. Jeżeli w ciągu paru lat nie będzie tu miliona Amerykanów i całej naszej nowoczesnej techniki, to damy dupy. Taka jest moja opinia. Jeżeli Ameryka chce wygrać tę wojnę, to potrzeba miliona żołnierzy, jeżeli zaś chce tylko przez kilka lat poprowadzić sobie wojenkę w Azji, to wystarczy połowa.

– Jesteś pewien? – ponownie wtrącił się Sanmartino.

– Pewien jestem śmierci i podatków - odparł Lucien. - Ale od czterdziestego piątego roku takie same rozmowy prowadziłem z różnymi Francuzami, tymi w mundurach i tymi w cywilu. Oni też uważali, że wystarczy garstka białych ludzi, by dopierdolić Wietnamczykom, a potem pod Dien Bien Phu wyszło, jak wyszło,

czyli do dupy... I na koniec. Mógłbym ci, Lodger, zrobić cały wykład na temat Wietnamu do powtórzenia Martinowi albo nawet studium napisać. Lecz między starymi szpiegami i żołnierzami to bez sensu. W tym, co powiedziałem, jest sama kwintesencja. Albo spełnimy warunki co do liczby wojska, by wygrać, albo nie. I wtedy przegramy. To tak proste!

– Dziękuję, Lucien. Mówisz bardzo klarownie i przekonująco, a ponieważ ty tu jesteś głównym ekspertem, to pewnie będzie tak, jak mówisz – odpowiedział Henry Lodger. – Zapraszam na kolację. Na koszt Van Vertów.

Dwa dni później Sanmartino odwiózł wysłannika Martina na lotnisko i wyprawił lotem rejsowym do Paryża, gdzie Lodger miał kilka prywatnych spraw do załatwienia. Sam zaś ponownie rzucił się w wir montowania kanału narkotykowego. Znacznym ułatwieniem okazała się odnowiona znajomość z Lucieniem Coneinem. Jego nazwisko otwierało drzwi, które uprzednio wydawały się nawet nie istnieć. Jak do tej pory radziłem sobie bez niego? – pomyślał w pewnej chwili Rick Sanmartino.

Teraz, w kwietniową niedzielę, odbył kluczowe spotkanie, które wieńczyło jego kilkumiesięczne wysiłki organizatorskie, a wieczorem postanowił się zabawić. Znajoma Wietnamka szykowała uroczystą kolację w mieszkaniu oddalonym o kilka przecznic od hotelu, w którym się zatrzymał. Zamierzał, jak zwykle, spędzić u niej noc.

Dochodziła dwudziesta druga. Skończył się przebierać w pokoju i postanowił przed wyjściem wpaść do baru hotelowego na szybkiego drinka. Bar był prawie pusty. Sanmartino usiadł na wysokim stołku i delektował się whisky bez lodu. Zastanawiał się, kto zastąpi Wuja Tomasa w roli głównego importera narkotyków z Azji, ale doszedł do wniosku, że to nie jego sprawa. Odpowiedni ludzie w Firmie i strukturach mafii na pewno sobie poradzą.

Zamówił kolejną szklaneczkę whisky. Wypił powoli, uścił rachunek i skierował się do wyjścia z hotelu. Przed nim szła wysoka i bardzo zgrabna Azjatka. Niezła laska – pomyślał. Musiała mieć francuskich przodków. Przyspieszył kroku i szarmanckim ruchem otworzył przed nią drzwi. Odwróciła się, uśmiechnęła i

zdecydowanym krokiem wyszła na ulicę. W pośpiechu upuściła białą rękawiczkę. Chyba chce mnie poderwać! – doszedł do wniosku zaintrygowany Amerykanin. Błyskawicznie podniósł zgubę i ruszył za śliczną Wietnamką, nie chcąc jej zgubić w nasilającym się ruchu ulicznym.

Zaabsorbowany kobietą, nie zauważył motocykla, który od paru chwil lawirował tak, aby się z nim zrównać. Dopiero wtedy Sanmartino spostrzegł wycelowany w jego głowę rewolwer, który trzymał pasażer jednośladu. O kurwa! – wyszeptał do siebie. Zanim jednak zdążył wykonać jakikolwiek unik, padły dwa szybkie strzały, zlewając się prawie w jeden huk. Oba pociski kalibru 45 trafiły w prawe oko Ricka, przeszły mózg i wyrwały tylną część czaszki. Rzucone potworną siłą ciało jakby przykleiło się do białej fasady hotelu i osuwając się, znaczyło na niej czerwony ślad.

Z rykiem silnika motocykl przepadł w ulicznym zgiełku. Piękna Wietnamka szła przed siebie, nie oglądając się. Bo i po co? Huk wystrzałów dowodził, że swoje zadanie wypełniła prawidłowo. Wskazała cel i wiedziała, że egzekutorzy to zawodowcy, którzy niejedną taką akcją już przeprowadzili i nigdy nie chybiali. Zwłaszcza z takiej odległości.

Wokół krwawiącego ciała Ricka Sanmartina zdążył zgromadzić się tłum gapiów. Obok z piskiem opon zatrzymał się pojazd amerykańskiej Military Police wezwanej przez dyrektora hotelu. W zaciśniętej ręce martwego oficera CIA nie było białej rękawiczki. Widocznie ktoś zadbał o to, aby uniknąć niepotrzebnych skojarzeń z piękną Wietnamką. Profesjonalna robota.

28 kwietnia

W niewielkiej salce restauracji hotelu Pierre w Nowym Jorku, niewidoczni dla pozostałych gości, siedzieli pogrążeni w dyskusji dwaj mężczyźni. Henry Lodger dopiero tego wieczoru miał okazję spotkać się z Martinem Van Vertem po swojej podróży do Sajgonu. Jednak rozmowy nie zaczęli od omówienia wyników jego wietnamskiej misji, tylko od informacji, jaka niedawno do nich dotarła – o zabójstwie Ricka Sanmartina.

– Z relacji świadków wynika, że była to typowa dla Sajgonu egzekucja – mówił Lodger, którego koledzy z CIA szczegółowo poinformowali o przebiegu incydentu. – Biedny Rick nie miał cienia szansy się obronić.

– A co wynika ze śledztwa Agencji, bo chyba je prowadzą? – zapytał Martin, choć nie łudził się, że usłyszy coś odkrywczego.

– Ależ oczywiście! Nawet Lucien Conein aktywnie się w nie włączył. Ludzie, z którymi Rick budował nowy kanał narkotykowy, nie mieli najmniejszego powodu, by go stuknąć. Wręcz odwrotnie, liczyli na niezłe zyski z tego przedsięwzięcia – referował Lodger. – Lucien przychyła się zatem do opinii, że Rick mógł mieć pecha i po prostu padł ofiarą zamachu partyzantów jako Amerykanin. W Sajgonie jest ostatnio coraz więcej takich zabójstw.

– Może jest, ale ja nie wierzę w takie przypadki – odpowiedział Martin. – No dobra, nic w tej sprawie nie wymyślimy. Streść mi, co Lucien ma do powiedzenia na temat przyszłości Wietnamu Południowego.

Henry Lodger streścił swojemu byłemu szefowi opinie ich towarzysza broni z OSS i znawcy Wietnamu.

– Milion żołnierzy, aby wygrać tę wojnę? – zapytał osłupiały koordynator struktur amerykańskich Ligi. – Przecież w tej chwili jest tam jedynie kilkanaście tysięcy! Sprowadzenie miliona to utopia!

– Lucien działa w Indochinach od prawie dwudziestu lat – zauważył Lodger. – Jeżeli ocenia, że tylu amerykańskich żołnierzy potrzeba, by pokonać komunistów w Wietnamie, to widocznie tak

jest, szefie.

– To mnie właśnie niepokoi, Henry, że Lucien może mieć rację – odpowiedział Martin Van Vert i przyszło mu na myśl, że w takim wypadku wojna w Wietnamie jest nie do wygrania.

W salce pojawili się kelnerzy, niosąc połądnicę cordon bleu ze szparagami w sosie bearnaise. Do kieliszków nalano czerwonego chateauf-neuf-du-pape, które wybrał Martin.

Po chwili drzwi salki otworzyły się ponownie i stanął w nich Morgan, człowiek do spraw trudnych Instytutu Erudycji. Bez słowa podszedł do Van Verta, wręczył mu kopertę i wyszedł. Martin przeczytał jednozdaniową wiadomość skreśloną znanym mu pismem stryja Fredericka. Przestał jeść i spojrzął na Lodgera. W oczach miał niepokój.

– Wuj Tomaso właśnie zmarł w więzieniu na atak serca – oznajmił beznamiętnym głosem i pociągnął łyk wina.